



**Joy Fielding**



*Już nie płacz*

# 1

Oczyrna wyobraźni ujrzała rozkołysane palmy. Ich wysokie brunatne pnie, od dziesięcioleci przyginane silnymi wiatrami ku ziemi, trwały pochylone, a długie zielone liście powiewały niczym puste rękawiczki, sięgając w stronę bajecznie czystego błękitu nieba.

W przyszłym miesiącu Rod miał wyjechać na tydzień do Miami i zaproponował, by wybrali się tam razem. Kilka dni konferencji, potem kilka dni tylko dla nas, zapewniał. Będą mogli wybrać się na plażę i poczuć jak Burt Lancaster i Deborah Kerr - co ona na to? Pytanie! Raz ujrzana wizja plaży i palm na stałe utkwiała jej pod powiekami, powracając za każdym razem, gdy zamknęła oczy. Co prawda ewentualny wyjazd skomplikowałby jej sytuację w pracy - musiałaby okłamać szefa, powiedzieć, że jest chora, podczas gdy zawsze chełpiła się, iż należy do grona owych nieprzyzwoicie zdrowych osobników, którzy nie wiedzą co to przeziębienie i którym niegroźny najpaskudniejszy nawet wirus grypy. Musiałaby też sporządzić dokładne konspekty lekcji, kilka tematów naprzód, tak by ktokolwiek, kto będzie ją zastępował, miał jasność co do treści i sposobu nauczania. Jednakże wszystkie te niedogodności były niczym wobec możliwości spędzenia romantycznego tygodnia na zalanej słońcem plaży u boku ukochanego mężczyzny. Przygoda pachnąca owocem zakazanym, i to mimo że mężczyzna, o którym mowa, od pięciu lat był jej mężem.

Bonnie wzięła głęboki oddech i skoncentrowała się na starannym usuwaniu spod powiek wszelkich śladów kołyszących się palm. Drobne niedogodności. Być może. Jednakże w jaki sposób ukryć potem przed podejrzliwym wzrokiem dyrektora szkoły średniej, w której pracuje, swoją zgoła niechorobliwą opaleniznę? Jak stanąć przed nim i nie zarumienić się, skąd wziąć siły, by bez zająknięcia odpowiadać na troskliwe pytania o samopoczucie? Zawsze bardzo ceniła sobie uczciwość, nienawidziła kłamać i robiła to beznadziejnie. (Moje ty chodzące wcielenie dobroci, zwykła mawiać jej matka.) W dodatku była dumna z tego, że odkąd prawie dziewięć lat temu podjęła pracę w szkole, nie opuściła ani jednego dnia. A teraz miałaby opuścić ich aż pięć tylko po to, by urwać się z mężem na Florydę?

- Poza tym - powiedziała na głos, spoglądając w dół na złotowłosą laleczkę, która była jej córką - jak mogłabym na całe pięć dni zostawić cię samą?

Wyciągnęła dłoń i dotknęła policzka śpiącej Amandy, palce musnęły biegnącą w poprzek kości policzkowej dziecka cienką bliznę, pamiątkę po niedawnym upadku z trójkołowego rowerka. Jakież te dzieci są delikatne, pomyślała Bonnie, nachylając się nad

córeczką i wciągając w nozdrza jej cudownie słodki zapach. Błękitne oczka Amandy natychmiast szeroko się otworzyły.

- Och, czyżbyś się obudziła? - zapytała Bonnie, całując córkę w czoło. - Nic złego już ci się nie śniło?

Amanda potrząsnęła przecząco główką i Bonnie uśmiechnęła się z ulgą. Mała zerwała się z łóżka o piątej nad ranem, płacząc z powodu jakiegoś koszmaru, którego jednak nie potrafiła sobie dobrze przypomnieć. Nie płacz, kochanie, już nie płacz, szeptała wówczas Bonnie, pozwalając Amandzie zostać w swoim łóżku. Mama jest przy tobie, wszystko będzie dobrze.

- Kocham cię, serduszek - oświadczyła teraz, całując córkę jeszcze raz.

Amanda zachichotała.

- Ja kocham cię bardziej.

- To niemożliwe - odparowała Bonnie. - Nie da się kochać bardziej, niż ja kocham ciebie.

Amanda skrzyżowała ramiona na piersi i przybrała najpoważniejszy ze swoich wyrazów twarzy.

- W porządku, w takim razie obydwie kochamy się po równo.

- W porządku, obydwie kochamy się po równo.

- Ale ja kocham cię bardziej.

Bonnie zaśmiała się i zwiesiła nogi poza krawędź łóżka.

- Myślę, że czas szykować się do wyjścia.

- Ja sama będę się szykować - pisnęła Amanda, wyskakując z łóżka i rzucając się biegiem do swojego pokoju. W chwilę potem jej podrygujące pulchne ciało, tonące w nocnej koszuli w wielkie białe-różowe ptaki, zniknęło w głębi korytarza.

Skąd w tych dzieciach tyle energii? - zastanowiła się leniwie Bonnie, pozwalając zmęczonemu ciału ponownie zanurzyć się w miękkiej pościeli, gdzie mogła porozkoszować się błogim spokojem wiosennego ranka.

Przenikliwy dźwięk telefonu wdarł się do jej mózgu z siłą, z jaką uczyniłby to sygnał klaksonu stojącej za plecami wielkiej ciężarówki. Wzdrygnęła się gwałtownie. Nie ma jeszcze siódmej. Kto może dzwonić o tak wczesnej porze?

Bonnie zmusiła się do otwarcia oczu. Wbiła spojrzenie w aparat stojący na nocnym stoliku, po czym westchnęła z irytacją i przez całą szerokość łóża o królewskich rozmiarach sięgnęła po słuchawkę.

- Halo!

Z zaskoczeniem odkryła, że jej głos wciąż jeszcze jest zachrypnięty od snu i czekając na odzew z drugiego końca linii, chrząknęła, przecyszczaając gardło.

- Halo! - powtórzyła, kiedy milczenie w słuchawce przedłużało się.

- Mówi Joan. Muszę z tobą porozmawiać.

Bonnie poczuła, jak zamiera jej serce. Nie dość, że nie ma jeszcze siódmej, to osobą, która dzwoni, okazuje się być żona jej męża.

- Czy coś się stało? - zapytała szybko, przeczuwając najgorsze. - Sam i Lauren...

- U nich wszystko w porządku. Bonnie odetchnęła z ulgą.

- Rod jest pod prysznicem - powiedziała, myśląc, że nawet dla Joan jest nieco za wcześnie na zagłądanie do butelki.

- Nie chcę mówić z Rodem, chcę mówić z tobą. Słuchaj, to nie jest odpowiednia pora na rozmowy odparła Bonnie najgrzeczniej, jak umiała. - Właśnie wychodzę do pracy...

- Nie pracujesz dzisiaj. Sam powiedział mi, że to dzień na TZ.

- DZ - poprawiła. - Doskonale zawodowe. Dlaczego w ogóle tłumaczy się przed tą kobietą, ostatnią osobą, której byłaby to winna?

- Możesz spotkać się ze mną przed południem?

- Nie, oczywiście, że nie - odparła Bonnie, zdumiona tym żądaniem. - Całe przedpołudnie spędzam na szkoleniu. Mam doskonale zawodowe, jeżeli pamiętasz.

- Zatem w południe. Masz chyba jakąś przerwę na lunch.

- Joan, nie mogę...

- Nic nie rozumiesz. Musisz się ze mną spotkać.

- Co znaczy: muszę? I czego nie rozumiem? - Co ta kobieta wygaduje? Czy to jakiś dowcip? Rod zawsze powtarzał, że jego była żona nie ma za grosz poczucia humoru. Bonnie posłała w stronę łazienki bezradne spojrzenie. Zza zamkniętych drzwi nadal dochodził szum prysznica. Rod ćwiczył płuca, wyjąc porywający refren z *Take another little piece of my heart*. - Joan, ja naprawdę muszę już iść.

- Grozi ci niebezpieczeństwo! - te słowa smagnęły ją jak bicz.

- Co takiego?

- Grozi ci niebezpieczeństwo. Tobie i Amandzie. Bonnie poczuła zaciskającą się na wnętrznościach lodowatą łapę paniki.

- Co ty wygadujesz? Jakie niebezpieczeństwo?

- To zbyt skomplikowane, by wyjaśniać przez telefon - odparła Joan, nagle zatrwając się opanowana. - Musimy spotkać się osobiście.

- Piłaś? - zaatakowała Bonnie, wbrew najlepszym intencjom dając się ponieść gniewowi.

- Czy sprawiam wrażenie pijanej? Bonnie musiała przyznać, że nie.

- Słuchaj, dzisiaj przez całe przedpołudnie prowadzę dom otwarty na 430 Lombard Street, w Newton. Z tym że muszę wynieść się przed pierwszą, bo potem wraca właściciel...

- Już ci mówiłam, cały dzień jestem na szkoleniu.

- A ja mówiłam, że jesteś w niebezpieczeństwie! - powtórzyła Joan, jak gdyby każde słowo dzieliły kilometrowe odstępki, a każda litera była duża.

Bonnie ponownie otworzyła usta, by zaprotestować, lecz zmieniła zdanie:

- Dobrze - zgodziła się. - Spróbuję dostać się tam w porze lunchu.

- Pamiętaj, przed pierwszą - poinstruowała ją Joan.

- Przed pierwszą - przytaknęła.

- Tylko proszę, nie mów o tym Rodowi - dodała Joan.

- A to znowu dlaczego?

Za całą odpowiedź musiał jej wystarczyć stuk słuchawki, kiedy Joan rozłączyła się niezbyt delikatnie.

- Zawsze miło cię słyszeć - mruknęła Bonnie, odkładając głuchą słuchawkę, i pełna frustracji zagapiła się w śnieżnobiały sufit. Co tym razem? Jakaż to kolejna pokrętna teoria zrodziła się w przeżartym alkoholem mózgu tej kobiety?

Choć trzeba przyznać, że Joan nie sprawiała wrażenia pijanej, pomyślała Bonnie, spuszczając stopy na podłogę i wlokąc się w stronę łazienki. Wręcz przeciwnie, wydawała się trzeźwa i skupiona, całkowicie świadoma tego, co mówi. Zachowywała się jak człowiek, który ma do wypełnienia konkretne zadanie, dumiała, oblewając twarz wodą i szorując zęby, a potem wędrując w stronę szafy po miękkiej pluszowej wykładzinie. Czas wymienić garderobę na bardziej wiosenną, chociaż... Jak brzmi to durne porzekadło, które zwykła cytować Diana? Kwiecień plecień wciąż przeplata: trochę zimy, trochę lata? Tak, coś w tym stylu, uznała, odpychając wspomnienie innych, bardziej złowieszczych słów, i w miejsce powiewnej białej koszuli nocnej włożyła różową wełnianą sukienkę. Jednakże tamten przerażający głos nie dał za wygraną. „Grozi ci niebezpieczeństwo”, powróciły do niej słowa Joan. „Tobie i Amandzie.”

O czym ona mówi? Jakie niebezpieczeństwo może im zagrazać?

„Tylko proszę, nie mów o tym Rodowi.”

Dlaczego nie? - ponownie zapytała Bonnie, wygładzając sukienkę na szczupłych biodrach. Dlaczego Joan nie chce, by jej dziwne deklaracje dotarły do uszu Roda? Pewnie

dlatego, że uznalby ją za wariatkę. Roześmiała się. Rod i tak uważał swoją byłą żonę za niespełna rozumu.

Zdecydowała się nie iść na spotkanie z Joan. Cokolwiek ta kobieta chciała jej przekazać, z pewnością nie było to nic takiego, co chciałaby usłyszeć. A w każdym razie nie, co przyniosłoby jej jakąś korzyść. Jednakże już w chwili podejmowania tej decyzji wiedziała, że pchana ciekawością i tak wyslizgnie się pod koniec zajęć, prawdopodobnie tracąc najlepszą część szkolenia, po czym przejedzie kawał miasta, aby dostać się na Lombard Street, a tam ostatecznie przekonać się, iż Joan o niczym nie pamięta, nawet o tym, że w ogóle gdzieś dzwoniła. Zdarzało się to już wcześniej. Pijackie wynurzenia w środku nocy, chaotyczne, szalone komunikaty w ciągu dnia, ponure lamenty o zmierzchu. „Co takiego? Przecież nie dzwoniłam do ciebie. O co ci chodzi? W co ty, do cholery, próbujesz mnie zrobić?”

Bonnie nie żywiła do niej o to urazy. Mimo całej wiedzy, którą posiadała na temat tej kobiety, mimo piekła, przez które za jej sprawą przeszedł Rod, czuła do niej pewną sympatię. (Mój ty aniele, powiedziałyby na to matka.) Starła się nie zapominać, że większość problemów Joan bierze się z jej wnętrza, że ta kobieta świadomie wybrała alkohol jako jedyną drogę ucieczki. Nie trzeba było wielkiej wyobraźni, by usprawiedliwić jej alkoholizm po tragedii, którą przeszła.

Niemniej faktem jest, że nawet owa tragedia w dużej mierze wynikła z winy Joan. Gdyby nie jej nieuwaga, gdyby nie wyszła z łazienki - nawet na mniej niż minutę, jak się potem zarzekała - pozostawiając swoje czternastomiesięczne dziecko samo w wannie, zapewne do niczego by nie doszło. Ale ona broniła się całą serią przekonujących wymówek: pozostawieni w sąsiednim pokoju Sam i Lauren wdali się w bójkę, Lauren zaczęła krzyżeć, brzmiało to, jakby Sam robił jej krzywdę; Joan wypadła na chwilę z łazienki, żeby sprawdzić, co się dzieje. Kiedy wróciła, jej dziecko było martwe. Jej małżeństwo również.

„Tylko proszę, nie mów o tym Rodowi.”

Po co denerwować go z samego rana? - zapytała samą siebie, postanawiając nie mówić Rodowi o dziwnym telefonie, w każdym razie nie przed spotkaniem z Joan. Rod i bez tego miał wystarczająco dużo zmartwień w studio - kapryśne prezenterki, zmagania z oklepanymi schematami, kłopoty z popołudniową rozkładówką. Gorączkowe analizy i poszukiwania, próby odpowiedzi na pytania w rodzaju: „Jak naprawdę wygląda zapotrzebowanie przeciętnego odbiorcy na krótkie programy typu talk show?” Na efekty tej pracy nie trzeba było długo czekać, pod kierownictwem Roda notowania stacji systematycznie szły w górę. Wreszcie zawiązały się rozmowy na temat włączenia stacji do

ogólnokrajowej sieci. Zaplanowany na przyszły miesiąc zjazd w Miami mógł okazać się decydujący w tej sprawie.

I znowu, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, przed oczami stały jej smukłe sylwetki palm, nadając lawendowej powierzchni ścian wygląd malowanej w tropikalne motywy tapety. Zasiadłszy przed lustrem, przy stojącej naprzeciw łóżka niewielkiej toaletce, poczuła na twarzy wymaginowany powiew ciepłej wilgotnej bryzy. Odruchowo uniosła twarz w stronę nieobecnego słońca, trafiając wzrokiem na reprodukcję kobiecego aktu autorstwa Salvadore Dalego - wykonany w błękitach szkic kobiety o krągłych biodrach, długich, smukłych członkach i nagiej czaszce, z czubka której rozchodziły się zagadkowe promienie.

Może łysina istotnie byłaby jakimś rozwiązaniem, doszła do wniosku, bezskutecznie próbując ułożyć przycięte na wysokości brody ciemne włosy, tak jak zalecała fryzjerka. Daj sobie spokój, poradziła wreszcie swojemu odbiciu i zaniechała dalszej walki z niesfornymi włosami, stwierdzając, że nawet mimo rysującej się wokół ciemnozielonych oczu delikatnej siatki zmarszczek, jej twarz nie przedstawia się jeszcze najgorzej. Regularne rysy sprawiały, że mimo trzydziestu pięciu lat zachowała dobrą prezencję i wydawała się znacznie młodsza niż w rzeczywistości. Typ damulki, powiedziała o niej kiedyś Joan.

Jak na dany sygnał palmy raptownie zniknęły, zastąpione zwielokrotnionym wizerunkiem byłej żony Roda, zupełnie jakby maczał w tym palce Andy Warhol, wyczarowując dzieło na wzór jedwabnego portretu Marilyn Monroe. Joan. Bonnie powtórzyła to imię, starając się rozwlec je, dzieląc na sylaby z nadzieją, że stanie się przez to śpiewniejsze i łatwiej będzie je znieść. Jooan. Jooan. Nie zadziało. Imię „Joan” pozostało w jej ustach niezmiennie, odporne na wszelkie zabiegi, zadziorne i nie do wyciszenia - zupełnie jak jego właścicielka.

Była nią wysoka, postawna kobieta, około stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu, z dużymi brązowymi oczami, które konsekwentnie nazywała czarnymi, płomiennorudymi włosami, które zwykła określać mianem tycjanowskich, oraz biustem o rozmiarach mogących zaspokoić gusty najwybredniejszych koneserów. Każda jej cecha naznaczona była przesadą, możliwe, że właśnie dzięki temu tak dobrze wiodło jej się w roli agenta nieruchomości.

Co tym razem wymyśliła Joan? I po co to całe przedstawienie? Cóż może być tak skomplikowanego, by nie dało się tego powiedzieć przez telefon? Jakże znowu niebezpieczeństwo?

Rod zakręcił prysznic i w mieszkaniu nagle zapanowała cisza. Bonnie wzdrygnęła się. Trzeba będzie to wyjaśnić, postanowiła, możliwie jak najszybciej.

Była dokładnie dwunasta trzydzieści osiem, kiedy Bonnie skręciła na podjazd domu oznaczonego tabliczką 430 Lombard Street - przy wjeździe na autostradę w Mass zdarzył się wypadek, toteż minęło pół godziny, zanim dotarła do tej części miasta - i zaparkowała tuż za czerwonym mercedesem Joan. Najwyraźniej Joan nieźle się powodzi, skonstatowała. Mimo zastoju na rynku nieruchomości ostatni okres musiała zaliczać do udanych. Ale w końcu Joan była mistrzynią w sztuce przetrwania. To tylko ludzie wokół niej tracili życie.

Ten dom nie powinien długo czekać na nabywcę, pomyślała, mrużąc oczy w ostrych, choć pozbawionych ciepła promieniach słońca. Minąwszy stojącą na trawniku tablicę informującą dużymi literami o dniu otwartym, wspięła się na ganek. Był to popularny w tej części Bostonu jednopiętrowy budynek o drewnianym szkielecie, niedawno pomalowany białą farbą. Czarne drzwi frontowe były lekko uchylone.

Bonnie zapukała nieśmiało i pchnęła je, otwierając szerzej. Teraz usłyszała dochodzące z głębi domu głosy. Mężczyzna i kobieta. Może Joan. A może nie. O ile mogła to ocenić, rozmawiający znajdowali się w trakcie ożywionej dyskusji. Ale nie wsłuchiwała się zbyt dokładnie, nie chciała podsłuchiwać. Nie wiedząc, co zrobić, zatrzymała się tuż za progiem i dyskretnie Pokaszując, odczekała kilka minut, aż tamci zorientują się, że już nie są w domu sami.

W tym czasie rozejrzała się trochę, wspomagając się jedną z wielu broszur, które Joan zostawiła obok otwartego rejestru gości na stojącej w foyer niskiej ławie. Zgodnie z treścią broszury powierzchnia mieszkalna wynosiła sto metrów kwadratowych, dom miał cztery sypialnie i piwnicę. Szerokie schody dzieliły parter na dwie równe części, z których jedną przeznaczono na salon, a drugą na jadalnię. Kuchnia i pokój dla domowników znajdowały się w głębi domu. Gdzieś pomiędzy nimi mieściła się toaleta.

Bonnie chrząknęła cicho, potem jeszcze raz znacznie głośniej. Jednakże głosy nie zamierzały umilknąć. Sprawdziwszy godzinę, zerknęła do salonu utrzymanego w kremowo-beżowej tonacji. Jak tak dalej pójdzie, spóźni się na wykład. Wysiłała szybko pamięć w poszukiwaniu tematu - zdaje się, że mowa będzie o sposobach adaptacji szkół do potrzeb współczesnej młodzieży. Ponownie zerknęła na zegarek i zdecydowanie tupnęła butem w drewnianą podłogę. To śmieszne. Całe to czekanie i zastanawianie się, czy przerywając rozmowę, nie zaprzepaści transakcji, było pozbawione sensu - w końcu Joan sama nalegała, by zjawiała się tutaj przed pierwszą, a było już prawie po czasie.

- Joan! - zawołała, wróciwszy do hallu, skąd skierowała się w stronę kuchni.

Jej okrzyk w niczym nie zakłócił dobiegającej z głębi domu rozmowy, jakby w ogóle go nie było. Idąc, dyszała oderwane fragmenty wypowiedzianych zdań:



- A zatem gdyby ów program zdrowotny został wprowadzony w życie...
- To te kurze mózdzki znowu podniosą podatek. Zdumiała się. Co tu się dzieje?

Dlaczego tych dwoje - a zwłaszcza Joan - zamiast o domu, rozprawia o programach zdrowotnych i podatkach?

- Myślę, że na tym skończymy naszą rozmowę - oznajmił nagle mężczyzna. - Odnoszę wrażenie, że nasza słuchaczka nie wie, o czym mówi i dyskutując z nią, czuję się, jakbym słuchał pewnego gatunku muzyki, którego nazwy nie wymienię. A jeśli już mowa o muzyce, to co powiecie o Nirvanie?

To było radio.

- Rany boskie! - jęknęła Bonnie. Pomyśleć, że traciła cenny czas, dyskretnie Pokasłując, podczas gdy jakiś arogancki bufon w radiu obsypywał inwektywami przypadkową słuchaczkę! I kto tu jest pomyłony? - zadała sobie pytanie, tracąc wreszcie cierpliwość i podnosząc głos tak, by przekrzyczeć nagłą eksplozję hałasu, kiedy na antenę wkroczyła Nirvana.

- Joan! - wrzasnęła, wchodząc do wabiącej żółto-białymi ścianami kuchni. Zobaczyła ją, ledwie przekroczyła próg. Siedziała za długim sosnowym stołem, jej duże czarne oczy były zamglone alkoholem, usta rozchylone, jakby zaraz spomiędzy nich miały popłynąć słowa.

Ale Joan milczała. I nie poruszała się. Nie drgnęła nawet wtedy, gdy Bonnie zbliżyła się i pomachała jej przed twarzą dłonią, nawet wtedy, gdy potrząsnęła ją za ramię.

- Joan, na litość boską...

Właściwie trudno powiedzieć, kiedy dokładnie zorientowała się, że Joan nie żyje. Być może wtedy, gdy na przodzie jej białej jedwabnej bluzki ujrzała podobny do dzieła malarza abstrakcjonisty jaskrawy rozprysk czerwieni. A może wtedy, gdy między jej piersiami ujrzała głęboki otwór, a na rękach poczuła krew, jeszcze ciepłą i gęstą jak syrop. A może tym, co ją ostatecznie przekonało, był zapach, rzeczywisty bądź wyimaginowany, który zniemacka utorował sobie drogę do jej nosa. Możliwe wreszcie, że tym, co uświadomiło jej grozę sytuacji, były własne przeraźliwe wrzaski, które zaskakująco współgrały z muzyką Nirvany.

Możliwe jednak, że przyczyniła się do tego kobieta, która stała w drzwiach, krzycząc razem z nią, kobieta z rękami pełnymi zakupów, stojąca jak sparaliżowana i przyciskająca kurczowo do boków pełne torby, jakby tylko one na całym świecie oferowały jej jeszcze jakieś wsparcie.

Bonnie podeszła do niej i nie bacząc, że tamta cofnęła się w przerażeniu, wyjęła jej z rąk bagaże.

- Nie rób mi krzywdy - poprosiła błagalnie przybyła. - Proszę, nie rób mi krzywdy.  
- Nikt nie chce cię skrzywdzić - zapewniła ją Bonnie spokojnie, kładąc torby na kuchennym blacie. Otoczyła drżącą kobietę ramieniem, drugą ręką sięgnęła po wiszący na ścianie telefon i sprawnie wybrała numer 911. Następnie podała adres z informacją, że prawdopodobnie zastrzelono kobietę. Uczyniwszy to, wyprowadziła wciąż dygoczącą właścicielkę domu do salonu, gdzie usiadła razem z nią na obitej brązową tkaniną sofie. Tam pochyliła się i resztę czasu do przybycia policji spędziła trzymając głowę między kolanami, aby uchronić się przed omdleniem.

## 2

Kiedy wreszcie się pojawili, wpadli przez frontowe drzwi gwałtownie niczym grom pośród burzy, spodziewany, a mimo to przerażający. Ich głosy wypełniły cały hall, ich ciała wlały się do salonu i zaroily niczym pszczoły w ulu. Kobieta siedząca obok Bonnie zerwała się na równe nogi, aby ich przywitać.

- Dzięki Bogu, że jesteście - zawołała płacząco.

- Czy to pani wezwała policję?

Nawet nie patrząc, Bonnie poczuła oskarżycielsko wycelowany w siebie palec tamtej, mając świadomość, że w jednej chwili oczy wszystkich obecnych w pokoju skierowały się na nią. Niechętnie odpowiedziała im spojrzeniem, choć początkowo nie była w stanie dostrzec niczego poza płomiennorudymi, tycjanowskimi włosami Joan, piętrzącymi się dziko wokół jej poszarzałej twarzy, jej lekko uchylonych ust, pociągniętych markową fluoryzującą szminką w kolorze pomarańczowym, i zaciągniętych bielmem śmierci czarnych oczu.

- Kto został zastrzelony? - padło czyjeś pytanie.

Kobieta ponownie posłużyła się palcem, tym razem celując w stronę kuchni.

- Moja agentka z agencji nieruchomości Ellen Marx.

Dwie osoby z personelu medycznego, anonimowe w swoich białych uniformach, natychmiast udały się w głąb domu. Pewnie załoga karetki, domyśliła się Bonnie, czując dziwny dystans do otaczających ją zdarzeń; dystans, który pozwolił jej rejestrować wszystko w najdrobniejszych szczegółach. W budynku znajdowało się co najmniej sześć nowych osób: dwóch sanitariuszy, dwóch umundurowanych oficerów policji, młoda kobieta albo raczej dziewczyna, której sposób bycia zdradzał, że jest oficerem policji oraz wielki facet koło czterdziestki, o niezdrowej cerze i wylewającym się z nad paska wielkim brzuszysku. Ten ostatni najwyraźniej był tutaj szefem, gdyż podążył do kuchni w ślad za sanitariuszami.

- Nie żyje - oświadczył po powrocie. Nosił sportową marynarkę w biało-czarną kratę oraz gładki czerwony krawat. Bonnie zauważyła kołyszącą się u jego pasa parę kajdanek. - Zawiadomiłem lekarza sądowego, wkrótce tutaj będzie.

Lekarza sądowego, powtórzyła w myślach Bonnie, dziwiąc się, skąd w ustach tego człowieka takie cudaczne, niespotykane poza kryminałami określenia.

- Jestem kapitan Mahoney, a to detektyw Kritzic - wskazał ruchem głowy stojącą po swej prawej stronie młodą kobietę. - Czy któraś z pań zechciałaby powiedzieć nam, co się tutaj działo?

- Wróciłam do domu... - usłyszała Bonnie głos swojej towarzyszk.

- Czy pani jest właścicielką posesji? - przerwała jej detektyw Kritzic.

- Tak. Wystawiłam ją na sprzedaż...

- Nazwisko, proszę.

- Słucham? Ach, Margaret Palmay.

Bonnie przyglądała się tępo, jak młoda kobieta zapisuje tę informację w notatniku.

- A pani nazywa się...?

Dobrą chwilę trwało, zanim Bonnie uświadomiła sobie, że pytanie policjantki skierowane było do niej.

- Bonnie Wheeler - wyjąkała. - Chciałabym zadzwonić do męża.

Zdziwiła się, słysząc wypowiedziane przez siebie słowa. Nie zdawała sobie sprawy, że o tym myśli.

- Za parę minut - odparł kapitan Mahoney. - Najpierw chcielibyśmy zadać pani kilka pytań.

Skinęła posłusznie głową, rozumiejąc, że trzeba ustalić jakiś porządek. Wkrótce zaczną przecież napływać tutaj ludzie, będą rozstawiać wszędzie dziwne instrumenty, rozsypywać proszki, mierzyć i wykonywać jakieś testy, przyniosą kamery wideo i zielone worki, w które zapakują zwłoki, a cały teren otoczą kilometrami żółtej taśmy z napisem: „Miejsce zbrodni. Nie wchodzić”. Znała na pamięć rutynowe czynności policji. Dostatecznie często oglądała je w telewizji.

- Pani Palmay, proszę kontynuować - poprosiła uprzejmie detektyw Kritzic. - Mówiła pani, że wystawiła ten dom na sprzedaż...

- Tak, pod koniec marca. To był nasz pierwszy dzień otwarty. Agentka miała wyjść przed pierwszą.

- Zatem nie wie pani, ilu ludzi przewinęło się przez ten dom od rana - raczej stwierdził, niż zapytał kapitan Mahoney.

- W hallu wyłożona jest księga gości - pośpieszyła z informacją Bonnie, wspomniawszy leżący na stoliku obok stosu broszur rejestr zwiedzających.

Prowadzący śledztwo wymienili milczące skinienia głową i detektyw Kritzic, której włosy, jak dopiero teraz zauważyła Bonnie, miały niemal ten sam odcień czerwieni co włosy Joan, zniknęła, by po kilku sekundach wrócić z książką. Po kolejnej milczącej wymianie sygnałów policjanci kontynuowali:

- A więc wróciła pani do domu i...?

- Wiedziałam, że agentka jeszcze nie wyszła - powiedziała Margaret Palmay - bo na podjeździe stał jej mercedes. Wiedziałam też, że nie jest sama, ponieważ za jej samochodem stał jeszcze jeden wóz. Musiałam zaparkować na ulicy. Zaczekałabym, póki nie wyjdą, ale miałam torby pełne zakupów, w dodatku niektóre rzeczy trzeba było jak najszybciej włożyć do zamrażalnika - zamilkła, jak gdyby nagle poczuła w głowie pustkę, co zapewne istotnie miało miejsce.

Była to niebrzydka kobieta, dość niska, przyjemnie zaokrąglona, o wijących się miękko wokół uszu jasnych kędziorach, błękitnych oczach i arystokratycznie wąskim prostym nosie. Mimo znamionujących delikatną naturę drobnych ust jej głos był czysty i mocny.

- Co się stało, kiedy weszła pani do domu?

- Poszłam prosto do kuchni, a tam zobaczyłam tę kobietę - z rękawa płaszcza z wielbłądziej wełny ponownie wychylił się palec, oskarżycielsko wycelowany w Bonnie.

- Stała nad Joan. Na rękach miała krew.

Spojrzenie Bonnie natychmiast pomknęło ku dłoniom, coś zdławiło ją w gardle, kiedy ujrzała pokrywającą palce ciemnoczerwoną mozaikę lepkich plam. Takie rączki miewają dzieci po zabawie z farbami, tyle że to nie była farba - jej dłonie oblepiała krew.

Uświadomiwszy sobie to, poczuła, jak przez jej ciało, niby przez słomkę, spływa fala gorąca, od głowy aż do stóp, a wraz z nią w podłogę salonu wsiąka cała energia. Świat zawirował wokół niej, zrobiło jej się słabo.

- Czy nie będzie wam przeszkadzało, jeśli zdejmę płaszczy? - wtrąciła i nie czekając na odpowiedź, wysunęła ręce z rękawów, uważając, by zakrwawionymi palcami nie musnąć gładkiej jedwabnej podszewki.

- Kto to jest Joan? - zapytał kapitan Mahoney, marszcząc brwi.

- To właśnie ofiara - odparła Margaret Palmay, nie zauważając, jak sztucznie brzmią te słowa w jej ustach.

A on myślał, że o kim mowa? - zdumiała się w duchu Bonnie.

Kapitan Mahoney sprawdził swoje notatki.

- Wydawało mi się, że podała pani nazwisko Ellen Marx.  
- Nie, Ellen Marx to nazwa agencji nieruchomości, w której pracuje... pracowała Joan  
- wyjaśniła cierpliwie Margaret Palmay. - Nazwisko ofiary brzmi Joan Wheeler.

- Wheeler?

Czerń martwych oczu stała się jeszcze bardziej przepastna; spojrzenia wszystkich obecnych po raz kolejny spoczęły na Bonnie.

- Wheeler - powtórzył Mahoney, a jego zwężone źrenice nie tyle patrzyły, ile brały ją na cel. - Jakaś pani krewna?

Krewna? - zastanowiła się Bonnie. Czy eksmałzonka mojego męża to krewna?

- Była żona mojego męża - wyjaśniła.

Zapanowało milczenie. Niemal czuło się przenikający pomieszczenie subtelny prąd. Bonnie zauważyła, iż atmosfera w salonie uległa drobnej, acz istotnej zmianie.

- No dobrze, wróćmy jeszcze na moment do pani

- odezwał się po chwili kapitan Mahoney i odchrząknąwszy, zwrócił się do Margaret Palmay: - Powiedziała pani, że po wejściu do kuchni zastała panią Wheeler stojącą nad ofiarą, a na jej rękach była krew. Czy widziała pani broń?

- Nie.

- Co było potem?

- Zaczęłam krzyczeć. Wydaje mi się, że ona również krzyczała, choć nie jestem tego pewna. Zobaczyła mnie i zaczęła iść w moim kierunku. Przeraziłam się, ale tylko wyjęła mi z rąk zakupy i zadzwoniła na policję.

Kapitan Mahoney zwrócił się teraz w stronę Bonnie z pytaniem:

- Czy zgadza się pani z zeznaniem pani Palmay? Odpowiedziało mu milczenie.

- Pani Wheeler, czy coś z tego, co mówiła pani Palmay, jest niezgodne z prawdą?

Bonnie przecząco potrząsnęła głową. Relacja właścicielki domu brzmiała wystarczająco jasno.

- A co panią tutaj sprowadziło, jeśli wolno spytać?

O, to może być nieco trudniejsze do wyjaśnienia, pomyślała. Ciekawa była, czy tak właśnie czuł się jej brat, kiedy po raz pierwszy przesłuchiwała go policja, czy również był taki zdenerwowany, czy jak ona czuł się doszczętnie rozbity? Aczkolwiek z czasem, pomyślała, musiał się do tego przyzwycząić. Potrząsnęła głową, by odpędzić niepokojące myśli. Brat był ostatnią osobą, o której chciała w tej chwili pamiętać.

- Joan zadzwoniła do mnie dziś rano - zaczęła - prosząc, żebym się tutaj z nią spotkała.

- Rozumiem, że nie jest pani zainteresowana kupnem domu.

Bonnie wzięła głęboki oddech.

- Joan chciała mi coś powiedzieć, ale uparła się, że nie może mówić przez telefon - i nie czekając na reakcję funkcjonariusza, dodała: - Wiem, to brzmi jak tekst z filmu sensacyjnego.

- Istotnie - zgodził się policjant. - Czy z ofiarą łączyły panią przyjacielskie stosunki?

- Nie - odparła po prostu.

- Czy taki telefon z prośbą o spotkanie i rozmowę był z jej strony czymś niezwykłym?

- I tak, i nie - odpowiedziała Bonnie, kontynuując dopiero wobec wyraźnie rysującego się na twarzy kapitana ponaglenia. - Joan miała problemy z piciem. Czasami po kilku drinkach zdarzało jej się zadzwonić.

- Domyślam się, że nie była pani z tego powodu zbyt szczęśliwa - skwitował Mahoney, krzywiąc twarz w grymasie, który zapewne miał być uśmiechem zrozumienia.

Bonnie wzruszyła ramionami, niepewna, co na to odpowiedzieć.

- Czy mogłabym teraz zadzwonić do męża? - ponowiła swoje pytanie.

- A jak mąż przyjął pomysł tego spotkania? - zainteresował się kapitan Mahoney, traktując jej pytanie jako trampolinę dla dalszych indagacji.

Bonnie zwlekała z odpowiedzią.

- Mąż o niczym nie wie - powiedziała wreszcie.

- Nie wie?

- Joan poprosiła, żebym mu nic nie mówiła - wyjaśniła bez przekonania Bonnie.

- Czy powiedziała dlaczego?

- Nie.

- Czy zawsze robiła pani to, o co poprosiła eks-małżonka pani męża?

- Oczywiście, że nie!

- Więc dlaczego właśnie dzisiaj?

- Nie jestem pewna, czy dobrze pana rozumiem.

- Dlaczego zgodziła się pani na to spotkanie? Dlaczego nie powiedziała pani o tym mężowi?

Bonnie otworzyła usta i uniosła do nich zaciśniętą pięść, ale szybko cofnęła ją, czując na języku smak krwi. Krwi Joan, zdała sobie sprawę, tracąc ochotę na używanie pięści w roli knebla.

- Joan powiedziała mi coś dziwnego.

- To znaczy? - kapitan Mahoney zrobił parę kroków w jej stronę i z uniesionym nad kartką długopisem czekał, gotów zapisać odpowiedź.

- Powiedziała, że grozi mi niebezpieczeństwo.

- Powiedziała, że pani grozi niebezpieczeństwo?

- Tak, mnie i mojej córce.

- A wyjaśniła dlaczego? - chciał wiedzieć Mahoney.

- Powiedziała, że to zbyt skomplikowane na rozmowę przez telefon.

- Zatem nie miała pani pojęcia, o co chodzi?

- Najmniejszego.

- I zgodziła się pani na spotkanie. Bonnie przytaknęła.

- O której pani się tutaj zjawiała?

- O dwunastej trzydzieści osiem - odparła. Kapitan Mahoney wyglądał na zaskoczonego taką dokładnością.

- Zegar w moim samochodzie ma wyświetlacz cyfrowy - powiedziała Bonnie i nagle z całą ostrością dotarł do niej absurd tych słów. Zachichotała, obserwując, jak na twarzach obecnych zaciekawienie ustępuje miejsca zaskoczeniu. Na miłość boską, w tym domu jest martwa kobieta! Zamordowana. I to nie jakaś przypadkowa, ale była żona jej męża. A ją samą zastano stojącą nad zwłokami z zakrwawionymi rękoma. Doprawdy, nie ma w tym nic śmiesznego. Bonnie ponownie parsknęła śmiechem, tym razem nieco głośniej.

- I cóż panią tak rozbawiło? - nie kryjąc sarkazmu, zapytał kapitan Mahoney.

- Nic - zapewniła, tłumiąc wzbierający w gardle kolejny atak śmiechu, przez co jej głos zabrzmiał, jakby wydała go z siebie zepsuta katarynka. - Zupełnie nic. Podejrzewam, że to nerwowe, przepraszam.

- Czy jest jakiś powód, dla którego się pani denerwuje?

- Nie rozumiem.

Detektyw Kritzic zrobiła krok naprzód i przysiadła na sofie obok Bonnie.

- Pani Wheeler, może jest coś, o czym chciałaby nam pani powiedzieć? - w jej głosie zabrzmiały kontrastujące z młodym wyglądem matczyne tony.

- Chciałabym zadzwonić do męża - kolejny raz oświadczyła Bonnie.

- Skończmy najpierw tę rozmowę, dobrze? - głos detektywa Kritzic odzyskał swój pierwotny tembr, wszelkie ślady matczynej pobłażliwości zniknęły.

Bonnie wzruszyła ramionami. Czy ma jakiś wybór?

- Przyjechała pani o dwunastej trzydzieści osiem - podsunął kapitan Mahoney i zawiesił głos w oczekiwaniu na ciąg dalszy.

- Drzwi były otwarte, więc weszłam do środka - podjęła Bonnie, jeszcze raz przeżywając zdarzenia, które doprowadziły ją do punktu, w którym teraz się znajdowała.

- Usłyszałam dochodzące z głębi domu odgłosy rozmowy, nie chciałam przeszkadzać, więc zaczekałam parę minut, a potem udałam się do kuchni.

- Czy zauważyła pani kogoś?

- Tylko Joan. Poza nią nie było nikogo. Głosy, które słyszałam, dochodziły z radia.

- A co było potem?

- Potem... - Bonnie zawahała się. - W pierwszej chwili myślałam, że jest nieprzytomna. Siedziała przy stole i patrzyła na mnie tym swoim pustym wzrokiem. Po-  
deszłam do niej i nie wiem... chyba jej dotknęłam. - Bonnie zapatrzyła się na swoje poplamione krwią palce. - Musiałam jej dotknąć. - Przelknęła ślinę, czując, jak drażni jej gardło. - Wtedy zdałam sobie sprawę, że Joan nie żyje. A potem były te wszystkie krzyki. Moje, jej... - spojrzała w stronę Margaret Palmay. - Wezwałam policję.

- W jaki sposób zorientowała się pani, że ofiara została zastrzelona?

- Słucham?

- Powiedziała pani dyżurnej, że zastrzelono kobietę.

- Tak powiedziałam?

- Pani Wheeler, mamy to nagrane.

- Nie wiem, skąd to wiedziałam - powiedziała szczerze. - Na przodzie bluzki była dziura. Prawdopodobnie domyśliłam się.

- Czy ktoś widział, jak pani przyjechała?

- Nikt, o kim bym wiedziała - odparła. Dlaczego pytają ją o takie rzeczy?

- Co pani robi na co dzień?

- Co robię?

- Jaki jest pani zawód?

- Jestem nauczycielką - odparła Bonnie, zastanawiając się, co to ma do rzeczy.

- W Newton?

- W Weston.

- Co to za szkoła?

- Szkoła średnia, Weston Heights Secondary School. Uczę tam angielskiego.

- O której wyszła pani z pracy?

- Dzisiaj nie prowadziłam lekcji. Miałam doskonalenie zawodowe - wyjaśniła (dzień TZ, jak nazwała go Joan). - Byłam na sympozjum w Bostonie. Wyszłam tuż przed dwunastą.



- I przejazd z Bostonu do Newton zajął pani ponad czterdzieści minut? - zapytał sceptycznie Mahoney.

- Zostałam zatrzymana - wyjaśniła - ponieważ przy wjeździe na autostradę zdarzył się wypadek.

- Czy ktoś widział, jak pani wychodziła?

- Czy ktoś mnie widział? Nie mam pojęcia. Staralam się zrobić to jak najciszej. A dlaczego pan pyta? - zagadnęła zniecierpliwiona. - Dlaczego zadaje mi pan te wszystkie pytania?

- Zatem twierdzi pani, że kiedy weszła do kuchni, Joan Wheeler była martwa - zignorował jej pytanie Mahoney.

- Oczywiście, że tak twierdzą. A cóż innego mogłabym powiedzieć? - Bonnie zerwała się na równe nogi. - O co tutaj chodzi? Czy jestem podejrzana?

Jasne, że tak, zdała sobie sprawę. Trudno, żeby było inaczej. Właścicielka domu przyłapała ją nad ofiarą, jej ręce były unurzane we krwi. Na Boga, czyż trzeba czegoś więcej? Oczywiście, że jest podejrzana.

- Nie otrzymałam odpowiedzi - nalegała. - Czy jestem podejrzana?

- Po prostu próbujemy wyjaśnić, co się tutaj stało - chłodno odpowiedziała detektyw Kritzic.

- Chcę zadzwonić do męża - oświadczyła Bonnie.

- A może zadzwoni pani do niego z komisariatu?

- Kapitan Mahoney zamknął swój notes i luźno zwiesił ręce wzdłuż boków.

- Czy jestem aresztowana? - usłyszała Bonnie swój głos, odnosząc wrażenie, że to mówi ktoś inny. Może znowu radio?

- Myślę, że na komisariacie będzie nam wygodniej

- brzmiała kolejna wymijająca odpowiedź.

- W takim razie - rzekła Bonnie, słysząc pobrzmiewające w swoich słowach echo głosu brata - lepiej będzie, jeśli zadzwonię po mojego adwokata.

### 3

- Gdzieś ty była? - spytała Bonnie, nie czyniąc żadnego wysiłku, by ukryć swoje rozczarowanie. - Pół dnia próbowałam cię złapać.

Diana Perrin spojrzała na nią zdziwiona.

- Miałam spotkania z klientami - wyjaśniła spokojnie. - Skąd mogłam wiedzieć, że najbliższa przyjaciółka dała się zawieźć na posterunek policji i przesłuchać w sprawie morderstwa?

- Oni myślą, że zamordowałam byłą żonę Roda!

- To prawda, ja również mam takie wrażenie - zgodziła się Diana. - Coś ty im, do diabła, nagadała?

- Po prostu odpowiadałam na pytania.

- Po prostu odpowiadałaś na pytania - przedrzeźniła przyjaciółka, potrząsając głową. Bonnie zauważyła, że jej długie ciemne włosy zostały zgrabnie upięte z tyłu głowy w elegancki służbowy kokczek. - Ile razy słyszałaś ode mnie, że nie rozmawia się z policją bez adwokata?

- Rany boskie, jak mogłam z nimi nie rozmawiać? Znalazłam ciało Joan!

- To tym bardziej. - Diana westchnęła głęboko i opadła na krzesło stojące przy stole.

Siedziały po przeciwnych stronach długiego stołu z jasnego orzecha lub ciemnego dębu, pośrodku małego, jasno oświetlonego i skąpo umeblowanego pomieszczenia, w którym podłogę stanowiło zdarte od wieloletniego szurania butami linoleum, ściany zaś pokrywała domagająca się odnowienia warstwa farby w typowym dla urzędów odcieniu zieleni. Wpuszczone w sufit świetlówki odbierały twarzom kolory; ściany odstraszały nagością; proste, drewniane krzesła były twarde i niewygodne, najwyraźniej tak pomyślane, by użytkownik nie chciał spędzić na nich więcej czasu niż to konieczne. Jedna ze ścian była przeszklona, dając możliwość podziwiania wnętrza niedużego podmiejskiego komisariatu. Niewiele się tu działo. Kilkoro ludzi, kobiet i mężczyzn, pracowało przy swoich biurkach, od czasu do czasu rzucając spojrzenia w stronę Bonnie. Już od ponad pół godziny nigdzie nie było widać kapitana Mahoneya ani detektywa Kritzic.

- A zatem, co dokładnie im powiedziałaś?

Bonnie po raz kolejny wyrecytowała litanię zdarzeń, które miały miejsce od samego rana, uważnie śledząc przy tym wyrazistą twarz Diany w oczekiwaniu na przebłysk jakichś emocji. Ta jednak zawiesiła spojrzenie swoich chłodnych błękitnych oczu na ustach mówiącej i słuchała jej z twarzą nieruchomą jak posąg. Diana jest naprawdę piękna, pomyślała Bonnie, zdając sobie sprawę, jak wiele pracy kosztowało przyjaciółkę zamaskowanie tej urody, przynajmniej na czas przebywania w pracy, przez stosowanie oszczędnego makijażu, surowych w kroju kostiumów, w rodzaju tego musztardowego, który właśnie miała na sobie, i praktycznych butów na niskich obcasach. Nic jednak nie było w stanie ukryć faktu, że Diana Perrin, lat trzydzieści dwa, dwukrotnie rozwiedziona, jest kobietą z klasą.

- Dlaczego tak mi się przyglądasz? - zapytała Diana, nieoczekiwanie uświadomiwszy sobie badawcze spojrzenie Bonnie.

- Cudownie dzisiaj wyglądasz.

- Cholera - mruknęła Diana. - Zdaje się, że wiem, co mieli na myśli ci gliniarze, mówiąc, że niektóre z twoich reakcji są co najmniej niestosowne.

- Czy zostanę aresztowana?

- Wątpię. Nie mają dość dowodów, żeby postawić cię w stan oskarżenia, a ponieważ powołalibyśmy się na *casus* Mirandy, nie mogą użyć przeciw tobie żadnego z twoich zeznań.

- *Casus* Mirandy?

- Nie odczytali ci twoich praw.

Najpierw żargon policyjny, teraz prawniczy, a ja sądziłam, że język angielski nie ma już dla mnie tajemnic, pomyślała Bonnie.

- Czy naprawdę coś z tego, co powiedziałam, mogłoby mi zaszkodzić?

- Moja praktyka obejmuje przede wszystkim prawo cywilne, prowadzę sprawy administracyjno-gospodarcze, a to oznacza, że od ukończenia studiów praktycznie nie miałam kontaktu z prawem karnym, lecz nawet ja potrafię od ręki wskazać obciążające cię poszlaki. Ofiara była eksmałżonką twojego męża; zgodziłaś się na spotkanie, mimo że byłaś z nią w nie najlepszych stosunkach, w dodatku nie powiedziałaś o tym mężowi; wysliznęłaś się z wykładu, nie mówiąc nikomu, dokąd i po co się udajesz; twierdzisz, że w czasie gdy popełniono morderstwo, tkwiłaś w swoim samochodzie...

- Przy wjeździe na autostradę był wypadek. Mogą to sprawdzić...

- I sprawdzą, zapewniam cię. Podobnie jak rejestr twoich rozmów telefonicznych, szkołę, w której uczysz, symposium, na którym twierdzisz, że byłaś...

- Ależ oczywiście, że byłam! Od samego rana.

- ...licznik kilometrów w twoim samochodzie, sąsiadów Margaret Palmay, treść twojego zgłoszenia na policję.

- A motyw? Przecież, żeby zabić Joan, musiałabym mieć jakiś motyw!

Diana uniosła dłoń i rozczapierzywszy długie, smukłe palce, jeden po drugim wyliczała możliwe powody:

- Po pierwsze, była poprzednią żoną twojego męża, znam takich, którzy już ten jeden fakt uznaliby za wystarczający motyw popełnienia morderstwa. Po drugie, naprzykrzała się wam. Po trzecie, była dla was obciążeniem finansowym.

- To niepoważne. Naprawdę sądzą, że mogłabym zabić ją dla tych paru groszy alimentów?

- Byli tacy, którzy zabijali z bardziej błahych powodów.  
- Rany boskie, Diana, ja jej nie zabiłam. Przecież wiesz.  
- Oczywiście, że wiem. - Nagle Diana gwałtownie poprawiła się na krześle, jak gdyby uświadamiając sobie, że pominęła coś bardzo istotnego. - A gdzie Rod? Wie, co się stało?

- Nie. Nie mogłam go złapać, jeszcze dwadzieścia minut temu nie było go w pracy. Nie masz pojęcia, jakie to było dla mnie straszne. Nikogo nie mogłam znaleźć. Ty byłaś na jakichś spotkaniach, Rod na lunchu. Jediną osobą, do której zdołałam się dodzwonić, była Pam Goldenberg.

- Kto?

- Nasze córki są w tej samej grupie przedszkolnej. Na zmianę odwozimy je do domów. Spytałam, czy nie mogłaby zatrzymać Amandy u siebie, póki mnie stąd nie wypuszczą.

- Dobry pomysł.

- Przynajmniej jeden.

Diana sięgnęła przez stół, ujmując dłoń przyjaciółki.

- Nie oceniaj siebie zbyt surowo, Bonnie. Nie co dzień potykasz się o martwe ciało byłej żony swego męża. - Puściła jej dłoń i odchyliła się na oparcie krzesła, a jej spojrzenie poszybowało pod sufit. - Jak twoim zdaniem przyjmie to Rod?

Bonnie wzruszyła ramionami, prostując plecy obolałe od twardego drewna.

- Myślę, że przeżyje szok, ale szybko dojdzie do siebie. To o Sama i Lauren się martwię. Nie wiem, jak zniosą wiadomość, że ich matka została zamordowana. Jakie piętno to na nich odcisnie?

- Czy to znaczy, że przeprowadzą się do ciebie? - nieśmiało zapytała Diana.

Bonnie milczała chwilę.

- A czy jest jakieś inne wyjście? - powiedziała.

Zamknęła oczy, przywołując w pamięci twarze dwojga nastoletnich dzieci Roda. Sam, szesnastoletni uczeń Weston Heights, wysoki i przeraźliwie chudy, z sięgającymi ramion świeżo ufarbowanymi na czarno włosami i cienkim złotym kolczykiem w lewym nozdrzu, oraz Lauren, czternastolatka, słaba uczennica, mimo uczęszczania do najlepszej w Newton prywatnej szkoły dla dziewcząt, o figurze modelki, oczach łani, długich i bujnych rudych włosach po matce oraz jej pełnych, zmysłowych ustach.

- Oni mnie nienawidzą - wymamrotała Bonnie.

- To nieprawda.

- Tak, nienawidzą. I prawie nie znają swojej przyrodniej siostry.

Diana spojrzała przez przeszkloną ścianę.

- Idzie Rod - zauważyła.

- Dzięki Bogu! - zawołała Bonnie, podrywając się na nogi. Za szybą młoda kobieta w pomarszczonym niebieskim mundurze wskazywała drogę do ich pokoju przystojnemu mężczyźnie, jej mężowi. Bonnie zrobiła parę kroków w stronę zamkniętych drzwi, wyciągnęła rękę do klamki i zamarła.

- Powiedz, że to, co widzę, nie dzieje się naprawdę - powiedziała słabo Diana, wypowiadając na głos myśli ich obu.

- Nie do wiary.

- Co ona tu robi?

Drzwi się otworzyły. Rod wszedł do środka, lecz idącą za nim kobietę zatrzymał młody mężczyzna, który podsunął jej coś do podpisania. Przestrzeń wokół nich natychmiast zaczęła wypełniać się ludźmi, w powietrzu krzyżowały się wypowiedane podnieconym tonem pytania:

- Czy to nie Marla Brenzelle?

- To naprawdę Marla Brenzelle?

Marla Brenzelle, niech skonam, pomyślała Bonnie. Znała ją jeszcze ze szkoły średniej, kiedy Marla Brenzelle była zwykłą Marleną Brenzel, na długo przed tym, jak chirurdzy plastyczni wyczarowali dla niej kształtny nos i nową parę piersi, zanim poprawili jej zgryz, maskując wystające zęby, zlikwidowali brzuch i odessali tkankę tłuszczową z ud. Znała ją, zanim stała się blondynką. Znała ją w czasach, gdy jej jedynymi słuchaczami byli nieszczęśnicy zapędzani w kąt szkolnego korytarza, zanim jej tatuś kupił stację telewizyjną i uczynił ją gwiazdą, gospodynią własnego talk show.

Jedynym organem Marleny Brenzel, który wraz z upływem lat nie uległ zmianie, jest jej mózg, pomyślała Bonnie. Nadal nie istnieje.

- Rod, jak dobrze, że jesteś.

- Przyjechałem najszybciej, jak się dało. Marla uparła się, że mnie podwiezie. - Rod otoczył Bonnie ramionami.

- Co się tutaj dzieje?

- Nic ci nie powiedzieli? - zapytała Diana.

- Nikt mi nic nie powiedział. - Rod odwrócił się w stronę Diany, wyraźnie zaskoczony jej obecnością. - A co ty tutaj robisz?

- Zadzwoiłam po nią, kiedy ciebie nie mogłam złapać - wyjaśniła Bonnie.

- Nie rozumiem.

- Może powinieneś najpierw usiąść - zaproponowała Diana.
- O co chodzi?
- Joan nie żyje - cichym głosem powiadomiła go Bonnie.
- Co?! - Rod zacisnął dłoń na oparciu krzesła.
- Została zamordowana.

Jego naturalnie blada cera stała się jeszcze bledsza.

- Zamordowana! To niemożliwe. Jak... Kto...?
- Wyglądało to na postrzał. Nie wiadomo, kto jest sprawcą.

Dobrą chwilę trwało, zanim do Roda dotarło znaczenie jej słów.

- Dlaczego mówisz, że wyglądało to na postrzał? Skąd możesz wiedzieć, jak to wyglądało?

- Ponieważ tam byłam - odparła Bonnie. - To ja znalazłam ciało.
- Jak to znalazłaś? Nic z tego nie rozumiem!

Konsternacja w głosie Roda stała się tak wyraźna, że przykuła uwagę byłej Marleny Brenzel, która przerwała w połowie autografu i kołysząc biodrami, popłynęła w ich kierunku.

- Nie chcę jej tutaj - oświadczyła Bonnie.

Rod skinął głową i szybko wyszedł z pokoju, akurat w porę, by chwyciwszy Marłę za ramię, powstrzymać ją przed przekroczeniem progu. Nachyliwszy się, szeptał jej coś wprost do ucha.

Bonnie widziała, jak oczy kobiety wypełniają się zdumieniem, chociaż na jej twarzy nie drgnął nawet jeden mięsień. Pewnie żaden nie mógł, pomyślała.

- Jest tak naszpikowana chirurgią plastyczną, że można by ją pomylić z pikowaną kołderką - mruknęła Diana, jakby czytając w myślach przyjaciółki. - Popatrz na jej brode, gotowa kogoś pokaleczyć tymi kantami.

Bonnie musiała przygryźć dolną wargę, żeby nie parsknąć śmiechem, lecz chichot sam zamarł jej w gardle z chwilą, gdy do pokoju ponownie wszedł Rod. Pierwsze siwe włosy pojawiły się na jego głowie jeszcze przed trzydziestką. Paradoksalnie to właśnie one powodowały, że wyglądał teraz młodziej niż na swoje czterdzieści jeden lat, gdyż w interesujący sposób podkreślały głęboki brąz jego oczu, a nieco zbyt ostrym konturom twarzy - długiemu nosowi i kwadratowej szczęce - nadawały pożądaną miękkość.

- Dzieci już wiedzą? - zapytał.
- Jeszcze nie. - Bonnie zbliżyła się do niego, wsuwając mu rękę pod ramię.
- Co ja im powiem?

- Może ja będę mógł pomóc - rzekł kapitan Mahoney, wychodząc z tłumu wielbicieli otaczającego Marłę Brenzelle.

- Kapitan Randall Mahoney z biura detektywistycznego - przedstawił się i zamknął za sobą drzwi. - To ja i detektyw Kritzic sprowadziliśmy pańską żonę na komisariat.

- Więc proszę mi powiedzieć dokładnie i po kolei, co tu się właściwie dzieje.

Podczas gdy kapitan referował Rodowi przebieg wydarzeń, Bonnie obserwowała zmiany zachodzące w mężu: kiedy usłyszał potwierdzenie, iż była żona rzeczywiście została zastrzelona, jego szerokie ramiona opadły i przygarbiły się; na wieść o tym, że rano, nic mu nie mówiąc, Bonnie umówiła się z Joan na spotkanie, jego duże ręce zwiły bezwładnie wzdłuż boków; a kiedy słuchał o tym, jak Bonnie wezwała policję, po czym odmówiła współpracy, póki nie zjawi się jej adwokat, jego głowa miarowo obracała się w prawo i w lewo, jak gdyby wszystkiemu zaprzeczał.

- Po kiego diabła ją tu sprowadziłaś? - szepnął, nie próbując nawet ukryć swojej głębokiej niechęci do Diany.

- Nie ma pojęcia o prawie karnym, zna się tylko na cholernym prawie pracy.

- Ponieważ nie mogłam złapać ciebie, a nie miałam pojęcia, do kogo jeszcze mogłabym zadzwonić.

Rod ponownie zwrócił się do kapitana Mahoneya:

- Oczywiście nie podejrzewacie o to mojej żony - bardziej stwierdził, niż zapytał.

- Usiłujemy tylko zebrać tak dużo informacji, jak to możliwe na tym etapie śledztwa - zapewnił go policjant.

Bonnie usłyszała w jego głosie subtelne ślady konspiracji, jakby mówił: Obaj jesteśmy mężczyznami, dobrze wiemy, co tu jest grane. Nie pozwolimy, żeby emocje wzięły nad nami górę. Może teraz, kiedy pan przyszedł, wreszcie zrobimy jakieś postępy.

- Mógłbym zadać panu parę pytań? - kontynuował Mahoney, gdy otworzyły się drzwi i do pokoju wśliznęła się czerwona z wrażenia detektyw Kritzic.

- Tam na zewnątrz jest prawdziwy tłum - wymamrotała, wyraźnie poruszona zetknięciem z telewizyjną znakomitością.

- Panie Wheeler, to detektyw Natalie Kritzic.

Detektyw Kritzic skinęła głową, przytomnie chowając za plecami opatrzone autografem zdjęcie Marli Brenzelle.

- Rozumiem, że pan jest jej reżyserem - rzekła.

- Uwielbiam wasz program.

Jestem w poważnych tarapatach, przemknęło przez głowę Bonnie. Cały świat jest w poważnych tarapatach.

Rod skinął głową, łaskawie przyjmując do wiadomości komplement pani Kritzic.

- Jeśli jest coś, w czym mógłbym wam pomóc, z przyjemnością...
- Czy Joan Wheeler była pana żoną? - brzmiało pytanie kapitana Mahoneya.
- Tak.
- Wolno spytać, jak długo byliście małżeństwem?
- Dziewięć lat.
- A kiedy się rozwiedliście?
- Siedem lat temu.
- Macie dzieci?
- Dwoje, dziewczynkę i chłopca. - Rod spojrzął na Bonnie w poszukiwaniu pomocy.
- Sam ma szesnaście lat, a Lauren czternaście - dopowiedziała.

Rod przytaknął. Wszyscy przyglądali się, jak Mahoney pośpiesznie zapisuje tę informację w swoim notatniku.

- Czy pańska była żona miała jakichś wrogów? Rod wzruszył ramionami.
- Panie kapitanie, moja eksmałżonka nie miała miłego usposobienia. Nie otaczało jej grono przyjaciół. Ale co do wrogów... Trudno mi powiedzieć coś na ten temat.
- Kiedy po raz ostatni widział pan Joan Wheeler? Rod zastanowił się chwilę.
- Zdaje się, że w Boże Narodzenie, kiedy zaniósłem dzieciakom prezenty.
- A ostatnia rozmowa przez telefon?
- Nie pamiętam, kiedy ostatni raz z nią rozmawiałem.
- Zgodnie z tym, co mówiła pańska żona, Joan Wheeler często do was telefonowała.
- Joan Wheeler była alkoholiczką, kapitanie - oświadczył Rod, jakby to wszystko wyjaśniało.

- Czy był pan w dobrych stosunkach z byłą żoną?
- Nie odpowiadaj - doradziła z drugiego końca pokoju Diana głosem cichym, niemniej stanowczym. - To nie ma związku ze sprawą.
- Nie widzę powodu, dla którego miałbym nie odpowiedzieć - oschle poinformował ją Rod. - Nie, oczywiście, że nie byłem z nią w dobrych stosunkach. Joan była kompletnie szurnięta.

- No to mi się dostało - mruknęła Diana półgłosem, niby to do siebie, lecz na tyle głośno, żeby być słyszaną, i uniosła ręce w geście pokonanego, wymownie przewracając przy tym oczami.



Kapitan Mahoney pozwolił równej kresce swoich warg zmiąć się w lekkim półuśmiechu.

- Pańska żona zeznała - powiedział - iż Joan Wheeler telefonowała do niej dziś rano, ostrzegając ją przed niebezpieczeństwem. Czy potrafiłby pan wyjaśnić, jakie niebezpieczeństwo mogła mieć na myśli?

- Joan powiedziała, że grozi ci niebezpieczeństwo? - W głosie Roda słychać było to samo niedowierzanie, które rozlało się i zastygło w rysach jego twarzy. Podniósł dłoń do czoła i pocierał je zapamiętałe, aż skóra zaróżowiła się od krwi krążącej w niej coraz szybciej.

- Nie mam pojęcia, co mogła mieć na myśli.

- Kto mógł skorzystać na śmierci pańskiej byłej żony?

Rod powiódł wolno spojrzeniem od kapitana Mahoneya do Bonnie i z powrotem.

- Nie rozumiem pytania.

- Radzę ci nie odpowiadać - ponownie wtrąciła się Diana.

- O co panu właściwie chodzi? - zniecierpliwionym tonem spytał Rod, choć trudno było powiedzieć, czy jego niecierpliwość skierowana jest przeciwko policjantowi czy Dianie.

- Czy pańska była żona miała polisę ubezpieczeniową? Czy sporządziła testament?

- Nie mam pojęcia, czy sporządziła testament - odparł, starannie odmierzając słowa. - Natomiast wiem, że miała ubezpieczenie na życie, ponieważ sam płaciłem składki. Zgodnie z treścią orzeczenia rozwodowego - wyjaśnił.

- Komu będą wypłacone pieniądze z ubezpieczenia? - zapytał kapitan Mahoney.

- Jej dzieciom. I mnie - dodał Rod.

- Jaka jest wartość polisy?

- Dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

- A dom przy Exeter Street 13? Na czyje nazwisko jest ten budynek?

- Na nas oboje... - Rod przerwał i chrząknął. - Zgodnie z umową Joan miała tam mieszkać, póki dzieci nie skończą szkoły, potem dom miał być sprzedany i każde z nas powinno dostać połowę uzyskanej kwoty.

- Na ile ocenia pan wartość domu w dniu dzisiejszym?

- Nie mam pojęcia. To Joan była agentem nieruchomości, nie ja - odparł Rod. Sprawiał wrażenie cierpiącego, mrużył oczy, jakby dosięgały go czyjeś ciosy. - Myślę, że czas, abym zabrał żonę do domu...

- Panie Wheeler, gdzie pan był dzisiaj?

- Słucham? - Na policzki zapytanego wypełzły gorące rumieńce, podobne do czerwonych placków na twarzy porcelanowej lalki.

- Muszę pana zapytać, to mój obowiązek - niemal przepaszająco wyjaśnił kapitan Mahoney.

- On jednak nie musi panu odpowiadać - przypomniała Diana. -

- Byłem w pracy - pośpiesznie oświadczył Rod. Spojrzenie Diany znowu poszybowało pod sufit.

- Przez cały dzień?

- Oczywiście.

Bonnie poczuła się zbita z tropu. Jeżeli cały dzień był w pracy, to gdzie się podziewał, kiedy telefonowała do stacji? Tę samą wątpliwość zgłosił policjant:

- Pańska żona ponad godzinę próbowała dodzwonić się do pana. Bez skutku.

- Wyszedłem na lunch - wyjaśnił Rod.

- Oczywiście ma pan na to świadków...

Rod wziął głęboki oddech i wypuścił powietrze, wydając przy tym odgłos podobny ni to do śmiechu, ni to do westchnienia.

- No cóż, prawdę mówiąc, nie, nie mam żadnych świadków. Nie byłem na lunchu. Powiedziałem, żeby nie łączono do mnie rozmów, ale cały czas byłem w swoim biurze i usiłowałem trochę pospać. Nie spaliśmy zbyt wiele ostatniej nocy. Naszą córkę męczyły koszmary.

Bonnie skinęła głową na potwierdzenie.

- I nikt pana nie widział?

- Nie, aż do drugiej, kiedy poszedłem na zebranie. Niech pan posłucha - kontynuował, nie czekając na dalsze pytania - może nie byłem szczególnym wielbicielem byłej żony, ale z pewnością nigdy nie życzyłem jej śmierci. To, co się stało, głęboko mną wstrząsnęło. - Mocniej przygarnął do siebie Bonnie. - Jestem pewien, że dotyczy to nas obojga.

W pokoju zapanowało milczenie. W ciszę wdarł się dobiegający zza drzwi wysoki śmiech Marli Brenzelle. Już weszła w rolę, pomyślała Bonnie, patrząc, jak tamta puszy się w żółtym kostiumie od Valentina i krąży sztywno niczym paw między zachwyconymi wielbicielami, podtykając im pod nos wymaginowany mikrofon.

- Myślę, że na razie to wszystko - rzekł kapitan Mahoney. - Oczywiście niewykluczone, że zechcemy jeszcze zadać państwu parę pytań.

- Jeśli tylko będzie to w naszej mocy, zawsze chętnie pomożemy - zapewnił Rod, chociaż tym razem nie zabrzmiało to w jego ustach równie szczerze jak poprzednio.

- Będziemy musieli przesłuchać Sama i Lauren - oświadczyła detektyw Kritzic. Rod spojrzął na nią zaskoczony.

- Sama i Lauren? Po co?

- Mieszkali z matką - przypomniała mu policjantka - być może ich zeznania pomogą nam znaleźć mordercę. Rod skinał głową.

- Czy mógłbym porozmawiać z nimi pierwszy? Chodzi mi o to, że lepiej będzie, jeśli to ja przekażę dzieciom wiadomość o śmierci Joan.

- Oczywiście - zgodził się Mahoney. - Mam nadzieję, że wyrazi pan później zgodę na przeszukanie domu. Możliwe, że są tam jakieś ślady...

- Kiedy tylko chcecie - zapewnił go Rod.

- Zatem zjawimy się tam za kilka godzin. Byłbym wdzięczny, gdybyście państwo do tego czasu niczego w domu nie ruszali. Mam nadzieję, że gdyby dzieci powiedziały coś istotnego albo państwo przypomnielibyście sobie jakąś informację, niezwłocznie do nas zadzwonicie?

- Jak najbardziej.

Rod ponownie przygarnął do siebie Bonnie i poprowadził ją w stronę drzwi.

- Aha, przy okazji... - dobiegł ich głos kapitana, kiedy byli już w progu. - Czy któreś z państwa posiada broń?

- Broń? - Rod potrząsnął przecząco głową. - Nie - odparł, w jednej sylabie zawierając taki ładunek oburzenia, jakiego nie wyraziłby nawet w kilku pełnych zdaniach.

- To wszystko, dziękuję - rzekł kapitan Mahoney, podczas gdy Marla Brenzelle wyrwała się z kręgu wielbicieli, by z otwartymi przyjaźnie ramionami ruszyć naprzeciw wychodzącym. - Do zobaczenia za kilka godzin.

Czekam z utęsknieniem, sarknęła w duchu Bonnie. Chwilę potem dawna Marlana Brenzel zamknęła ją w żelaznym uścisku swoich ramion.

## 4

Newton, zajmujące dwadzieścia siedem kilometrów kwadratowych i liczące osiemdziesiąt trzy tysiące mieszkańców, przedmieście Bostonu, rozciąga się zaledwie kilka minut jazdy od śródmieścia. Jest konglomeratem czternastu odrębnych osiedli domków jednorodzinnych, z których najdalej wysunięte na południowy wschód to Oak Hill, a na północny zachód - Auburndale. Joan Wheeler zajmowała wraz z dziećmi dom w West Newton Hill, najbardziej ekskluzywnej dzielnicy przedmieścia.

Dom przy Exeter Street 13 był dużym budynkiem, pod względem architektonicznym nawiązującym do stylu Tudorów. Kilkanaście lat temu Joan kazała wymalować go na

dziwaczny, zielonobeżowy kolor, w tym również wykonane w drewnie elementy dekoracyjne, w miejsce zaś okien frontowych na parterze wstawić tafle malowanego szkła. Powstała w ten sposób posesja sprawiała wrażenie niezdecydowanej - czy pragnie pełnić funkcję budynku mieszkalnego czy katedry. Malowane szyby były pokryte prymitywnymi w stylu obrazami. Na jednym z nich mężczyzną w długich powiewnych szatach obtańcowywał radośnie pies, na innym współcześnie ubrana kobieta niosła na głowie gliniany dzban z wodą, gdzie indziej rosły mężczyzna uprawiał ziemię, na kolejnym zaś dwoje pyzatych dzieci bawiło się przy wodospadzie.

Kiedy Bonnie wprowadziła samochód na podjazd, Rod schylił głowę i schował twarz w dłoniach.

- Dobrze się czujesz? - spytała zaniepokojona. Mężczyzna ponownie oparł głowę o skórzany zagłówek.

- Po prostu nie mogę uwierzyć, że ona nie żyje. Zawsze wydawała się tak pełna życia.  
- Spojrzał w stronę drzwi frontowych. - Nawet nie wiesz, jak boję się tam wejść! Nie mam pojęcia, jak im to powiedzieć, jakich użyć słów, żeby im to ułatwić...

- Właściwe słowa znajdą się same - zapewniła go Bonnie. - Poza tym wiesz, że ja również zrobię, co w mojej mocy, by im pomóc.

Rod skinął głową i milcząc wysiadł z samochodu. Na niebie zebrało się parę chmur, grożąc deszczem.

„Najokrutniejszy miesiąc to kwiecień”, Bonnie przywołała w pamięci wers z poematu Thomasa Stearnsa Eliota.\* Ująwszy się za ręce, małżonkowie z powagą ruszyli w stronę wejścia.

\* Początek poematu „Jałowa ziemia”, w przekładzie Czesława Miłosza (przyp. tłum.).

Rod zatrzymał się tuż przed wielkimi, dwuskrzydłowymi drzwiami z ciężkiego drewna, szperając po kieszeniach w poszukiwaniu klucza.

- Masz klucze? - zdziwiła się Bonnie. Rod otworzył drzwi.

- Halo! - zawołał, kiedy przestąpili próg, wkraczając do wyłożonego marmurem foyer. - Jest tam kto?

Bonnie spojrzała na zegarek. Dochodziło wpół do piątej.

- Halo! - powtórzył Rod, Bonnie zaś zrobiła kilka kroków w prawo, gdzie znajdował się salon.

Ściany pokoju były wyłożone bladobłękitnym atłasem. Przed ceglanym kominkiem rozparła się przypominająca antyk sofa o jedwabnym, delikatnie różowym obiciu, zaś u jej boku przycupnęły dwa błękitno-złote fotele. Wykonaną z twardego drewna podłogę pokrywały rozrzucone w artystycznym nieładzie kosztowne indiańskie dywaniki. Na ścianach wisiały ujęte w proste ramy szkice węglem, tworząc mały zamknięty cykl. Na pierwszym z nich dojrzała kobieta tuliła dziewczynkę do boku, drugi przedstawiał dwie kobiety w średnim wieku, leżące w niedbałych pozach, z bezwstydnie rozrzuconymi nogami, grzejące się w popołudniowym słońcu. Trzeci szkic, który być może zamykał malarskie przesłanie, przedstawiał dwie stare kobiety zgarbione nad szyciem.

- Całkiem niezłe - skomentowała Bonnie, przyglądając się obrazkom.

Następnie przeszła się po jadalni, sunąc dłonią po blacie długiego dębowego stołu, który stanowił centralny element wystroju, oraz podziwiając otaczające go dębowe krzesła o wysokich oparciach i ciemnopomarańczowym skórzanym pokryciu.

Kuchnia znajdowała się w głębi domu. Było to ogromne pomieszczenie biegnące przez całą szerokość budynku, z malowniczo rozmieszczonymi na tle białych ścian szafkami w kolorze ciemnego burgunda i podłogą z rozjaśnianego dębu, oraz ogromnym, zajmującym tylną ścianę oknem wychodzącym na gustownie urządzone podwórko. Podobnie jak wcześniej w salonie i jadalni, panowała tu nieskazitelna czystość. Moja kuchnia przy tej to chlew, pomyślała Bonnie, uświadamiając sobie, że tutaj podłoga nigdzie się nie klei, na ścianach nie ma śladu abstrakcyjnych plam z zaschniętych sosów, a na szklanym blacie kuchennego stołu brak choćby jednego odcisku palca. Czy ten dom w ogóle jest zamieszkały? - zdziwiła się w duchu, otwierając drugie drzwi, znajdujące się w innej części kuchni, i wychodząc z powrotem do hallu.

- Rod?! - zawołała, zastanawiając się, gdzie zniknął jej mążnek.

- Tutaj!

Bonnie podążyła za głosem, trafiając do małego pokoiku na lewo od drzwi wejściowych. Rod stał za starym pozłacanym biurkiem, pieszcząc w prawej dłoni duży kryształowy przycisk do papieru. Wzdłuż trzech ścian gabinetu biegły szeregi zabudowanych półek, pod czwartą stała sofa w kolorze burgunda, a przed nią ścielił się owalny indiański dywanik.

- To był mój ulubiony pokój - rzekł Rod, cofając się myślami o dziesięć lat.

- Wszystko jest takie wypucowane - nie posiadała się ze zdumienia Bonnie. - To wręcz przerażające.

- Od kiedy to czystość jest przerażająca?

- Odkąd mamy Amandę.

Nagle Bonnie odniosła wrażenie, że słyszy na górze jakiś ruch. Wyszła szybko do hallu, a za nią Rod.

- Kto tam? - zapytał cienki, dziewczęcy głos. - Mamo? To ty? Masz jakiegoś gościa?

- Lauren? - zawołał w odpowiedzi Rod, zbliżając się do schodów. - Lauren, to ja, twój ojciec.

Zapanowała cisza. Bonnie czekała obok męża u stóp schodów. Co on jej powie? W jaki sposób wytłumaczy swojej czternastoletniej córce, że jej matka nie żyje, że została zabita?

- Lauren, czy mogłabyś zejść tu na chwilę? - rzekł. - Muszę z tobą porozmawiać.

Nad szczytem balustrady na piętrze pojawiła się ostrożnie drobna blada twarz dziewczynki; jej szeroko rozwarte oczy i uchylone usta wyrażały rezerwę, szczupłe dłonie kurczowo zaciskały się na poręczy. Jakiś czas ociągała się na górze, wreszcie jednak przyjęła zaproszenie i zaczęła schodzić. Poruszała się nadzwyczaj powoli i rozważnie, niby zwabione smakołykiem dzikie zwierzątko, z namysłem stawiając stopy na kolejnych schodkach, podczas gdy jej spuszczone wzrok starannie omijał czekającego na dole ojca oraz jego żonę.

Ubrana była w mundurek Prywatnej Szkoły dla Dziewcząt: zieloną plisowaną spódniczkę i harmonizujące z nią podkolanówki, bluzkę z długim rękawem w kolorze kości słoniowej, wzorzysty zielono-złoty krawat oraz czarne półbuty. Jej długie kasztanowate włosy ujęte były w koński ogon i przewiązane ciemnozieloną tasiemką. Najszkaradniejszy szkolny mundurek, jaki można kupić za tę cenę, pomyślała Bonnie, pamiętając o ogromnym czesnym, jakie co roku musi płacić szkole Rod - kolejny punkt umowy rozwodowej.

- Witaj, Lauren - rzekła Bonnie, po raz pierwszy zauważając wielkie podobieństwo łączące Lauren z Amandą. Ileż cech odziedziczyły obydwie po ojcu!

- Witaj, kochanie - zawtórował jej Rod.

- Cześć, tato - odparła Lauren, jakby Bonnie w ogóle się nie odezwała, jakby nie istniała. - Co tu robisz?

- Przyszedłem do ciebie - rzekł Rod.

- Po co?

- Gdzie twój brat? Lauren wzruszyła ramionami.

- Nie ma go. U nich w szkole było dzisiaj doskonalenie zawodowe. - Zerknęła w stronę drzwi wejściowych. - Mama się spóźnia - dodała. - Zwykle jest w domu przede mną.

- Nie wiesz, kiedy wróci Sam? - spytał Rod.

- A coś nie tak?

- Może usiądziemy - zaczęła Bonnie, lecz przerwała, zdając sobie sprawę, że żadne z nich jej nie słucha.

- Co się stało? - chciała wiedzieć Lauren, a jej duże piwne oczy przesłonił strach.

- Zdarzył się wypadek - zaczął Rod.

- Jaki wypadek? - Głowa Lauren zaczęła kołysać się na boki, jakby dziewczynka już teraz usiłowała zaprzeczyć prawdziwości tego, co za chwilę usłyszy.

- Mama miała wypadek - ostrożnie kontynuował Rod.

- Samochodowy? Czy mama jest w szpitalu? Do którego szpitala ją zabrali? - jedno po drugim wyrzucała z siebie pytania.

- Lauren, kochanie - zaczął Rod, ale stracił odwagę i posłał błagalne spojrzenie w stronę żony.

Bonnie odetchnęła głęboko.

- Kotku - rzekła - tak nam przykro, że musimy ci to powiedzieć...

- Rozmawiam z moim ojcem! - ostrym tonem przerwała jej dziewczynka. Zawarty w jej głosie ogromny ładunek emocji sprawił, że Bonnie zachwiała się jak pod ciosem, jakby Lauren uderzeniem zmiotła ją ze swojej drogi. Chwyciła się balustrady, wolno osuwając się w dół, póki nie znalazła bezpiecznej przystani na jednym z najniższych schodków.

- Co się stało z mamą? - natarła Lauren na Roda.

- Nie żyje - odpowiedział po prostu.

Przez kilkanaście następnych sekund Lauren milczała. Bonnie desperacko pragnęła podejść do niej, wziąć dziewczynkę w ramiona i powiedzieć, żeby się nie martwiła, że będą się nią opiekować, że będzie kochała ją jak własne dziecko, że wszystko będzie dobrze, ale nie mogła, niewidzialne ręce Lauren przygważdżały ją do ziemi, pozbawiając możliwości ruchu.

- Mama fatalnie prowadziła - szepnęła dziewczynka. - Tyle razy prosiłam ją, żeby zwolniła, ale ona mnie nie słuchała i wciąż wydzierała się na innych kierowców, wyzywała ich od najgorszych, na pewno też to słyszałeś. Mówiłam jej, żeby się uspokoiła, że na korki i ruch uliczny nic się nie poradzi, ale...

- To nie był wypadek samochodowy - przerwał Rod.

- Co? - słowa zamarły jej na ustach. Widać było, że jakkolwiek inna możliwość przerasta jej wyobraźnię.

- Więc?

- Została zastrzelona - wyjaśnił.

- Zastrzelona?! - Spojrzenie Lauren w szalonym tańcu przebiegło po pomieszczeniu, mimowolnie zatapiając się w oczach Bonnie, zanim ponownie gwałtownie uciekło w bok. - To znaczy zamordowana?

- Policja nie ma pewności, jak było naprawdę - asekuracyjnie odparł Rod.
- Policja?
- Tak, wkrótce się tu zjawi.
- Mama została zamordowana? - ponowiła pytanie Lauren.
- Na to wygląda.

Dziewczynka zdecydowanym krokiem skierowała się w stronę drzwi. Bonnie wstała zaniepokojona. Dokąd to dziecko się wybiera? Ale dotarłszy do wyjścia, Lauren zawróciła, by równie energicznie powędrować w głąb hallu. Nie mogąc odgadnąć celu tej wędrówki, Bonnie doszła do wniosku, że go nie ma. Najwyraźniej trwanie w ruchu było celem samo w sobie.

- Kto? - zapytała Lauren. - Czy wiedzą, kto to zrobił?

Rod potrząsnął przecząco głową.

- Gdzie? Gdzie to się stało?
- W domu przy Lombard Street, mama prowadziła tam dzień otwarty.

Oczy Lauren wypełniły się łzami. Znowu pognęła w stronę drzwi, ale okręciła się na pięcie i wróciła na środek hallu.

- Jak się o tym dowiedziałeś? - zapytała nagle. - Dlaczego policja zawiadomiła najpierw ciebie, a nie mnie i Sama?

- Bo to ja znalazłam twoją mamę - po krótkim milczeniu wyjaśniła Bonnie.

Wydawało się, że czas zatrzymał się w miejscu, a wszystko, co się wówczas wydarzyło, w rzeczywistości zdarzyło się gdzie indziej i kiedy indziej, oni zaś oglądali jedynie powtórkę tej przerażającej sceny na jednym z wielu monitorów Roda, w zwolnionym tempie, przy delikatnie zaznaczonym braku synchronizacji: głowa Lauren klatka po klatce obróciła się w stronę Bonnie, jej koński ogon wznosił się leniwie w powietrze, po czym uderzył o prawe ramię, odbił się, powrócił i znowu odbił, w serii przesadnych, małych katastrof, z ogromniającymi źrenicami zatonałymi w napływających nieoczekiwanie łzach, dłonie wystrzeliły w powietrze, szarpiąc paznokciami jego niewidzialną materię, a poblaskłe usta otworzyły się w niemym krzyku.

A potem czas skoczył naprzód i zapanował chaos, bowiem scena eksplodowała, rozwijając się w dzikim i niewiarygodnie szybkim tempie. Oniemiała ze zgrozy Bonnie patrzyła, jak Lauren frunie ku niej przez całe pomieszczenie, wyciągając przed siebie



zaciśnięte pięści, i ani się obejrzała, kiedy obydwie wylądowały na jej twarzy i tułowiu, podczas gdy stopy i łydki stały się celem serii oszalałych wierzgnięć. Napaść była tak nagła, tak przerażająca i niespodziewana, że zaskoczona kobieta praktycznie nie miała czasu zasłonić się przed gradem ciosów. Nagle wszyscy zaczęli krzyczeć.

- Lauren, na miłość boską! - wrzasnął Rod, desperacko próbując odciągnąć córkę od Bonnie.

- Co to znaczy, że ją znalazłaś? - łkała dziewczynka.

- Co znaczy, że ją znalazłaś?!

- Lauren, proszę - zaczęła Bonnie, akurat w chwili, gdy lewa pięść dziewczynki wylądowała na jej ustach. Kobieta upadła do tyłu, na schody, już po raz drugi tego dnia, czując na języku smak krwi, tym razem własnej.

- Rany boskie, Lauren, przestań! - Rodowi udało się wreszcie objąć córkę w pasie i wciąż kopiając i wrzeszcząc oderwać od oszołomionej żony. - Co w ciebie wstąpiło?! - huknął gniewnie, głośno łapiąc powietrze. - Co ty wyprawiasz?!

- To ona ją zabiła! - wrzasnęła w odpowiedzi Lauren, jej długie włosy wymknęły się spod zielonej wstążki i biczowały zalaną łzami twarz, kilka rudawych pasm przyłgnęło do mokrej skóry na policzkach. - Ona zabiła mamusię!

Ponownie rzuciła się w stronę Bonnie, ale Rod trzymał ją mocno.

- Jezus Maria, co ty wygadujesz? - ryknął. - Ona nikogo nie zabiła!

- Tak po prostu ją znalazła, co? - Dziewczynka wygięła szczupłe ciało, próbując uwolnić się z kleszczy jego ramion, ale bezskutecznie. - Chcesz mi wmówić, że to był przypadek?

Bonnie mrużyła nerwowo oczy w obawie przed kolejnym atakiem, kręciło jej się w głowie, w uszach furczało od straszliwych oskarżeń wypowiedzianych przez Lauren. Rozcięta dolna warga pulsowała bólem. Do czasu, gdy zjawi się policja, jej ramiona i nogi zapewne pokryją się niezliczoną liczbą siniaków. Doprawdy, trudno wyobrazić sobie piękniejsze uzupełnienie ich notatek.

- Lauren - cichym głosem zwróciła się do dziewczynki. Starannie wymawiając słowa, kontynuowała: - Zapewniam cię, że nie miałam nic wspólnego ze śmiercią twojej matki.

- To co tam robiłaś? Chcesz mi wmówić, że to zwykły zbieg okoliczności?

Przypadkiem trafiłaś do tego domu i przypadkiem znalazłaś tam mamę?

- Twoja mama zadzwoniła do mnie - zaczęła Bonnie, ale nie dokończyła. Zamiast tego wybuchnęła płaczem i ukryła twarz w dłoniach. Nie, nie była w stanie jeszcze raz

opowiadać tej historii. Nie była w stanie po raz kolejny odtwarzać w pamięci strasznych wydarzeń tego dnia.

- Chodźmy do salonu - łagodnie zaproponował Rod.

- Może kiedy usiądziemy i spokojnie porozmawiamy, uda nam się jakoś dojść z tym wszystkim do ładu.

- Ja idę do siebie - rzekła Lauren, uwalniając się z ojcowskich ramion.

Kiedy w drodze na piętro mijala siedzącą na schodach Bonnie, ta wzdrygnęła się instynktownie, odruchowo zasłaniając twarz rękami. Ale kolejnych ciosów nie było, tylko łomot ciężkich półbutów Lauren tupiących o wyłożone popielatym dywanem stopnie. W chwilę potem na górze trzasnęły zamknięte drzwi.

Ledwie dziewczynka zniknęła z pola widzenia, Rod momentalnie znalazł się przy Bonnie.

- O, moje kochanie, tak mi przykro. Nic ci nie jest? - szeptał, gorączkowo odgarniając włosy z jej oczu i scałowując sączącą się z kącika ust krew.

- Boże - wymamrotała Bonnie. - Ona mnie naprawdę nienawidzi.

Przed drzwiami wejściowymi rozległ się hałas, szuranie nogami, śmiech, chrobot klucza w zamku. To Sam, zdała sobie sprawę Bonnie, czując, jak gwałtownie tężeją jej mięśnie. Spreż się, zdawało się mówić jej ciało. Przed tobą druga runda.

## 5

Drzwi otworzyły się i do domu wpadł Sam Wheeler. Jego ubranie składało się z kilku warstw utrzymanych w tonacji brązu i zieleni, poczynając od kurtki koloru khaki, przez wojskową koszulę w barwie maskującej, po oliwkowy podkoszulek, a wszystko to puszczone luzem na wypłowiałe i powypychane brązowe spodnie. Na nogach miał sięgające wyżej kostki kosztowne, markowe buty sportowe, których nie zawiązane sznurówki wiły mu się wokół nóg jak węże. Rozczochrane włosy były tak czarne, że aż granatowe, ich intensywna barwa zaćmiewała naturalny kolor jego oczu, przez co sprawiały wrażenie pustych oczodołów, wtłoczonych pod absurdalnie długie rzęsy. W jego lewym nozdrzu lśnił maleńki złoty kolczyk.

Tuż za Samem ukazał się inny chłopak, nie tak wysoki, za to bardziej muskularny, z tatuażami biegnącymi wzdłuż nagich przedramion. Jego obramowana długimi brązowymi włosami twarz była zdecydowanie piękna, jednakże w tej urodzie czaiło się coś niemal obraźliwego, jakieś ukryte w szarych oczach i zakodowane w stylu bycia szyderstwo. Na

sobie miał czarny podkoszulek i dżinsy oraz czarne skórzane buty ze spiczastymi noskami. Jak inni roztaczają wokół siebie zapach wody kolońskiej, tak on roztaczał gryząco-słodki zapach marihuany - jego znak firmowy, wiedziała skądinąd Bonnie. Całkiem możliwe, że właśnie dlatego nazywali go Hajem - bo zawsze był na haju.

Poczyniła wszystkie te obserwacje, kiedy w zdenerwowaniu przeskakiwała spojrzeniem z jednego nastolatka na drugiego i z powrotem.

- Co jest grane? - spytał Sam zamiast powitania, chociaż ani jego twarz, ani głos nie zdradzały zaskoczenia ich obecnością.

- Dzień dobry, pani Wheeler - powiedział Haj, podczas gdy jego oczy jak kamery zogniskowały spojrzenie na zranionej wardze Bonnie. - Co się stało z pani twarzą?

- Żona miała mały wypadek - pośpieszył z wyjaśnieniem Rod.

Czy to nie tego samego słowa użył, kiedy usiłował powiadomić Lauren, że jej matka nie żyje? Wypadek - Bonnie dostrzegła w tym interesującą możliwość, która uwalniała od winy wszystkich pozostałych przy życiu.

- To wasz samochód stoi na podjeździe? - Sam zwrócił się do Bonnie, ledwie zauważając, że jego ojciec coś powiedział.

Kobieta kiwnęła w odpowiedzi głową.

- Chcielibyśmy z tobą chwilę porozmawiać, Sam - rzekła.

Chłopak wzruszył ramionami, jakby mówił: no to gadajcie.

- Może byłoby lepiej, gdybyśmy zostali sami. - Rod rzucił spojrzenie w stronę Haja.

- A może by nie było - brzmiała odpowiedź. Haj zachichotał za plecami Sama.

- To Harold Gleason - powiedziała Bonnie, przedstawiając mężowi przyjaciela jego syna. - Chodzi do mojej pierwszej klasy. - Jest destruktywny i niedbały, nigdy nie wywiązuje się ze swoich zadań, mogłaby jeszcze dodać, ale nie zrobiła tego. - Wszyscy nazywają go Haj.

- To wygląda, jakby ktoś panią uderzył - rzekł Haj, ignorując tę prezentację, i postąpił krok bliżej. Zapach marihuany unoszący się prowokacyjnie z jego włosów i ubrań sięgnął w stronę Bonnie niczym niewidzialna trzecia ręka. - Tak - stwierdził. - Wygląda na to, że ktoś pani nieźle przyłożył, pani Wheeler.

- Sam, to jest bardzo ważne - zniecierpliwiał się Rod.

- Cały zamieniam się w słuch.

- Chodzi o to, że coś się stało twojej mamie - zaczął Rod, ale przerwał, spoglądając w górę schodów.

Sam podążył wzrokiem za spojrzeniem ojca.

- Co z nią? Spała się i spadła z łóżka? Dzwoniła po ciebie? To dlatego tu jesteś?

- Sam, twoja mama nie żyje - opanowanym głosem powiadomił go Rod.

Zapanowało milczenie. Bonnie szukała w twarzy chłopca jakichkolwiek oznak emocji, cienia myśli, gniewu, bólu wywołanego wiadomością, ale bezskutecznie. Jego twarz pozostawała obojętna, czarne studnie oczu prowadziły w nicość.

- Rany, jak to się stało? - chciał wiedzieć Haj.

- Została zastrzelona - bez ogródek odpowiedziała Bonnie, wciąż pilnie obserwując twarz Sama. Jednakże ta nadal pozostawała nieruchoma, bez jednej łzy czy skrzywienia, bez najmniejszego drgnięcia powieki. - To ja ją znalazłam - dodała, odruchowo robiąc krok w tył i osłaniając usta grzbietem dłoni.

Bez reakcji.

- Dzisiaj rano zadzwoniła do mnie, prosząc o spotkanie w domu przy Lombard Street, w którym prowadziła dzień otwarty. Twierdziła, że musi mi coś powiedzieć. Kiedy przyjechałam na miejsce, znalazłam ją martwą.

Oczy chłopaka powoli się zwęziły.

- Sam, nie wiesz, dlaczego chciała się ze mną spotkać? - zapytała Bonnie. Potrząsnął przecząco głową.

- Myślę, że chciała mnie ostrzec - brnęła dalej.

- Może gdybyśmy wiedzieli przed czym, to...

- Raju, ludzie, kto to zrobił? Znaczący, kto posłał jej kulkę? - spytał Haj, pocierając nerwowo bok nosa. Bonnie zauważyła przy tym ruchu błysk wychylającego się spod rękawa koszulki wytatuowanego na czerwono serca. MOTHER brzmiał napis nad nim, FUCKER znajdowało się pod nim.

- Jeszcze nie wiadomo - powiedziała Bonnie, szczęśliwa, że ktoś stawia odpowiednie pytania.

- A co się stało z jej wozem? - odezwał się Sam.

- Słucham? - Była pewna, że się przesłyszała. Czy Sam rzeczywiście pyta o samochód matki?

- Gdzie jest jej wóz? - powtórzył.

- Nie wiem, chyba nadal na Lombard Street - powiedziała powoli.

- To kosztowny model - rzekł Sam. - Mam nadzieję, że policja go nie skonfiskuje, co?

Bonnie nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Do tej pory ani razu nie pomyślała o samochodzie Joan.

- Nie mam pojęcia, jaka obowiązuje procedura - rzekła, zerkając z ukosa na Roda, który sprawiał wrażenie równie zbitego z tropu jak ona.

Sam pokręcił się chwilę bez celu, na niczym nie zatrzymując spojrzenia dłużej niż pół sekundy.

- Lauren jest w domu? - spytał.

- Jest na górze.

- Powiedzieliście jej już? Bonnie skinęła głową.

- To co dalej?

- Nie jestem pewna - wyznała. - Wkrótce będzie tutaj policja.

- No, to na mnie już czas - natychmiast oświadczył Haj i pośpiesznie sięgnął ręką do klamki, jak gdyby policjanci siedzieli mu już na karku, wbijając w nerki lufy pistoletów. - Naprawdę przykro mi z powodu twojej mamy, Sam. Trzymaj się, facet.

Drzwi wejściowe otworzyły się i zamknęły, chłodne kwietniowe powietrze starło się z zastygłą w hallu wonią marihuany.

- Nie mam im nic do powiedzenia - powiedział Sam.

- Sądzę, że nie masz wyboru - odparł na to Rod.

- A właściwie to co wy tu jeszcze robicie? - Sam powiódł spojrzeniem od swojego ojca do Bonnie i z powrotem. - Przyszliście, zobaczyliście, podzieliliście się złą nowiną: dzyń, dzyń, Baba Jaga nie żyje, więc chyba macie to już z głowy, nie? Śmiało, możecie wrócić do swojego nowego domu, do swojej nowej rodziny i zapomnieć o nas na następne siedem lat.

Bonnie poczuła, że nareszcie znalazła koniec sznurka, który być może zaprowadzi ją do kłębka. Dzyń, dzyń, Baba Jaga nie żyje?

- Sam? - zawołał z góry cienki głosik.

Oczy wszystkich zwróciły się na stojącą na podeście bladą i drżącą dziewczynkę.

- Słyszałeś już, co się stało? - spytała płacząco Lauren, krokiem lunatyka powoli schodząc w dół. - Słyszałeś, co się stało mamusi?

- Raport lekarza sądowego będzie gotowy dopiero za parę dni - mówił kapitan Mahoney, podczas gdy jego zwaliste ciało zdawało się miażdżyć delikatny złoto-błękitny fotel, w którym siedział. Kręcący się niecierpliwie i sprawiający wrażenie znudzonego Sam oraz nieruchoma i niemal nie oddychająca Lauren siedzieli naprzeciw niego na obitej jedwabiem różowej sofie, Bonnie zaś przycupnęła na brzeżku krzesła przyniesionego przez Roda z jadalni. Zarówno Rod, jak i detektyw Kritzic wybrali pozycję stojącą, Rod przy kominku, policjantka przy malowanym oknie barwiącym światło kolorami dnia.

- To o co chcecie nas zapytać? - rzekł Sam.

- Kiedy widzieliście matkę po raz ostatni? - zadał pytanie Mahoney.

- W nocy. - Sam założył niesforny kosmyk włosów za prawe ucho. - Wszedłem do niej około drugiej w nocy, żeby powiedzieć dobranoc.

- Jakie sprawiała wrażenie?

- Chodzi panu o to, czy była pijana?

- A była?

Sam wzruszył ramionami.

- Prawdopodobnie.

- A ty, Lauren? - łagodnym głosem odezwała się detektyw Kritzic.

- Weszłam do niej dziś rano, żeby pocałować ją przed pójściem do szkoły.

- Myślałem, że w szkole było doskonalenie zawodowe - wtrącił kapitan Mahoney, spoglądając na Bonnie.

- Chodzę do szkoły prywatnej - wyjaśniła Lauren.

- Czy matka mówiła, jakie plany ma na dzisiaj?

- Mówiła, że przed południem prowadzi dom otwarty i nie powinna wrócić zbyt późno.

- Czy sprawiała wrażenie zmartwionej albo zaniepokojonej?

- Nie.

- Czy mówiła coś o zamiarze spotkania się rano z Bonnie Wheeler?

- Nie.

- Czy mówiła, że chce ostrzec Bonnie Wheeler przed jakimś niebezpieczeństwem?

Lauren potrząsnęła przecząco głową

- Jakim niebezpieczeństwem?

- Jak myślicie, komu mogło zależeć na skrzywdzeniu waszej mamy? - Spojrzenie kapitana badawczo błędziło pomiędzy twarzami dwojga nastolatków.

- Nie wiem - krótko odpowiedział Sam.

Lauren zmierzyła wzrokiem Bonnie. Choć nic nie powiedziała, konkluzja była jasna dla wszystkich.

Oto moja nowa rodzina, powiedziała sobie w duchu Bonnie. Chłopiec, którego najwyraźniej guzik obchodzi, że jego matka została zamordowana, i dziewczynka, która myśli, że ja jestem morderczynią. Wspaniale. Cóż, myślała dalej, przynajmniej będą mieli siebie nawzajem. Aczkolwiek patrząc na nich w tej chwili, na dwie siedzące sztywno na sofie, unikające kontaktu fizycznego porcelanowe figurynki z zastygłymi w kamienne maski twarzami, z pustymi, zwróconymi w głąb siebie spojrzeniami, wątpiła, czy rzeczywiście będą dla siebie jakąś podporą, zwłaszcza w ciągu najbliższych trudnych tygodni. Ale czuła, że nie

zdoła im pomóc, wszelki gest przyjaźni z jej strony, współczucie czy sympatia zostaną bezwzględnie odrzucone. Choć dzieci Roda prawie nie znały drugiej żony ojca, szczerze jej nienawidziły.

Jednakże czy mogła je za to potępiać? Czyż nie żywiła tego samego uczucia do kobiety, którą wkrótce po rozwodzie poślubił jej ojciec? Czyż nie wyrażała otwarcie swojej radości, kiedy ich małżeństwo się rozpadło? A nawet teraz, czy jej stosunek do żony numer trzy jest wystarczająco serdeczny? A co z bratem, z którym praktycznie nie zamieniła ani słowa, odkąd przedwcześnie zmarła ich matka? Jakiegoż wsparcia mogła u niego szukać?

Bonnie zamknęła oczy, łykając gorzkie łzy. Nie czas na rozdrapywanie starych ran. Teraz miała ważniejsze troski na głowie.

Tyle mamy ze sobą wspólnego - chciałaby powiedzieć Lauren - gdybyś tylko pozwoliła, gdybyś dała sobie pomóc. Mam wrażenie, że potrzebujemy siebie nawzajem.

Otworzyła oczy, gdyż w pomieszczeniu zaczął się jakiś ruch. Kapitan Mahoney wy dobył się z fotela i skierował w stronę hallu.

- Teraz, jeśli można, chciałbym się trochę rozejrzeć - powiedział.

## 6

- Boże, co tu się stało? - wyrwało się Bonnie, zanim zdążyła ugryźć się w język.

- Pewnie z samego rana mama nie zdążyła posprzątać. - Lauren stanęła w obronie matki.

- Dobrze patrzcie, gdzie stawiacie nogi - przestrzegł kapitan Mahoney. - Starajcie się niczego nie poruszyć.

Wszyscy wtargnęli do położonej na pięttrze sypialni Joan: Bonnie, jej mąż, jego dzieci, kapitan Mahoney i detektyw Kritzic. Każde z nich kroczyło ostrożnie jak po pokruszonym szkle, przesadnie wysoko unosząc kolana i starannie wybierając miejsca nadające się do postawienia stopy. Nikt się nie odzywał, choć ich milczenie w większej mierze wynikało z oszołomienia niż z szacunku dla zmarłej. Tylko na twarzach dzieci w dalszym ciągu trudno było doszukać się jakiegoś wyrazu.

- Mama nie miała czasu, aby zrobić tu porządek - ponownie powtórzyła Lauren, znajdując na dywanie biegnący obok otwartych drzwi szafy wąski pasek wolnej przestrzeni.

- Tu zawsze tak wygląda - rzekł Sam, opierając się o blad różową powierzchnię ściany.

- Najwyraźniej nie spodziewała się towarzystwa - stwierdziła Lauren.

Towarzystwa? - zastanowiła się Bonnie. Zataczała niewielkie koła na środku pokoju, usiłując stłumić budzące się w niej naturalne odruchy, zetrzeć z twarzy wszelkie ślady potępienia. Pokój sprawiał wrażenie terenu objętego stanem klęski żywiołowej, strefy działań wojennych, wysypiska śmieci, w którym z trudem mogła utrzymać się przy życiu pojedyncza ludzka istota, a cóż dopiero z towarzystwem.

Bonnie niczym miotłą omiatała sypialnię spojrzeniem, jak gdyby samą tylko siłą woli usiłowała przemieścić wypełniające pokój rumowisko w jedno miejsce, zagarnąć na jeden stos spiętrzone pod ścianami sterty starych gazet, zebrać leżące na różowym dywanie, pootwierane i pogięte książki, sponiewierane czasopisma, zagrabic wysypujące się z szafy i porozrzucane niczym jesienne liście nie używane ubrania, pozbierać talerze z resztkami zaskorupiałego jedzenia oraz na wpół opróżnione filiżanki kawy czy wreszcie posprzątać dziesiątki poutykanych gdzie się da, przepelnionych popielniczek z przesypującym się przez krawędzie popiołem płamiącym wszystko co popadnie, w tym także dywan, i zalegającą na nie ścieloną od tygodni, jeśli nie miesięcy, łóżku niegdyś białą pościel. Na poduszkach porozrzucane były puste butelki po alkoholu, a pośrodku łóżka, tuż obok niedojedzonego hamburgera, owiniętego w lepący się od musztardy i przypraw papier, znajdował się biały telefon, którego beznadziejnie poplątany kabel owijał otwarty notes z adresami. Jeszcze więcej pustych butelek wystawało spod łóżka. Większość z nich zawierała kiedyś wino, oceniła Bonnie, z odrazą odwracając wzrok.

- A na dole jest tak czyściutko - mruknęła, próbując pogodzić jakoś te dwa skrajnie różne obszary.

- Dół jest prawie nie używany - rzekł Sam.

- A obiady? - Bonnie próbowała omijać wzrokiem nadgryzionego hamburgera. - Kto robił obiady? Gdzie je jadaliście?

- Na mieście - odparł chłopak. - Albo zamawialiśmy do domu i każdy jadł u siebie - mówił dalej swobodnie, jakby opowiadał o normalnym życiu rodzinnym.

- Praca agenta nieruchomości nie trwa od dziewiątej do piątej - podjęła Lauren. - Bardzo trudno jest zgrać terminy spotkań różnych ludzi. Mama robiła, co mogła.

- Na pewno - zgodziła się Bonnie.

- Trochę nieporządku to jeszcze nie koniec świata.

- Nie, oczywiście, że nie.

- A kto ciebie w ogóle pytał? - zdenerwowała się dziewczynka.

Przez cały czas Bonnie była świadoma uwagi kapitana Mahoneya, który stojąc przy łóżku, rejestrował toczącą się wymianę zdań, jednocześnie pracowicie usiłując wyłuskać



swoimi dużymi rękami zaplątany w kabel notes z adresami. Poczula, że robi jej się słabo, snujący się dookoła smród psującego się jedzenia i zatechły odór dymu papierosowego otoczyły ją niczym gęsta mgła, przywołując wspomnienie wcześniejszych, dużo bardziej nieprzyjemnych wrażeń węchowych. Ciężkiej woni krwi i okaleczonego ciała. Zapachu gwałtownej, nieoczekiwanej śmierci.

Jakby czytając w myślach żony, Rod otoczył ją ramieniem. Bonnie wtuliła się w bezpieczne schronienie u jego boku.

Kapitan Mahoney podniósł wreszcie notes, biały kabel ześliznął się i upadł z powrotem na łóżko, sprężynując jak guma.

- Czy ktoś zna takie osoby jak Sally Gardiner, Lyle i Caroline Gossett, Linda Giradelli? - Najwyraźniej notes miał otwarty na literze „G”.

- Gossettowie byli naszymi znajomymi - poinformował go Rod. - Mieszkają naprzeciwko.

- Mama miała mnóstwo przyjaciół - rzekła Lauren.

- Kumpi od kieliszka - skomentował pod nosem jej ojciec.

- A doktor Walter Greenspoon?

- Ten psychiatra? - zapytała Bonnie.

- Zna go pani?

- Nie, ale wiem, kim jest. Prowadzi własną cotygodniową rubrykę w „Globe”.

- A my zatrudniliśmy go kilka razy w telewizji jako konsultanta - dodał Rod.

- Czy istnieje możliwość, że pańska była żona leczyła się u niego?

- Nie mam pojęcia.

Kapitan spojrział na Sama i Lauren. Oboje wzruszyli ramionami. Policjant przewrócił kartkę.

- Czy mówi wam coś nazwisko Donna Fisher albo Wendy Findlayson?

Rod i Bonnie pokręcili przecząco głowami. Dzieci ponownie wzruszyły tylko ramionami.

- Josh Freeman?

- W mojej szkole pracuje nauczyciel o tym nazwisku - powiedziała zaskoczona Bonnie.

- To prawda, uczy mnie plastyki - zgodził się Sam.

- Czy to numer telefonu do szkoły? - Kapitan Mahoney wyciągnął notes w stronę Bonnie.

- Nie - odparła, przywołując w pamięci obraz młodego wdowca o nieco wymiętym wyglądem, którego szkoła zatrudniła w tym roku. Zastanowiło ją, po co Joan potrzebny jego domowy numer telefonu.

Kapitan Mahoney podał swojej współpracownicy oprawiony w czerwoną skórę notes z adresami, sam zaś ponownie zainteresował się łóżkiem. Ostrożnie odłożył na bok telefon i niedojedzonego hamburgera, po czym odciągnął prześcieradło.

- A cóż my tu mamy? - spytał retorycznie.

Bonnie obserwowała go, jak bierze w ręce duży album na wycinki z gazet i szybko przerzuca strony.

- Czy ktoś zna niejakiego Scotta Dunphy'ego? - padło po chwili pytanie.

Bonnie przeszył nieprzyjemny dreszcz rozpoznania, chociaż nie wiedziała dlaczego. Nie знаła nikogo o nazwisku Scott Dunphy.

- A Nicholas Lonergan?

Bonnie poczuła, że brak jej tchu, niewielki dreszcz przerodził się w potężny, skręcający żołądek skurcz.

- To nazwisko brzmi znajomo - stwierdził Mahoney, podnosząc na nią spojrzenie przymrużonych oczu.

- Nicholas Lonergan to mój brat - rzekła Bonnie, czując, jak sztywnieją jej plecy, podczas gdy nogi przeciwnie - trzęsą się jak galareta.

- Interesujące - stwierdził Mahoney niedbale. - Widzę, że parę lat temu wpakował się w niezłe tarapaty - co powiedziawszy, przewrócił kartkę, przechodząc na następną stronę.

- Nie rozumiem...

- A Steve Lonergan?

Bonnie odniosła wrażenie, że przestrzeń wokół niej uległa osobliwemu wypaczeniu, które sprawiało, że wszystkie słowa, zarówno te wypowiedziane przez innych, jak i przez nią zdawały się dochodzić z innego wymiaru.

- Mój ojciec - wyznała. Co tu się dzieje? Skąd w albumie Joan jej ojciec i brat, dwaj mężczyźni, z którymi ona nie rozmawiała od co najmniej trzech lat? Cóż to za pokrętny wyrok losu sprawił, że dokonane dziś rano morderstwo ponownie skrzyżowało ich drogi?

Policjant złożył album w jej ręce.

- Może panią zainteresować - powiedział. Nie ugięła się, mimo iż właśnie ciśnięto jej w ramiona cały ciężar przeszłości.

Spojrzała w dół, na pierwszą stronę albumu, niemal bojąc się tego, co tam ujrzy. Strona była prawie pusta, tylko pośrodku tkwił niewielki wycinek z gazety. „Dnia 27 czerwca

1989 r. w związek małżeński wstąpią Bonnie Lonergan i Rod Wheeler. Pani Lonergan jest nauczycielką języka angielskiego w szkole średniej. Pan Wheeler jest reżyserem programów informacyjnych w bostońskiej stacji telewizyjnej WHDH. Para młoda spędzi miesiąc miodowy na Bahamach."

Po co Joan to przechowywała? - zdziwiła się, przewracając stronę, cały czas świadoma, że Rod, którego ciepły oddech owiewał jej kark, zagląda jej przez ramię. Kolejny wycinek, datowany na 5 listopada tego samego roku, sprawił, że nad jej górną wargą pojawiły się kropelki potu. OSZUŚCI GRUNTOWI ZA KRATKAMI, głosił nagłówek. „Aresztowano dwóch mężczyzn podejrzanych o udział w spisku mającym na celu zdefraudowanie setek tysięcy dolarów. Scott Dunphy i Nicholas Lonergan, obaj z Bostonu, podejrzewani są o kierowanie siatką oszustów zamierzających okraść dziesiątki potencjalnych inwestorów..."

- Boże - szepnęła Bonnie i pomijając dalszą część artykułu, którego każde słowo znała na pamięć, szybko przeszła na następną stronę, gdzie jej oczom ukazało się wielkie czarno-białe zdjęcie o wyraźnie widocznym ziarnie, przedstawiające jej skutego kajdankami brata. Wzrok kobiety przylgnął na moment do przystojnego oblicza Nicka, otoczonego przyszyżoną na wysokości brody jasną strzechą zmierzwionych włosów, i natychmiast pobiegł dalej, na kolejną stronę albumu. „OSZUŚCI GRUNTOWI UNIEWINNIENI. Sędzia umorzył sprawę z braku dowodów".

A w centrum następnej, niemal pustej strony ogłoszenie z prasy: „Dnia 15 marca 1990 r. w związek małżeński wstąpią Adeline Swell i Steve Lonergan. Pan Lonergan jest doradcą ds. zatrudnienia. Pani Swell prowadzi biuro turystyczne. Para młoda spędzi miesiąc miodowy w Las Vegas". W ogłoszeniu zapomniano wspomnieć, iż dla każdego z „państwa młodych" będzie to już trzecie małżeństwo z rzędu.

Kolejną stronę wypełniały informacje o Rodzie. Napisany w pochlebnym tonie i ilustrowany zdjęciami artykuł o pracującym w stacji telewizyjnej WHDH dynamicznym reżyserze programów informacyjnych; notatka o narodzinach nowego przeboju telewizyjnego *Marli* i wspólne zdjęcie przebojowej pary oraz krótka wzmianka o rosnącej popularności prowadzonego przez Marłę talk show.

A potem powrót do dużo mniej pochlebnych zdjęć jej brata w kajdankach, tym razem nieco starszego i wymizerowanego, ze stojącym obok, dziwnie uśmiechającym się Scottem Dunphyem, pod sensacyjnym nagłówkiem: WINNI PLANOWANIA MORDERSTWA.

Bonnie szybko przewróciła kartkę. Nie miała ochoty wracać do tych kilku przykrych miesięcy pomiędzy śmiercią matki a narodzinami dziecka, które to wydarzenia, jak stwierdziła z narastającą irytacją, pieczołowicie odnotowano na następnych stronach albumu.

Ostatnią stronę w całości zajmowało duże zdjęcie Amandy, zrobione podczas tegorocznych świąt Bożego Narodzenia w domu towarowym Toys „R” Us. Fotografowi udało się uchwycić dziewczynkę stojącą przed wielkim pluszowym kangurem i ssącą w zadumie kciuk, podczas gdy jej druga rączka ufnie spoczywała w pluszowej łapie torbacza. Fotografia zdobiła swego czasu pierwszą stronę „Globe”. U Bonnie w domu, na biurku, stała jej oprawiona w ramy powiększona kopia.

- Nic z tego nie rozumiem - powtórzyła słabym głosem, czując odrętwienie na całym ciele. Jej spojrzenie pobiegło do Sama i Lauren: - Po co waszej mamie były te wycinki?

Ale żadne z dzieci nie odpowiedziało. Ich milczenie równie dobrze mogło oznaczać niewiedzę, jak brak zainteresowania, albo i jedno, i drugie po trochu.

- Tutaj jest nazwisko Nicka Lonergana - powiadomiła ich detektyw Kritzic, trzymająca notes Joan z takim namaszczeniem, jakby to była Biblia.

Bonnie poczuła, że jej serce zrywa się do wyjątego galopu.

- To niemożliwe - zaprotestowała, odnosząc wrażenie, iż pod jej stopami otwierają się ruchome piaski. Żeby nie dać się im wchłonąć, kurczowo chwyciła ramię Roda. - Oni się nawet nie znali.

Detektyw Kritzic głośno odczytała numer. Bonnie skinęła głową.

- To numer do mojego ojca - potwierdziła i zamilkła. W końcu ileż razy można powtarzać „nie rozumiem”?

- Czy wasza matka posiadała broń? - zwrócił się do dzieci policjant. Jeżeli miał jeszcze jakieś pytania na temat nazwiska brata Bonnie w notesie Joan, zatrzymał je dla siebie.

- Tak, pistolet - odpowiedziała Lauren.

- Trzymała go w górnej szufladzie komody - dodał Sam, wskazując palcem wysoki mebel z orzecha, stojący tuż obok okna, przy ścianie znajdującej się na wprost drzwi. Dolne szuflady komody były pootwierane, przez ich krawędzie zwieszało się kilka utrzymanych w żywej tonacji, kolorowych bluzek.

Na dotarcie do mebla wystarczyły kapitanowi dwa duże kroki. Otworzył górną szufladę i zanurzył w niej dłoń, przedzierając się przez intymne części garderoby Joan. Kilka par pończoch wymknęło mu się spod palców, opadając bezsilnie w dół, by osiąść z wdziękiem w poprzek czubków czarnych butów: - Wiecie może, jaka to była broń?

- Nie znam się na broni - rzekł Sam.

- Niech pan zapyta tatę - powiedziała Lauren. - To jego pistolet.

Oczy wszystkich skierowały się na Roda, który sprawiał wrażenie równie oszołomionego jak przed chwilą Bonnie.

- Jeśli dobrze pamiętam, panie Wheeler, mówił pan, że nie posiada broni - przypomniał kapitan Mahoney.

- Miałem trzydziestkę ósemkę - wyjąkał po chwili Rod. - Naprawdę, zupełnie o tym zapomniałem. Kiedy zaczęliśmy żyć w separacji, Joan ją zatrzymała. Twierdziła, że boi się być sama.

Sprawdziwszy po kolei wszystkie szuflady, kapitan Mahoney wyprostował się.

- Nic tu nie ma - stwierdził. - Ale później, jak już pójdziecie, poszukamy jeszcze raz. Dokładniej.

- Pójdziemy? Dokąd? - zdziwił się Sam.

- Przeprowadzicie się do nas - rzekła Bonnie, szukając potwierdzenia swoich słów u Roda, ale w odpowiedzi otrzymała jedynie puste spojrzenie. - Może spakujecie teraz trochę rzeczy? Po resztę będziemy mogli wstąpić w tygodniu.

- A co będzie, jeśli nie zechcemy z wami jechać? - zapytała z paniką w głosie Lauren.

- Albo pojedziecie z ojcem, albo zabiorę was do Izby Dziecka - interweniował kapitan Mahoney. - Ale myślę, że wolelibyście jechać z ojcem.

Bonnie skinęła z wdzięcznością. Skoro zachęcał dzieci, żeby jechały z nimi, z pewnością nie żywił wobec niej ani Roda poważnych podejrzeń.

Sam i Lauren przez kilka sekund rozważali przedstawione im możliwości, po czym odwrócili się i bez słowa wymaszerowali z pokoju. Wheelerowie sztywno podążyli za nimi.

Pokój Sama znajdował się naprzeciw sypialni matki. Łóżko było nie zaścienione, na komodzie poniewierały się stosy książek, gazet i setki czegoś, co wyglądało na rozsypane jednocentówki. Na ścianie, obok Cindy Crawford w stroju topless, królował paradujący w samej bieliźnie Axl Rose z zespołem Guns'N'Roses. Na brązowym dywanie leżała odrapana gitara akustyczna z pękniętą struną, parę kroków dalej wałała się rzucona w kąt flanelowa koszula z wychylającą się z kieszeni otwartą paczką cameli. Półkę pod oknem zajmował podobny do akwarium, duży szklany zbiornik. Wewnątrz, leniwie wyciągnięty, leżał wąż.

- Dobry Boże - szepnęła Bonnie. - Co to jest?!

- To L'il Abner - wyjaśnił z dumą Sam, a na jego twarzy po raz pierwszy, odkąd przyszedł do domu, pojawiło się ożywienie. - Ma dopiero osiemnaście miesięcy, ale już ponad metr długości. Boa dusiciel może osiągnąć nawet trzy, a w niektórych przypadkach i cztery metry. Zwłaszcza jeśli żyje na wolności.

Kapitan minął Bonnie, podchodząc do terrarium.

- Piękny - przyznał. - Czym go karmisz?

- Żywymi szczurami - padła odpowiedź.

Bonnie z trudem opanowała mdłości. To niemożliwe, by znajdowali się w pokoju chłopaka, który dowiedział się właśnie, że jego mama została zamordowana, i słuchali opowieści o karmionym żywym szczurami boa dusicielu, jego pupilku. Coś takiego nie może dziać się naprawdę.

- Mama nie miała nic przeciwko trzymaniu w domu tak egzotycznego zwierzęcia? - spytał kapitan Mahoney.

- Nie. Nie lubiła tylko, kiedy uciekł jakiś szczur - rzekł Sam.

Bonnie wędrowała spojrzeniem od Roda do jego syna, usilnie starając się znaleźć między nimi jakieś podobieństwo. Owszem, istniało pewne, lecz ledwie uchwytnie, zawarte raczej w ruchach i postawie niż w poszczególnych rysach, w sposobie, w jaki obaj pochylali pytającą głowy, w nieznacznym ściągnięciu warg, kiedy się uśmiechali, w nieświadomym geście, jakim obaj pocierali bok nosa, kiedy się nad czymś zastanawiali.

Być może zaszła pomyłka, wysunęła hipotezę Bonnie, zdarzył się jeden z tych strasznych przypadków, o których pisują w prasie - w szpitalu pomyłono noworodki. Sam nie jest prawdziwym synem Roda. Syn Roda jest normalnym, młodym człowiekiem z naturalnymi włosami i bez złotego kolczyka w nosie, jest chłopakiem, który płacze, kiedy mówią mu o śmierci matki, lubi psy i hoduje złote rybki.

- Jestem gotowa - oświadczyła od drzwi Lauren z przewieszoną przez ramię dużą torbą podróżną i małą podręczną torbą w dłoni.

- Co się stanie z domem? - spytał Sam.

- Jeszcze za wcześnie, żeby o tym myśleć - odparł Rod.

- Nie chcę go sprzedawać - rzekła Lauren.

- Jeszcze za wcześnie, żeby o tym myśleć - powtórzył Rod.

- A jak będę chodzić do szkoły? - w oczach Lauren ponownie zagościła panika.

- Na razie nie będziemy zawracać sobie głowy szkołą - powiedziała Bonnie.

- Ja będę cię woził - rzekł Sam. - Jak tylko odzyskam wóz mamy. - Następnie zwrócił się do kapitana Mahoneya:

- Kiedy oddacie nam samochód mamy?

Jeśli policjant był zaskoczony, nie dał tego po sobie poznać.

- Prawdopodobnie w najbliższym tygodniu.

Do pokoju weszła detektyw Kritzic, niosąc niewielką teczkę z dokumentami, którą bezzwłocznie podsunęła kapitanowi. Ten studiował jakiś czas jej zawartość, co parę chwil częstując Bonnie i Roda pełnym namysłu spojrzeniem. Skończywszy lekturę, zatrzasnął teczkę.

- Może wyjdziemy na korytarz? - zaproponował lekko. Zbyt lekko, pomyślała Bonnie, wychodząc w ślad za oficerem z pokoju.

- Znalazł pan coś? - spytał Rod.

- Nie powiedział nam pan, że ubezpieczenie byłej żony zawierało klauzulę podwójnego odszkodowania - zarzucił Rodowi Mahoney.

- Podwójnego odszkodowania? - powtórzyła Bonnie. Czują, że te dwa słowa nie wróżą niczego dobrego.

- W przypadku gdy śmierć następuje w wyniku wypadku lub morderstwa, kwota odszkodowania ulega podwojeniu - wyjaśnił kapitan Mahoney. - To czyni śmierć pańskiej eksmałżonki wartą pół miliona dolarów.

- To prawda - przyznał Rod.

- Czy są jeszcze jakieś polisy, o których powinienem wiedzieć?

- Ubezpieczenie na życie posiada cała moja rodzina - poinformował go Rod.

- Włączając w to pana aktualną żonę i dziecko?

- Kapitan Mahoney wyjął swój notes z tylnej kieszeni spodni.

Bonnie zeszytniała, słysząc słowo „aktualna”. Jakby jej obecna pozycja była tymczasowa i w każdej chwili mogła ulec zmianie.

- Wszyscy - odparł Rod.

- Z klauzulą podwójnego odszkodowania? - chciał wiedzieć policjant.

Rod skinął głową.

- Tak mi się wydaje.

Na korytarzu pojawił się Sam z przewieszoną przez ramię gitarą i owiniętym wokół szyi niczym szalik węzem boa, którego długi rozwidlony język złowieszczo dźgał powietrze.

- Będę potrzebował pomocy przy terrarium - powiedział.

## 7

Minęła północ. Bonnie stała obok łóżka i przez kilka długich sekund wpatrywała się w telefon, zanim wreszcie zdecydowała się podnieść słuchawkę, a po kolejnych kilku sekundach wahania wystukała numer.

- Proszę, bądź tam - szepnęła. - Szwendasz się gdzieś cały wieczór, jestem zmęczona.

Dopiero po szóstym sygnale ktoś po drugiej stronie podniósł słuchawkę.

- Tak? - powiedział wyraźny kobiecy głos. Nie „halo”, tylko „tak”. Jakby tamta osoba spodziewała się jej telefonu.

- Adeline... - zaczęła Bonnie.

- Bonnie, to ty?

Tak szybkie rozpoznanie wywołało w niej przypływ paniki, zrozumiała, że jest już za późno, aby się wycofać.

- Chciałabym porozmawiać z ojcem.

- Czy coś się stało?

- Po prostu chcę porozmawiać z ojcem.

- Niestety, nie może teraz podejść do telefonu. Znowu odezwał się jego żołądek. Czy powiesz mi, o co chodzi?

- Właściwie to chciałabym porozmawiać z Nickiem. Czy on tam jest?

Milczenie.

- Adeline, czy jest tam mój brat? Powiedz.

- Nie ma go.

Bonnie zaczerpnęła powietrza.

- Wiesz, że nie zadzwoniłabym, gdyby to nie było naprawdę ważne.

- Domyślam się, w końcu to pierwszy znak życia, jaki dałaś od ponad trzech lat.

Bonnie zamknęła oczy. Była zbyt zmęczona, by wdawać się w dyskusję.

- Słuchaj, ja po prostu muszę skontaktować się z Nickiem.

- Wszystko, co mogę zrobić, to przekazać mu, że dzwoniłaś - rzekła Adeline.

Bonnie oczyma wyobraźni ujrzała właścicielkę głosu dobiegającego ze słuchawki.

Była niska, zaledwie sto pięćdziesiąt centymetrów wzrostu, miała łagodne błękitne oczy, krótkie siwe włosy i żelazną wolę. Mimo swoich siedemdziesięciu lat dysponowała ogromną siłą ducha, wyczuwalną nawet przez telefon. Bonnie musiała przyznać, że nie jest dla swojej macochy żadnym przeciwnikiem, nigdy nim nie była. Do pokoju wszedł Rod, uśmiechnęła się do niego smętnie, patrząc, jak rozpiną koszulę.

- W porządku. Więc powiedz ojcu, że dzwoniłam - rzuciła do słuchawki. - Powiedz mu, że koniecznie muszę skontaktować się z Nickiem. Tak szybko, jak to możliwe. To naprawdę ważne.

- Przekażę mu.

- Dziękuję - powiedziała Bonnie, mimo że rozmówczynie wcześniej się rozłączyła. - Powiedz, że to tylko zły sen - poprosiła męża, kiedy podszedł, by wziąć ją w ramiona.

- To tylko zły sen - powtórzył posłusznie, składając na jej czole czuły pocałunek, jednocześnie wyjmując z dłoni i odkładając na miejsce milczącą słuchawkę.

- Dzieci już się rozlokowały?



- Mniej więcej. - Pocałował ją w policzek.  
- Pójdę powiedzieć im dobranoc.  
- Myślę, że lepiej zostawić je w spokoju - doradził cicho Rod, a jego głos spłynął w dół i jak kotwica owinał się wokół kostek żony, zatrzymując ją w miejscu.

- Chciałabym tylko, żeby wiedziały, że jestem do ich dyspozycji.  
- One wiedzą - zapewnił ją. - Daj im tylko czas, żeby to zrozumiały.

Skinęła, mając nadzieję, że Rod się nie myli.

- Chodźmy do łóżka.  
- Ojciec może zadzwonić...  
- Kto powiedział, że będziemy spać? - Wargi Roda prowokacyjnie zbliżyły się do jej ust.

- Chcesz się teraz kochać? - spytała niedowierzająco. Dopiero co przeżyła jeden z najkoszmarniejszych dni w życiu. Znalazła ciało zamordowanej eksmałżonki swego męża, została przewieziona na komisariat i poddana przesłuchaniu, odziedziczyła w spadku dwoje wrogo usposobionych pasierbów, nie wspominając o ponadmetrowym boa dusicielu. Została pobita przez pasierbicę i zbita przez macochę. Miała mętlik w głowie, była wściekła i wyzuta z sił. A jej mąż...? Jej mężowi zebrało się na amory.

- Uważaj na moją wargę - ostrzegła, kiedy ponowił pocałunek, tym razem dużo namiętniej, wędrując dłońmi w kierunku jej piersi. A właściwie dlaczego by nie? - pomyślała, czując jak jej ciało pomimo zmęczenia odpowiada na pieszczoty męża. Lepszy taki pomysł niż żaden.

- Mamusiu! - głosik Amandy doturlał się do nich jak kamyk, niepewny, czy powinien dotrzeć do celu. - Mamusiu!

Bonnie delikatnie wyzwoliła się z objęć męża.

- Pewnie miała za dużo wrażeń jak na jeden wieczór - usprawiedliwiła małą.  
- Mamusiu!

- Już idę, kochanie - powiedziała i pośpieszyła w głąb korytarza, mijając po drodze zarówno pokój gościnny, zajmowany teraz przez Lauren, jak i mały gabinet, w którym znalazł schronienie Sam ze swoim wężem.

- Co się stało, kotku? - spytała, wchodząc do sypialni Amandy.

Dziewczynka siedziała pośrodku łóżeczka z baldachimem, otoczona przez prawdziwy pluszowy zwierzyniec: dużego różowego misia pandę, małego białego kotka, średnich rozmiarów brązowego pieska, dwa malutkie biało-czarne misiaczki i żabę Kermita. Wielki pluszowy kangur, w którym zakochała się podczas pamiętnego pobytu w Toys „R” Us, tkwił

w nogach łóżeczka, z szeroko rozpostartymi łapkami, jakby był zdecydowany przeciwdziałać wszelkiemu złu.

- Nie mogę spać - poskarżyła się Amanda.

- Wiem, to normalne. - Bonnie podeszła do łóżeczka, już od drzwi dostrzegając wynurzającą się stopniowo z ciemności okrągłą twarzą Amandy, jakby rozświetlało ją wewnętrzne światło. I pewnie rozświetla, pomyślała kobieta, dziwiąc się, iż brała udział w stworzeniu czegoś tak pięknego, tak absolutnie doskonałego jak to dziecko. Amanda Lindsay Wheeler - powtórzyła w myśli - cała w złotych lokach, z pełnymi jak u wiewiórki policzkami, z ogromnymi błękitnymi oczami i zadartym noskiem. „Cud, miód, ultramaryna, taka jest każda dziewczyna.” Nagłe ukłucie bólu w wardze skłoniło ją do uniesienia dłoni.

A potem te śliczne dziewczuszki dorastają, pomyślała.

Pyzate policzki szczupleją, rysy wyostają się, spojrzenie z zaciekawionego zmienia się w lękliwe, usta z uśmiechniętych stają się nadąsane. Mały berbecz już przeistoczył się w dziewczynkę. Już uśpiony w kokonie jej ciała podłotek próbuje przedwcześnie wyrwać się na wolność.

- Mamo, myślisz, że Lauren jest ładna? - Amanda zaskoczyła ją niespodziewanym pytaniem.

- Myślę, że tak - odpowiedziała. - A ty? Amanda skinęła energicznie głową.

- Czy ona będzie teraz moją starszą siostrą?

- A chciałabyś?

Amanda ponownie skinęła głową, podkreślając ten ruch całym ciałem.

- Zdrzemnij się teraz, kochanie - powiedziała Bonnie, całując małą w czoło, po czym starannie otuliła ją kołdrą i skierowała się do drzwi.

- Kocham cię - zawołała za nią Amanda.

- Ja ciebie też kocham, serduszko.

- Ja kocham cię bardziej.

Bonnie zatrzymała się, z uśmiechem kontynuując wymianę zdań, która stała się ich wieczornym rytuałem.

- To niemożliwe, nie da się już bardziej. Amanda zachichotała spod kołdry.

- No to kochamy się po równo.

- Dobrze - zgodziła się Bonnie, stając w progu - kochamy się po równo.

- Ale ja kocham cię bardziej!

Zamiast odpowiedzi przesłała córce całusa, patrząc, jak mała łapie go w powietrzu i przykleja sobie do policzka. Następnie wyszła na korytarz.

Przez zamknięte drzwi małego pokoju wciąż sączyło się światło. Bonnie zawahała się i zapukała, a nie słysząc odpowiedzi, ostrożnie otworzyła drzwi.

Sam leżał na rozłożonym tapczanie, ubrany tylko w swoje workowate spodnie, ze zwisającym z warg papierosem, którego popiół spadał wprost na jego nagą pierś. Ujrawszy Bonnie, poderwał się gwałtownie i popiół sfrunął szarym deszczem na ciemną wykładzinę.

- Wiem, że nie powinienem tutaj palić - powiedział szybko, rozglądając się za miejscem, w którym mógłby zgasić papierosa. W końcu zgasił niedopałek palcami.

Bonnie popatrzyła bezradnie po niewielkim pomieszczeniu, które dotychczas zawsze było dla niej azylem, zacisznym gabinetem, w którym mogła się schronić, by w spokoju sprawdzać wypracowania i klasówki, w którym mogła przygotować się do lekcji, poczytać lub wypocząć. Teraz duży ekran telewizora był niemal niewidoczny spod rzuconych na niego ubrań, o bladej ścianę opierała się gitara, żółte i zielone kwiaty zdobiące pokrycie łóżka upstrzone były siwymi płatkami popiołu, a na masywnym dębowym biurku rozpięto się szklane terrarium. Oprawione zdjęcie Amandy stało na brzegu biurka, a komputer został zestawiony na podłogę. Bonnie zdrętwiała.

- Gdzie wąż? - spytała, w ułamku sekundy rejestrując, że terrarium jest puste.

Sam podniósł długie chude ramię i wskazał na okno.

- Tam, na parapecie. Wydaje mu się, że jest kotem.

Spojrzenie Bonnie niechętnie pobiegło w dalszy koniec pokoju, gdzie znajdowało się okno. Zielone zasłony były częściowo rozchylone; za nimi dostrzegła zwinięte spiralnie ciało węża.

- Czy mógłbyś trzymać go w terrarium, kiedy jesteśmy w domu? - spytała nieco piskliwie, z trudem zwalczając chęć rzucenia się z krzykiem w głąb korytarza.

- Jasne - rzekł Sam, nie ruszając się z miejsca. Bonnie zatrzymała się w drzwiach.

- Wszystko w porządku? - zapytała. - Może chciałbyś o czymś porozmawiać?

- Na przykład o czym?

Bonnie nie wiedziała, co na to odpowiedzieć („Może o pogodzie?", „Albo o Red Soxach?", „A może o tym, że rano zamordowano ci matkę?"), więc nie odezwała się w ogóle. Czekala, próbując wyczytać coś z nieprzeniknionych rysów chłopca i zastanawiając się nad ironią faktu, że synowie tak wiele dziedziczą po matkach, podczas gdy córki z reguły wdają się w ojców. Tak w każdym razie było w wypadku Sama i Lauren. I tak było z nią i Nickiem.

- Dobranoc, Sam - powiedziała wreszcie, zastanawiając się, czy brat zadzwoni do niej. - Zobaczymy się rano.

Po czym wyszła, delikatnie zamykając za sobą drzwi, akurat w momencie, kiedy z pokoju gościnnego wynurzyła się Lauren. Widząc ją, Bonnie cofnęła się odruchowo.

- Idę tylko do łazienki - rzekła dziewczynka, kierując się ku drzwiom w końcu korytarza.

- Wywiesiłam świeże ręczniki i położyłam nowe mydło - poinformowała Bonnie mijając ją Lauren. - Gdybyś jeszcze czegoś potrzebowała...

Dziewczyna weszła do łazienki i zamknęła za sobą drzwi.

- ...po prostu zawołaj - dokończyła gospodyni, zwracając się do pustych ścian. „Daj im trochę czasu”, powiedział Rod. Oby się nie mylił.

Po powrocie do sypialni zastała męża w łóżku.

- Już do ciebie idę - powiedziała, ściągając przez głowę sukienkę i ciskając ją wprost na podłogę. Następnie wyskoczyła z bielizny i wsunęła się pod kołdrę, wybiegając myślą ku rozkoszom czekającym ją w ramionach męża. Może się nie mylił. Zawsze dobrze wiedział, gdzie i jak ją dotknąć, żeby do niej dotrzeć. Przytuliła się do niego, czując miarowe wznoszenie się i opadanie jego nagiej piersi.

Po chwili uświadomiła sobie, że Rod śpi. Pogładziła z uśmiechem jego ciepłą skórę i delikatnie ucałowała lekko rozchylone usta. Wygląda jak chłopiec, pomyślała, zauważając, że sen magicznym sposobem wygładził zmarszczki wokół jego oczu i bruzdy wokół ust.

Jednocześnie zrozumiała, że sama za nic nie zaśnie. Wstała i poszła do łazienki, gdzie wyszorowała zęby oraz ochlapała twarz wodą, starając się nie urazić przy tym opuchniętej wargi. Jej umysł wypełniało zbyt wiele niepokojących dźwięków i obrazów: głos Joan w słuchawce telefonu, ciało Joan przy kuchennym stole w domu przy Lombard Street, dziura w jej piersi, a potem jej sypialnia, album z wycinkami, nazwisko Nicka w notesie Joan, przekłeta polisa ubezpieczeniowa z klauzulą podwójnego odszkodowania, gwałtowna śmierć, dwoje osieroconych dzieci. Dlaczego? Co to wszystko ma znaczyć?

- Nie zasnę całą noc - jęknęła, ponownie zakopując się w pościeli i zamykając oczy. W chwilę potem już spała.

We śnie Bonnie znalazła się przed swoją klasą, właśnie przystępowała do przeprowadzenia egzaminu końcowego.

- To trudny test - powiedziała, spoglądając po zdezorientowanych twarzach uczniów.  
- Mam nadzieję, że jesteście przygotowani.

Następnie zaczęła szybko wędrować między rzędami, kładąc przed każdym uczniem formularz z testem, wsłuchując się w pomruki niezadowolenia oraz chichoty. Podniósłszy wzrok, zdała sobie sprawę z tego, że ktoś udekorował salę jak na przedszkolne Halloween, z

podwieszonymi pod sufitem wiedźmami, siedzącymi okrakiem na kijach od mioteł, czarnymi sylwetkami kotów wygiętych w łuk i pękatymi dyniami z przerażającymi twarzami i głębokimi, mrocznymi dziurami w miejsce oczu.

- Możecie zaczynać, gdy tylko skończę rozdawać - poinformowała, ponownie koncentrując się na swojej pracy. Rozległ się głośny śmiech. - Czy ktoś mógłby mi powiedzieć, co w tym śmiesznego? - zapytała.

Haj podniósł się ze swojego miejsca i nie śpiesząc się, ruszył w jej kierunku.

- Mam dla pani wiadomość od ojca - powiedział, a z kieszeni wypadła mu paczka skrętów.

- Tu nie wolno palić - przypomniała mu Bonnie.

- Powiedział, że była pani niegrzeczna - rzekł Haj, spoglądając w stronę okna.

Bonnie podążyła oczami za jego wzrokiem i ujrzała dużego boa dusiciela prześlizgującego się między staromodnymi grubymi żaluzjami.

- To nieprawda - zaprotestowała - jestem grzeczna.

Nagle rozległ się alarm przeciwpożarowy, w sali zapanowało poruszenie, wszyscy uczniowie rzucili się do ucieczki. Popychana i potrącana Bonnie w końcu straciła równowagę, przewróciła się, a wszyscy przetoczyli się nad nią, deptając ciężkimi buciorami.

- Niech mi ktoś pomoże! - zawołała za nimi poraniona i ociekająca krwią, podczas gdy boa spadł wreszcie na podłogę i energicznie zaczął pełznąć w jej kierunku. Przy akompaniamencie przenikliwego dzwonka alarmu jego wielka paszcza rozwarła się na niewiarygodną szerokość stu osiemdziesięciu stopni, a mroczna gardziel zamajaczyła jak tunel.

Bonnie rzuciła się na łóżku, obronnym gestem wyciągając przed siebie dłonie, lecz dźwięk dzwonka nadal wypełniał jej uszy przenikliwym trelem.

Wreszcie dotarło do niej, że to nie żaden alarm, tylko telefon.

- Słodki Jezu - jęknęła, próbując głębokim oddechem uspokoić oszalałe bicie serca. Następnie sięgnęła przez śpiącego męża i chwyciła słuchawkę, jednocześnie zerkając na wmontowany w radio podświetlany zegar. Prawie druga.

- Halo? - rzuciła zachrypniętym głosem, niepewna, czy wpaść w popłoch czy oburzyć się.

- Podobno pytałaś o mnie.

- Nick?

Czując w żołądku nerwowy ucisk, Bonnie oparła się plecami o poręcz łóżka, niechętny przeciągając przy tym sznurem od słuchawki po twarzy męża. Rod poruszył się i otworzył oczy.

- Co mogę dla ciebie zrobić, Bonnie?

Albo o tym nie wie, albo nie dba, że właśnie jest środek nocy i niektórzy o tej porze śpią, pomyślała Bonnie, wyobrażając sobie młodszego brata z przetłuszczoną blond grzywką spadającą na osadzone blisko siebie zielone oczy, i z małym, delikatnym noskiem, zupełnie nie przystającym do jego twarzy twardziela.

Głos Nicka brzmiał tak jak zawsze - pół na pół wdzięku i tupetu. Pamiętała, jak wspaniale potrafił ją rozśmieszyć. Kiedyś ów śmiech nieodwołalnie się urwał. Kiedy to było?

- Nie wiedziałam, że wyszedłeś z więzienia.

- Powinnaś częściej dzwonić.

- Mieszkasz u taty?

- Warunek zwolnienia. Ale może przejdźmy do sedna sprawy. Dlaczego chcesz ze mną rozmawiać?

- Dzisiaj została zamordowana Joan Wheeler - powiedziała Bonnie i zamilkła w oczekiwaniu na reakcję.

- A co to ma wspólnego ze mną? - zapytał jej brat po dłuższej pauzie.

- To ty mi powiedz, Nick. Policja znalazła twoje nazwisko w notesie Joan.

W słuchawce zapanowała martwa cisza.

- Nick? Nick? - Potrząsnęła głową, podając Rodowi słuchawkę. - Rozłączył się.

Rod usiadł. Przeciągnął dłonią po zmierzwionych włosach i odłożył słuchawkę na miejsce, mówiąc:

- Myślisz, że mógł mieć coś wspólnego ze śmiercią Joan?

- Joan zadzwoniła rano, żeby ostrzec mnie przed jakimś niebezpieczeństwem - głośno wypowiedziała swoje myśli Bonnie. - Kilka godzin później znalazłam ją martwą, a policja odkryła w jej notesie nazwisko Nicka. Sama nie wiem, co o tym myśleć.

- Sądzę, że najlepiej będzie zdać się na policję.

- Oni myślą, że to ja zamordowałam Joan - przypomniała mu.

Rod objął ją ramieniem, tuląc mocno do swojego boku.

- Nie, oni myślą, że to ja ją zabiłem. W końcu to ja was poubezpieczałem. I to z klauzulą podwójnego odszkodowania, jeśli sobie przypominasz.

- Dzięki.

- Do usług.

Siedzieli wsparci o poduszki, Bonnie częściowo wtulona plecami w Roda, który zgiął się, otaczając ją swoim ciałem niby dużą łyżką.

- Oczywiście jest jeszcze ten Josh Freeman - dodała po kilku sekundach.
- Kto?
- Josh Freeman, nauczyciel plastyki. On również jest w notesie Joan i ma związek ze mną.
- Śpij już, Nancy Drew.
- Kocham cię - szepnęła w odpowiedzi.
- Ja ciebie też kocham.
- Ale ja kocham cię bardziej - rzekła Bonnie, czekając na odpowiedź. Lecz Rod uściśnął tylko jej ramię i milczał.

## 8

Pogrzeb Joan odbył się pod koniec tygodnia.

Bonnie siedziała w pierwszym rzędzie obok Roda i dzieci. Dziwiła się wielkiej liczbie żałobników przybyłych do małej kapliczki i próbowała odgadnąć tożsamość każdego, aby określić, co - jeśli w ogóle coś - łączyło ich ze zmarłą.

Roda powiedział, że Joan nie miała przyjaciół, a jedynie „kumpli od kieliszka”. Tymczasem w kapliczce tłoczyła się ponad setka ludzi cisnących się w ławkach i przypierających wzajemnie do ścian. Z pewnością nie mogli to być jedynie przypadkowi znajomi, z którymi Joan wypila kiedyś kilka drinków. Niemożliwe też, by wszyscy obecni byli jej współpracownikami, chociaż grupka nienagannie ubranych kobiet ze starannie ułożonymi fryzurami, w których nie drgnął nawet jeden włos, zajmująca ostatnie rzędy, niewątpliwie stanowiła delegację z agencji nieruchomości Ellen Marx. Co prawda było możliwe, że spora część obecnych w ogóle nie znała zmarłej, przygnana na uroczystości niezdrową ciekawością rozbudzoną przez doniesienia w prasie i telewizji, podniecona widmem nagłej i gwałtownej śmierci w samym sercu ich spokojnej społeczności.

Na początku uroczystości Bonnie zarzucała spojrzenie jak sieć, ogarniając nim wszystkich obecnych w polu widzenia i wypuszczając kolejno jednego po drugim. Przy tylnym wyjściu stali odświętnie ubrani kapitan Mahoney i detektyw Kritzic, ona w tonacji jasnopopielatej, on w kolorach ciemnoniebieskich. Uważnie obserwowali wewnątrz kaplicy, wyczuleni na każdy nietypowy gest. Oprócz tych dwojga w tłumie żałobników znajdowało się jeszcze kilku policjantów w cywilu, lecz podobnie jak agentki nieruchomości łatwo było ich

rozpoznać: kim bowiem, jeśli nie policjantem, mógł być ciemny blondyn w prążkowanym niebieskim krawacie, który siedział z tyłu i wodził za każdym uważnym spojrzeniem wodnistych brązowych oczu, albo stojący w pobliżu tylnych drzwi dwaj mężczyźni, niedbale ubrani i szepczący do siebie pod osłoną dłoni?

Ale co z tą resztą, z tym tłumem mężczyzn i kobiet żegnających Joan ze ściśniętym gardłem i szczerymi łzami w oczach? Kim jest ta pocieszająca się wzajemnie para w średnim wieku, siedząca w trzecim rzędzie, po drugiej stronie głównej nawy? Kim są ludzie w ławce za nimi, dzielący się cicho wspomnieniami o zmarłej przyjaciółce? Czy rzeczywiście mówią o Joan? Bonnie odchyliła się do tyłu, próbując uchwycić fragment rozmowy, lecz głosy przycichły, jakby rozmawiający zdali sobie sprawę z jej zainteresowania.

Oprócz dzieci Joan nie miała żadnych żyjących krewnych. Żadnych siostr ani braci, którzy mogliby ją pochować. Szczęśliwa jedynaczka, pomyślała Bonnie, zerkając lekliwie przez ramię, niemalże spodziewając się ujrzeć w drzwiach kaplicy swego brata, gotowego przyjść tutaj z czystej złośliwości, tylko po to, by ujrzeć na jej twarzy nie mile zaskoczenie. Ciekawe, czy policja skontaktowała się z nim - zastanowiła się mimowolnie, po czym zdecydowanie usunęła brata ze swoich myśli, koncentrując się na otoczeniu. Uśmiechnęła się do Diany, przybyłej tu specjalnie po to, by ofiarować jej moralne wsparcie, i skinęła do siedzącej za nią Marli Brenzelle, która w intensywnie różowej sukni bardziej przypominała matkę panny młodej niż uczestnika pogrzebu. Ta ostatnia jednak nie zauważyła gestu, zajęta przybieraniem pełnej namaszczenia pozy dla kręcących się w pobliżu fotoreporterów. Czy wszystko jest dla niej jedynie pretekstem do udanych fotografii? Czy nie ma w jej życiu chwili, w której nie zachowywałaby się jak własna chodząca reklama? - zastanawiała się Bonnie. Kiedy skierowała spojrzenie w bok, poczuła, jak zapiera jej dech, gdyż w polu widzenia nagle pojawił się Josh Freeman. Dlaczego nie zauważyła go wcześniej?

Wyglądał dokładnie tak jak w szkole. Niedbale przystojny, jakby jego uroda stanowiła życiową niewygodę, mankament, z którym nauczył się żyć, ale nigdy naprawdę się z nim nie pogodził. Kiedy po raz pierwszy pojawił się w pokoju nauczycielskim, w żeńskiej części grona pedagogicznego zawrzało, każda chciała dowiedzieć się czegoś więcej o spokojnym, mówiącym łagodnym tonem wdowcu z Nowego Jorku. Niestety Josh Freeman okazał się osobą równie nieprzystępną co atrakcyjną, wołał spędzać przerwy we własnym towarzystwie, z resztą nauczycieli obcując jedynie sporadycznie, chociaż ilekroć Bonnie miała z nim jakiś kontakt, zawsze okazywał się miły i uprzejmy. Tym dziwniejsza wydała jej się obecność Josha Freemana na pogrzebie. Co on tu robił? Skąd, do jasnej anielki, znał Joan?

Bonnie pochyliła się do przodu.



- Pan Freeman jest tutaj - szepnęła do Sama, który natychmiast obejrzał się za siebie i pomachał nauczycielowi, tak beztrąsko i naturalnie, jakby spotkali się na meczu bejsbolowym.

Powoli, ostrożnie podeszła do nich jakaś kobieta. Zrównawszy się z Lauren, stanęła; jej oczy wezbrały łzami.

- Lauren - zaczęła, obiema rękami ujmując dłoń dziewczynki. Patrząc na nie, trudno było stwierdzić, która z nich jest bardziej roztrzęsiona. - Sam - dodała, próbując zdobyć się na uśmiech, lecz jej usta popadły w niekontrolowane drżenie i żeby się opanować, musiała zacisnąć na nich dłoń. - Tak nam przykro z powodu waszej mamy - zdołała wyszeptać. - Oboje z Lyle'em nie możemy wprost uwierzyć w to, co się z nią stało.

Dopiero teraz Bonnie zdała sobie sprawę z obecności niskiego krępego mężczyzny, który stał za swoją wysoką jasnowłosą towarzyszką i dodawał jej otuchy, ściskając ją dłonią za ramię.

- Była takim wspaniałym człowiekiem - kontynuowała nieznajoma. - Nie przyszedłbym dzisiaj, gdyby nie chodziło o waszą mamę. Byłam jej to winna za wszystkie dobrodziejstwa, jakich od niej doznałam. Nie chce mi się wierzyć, że odeszła. Nie chce mi się wierzyć, że ktoś tak bardzo chciał ją skrzywdzić. Wasza mama była wielką damą. Naprawdę.

Z jej ust wydarł się głośny szloch. Dłoń jej męża wzmocniła chwyt, marszcząc delikatny jedwab granatowej sukienki.

Wielką damą? Wspaniałym człowiekiem? O kim, na Boga, mówi ta kobieta? Bonnie spojrzała na Roda, który przypatrywał się nieznajomej z tępą obojętnością.

Lauren wstała i wzięła kobietę w objęcia.

- To ja powinnam cię jakoś pocieszyć - powiedziała nieznajoma, odsunawszy się. Otarła dłonią płynące uparcie łzy.

- Nic mi nie będzie, poradzę sobie - zapewniła ją Lauren.

Kobieta wyciągnęła dłoń i czule pogłaskała dziewczynkę po policzku.

- Wiem, wiem.

Ponownie spróbowała się uśmiechnąć, tym razem z pewnym powodzeniem.

- Twoja mama tak bardzo cię kochała. Bez przerwy o tobie mówiła. Lauren to, Lauren tamto. Moja Lauren, mówiła, moja śliczna Lauren. Była z ciebie taka dumna... Z was obojga - dodała, próbując poniewczasie włączyć w to Sama.

Chłopak skinął głową i szybko odwrócił wzrok.

- W każdym razie gdybyście kiedykolwiek nas potrzebowali - dodała na zakończenie, podczas gdy Lauren z powrotem zajęła swoje miejsce w ławce - wiecie, gdzie nas szukać. Zawsze możecie na nas liczyć. - Jej wzrok prześliznął się po Bonnie i zatrzymał na Rodzie.

Rod podniósł się szybko.

- Caroline - powiedział, wyciągając dłoń. - Przykro mi, że spotykamy się ponownie w tak niemiłych okolicznościach. Witaj, Lyle.

- Witaj, Rod - chłodno odpowiedział na jego powitanie mężczyzna.

- Dobrze wyglądasz - powiedziała kobieta, ignorując wyciągniętą ku niej dłoń.

- Brzmi to, jakbyś się rozczarowała.

- Mam prawo oczekiwać jakiejś sprawiedliwości.

Bonnie przyłapała się na tym, że wstrzymuje oddech, ostrożnie przenosząc spojrzenie pomiędzy dwojgiem jawnych wrogów. Kim są ci ludzie? Skąd w nich to nieprzyjazne nastawienie do jej męża?

- Dziękuję, że przyszedliście na pogrzeb - powiedział Rod tak cicho, że niemal niedosłyszalnie.

Kobieta skupiła uwagę na Bonnie.

- Pani musi być Bonnie. Joan wyrażała się o pani bardzo pochlebnie.

- Naprawdę?

Zanim odwróciła się na pięcie, kobieta zaleciła jeszcze zdecydowanie:

- Proszę dobrze opiekować się jej dziećmi - i odeszła z powrotem do nawy bocznej, a jej mąż powlókł się za nią.

Bonnie niezwłocznie zwróciła się do Roda:

- O co tu chodzi? Kim są ci ludzie? Rod usiadł.

- To Gossettowie - wyjaśnił, zakładając ramiona na piersi. Bonnie natychmiast przywołała w pamięci ich nazwisko znajdujące się w notesie Joan. Caroline i Lyle Gossett. Mieszkają po drugiej stronie ulicy. Dawni przyjaciele, jak określił ich Rod.

- Wydaje się, że nie jesteś z nimi w najlepszych stosunkach.

- Nie da się zadowolić wszystkich - brzmiała gładka odpowiedź.

Jak do tego doszło? - chciała zapytać Bonnie, ale po krótkim namyśle zrezygnowała. To nie czas ani miejsce na obnażanie i rozdrapywanie starych ran, pomyślała, postanawiając później zapytać o to Roda.

Do uszu Bonnie dotarło ciche pociąganie nosem. Zerknęła na Lauren, która sprawiała wrażenie zagubionej w swojej długiej, luźno spływającej błękitnej sukience.

- Dobrze się czujesz? - spytała, lecz dziewczynka nie odpowiedziała, miętosząc w dłoniach materiał sukienki.

- Może chcesz chusteczkę? - nie dawała za wygraną Bonnie, wyciągając w stronę Lauren wiotki prostokąt białego papieru, ta jednak w dalszym ciągu nie przyjmowała do wiadomości jej zabiegów.

Bonnie wsunęła swoją dłoń w dłoń Roda. Pomóż mi, poprosiła milcząco. Pomóż nawiązać kontakt z tymi dziećmi. Powiedz mi, jak do nich dotrzeć.

Ale zaraz przyszła refleksja: Jak? Jak Rod miałby jej: pomóc, skoro sam tych dzieci - swoich dzieci - prawie nie znał?

Odmawiały postawienia stopy w nowym domu ojca, nie chcąc stać się częścią jego nowego życia. Narastające przez lata rozbieżności w rozkładach zajęć i przywiązanie, które dzielił między nową żoną a dziećmi, sprawiły, że cotygodniowe wizyty Roda u nich stawały się coraz bardziej nieregularne, a wreszcie wręcz sporadyczne. To nie była jego wina. I nie wina dzieci. To nie była niczyja wina. Taki scenariusz narzuciło im życie.

Ostatni tydzień okazał się dla niej bardzo trudny. Najwyraźniej dalej była podejrzana. Policja już kilkakrotnie wracała, by zadać jej kolejne pytania oraz odbyć rozmowę z Samem i Lauren. Bonnie nie była wtajemniczana w tematykę tych rozmów, a dzieci nie paliły się do opowiadania o nich ani jej, ani swemu ojcu. W ogóle mało mówiły, nie wykazując żadnej inicjatywy i wycofując się, ilekroć na horyzoncie pojawiła się Bonnie. Swoje pokoje opuszczały tylko po to, by jeść, a i to niechętnie. Po kilku dniach od śmierci Joan Rod wrócił do pracy. Bonnie miała ochotę zrobić to samo, zwłaszcza że jej przebywanie w domu było niedoceniane, lecz czuła, że nie powinna zostawiać Sama i Lauren samych w obcym otoczeniu. Jeszcze nie teraz. Musi być tu na wypadek, gdyby jej potrzebowali. Przynajmniej do pogrzebu.

Dobra z ciebie dziewczynka, powiedziała by na to jej matka. Na wspomnienie matki, kolejnej kobiety, która odeszła zbyt wcześnie, oczy Bonnie wypełniły się łzami. Cóż za ironia, pomyślała, iż tak czy siak opuściłam ten tydzień w pracy, chociaż nie miało to nic wspólnego z romantyczną wycieczką, jaką sobie wymarzyłam. Znowu obróciła się, zastanawiając się niespokojnie, czy wśród zgromadzonych żałobników na pewno nie ma Nicka. Moje ty chodzące wcielenie dobroci - nie wiedzieć czemu ponownie zabrzmiały jej w uszach słowa matki.

- Co się dzieje? - zapytał Rod, opasując ręką jej ramiona i przyciągając ją do siebie.

Bonnie potrząsnęła głową, wracając spojrzeniem do stojącej przed nimi, przykrytej stosem kwiatów trumny.

Choć w jej ubiorze wszystko było w porządku, poprawiła kołnierzyk popielatej jedwabnej bluzki i wygładziła fałdy czarnej spódnicy. W przejściu między ławkami rozległo się Jakieś szuranie. Kiedy tam zerknęła, ujrzała przyjaciela Sama, Haja, torującego sobie drogę w grupie tłoczących się kobiet.

- Dzień dobry - powitał ją. - Jak leci?

Na podium wkroczył wysoki siwowłosy mężczyzna.

- To wielki smutek i żal - zaczął cicho - że spotykamy się tu dzisiaj, by pochować naszą siostrę, Joan Wheeler. To, że tak licznie tu przybyliście, świadczy o wielkim poważaniu, jakim zmarła cieszyła się za życia. Życzliwość, oddanie, poczucie humoru - wyliczał, a Bonnie znowu zastanowiła się, kogo dotyczy ta mowa pochwalna - oto cechy, których nie utraciła do końca mimo innych tragicznych strat, które ją dotknęły.

W dalszym ciągu swego przemówienia mężczyzna z dumą wygłaszał długą listę talentów Joan, rozpluwając się nad miłością, jaką darzyła swoje dzieci, i ledwie napomykając o okolicznościach śmierci najmłodszego z nich, stosując wygodne eufemizmy dla określenia alkoholizmu, w który się później stoczyła, i przekonując, że kilka dni przed śmiercią Joan zwierzyła mu się z mocnego postanowienia poprawy, zerwania z nałogiem oraz zaprowadzenia porządku w domu.

Nielatwe zadanie, pomyślała Bonnie, mając w pamięci stan, w jakim znajdowała się sypialnia Joan. Strumień pochwał lał się nadal, lecz Bonnie przyłapywała się na chwilach nieuwagi, kiedy to bezskutecznie usiłowała dopasować obraz zmarłej kobiety wyłaniający się ze słów siwowłosego mężczyzny do tego, co mówił o niej Rod. Z wypełniającego kaplicę tłumy co jakiś czas dochodziły ją stłumione szlochy. Kim była kobieta przez tak wielu oplakiwana? Odszukała spojrzeniem Sama. I dlaczego wciąż nie ma łez w oczach jej syna?

Wreszcie nabożeństwo dobiegło końca. Kilku mężczyzn podniosło trumnę, wzięło ją na ramiona i ruszyło w kierunku wyjścia, aby umieścić ją na karawanie. Rod wraz z dziećmi szedł zaraz za nimi, Bonnie trzymała się nieco z tyłu, idąc ze wzrokiem wbitym prosto przed siebie, aby uniknąć spojrzenia w oczy komuś z obecnych, niemal obawiając się, kogo jeszcze mogłaby tu spotkać. Drzwi kapliczki otworzyły się wpuszczając do środka oślepiająco jasne światło popołudniowego słońca, chociaż powietrze nadal było chłodne. Powinna była włożyć żakiet, pomyślała Bonnie, dygocząc z zimna.

Nagle z całą mocą dotarły do niej otaczające ją dźwięki, hałas samochodów przejeżdżających ruchliwą arterią Commonwealth Avenue, głosy tłoczących się wokół niej ludzi. Odruchowo zastanowiła się, jak wielu spośród nich pojedzie na cmentarz. Prawdopodobnie nikt, powiedziała przed nabożeństwem. Prawie wszyscy, myślała teraz.

Kątem oka uchwyciła sylwetkę Josha Freemana.

- Panie Freeman - zawołała za nim, lawirując pomiędzy żalobnikami i zastanawiając się przelotnie, dlaczego kolegę z pracy woła po nazwisku. - Panie Freeman. Josh...

Zatrzymał się i odwrócił.

- O! Pani Wheeler - rozpoznał ją. Na twarzy osiadł mu cień zakłopotania. Czyżby był zaskoczony, widząc ją tutaj? Nie wiedział, że jest żoną ojca Sama?

- Nie miałam pojęcia, że znasz Joan - powiedziała, nie bardzo wiedząc, do czego właściwie zmierza.

- Sam jest moim uczniem.

- Tak, wiem. - Bonnie czekała, by powiedział coś więcej, lecz mężczyzna milczał. Zamiast tego poczuła na łokciu czyjąś dłoń, a kiedy się obejrzała, zobaczyła Dianę.

- Przedzwonię do ciebie później - powiedziała przyjaciółka, całując ją w policzek i prawie bez zatrzymania poszła dalej w stronę parkingu.

Bonnie ponownie skupiła uwagę na Joshu Freemanie, zatapiając spojrzenie w jego brązowych oczach, jaśniejszych i klarowniejszych niż oczy Roda. Jego kręcone włosy sprawiały wrażenie nieco rozczochranych, jak gdyby walczył z nimi i przegrał, lecz ten drobny nieład idealnie pasował do łobuzerskich w wyrazie ust i lekko załamanej linii nosa.

- Czy byliście z Joan przyjaciółmi? - spytała, starając się nie przyglądać mu zbyt natarczywie.

- Tak - odparł. I znowu nie dodał nic więcej.

- Czy moglibyśmy kiedyś trochę o niej porozmawiać? - Skąd w jej głowie taki pomysł? O czym niby mieliby rozmawiać?

- Prawdę mówiąc, nie wiem, czy jest tu coś do powiedzenia - odparł, niemalże czytając jej w myślach.

- Proszę.

Skinął głową i zmieniając temat, zapytał:

- Wracasz już do szkoły?

- Tak, w poniedziałek.

- No to wtedy się spotkamy.

- Cóż za piękna mowa, nieprawdaż? - dobiegły ich głośnie zachwyty Marli Brenzelle.

Bonnie odwróciła się w stronę, z której docierał jej głos, akurat w porę, by ujrzeć jak Marla, podobna do wielkiego stożkowatego cukierka, wyciąga ramiona do dzieci Roda.

- A to pewnie Lorne i Samantha? - mówiła.

- Sam i Lauren - poprawiła ją Bonnie i ponownie odwróciła się do Josha, lecz ten zdążył już zniknąć.

- Tak mi przykro z powodu waszej mamy - kontynuowała nie speszona Marla.

- Dziękujemy - rzekła Lauren.

- Kilka tygodni temu wreszcie miałam okazję spotkać twego brata - powiedziała gwiazda.

Trzeba było paru chwil, by Bonnie zorientowała się, iż słowa Marli nie są skierowane do Lauren, lecz do niej.

- Przepraszam, co powiedziałaś?

- Czy mój przyjaciel mógłby dostać od pani autograf? - niespodziewanie wtrącił się Sam.

Twarz Marli rozjaśniła się, jakby czyjaś ręka skierowała na nią światło niewidzialnego reflektora.

- Oczywiście.

Bonnie spojrzała na Haja, który szczyrzył zęby, trzymając w pogotowiu flamaster Magic Marker.

- Może pani podpisać się tutaj - powiedział, podając Marli flamaster i podsuwając jej swe wytatuowane ramię. Nad obrazkiem przedstawiającym bobra wytatuowano tam MUFF, a pod spodem DIVER.

Marla spytała go o imię.

- Haj - powtórzyła, kiedy już się przedstawił. - To bardzo interesujące imię.

O co tu znowu chodzi? - głowiła się Bonnie, niecierpliwie czekając, aż Marla dopisze swoje „le” do rodowitego Branzel i zakończy podpis efektywnym zawijaszem.

- Jak to, spotkałaś mojego brata?

Marla poczęstowała ją starannie wyćwiczonym, olśniewającym uśmiechem.

- Niestety nie miałam okazji zetknąć się z nim w szkole średniej. Skończyłam ją, zanim on się tam pojawił. Ale słyszałam dziesiątki historii o tym, jaki jest dziki, jaki ostry w łóżku, jak powiedziałyby małolaty. Dlatego zawsze byłam go ciekawa, tym bardziej że ty jesteś straszliwie poczciwa.

Bonnie zignorowała afront, zamierzony czy nie, i drażyła dalej:

- Jak to się stało, że go spotkałaś?

- Przyszedł do studia, żeby pogadać z Rodem. Rod nic ci o tym nie mówił?

Bonnie rozejrzała się w poszukiwaniu męża, lecz ten stał właśnie przy wejściu do kaplicy i rozmawiał z jednym z tragarzy. Rod spotkał się z Nickiem i nic jej o tym nie powiedział? Dlaczego?

- Zdaje się, że twój brat miał jakiś pomyłony pomysł na kolejny odcinek programu - odparła Marla na jej milczące pytanie. - Ale Rod powiedział mi, że nikt nie puściłby tego na antenę. Myślę, że spróbuję pogadać z Nickiem na temat występu w naszym show. Założę się, że zrobiłby na ludziach wrażenie, nieprawdaż? Jest bardzo przystojny, a przy tym taki czarujący.

- Mój brat to oszust i krętacz - odparła chłodno Bonnie, myśląc tylko o tym, by jak najszybciej pozbyć się towarzystwa tej kobiety.

- Dokładnie takiego człowieka potrzebuję.

- Wybacz, ale muszę lecieć. - Bonnie odwróciła się i ruszyła w swoją stronę. - Dziękuję, że przyszedł - rzuciła jeszcze przez ramię, niedbale, jakby pozbywała się śmiecia.

- Mam nadzieję, że następnym razem spotkamy się w przyjemniejszych okolicznościach! - zawołała za nią Marla.

Nie licz na to, odpowiedziała w myślach Bonnie.

- Dlaczego nie powiedziałaś, że widziałeś się z Nickiem? - spytała Bonnie, przyglądając się, jak jej mąż rozkłada na białej kolistej tafli kuchennego stołu niezliczone kartoniki z chińskim jedzeniem.

Kuchnia była podłużnym pomieszczeniem otwierającym się na niewielką jadalnię, która znajdowała się we frontowej części domu, od strony ulicy. Szafki wykonano z rozjaśnionego dębu, podłoga była wyłożona kafelkami, sprzęt kuchenny utrzymany w tonacji migdałowej, a ściany lśniły bielą. Jedną z nich zdobiła litografia Chagalla, przedstawiająca krowę zawieszoną do góry nogami nad dachem domu, a drugą rysunek Amandy, na którym widać było grupę ludzi z kwadratowymi głowami.

- Rozmawiałaś z Marlą - stwierdził spokojnie Rod, nie przerywając swoich czynności.

- Rod, dlaczego?

Postawił ostatni kartonik i w zamyśleniu oblizał palce.

- To proste, kochanie. Twój brat wpadł do studia kilka tygodni temu, oczywiście nie był umówiony. Miał idiotyczny pomysł na program. Musiałem mu powiedzieć, że nic z tego nie wyjdzie.

- Że nikt nie puściłby tego na antenę - poprawiła Bonnie bezmyślnie.

- Co?

- Marla powiedziała, że stwierdziłaś, iż nikt nie puściłby tego na antenę - powiedziała gniewnie, czując napływające do oczu łzy. Dlaczego nic jej nie powiedział?

Rod przeciął przestrzeń dzielącą go od Bonnie, która oparła się o ciepłe drzwiczki piekarnika.

- Och, daj spokój, kotku. To było bez znaczenia. Nie powiedziałem ci, bo wiedziałem, jak bardzo cię to zdenerwuje.

- W przeciwieństwie do spokoju, który czuję teraz? Rod spuścił głowę.

- Przyznaję, że popełniłem błąd, przepraszam.

- Więc kiedy policja znalazła nazwisko Nicka w notesie z adresami Joan, ty byłeś już po spotkaniu z nim - bardziej stwierdziła, niż zapytała, próbując uporządkować w głowie wszystkie fakty. - Dlaczego milczałeś nawet wtedy?

- A co miałem powiedzieć? Aha, tak przy okazji, w zeszłym tygodniu widziałem się z twoim bratem? Wydawało mi się to mało istotne.

- Więc mogłeś powiedzieć mi o tym spotkaniu później, kiedy próbowałam go złapać.

- Myślałem o tym.

- Ale nie powiedziałeś. Nawet po tym, jak z nim rozmawiałam.

- Nie wiedziałem, co by to dało. Wszystko zaczęło się bardzo komplikować. Nadal twierdzą, że jeżeli twój brat był w jakiś sposób uwikłany w morderstwo Joan, należy pozwolić policji rozwiązać tę sprawę.

- Nie o to chodzi - jęknęła Bonnie.

- A o co? - spytał Rod, rzucając spojrzenie w stronę korytarza, wyraźnie zaniepokojony, że ich kłótnię mogą usłyszeć dzieci.

Bonnie natychmiast ściszyła głos:

- Chodzi o to, że nie powinieneś tego przede mną ukrywać.

- To prawda - zgodził się. - Ale ukrywałem. Nie wiem, dlaczego to zrobiłem. Być może po to, by uniknąć takiej sceny, jak teraz.

Zapanowało milczenie.

- Jedzenie stygnie - odważył się przypomnieć Rod.

- Wiedziałaś, że Nick zatrzymał się u ojca? - kontynuowała Bonnie, jakby wcale się nie odzywał.

- Nie. Nie pytałem go, a on sam też nic nie powiedział.

- Rozmawialiście o Joan?

- Rany boskie, dlaczego mielibyśmy rozmawiać o Joan?

- A dlaczego zapisała sobie jego nazwisko w notesie?



- Jeszcze raz powtarzam - rzekł Rod przez zaciśnięte zęby, odcinając słowa jak kupony - pozwólmmy zająć się tym policji.

- Czy wiesz, że ta durna kobieta zamierza zaprosić Nicka do waszego programu? - spytała Bonnie, dzwoniąc sztuczcami.

- Marla? - zaśmiał się Rod.

- Uważasz, że to zabawne?

- Nie zrobi tego.

- Oczywiście, że zrobi. Choćby po to, by mnie zdenerwować.

- Więc nie dbaj o to. - Rod pocałował ją w koniuszek nosa. - Daj spokój, kotku. Nie poddawaj się tak łatwo. Przykro mi, że ci nie powiedziałem. Naprawdę.

Do kuchni niedbałym krokiem wkroczył Sam, a za nim Lauren.

- Uważasz, że Marla Brenzelle jest głupia? - spytał Chłopak. Za nim niby węże wlokły się po kafelkach sznurówki.

Bonnie zastanowiła się, jak wiele zdążyli usłyszeć.

- Powiedzmy, że ma słabo rozwinięty zmysł ironii.

- Co to jest? - Sam złożył swoje długie ciało na jednym z wysokich wiklinowych krzesel.

- Ironia?

- To - chłopak wskazał dłonią jeden z plastikowych pojemników.

- Kurczak w cytrynie - rzekł Rod. - Częstuj się.

- Ja tam uważam, że ona jest ekstra - powiedziała Lauren, siadając i nabierając na talerz ogromną porcję gotowanego ryżu.

- Naprawdę? - Bonnie nie zrobiła niczego, by ukryć swoje zdziwienie. - A co w niej jest takiego „ekstra”?

Dziewczynka wzruszyła ramionami.

- Myślę, że pomaga ludziom.

- Pomaga im? Jak? Wybebeszając ich na oczach milionów widzów?

- Co znaczy, że ich wybebesza? - chciała wiedzieć Lauren.

- Mógłbyś podać mi *chow mein*? - spytał Sam.

- To znaczy, że ich zwodzi, wmawiając im, że rozwiążą swoje problemy, publicznie się z nich spowiadając. Stwarza forum dla wszystkich czubków i ekshibicjonistów w tym kraju. Sankcjonuje ich wysoce kontrowersyjne zachowanie, jakby było normalne, podczas gdy zdecydowanie takie nie jest! - Bonnie przerwała dla złapania oddechu, w jej głowie wciąż jeszcze szumił gniew po sprzeczce z Rodem i to on dyktował jej kolejne słowa: - Na miłość

boską, ile jest na tym świecie bliźniaczek lesbijek, które uwiodły kochankę swojej matki? Albo podglądaczy, którzy poślubili własną kuzynkę po tym, jak ujrzeli ją uprawiającą kazirodczą miłość z ojcem? Uważasz, że to normalne? Myślisz, że Marla Brenzelle, którą nawiasem mówiąc, znam jako Marlenę Brenzel, komukolwiek tym pomaga? Wydaje ci się, że myśli o kimś poza sobą i zależy jej na czymś oprócz wskaźników oglądalności? Za co tu ją podziwiać? Gdzie tu zdrowy rozsądek?

Po jej nieoczekiwanym wybuchu w kuchni zapanowało milczenie.

- To dopiero była mowa - odezwał się cicho Rod.

- Przepraszam - pośpieszyła z usprawiedliwieniami Bonnie. - Nie wiem, co mnie napadło. Nie chciałam, żeby to, co mówię, zabrzmiało tak...

- Pogardliwie? - usłyszała zgryźliwą podpowiedź.

- Przepraszam. Naprawdę, chodziło mi o to...

- Nie miałem pojęcia, że moje codzienne zajęcie wzbudza w tobie tak duże emocje - rzekł Rod.

- Skąd znasz Marłę Brenzelle? - zapytał Sam.

- Chodziłyśmy razem do szkoły - odpowiedziała Bonnie, patrząc na Roda.

- W dechę! - skwitował Sam.

- Słuchaj - Bonnie zwróciła się do męża - nie miałam zamiaru krytykować tego, co robisz...

- To dobrze, że nie miałaś zamiaru - powiedział.

- Pytała mnie, czy nie chciałabym kiedyś wystąpić w jej show - poinformowała ich Lauren, wciągając do ust długi żółty makaron. - Powiedziała, że gdybym opowiedziała o tym, co się stało, pomogłoby mi to wrócić do równowagi.

- Rzeczywiście wyrzucenie tego z siebie mogłoby ci pomóc - zgodziła się skwapliwie Bonnie. - Ale opowiedz o tym swemu ojcu. Albo terapeutce. Albo mnie - zaproponowała.

- Dlaczego miałabym o czymkolwiek opowiadać tobie?

- Lauren - upomniał córkę Rod. - Uspokój się.

- Może dlatego - zaczęła Bonnie, a każde słowo zdawało się ranić jej gardło - że wiem, jak to jest stracić ukochaną matkę.

- Ja nie straciłam matki. Moją mamę zamordowano. Twoją też? - spytała Lauren prowokacyjnie.

- Nie - odparła Bonnie. Nie dosłownie, dodała w myślach.

- Więc nic nie wiesz. - Dziewczynka odsunęła krzesło od stołu. - Nie jestem już głodna. Mogę odejść? - spytała i błyskawicznie zniknęła w głębi domu.

Rod sięgnął przez stół, by pogłaskać dłoń żony.

- Przykro mi, kochanie. Nie zasłużyłaś na takie traktowanie.

Odłożył widelec i popatrzył przez okno na spokojną podmiejską ulicę.

- To był straszny dzień dla wszystkich - przeciągnął dłonią po włosach i odsunął talerz. - Ja też już się najadłem.

Wstał od stołu.

- Czuję się trochę rozbity. Pozwolisz, że wyjdę na chwilę?

- Teraz? Jest już po dziewiątej.

- Tylko na krótką przejażdżkę. Zaraz będę z powrotem - powiedział, wychodząc z kuchni.

Bonnie zerwała się z miejsca i podążyła w ślad za nim do hallu.

- Potrzebuję trochę czasu, żeby spokojnie pomyśleć - rzekł Rod od drzwi wejściowych.

- Rod, przepraszam - ponownie zaczęła Bonnie. - Nie miałam zamiaru krytykować twojej pracy.

- Nie masz za co przepraszać. - Rod pocałował ją delikatnie w usta, jedną ręką sięgając za siebie, żeby otworzyć drzwi. - Chcesz iść ze mną? - zaproponował nagle.

- Nie mogę zostawić Amandy - rzekła Bonnie, oczami wyobraźni widząc swoją córeczkę śpiącą smacznie w łóżeczku.

- W domu jest Sam i Lauren - przypomniał jej Rod.

Bonnie spojrzała w stronę schodów, myśląc o siedzącym w kuchni Samie i zamkniętej w swoim pokoju Lauren. „Nawet nie myśl o wykorzystywaniu moich dzieci w roli nianieek. Nie są tutaj dla twojej wygody!” - wykrzyczała Joan pewnego pamiętnego wieczoru po urodzeniu Amandy.

- Nie, lepiej zostanę - rzekła. Przypomniała sobie, jak wiele starań dołożyła eksmałżonka Roda, by trzymać Sama i Lauren z dala od przybranej siostry. Jaka była zawzięta, podła i okrutna. Całkiem nie ten wzór cnót, o którym nasłuchiwała się na dzisiejszym pogrzebie.

- Zaraz wrócę - rzekł jej mąż, zamykając za sobą drzwi.

Kiedy Bonnie ponownie weszła do kuchni, zastała tam zgarbionego nad swoim talerzem Sama. Padające z góry światło wydobywało z jego czarnych włosów głęboki granat nocy.

- Cieszę się, że ktoś w tym domu ma jednak apetyt - rzekła.

Sam obrócił się w jej stronę, wargi miał poplamione sosem pomarańczowym o identycznym ostrym odcieniu, jakiego zwykła używać jego matka, takim samym, jaki miała na ustach w chwili śmierci.

Bonnie cofnęła się mimowolnie, jakby zobaczyła ducha, Sam uśmiechnął się, z jego rękawa zwisało coś cienkiego, niby łańcuszek od zegarka. Z tym, że to nie był łańcuszek, rozpoznała ze zgrozą Bonnie, to był ogon.

- Boże - powiedziała. - Powiedz, że to nie jest to, co myślę.  
- To tylko mały biały szczurek - roześmiał się Sam,  
- Dałem mu uszczknąć trochę wieprzowiny. Rodzaj ostatniej wieczerzy, zanim nakarmię nim L'il Abnera.

To mówiąc, wstał, a Bonnie starała się nie zauważać ledwie zaznaczonej, pomarańczowej otoczki wokół drgającego nerwowo nosa skazańca.

- Chcesz popatrzeć?  
- Nie, dziękuję - szepnęła. Po wyjściu Sama opadła na jedno z krzeseł stojące na wprost krzesła zajmowanego przez: ducha Joan i pogrzyła się w oczekiwaniu na powrót Roda,

## 9

Kiedy w poniedziałek rano Bonnie zaparkowała samochód na parkingu służbowym przed Weston Heights, była dokładnie siódma dwadzieścia dziewięć. „Zegar w moim samochodzie ma wyświetlacz cyfrowy”, przypomniała sobie wyjaśnienie, jakiego nie tak dawno udzieliła policji, A potem zaśmiała się. Nie za długo i nie za głośno, lec: wystarczająco długo, by podsycić ich zainteresowanie, i wystarczająco głośno, by wzbudzić ich podejrzenia. Wrócili zaraz w następnym tygodniu, zadając jej niemal te same pytania co poprzednio, prawdopodobnie w nadziei, że się odkryje, że zacznie sama sobie zaprzeczać i powie coś na tyle obciążającego, by dać kapitanowi Mahoneyowi powód do zatrzaśnięcia na jej nadgarstkach pary zwisających mu zawsze u pasa kajdanek i zaprowadzenia do aresztu. Wydawało się, że sprawa grożącego jej i Amandzie niebezpieczeństwa, przed którym ostrzegła Joan, zupełnie ich nie interesuje. Prawdopodobnie sądzą, że sama to wszystko wymyśliłam, pomyślała ponuro. Doprawdy frustrujące jest to, jak niewiele policja ujawnia ze swojego śledztwa, wyłączając wyniki ekspertyzy koronera, który stwierdził, iż Joan zginęła od kuli z pistoletu kaliber 38, być może tego samego, który jest zarejestrowany na nazwisko Roda.

- Halo, pani Wheeler - zawołał ktoś za nią, kiedy podeszła do drzwi piętrowego budynku z czerwonej cegły, w którym mieściła się szkoła.

Bonnie odwróciła się i spostrzegła biegnącego Haja. Właściwie trudno to nazwać biegiem, pomyślała, obserwując z zainteresowaniem jego ruchy, zahipnotyzowana emanującą z nich swobodą i zuchwalstwem. To nie bieg, ale płynny galop. Gładki i muskularny, biały ogier, cały ubrany na czarno, bez reszty podporządkowany wewnętrznej muzyce swego ciała.

- Ładnie pani dzisiaj wygląda - powiedział, otwierając przed nią ciężkie drzwi i stając z boku, by mogła wejść pierwsza. - Miło widzieć panią znowu - dodał, kiedy znaleźli się w kafeterii.

Bonnie uśmiechnęła się.

- Co mogę dla ciebie zrobić, Haj? Haj opuścił głowę.

- Czy to wypracowanie na dzisiaj jest aktualne? - spytał tak cicho, że musiała się pochylić, by coś usłyszeć.

Bonnie mało nie parsknęła śmiechem i zrobiłaby to, gdyby nie napięcie widoczne w rysach chłopca, kiedy z zastygłym na twarzy uśmiechem czekał na odpowiedź.

- Obawiam się, że tak - odparła, próbując nie zwracać uwagi na otaczający ich hałas i drażniące powonienie zapachy jedzenia. - Mielście na to ponad miesiąc.

Haj nic nie powiedział, tylko z głupekowatym uśmieszkiem wycofał się wolno w stronę grupki uczniów kręcących się w pobliżu. Bonnie patrzyła za nim, póki nie zniknął niczym szczur połknięty przez gigantycznego węża. Czuła się lekko wytrącona z równowagi tym spotkaniem i zastanawiała się, dlaczego tak się stało. Następnie wyszła z kafeterii, kiwnęła głową paru poszturchującym się w kącie chłopcom i żwawo ruszyła w głąb korytarza. Biegnące środkiem sufitu światła fluorescencyjne, podobne do mknącej w dal linii na autostradzie, rzucały liczne cienie na żółtą powierzchnię ścian, przyprawiając o niesamowite blaski wiszące na ścianach duże, oprawne w ramy tablice, na których w szeregu małych gustownych owali zamknięto pozbawione tułowia uśmiechnięte twarze tegorocznych absolwentów. Tuż obok znajdowały się drzwi do pokoju nauczycielskiego. Bonnie pchnęła je i weszła, skierowała się wprost do stojącego w bocznym kantorku dzbanka z kawą i szybko naląła sobie pełną filiżankę.

- Dzień dobry wszystkim - rzuciła, nie adresując swoich słów do nikogo konkretnego. Podeszła do krzesła stojącego przy długim niemal na całą ścianę oknie. Widok za szybą, niewielki dziedziniec z samotnym drzewem, nie należał do szczególnie efektownych.

W błękitno-beżowym pomieszczeniu znajdowało się kilku nauczycieli. Część z nich skupiła się w grupce wokół dystrybutora wody, część zatopiła w lekturze porannej gazety, a

wszyscy trwali w starannie wystudiowanych obojętnych pozach. Odpowiedziało jej kilka powitalnych pomruków. Ktoś spytał, jak leci; odpowiedziała, że wszystko w porządku.

- Miło znowu być w pracy - oświadczyła. Nigdzie nie zauważyła Josha Freemana.

- To musiało być straszne przeżycie - powiedziała współczującym tonem wykładająca przedmioty ściśle Maureen Templeton, obracając w stronę Bonnie swoją kędzierzawą żółtawą głowę i ukazując wystające górne zęby. Pozostali skinęli na potwierdzenie głowami.

- Tak, to prawda - zgodziła się Bonnie.

- Czy policja ma już jakieś...?

- Jak dotąd nic konkretnego.

- Ciężki tydzień, co? - domyślił się prowadzący zajęcia teatralne Tom O'Brian.

- Istne piekło.

- Jeśli możemy ci w czymś pomóc... - zaproponowała Maureen, a reszta ponownie skinęła głowami.

- Dziękuję.

- Sam chodzi na moje zajęcia - powiedział Tom O'Brian. - Jest naprawdę utalentowany. Urodzony aktor. Jak się miewa?

- Lepiej niż myślisz - odpowiedziała Bonnie, w dalszym ciągu niepewna, jak rozumieć zachowanie chłopca. Policja zwróciła samochód Joan i Sam ochoczo zaoferował, że do końca roku będzie wozić swoją siostrę do szkoły w Newton i odwozić ją do domu po zajęciach. - Znałeś jego matkę?

- Jeszcze w listopadzie spotkałem ją na zebraniu z rodzicami. Prezentowała się całkiem nieźle. - O'Brian potrząsnął głową. - Coś okropnego. Aż nie chce się wierzyć.

Wydawało się, że nie ma już nic do dodania i w pokoju zapanowało milczenie. Powoli każdy zaczął wracać do czynności, którą wykonywał, zanim pojawiła się Bonnie. Ona również przestała zwracać uwagę na otoczenie i sięgnęła po leżące obok na stoliku najnowsze wydanie „The Boston Globe”. Przejrzała je pobieżnie i z ulgą stwierdziła, że jej nazwisko nie figuruje już na pierwszej ani na żadnej z następnych stron. Informacje o zabójstwie Joan zostały wyparte przez nowsze, bardziej sensacyjne i krwawe wydarzenia, takie jak morderstwo i samobójstwo w Waltham, śmiertelne strzały z przejeżdżającego samochodu na Newbury Street czy zasztyletowanie pary spożywającej deser w bistro.

Nieco więcej uwagi poświęciła Bonnie rubryce „Życie”. Przejrzała przepisy na niskotłuszczowe ciasteczka czekoladowe i jabłecznik o włóknistej konsystencji z kruszonką, zignorowała artykuł o seksie oraz o starzeniu się i skupiła uwagę na dziale „Czytelnicy piszą”,

kąciku porad prowadzonym przez dwoje lekarzy: ogólnego - Ritę Wertman - oraz terapeutę rodzinnego, Waltera Greenspooona.

Co robiło nazwisko Greenspooona w notesie z adresami Joan?

„Drogi doktorze Greenspoon” - zaczynał się pierwszy list. „Jestem matką siedmioletniej nadpobudliwej dziewczynki, która doprowadza do szaleństwa mnie i mojego męża. Rano odmawia wstawania, krzyczy, kiedy prowadzę ją do szkoły, a wieczorem nie chce ani jeść kolacji, ani położyć się do łóżka. Oboje z mężem jesteśmy już wyczerpani, nieustannie skaczemy sobie do oczu. Nie wiem, czy nasze małżeństwo przetrwa doświadczenie, jakim jest dla nas to dziecko, i zastanawiam się, co mam robić.”

„Droga Sfrustrowana Mamo” - brzmiała odpowiedź Greenspooona. „Oboje z mężem musicie nauczyć się działać wspólnie...”

- Przepraszam panią - przerwał czyjś głos. Bonnie spojrzała na intruza i gazeta opadła jej na kolana.

Przed nią stał Josh Freeman, wysoki i szczupły, z igrającym na ustach płochliwym uśmiechem, który przydawał mu chłopięcego uroku. Jednocześnie ostrzegał całą swoją postawą, by nie próbowała się do niego zbliżyć.

- Ach, to pan - rzekła zakłopotana.

- Podobno chciała pani ze mną porozmawiać.

- Tak. Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu. - Bonnie wskazała sąsiedni fotel. Zawahał się, ale usiadł. - Jak się panu tutaj pracuje? - zagała, niepewna, od czego zacząć. Czuła się zakłopotana, jakby to była ich pierwsza randka. Co ona wyprawia? Dlaczego tak bardzo upierała się przy tej rozmowie? O co właściwie chciała go spytać?

- Bardzo dobrze - odparł Freeman. - Tutaj jest całe mnóstwo zdolnych i twórczych dzieciaków. Są tak chętne do pracy, że prawie nie muszę ich motywować. Ale chyba nie o tym chciała pani ze mną rozmawiać, prawda?

Najwyraźniej nie bawia go puste pogaduszki, pomyślała Bonnie, która zwykle ceniła tę cechę u rozmówców.

- Byłam zaskoczona, gdy zobaczyłam pana na pogrzebie Joan Wheeler - zaryzykowała.

Josh Freeman nic na to nie powiedział.

- Nie wiedziałam, że się znacie. Wciąż bez reakcji.

- Nic pan nie mówił - kontynuowała, wpatrując się w jego usta, niemal bojąc się spojrzeć mu w oczy.

- O nic mnie pani nie pytała - powiedział.

Uśmiechnęła się.

Pojęła, że aby dowiedzieć się tego, co ją interesuje, musi zapytać wprost, bez ogródek, nawet jeśli będzie to krępujące.

- Jak dobrze znał pan Joan?

- Spotkaliśmy się w listopadzie podczas zebrania z rodzicami. Potem kontynuowaliśmy naszą znajomość.

- Miała pański numer telefonu.

- Tak, miała.

Bonnie wzięła głęboki oddech i spojrzała mu śmiało w oczy, przeżywając chwilowy wstrząs na widok klarowności i intensywności spojrzenia, którym jej odpowiedział.

- Nie ułatwia mi pan tej rozmowy

- Nie zamierzam pani niczego utrudniać - rzekł. - Po prostu nie jestem pewien, do czego pani zmierza.

- Czy policja kontaktowała się z panem?

- Tak, rozmawiałem z nimi.

- Mogę spytać o czym?

- Nie może pani - odparł po prostu. Bonnie poczuła, że się czerwieni.

- Wie pan o moich powiązaniach z Joan?

- Wiem, że jest pani żoną jej byłego męża.

- Powiedziała to panu Joan czy policja?

- Joan.

- Czy łączył pana z Joan jakiś związek?

- Nie jestem pewien, czy to pani sprawa - rzekł Freeman, spoglądając na duży zegar ścienny. - Poza tym muszę już iść, zaraz będzie dzwonek.

- Mamy jeszcze pięć minut.

- Co dokładnie chciałaby pani wiedzieć o moim związku z Joan?

- Więc jednak to był związek - stwierdziła Bonnie. Nie odpowiedział.

- Czy kiedykolwiek wspominała panu o mnie? - zapytała. - Albo o mojej córce? Czy mówiła panu kiedyś, że jesteśmy w niebezpieczeństwie?

W oczach Freemana przelotnie mignął błysk zaniepokojenia, ale zaraz zniknął, zastąpiony obojętnością.

- Nie wiem, o co pani chodzi - rzekł, wstając. - I niezbyt odpowiada mi ta rozmowa. Muszę już iść do klasy.

Bonnie zerwała się razem z nim.



- Czy możemy porozmawiać po szkole?
- Nie sądzę.
- Proszę.
- Zobaczymy się później - powiedział śpiesznie i zanim zdążyła zaprotestować, odwrócił się i odszedł.

Bonnie zebrała się w sobie i pchnęła drzwi klasy. Wraz z jej wejściem w sali zapanowało poruszenie, kilkoro uczniów skupionych przy zajmującym większą część ściany oknie, pośpiesznie rzuciło się na swoje miejsca. Stanowili bardzo różnorodną grupę, kłuli w oczy tandetną pstrokacizną. Wszyscy byli zarośnięci, ubrani w drelichy, z poprzekłuwanymi najrozmaitszymi częściami ciała. Mimo iż pochodzili z rodzin stosunkowo zamożnych, rozpaczliwie pragnęli wyglądać tak ubogo, jak to możliwe. W ich spojrzeniach nie było nic poza niestosownym w tak młodym wieku cynizmem. Gdzie się podzieli niewinni szesnastolatkwie? - mimowolnie zastanowiła się Bonnie.

Podczas gdy lustrowała wzrokiem twarze dwudziestu czterech uczniów pierwszej klasy, w powietrzu krzyżowały się ich spłoszone spojrzenia, a gdzieś rozlegał się stłumiony chichot. W głębi klasy siedział Haj. Mrugnął do niej, po czym kiwnął głową w górę i w dół, jak kukielka bruchomówcy. Bonnie podeszła do swojego biurka i przysiadła na brzeżku krzesła, szybko sprawdzając, czy klasa wygląda tak, jak ją zostawiła. Tablica była dokładnie wyczyszczona, na wiszącej na wschodniej ścianie gazecie znajdował się znajomy zestaw map, haseł i plakatów. „LITERATURA NA PRZESTRZENI WIEKÓW LATA 1400 - 1850” - głosił jeden z nagłówków - tytuł wystawy plakatów, którymi uczniowie zilustrowali niektóre z lektur szkolnych: *Buszujący w zbożu*, *Cyrano de Bergerac*, *Makbet*.

- Co robił z wami mój zastępca? - spytała, biorąc do ręki pozostawiony na biurku egzemplarz *Makbeta*.

- Prawie nic - powiedział ktoś i roześmiał się.
- Precz, precz, przekłeta plamo! - zawył Haj. Śmiech uległ zwielokrotnieniu.
- Był zupełnie nieprzygotowany - powiedziała jedna z dziewcząt siedzących w pierwszym rzędzie. - Zadawał nam głównie samodzielną pracę z książką.
- Dobrze. Zatem nie ma powodu, żebyście nie napisali zadanego na dzisiaj wypracowania - przypomniała Bonnie pośród serii głośnych jęków. - Na razie otwórzcie książki na stronie siedemdziesiątej drugiej. W górze pojawiła się czyjaś ręka.
- Tak, Katie?
- Jak to jest, kiedy się znajdzie czyjeś ciało? - padło trwożliwe pytanie.

W klasie zapadła ogłuszająca cisza. Oczywiście mają prawo być ciekawi, zdała sobie sprawę Bonnie. Czytają gazety, wiedzą wszystko o zamordowaniu Joan, są świadomi, że to ich nauczycielka znalazła ciało.

- Strasznie - odpowiedziała.

- Czy ciało było zimne? - chciała wiedzieć inna z dziewcząt.

- Było... chłodne.

Po sali rozszedł się szmer podnieconych szeptów.

- Zrobiła to pani? - głos był chłopięcy i rozmyślnie prowokacyjny. Bonnie bez patrzenia wiedziała, że należy do Haja.

- Przykro mi, że cię rozczaruję - rzekła, starając się opanować drżenie głosu - ale odpowiedź brzmi „nie”. A teraz, jeśli można, przejdźmy na stronę siedemdziesiątą drugą. - Przebiegła palcem po krótkim tekście, bojąc się, że wszyscy widzą jej rozdygotane ręce. - Monolog Makbeta u góry strony.

Zapatrzyła się w okno, ciesząc oczy widokiem postępującej wiosny. Mimo niskiej jak na tę porę roku temperatury drzewa były całe w zielonych pąkach, a niektóre z nich nawet kwitły. Świat sprawiał wrażenie rysunku, na którym czyjaś dłoń rozmyślnie zatarła kontury, topiąc gałęzie drzew w delikatnej zielonej mgiełce. Uwielbiam tę porę roku, pomyślała Bonnie, patrząc na grupkę dziewcząt przecinających znajdujące się na tyłach szkoły boisko, ewidentnie spóźnionych na zajęcia. Jedna z nich upuściła zeszyt i musiała wrócić, żeby go podnieść. Kiedy się pochylała, wiatr podwiał krótką czarną spódniczkę, odsłaniając kraciaste majtki. Bonnie uśmiechnęła się i zamierzała wrócić spojrzeniem do trzymanego w dłoni tekstu, kiedy co innego przykuło jej uwagę: mężczyzna częściowo ukryty za drzewami, w odległym końcu boiska. Czyżby obserwował dziewczyny? A może chodziło mu o coś innego?

Podeszła do okna i nachyliła się, niemalże przyklejając nos do szyby. Mężczyzna chyba domyślił się, że jest obserwowany. Wszedł spomiędzy drzew, poza obręb cienia, ukazując się w całej okazałości. Ubrany był w brunatną wiatrówkę i niebieskie džinsy, oczy osłaniały mu ogromne okulary przeciwsłoneczne. Choć z takiej odległości nie dało się tego zobaczyć, Bonnie wiedziała, że są to lustrzanki. Cofnęła się gwałtownie, potrącając stojącą za plecami ławkę.

- Proszę pani, dobrze się pani czuje? - padło pytanie.

- Tracey, zastąp mnie, póki nie wrócę - poleciła Bonnie już w drodze do drzwi. -

Popracujcie nad swoimi wypracowaniami - dodała.

- Co jest grane? - dobiegł ją czyjś szept.

- Kim jest ten facio? - chciał wiedzieć kto inny. Pamiętając o znaku zakazującym biegania po hallu,

Bonnie szybkim marszem dotarła do drzwi prowadzących na zewnątrz. Otworzyła je i przecięła boisko, wpadając między drzewa, gdzie dopiero co widziała stojącego mężczyznę.

Tylko że teraz go nie było.

Bonnie zatrzymała się i okręciła dokoła. Potem jeszcze raz. Niech go diabli, pomyślała, czując lży gniewu cisnące się do oczu. O nie, nie może dać mu tej satysfakcji. Nie może pozwolić mu na uprawianie gierki jej kosztem.

- Nick! - zawołała, a wiatr poniosł jej głos. - Nick, gdzie jesteś? Wiem, że tu byłeś! Widziałam cię.

Z tyłu rozległ się jakiś szmer. Bonnie odwróciła się i mrużąc oczy przed słońcem, obserwowała mężczyznę zbliżającego się leniwym krokiem. Zrobiła z dłoni prowizoryczny daszek i wyteżyła wzrok, próbując dostrzec rysy jego twarzy.

- Jakies kłopoty? - zapytał nowo przybyły.

Jeszcze zanim ujrzała jego twarz, Bonnie wiedziała, że to nie Nick. Inny ton głosu. Brzmiały w nim troska i życzliwość, dwie cechy, których nigdy nie przypisałyby swojemu bratu. Zrobiła parę kroków w jego stronę. Był to ciemnowłosy mężczyzna w średnim wieku, odziany w szary uniform szkolnego dozorcę.

- Czy nie widział pan kręcącego się tutaj mężczyzny? - Machnęła ręką w stronę drzew - Blondyn, wysoki, w lustrzanych okularach - wyliczała, pewna co do okularów, chociaż ich nie widziała. Nick zawsze preferował lustrzanki. Odpowiadało mu, że nikt nie jest w stanie dostrzec jego oczu. A oczy, pomyślała, są zwierciadłem duszy. Problem w tym, że Nick nie ma duszy. Dozorca potrząsnął głową przecząco.

- Niestety nie. Nikogo nie widziałem. Ale wydaje mi się, że słyszałem odgłosy, jakby ktoś się tutaj kręcił. Na wszelki wypadek będę miał oczy otwarte.

Bonnie po raz ostatni omiotła wzrokiem otoczenie, po czym niechętnie skierowała się z powrotem do szkoły, świadoma, że uczniowie uważnie śledzą przez okno jej poczynania. Może się pomyliła. Może to wcale nie był jej brat. W końcu po co miałby tutaj przychodzić? Niewykluczone, że wszystkiemu była winna jej wybujała imaginacja. Nie było człowieka, a jedynie cień, z którego jak z gliny ulepiła sobie postać Nicka. Tylko dlaczego inni również go widzieli? Wyraźnie pamiętała czyjeś pytanie: „Kim jest ten facio?”

- Odszedł natychmiast, jak pani stąd wyszła - powitał ją Haj, kiedy wkroczyła do klasy

- Widziałeś, dokąd poszedł?

- W stronę parkingu - padła czyjaś odpowiedź.  
- Kto to był? - spytało zgodnie kilka głosów. Bonnie uniosła dłonie.  
- Wydawało mi się, że to ktoś znajomy. Ale mniejsza o to. Zaczniemy wreszcie omawiać ten monolog.

Pod koniec przerwy wolnym krokiem przywłókł się do niej Haj. Jedną rękę trzymał w kieszeni dżinsów, w drugiej ścisnął duży notatnik, z którego wysunęło się kilka luźnych kartek czystego papieru. Zatrzymał się ledwie kilka centymetrów od niej, wszechobecny zapach marihuany otaczał go jak druga skóra.

- Uhm, proszę pani - zaczął - nie miałem kiedy napisać tego wypracowania. Potrzebuję jeszcze trochę czasu.

- Miałeś więcej czasu niż to konieczne - przypomniała mu Bonnie.  
- No, ale ostatni tydzień miałem bardzo zajęty, to morderstwo i w ogóle.

Bonnie otworzyła usta i zaraz je zamknęła. Czy ten chłopak naprawdę używa śmierci matki swojego przyjaciela jako wymówki dla usprawiedliwienia braku pracy domowej? I czy rzeczywiście jest to dla niej zaskoczeniem?

- Nie jestem pewna, czy nadażam.  
- Potrzebuję więcej czasu.  
- Haj, znasz reguły. Za każdy dzień spóźnienia tracisz punkty.  
- Niech pani posłucha, ja naprawdę muszę zaliczyć ten kurs.  
- Więc naprawdę musisz zacząć pracować.  
- Och, nie bądź taka upierdliwa - wymamrotał Haj kącikiem ust.  
- Słucham?  
- Matka Sama była upierdliwa - ciągnął, patrząc jej w oczy. - I proszę, co się z nią stało.

Przez chwilę Bonnie była zbyt oszołomiona, żeby mówić.

- Co ty próbujesz mi powiedzieć?  
- Naprawdę muszę skończyć ten kurs - powtórzył i wyszedł z klasy.

Po zakończeniu zajęć Bonnie siedziała w pokoju nauczycielskim i piła już trzecią tego dnia filiżankę kawy, próbując odrobinę się zrelaksować. Nie nadawała się do tych wszystkich intryg. Wolała szczerą i otwartą. Żadnego chowania się po krzakach, żadnego węszenia i domyślania się. Był to jeden z powodów, dla których zawsze miała problemy z omawianiem poezji. Dlaczego po prostu wszystkiego sobie nie powiedzą? - często zadawała sobie pytanie. To samo pytanie również teraz błąkało jej się po głowie. Myślała o Joshu Freemanie i jego

niechęci do zwierzenia się, o swoim bracie czającym się w krzakach jak czyhający na dzieci zboczeniec, o Haju i jego zawołanych groźbach.

Prawdopodobnie powinna zadzwonić na policję i podzielić się dziwnymi spostrzeżeniami, chociaż wątpiła, by to cokolwiek załatwiło. Policja nie kryła, że nadal jest główną podejrzaną. Choć systematycznie ponawiała swoje pytania - Co z niebezpieczeństwem, przed którym przestrzegała mnie Joan? Co grozi mi i mojej córce? - policja kwitowała je milczeniem. Czy nie ma nikogo, kto mógłby udzielić jej zadowalającej odpowiedzi?

Sprawdziła godzinę. Było już po trzeciej. Gdzie podziewa się Freeman? Czyż nie zgodził się na spotkanie po lekcjach?

Cóż, sęk w tym, że nie - musiała przyznać przed sobą. Nie zgodził się na spotkanie. Nie miał ochoty na ponowną rozmowę, a przyciśnięty do muru rzucił jedyne zdawkowe „zobaczymy się później”.

Bonnie rozejrzała się po pokoju. Słońce rzucało popołudniowe blaski na zebrane w obu końcach długiego okna agresywnie brzydkie, błękitno-beżowe zasłony. W odległym kącie pomieszczenia siedział nauczyciel języka hiszpańskiego, Anthony Higuera, i wypełniał jakieś dokumenty. Poza nim był tutaj jedynie nauczyciel chemii, Robert Chaplin, który potrząsając głową, czytał poranną gazetę. Ani śladu po Joshu Freemanie.

To interesujący człowiek, doszła do wniosku Bonnie, tajemniczy, sympatyczny i pełen rezerwy. Chociaż coś w jego oczach mówiło jej, że nie zawsze zachowuje się w ten sposób, faktem było, iż odkąd pojawił się w Weston Heights, zrobił wszystko co w jego mocy, aby podkreślić swoją odrębność. Jakby lękał się dopuścić kogoś zbyt blisko. Pamiętała plotki o jego żonie i okropnym wypadku, w którym podobno zginęła, lecz o ile było jej wiadomo, on sam nigdy nie rozmawiał z nikim na ten temat. Podobnie jak na żaden inny dotyczący swego życia. Jak wiele ze swej prywatności, pomyślała, odsłonił Josh Freeman przed Joan?

Może czeka na mnie w klasie, przyszło jej do głowy, i zerwała się z krzesła tak nagle, że omal go nie wyrzuciła. Na pewno warto to sprawdzić, zdecydowała. Opuściła pokój nauczycielski i skierowała się korytarzem w stronę schodów na tyłach budynku. Nawet jeśli na nią nie czeka, może spotka go po drodze...

- O! Pani Wheeler - zawołał ktoś za nią. Bonnie odwróciła się i dostrzegła biegnącą w ślad za nią jedną z sekretarek, pulchną młodą kobietę w czerwieni. Pomidor z nogami, pomyślała rozbawiona, patrząc, jak kobieta zatrzymuje się, kładąc dłoń na piersi, aby uspokoić oddech.

- Dobrze, że panią złapałam.

- A co się stało?

- Telefonowali z przedszkola, gdzie jest pani córka. Chcieli, żeby pani jak najszybciej do nich oddzwoniła. Mówili...

Bonnie nie dała wystraszonej sekretarce szans na dokończenie zdania. Wystrzeliła jak pocisk, wpadła do biura i rzuciła się na pierwszy z brzegu telefon.

- Jakież problemy? - spytał Ron Mosher, wyłaniając się ze swojego biura.

- Z Claire Appleby proszę - powiedziała Bonnie do słuchawki, odpowiadając na zatroskanie szefa nieznacznym wzruszeniem ramion. - Bonnie Wheeler przy telefonie.

W sekundę później w słuchawce rozbrzmiał głos Clair Appleby:

- Dziękuję, że zadzwoniła pani tak szybko.

- Co się stało? Czy Amanda jest zdrowa?

- Niech się pani nie denerwuje. Już wszystko w porządku.

- Już?! Co znaczy już?

- Zdarzył się pewien wypadek.

- Wypadek?

- Chciałabym podkreślić, że pani córka jest cała i zdrowa...

Kobieta mówiła coś jeszcze, lecz Bonnie już jej nie słyszała. Rzuciła słuchawkę i pomknęła do samochodu.

## 10

Przedszkole mieściło się w przeszklonym jednopiętrowym budynku z czerwonej cegły, usadowionym przy School Street. Normalnie dotarcie do niego zabierało Bonnie dwie minuty, lecz tego dnia znalazła się tam przed upływem sześćdziesięciu sekund.

Wjechała na długą drogę dojazdową, po czym zatrzymała samochód na przylegającym do budynku parkingu i puściła się biegiem wzdłuż alejki zwanej Ścieżką Alfabetu, kierując się prosto do przedszkola, położonego tuż za placem zabaw.

Jeszcze zanim weszła, Bonnie ujrzała swoją córkę przez okno, toteż pchnęła szklane drzwi z takim impetem, że omal nie wpadła wraz z nimi do środka. Amanda uniosła główkę znad miniaturowego stolika, przy którym bawiła się stosem kolorowych klocków.

- Mama! - zawołała dźwięczącym radością głosem.

Miała na sobie obco wyglądające ubrania, niebieskie spodnie i czerwony sweterek, jej jasne włosy były odgarnięte z okrągłej buzi i przewiązane z tyłu głowy dwiema czerwonymi

wstążkami. Czy nie ubrała dzisiaj Amandy w zielony bawełniany kombinezon? Czyje ubrania ma na sobie jej dziecko?

Na małym krzeselku obok Amandy siedziała jedna z pracownic przedszkola, młoda kobieta z czarnymi kręconymi włosami, w kanarkowożółtej sukience. Bonnie wysiliła pamięć, próbując przypomnieć sobie jej imię. Wpadło jej do głowy w tej samej chwili, kiedy Amanda w podskokach rzuciła się jej w objęcia.

- Co się stało, Sue? - zapytała, biorąc córkę w ramiona i uważnym spojrzeniem lustrując błyskawicznie jej buzię i ciało w poszukiwaniu jakiejś kontuzji, podczas gdy dłonie zapoznawały się z obcym w dotyku ubraniem.

- Zły pan wylał coś na mnie - powiedziała Amanda.

- Co to znaczy? Jaki zły pan? Co wylał?

- Może zawołam panią Appleby - zaproponowała Sue. - Prosiła, żeby ją zawiadomić, jak tylko pani się zjawi.

- Nic ci nie jest? - upewniła się Bonnie, przesuwając drżącą dłonią po delikatnych rysach dziecka, podczas gdy serce dziko tłukło jej się o żebra. Musisz się uspokoić, powiedziała sobie. Musisz się uspokoić przynajmniej do czasu, gdy dowiesz się, co tutaj zaszło.

Ktoś oblał czymś jej córeczkę. Ktoś usiłował skrzywdzić jej małe, słodkie dzieciątko. Nie, to niemożliwe. To musiał być jakiś przypadek. Dlaczego ktoś miałby skrzywdzić trzyletnią dziewczynkę?

„Grozi ci niebezpieczeństwo”, ostrzegła Joan. „Tobie i Amandzie.”

- Nie - szepnęła, sztywniejąc. - To niemożliwe.

- Co, mamusiu?

Claire Appleby zjawiała się bezszelestnie jak duch.

- Pani Wheeler - powiedziała, przyprawiając zaskoczoną Bonnie o kolejny skurcz strachu. - Naprawdę bardzo mi przykro, że do tego doszło.

Pani Appleby była wysoką kobietą w średnim wieku, obdarzoną przez naturę płaską klatką piersiową i rozłożystymi biodrami. Nosiła prostą, niebieskoszarą sukienkę, która dość nieszczęśliwie podkreślała zarówno jedno, jak i drugie.

- Ale właściwie co się stało? - chciała wiedzieć Bonnie. Za lewym uchem córeczki mignął jej zlepiony czymś brudny kosmyk włosów.

- Może Sue weźmie Amandę na dwór - zasugerowała łagodnie Claire Appleby.

Dziewczynka natychmiast zacieśniła chwyt wokół szyi matki, niemalże pozbawiając ją oddechu. Tak musi się czuć ofiara boa dusiciela, pomyślała nerwowo Bonnie, delikatnie rozluźniając ramiona dziewczynki.

- Nie bój się, kotku - powiedziała, stawiając córeczkę na podłodze. - To zajmie tylko kilka minut. A potem pójdziemy na lody.

- Truskawkowe?

- Jakie tylko zechcesz.

- Zły pan wylał na mnie krew. Tak dużo, dużo krwi.

- Co takiego?

- Sue - powiedziała Claire Appleby, niespokojnie sięgając dłonią do swych jasnych włosów - proszę zabrać Amandę na plac zabaw.

- Chcę iść na huśtawki - zarządziła Amanda.

- No to ścigamy się - zaproponowała w odpowiedzi Sue.

Plac zabaw był prawdziwą dżunglą przyrządów gimnastycznych. Poza tym znajdowały się tam trzy zjeżdżalnie różnych kształtów i wielkości, ogromna piaskownica oraz kilka placyków z huśtawkami. Bonnie obserwowała, jak Sue zapina na Amandzie uprząż, umieszczając ją w jednej z mniejszych huśtawek. Dopiero bolesny ucisk w piersi dał jej znać, że przez cały czas wstrzymywała oddech. Chciała zażądać odpowiedzi na dziesiątki pytań, które tłukły jej się po głowie, lecz nie mogła wydobyć z siebie ani słowa. Nareszcie łzy popłynęły jej po twarzy i szyi, by zniknąć za kołnierzem białej bluzki. Nie płacz teraz, upomniała się w duchu. To nie pora na łzy.

- Nie jest tak źle, jak by się zdawało - pośpieszyła z zapewnieniem pani Appleby.

- Co tu się stało? - szepnęła Bonnie, a każde słowo raniło jej gardło niczym ostry nóż.

- Wie pani, jak starannie pilnujemy naszych dzieci...

- Wiem. Dlatego tym bardziej nie rozumiem...

- Tak mi przykro. Widzę, że jest pani bardzo poruszona tym zdarzeniem. Wiem, że to dla pani ciężki okres. Czytałam gazety...

- Proszę, niech mi pani powie, co się stało - ponagliła Bonnie.

- Dzieci były na placu zabaw - zaczęła niezwłocznie pani Appleby. - Pilnowały ich Sue i Darlene. Najwyraźniej Amanda oddaliła się w głąb alejki. Później mówiła, że ktoś wołał ją po imieniu.

- Wołał ją?

- Tak powiedziała.

- Czy powiedziała, kto to był?



- Nie, nie wiedziała. Zdaje się, że miał na głowie kaptur albo coś w tym rodzaju. Miał ze sobą wiadro i kiedy dziewczynka podeszła do niego, po prostu wylał na nią jego zawartość.

- Wiadro wypełnione... krwią? - spytała Bonnie z niedowierzaniem.

- W każdym razie tak nam się wydaje - ledwie dosłyszalnie potwierdziła pani Appleby. - Nie jesteśmy pewne. To była ciecz, gęsta i ciemnoczerwona. W pierwszej chwili pomyślałyśmy nawet, że to farba, ale... - głos jej się załamał.

- Ale...?

- To nie była farba. Sue mało nie zemdląła, kiedy zobaczyła Amandę, myślała, że mała przewróciła się i roztrzaskała sobie głowę. Nie zdawałyśmy sobie sprawy, że jest cała i zdrowa, póki wszystkiego z niej nie zmyłyśmy. Ta ciecz była wszędzie, na jej twarzy, we włosach, na ubraniu. Musiałyśmy ją przebrać. Jej rzeczy włożyłam do reklamówki.

- Zaraz, zaraz - powstrzymała ją Bonnie, próbując uporządkować fakty. - Mówi pani, że w alejce był jakiś dziwny osobnik w kapturze dźwigający wiadro pełne krwi i nikt go nie zauważył?

- Obawiam się, że tak - potwierdziła Claire Appleby.

Bonnie poczuła, jak nogi uginają się pod nią i bojąc się, że upadnie, pomacała ręką dokoła w poszukiwaniu czegoś, na czym mogłaby się oprzeć. Nic nie znalazła. Potknęła się i zatoczyła w stronę jednego z niewielkich stoliczków.

- Może pani usiądzie? - zaproponowała jej Claire Appleby. Pomogła Bonnie zająć miejsce w jednym z dziecięcych krzesełek i spróbowała zrobić to samo, lecz jej obfity zadek nie zmieścił się na wąskim siedzeniu. - Amandzie nic się nie stało - powtórzyła po raz kolejny. - Była tylko przestraszona.

Bonnie rozejrzała się bezradnie, zauważając mimo woli zwieszające się spod sufitu fantazyjne ozdoby, duże papierowe litery na ścianach, kolorowe plakaty z dzikimi zwierzętami, pudła z zabawkami i przymocowane do odległej ściany, śmiałe malunki wykonane palcami.

- Kiedy to się stało?

Claire Appleby spojrzała na zegarek.

- Niedawno. Jakies dwadzieścia minut temu. Góra pół godziny. Umyłyśmy ją i zadzwoniłyśmy po panią.

- Zawiadomiłyście policję? Pani Appleby zawahała się.

- Postanowiłyśmy najpierw skontaktować się z panią. Naturalnie będziemy musiały złożyć raport.

- Myślę, że powinniśmy zadzwonić na policję - orzekła Bonnie, spoglądając przez okno na swoją córeczkę. Dziewczynka śmiała się i piszcziała z radości, szybując z huśtawką wysoko do nieba. Najwyraźniej nie pamiętała już o niedawnej przykrości.

- Czy podejrzewa pani, kto mógł to zrobić? - zapytał kapitan Mahoney. Tuż za nim stał jego kolega po fachu, detektyw Haver z policji w Weston.

- Ponieważ incydent miał miejsce w Weston, a nie Newton - wyjaśnił kapitan Mahoney - formalnie jest poza moją jurysdykcją.

Bonnie potrząsnęła głową. Po co to pytanie? Skąd miała wiedzieć, kto mógł zrobić coś równie odrażającego?

- Czy nie powinniśmy zabrać Amandy do szpitala? - zapytała. - Może powinna przejść testy na obecność wirusa HIV?

- A nie lepiej będzie, jeśli najpierw zbadamy tę krew? - łagodnie zasugerował Mahoney. - Wiele wskazuje na to, że nie jest to krew człowieka.

- Jak to?

- W okolicy znajduje się wiele farm - przypomniał detektyw Haver. Był otyłym mężczyzną średniego wzrostu, o skórze ciemnej jak czekolada. - Niektórzy farmerzy w Easton sami nawet szlachtują bydło.

Bonnie zdrętwiała.

- W Easton?

- Pani ojciec mieszka, zdaje się, w Easton, prawda? - zauważył niedbale Mahoney.

Zbyt niedbale, pomyślała Bonnie, czując, jak ogarniają ją dreszcze; przed oczami ponownie stanął jej widok brata, chowającego się rano w cieniu drzew za szkołą.

- Rozmawialiście z nim? - zapytała.

- Krótko.

- A z moim bratem?

- Z nim również.

- I co? Miał coś ciekawego do powiedzenia?

- Dlaczego pani sama go nie zapyta?

Bonnie przelknęła ślinę. Za oknem jej córka zwisała do góry nogami z jednej z najwyższych poprzeczek przyrzędu do wspinania, a jej opiekunka krążyła niespokojnie dokoła, trzymając w pogotowiu wyciągnięte ręce.

- Prawdę mówiąc, kapitanie, nie jestem z bratem w najlepszych stosunkach - powiedziała.

- Mogę wiedzieć dlaczego?

- Widział pan album Joan - odrzekła. - Odpowiedź jest oczywista.  
- Myśli pani, że miał coś wspólnego ze śmiercią Joan Wheeler?  
- A pan?  
- Pani brat ma alibi na czas, kiedy popełniono morderstwo - wyjaśnił policjant.  
- Naprawdę?  
- Wydaje się pani zaskoczona.  
- Nic, co dotyczy mojego brata, nie może mnie zaskoczyć.  
- A teraz wydaje się pani zawiedziona.  
- Myślę, że lepiej będzie, jeśli w ogóle zamknę usta - rzekła, widząc uśmiech na ustach kapitana. Chciałby czuć do mnie sympatię, zdała sobie sprawę. Chciałby wierzyć, że nie mam nic wspólnego ze śmiercią Joan.

- Czy jest jakiś powód, by sądzić, iż pani brat może być zamieszany w dzisiejsze wydarzenie?

- Dlaczego Nick miałby skrzywdzić moją córkę? Jeszcze jej nawet nie widział - stwierdziła Bonnie, bardziej do siebie niż do policjantów. Tyle tylko że dziś rano był ledwie kilka przecznic stąd. Czy to on jest zagrożeniem, przed którym ostrzegęła ją Joan? Co ją powstrzymało przed udzieleniem tej informacji funkcjonariuszom policji? Czyżby w dalszym ciągu usiłowała osłaniać młodszego braciszka?

Moje ty chodzące wcielenie dobroci - usłyszała szept matki. Odpędziła jej głos, potrząsając głową.

- Myślicie, że to mógł być głupi dowcip nastolatka? - spytała z nadzieją, odsunawszy na bok wszelką logikę.

Kapitan Mahoney poluzował swój czarno-czerwony prążkowany krawat i rozpiął kołnierzyk, uwalniając wystające jabłko Adama.

- Myślę, że ktoś mógł przeczytać o pani w gazetach i urządzić sobie z tego chorą zabawę - powiedział, najwyraźniej głośno się zastanawiając. - Bzików nie brakuje, nawet w takim rzekomo bezpiecznym rajku jak Weston.

Bonnie przytaknęła. Nie można było zaprzeczyć tym słowom. Nie było już miejsca, w którym człowiek rzeczywiście czułby się bezpiecznie. Nawet w takim „bezpiecznym rajku” jak Weston, do którego przeprowadzili się, kiedy zaszła w ciążę. Zdecydowali wtedy, że Boston nie jest dobrym miejscem na założenie rodziny, i wybrali Weston, głównie ze względu na to, iż mimo niewielkiej odległości od dużego miasta tchnęło niepowtarzalną atmosferą wsi. Każdy dom stał tutaj na półtoraakrowej działce, otoczony obfitością drzew, stawów i dobrego, czystego powietrza. Idealne miejsce do zamieszkania dla rodziny. Tylko piętnaście minut

jazdy do śródmieścia. A za rogiem dwoje przyjaciół, Diana i Greg. Wystarczająco daleko od Newton i od Joan. A także od Easton i tego, co pozostało z jej rodziny.

Tylko że Diana i Greg rozwiedli się zaraz po narodzinach Amandy i teraz Diana większość czasu spędzała w mieście. Okazało się też, że nigdzie nie jest dość daleko, by uciec od krewnych Bonnie i byłej żony Roda. Przeszłość depta nam po piętach, pomyślała Bonnie, jest bliżej, niż nam się wydaje.

- Przepraszam, pytał pan o coś? - zdała sobie sprawę, że nie uważała przez chwilę.

- Pytałem, czy jest pani popularna wśród uczniów - powtórzył Mahoney.

- Popularna?

- Pani Wheeler, czy uczniowie panią lubią?

- Myślę, że tak - wyjąkała. - To znaczy mam nadzieję, że mnie lubią - poprawiła się szybko, myśląc o Haju, przypominając sobie, jak podszedł do niej i zatrzymał się ledwie centymetr od jej twarzy. Czy Haj mógłby coś takiego zrobić jej córce? Czy mógłby mieć coś wspólnego ze śmiercią Joan? Czy mógł być zagrożeniem, o którym mówiła?

- Jest pewien chłopiec - powiedziała. - Harold Gleason. Wszyscy nazywają go Haj. Chodzi do mojej klasy. Sprawiał mi nieco problemów, znał Joan. Jest przyjacielem Sama, mojego pasierba - dodała, odnosząc wrażenie, że ostatnie słowo ciąży jej na języku niczym głaz. Następnie zdała kapitanowi dokładną relację z wszystkiego, co powiedział rano Haj, obserwując, jak Mahoney skrzętnie zapisuje ostatnie informacje, z twarzą denerwująco wypraną z wyrazu.

- Wie pani, gdzie mieszka ten Harold Gleason? - spytał.

Bonnie zamknęła oczy, próbując przypomnieć sobie adres zapisany w dokumentach chłopca.

- Marsh Lane osiemnaście - powiedziała wreszcie z zapartym tchem. - Easton.

## 11

Bonnie już niemal godzinę krążyła po krętych szerokich ulicach Easton. Większość z nich, jak na przykład Glen Road, Beach Road, Country Lane albo Concord Street, miało taką samą nazwę jak ulice w Weston. Znała je wszystkie na pamięć. Prawie się nie zmieniły, odkąd była tu trzy lata temu i prawdę mówiąc, niewiele różniły się od tych, które zapamiętała z dzieciństwa. Co ona tutaj robi? Wkrótce zapadnie zmrok, powinna wracać do domu. Co chciała osiągnąć, przyjeżdżając tutaj?

Policjanci obiecali, że zajmą się Hajem. Nalegali, by wzięła dziecko na spacer i kupiła mu wreszcie obiecane lody. Tak też zrobiła, po czym niezwłocznie udała się z Amandą do lekarza rodzinnego, który gruntownie przebadał małą i zapewnił, że dziecko cieszy się doskonałym zdrowiem. Doradził również, aby wstrzymać się z badaniem krwi, póki nie przyjdą wyniki z laboratorium policyjnego. Jak na jeden dzień, dziewczynka dość się napatrzyła na krew, argumentował.

Zabrała więc Amandę do domu. Kiedy otworzyła drzwi, zaatakowała ją fala wrogiego rapu dobiegająca z piętra. Poczuli się niczym intruz we własnym domu. Próbowwała dodzwonić się do Roda, ale powiedziano jej, że jest zajęty - kręcą właśnie reklamówkę i nie wolno mu przeszkadzać. Posadziła Amandę przy kuchennym stole, dała jej papier oraz kredki i spróbowała odgadnąć, jakie danie sprawi największą przyjemność Samowi i Lauren. Zdecydowała się na makaron domowy zapiekany z serem. Wszystkie dzieciaki przepadają za makaronem z serem, pomyślała, zastanawiając się, czy droga do serca dziecka jest równie prosta jak do serca mężczyzny.

Rod zadzwonił, kiedy właśnie siadali do stołu. Poinformował, że wróci trochę później; dopiero co zjadł kanapkę w studiu, więc czy trochę pobędzie z dziećmi sama? Słyszając chichot Amandy, podniosła wzrok i ujrzała Sama robiącego miny nad swoim talerzem oraz Lauren z pobłażliwym uśmiechem obserwującą jego popisy. W chwilę potem wykrzywiła się już cała trójka. Zachowanie, które jej matkę napełniłoby zgrozą, ją przyprawiło o uczucie zbliżone do dumy - obiad okazał się sukcesem. Tak, powiedziała Rodowi, damy sobie radę.

Po obiedzie położyła Amandę spać, po czym zadzwoniła do Miry Gerstein, starszej kobiety z sąsiedztwa, prosząc ją o zaopiekowanie się dziećmi. To nie potrwa długo - obiecała, choć tak naprawdę sama nie była pewna, dokąd się wybiera i co właściwie zamierza. „Trzymaj się od tego z daleka!” - dźwięczało jej w uszach napomnienie Roda, gdy wsiadała do wozu i wycofywała się z podjazdu na Winter Street. Jednakże jak mogła siedzieć beczynnym w domu, kiedy jej dziecko jest w niebezpieczeństwie? Jak mogła liczyć na odbudowanie szczęśliwego życia rodzinnego, zanim duch Joan nie zazna spokoju, zanim jej morderca nie zostanie ukarany? Dopiero wtedy będą mogli żyć dalej, dopiero wtedy będą bezpieczni.

- No więc, jak myślisz, co chciałabyś zrobić? - spytała głośno, po raz kolejny skrzywiła w Marsh Lane i wolno mijała rozsiane nieregularnie po okolicy stare domy o drewnianych szkieletach, wysilając wzrok w poszukiwaniu numeru osiemnastego.

Był to najstarszy dom przy tej uliczce, a w każdym razie takie sprawiał wrażenie, pokryty zaniedbanym niczym drugą warstwą farby. Haj mieszkał tutaj pod opieką dziadków

ze strony matki. Porzuciła go wkrótce po tym, jak odszedł jego ojciec. Nie zatrzymując się Bonnie minęła parterowy budynek tak wolno, jak to możliwe, próbując zapuścić spojrzenie w głąb nie zasłoniętych okien. Jednakże wewnątrz domu tonęło w ciemnościach, sugerując, iż mimo wiekowego niebieskiego buicka na podjeździe gospodarze są nieobecni. Jakim wozem jeździ Haj? - zastanowiła się, zatrzymując samochód i próbując podjąć decyzję. Czy powinna wysiąść, zapukać do drzwi i zażądać rozmowy z dziadkami Haja, których nigdy wcześniej nie widziała?

I co by to dało? - zadała sobie pytanie, ponownie kładąc stopę na pedale gazu. O co miałyby ich spytać? Gdzie podziewał się ich wnuk po szkole? Czy ostatnio zauważyli w jego zachowaniu coś dziwnego? Czy sądzą, że mógłby dopuścić się morderstwa? Wspaniale. Znakomita robota detektywistyczna. Rod mówił, żeby zostawiła to policji, i najwyraźniej miał rację. Powiedziała im wszystko, co wiedziała, i na tym jej rola powinna się skończyć.

Gdyby nie to, że część informacji przemilczała.

Skręciła w Spruce Street, potem znowu w Elm Street i ponownie w Cherry. Nie powiedziała im, że widziała brata. Po raz kolejny wjechała w Meadow Road, a przemierzywszy całą niebagatelną długość ulicy, zatrzymała się u jej końca. Wystarczyłoby skrócić w prawo, przejechać ulicę, znowu skrócić w prawo, przejechać ulicę, potem skrócić w lewo i kawałek dalej byłaby na miejscu: przy starym budynku z cegły, w którym wznosiła się i wychowywała, a którą matka przepisała Nickowi. Ten nie zastanawiał się zbyt długo - natychmiast odsprzedał dom ojcu.

Tylko dwa skręty w prawo, potem jeden w lewo i byłaby na miejscu. Nie, zdecydowała, nie powinnam jechać tam teraz. Jednocześnie wiedziała, że jest już za późno, gdyż jej samochód sunął właśnie w stronę domu, tego upiornego miejsca pełnego duchów i mrocznych sekretów, którym do dziś musiała stawiać czoło.

Jej dłonie prawie nie dotykały kierownicy, jakby samochód sam toczył się do celu. Myślała o tym, że nie widziała domu od dnia śmierci matki. Wzbraniała się przed jakimkolwiek świadomym wspomnieniem o nim, choć czasem, we śnie, ponownie oglądała ciemne ściany swojego pokoju, które otaczały ją i zamykały jak w trumnie. Wtedy też przypominała sobie pokrywającą je kwiecistą tapetę, której przypisywała wypełniający wewnątrz domu, niezniszczalny mdlący zapach.

Co ja tutaj robię? - zadała sobie pytanie, zatrzymując wóz na ulicy przy Maple Road 422, przez moment niepewna, czy nie pomyliła adresu.

- Co oni zrobili? - wymamrotała, stawiając stopy na nierównym bruku.

Ściany z czerwonej cegły zostały pomalowane na szaro, a każde okno wyposażono w białe okiennice. Z obu stron białych drzwi znajdowały się gliniane donice z jaskrawymi różnokolorowymi bratkami, takie same wielobarwne kwiaty rosły w długiej skrzyni umocowanej na parapecie kuchennego okna. W nozdrza Bonnie, sunącej wolno, krok po kroku, w stronę wejścia, uderzył zapach świeżo skoszonej trawy.

- Co ja tu robię? - ponowiła pytanie, szukając potwierdzenia, iż jeszcze nie jest za późno, aby zawrócić. Nikt jej nie widział, mogłaby z powrotem wśliznąć się do samochodu i odjechać bez świadków.

Nagle drzwi wejściowe otworzyły się, ukazała się w nich kobieta i stanęła wyczekująco. Sprawiała wrażenie, że już od jakiegoś czasu obserwowała przez okno poczynania Bonnie.

- Jezus Maria - rzekła. - To naprawdę ty.

- Witaj, Adeline - powiedziała Bonnie, zaskoczona siłą własnego głosu. Stanęła, a jej stopy momentalnie zapuściły korzenie.

- Od razu tak pomyślałam, jak tylko zobaczyłam, że koło nas zatrzymał się samochód. Powiedziałam do Steve'a: „Chyba mamy gości. Zdaje się, że to Bonnie”.

- A co on na to?

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Znasz swojego ojca. Nie jest zbyt rozmowny.

Bonnie przytaknęła, nie wiedząc, czy zostać tam, gdzie stoi, czy kontynuować marsz po ścieżce. Zakładając, że w ogóle miała jakiś wybór, gdyż jej stopy nie wykazywały żadnej chęci do współpracy.

- Tak czułam, że możesz nas odwiedzić - ciągnęła Adeline. - Po twoim telefonie powiedziałam do Steve'a: „Założę się, że Bonnie złoży nam wizytę”.

- No i jestem - zgodziła się Bonnie.

- Właśnie.

- Nie jest mi łatwo.

- To wcale nie musiało być takie trudne.

- Jest tutaj mój brat?

- W tej chwili nie.

Z Bonnie jakby uszło powietrze, chociaż nie mogła zdecydować, czy to co czuje, to ulga czy rozczarowanie.

- Może wejdiesz i spędzisz parę minut z ojcem? - zaproponowała macocha. - Skoro już przejechałaś taki kawał drogi.

Czy to miał być sarkazm? - pomyślała Bonnie, tłumiąc nagłą chęć odwrócenia się na pięcie i ucieczki. Prawda była taka, że praktycznie nie знаła kobiety, z którą po śmierci matki ożenił się ojciec. Prawie jej nie widywała, a na rozmowę decydowała się sporadycznie, kiedy nie miała innego wyjścia. Dokładnie tak samo traktowały ją dzieci Roda. Jaką bronią walczysz, od takiej giniesz, pomyślała filozoficznie.

- Śmiało, my nie gryziemy - zachęciła ją Adeline, ukazując zęby w szerokim uśmiechu.

Bonnie otworzyła usta, żeby odmówić, lecz jej stopy zamiast się cofnąć, nieoczekiwanie poniosły ją naprzód.

- Widzę, że trochę tu pozmieniałaś - powiedziała, idąc wyłożoną płytami ścieżką.

- Był już najwyższy czas, nie uważasz? - Błękitne oczy Adeline jakby mrugnęły porozumiewawczo spod miękkiej siwej grzywki.

Bonnie była zbyt zajęta podziwianiem zmian, jakie zaszły w domku, żeby odpowiedzieć. Ciężkie kwieciste tapety zostały usunięte, a ściany pobielone. Wszędzie, w korytarzu, w kuchni, salonie i jadalni na ścianach królowała biel. Draperie z mrocznego aksamitu zostały zastąpione przez lżejsze i bardziej zwiewne w kolorze bladej zieleni, zamiast ciężkiego mahoni w pokojach pojawił się lekki klon. W całym domu w miejsce dawnej czerni i burgunda królowały zieleń, żółć i biel.

- Podoba ci się? - spytała Adeline, prowadząc Bonnie do salonu i zapraszając do zajęcia miejsca na bladożółtej sofie.

- Na pewno teraz jest inaczej - przyznała Bonnie, nie zamierzając dodawać nic więcej. W rzeczywistości serce waliło jej w piersi jak oszalałe, kręciło jej się w głowie i czuła taki zamęt, jakby była Dorotką, która właśnie ocknęła się w sztucznie kolorowanej krainie Oz.

- Te mroczne kolory były tak przytłaczające. I przygnębiające - dodała gospodyni, opadając na zielony fotel. - Więc jak ci się wiedzie?

Bonnie potrzebowała dobrej chwili, by się uspokoić. - W porządku - odpowiedziała, zastanawiając się, jak brzmiało pytanie.

- Mam nadzieję, że jesteście zdrowi.

- Tak, dziękuję - odparła, kręcąc się nerwowo. Na stoliku obok ostatniego wydania „Vanity Fair” zauważyła Biblię.

- Ojciec...? - Bonnie posłała spojrzenie w stronę korytarza, nadal czując zawroty głowy, niezdolna przyswoić sobie tego, co widziały oczy. Czuła, że mimo pozycji siedzącej jej ciało traci równowagę i mocno chwyciła się oparcia.



- Wie, że tu jesteś. Zaraz do nas zejdzie. W każdym razie mam taką nadzieję. Stare pęcherze są jedną z wielu atrakcji podeszłego wieku.

Bonnie skinęła głową, żałując już, że dała się zwabić do środka.

- Dobrze wyglądasz - powiedziała.

- Kontroluję dietę i staram się zachować formę. Mam starą kasetę z Debbie Reynolds, przy której ćwiczę kilka razy w tygodniu. Poza tym codziennie chodzimy z twoim ojcem na długie spacerzy.

Bonnie wstała i podeszła do okna. Wyrzała na zewnątrz i spróbowała wyobrazić sobie ojca spacerującego z matką, ale obraz nie chciał się pojawić. Ojciec zawsze był zbyt zajęty, żeby chodzić z matką na przechadzki.

- A co z twoim biurem podróży?

- Och, od kilku lat prowadzą je moje córki. Teraz pracuje tam również twój brat.

Głowa Bonnie natychmiast obróciła się w stronę gospodyni.

- Naprawdę? I jak się spisuje?

- Z tego, co mówią córki, wyjątkowo dobrze. Nick bardzo się zmienił w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz. - Bonnie spojrzała na zegarek. Dochodziła dziewiętnasta trzydzieści. - Słuchaj, muszę już iść. Powiedz ojcu...

- Co ma mi powiedzieć? - padło pytanie od drzwi.

Bonnie poderwała wzrok, kierując go w stronę źródła głosu.

- Witaj, Bonnie.

- Tato... - Kiwnęła głową, z trudem wypluwając to słowo, językiem miękkim niby tampon waty.

Steve Lonergan skrzyżował ręce na piersi i odciągnął ramiona do tyłu, przybierając pozę, którą Bonnie dobrze pamiętała z dzieciństwa, gdyż zawsze wzbudzała w niej trwogę. Nawet teraz poczuła, jak przyspiesza jej tętno, mimo iż stojący przed nią niemal kruchy starzec, którego białe włosy były tak przerzedzone, że praktycznie należały już do przeszłości, a skóra zdawała się dziwnie prześwitująca, nie mógł być postrachem. Skurczył się na starość, pomyślała Bonnie, choć zdrowy rozsądek podpowiadał, że ojciec nigdy nie był taki wysoki, jakim widziała go w swoich wspomnieniach. Zaskoczyła ją jego oczywista śmiertelność. W rysach twarzy nadal zapisana była szorstkość, ale w piwnych oczach czaiła się już pewna łagodność, wyraz, którego Bonnie nie dostrzegała w nich nigdy przedtem.

Ojciec wszedł do salonu i usiadł w zielono-żółtym fotelu w prążki.

- Co cię sprowadza w nasze progi? - spytał, pochylając się w kierunku sofy.

- Musiałam podrzucić coś jednemu z moich uczniów, który mieszka w okolicy - usłyszała swoją odpowiedź, czując, że głębiej zapada się w miękkie poduszki sofy.

Ojciec zachichotał.

- Zawsze byłaś kiepską kłamczuchą.

Policzki Bonnie oblały się ciemnym rumieńcem. Czy była tak kiepską kłamczuchą, ponieważ nienawidziła kłamać, czy też nienawidziła kłamać, ponieważ była tak kiepską kłamczuchą?

- Mój uczeń mieszka parę ulic stąd - powtórzyła. A po krótkiej pauzie przyznała: - Miałam nadzieję, że porozmawiam z Nickiem.

- Nicka nie ma.

- Wiem.

- Adeline przekazała mu wiadomość od ciebie. Nie próbował się z tobą skontaktować?

- Tak, próbował.

- Wyglądasz na zmęczoną - powiedział nieoczekiwanie ojciec, sprawiając, że oczy Bonnie wypełniły się łzami. - Miałaś dużo pracy w te dni?

Bonnie pokiwała głową.

- To prawda, ostatnio nie narzekam na brak zajęć.

- Tak, wiem od policji - przyznał. - Mam więc już troje wnucząt, których nigdy nie widziałem.

Bonnie przez chwilę nie potrafiła wykrztusić z siebie ani słowa.

- Jak się czuje moja wnuczka?

- Dobrze - szepnęła, a drżące słowo zawisło w powietrzu i rozprysło się. Ktoś wylał jej dzisiaj na głowę wiadro krwi, chciała krzyknąć, lecz nie zrobiła tego. Chciała zerwać się na nogi i wybiec z tego pokoju, z tego domu, w którym nigdy nie zaznała szczęścia, uciec od tych przytłaczających ciemnych kwiatów na tapetach, które wyzierały spod bieli ścian, w każdej chwili grożąc powrotem, ale nie mogła nawet drgnąć. Wokół jej kostek i nadgarstków owinęły się pęta niewidzialnej winorośli, przykuwając ją do sofy, do jej przeszłości w tym domu, nie pozwalając wyrwać się na wolność.

- Ile lat ma teraz? Trzy? Cztery?

- Dobrze wiesz ile - przypomniała mu. Steve Lonergan skinął głową.

- Więc policzmy. Urodziła się w dwa miesiące po śmierci twojej matki...

- Nie chcę mówić o matce.

- Naprawdę? Myślałem, że to może jest powód, dla którego tu jesteś.

- Jestem tutaj, bo chciałam zobaczyć się z Nickiem.

- Nicka nie ma.

Bonnie zamknęła oczy. To głupie. Po co w ogóle tu się pchała?

Ponownie spróbowała się podnieść, ale ciało odmówiło jej posłuszeństwa.

- Czy Nick wspominał kiedyś o swoim związku z byłą żoną mego męża? - zaryzykowała.

- Ma alibi na czas, kiedy ją zamordowano, jeśli o to ci chodzi.

- Was? - zapytała szyderczo.

- W pracy tego dnia miał wolne - wtrąciła się Adeline - i pomagał nam w domu.

- Wy dajecie jemu alibi? - z niedowierzaniem powtórzyła Bonnie.

- Dlaczego mielibyśmy kłamać? - zadała pytanie Adeline.

- A co z dniem dzisiejszym? - chciała wiedzieć Bonnie, ignorując pytanie skierowane do siebie. - Kolejny dzień wolny?

- Możliwe, że tak. O ile wiem, ten dzień jest ruchomy, co tydzień inny. Ale nie wiem, gdzie dzisiaj podziewa się Nick. Nie ma go, odkąd wstaliśmy.

- W porządku - powiedziała Bonnie, używając rąk, by podnieść z sofy oporne ciało i niepewnie stanąć na nogi. - Ja wiem, gdzie dzisiaj był i co robił.

Chwiejnym krokiem skierowała się do wyjścia, pilnując się, by nie spojrzeć w górę schodów, gdzie za drzwiami sypialni czyhały na nią upiory przeszłości.

- Powiedźcie mu tylko, żeby trzymał łapy z dala od mojego dziecka - rzuciła na odchodnym, otwierając drzwi i zanim ktokolwiek zdołał się odezwać, pobiegła wąską ścieżką do samochodu.

Co się ze mną dzieje? Bonnie zerknęła na swoje odbicie we wstecznym lusterku, napotykać pełne wyrzutu spojrzenie oczu wciąż jeszcze pełnych łez.

- Nie płacz - powiedziała sobie. - Ani mi się waż.

Co ją podkuśiło, żeby wracać do tego domu? Co chciała osiągnąć, stając twarzą w twarz z ojcem i jego nową żoną? Czy spodziewała się, iż ojciec padnie na kolana i zacznie błagać ją o przebaczenie? Przepraszam, że byłem takim parszywym ojcem, przepraszam, że przysporzyłem twojej matce tyle cierpień, nie mogę dłużej żyć z jej śmiercią na sumieniu. Czy to słowa, które miała nadzieję usłyszeć?

Dlaczego w ogóle mieszka w tym domu? Czyż to nie on tylko czekał, żeby z niego uciec? Czyż to nie on wyniósł się pewnego dnia, zostawiając żonę samą z dwójką dzieci? Kto dał mu prawo wrócić pod ten dach? Kto dał mu prawo być tam szczęśliwym? Jak czułaby się mama, gdyby to widziała?

- Nie powinnam była tam wracać. Jestem głupia. Głupia! - Bonnie uderzyła się dłonią w głowę. - Powinnam się leczyć na głowę, ot co. Jak mogłam tam wrócić?

Co takiego on mówił? Że uważa, iż przyszła rozmawiać z nim o matce? Skąd przyszło mu to do głowy? Co jego zdaniem powinna mu o niej powiedzieć? Co jego zdaniem mogłaby pragnąć od niego usłyszeć?

- Oby przynajmniej przekazał moje słowa Nickowi - powiedziała na głos i westchnęła z ulgą, widząc tablicę informującą kierowców, że wjeżdżają do Weston.

Oczywiście możliwe, że Nick nie miał nic wspólnego z tym, co przydarzyło się Amandzie. W końcu jaki miałby powód, żeby krzywdzić jej dziecko? Co mógłby przez to zyskać?

Jedyną osobą, która mogłaby skorzystać na śmierci jej albo Amandy, jest Rod - nieoczekiwanie zdała sobie sprawę i mimowolnie wdusiła hamulec. Auto zatrzymało się gwałtownie.

- No, teraz to już naprawdę się wygłupiasz - powiedziała po chwili, włączywszy silnik. Podziękowała Bogu, że nikt za nią nie jechał.

- Nie będę musiała czekać, aż mnie ktoś zastrzeli - dodała. - Sama wcześniej się zabiję.

Co jej przychodzi do głowy? Rod to najmiłszy i najukochańszy facet na świecie, nawet jeśli paru dawnym przyjaciółom i sąsiadom Joan wydaje się, że jest inaczej. Ta Caroline Gossett. Co ona powiedziała na pogrzebie? „Mam prawo oczekiwać jakiejś sprawiedliwości.” Co miała na myśli? No i co z tego, że Rod wykupił polisę ubezpieczeniową na nią i na dzieci? Mnóstwo mężczyzn ubezpiecza na życie swoje rodziny. Nawet dzieci? - podszeptał jej cichy głos. Z klauzulą podwójnego odszkodowania?

Rod nie ma alibi, kontynuował w jej głowie nieproszony sufler. Spotkał się z Nickiem i nie powiedział jej o tym. Spał w swoim gabinecie, kiedy to się stało, odparła te ataki Bonnie. Nick przyszedł do niego z jakimś idiotycznym pomysłem na program. Rod nie mówił jej o tym, bo nie chciał jej zdenerwować. A może był inny powód wizyty jej brata w studiu? Może mieli coś innego do omówienia? Na przykład? Na przykład morderstwo, cichutko rzekł głos.

Stopa Bonnie znowu nadepnęła hamulec. Tym razem wokół niej roztrąbiły się klaksony. Zerknęła we wsteczne lusterko, by spojrzeć na faceta w samochodzie, który stanął tuż za nią. Jak mogła się spodziewać, pokazywał jej środkowy palec, wykrzywając usta w zwyczajowym: „Baba za kierownicą!”

- Wspaniale - powiedziała Bonnie. - Wielkie dzięki. Nie zapominaj też o Haju, podjął cichy głos, zaledwie przeniosła stopę na pedał gazu.

- Haj nie miał powodu, żeby zabić Joan - odparła. - Mogła być upierdliwa, ale nie wydaje mi się to wystarczającym motywem morderstwa. Może nie mieć wielkiego mniemania o mnie jako o nauczycielce, jednakże zabicie mnie nie załatwi mu świadectwa.

Chyba że on również skorzystał finansowo na śmierci Joan. Chyba że ktoś ofiarował mu udział w spodziewanym zysku. Może jego przyjaciel, który więcej dba o należące do matki mercedesa niż o kulę w jej sercu? „Dzyń, dzyń, Baba Jaga nie żyje!”

- Chryste Panie - jęknęła Bonnie. Czy to dzieje się naprawdę? Czy ona naprawdę podejrzewa o morderstwo męża i jego syna?

Skreśliła w Winter Street, jej dom niczym upragniony miraż wyłonił się zza kolejnego zakrętu. Na podjeździe stał samochód Roda. Bonnie zaparkowała obok i zgasiła silnik.

Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej, pomyślała.

## 12

Następnego dnia pojechała zobaczyć się z Caroline Gossett.

Nowoczesny domek pomalowany był na żółto, miał szare gonty i czarne markizy. Rozciągał się na rozległej działce, otwierając się i skręcając w dziwacznych i niespodziewanych kierunkach. Zupełnie jak moje życie, pomyślała Bonnie, idąc wolno chodnikiem ku ziejącym czernią drzwiom wejściowym. Pilnowała się, by nie spojrzeć przez ramię na znajdujący się po drugiej stronie ulicy dom Joan.

- Co ja tutaj robię? - zastanowiła się głośno i stwierdziła, iż ostatnio stanowczo zbyt często zmuszona jest stawiać sobie to pytanie. - Musiałam oszaleć.

Dwukrotnie szybko nacisnęła dzwonek; rozległy się pierwsze takty *London Bridge Is Falling Down*. Po obu stronach drzwi wstawione były długie wąskie szyby.

Bonnie spróbowała zajrzeć przez nie do środka, lecz jej wzrok ugrzązł w upiętych wewnątrz zwiewnych zasłonkach, które przesłaniały widok niczym gęsta mgła. To co zdołała zobaczyć, sprawiało wrażenie eleganckiego i wytwornego wnętrza - ciemne drewniane podłogi, pianino ustawione zapewne w salonie, wysoka mosiężna rzeźba przedstawiająca postać nagiej kobiety.

Powinam była najpierw zadzwonić, uświadomiła sobie teraz. Powinna była zadzwonić i spytać, czy będzie tu mile widziana oraz jaka pora wizyty byłaby odpowiednia dla gospodarzy. Taki tryb postępowania dyktował zarówno rozsądek, jak i dobre wychowanie. Tymczasem ona uległa nieprzemysłanemu impulsowi i przyjechała tu natychmiast po skończeniu zajęć. Nie wiedziała nawet, czy Caroline Gossett będzie w domu o

tej porze. Dopiero co minęła trzecia. Prawdopodobnie jeszcze nie wróciła z pracy. Jeżeli gdzieś pracuje. Bonnie nie miała pojęcia, czym zajmuje się pani Gossett, czy jest aktywną kobietą interesu, czy prowadzącą dom mamuszką, czy pracuje jako wolontariuszka, czy może osiem godzin dziennie haruje w lokalnym gimnazjum. Nie wiedziała o niej nic poza tym, że mieszka naprzeciwko domu byłej żony jej męża i z całą pewnością należała do świata Joan.

Za każdym razem, gdy próbowała poruszyć temat Caroline Gossett, Rod odpędzał jej pytania niecierpliwym ruchem ręki i zmarszczeniem brwi. Nie mam ochoty wracać do przeszłości, mówił. Caroline Gossett jest kobietą płytką i powierzchowną, która błędnie adresowała swoją lojalność. Nie zawracał sobie nią głowy, kiedy był mężem Joan, i tym bardziej nie będzie przejmował się nią teraz.

Więc co ja tutaj robię? - ponownie zastanowiła się Bonnie; ignorując dzwonek i głośno pukając do drzwi. „Joan wyrażała się o pani bardzo pochlebnie”, wspomniła słowa Caroline. Dlaczego Joan w ogóle o niej mówiła?

- Sekundkę! Już idę! - zawołał głos z wnętrza domu, po czym za drzwiami rozległy się kroki. Przez delikatną tkaninę zasłonki zamajaczyła kobieca twarz, wiotka materia energicznym ruchem została odciągnięta w bok i błękitne oczy gospodyni napełniły się zdumieniem.

- Pani jest żoną Roda - powiedziała Caroline Gossett, otworzywszy drzwi. Przyglądała się Bonnie z nieukrywaną ciekawością.

Pani Gossett była tak wysoka, jak zapamiętała ją Bonnie z pogrzebu, ale szczuplejsza i nie tak przytłaczająca bez swojej jedwabnej marynarskiej sukienki, a jedynie w dżinsach i w spływającej na biodra różowej bawełnianej koszulce. Była nie umalowana, jasne włosy związała z tyłu głowy w krótki koński ogon, lecz nawet teraz otaczała ją ledwie uchwytna aura elegancji.

- Zastanawiałam się, czy mogłybyśmy chwilę porozmawiać - usłyszała swój głos Bonnie.

- Tak, oczywiście - brzmiała uprzejma odpowiedź i gospodyni cofnęła się w głąb przedpokoju. - Proszę, niech pani wejdzie.

Bonnie postąpiła krok naprzód.

- Wiem, że powinnam była zadzwonić, ale...

- Nie, nawet lepiej, że pani tego nie zrobiła. Element zaskoczenia i w ogóle... -

Caroline Gossett zamknęła drzwi i skierowała się do kuchni. - Napije się pani lemoniady? Właśnie przygotowałam cały dzbanek.

Nie powinnam, pomyślała Bonnie.

- Tak, chętnie - odpowiedziała. - Uwielbiam lemoniadę.

- Tędy, proszę.

Bonnie podążyła w ślad za Caroline do dużej kwadratowej kuchni. Podłoga była wyłożona meksykańskimi kafelkami w kolorach ziemi, a na białych ścianach wisiały oprawione w ramki szkice węglem przedstawiające kobiety i dzieci, najwyraźniej autorstwa tego samego artysty, który wykonał obrazki wiszące w salonie Joan. Albo obydwie przyjaciółki miały bardzo podobne gusty, albo w lokalnej galerii była jakaś wyprzedaż.

- Te są prześliczne - zauważyła Bonnie, przeskakując wzrokiem od szkicu niewiasty z noworodkiem na ręce do obrazka przedstawiającego kobietę w średnim wieku ze staruszką, prawdopodobnie swoją matką.

- Dziękuję.

- Przepraszam, jeśli sprawiłam pani kłopot - odważyła się powiedzieć Bonnie, ponieważ doszła do wniosku, że tak wypada, nawet jeśli wcale nie czuje się winna.

- Prawdę mówiąc, przyda mi się mała przerwa. Zaczęłam już dostawać zeza. - Gospodyni otworzyła lodówkę i wyjęła z niej duży dzban różowej lemoniady, którą napełniła szklanki.

- Zeza?

- Pracuję nad szkicem do nowego obrazu.

- Do obrazu? Więc to wszystko to pani dzieła? - Bonnie ogarnęła ściany świeżym spojrzeniem. Kobieta, która stworzyła te znakomite obrazy, musi być utalentowaną artystką i niezwykle wrażliwym człowiekiem. Trudno byłoby nazwać ją pustą i powierzchowną.

- Rod nie powiedział pani, że jestem artystką - stwierdziła Caroline.

- Nie, rzeczywiście. W ogóle nic mi nie powiedział.

- Więc nie wie, że pani jest tutaj - powiedziała Caroline, wygłaszając to pytanie w równie niepokojący sposób jak wszystkie poprzednie, tonem stwierdzenia.

- Sama nie wiedziałam, że się tu wybiorę.

- Interesujące. - Caroline podała Bonnie wysoką szklankę z lemoniadą.

Bonnie pociągnęła długi łyk napoju i poczuła, jak usta wykrzywia jej mimowolny grymas.

- Zbyt kwaśna?

- Nie, nie! Dobra. - Bonnie z powrotem przyłożyła szklankę do ust, ale nie piła.

Caroline uśmiechnęła się.

- Czy ktoś powiedział już pani, że kiepski z pani kłamczuch?

- Wszyscy mi to mówią.

Uśmiech Caroline stał się jeszcze szerszy. Jest bardzo ładna, kiedy się uśmiecha, pomyślała Bonnie. Niemal dziewczęca.

- Joan zwykle narzekała, że daję za mało cukru. Uwielbiała słodczy. Całkiem jak pani.

- Ja nie lubię słodczy - rzekła Bonnie niezadowolona, że w jakikolwiek sposób przyrównuje się ją do byłej żony Roda.

- Tak właśnie odpowiadała - uśmiechnęła się gospodyni. - Jak tam dzieci?

Bonnie wzięła głęboki oddech.

- Nie jestem pewna. Nie zwierzają mi się ze swych uczuć.

- Trzeba będzie czasu, żeby wszystko się ułożyło. Będziecie mieli piekielnie dużo roboty z dostosowaniem się do siebie.

- Czy dzieci były bardzo blisko z matką? Caroline zamyśliła się nad odpowiedzią.

- Nie tak bardzo, jak chciałaby Joan - powiedziała wreszcie. - Sam jest trochę dziwakiem, większość czasu spędzał w samotności, a Lauren zawsze była bardziej córeczką tatusia. Joan próbowała, ale... co mogła zrobić?

Bonnie podążyła za Caroline Gossett do salonu wypełnionego dziełami sztuki. Oprócz nagiej postaci kobiecej było tu kilka innych rzeźb - głowa dziecka, tors kobiety, maleńka baletnica. Obrazy - olejne, pastele, a także kreślone ołówkiem i tuszem - wisiały dosłownie wszędzie.

- Pani je namalowała?

- Większość z nich.

- Są przepiękne - szczerze oświadczyła Bonnie. - Zwłaszcza ten. - Wskazała dłonią obraz olejny przedstawiający kobietę przeglądającą się w lustrze, z którego wychylało się do niej jej odbicie, starsze i spowite w granatowofioletowe cienie.

- Tak myślałam, że się pani spodoba. Był ulubionym obrazem Joan.

Bonnie cofnęła się szybko, natykając się z tyłu na pianino.

- Pani gra?

- Niezbyt dobrze. - Caroline opadła ciężko na białą sofę. - Proszę, niech pani usiądzie i powie mi, co mogę dla pani zrobić?

Bonnie przysiadła na skraju białego fotela.

- Zainteresowało mnie parę rzeczy, które powiedziała pani na pogrzebie.

- Będzie musiała pani odświeżyć moją pamięć.

- Powiedziała pani Rodowi, że nieźle wygląda. On na to, że sprawia pani wrażenie zaskoczonej.



- Ach, tak. Pamiętam, że przyszło mi do głowy, iż gdzieś, ukryty za czyjąś szafą, musi istnieć wyjątkowo ohydny portret pani męża - powiedziała Caroline, wskazującym palcem prawej dłoni pukając w dolną wargę.

- Mój mąż raczej nie przypomina Doriana Graya - rzekła na to Bonnie. Czy jej się zdaje, czy też ta kobieta sugeruje, iż Rod zawarł rodzaj paktu z diabłem? - Powiedziała pani: „Mam prawo oczekiwać jakiejś sprawiedliwości”. Co pani miała na myśli?

Caroline uniosła szklankę do ust, jednym długim łykiem opróżniając ją do połowy.

- Czego pani nie rozumie?

- Dlaczego nie lubi pani mego męża? - wyjaśniła Bonnie szczerze.

Caroline potrząsnęła głową, część włosów wysunęła jej się z kucyka i rozsypała luźno wokół twarzy.

- Dlaczego to, co myślę o Rodzie, ma dla pani jakieś znaczenie?

- Nie ma żadnego - powiedziała szybko Bonnie, spuszczać wzrok na podłogę, by ukryć swoje kłamstwo, i natychmiast unosząc go z powrotem. - Sama nie wiem dlaczego - poprawiła się. - Ale pani słowa nie dają mi spokoju. Nic, tylko zastanawiam się, co takiego zaszło między wami, że pani tak bardzo go nie cierpi.

- A jego pani nie próbowała pytać - stwierdziła Caroline Gossett.

Bonnie nic nie odpowiedziała.

- Niech zgadnę. - Caroline odgarnęła niesforne kosmyki za ucho, posyłając spojrzenie w sufit. - Powiedział, że jestem głupią intrygantką, częścią niefortunnej przeszłości, o której chciałby już zapomnieć. - Spojrzała prosto na Bonnie. - Blisko?

- Wystarczająco. Caroline roześmiała się.

- Lubię parną. Ale w końcu nie ma w tym nic dziwnego. Rod zawsze miał dobry gust, jeśli chodzi o kobiety.

- Co zaszło między panią a Rodem? - powtórzyła Bonnie.

- Między nami? Nic.

- Zatem skąd ta wrogość?

Caroline dopiła lemoniadę i odstawiła szklankę na stojący obok sofy czerwono-czarny, ręcznie malowany stolik.

- Na pewno chce pani to usłyszeć?

- Nie - przyznała. - Mimo to proszę mi wszystko powiedzieć.

Caroline odetchnęła głęboko.

- Jak by to delikatnie ująć? - zastanowiła się i umilkła, wyraźnie szukając w pamięci odpowiednich słów. - Pani mąż to nieczuły, uganiający się za babami kutas. Może być?

Bonnie skrzywiła się, myśląc o natychmiastowym wyjściu, ale nie ruszyła się z miejsca.

- Czy mogłaby pani wyrazić się jaśniej? - spytała i niemal się roześmiała. Oto kobieta siedząca naprzeciwko nazwała jej męża nieczułym, uganiającym się za babami kutasem, a ona prosi, by wyrażała się jaśniej. Dobry Boże, jak powiedziałyby Diana.

- Chce pani przykładów.

- Będę wdzięczna.

- Nie jestem pewna, czy pani będzie.

- Tak czy siak, proszę mówić.

- Nie, to niech pani mi coś powie. Jaką historyjkę wciskał pani przez te wszystkie lata? Że był maltretowanym psychicznie mężem bezmyślnej alkoholiczki?

Bonnie spróbowała zachować kamienną twarz, lecz bez powodzenia.

- Tak też myślałam. Karcił tą historyjką niemal wszystkich. Kto wie? Może nawet sam w nią wierzył - Caroline wstała, zrobiła parę kroków w stronę pianina i zatrzymała się. - A czy wspominał, że jednym z powodów, dla których Joan sięgnęła po alkohol, była jego ciągła nieobecność w domu? Że jako ojciec był nieodpowiedzialny i obojętny? Że był zbyt zajęty romansowaniem na boku, aby zająć się rodziną? Nie, widzę po pani minie, że zapomniał o tym wspomnieć.

- Joan nagadała pani tego wszystkiego - orzekła Bonnie, przyswajając sobie nawyk gospodyni stawiania pytań tonem stwierdzenia.

- Jeśli pani sądzi, że bezkrytycznie wierzyłam we wszystko, co opowiadała mi Joan, to się pani myli. Pewnego wieczora, kiedy podobno był w pracy, sama widziałam naszego supermana w akcji. Wybraliśmy się z Lyle'em na obiad do Copley Square Hotel i widzieliśmy go tam, ledwie dwa stoliki od nas, skubiącego ucho szalowej brunetki.

- Rany boskie, na pewno był tam służbowo. Jest przecież reżyserem telewizyjnym, codziennie styka się z pięknymi kobietami.

- I co noc - dodała Caroline z doprowadzającym do szału spokojem. - Niech mi pani wierzy, to nie było spotkanie służbowe.

- Nawet jeśli - rzekła Bonnie - mój mąż nie porzucił Joan dla innej kobiety.

- A jaką wersję podał?

Bonnie pociągnęła kolejny łyk lemoniady, która spłynęła do przelyku, pozostawiając na języku cierpki smak.

- Powiedział, że po śmierci dziecka...

- Tak?

- Nie mógł dłużej znieść życia u boku tej kobiety.
- Tak, był doprawdy wielkim wsparciem po śmierci Kelly - stwierdziła ironicznie

Caroline.

- Łatwo feruje pani wyroki.
- Myślałam, że właśnie o to pani chodzi.
- Skąd może pani wiedzieć, co przeszedł wtedy mój mąż, jak się czuł?
- Wiem to, co widzę.
- A co pani widziała?
- Mężczyznę, który zdradzał żonę przy każdej sposobności, którego nigdy nie było,

kiedy go potrzebowała, a odszedł wtedy, gdy był jej najbardziej potrzebny.

- Nie mógł zostać - próbowała wyjaśniać Bonnie. - Co spojrział na Joan, widział swoją martwą córeczkę.

- Więc widywał ją częściej, niż kiedy żyła - warknęła Caroline i przez chwilę obydwie trwały w milczeniu.

Pani Gossett pierwsza przerwała milczenie.

- Przepraszam - powiedziała cicho. - To było karygodne zachowanie, nawet jak na mnie. Pani mąż najwyraźniej wyzwała we mnie wszystko co najgorsze.

Bonnie była bliska łez, z trudem utrzymywała się w ryzach.

- Niezbyt dobrze zna pani mojego męża.
- A może to pani go nie zna - brzmiała odpowiedź.
- To nie on pozwolił czternastomiesięcznemu dziecku utopić się w wannie -

przypomniała jej Bonnie.

- I kto tu pochopnie feruje wyroki - zauważyła Caroline.
- Fakty są faktami.

- I faktem jest, że zdarzają się wypadki. A ludzie popełniają błędy. I jeśli mają trochę szczęścia, otrzymują wsparcie i zrozumienie ze strony najbliższych. Dwoje ludzi umarło tego dnia, kiedy utopiła się Kelly - uzupełniła cicho Caroline. - Pogrzeb Joan był tylko spóźnioną formalnością. - W kącikach jej oczu zakręciły się by.

- Na pogrzebie powiedziała pani coś jeszcze? - Bonnie zdobyła się na kolejne pytanie. Caroline wzruszyła ramionami, czekając na ciąg dalszy.

- Że nie byłoby tam pani, gdyby nie chodziło o Joan. Ze była jej pani to winna.

Dlaczego?

- Kilka lat temu przechodziłam ciężki okres - zaczęła gospodyni, zniżając głos. - Oszczędzę pani krwawych szczegółów i powiem tylko, że okazało się, iż nigdy nie będę mogła mieć dzieci.

- Przykro mi - powiedziała Bonnie ze współczuciem.

- Joan dzień w dzień była wtedy przy mnie. Upewniała się, że jadłam, że wstałam, że mam kogoś do pogadania. Nie mówiła, że wszystko będzie dobrze. Nie mówiła, że jakoś to przetrwam, że mogę zaadoptować dziecko, że zrobiłam wszystko co w mojej mocy, że widać taka była wola Boga. Wiedziała, jak nieprzydatne, a nawet bolesne są te wszystkie zgrabne komunały. Sama ich wysłuchiwała. Wiedziała, że jedyne, czego mi trzeba, to ktoś, do kogo będę mogła mówić, ktoś, kto mnie przytuli i wysłucha, kiedy będę płakać, jęczeć i kłać, i uważać się nad swoim losem. Nie miało dla niej znaczenia, że dzień w dzień w kółko powtarzam to samo. Była ze mną, żeby słuchać i przytakiwać, zgadzać się, kiedy mówiłam, że to jest niesprawiedliwe, że to istny skandal. Nigdy nie próbowała pomniejszać moich uczuć ani ignorować mojego gniewu. Nawet po paru miesiącach, kiedy moje siostry i wszyscy dokoła powiedzieli, że czas, abym wreszcie z powrotem ułożyła sobie życie, Joan mnie nie porzuciła. Powiedziała, że na to przyjdzie czas, kiedy wydobrzeję, wtedy sama będę gotowa.

- Była prawdziwą przyjaciółką - zgodziła się Bonnie.

- Tak, była. Nie przetrwałabym tych trudnych dni bez jej pomocy. - Caroline odetchnęła głęboko, przywołując na twarz wymuszony uśmiech. - Ale to nie wszystko.

- Nie wszystko?

- Ledwie jakoś się pozbierałam, mama upadła i złamała sobie kość biodrową. Musiała iść do szpitala. Ojciec nie żyje, żadna z sióstr nie mieszka w mieście. Tymczasem załatwianie tych wszystkich spraw było ponad moje siły. Mama musiała wyjechać do sanatorium, a potem do zakładu dla rekonwalescentów, ponieważ już nie mogła poradzić sobie bez opieki. Wszystkim zajęła się Joan. To ona rozmawiała z lekarzami, załatwiała formalności i dbała o to, żeby mama miała możliwie jak najlepszą opiekę. Była cudowna. I znowu, jak sędzę, na jej postępowanie miała wpływ pamięć o tym, co sama przeszła z matką po śmierci Kelly.

Bonnie poczuła, że ogarnia ją chłód.

- Co pani ma na myśli?

- Nic pani nie wie o matce Joan. - Kolejne pytanie ukryte pod płaszczkiem stwierdzenia faktu.

- Tylko tyle, że nie żyje.

- Nie żyje? - Caroline wyglądała na zdziwioną. - Kto powiedział, że mama Joan nie żyje?

- A żyje?

- O ile mi wiadomo.

Bonnie zdała sobie sprawę, że wstrzymuje oddech. Spróbowała wypuścić powietrze, lecz bez powodzenia. Miała wrażenie, że jej ciało odmawia posłuszeństwa.

- A co się stało po śmierci Kelly?

- Matka Joan zaczęła zachowywać się bardzo irracjonalnie. Miała kłopoty z pamięcią, mówiła od rzeczy, zdarzało jej się wychodzić z domu w samej bieliźnie i tym podobne. Od lat miała problemy z alkoholem, po śmierci Kelly jeszcze bardziej pogрузzyła się w nałogu. W końcu Joan musiała oddać ją pod czyjąś opiekę. Kolejny ciężar winy na sumieniu. Oczywiście przystojny mężulek nie pokazał się, żeby pomóc.

- Nie wie pani, gdzie ona teraz jest?

- W Centrum Zdrowia Psychicznego Melrose w Sadbury. To ośrodek prywatny, dość przyjemny jak na szpital psychiatryczny.

- Skąd idą na to pieniądze?

- Ze spadku, który dostała Joan - brzmiała sardoniczna odpowiedź. - Tak przynajmniej zwykł mawiać Rod.

- Myśli pani, że jej matka wie o śmierci Joan?

- Nie sędę, żeby wiedziała o czymkolwiek. Z tego, co mówiła Joan, jej matka dawno wycofała się w swój własny, mały świat.

- Zna pani jej nazwisko? - zapytała Bonnie, zaskoczona własną dociekliwością.

- Elsa Langer - powiedziała Caroline. - A dlaczego?

- Nie jestem pewna - przyznała otwarcie. Prawdę mówiąc, niczego już nie była pewna. - Czy mogłabym zadać pani jeszcze jedno pytanie?

- Proszę strzelać. - Przez chwilę obydwie patrzyły na siebie osłupiałe. - Przepraszam, dość niefortunny dobór słów.

- Mówiła pani na pogrzebie, że Joan dobrze się o mnie wyrażała.

- To prawda.

- Co dokładnie o mnie mówiła?

Caroline ponownie poszybowała spojrzeniem pod sufit.

- Chwileczkę... Że jest pani miłą osobą, że jest pani dobrą matką i że panią podziwiał.

- Czy sprawiała wrażenie osoby ogarniętej obsesją?

- Obsesją?

Bonnie opowiedziała pani Gossett o albumie z wycinkami z gazet, który policja znalazła w sypialni Joan.

- Naprawdę? Nie podejrzewałam jej o takie zorganizowanie.
- A czy pamięta pani jeszcze coś z tego, co mówiła? Caroline zamysliła się.
- Pamiętam jedną rzecz - odezwała się po krótkiej pauzie.
- Tak? - ponagliła Bonnie, cała zamieniając się w słuch.
- Powiedziała, że szkoda jej pani.

Oczy Bonnie z miejsca wezbrały łzami. Nie płacz, upomniała się w duchu. Nie tutaj. Nie teraz.

- Muszę już iść - powiedziała szybko.
- To musiało być dla pani interesujące popołudnie - zauważyła Caroline,

odprowadzając ją do przedpokoju.

- Dziękuję, że poświęciła mi pani tyle czasu - powiedziała Bonnie, otwierając drzwi, wdzięczna za silny poryw wiatru, który dmuchnął jej w twarz upragnionym powietrzem. Otworzyła usta, lękając je jak wodę.

- Kto to? - spytała Caroline, wychodząc za Bonnie i kierując jej uwagę na drugą stronę ulicy.

Wzrok Bonnie podążył niechętnie w stronę domu Joan i przylgnął do wjeżdżającego właśnie na podjazd zielonego samochodu. Wóz zatrzymał się, a z otwartych drzwi nieśpiesznie wysunęły się długie kształtne nogi, lecz zanim dotknęły chodnika, z wnętrza wozu wynurzyły się równie długie i zgrabne dłonie, które poprawiły skraj beżowej płóciennej spódniczki. Dopiero po tych zabiegach z samochodu wysiadła kobieta. Miała beżowe włosy, idealnie dopasowane do beżowego zakietu, spódniczki i butów. Świadoma, że jest obserwowana, rozejrzała się dokoła, posłała miły uśmiech w stronę obydwu kobiet i ruszyła w górę podjazdu.

- Nikogo tam nie ma! - zawołała za nią Caroline.
- Tak, wiem - odpowiedziała przybyła, nie fatygując się odwracaniem. - Mam klucz. -

Pomachała nim w górze.

Bonnie z miejsca znalazła się po drugiej stronie ulicy, a Caroline Gossett przy niej.

- Przepraszam - podjęła Bonnie z uporem - ale pani nie może tam wejść.

Kobieta odwróciła się. Jej makijaż był tego samego koloru co reszta osoby. Dać jej beżowe tło, pomyślała Bonnie, a jak nic stałaby się niewidzialna.

- W czym problem? - spytała beżowa dama.

- Osoba, która mieszkała w tym domu, nie żyje - wyjaśniła Bonnie krótko, nie wiedząc, co jeszcze należałoby dodać. W przybyłej kobiecie było coś nieuchwytnie znajomego; kiedyś musiała ją już spotkać.

- Tak, wiem. Postaram się niczego tam nie ruszać.

- Kim pani jest? - zapytała Bonnie. Instynktownie wiedziała, że kobieta nie jest z policji.

- Gail Ruddick - przedstawiła się przybyłą, podając jej biały kartonik.

Bonnie wyłuskała wizytówkę z wypielegnowanych beżowych paznokci tamtej i przeczytała ją, świadoma, że Caroline odczytuje treść informacji ponad jej ramieniem.

- Agencja nieruchomości Ellen Marx - powiedziała na głos.

Za jej plecami Caroline Gossett wydała z siebie ciche gwizdnięcie.

- Widziałam panią na pogrzebie Joan - powiedziała nagle Bonnie, uświadamiając sobie, skąd zna tę twarz. Tylny rząd z fryzurami, pomyślała.

- Tak, rzeczywiście. - Gail Ruddick wyraźnie czuła się nieswojo. - To straszne, co się stało. Po prostu straszne. - Ręką zatoczyła łuk w stronę domu i z powrotem, jakby stała na obracającej się platformie.

- Poproszono nas o rozejrzenie się tutaj i oszacowanie wartości domu.

- Policja was o to prosiła?

- Nie - odparła Gail Ruddick. - Nie policja. Wyraźnie nie miała ochoty udzielać dalszych informacji.

- Więc kto? - zażądała odpowiedzi Bonnie.

- Przepraszam - brzmiała odpowiedź - ale naprawdę to nie jest temat do rozmowy z osobami postronnymi.

- Raczej trudno uznać mnie za osobę postronną - odparowała Bonnie. - Ten dom należy do moich pasierbów. I do mojego męża - dodała drżącym głosem, dławiąc się z zażenowania.

Twarcz Gail Ruddick pękła w szerokim uśmiechu, ukazując zęby, których biel, po tych wszystkich beżach, była wręcz szokująca.

- No to nie ma problemu. To pani mąż kazał mi się tu rozejrzeć. Od niego właśnie mam klucz. Jeśli pani chwilę poczeka, otworzę drzwi i oddam go pani. Oszczędziłoby mi to kłopotu ze zwracaniem. - Podeszła do drzwi frontowych, otworzyła je i zwróciła klucz. Bonnie dołączyła go do swojego kółka z kluczami, robiąc wszystko co w jej mocy, żeby powstrzymać drżenie dłoni.

- Proszę przekazać mężowi, że zjawię się z wynikiem oszacowania najszybciej, jak się da.

Bonnie skinęła głową, podczas gdy agentka nieruchomości z powrotem ruszyła ścieżką w stronę domu.

- Proszę mi powiedzieć - rzuciła Bonnie przez ramię do Caroline, ani na chwilę nie spuszczać wzroku z beżowej sylwetki pani Ruddick - czy Joan mówiła kiedyś, że ja i moja córka jesteśmy w niebezpieczeństwie?

- Nie - odparła Caroline Gossett. - A myśli pani, że jesteście?

Bonnie nie odpowiedziała.

- Niech pani będzie ostrożna - rzekła Caroline. - Gdyby kiedyś chciała pani porozmawiać, proszę pamiętać, że tu jestem.

Bonnie patrzyła, jak Gail Ruddick znika w domu Joan. Z tyłu dobiegł ją odgłos kroków wracającej do siebie Caroline. Kiedy odwróciła się, ujrzała tylko zamykające się za nią drzwi. Została sama, porzucona dziewczynka, stojąca na chodniku i czekająca na kogoś, kto poda jej rękę i bezpiecznie odprowadzi do domu.

## 13

Centrum Zdrowia Psychicznego Melrose rozciągało się na przestrzeni ponad czterech kilometrów kwadratowych na sąsiadującym z Weston przedmieściu Bostonu, Sudbury, niedaleko rzeki Sudbury. Dotarcie do niego ze szkoły wymagało jedynie krótkiej przejażdżki Route 20. Bonnie wybrała się tam następnego dnia zaraz po zajęciach.

- I co ty robisz, dziewczyno? - zadała sobie głośno pytanie, drobną wariację zwyczajowego: „Co ja tutaj robię?”

- Próbuję zbadać, o co tu chodzi. Szukam odpowiedzi - zwróciła się do kobiety we wstecznym lusterku sprawiającej wrażenie załęcznionej. Dlaczego nikt jej nie powiedział, że Elsa Langer żyje?

Bonnie skręciła w długi podjazd do imponującej białej budowli, która ze swoimi masywnymi kolumnami oraz aurą chylącej się ku upadkowi świetności sprawiała wrażenie żywcem przeniesionej ze starego Południa. Na dworze było przepięknie, lekki wietrzyk pieszczotliwie muskał liście drzew, było ciepło.

Na terenie ośrodka dwójkami lub trójkami spacerowali ludzie. Pewnie pacjenci, pomyślała Bonnie, odpowiadając skinieniem głowy na czyjeś przyjazne pozdrowienie ręką. „Ktoś znajomy?” - zastanowiła się, natychmiast odrzucając taką możliwość. Bardziej prawdopodobne, że jedna biedna zagubiona duszyczka rozpoznała drugą, podobną.

Zaparkowała na przestronnym parkingu dla gości. Odkąd to uważa siebie za biedną zagubioną duszyczkę?



Otworzyła drzwi i wysunęła nogi na zewnątrz, natychmiast przypominając sobie tę samą czynność w wykonaniu Gail Ruddick wczoraj po południu.

„No to nie ma problemu. To pani mąż kazał mi się tu rozejrzeć. Od niego właśnie mam klucz.”

Wróciła myślami do wczorajszego dnia. Po wizycie u Caroline chciała porozmawiać z Rodem, ale zadzwonił w porze obiadu, że może wrócić późno, ponieważ odwalają kawał ciężkiej roboty, by zdążyć z przygotowaniem wszystkiego na konferencję w Miami, więc jak zwykle zjadł w studiu kanapkę, a ona niech nie czeka.

Czekała i tak, ale zaledwie przekroczył próg domu, poznała po jego wyrazie twarzy, że nie jest to odpowiednia chwila na konfrontację. Nie żeby chciała konfrontacji w ścisłym tego słowa znaczeniu. Po prostu chciała zadać mu kilka pytań. Dlaczego posłał do domu Joan agenta nieruchomości? Dlaczego nie powiedział jej, że matka Joan żyje? Ile prawdy było w tym, co o jego licznych romansach mówiła Caroline?

Całe popołudnie powtarzała sobie te pytania, starając się nadać im tak niewinne i wyprane z pretensji brzmienie, jak to tylko możliwe. Nie chciała, żeby Rod odniósł wrażenie, iż próbuje go o coś oskarżać. Po prostu była ciekawa. Jej życie zostało wywrócone do góry nogami. Wciąż było dalekie od normalności i groziło pozostaniem w tym niedobrym stanie na zawsze, każąc jej balansować na głowie i wirować niczym bąk, a skoro tak, to trudno - musi zadać Rodowi parę pytań. Czy naprawdę zbyt wiele wymaga?

- Mogłabym z tobą porozmawiać? - spytała, kiedy Rod wśliznął się pod kołdrę.
- Czy to nie może poczekać do jutra? Miałem naprawdę paskudny dzień.
- Domyśliłam się.

Prawie natychmiast Rod odwrócił się w jej stronę, składając jej na prawym ramieniu delikatny pocałunek.

- Przepraszam, kotku. To nie w porządku. Moje dzieci dały ci się we znaki?
- To nie dzieci.
- Więc co? Miałaś w szkole ciężki dzień? Bonnie potrząsnęła głową.
- Byłam dzisiaj u Caroline Gossett.

Rod uniósł się na łokciach, kołdra zsunęła się z jego nagiej piersi.

- Po kiego diabła tam pojechałaś?
- Sama nie wiem. Zdaje się, że byłam zbita z tropu tym, co powiedziała na pogrzebie.

Rod zaczerpnął głęboko powietrza i zamknął oczy.

- A teraz, niech zgadnę, jesteś bardziej zbita z tropu niż przedtem?

Bonnie uśmiechnęła się.

- Skąd wiesz?
- Caroline zwykle tak oddziałuje na ludzi.
- Sprawiała wrażenie bardzo miłej osoby.
- Nie wszystko złoto, co się świeci. - Rod z powrotem opuścił głowę na poduszkę.

Lewą ręką zasłonił twarz.

- I co ci powiedziała? Że doprowadziłem moją byłą żonę do alkoholizmu, ponieważ nigdy nie było mnie w domu, ponieważ byłem zbyt zajęty romansowaniem z innymi kobietami, kiedy mnie potrzebowała? Że odszedłem od niej w godzinie najcięższej próby?

- Brzmi, jakbyś to już kiedyś słyszał.
- Od lat śpiewa tę samą piosenkę.
- Czy rzeczywiście miałeś jakieś romanse na boku? - rzuciła Bonnie lekkim tonem.

Rod uniósł dłoń z twarzy i spojrzał jej prosto w oczy.

- Nie - rzekł. - Chociaż Bóg mi świadkiem, że miałem do tego wiele sposobności. I często myślałem o tym. Ale czy to czyni mnie winnym?

Bonnie pochyliła się i w odpowiedzi czule pocałowała go w usta.

- Czy teraz mogę już spać? - zapytał, gotów odwrócić się.
- Wiedziałaś, że matka Joan żyje?
- Elsa żyje? Nie, nie miałem pojęcia.
- Jest w zakładzie psychiatrycznym w Sudbury.

Rod nie odpowiedział, przewracając się z powrotem na drugi bok i pociągając za sobą obejmującą go w talię rękę Bonnie.

- Gdziekolwiek ona jest, nic mnie już nie obchodzi - wymamrotał.
- Dzieci nic o niej nie wspominały?
- Nie mnie. Czy moglibyśmy porozmawiać o tym jutro? Bonnie zamilkła.
- Kocham cię - szepnęła po chwili.
- Ja ciebie też kocham, kotku. Przepraszam. Rano będę miał więcej energii.
- Czy mogłabym spytać cię o coś jeszcze?
- Jasne. - Jego głos był stłumiony, jak głos człowieka balansującego na krawędzi snu.
- Nie powiedziałaś mi, że wysłałeś agentkę nieruchomości do domu Joan. - Rod nie

odpowiedział. Bonnie poczuła pod ręką, jak jego ciało sztywnieje. - Natknęłam się na nią, kiedy wychodziłam z domu Caroline - wyjaśniła.

- I co z tego? - Jego ton był równie napięty jak zeszywniałe pod palcami Bonnie mięśnie.

- Zastanawiałam się tylko, dlaczego posłałeś kogoś, żeby wycenił ten dom....

- A dlaczego miałem nie posłać?

- Ponieważ wydaje mi się to trochę... przedwczesne - brzmiała ostrożna odpowiedź.

Rod usiadł, niecierpliwym gestem odrzucił kołdrę i wyskoczył z łóżka.

- Przedwczesne? Na miłość boską, ten dom jest mój. To ja przez ponad dziesięć lat spłacałem jego hipotekę. Należy do mnie i do moich dzieci. To o ich przyszłości teraz rozmawiamy, a ja chcę dla nich jak najlepiej. Czy jest w tym coś złego? Nie sądzisz, że powinienem znać wartość domu? Choćby po to, żeby wiedzieć, jakie mam możliwości?

- Niepokoiło mnie tylko, co pomyśli policja...

- Mam gdzieś, co pomyśli policja. Co ty myślisz, oto co mnie niepokoi.

- Po prostu zastanawiałam się, dlaczego nic mi nie powiedziałeś. To wszystko.

- Może dlatego, że urabiam sobie ręce po łokcie, próbując przygotować wszystko na tę cholerną konferencję w Miami i nie miałem nawet dwóch minut, żeby pomyśleć, nie mówiąc już o relacjonowaniu ci każdego najdrobniejszego szczegółu mego życia - powiedział, unosząc w górę ręce i miotając się przed nią w tę i z powrotem, ubrany jedynie w jasnoniebieskie spodenki. - Chcesz szczegółów? W porządku, oto szczegóły. Byłem po uszy zagrzebany w robocie, Marla coś sobie właśnie ubzdurzyła i wtedy zadzwonił telefon. Jakaś agentka nieruchomości powiedziała, że jeśli chcę sprzedać dom, to powinienem zrobić to teraz, póki jest koniunktura, bo nie wiadomo, jak długo to potrwa. Czy opowiadam wystarczająco dokładnie?

- Rod...

- Powiedziałem, że moim zdaniem na podejmowanie jakichś kroków jest jeszcze za wcześnie, a ona na to, że co złego się stanie, jeśli wyślę kogoś, żeby rozejrzał się na miejscu i oszacował, ile to wszystko jest warte? Powiedziałem, że to brzmi rozsądnie, ale co ja tam wiem? Jestem tylko niewiernym mężem, skurwysynem, który opuścił żonę i dzieci. - Przestał się miotać i podszedł prosto do Bonnie.

- Może nawet zaaranżowałem jej śmierć - przerwał.

- Czy to właśnie chodzi ci po głowie, Bonnie? Czy nie stąd biorą się wszystkie twoje pytania?

Bonnie zachowała milczenie. Czy to możliwe, żeby Rod miał rację? Czy właśnie tego obawiała się w głębi duszy?

Nagle rysy mężczyzny złagodniały, na jego twarzy osiadł smutek. Kiedy się odezwał, przypominał małe dziecko szukające dłoni dorosłego.

- Bonnie, powiedz szczerze. Naprawdę myślisz, że mogłem mieć coś wspólnego ze śmiercią Joan? Ponieważ jeśli tak... Jeśli tak, to co robimy tutaj razem? Jak możesz być ze mną w jednym pokoju, w jednym łóżku?

On ma rację, pomyślała Bonnie, kręcąc głową. Co się z nią dzieje? Czyż nie powinna się spodziewać, że jej pytania mogą być zrozumiane w taki sposób? Na miłość boską, one muszą być zrozumiane w taki sposób!

- Rod, przepraszam - powiedziała. Gorąco pragnęła dotknąć męża, lecz bała się, że zostanie odtrącona. - Nie wiem, co powiedzieć. Wiem, że nie masz nic wspólnego ze śmiercią Joan. Nigdy nie miałam zamiaru sugerować...

Rod wolno pokiwał głową w obie strony.

- Dobrze. Dobrze. Jest dobrze. Wszystko będzie dobrze - powtarzał niczym mantrę, jakby wielokrotne powtórzenie tego słowa mogło uczynić je bliższym prawdy. - Lepiej chodźmy już spać. - Z powrotem położył się do łóżka. - Jestem zmęczony. Nie mogę myśleć. Pewnie jestem przewrażliwiony. Przepraszam, że tak ostro zareagowałem. Wszystko będzie dobrze. Rano dojdę do siebie. Tylko koniecznie muszę się przespać. Porozmawiamy rano.

Ale rano, zanim Bonnie wyszła spod prysznicą, Roda już nie było. Wyszedł do pracy. Pozostawiony na blacie stołu kuchennego liścik informował, że znowu wróci później, niech nie czeka.

- Co mam nadzieję tutaj osiągnąć? - spytała Bonnie, zmierzając w stronę rozległych zabudowań Centrum Zdrowia Psychicznego. - Czy chodzi mi o oczyszczenie swojego imienia, o połączenie członków tej rodziny? Czego spodziewam się po jakiejś biednej starej pijaczce, która od dawna żyje we własnym wymyślonym świecie? - A na dodatek zaczynam gadać sama do siebie, pomyślała, przecinając rozciągający się przed frontem trawnik. - Nie ma co, pasuję do tego miejsca.

Siedząca na pobliskiej ławce starsza kobieta pomachała do niej ręką.

- Znam cię - oświadczyła, kiedy Bonnie podeszła bliżej, bezskutecznie przekopując pamięć w poszukiwaniu rysów jej pomarszczonej twarzy. - Jesteś tą słynną aktorką. Tą, która umarła.

Wspaniale, pomyślała Bonnie, odwracając się na pięcie i śpiesząc w stronę głównego wejścia. Czuła, jak obcasy grzęzną w trawie.

Wnętrze ośrodka urządzone było w duchu wymuszonej jowialności, charakterystycznym dla większości tego rodzaju instytucji. Szerokie, wymalowane na brzoskwińowo korytarze, litografie Picassa z kwiatami i arlekinami oraz dobrze oświetlona,

przestronna recepcja z atrakcyjną kobietą w średnim wieku siedzącą za dużym biurkiem w kolorze kości słoniowej. Bonnie ostrożnie zbliżyła się do biurka.

- Tak? - spytała recepcjonistka, odsłaniając w szerokim uśmiechu górne zęby łącznie z dziąsłami. - Czym mogę pani służyć?

Możesz kazać mi odwrócić się i wracać do domu, pomyślała Bonnie, spoglądając prosto w fiołkowe oczy kobiety i zastanawiając się, czy zawdzięczają swą barwę naturze czy szkłom kontaktowym. Nie wierz we wszystko, co widzisz. Nie wszystko złoto, co się świeci. Czyż nie tak powiedział jej Rod?

- Gdzie mogę znaleźć Elzę Langer? - usłyszała swój głos.

Recepcjonistka odwróciła się do komputera.

- Powiedziała pani Langer?

- Tak. Elsa Langer.

- Elsa Langer. Tak, jest. Pokój trzysta dwanaście, południowe skrzydło. Tam są windy. - Wskazała na prawo.

- Dziękuję - powiedziała Bonnie, nie ruszając się z miejsca.

- Może pani od razu udać się na górę.

Bonnie skinęła głową, próbując nakłonić swoje nogi do ruchu. Bezskutecznie.

- Czy ma pani jakiś problem?

- Po prostu ostatni raz widziałam panią Langer bardzo dawno temu - skłamała, zastanawiając się, czy recepcjonistka rozszyfruje ją równie łatwo jak Caroline Gossett - i nie wiem, czego mam się spodziewać. - Przynajmniej ta część była zgodna z prawdą.

Bonnie wysiadła z windy i nieśpiesznie się rozejrzała. Ściany były tutaj białe, miejsce zaś Picassa zajął Matisse. Pokój dla odwiedzających znajdował się parę kroków na prawo, naprzeciw dyżurki pielęgniarek. Na kontuarze stało kilka dużych bukietów kwiatów, czekając na dostarczenie. Może powinnam była przynieść pani Langer jakieś kwiaty, pomyślała Bonnie, wsuwając pod pachę dwa świeżo zakupione magazyny, „Vogue” i „Bazaar”. Najnowsze trendy wiosennej mody. Dokładnie to, czego potrzebuje kobieta.

Pielęgniarki w dyżurce były zajęte plotkowaniem. Kiedy Bonnie podeszła, podniosły wzrok, zarejestrowały jej obecność i wróciły do rozmowy. Najwyraźniej obsługa klientów nie była priorytetem. Bonnie czekała, spoglądając w głąb pokoju dla odwiedzających. Była tam młoda kobieta, siedząca w milczeniu pomiędzy starszymi od siebie mężczyzną i kobietą, prawdopodobnie rodzicami. Matka płakała, a ojciec patrzył przed siebie pustym wzrokiem, jakby nie mógł uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. Inna kobieta obejmowała

ramieniem młodego mężczyznę, który dziko oskubywał swoje ubranie z niewidzialnych kłaczków.

- Tutaj i tutaj - mruzczała kobieta. - I tutaj. Tutaj. Bonnie z powrotem odwróciła się do pielęgniarzek.

- Przepraszam, czy mogłyby panie wskazać pokój trzysta dwanaście?

- Tędy - wskazała jedna z nich, nie kłopotząc się spoglądaniem na nią.

- Dziękuję.

Po chwili stała przed drzwiami oznaczonymi numerem 312. I co teraz? Zapukać? Od razu wpakować się do środka? A może odwrócić się i zwiewać do domu?

Zanim zdołała się zdecydować, z wnętrza pomieszczenia dobiegł ją czyjś głos:

- Wejść!

Bonnie zebrała się w sobie i otworzyła drzwi.

W stojącym przy oknie fotelu na kółkach siedziała kobieta. Jej włosy zostały ufarbowane na kolor ciemnego brązu, lecz widoczne odrosty centymetrowej długości były kompletnie siwe, a całą skórę pokrywały liczne plamy wątrobowe. Spod różowej pikowanej derki wystawały nogi podobne dwóm bezkształtnym klocom. Nawet teraz była osobą o imponującej posturze. Jaka córka, taka matka, pomyślała Bonnie z niechęcią, chociaż poza tym zdołała się dopatrzeć niewielu podobieństw do Joan.

- Skąd pani wiedziała, że tu jestem? - Weszła do pokoju, słysząc za plecami szum zamykających się drzwi. Czyżby kobieta potrafiła wyczuć jej obecność? Czy została w jakiś sposób powiadomiona o jej nadejściu?

- Słyszałam kroki - brzmiała odpowiedź. - Ucichły pod moimi drzwiami.

Bonnie roześmiała się. Więc to takie proste. Jak łatwo przegapiamy to, co najbardziej oczywiste, pomyślała.

- Pani Elsa Langer?

- Może. - Kobieta wygładziła pikowaną derkę na swych szerokich kolanach. - A kto pyta?

- Bonnie... Bonnie Wheeler.

Cienkie brwi chorej zmarszczyły się, łącząc u nasady szerokiego nosa.

- Mam coś dla pani - powiedziała Bonnie, robiąc w jej kierunku kilka drobnych kroków i kładąc jej gazety na podółku. Kobieta spojrzała w dół, po czym znowu podniosła wzrok na Bonnie.

- Dziękuję. Mówisz, że jak się nazywasz?

- Bonnie. Bonnie Wheeler - powtórzyła Bonnie, podkreślając swoje nazwisko w nadziei, że jego brzmienie poruszy jakąś strunę w pamięci kobiety. A kiedy nie spotkała się z żadnym odzewem, dodała:

- Znałam Joan.

- Naprawdę?

- Tak - przytaknęła, nie wiedząc, co mówić dalej. Czy pani Langer wie, że jej córka nie żyje? Czy ktoś jej o tym powiedział?

- Ja też kiedyś znałam Joan. Bonnie skinęła głową.

Kobieta zaczęła wykonywać ustami dziwne ruchy, jakby zmagając się z zabłąkanym kawałkiem jedzenia, to wciągając wargi, to je wydymając, aż w końcu z ust wysunęła jej się sztuczna szczęka, zachybotała na końcu języka, po czym wskoczyła na miejsce wciągnięta z powrotem z głośnym kliknięciem.

- Czy ktoś powiedział pani o Joan? - zaryzykowała Bonnie, starając się nie patrzeć na rozmówczynię, która znowu usiłowała wydobyć swoją szczękę na światło dzienne.

- Joan nie żyje - brzmiała niewyraźna odpowiedź, jako że język wciąż jeszcze zajęty był wypychaniem protezy.

- Tak - rzekła Bonnie. Chcąc nie chcąc zauważyła błękitne ściany, małą komodę oraz dwa bliźniaczo podobne łóżka szpitalne. Jedno z nich było schludnie posłane, drugie zupełnie zaniedbane, z pościelą skotłowaną i spiętrzoną w samym środku, jakby ktoś pod nią jeszcze leżał.

- Boże, tam ktoś jest - powiedziała, podchodząc niepewnie do nie zasłanego łóżka. Nie zidentyfikowany wzgórek pośrodku posłania z wolna nabierał kształtu człowieka. Bonnie wstrzymała oddech, starając się nie myśleć o swojej matce w przededniu jej śmierci, niezdolna przyjrzeć się dokładnie nieruchomej postaci.

Skóra i włosy kobiety miały barwę popiołu, policzki były zapadnięte, a brązowe oczy otwarte i puste jak oczy ślepeca. Przez moment Bonnie błysnęła myśl, że kobieta jest martwa, ale wtedy z jej ust wydarł się dziwaczny dźwięk, przypominający gasnące w zetknięciu z powietrzem kwilenie.

- To jest pani Langer, prawda? - zwróciła się Bonnie do kobiety na wózku.

- Może - odparła tamta. - A kto pyta?

- Bonnie - brzmiała cierpliwa odpowiedź. - Bonnie Wheeler. Czy zna pani to nazwisko, pani Langer? - spytała kobietę leżącą na łóżku.

- Nie będzie z tobą rozmawiała - rzekła kobieta na wózku. - Z nikim nie chce rozmawiać, odkąd powiedzieli jej, że Joan nie żyje.

- Tak mi przykro z powodu pani córki - kontynuowała Bonnie, delikatnie dotykając ramienia leżącej.

- Co miesiąc przychodziła do niej w odwiedzin. Teraz nikt nie przychodzi.

- Pani Langer, słyszy mnie pani?

- Nie będzie z tobą rozmawiała - do uszu Bonnie ponownie dobiegło kliknięcie szczęki wskakującej na swoje miejsce.

Bonnie upadła na kolana przy łóżku Elsy Langer, tak że jej oczy znalazły się na poziomie oczu staruszki.

- Jestem Bonnie Wheeler - powiedziała. - Żona Roda.

Powieki chorej zatrzepotały nagle. Bonnie przysunęła się jeszcze centymetr bliżej.

- Czy Joan wspominała kiedyś o mnie?

- Joan nie żyje - oświadczyła kobieta na wózku.

- Joan niepokoiła się o mnie - ciągnęła Bonnie. - Powiedziała, że musi mi coś powiedzieć, ale zginęła, zanim zdążyłyśmy porozmawiać. Zastanawiam się, czy nie powiedziała pani czegoś... - przerwała. Co ona wyprawia?

Przecież ta kobieta jest o włos od śmierci. Prawdopodobnie nawet jej nie widzi, nie mówiąc już o słyszeniu czy rozumieniu jej słów. - Chciałam tylko, żeby pani wiedziała, że z Samem i Lauren wszystko w porządku. Mieszkają teraz z Rodem i ze mną, będziemy się nimi dobrze opiekować. Gdyby pani chciała, mogłabym przyprowadzić ich kiedyś w odwiedzin. Jestem pewna, że chętnie zobaczyliby się z babcią. - Dlaczego to powiedziała? Żadne z dzieci nawet nie wspomniało o babci.

Elsa Langer milczała.

Bonnie podniosła się chwiejnie.

- No to ja już pójdę.

- Mówiłam ci, że nie będzie z tobą rozmawiała. - W głosie kobiety na wózku brzmiała nuta triumfu.

- Czy kiedykolwiek rozmawia z panią? - spytała Bonnie, spoglądając na kobietę.

Sztuczna szczeka nadal wysuwała się i zniknęła niczym język węża.

- Może. A kto pyta?

Bonnie zamknęła oczy, pokonana.

- Bonnie - rzekła. - Bonnie Wheeler.

- Nazwisko brzmi znajomo - oświadczyła kobieta. Zamiotła rękami w poprzek kolan, zrzucając na podłogę obydwie magazyny.

- Naprawdę?



- Może. A kto pyta?

Bonnie podniosła gazety z podłogi i umieściła je na łóżku Elsy Langer, zerkając ukradkiem na kobietę zakopaną w świeżej białej pościeli. Po policzku pani Langer toczyła się samotna łza. Skrzyła w stronę ust, następnie spłynęła po brodzie, jak ślina, zadrzała na krawędzi i spadła, wsiąkając w poduszkę.

- Pani Langer? Pani Langer, czy pani mnie słyszy? Czy słyszała pani, co mówiłam wcześniej? Rozumie mnie pani? Może pani ze mną porozmawiać? Czy jest coś, co chciałaby mi pani powiedzieć?

- Nie będzie z tobą rozmawiać - rzekła kobieta na wózku.

- Ale ona płacze.

- Ona zawsze płacze.

- Naprawdę?

- Może. A kto pyta? Bonnie westchnęła ciężko.

- Niech pani nie płacze - powiedziała matce Joan.

- Proszę, nie chciałam pani zdenerwować. Teraz pójdę, ale zostawię pielęgniarce swój numer telefonu na wypadek, gdyby pani zechciała się kiedyś ze mną skontaktować.

- Pochyliła się i musnęła palcami siwe włosy chorej. - Do widzenia.

- Miło było cię spotkać - oświadczyła kobieta na wózku.

- Mnie również było miło - zapewniła ją Bonnie.

- Kłamczucha, kłamczucha, fajczy ci się z ucha! - zawołała za nią kobieta, kiedy Bonnie zmykała z pokoju.

## 14

Zaraz po powrocie do domu Bonnie zadzwoniła do biura doktora Greenspoona.

- Biuro doktora Greenspoona - głos sekretarki był zachrypnięty.

- Chciałabym zamówić wizytę u doktora Greenspoona, najszybciej jak to możliwe - powiedziała Bonnie, próbując zrozumieć, o co jej właściwie chodzi. Nie miała zamiaru nigdzie dzwonić. Większość drogi z Sudbury spędziła na przekonywaniu siebie, że powinna zostawić tę sprawę policji, a sama trzymać się z daleka. Tylko jak miała trzymać się z daleka, skoro chcąc nie chcąc, tkwiła w samym sercu wydarzeń, skoro ona i jej córka mogły znajdować się w śmiertelnym niebezpieczeństwie?

- Czy jest pani pacjentką doktora?

- Ja? Ach, nie. Nie jestem.

- Rozumiem. No cóż, pierwszy wolny termin dla nowych pacjentów przypada w lipcu, dziesiątego.

- W lipcu? To ponad dwa miesiące czekania.

- Doktor jest bardzo zajęty.

- Domyślam się, że jest, ale nie mogę tak długo czekać. Muszę zobaczyć się z nim natychmiast.

- Obawiam się, że to niemożliwe.

- Chwileczkę, proszę się nie rozłączać - zawołała Bonnie, czując, że kobieta zamierza to zrobić. - Mam pewien pomysł. Kiedy przypada następna wizyta Joan Wheeler?

- Słucham?

- Jestem siostrą Joan - wyjaśniła Bonnie, czując, jak głos załamuje się jej pod ciężarem kłamstwa.

Głos sekretarki również uległ zmianie, przybierając łagodniejsze oraz głębsze tony.

- Wszyscy jesteśmy wstrząśnięci tym, co się wydarzyło - rzekła.

- Dziękuję - powiedziała Bonnie, zdumiona słowami, które opuszczają jej usta. - Joan bardzo ceniła sobie doktora Greenspoona, a ja przeżywam teraz bardzo ciężki okres, trudno mi poradzić sobie z tym wszystkim, więc pomyślałam, że może mogłabym wejść w miejsce Joan, na jej wizytę... - Zamilkła, niezdolna dłużej ciągnąć tak daleko idącego kłamstwa.

- Obawiam się, że mamy już kogoś w to miejsce - powiedziała tamta przepraszająco.

Bonnie skinęła głową, gotowa odłożyć słuchawkę. Widzisz, szepnęło jej sumienie, kłamstwem daleko nie zajedziesz.

- Ale mamy zgłoszone unieważnienie wizyty na ten piątek - podjęła sekretarka. - Myślę, że mogę zapisać panią w to miejsce, choć naprawdę nie wiem, czy powinnam. Może pani przyjść o drugiej?

- Oczywiście - zgodziła się ochoczo Bonnie.

- Dobrze. Nazwisko pani, proszę?

- Bonnie Lonergan - powiedziała szybko, wskrzeszając tymczasowo nazwisko panińskie i z miejsca czując się z nim niewygodnie, jak w za ciasnych butach. Na miłość boską, dlaczego właśnie Lonergan? Czyż nie pragnęła zawsze zostawić tej części swego życia za sobą? Odłożyła słuchawkę, zanim sekretarka zdążyła się rozmyślić. Piątek, godzina druga. Będzie musiała opuścić jedną lekcję. Da się to zrobić. Powie szefowi, że w związku z Samem i Lauren ma umówioną wizytę u terapeuty, co będzie prawdą, a w każdym razie niezupełnie kłamstwem. Rzeczywiście będzie miała wizytę u terapeuty. W trakcie rozmowy z pewnością

wspomni też o problemach, jakie stwarzają dzieci Joan. Prawdę mówiąc, nareszcie będzie miała okazję porozmawiać z kimś na ten temat. Tak więc nie ma mowy o kłamstwie.

Bonnie uświadomiła sobie nagle, że z pokoju Sama dociera do kuchni grzmiąca muzyka. Właściwie trudno to nazwać muzyką, pomyślała, wyjmując z lodówki warzywa i przygotowując je do krojenia. Znacznie lepiej pasuje do tych dźwięków określenie rytmiczny hałas - głośny, uporczywy i bezlitosny.

Bonnie wyobraziła sobie Sama leżącego na łóżku w rozpiętej i rozchełstanej koszuli, gapiącego się w sufit i zamyślonego... O czym tak dumał? Nie miała pojęcia. Mimo jej wysiłków Sam nigdy nie zwierzył się z żadnej swojej myśli. Nie zwierzył się Bonnie, Rodowi, dyrektorowi szkoły ani zastępcy dyrektora, milczał w poradni, nie ufał pracownikowi socjalnemu ani psychologowi szkolnemu, nie otworzył się przed nikim z dorosłych, mimo iż każdy z nich próbował do niego jakoś dotrzeć. Chodził do szkoły, robił, co do niego należy, włóczył się z kolegami, grał na gitarze, karmił swojego węża, palił papierosy i nic nie mówił.

Lauren zachowywała się niemal tak samo, ignorując poradnictwo profesjonalne i trzymając się z boku. Od dnia śmierci matki przechodziła rozmaite okresy, to była wroga, to obojętna, to agresywna, to znowu płaczliwa. W ciągu ostatnich dni popadła w rodzaj graniczącej ze śpiączką inercji, z trudem zwlekała się z łóżka, kiedy Sam czekał, by odwiedzić ją do szkoły. Miała problemy z koncentracją, do niczego nie przykładała się jak należy. Bonnie zasugerowała, że może jeszcze za wcześnie wracać do szkoły, lecz Lauren była nieugięta. Dojdę do siebie, upierała się, niech tylko wszyscy zostawią mnie w spokoju. Wydawało się, iż jedynie Amanda zdolna jest wywołać na jej twarzy pogodny uśmiech. I Rod, na którego powrót zawsze czekała, nieważne, jak późno się zjawiał.

Bonnie próbowała namówić Roda, żeby wzięli kilka dni urlopu i wybrali się gdzieś całą rodziną, spróbowali naprawdę się poznać. Doszło do tego, iż czuła się obco we własnym domu. Wszystko, czego chciała od dzieci Roda, to żeby dały jej szansę. Może mogliby odbyć terapię razem, jako rodzina.

Jako grupa. Ale Rod powiedział, że nie może pozwolić sobie teraz na wolne ani tym bardziej na wzięcie udziału w rozbudowanej terapii. Jedyne, czego nam trzeba, przekonywał, to czas. Sam i Lauren zaakceptowali już Amandę, jest tylko kwestią czasu, kiedy w ich sercach znajdzie się miejsce i dla macochy.

Chciałabym wierzyć, że masz rację, pomyślała Bonnie, szybkimi ruchami krojąc w kostkę marchewkę, potem ogórka i pomidory, a wszystko to w rytm dobiegającej z góry gniewnej muzyki młodzieżowej. Zastanawiała się przy tym, jak Sam może wytrzymać w tym

hałasie. Wiedziała, że mogłaby pójść na górę i kazać mu to wyłączyć, ale nie chciała tego robić. Jako nastolatka nigdy nie mogła pozwolić sobie na luksus głośnego słuchania muzyki. Zdrowie jej matki było zbyt wątłe, jej migreny zbyt częste. Pozwalano im, jej i Nickowi, nastawiać radio tylko nieco ponad granicę słyszalności, nie głośniej. Tyle że Nick nie miał zwyczaju brać sobie do serca tego, co mu mówiono.

Dziwna sprawa, ale ta głośna muzyka dobrze na nią wpływała. Tłumiła myśli, przepędzała wszelkie poważne rozważania, oczyszczała umysł, wypełniając go przynoszącą ulgę pustką. Tak długo, jak długo przez sufit sączyły się rytmiczne uderzenia perkusji, Bonnie nie musiała myśleć o szaleństwie swoich ostatnich poczynań - o wizycie u Caroline Gossett wczorajszego popołudnia, o dzisiejszych odwiedzinach u Elsy Langer i o umówionej na piątek wizycie u doktora Greenspoona. Co ona sobie wyobraża? Naprawdę sądzi, że jej amatorskie dochodzenie do czegoś ją doprowadzi? Naprawdę sądzi, że przyjęcie aktywnej postawy w śledztwie oznacza, iż zachowała kontrolę nad własnym życiem? Czy ta iluzja jest jej niezbędna do zachowania dobrego samopoczucia?

Bonnie wrzuciła wszystkie warzywa do drewnianej miski na surówki i schowała ją do lodówki. Zerknęła na zegarek, była już prawie piąta. Rod znowu wróci później, Sam i Lauren siedzą w swoich pokojach, Amanda jest na przyjęciu urodzinowym i nie wróci przed szóstą. Mogła więc pozwolić sobie na kilka minut relaksu, wyciągnięcie nóg i poczytanie gazety. Albo mogła skończyć przygotowywać obiad i zrobić porządek ze świeżym praniem.

Zdecydowała się na wyciągnięcie nóg. Wzięła gazetę z kuchennego stołu, na którym leżała nietknięta od rana, i po pobieżnym przejrzeniu strony tytułowej przeszła do rubryki „Życie”, zatrzymując wzrok na kąciku doktora Greenspoona. Zadanie domowe, powiedziała sobie. Praca badawcza.

„Drogi doktorze” - brzmiał początek pierwszego listu - „obawiam się, że mój mąż może być gejem. Od pewnego czasu w ogóle przestałam interesować go seksualnie, a ostatnio oddalił się ode mnie również emocjonalnie. Poza tym na dnie jego szuflady znalazłam literaturę gejowską. Jestem wręcz chora ze zmartwienia, chociaż właściwie na nic nie mam jeszcze dowodów. Od dość dawna nie uprawialiśmy seksu, mimo to boję się AIDS. O ile mi wiadomo, choroba ma długi okres inkubacji. Czy istnieje ryzyko, iż jestem zarażona? Czy powinnam przedstawić mężowi swoje podejrzenia czy nie? Kocham go i boję się go stracić, to złamałoby mi serce. Nie wiem, co robić. Czy może mi Pan pomóc?” A pod spodem podpis: „Afrodyta”.

Poniżej znajdowała się odpowiedź:

„Droga Afrodyto, musisz bezzwłocznie rozmówić się z mężem. Małżeństwo nie znosi sekretów, a w tym przypadku sekret może was zabić.”

- Wspaniale - skwitowała Bonnie. - To mnie rzeczywiście relaksuje.

Odłożyła gazetę, wstała i podeszła do dużego plastikowego kosza z wysuszonym praniem, który rano zostawiła u stóp schodów.

- Równie dobrze mogę zająć się tym.

Wzięła go w ramiona i powędrowała schodami w górę. Dobiegająca z piętra muzyka z każdym stopniem stawała się głośniejsza i mniej melodyjna.

Bonnie schowała wyprane prześcieradła do szafy wbudowanej w ścianę obok łazienki, swoją bieliznę do górnej szuflady komody, a bieliznę Roda dwie szuflady niżej. Następne w kolejce były jego skarpetki, większość czarnych, kilka par brązowych - wszystkie długie, sięgające kolan. Bonnie wysunęła najniższą szufladę, gotowa wrzucić wyprane skarpetki na wierzch pozostałych, ale zatrzymała się.

„Poza tym na dnie jego szuflady znalazłam literaturę gejowską” - przypomniała sobie nagle.

- Nie bądź głupia - ofuknęła siebie, podczas gdy jej palce przebierały pomiędzy leżącymi w szufladzie skarpetkami. - Ostatnia rzecz, o którą mogłabym się martwić, to że mój mąż jest gejem.

Więc o co się martwisz? - zapytał jakiś głosik.

- O nic, dziękuję - odpowiedziała, lecz jej palce były już w głębi szuflady, przewracając skarpetki pod pretekstem ich porządkowania, aby zrobić miejsce następnym.

- Same skarpetki - obwieściła. - Żadnych morderczych tajemnic.

I wtedy jej palce dotknęły czegoś nieznanego, nie wełnianego czy nylonowego, ale... foliowej torebki, zdała sobie sprawę.

- Torebka ze skarpetkami - powiedziała, wyławiając z dna szuflady jasnoróżową torebkę z wymalowanym na boku śmiałym, czerwonym sercem, przekreślonym krągłymi czarnymi literami: „Linda Loves Lace”.

- Nie ze skarpetkami - orzekła, zaglądając do środka i ostrożnie wyciągając delikatny, niemalże przezroczysty, lawendowy staniczek, pończochy i majtki, stanowiące komplet z identycznym w stylu pasem do pończoch.

- Wszystko, tylko nie skarpetki - dodała, wyławiając z torby również dwie szarfy z szyfonu. Przysiadła na podłodze, a na jej twarzy rozlał się szeroki uśmiech zadowolenia.

Rod już od dłuższego czasu nie kupił jej żadnej seksownej bielizny. A zwykł to robić bardzo często, przypomniała sobie, zwłaszcza na początku małżeństwa. Lubił zaskakiwać ją

małymi paczuszkami, w których kryły się skąpe majteczki, czarny koronkowy komplecik albo staniczek - nigdy jednak coś tak pięknego jak bielizna, którą właśnie oglądała. Przyłożyła do siebie delikatny stanik, sprawdzając jego rozmiar.

- Tak myślałam, rozmiar dobrany zbyt optymistycznie - stwierdziła, odkrywając, iż stanik jest za duży. - Typowe pobożne życzenia - dodała, zastanawiając się, co robią w tym zestawie szyfonowe szarfy.

Zadzwoił telefon. Bonnie podniosła się z podłogi; odebrała po drugim dzwonku.

- Halo?

- Jak leci? - zapytała Diana, nie zwracając sobie głowy przedstawianiem się. - Mam chwilę czasu. Pomyślałam, że przedzwonię i sprawdzę, czy policja dalej siedzi ci na karku.

- Dali mi spokój na kilka dni, ale nie wiem, czy to dobrze czy źle.

- Zawsze kiedy policja daje ci spokój, jest dobrze. I jak się czujesz?

- Może być.

- Tylko „może być”? Co mam zrobić, żebyś poczuła się lepiej? Dalej, poproś o coś.

Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem.

Bonnie podniosła lawendowy staniczek, jej pięść schowała się w zbyt dużej miseczce.

- W takim razie chciałabym mieć większy biust.

- Już się robi, cycki są w drodze. Możesz wziąć moje. A teraz powiedz, po co są ci potrzebne?

Bonnie roześmiała się i opowiedziała przyjaciółce o swoim znalezisku.

- Jesteś pewna, że Rod nie jest transwestytą? - zapytała Diana.

- No wiesz?!

- Żartowałam. No to kończę. Chciałam tylko być w kontakcie, żeby wiedzieć, co słychać na polu walki.

- Pole walki to właściwe określenie. Słuchaj, może wpadniesz na kolację w piątek wieczorem?

- W ten piątek?

- Masz inne plany?

- Nie. Jesteś pewna, że chce ci się gotować? Masz przecież ręce pełne roboty. To ja powinnam gotować dla ciebie.

- Ty nie umiesz - przypomniała jej Bonnie.

- To prawda. Gotowanie to twoja domena. Więc o której? O siódmej?

- Dobrze, w piątek o dziewiętnastej. - Bonnie odłożyła słuchawkę. Podczas rozmowy jej palce odruchowo bawiły się przymocowanymi do skąpego pasa podwiązkami i porozpinały je.

- Przepraszam - dobiegło ją od drzwi.

Bonnie szybko wcisnęła intymne drobiazgi do różowej torebki i odwróciła się do Lauren, która stała niezdecydowanie w wejściu, ubrana w górną część szkolnego mundurka oraz workowate dzinsy.

- Witaj, kochanie. Masz jakiś problem?

- Nie mogę znaleźć mojej purpurowej koszulki - rzekła Lauren, starannie unikając patrzenia wprost na macochę.

- Wyprałam ją - powiedziała Bonnie, ugniatając w dłoni foliową torebkę i chowając ją z powrotem na dno szuflady Roda. Sięgnęła do kosza po koszulkę Lauren.

- Nie musisz prać moich rzeczy - powiedziała dziewczynka. - Mogę to robić sama.

- To żaden kłopot - zapewniła Bonnie. Pozwól mi zrobić dla ciebie choć tyle, dodała w duchu.

Powoli, z oporami, Lauren weszła do pokoju, wyjmując swoją koszulkę z wyciągniętej dłoni macochy.

- Dzięki.

- Proszę bardzo - powiedziała Bonnie ciepło.

Ich palce zetknęły się na krótko. W chwilę potem Lauren już nie było.

- Sam? - Bonnie grzecznie zapukała do drzwi jego pokoju. - Sam, mogę wejść? - ponowiła pukanie.

Co ja robię? - zreflektowała się nagle. Naprawdę spodziewam się, że nieśmiałe pukanie zostanie dosłyszane pośród tego wypełniającego pokój zgiełku i zawodzenia? Dała sobie spokój z pukaniem i energicznie Zabębniła w drzwi pięścią.

- Sam - zawołała. - Sam, mogę wejść?!

Otwarcie drzwi przypominało erupcję wulkanu, który eksplodował muzyką zmiatającą wszystko, co znajdzie się na jej drodze. W drzwiach stanął Sam.

- Mam dla ciebie wyprane ubrania - zawołała Bonnie, starając się przekrzyczeć hałas. Wskazała na trzymany w ramionach kosz.

- Ekstra - odwrzasnął w odpowiedzi Sam. - Dzięki - cofnął się, wpuszczając ją do pokoju.

Bonnie zawahała się krótko, po czym przekroczyła próg. Szybko rozejrzała się w poszukiwaniu węża i odetchnęła z ulgą, gdy zobaczyła go w terrarium. Mile zaskoczyło ją

odkrycie, iż pokój nadal jest w jednym kawałku. Postawiła kosz na sofie i przyłożyła rękę do ucha.

- Nie sądzisz, że jest trochę za głośno? - spytała. Sam podszedł do wieży i obniżył głośność do znośniejszego poziomu.

- Przepraszam.

- W porządku - powiedziała Bonnie. Marzyła o odkryciu sposobu dotarcia do niego, marzyła o nakłonieniu go do otwarcia się, do szczerzej rozmowy o matce. Jest oczywiste, że nie byli sobie zbyt bliscy. Świadczyła o tym dziwaczna reakcja Sama na wiadomość o jej śmierci. „A co się stało z jej wozem?”, „Dzyń, dzyń, Baba Jaga nie żyje”. Ale wtedy na pewno był w szoku, teraz musi czuć coś innego niż tę manifestacyjną obojętność.

- L'il Abner nie staje się niespokojny, kiedy muzyka gra tak głośno? - Oczy Bonnie niechętnie zwróciły się w stronę węża.

- W ogóle - odparł Sam. - Węże są głuche.

- Naprawdę?

- Nie słyszą dźwięków, mogą tylko wyczuwać wibracje.

- Sam podszedł do terrarium i delikatnie zabębnił palcami o szkło.

Bonnie zbliżyła się ostrożnie. Wąż wyciągnął się w jej kierunku, jakby miał się na baczności. Przełknęła ślinę i zmusiła się do kolejnego kroku w stronę gada.

- Rzeczywiście, jest całkiem ładny - przyznała.

- Ja myślę - głos Sama pełen był niemal rodzicielskiej dumy.

- Mówiłeś, że jak duży może być, kiedy urośnie?

- Prawie cztery metry, a gdyby żył na wolności, pięć.

- Zdziwiająca - skomentowała Bonnie, nie bardzo wiedząc, czy mówi o wężu czy o swojej niewielkiej odległości od niego. - Co to jest tam, na dnie terrarium?

- Koral zachodnioafrykański - brzmiała odpowiedź.

- Ale można też użyć zwyczajnego żwiru.

Bonnie wskazała przyrządy porozmieszczane w terrarium.

- A to wszystko do czego służy?

- Dzięki termometrowi mogę regulować temperaturę w terrarium. Nie powinna przekraczać trzydziestu pięciu stopni Celsjusza. Naprawdę cię to interesuje? - zapytał sceptycznie.

- Tak. - Bonnie uświadomiła sobie, że mówi prawdę. - Mów dalej.

Twarz chłopca momentalnie się ożywiła.



- Im cieplej, tym szybciej węże rosną. W nocy obniżam temperaturę do dwudziestu dwóch stopni, ale nie więcej, bo węże są zimnokrwiste i w niższych temperaturach zmiera ich metabolizm. - Wskazał duży kamień w lewym końcu terrarium. - To kamień grzewczy. Widzisz wtyczkę?

Bonnie skinęła głową.

- Utrzymuję go w temperaturze trzydziestu stopni. Do ogrzewania służą również te lampy. - Wskazał lampy umocowane u szczytu terrarium. - Ta ma moc stu watów, a ta długa, biegnąca wzdłuż całego terrarium, generuje światło o takim samym widmie jak światło słoneczne i dostarcza L'il Abnerowi witamin. To jest jego woda pitna - powiedział, pokazując plastikowy czerwony zbiorniczek wypełniony wodą. - Kocha wodę. Czasami cały się do niej wślizguje. Pilnuję, aby jej temperatura była w miarę stała i wynosiła trzydzieści dwa stopnie. A ten pień jest tu po to, żeby rzucać cień. Poza tym służy mu do zabawy.

- Zabawy?

- Boa bardzo lubią się bawić.

Węże boa zawsze będą tylko węzami, pomyślała Bonnie, lecz nic nie powiedziała.

- A to kartonowe pudełko?

- Lubi wpełznąć do niego, żeby się przespać.

Łeb węża uderzył w szklany sufit terrarium. Bonnie odruchowo zrobiła krok wstecz.

- Chyba nie może się stamtąd wydostać, co?

- Jeszcze nie. Ale kiedy urosnie, będę musiał położyć na pokrywie ciężary, żeby jej nie uniósł. W tej chwili uniósłby nie więcej jak pięć kilogramów, ale dorosłe boa są bardzo silne. Potrafią dźwignąć nawet sto kilogramów.

- Jezus Maria.

- Chcesz go potrzymać?

- Co takiego?!

- Nie robi ci krzywdy. Jest naprawdę bardzo przyjazny. - Sam już odsuwał szklaną pokrywę i wyciągał węża z terrarium.

- Nie, Sam - zaprotestowała Bonnie. - To naprawdę nie jest potrzebne.

- Nie ma się czego bać. - Sam podsunął jej węża do podziwiania. - Czyż nie jest wspaniały? Zobacz, jak opalizuje, miejscami jest wręcz purpurowy. A w słońcu prawie zielony. Zobacz, im bliżej ogona, tym intensywniejsze stają się kolory, a wzorek bardziej skoncentrowany.

Bonnie prześliznęła się wzrokiem wzdłuż ciała węża, po czym z przerażeniem ujrzała, jak Sam przysuwa sobie jego łeb do ust.

- Widzisz? Nic ci nie zrobi - powiedział Sam. Język węża zatrzepotał, sięgając w stronę jego warg.

- Co on robi? - Bonnie zmusiła się, żeby postąpić naprzód.

- Wężę językiem wyczuwają ciepło. Dlatego ich języki zawsze są w ruchu. Zobacz, jaki jego jest długi - zwrócił łeb węża w jej kierunku. - Popatrz na ten ciemny szlaczek, który biegnie dokładnie przez jego oczy.

Bonnie przyjrzała się uważnie każdemu z oczu boa.

- Wężę nie mają powiek, dlatego nigdy nie zamykają oczu - wyjaśnił jej Sam, który najwyraźniej wcielił się w rolę nauczyciela. - Dotknij go. Jest cudowny w dotyku, jak jedwab.

- Jak jedwab - powtórzyła Bonnie drętwą, podczas gdy jej ramię, niezależnie od woli, wysunęło się w stronę węża.

Palce musnęły skórę boa, tak ostrożnie i delikatnie, jakby to była pieśczoła kochanki. Sam ma rację, pomyślała, z rosnącą odwagą gładząc długie ciało węża. Rzeczywiście przypominało w dotyku jedwab.

- Chcesz go potrzymać? - zaproponował Sam. Boże, nie! - pomyślała Bonnie.

- Dobrze - usłyszała swój głos. Czyżby oszalała? Rany boskie, co ona wyprawia? - Co mam zrobić?

- Chwyć tutaj. - Sam położył jedną z jej rąk na tylnej części łba węża, a drugą na jego ogonie.

- A jeśli zaczniesz mnie dusić?

- Damy radę go oderwać. Wciąż jeszcze jesteśmy od niego silniejsi. Tylko go nie upuść - ostrzegł Sam. - Nie cierpi, jak się go upuszcza.

Bonnie zacisnęła uchwyt, czując, jak wąż napina się w jej dłoniach, zdumiona mocą falującą pod palcami. Muszę być szalona, przemknęło jej przez głowę.

- Całe życie straszliwie bałam się węży - wyznała.

- Dobrze ci idzie - pochwalił ją Sam.

Wąż obrócił ku niej łeb, wysuwając z pyska swój ruchliwy język. Jest naprawdę piękny, pomyślała Bonnie zahipnotyzowana jego spojrzeniem, zauroczona faktem, że trzyma go w rękach. Jej ciało zakotłosało się jak w transie. Gdyby ktoś powiedział tydzień temu - nie, godzinę temu - że będzie stała przed chłopcem z niebieskoczarnymi włosami i kolczykiem w nosie, trzymając w rękach dwumetrowego boa dusiciela, powiedziałyby, że postradał zmysły. A tymczasem, proszę! Oto stoi, nie tylko trzymając to cholerstwo w dłoniach, ale nawet ciesząc się wrażeniami, jakich jej dostarcza, płynącym z ciała węża obezwładniającym poczuciem mocy. Nie ma wątpliwości, to ona postradała zmysły.

Nagle wąż zeszywniał, przeistaczając się w napiętą sprężynę. Naparł na trzymające go dłonie tak silnie, że lada moment gotów był wyrwać się z uścisku i upaść na podłogę. Nie można go upuścić, przypomniała sobie, walcząc o utrzymanie węża w rękach. Sam powiedział przecież, że jego boa nie cierpi być upuszczany.

- Chyba powinienes go już zabrać - powiedziała, zastanawiając się, co zrobi, jeśli Sam odmówi, roześmieje jej się w twarz i po prostu wyjdzie z pokoju. Boże, ze wszystkich głupich rzeczy, jakie zrobiła w ciągu ostatnich dni, ta z pewnością była najgłupsza. Naprawdę myślała, że tą metodą zdoła dotrzeć do Sama? Że uda jej się złamać mur milczenia, który wokół siebie zbudował i porozmawiać o jego matce? Naprawdę sądziła, że droga do serca chłopca wiedzie przez jego pupilka, węża boa?

- Dobrze. - Sam sprawnie wyłuskał węża z jej dłoni, jednym płynnym ruchem przenosząc go z powrotem do terrarium i szczelnie dopasowując pokrywę.

Bonnie poczuła lekkość serca i zawroty głowy. Usłyszała czyjś śmiech i zrozumiała, że to jej własny.

- Zrobiłam to - śmiała się. - Naprawdę to zrobiłam. Sam śmiał się razem z nią.

- Byłaś naprawdę spietrana - rzekł.

- O, tak - zgodziła się.

- Moja matka nigdy by się do niego nie zbliżyła - mruknął; po czym szybkim ruchem przeciągnął dłonią po ustach, jakby chciał wymazać te słowa.

Bonnie wstrzymała oddech, desperacko pragnąc natychmiast zasypać go pytaniami, świadoma jednak, że musi działać bardzo ostrożnie.

- Nie? - powiedziała tylko.

- Mówiła, że jest śliski i obrzydliwy - kontynuował Sam, wpatrzony w L'il Abnera. - A on wcale nie jest śliski.

- Rzeczywiście nie jest.

- W ogóle się nim nie interesowała.

- Ale pozwoliła ci trzymać go w domu. Moja matka nigdy by się na to nie zgodziła - powiedziała Bonnie, wiedząc, że to szczerą prawdą. Nie wolno jej było trzymać w domu żadnych zwierząt. Mama jest alergikiem, mówiono. Nigdy nie zapomni szczeniaczka, którego pewnego popołudnia przyniósł do domu Nick. Natychmiast kazano mu oddać zwierzę właścicielowi. „Ja jestem jego właścicielem” - przekonywał wtedy usilnie. Bez powodzenia.

- Jaka była twoja mama, Sam? - zaryzykowała Bonnie nieśmiało pytanie.

Powróciło znajome wzruszenie ramion.

- Nie wiem - powiedział po krótkiej pauzie. - Nie spędzaliśmy razem zbyt wiele czasu.

- Dlaczego?

- To ją musiałabyś zapytać.

Roześmiał się krótkim, zduszonym chichotem i potarł dłonią bok nosa.

- Nie przeszkadza ci to? - Bonnie wskazała kolczyk tkwiący w jego lewym nozdrzu.

- Nie, w ogóle o tym nie pamiętam.

Twarz chłopca rozświetlił bojaźliwy uśmiech, który zaraz zgasł.

- Opowiedz mi o swojej mamie - poprosiła Bonnie, zauważając, że ciało chłopca zeszywniało i zakołysało się niczym ciało węża sięgającego ku pokrywie terrarium.

Milczał dłuższy czas.

- Uważasz, że powinienem rozpaczać z powodu jej śmierci - odezwał się w końcu.

- A nie rozpaczasz?

- Nie. Dlaczego miałbym rozpaczać? - Posłał jej wyzywające spojrzenie. - Była nikomu niepotrzebną starą pijaczką. Nigdy mnie nie kochała.

- Myślisz, że twoja mama cię nie kochała? - powtórzyła Bonnie.

- Kochała tylko Lauren - ciągnął Sam. - Ja nie byłem jej potrzebny. - Ponownie potarł ręką nos. - A ona nie była mi potrzebna. Dlatego nie rozpaczam po jej śmierci.

- To musiało być dla ciebie bardzo trudne.

- Co?

- Wzrastanie u boku matki, która piła, nie miała dla ciebie czasu i nigdy nie okazała cieplejszych uczuć.

- Nie, nie było - w jego głosie zagrały nieprzekonujące nutki przekory.

- Musisz być na nią bardzo zły.

- Jest martwa. Jak mógłbym być na nią zły? - zapytał szyderczo, wznosząc ramiona.

- To, że ludzie umierają, nie znaczy, że razem z nimi umiera nasz gniew.

- Tak? I co z tego?

- A co z twoją babcią? - zmieniła temat Bonnie.

- Z babcią?

- Widziałam się z nią dzisiaj.

- Tak? Wiedziała, kim jesteś?

- Nie.

Sam roześmiał się.

- Popatrz, co za niespodzianka.

- Co ty powiedziałaś? - dobiegł ich dziewczęcy głos. Bonnie odwróciła się, dostrzegając stojącą w drzwiach, bladą jak ściana Lauren. - Powiedziałaś, że widziałas się z moją babcią?

Z dołu dobiegł ich odgłos otwieranych, a potem zamykanych drzwi.

- Bonnie? Jesteś w domu? - zawołał Rod.

- Na górze - zawołała w odpowiedzi, zdumiona. - Myślałam, że się spóźnisz.

- Powiedziałem Marli, że co za dużo, to niezdrowo - odparł Rod.

Na schodach słychać było jego kroki.

- Mam dom, mam śliczną żonę i mam rodzinę, z którą spędzam za mało czasu. - Pokonał ostatni stopień i zbliżył się do pokoju Sama. Zatrzymał się, widząc Bonnie w towarzystwie dwójki swoich dzieci. - Co się dzieje? - spytał.

## 15

Siedzieli na skraju łóżka.

- Mam dla ciebie niespodziankę - powiedział Rod. Bonnie uśmiechnęła się do męża.

- Jesteś dziś pełen niespodzianek - stwierdziła, układając sobie w duchu ich listę.

Najpierw wcześniejszy powrót z pracy i rzucający się w oczy dobry nastrój, potem zupełny brak gniewu na wieść o jej odwiedzinach u Elsy Langer, pomoc przy obiedzie i zmywaniu naczyń. Zdobył się nawet na towarzyszenie Lauren, kiedy ta czytała Amandzie bajkę na dobranoc i kładła ją spać, a potem spędził pół godziny sam ze swoją starszą córką.

- Myślę, że Lauren naprawdę docenia czas, który jej dzisiaj poświęciłeś - powiedziała.

- Cieszę się - rzekł Rod. - To naprawdę miła młoda dama.

- Chciałabym móc zrobić dla niej coś więcej.

- Po prostu bądź sobą. Sama do ciebie przyjdzie.

- O czym rozmawialiście?

- Głównie o Marli.

- O Marli?

- Wiesz, jak dzieciaki podziwiają takie sławy. - Wzruszył ramionami. - Chciała wiedzieć, jaka naprawdę jest Marla, czy jest miła, czy ma kogoś i tak dalej w tym stylu.

- A ma? - Bonnie przypominała sobie niejasno, że Marla jest w tej chwili na etapie kolejnej zmiany męża.

- Nie mam pojęcia - rzekł Rod. - Jestem jej reżyserem, a nie spowiednikiem. Ale sądzę, że wkrótce się przekonamy.

- Co masz na myśli?  
- Sobotni obiad.  
- Jaki sobotni obiad? - zapytała. Czyżby przegapiła fragment rozmowy?  
- Obiad u Marli w sobotę - powiedział. - Zapomniałaś?  
- Zapomniałam? Pierwszy raz o tym słyszę.  
- Mówiłem ci już miesiąc temu - powiedział Rod - ale nie dziwię się, że po tylu przejściach wyleciało ci to z głowy.  
- Rod, nie jestem jeszcze gotowa na obiad z Marlą Brenzelle. Poza tym nie mamy opiekunki do dzieci.

- Mamy dwoje nastolatków.  
- Nie możemy tak robić - zaprotestowała Bonnie. - Wiesz, co mówiła Joan o wykorzystywaniu jej dzieci w roli nianiek.

- Zapominasz, że to są również moje dzieci - przypomniał Rod. - A ja jestem pewien, że będą tym zachwycone. Kochają Amandę, a ona szaleje za nimi. Poza tym uważam, że to pomoże im poczuć się jak pełnoprawni członkowie rodziny. Czyż nie o tym cały czas mówisz? O staniu się prawdziwą rodziną? To dobre dzieciaki - zakończył cicho. W jego głosie brzmiało zaskoczenie, jakby dopiero teraz poznał swoje dzieci.

I może rzeczywiście tak jest, pomyślała Bonnie, z bólem serca przyznając, że zarzuty Caroline Gossett wobec Roda jako ojca nie były bezpodstawne. Prawda była taka, iż Rod nie spędzał zbyt wiele czasu z żadnym ze swoich dzieci, włączając w to Amandę. Od początku twierdził, że jest za mała i za delikatna, aby odważył się wziąć ją na ręce. Czuję się nieswojo w obecności niemowląt, wyjaśniał i nadal uchylał się od spędzania z córką czasu, mimo iż trzyletnią Amandę trudno było nazwać niemowlakiem.

Bonnie zwykła usprawiedliwiać powściągliwość Roda wobec córki jego lękiem przed zaangażowaniem się. Już jedną małą córeczkę utracił w wypadku, a dwoje starszych dzieci na skutek rozwodu. Nic dziwnego, że teraz obawiał się zanadto zbliżyć, nie chciał pozwolić sobie na luksus bezwarunkowej miłości, która znowu mogłaby go zranić. Takie tłumaczenie miało jednak sens tylko do czasu rozmowy z Caroline Gossett.

Być może jedynym motywem obecnego zachowania Roda była chęć udowodnienia, iż Caroline się myli. Jeżeli tak, jeżeli dzięki wizycie u pani Gossett Rod nawrócił się w roli ojca, to warto było tam pojechać, pomyślała, ujmując dłonie męża w swoje.

- Więc jaka to niespodzianka? - zapytała, wyprasząc z pokoju widmo Caroline Gossett.

- Zamknij oczy - poinstruował ją Rod.

Bonnie zrobiła, co jej kazał, czując się jak małe dziecko, gotowa zaraz parsknąć śmiechem. Słyszała, jak Rod wstał, potem dobiegł ją dźwięk wysuwanej szuflady i szelest foliowej torebki. Wściekle różowej torebki, z biegnącym z boku napisem „Linda Loves Lace”, domyśliła się, próbując przygotować się do wiarygodnego odegrania roli zaskoczonej małżonki.

- Dobrze - rzekł Rod - możesz już patrzeć.

Bonnie otworzyła oczy i ujrzała stojącego przed sobą męża, ściskającego w dłoni znajomą różową torebkę.

- Co to jest? - zapytała.

Delikatnym ruchem rzucił jej torebkę na kolana.

- Już dawno nic ci nie podarowałem - wyjaśnił zakłopotany. - Pomyślałem, że to przywoła miłe wspomnienia.

Bonnie udała zaintrygowaną, a potem lekko zaszokowaną, wyławiając z torebki seksowny staniczek i majtki, a po nich pas z podwiązkami, pończochy i szarfy.

- Yhm, hm, hm, co my tutaj mamy?

- Zawsze pięknie wyglądałaś w kolorze lawendowym - powiedział. - Przymierzysz?

- Teraz?

- Chyba że masz inne plany.

- Nie mam żadnych innych planów - powiedziała, wstając. Rod zastąpił jej drogę, otoczył ramionami i zamknął w gorącym uścisku.

- Nie masz pojęcia, jak bardzo cię kocham - zapewnił ją stłumionym głosem.

- Ja ciebie też kocham.

- Byłem podły.

- Nie, nie byłeś.

- Próbowałem zakopać się w pracy, żeby zapomnieć o tym, co się stało, nie dość poważnie traktowałem twój niepokój, nie było mnie w domu, kiedy mnie potrzebowaliście...

- Ale teraz jesteś.

- Kocham cię.

- Ja kocham cię bardziej - powiedziała Bonnie.

- Nie mogę się doczekać, żeby cię w tym zobaczyć.

- Stanik wydaje się nieco za ambitny. - Bonnie przyłożyła go do piersi. - Ale w końcu, jak to mówią? Więcej niż się zmieści w garści to już marnotrawstwo?

- Zawsze uważałem to powiedzenie za głęboko słuszne - rzekł.

Bonnie uśmiechnęła się.

- Cieszę się, że tak uważasz - stwierdziła. Rod jeszcze raz ją pocałował, tym razem poczuła w ustach jego język. Nagle przypomniał jej się drgający język węża boa, sięgający ku wargom Sama. Odsunęła się gwałtownie.

- Co się stało? - zapytał Rod.

Bonnie potrząsnęła głową, odpędzając niefortunne wspomnienie.

- Pozwól, że wskoczę w coś mniej wygodnego - szepnęła, wymykając się z objęć małżonka i pośpieszyła do łazienki, zamykając za sobą drzwi.

W chwilę potem na podłodze wylądowała jej niebieska spódniczka oraz biała bluzka, a w ślad za nimi sfrunął bawełniany biały stanik i majtki. Zmierzyła wzrokiem swoje nagie ciało i natychmiast zaczęła doszukiwać się w nim wad: piersi mogłyby być większe, pośladki jędrniejsze, brzuch mógłby być bardziej płaski, a ramiona bardziej sprężyste. Jej twarzy z pewnością nikt nie wziąłby już za twarz nastolatki. Podciągnęła skórę przy oczach, myśląc o Marli Brenzelle. Tu troszkę zebrać, tam założyć, tu dać kilka porcji dobrze ukształtowanego silikonu, stamtąd usunąć nieco tłuszczu.

Wsunęła nogi w skąpe majteczki, naciągając je na skrytykowane przed chwilą biodra. Wąskie paski materiału wspinały się wysoko, niemal do talii, obniżając się ku środkowi i tworząc głębokie V, sięgające granicy włosów łonowych. Wciągnęła brzuch i chwyciła się dłońmi w talii. Dlaczego nie może mieć takiej wąskiej i pięknie wciętej talii jak modelki w „Vogue” albo „Bazaar”?

- Czy mogłabym prosić o jedną z tych talii? - zwróciła się do swojego odbicia.

„Może”, usłyszała w odpowiedzi. „A kto pyta?”

- O Boże, tylko nie zaczynaj teraz myśleć o tej staruszce - powiedziała Bonnie. Nie kiedy w pokoju obok czeka mąż, pełen miłości i pożądania. Chwilę trwało, zanim uporała się z pasem i pończochami, zastanawiając się, co zrobić z szarfami.

- Coś mi mówi, że nie są przeznaczone do moich włosów - stwierdziła, po raz ostatni oglądając się w lustrze i myśląc, że obiektywnie rzecz biorąc, nie prezentuje się najgorzej. No i co z tego, że stanik jest trochę za duży? Nie będzie go miała na sobie zbyt długo. Już dawno nie ubierała się dla Roda w ten sposób. Czy nie będzie rozczarowany? Wzięła głęboki oddech i otworzyła drzwi, wchodząc do sypialni.

Rod zgasił światło i pokój tonął w ciemnościach, rozświetlanych jedynie sączącym się przez zasłony srebrzystym światłem księżyca.

- Nie ruszaj się - zarządził jej mąż, bezcielesny głos dobywający się z mroku. - Chcę na ciebie popatrzeć.

Bonnie zatrzymała się, jej oddech stał się płytki i urywany.



- Co będzie, jeśli ktoś tu wejdzie? - spytała.
- Nikt nie wejdzie.
- Sam jeszcze nie śpi. Słyszę muzykę...
- Nikt tutaj nie przyjdzie - powtórzył Rod. Usiadł, jego twarz stała się dobrze

widoczna, spojrzenie wnikało w ciemności jak w masło.

- Rod...
- Czy masz pojęcie, jaka jesteś piękna?
- Ty mi powiedz.
- Chodź tutaj - rozkazał. - Pokażę ci.

W chwilę potem leżała obok niego, czując nad sobą jego ciało, a na sobie jego palce i usta, rywalizujące o każdy centymetr jej ciała, czuła jego dłonie, sunące pieszczotliwie wzdłuż brzegu wiotkiej tkaniny, by ostatecznie rozpiąć, rozerwać i zedrzeć z niej skąpe odzienie, pozostawiając ją całkowicie nagą.

- Nie wiedziałam, co z tym zrobić - zwierzyła się otwierając dłoń i pokazując szyfonowe szarfy. Uwolnione rozdeły się, jak wrzucona do wody gąbka.

- Mogę pokazać ci, do czego służą - szepnął. - Jak daleko jesteś gotowa się posunąć?
- Daleko?
- Zawsze lubiłaś przygody - dogadywał.
- Co...? - spytała, bojąc się skończyć zdanie.
- Pokażę ci. Daj rękę.
- Rękę?
- Ciii. Nic nie mów.
- Co...?
- Nic nie mów - powtórzył, całując ją w usta. - Spodoba ci się to. Obiecuję.

W chwilę potem każda z szarf była obwiązana wokół jej nadgarstka, a obydwa nadgarstki przywiązane do znajdującej się za głową poręczą łóżka.

- Rod, co ty robisz?
- Odpręż się - poradził. - Zamknij oczy. Skup się na przyjemności.
- Jak mogę się odprężyć?
- Nie masz się czego obawiać - powiedział. - Nie zrobię niczego, co by ci się nie spodobało.
- Ale ja nie jestem pewna, czy to mi się podoba.

Zamiast odpowiedzi pocałował ją. Znowu poczuła w ustach jego penetrujący głęboko język. Znowu musiała usuwać z myśli natrętne wspomnienie węża. Dlaczego nie może po prostu odprężyć się i skupić na doznaniach płynących z ciała, tak jak radził jej mąż?

Ponieważ trudno być zrelaksowanym, kiedy twoje ręce są przywiązane do łóżka, podpowiedział czyjś cichy głos.

Nie kiedy wiesz, że nie stanie ci się nic złego, upomniała go. Nie kiedy wszystko, co musisz robić, to leżeć na plecach i oddawać się we władanie zmysłom. Nie kiedy twój mąż chce tylko dodać pikanterii waszemu życiu seksualnemu.

A od kiedy to ich życiu seksualnemu brakuje pikanterii? Czyż ta sfera ich kontaktów nie była zawsze najbardziej naturalna? Czyż nie pasowali do siebie jak ślimak i muszla, jak dwa elementy tej samej łamigłówki?

Jak koń i kareta? - uzupełnił żartobliwie głos w jej głowie. Jak dwa groszki w strąku? Jak dłoń i rękawiczka?

Co ja robię? Czy próbuję wszystko zniszczyć?

Może, zakrakał głos. A kto pyta?

Bonnie zacisnęła powieki, uwalniając umysł z myśli. Zamiast myśleć, powinna skupić się na tym, co dzieje się z jej ciałem. Rod kreślił właśnie językiem na jej nagiej skórze cienkie linie, zjeżdżając w dół, pomiędzy uda. Jej ciało wygięło się zapraszająco, ręce napięły się, pragnąc dotknąć kochanka, popieścić go, lecz nie mogły go osiągnąć.

Kiedy krepowanie rąk stało się częścią jego fantazji seksualnych? Z pewnością nigdy wcześniej nie zwierzał jej się z takich ciągót. Być może zdecydował się na to pod wpływem, chwilowego impulsu, będąc w sklepie „Linda Loves Lace”, Być może podpowiedziała mu to sama Linda. Być może był zbyt zakłopotany, żeby odmówić.

A może sam wpadł na pomysł z szarfami. Może zainspirował go jakiś film albo, co bardziej prawdopodobne, zwierzenia któregoś z gości jego talk show. „Czy masz sekretne fantazje seksualne, którymi chciałbyś podzielić się z milionami naszych widzów? Jeśli tak, zadzwoń pod numer 1-800...”

Każdy ma jakieś fantazje, powiedziała sobie Bonnie. Tak jak każdy ma jakieś tajemnice, maleńką część siebie, której nie chce ujawnić przed innymi. Nie ma takiej osoby, o której wiedziałoby się wszystko. Co z tego, że Rod nie podzielił się z nią wcześniej tą fantazją? Zrobił to teraz.

Nagle przypomniały jej się polisy ubezpieczeniowe. Nie miała pojęcia o ich istnieniu, póki nie wspomniała o tym policja. Więc czy naprawdę zna tego mężczyznę? Tego, który przykrywał ją teraz swoim ciałem, który torował sobie drogę do jej wnętrza, który od pięciu

lat jest jej mężem? „Niezbyt dobrze zna pani swojego męża”, powiedziała Caroline Gossett. „A może to pani go nie zna” - brzmiała wtedy jej odpowiedź.

- Jesteś piękna - powiedział Rod. - Taka piękna. Tak bardzo cię kocham.

- Ja również cię kocham - powiedziała Bonnie. Po policzkach pociekły jej łzy. Co się z nią dzieje? Skąd biorą się w jej głowie te nieznośne, absurdalne myśli? Oczywiście, że zna swojego męża. Jest dobrym człowiekiem, miłym i kochającym, cudownym facetem. Ich związek jest udany. Nie ma powodu być wobec niego podejrzliwa. Jeśli nie będzie dość ostrożna, skończy się na tym, że przez małostkowe i zawistne oskarżenia obcych ludzi rozpadnie się ich małżeństwo. Jeśli nie będzie dość ostrożna, skończy jak jej matka.

Wspaniale, pomyślała, prężąc ramiona i mimowolnie zacieśniając delikatne więzy na nadgarstkach. Za mało jej było, że ściągnęła do tego pokoju Caroline Gossett i tę stukniętą staruchę z kliniki psychiatrycznej - teraz razem z nimi w łóżku jest jej matka.

- Gotowa? - spytał Rod, siadając i zakładając sobie jej nogi na ramiona.

Bonnie skinęła głową i zogniskowała wzrok na przystojnej twarzy męża, czując, jak wdziera się w nią serią krótkich pchnięć. Widziała, jak się pochyła, zbliża do niej niczym postać z trójwymiarowego filmu, z wyciągniętymi ramionami. Ustami przywarł do jej ust, palce splótł z jej palcami i przygwoździł do łóżka jej uwiązane dłonie.

- Kocham cię - powiedział po raz kolejny. - Kocham cię. Kocham cię.

Świat zakołysał się, przeistoczył w karuzelę z malowanymi drewnianymi konikami. Gało Bonnie uniosło się na jednym z nich w przestworza, z każdą rundą zataczając coraz szersze kręgi, wzbierając rozkoszą drażniącą każdy nerw, każdą komórkę, sięgając wciąż wyżej i wyżej, w miarę jak wznosił się śpiew wirującej karuzeli, aż po niewiarygodnie wysokie *crescendo*. Bliżej, głębiej, pomyślała, wyginając grzbiet i splatając nogi na karku męża. Już za kilka sekund, już za chwilę szalona przejażdżka dobiegnie końca.

- Tatusiu? - dobiegł z oddali cienki głosik. - Tatusiu? - Głosik wśliznął się na karuzelę, owinał wokół szyi jednego z drewnianych kucyków, po czym wionął Bonnie prosto w twarz.

Otworzyła oczy dokładnie w tym samym momencie, w którym Rod stoczył się z niej gwałtownie i szarpnąwszy prześcieradło, okrył nim ich nagie torsy, chociaż nic nie było w stanie ukryć jej przywiązanych do poręczy rąk.

- Tatusiu, źle się czuję - poskarżyła się płaczącym tonem Lauren. - Chyba jestem chora.

- Dobrze, kochanie - rzekł Rod. - Idź do swojej łazienki, zaraz tam będę.

Lauren pośpiesznie wyszła z pokoju. Rod wyskoczył z łóżka i złapał swoje rzeczy.

- Rany boskie, Rod, rozwiąż mnie - ponagliła go Bonnie.

Natychmiast znalazł się przy niej i zaczął niezdarnie rozplątywać szyfonowe szarfy. Ale jej niespokojne ciskanie się sprawiło, że węzły wokół nadgarstków zacieśniły się i Rod zdołał jedynie rozsypać te, które znajdowały się przy barierce.

- Boże, co ona musiała sobie pomyśleć - jęknęła Bonnie, bezskutecznie próbując usunąć z nadgarstków nieustępliwe szarfy. - Żeby zobaczyć mnie przywiązaną do łóżka...

- Niczego nie mogła widzieć. W pokoju panują egipskie ciemności, musiałyby długo oswajać wzrok.

- Nie wiemy, jak długo tutaj stała.

- Tatusiu! - załkała Lauren z głębi korytarza. - Pomóż mi.

Rod wybiegł z pokoju, podczas gdy Bonnie z wysiłkiem stawiała na nogi swoje protestujące przeciw takiemu traktowaniu ciała.

Jeszcze tylko kilka sekund i byłoby po wszystkim, myślała, podchodząc do szafy. Włożyła na siebie płaszcz kąpielowy, wetknęła w rękawy szyfonowe szarfy i udała się do łazienki w końcu korytarza. Kilka sekund później i byłoby po wszystkim, jej ciało zostałoby zaspokojone, a ręce uwolnione.

Czy Rod ma rację? Czy rzeczywiście było za ciemno, żeby Lauren coś zobaczyła? A może wszystko widziała? „Moja macocha jest perwersyjną dziwką”, pomyślała Bonnie, zbliżając się do drzwi łazienki, zza których dochodziły charakterystyczne odgłosy towarzyszące wymiotowaniu. Zebrała się w sobie i wkroczyła do środka.

Lauren tkwiła pochylona nad muszlą klozetową, kredowo blada, z lepiącymi się do czoła kasztanowymi włosami i ciałem wymęczonym przez gwałtowne, powracające torsje. Rod stał przy oknie i wyglądał, jakby również miał się za chwilę rozchorować.

- Może wrócisz do łóżka? - spytała Bonnie, podchodząc do umywalki. - Zajmę się wszystkim.

Rod nie potrzebował dodatkowej zachęty. Jego usta wykrzywiły się w czymś zbliżonym do uśmiechu wdzięczności i już go nie było. Bonnie zwilżyła ręcznik zimną wodą i przyłożyła go do czoła Lauren.

- Oddychaj głęboko - poleciła, kiedy dziewczynka odepchnęła od siebie jej ręce. - No dalej, kochanie. Oddychaj. To ci pomoże.

Lauren z trudem zastosowała się do jej rady. Przez chwilę wyglądało na to, iż doszła do siebie, lecz raptem wszystko zaczęło się od nowa. Bonnie ponownie spróbowała przyłożyć do czoła dziewczynki mokry kompres. I znowu została odepchnięta.

Najwyraźniej dzisiejszy obiad okazał się zbyt ciężki dla delikatnego żołądka Lauren. Bonnie przysiadła na brzegu wanny, czując się winna i żałując, że odesłała Roda. Lauren nie życzyła sobie jej tutaj. Przecież wolała swojego ojca. Z pewnością istnieją lepsze sposoby spędzania nocy niż dogłądanie kogoś, kto cię odpycha. Ale nie wyszła z łazienki. Czekala, czując, jak przez cienką tkaninę płaszcza kąpielowego sączy się chłód emaliowanej powierzchni wanny. Dobra z ciebie dziewczynka, usłyszała głos swojej matki.

- Strasznie źle się czuję - jęknęła Lauren, a z oczu trysnęły jej łzy.

- Tak mi przykro, kotku. Gdybym mogła ci jakoś ulżyć.

Bonnie zastanowiła się, czy Lauren nie poczuła się gorzej przez to, że zobaczyła ją przywiązaną do łóżka.

- To może ci pomóc - rzekła, ponownie wyciągając rękę z mokrym ręcznikiem. Tym razem Lauren nie oponowała, pozwalając Bonnie przyłożyć do czoła niosący ulgę kompres. - Lepiej?

- Troszkę.

- Oddychaj głęboko - przypomniała Bonnie.

- Tak bardzo boli mnie żołądek, że chyba zaraz umrę.

- Nie umrzesz, obiecuję. Wszystko będzie dobrze. Zobaczysz.

Lauren oparła się o ścianę, Bonnie natychmiast otoczyła ją ramionami. Otarła dziewczynce czoło, po czym przełożyła ręcznik na jej kark.

- Tak dobrze?

- Trochę lepiej.

- Świetnie. - Siedziały w ten sposób prawie godzinę.

- Myślisz, że mogłabyś już wrócić do łóżka? - spytała Bonnie. Nie była w stanie ani chwili dłużej znosić wypełniającego niewielkie pomieszczenie smrodu. Jeszcze chwila i sama dostanie mdłości.

Lauren skinęła głową, pozwalając postawić się na nogi. Bonnie jedną ręką otoczyła ją w talii, drugą chwyciła jej drżące ręce.

- Powoli - ostrzegła. - Nie musimy się śpieszyć.

- Co to jest? - spytała nagle Lauren, wskazując brodą jej nadgarstek. Z rękawa zwisała lawendowa szarfa.

Bonnie opuściła rękę, upychając szarfę z powrotem do schowka.

- Nic takiego - powiedziała. - Mam podartą podszewkę... - przerwała, czując, że załamuje jej się głos. Zaprowadziła Lauren do jej sypialni.

- Przepraszam, jeśli wam w czymś przeszkodziłam - rzekła Lauren.

- W niczym nam nie przeszkodziłaś - zapewniła śpiesznie Bonnie, ponownie zastanawiając się, ile pasierbica zdołała zobaczyć. Modliła się, by Rod miał rację. Może naprawdę było zbyt ciemno, żeby coś dojrzała. Pomogła Lauren przebrać się w świeżą pidżamę, po czym zapakowała dziewczynkę do łóżka.

Zanim skierowała się do wyjścia, pochyliła się nad dzieckiem i ucałowała je w czoło.

- Bonnie - zawołała za nią słabo Lauren. Bonnie zatrzymała się.

- Tak?

- Mogłabyś posiedzieć ze mną, póki nie zasnę?

Oczy kobiety wezbrały łzami. To ci dopiero noc, pomyślała. Zawróciła i usiadła na łóżku, upewniwszy się, iż szyfonowe szarfy tkwią bezpiecznie ukryte w rękawach. Następnie ujęła rękę dziewczynki i wraz z nią czekała na nadejście snu.

## 16

W piątek po południu Bonnie udała się do doktora Waltera Greenspoona.

Było brzydko. Już od świtu na niebie wisiały nabrzmiałe deszczem chmury, a niska temperatura bardziej odpowiadała późnemu październikowi niż pierwszym dniom maja. Dolegliwości Lauren utrzymywały się, każąc Bonnie podejrzewać, iż to nie jej kuchnia, ale jakaś odmiana grypy jest przyczyną mdłości. W każdym razie kiedy Bonnie wychodziła rano do szkoły, Lauren wciąż jeszcze tkwiła w łóżku. Nie budziła jej. Miała całkowitą pewność, że dziewczynka potrzebuje snu bardziej niż czegokolwiek, co mogła zaoferować Prywatna Szkoła dla Dziewcząt.

Rod znowu zniknął wczesnym rankiem. Kolejne śniadanie w studiu w ramach przygotowań do zbliżającej się konferencji w Miami. Nie padło już ani jedno słowo o jej ewentualnym współuczestnictwie w wyjeździe na Florydę. Możliwość ta rozwiązała się wraz ze śmiercią Joan. Zresztą jak mogłaby wyjechać i zostawić dzieci same? Policja przekazała wczoraj informację, że krew wylana na Amandę pochodziła od zwierzęcia, a nie od człowieka, niemniej pozostało faktem, iż ktoś opróżnił na głowę jej dziecka wiadro pełne krwi. Amandzie grozi niebezpieczeństwo, dokładnie tak, jak ostrzegła Joan.

Mnie też coś zagraża, pomyślała Bonnie, pnąc się samochodem w górę Mount Vernon Street w Beacon Hill. Daleko w przodzie z krawężnika stoczyła się na ulicę biała corvette. Ja i moja córka jesteśmy w niebezpieczeństwie, tymczasem nikt się tym nie przejmuje. Policja pozostaje obojętna, mąż mi zaprzecza, znikąd wskazówki, co robić dalej. Może tylko jeden

zabójca wie, co tu jest grane. Bonnie poczuła biegnący po plecach dreszcz. Śmierć mnie przeskoczyła, jak powiedziała mama.

Wszystko spada na mnie, pomyślała, parkując na zwolnionym właśnie miejscu. Spojrzała na elegancki budynek z czerwonej cegły, w którym mieścił się gabinet doktora i sprawdziła godzinę. Była za dziesięć druga. Więc co takiego planowała powiedzieć temu lekarzowi? I co chciałaby usłyszeć od niego o Joan?

Bonnie odchyliła się na oparcie z brązowej skóry, zamknęła oczy i potrząsnęła głową. Jak dotąd nie odniosła wielu sukcesów w swoim śledztwie. Josh Freeman nadal rozmyślnie jej unikał. Od czasu ich ostatniego spotkania ani razu nie zajrzał do pokoju nauczycielskiego, a kiedy mijali się na korytarzu, pochylał głowę i przyśpieszał kroku, nie patrząc jej w oczy. Jeśli chodzi o Haja - opuścił dwie ostatnie lekcje, a telefon u jego dziadków nie odpowiadał. Zostawiła im wiadomość, by zgłosili się w przyszłym tygodniu, ale nie miała wielkiej nadziei na to, że ich zobaczy. Jej rozmowa z Caroline Gossett przyniosła więcej pytań niż odpowiedzi, a wizyta u Elsy Langer była całkowicie daremna. Czego więc oczekiwała po spotkaniu z najpopularniejszym psychologiem w Bostonie?

- Trudno - powiedziała, otwierając drzwi i wysiadając z samochodu. - Przynajmniej nie włączę się bez celu po ulicach.

Wznosząca się przed nią rezydencja miejska była typowa dla tej ekskluzywnej dzielnicy Bostonu. Okazała - to najczęściej stosowany przymiotnik, jak najbardziej odpowiedni. Osiemnastowieczne budynki znajdowały się w troskliwych i majątnych rękach, miały zwieńczone łukami okna i niewielkie wypielegnowane ogródki na froncie, ogrodzone gustownym, ręcznie kutym w żelazie płotkiem, a umocowane na zdobnych w witraże drzwiach mosiężne kołatki były tak lśniące, jakby nikt ich nigdy nie dotykał. Bonnie pokonała wolno osiem frontowych schodków, przeczytała umieszczoną dyskretnie z boku tablicę z nazwiskami lekarzy i nacisnęła guzik domofonu przy nazwisku doktora Greenspoona.

- Godność proszę - dobiegł ją czysty głos z głośnika. Bonnie odskoczyła i rozejrzała się dokoła. To chyba nerwy, pomyślała. Czyżby miała wątpliwości, że pytanie skierowane jest do niej?

- Bonnie - odparła z wahaniem. - Bonnie Lonergan.

Odezwał się brzęczyk - krótki, niski, wyraźnie brzmiący. Pchnęła ciężkie drzwi i weszła do korytarza wyłożonego czarno-białymi kafelkami. Przytwierdzona do wyłożonej drewnem ściany złota strzałka informowała, że gabinet doktora Greenspoona znajduje się na piętrze. Prowadziły tam schody wyściełane ciemnoniebieskim dywanem. Bonnie podążyła we wskazanym kierunku.

Gabinet doktora znajdował się na prawo od klatki schodowej, za podwójnymi mahoniowymi drzwiami. Zapukała cicho, jakby nie była pewna, czy chce być dosłyszana. Kolejny brzęczyk otworzył jej drzwi i weszła do środka.

Za dużym, wygiętym w łuk biurkiem siedziały dwie sekretarki, czarna i biała, obydwie nienagannie ubrane oraz uczesane. Jedna i druga zgodnie uniosły głowy i uśmiechnęły się, kiedy podeszła. Dzięki wpiętym w ubranie mosiężnym tabliczkom klienci mogli stwierdzić, że mają przed sobą Erikę McBain i Hyacynthę Johnson.

- Pani Lonergan? - spytała Erica McBain dobrze wytrenowanym szeptem. Bonnie rozpoznała jej matowy głos.

- Tak - odpowiedziała, zauważając, że stroje sekretarek sprawiają wrażenie dobranych do wystroju wnętrza. Wszędzie królowały delikatne odcienie różu i zieleni, od głębokiego różu stojących przy oknie dwuosobowych wyściełanych ław po blade róż bluzki Hyacinty Johnson, od stłumionej zieleni dywanu po soczystą zieleń spódniczki Eriki McBain. Bonnie w swoim zielono-białym kostiumie poczuła się tutaj nie na miejscu jak chwast w zadbanym ogrodzie. Już sam strój demaskował ją jako oszustkę, dając pretekst do bezzwłocznego usunięcia jej z tego miejsca.

- Doktor zaraz panią przyjmie. - Wypielegnowana dłoń o malinowych paznokciach podsunęła jej jakiś formularz. - Zechce pani to wypełnić. Honorarium doktora wynosi dwieście dolarów za godzinę, płatne po każdej sesji.

Bonnie spojrzała na formularz. Nazwisko, adres, numer telefonu, numer ubezpieczenia społecznego, wiek, zawód, stan cywilny, choroby przebyte w dzieciństwie, obecne choroby, zażywane leki, powód wizyty.

- O Boże - mruknęła Bonnie pod nosem. Tyle kłamstw do napisania.

- Przepraszam - odezwała się jedna z sekretarek. - Czy pani nie orientowała się w wysokości honorarium doktora?

- Nie o to chodzi - rzekła Bonnie roztargnionym tonem. - Nie mam pióra - wyjaśniła, wiedząc, że ma ich w torebce co najmniej pół tuzina.

- Proszę, niech pani weźmie. - Hyacintha Johnson pchnęła w jej stronę czarne pióro kulkowe. - Może pani usiądzie? - spytała, a jej ciemne oczy wskazały kącik przy oknie.

- Dziękuję.

Bonnie wzięła formularz i usiadła na jednej z ław, która okazała się niezwykle twarda. I co teraz? - zastanowiła się, trzymając pióro, lecz nie potrafiła zmusić się do pisania. Dalej, ponagliła się w duchu. Zaszłaś już tak daleko. Musisz tylko wypełnić formularz. Półprawda tutaj, półprawda tam. Jesteś nauczycielką, czyż dwie półprawdy nie dadzą jednej całej



prawdy? Wystarczy tych głupot. Nazwisko: Bonnie Lonergan. Adres: Winter Street 250. Nie będą sprawdzać, nie odkryją, że nazwisko nie zgadza się z adresem. Na miłość boską, daj im numer telefonu. Potrzebują go tylko do swoich danych, żeby w razie potrzeby móc się z tobą skontaktować. Nie pójdą do firmy telekomunikacyjnej szukać rozbieżności. Przepraszam, ale nasze dochodzenie wykazało, że pod wskazanym przez panią adresem nie figuruje osoba o nazwisku Bonnie Lonergan, podobnie jak pod numerem telefonu...

Nie mogła przypomnieć sobie numeru ubezpieczenia społecznego, chociaż zawsze знаła go na pamięć, i musiała sięgnąć do torebki w poszukiwaniu portfela. Znalazła go, ale upuściła. Portfel upadł na dywan, ukazując każdemu, kto chciałby patrzeć, prawo jazdy z jej prawdziwym nazwiskiem. Tyle że nikt nie patrzył. Erica McBain i Hyacintha Johnson były zbyt zajęte odbieraniem telefonów i pracą przy komputerach, by przejmować się jej sfalszowaną tożsamością.

- To śmieszne - mruknęła Bonnie pod nosem, przepisując numer ubezpieczenia. Musi się uspokoić. W przeciwnym wypadku tutaj, w biurze doktora Greenspoona, dopadnie ją wreszcie załamanie nerwowe i lekarz będzie zmuszony ją zatrzymać. Co nie byłoby takim złym wyjściem, pomyślała.

- Pani Lonergan? - zapytał znienacka męski głos.

Bonnie podskoczyła nerwowo. Po raz kolejny portfel zsunął jej się z podolka na podłogę. Mężczyzna przyklęknął, żeby go podnieść, Bonnie rozpoznała jego łysą głowę z fotografii w gazecie. Wstrzymała oddech, patrząc jak doktor Walter Greenspoon podnosi z dywanu portfel i podaje jej go, z prawem jazdy na wierzchu, nazwisko szczęśliwie przesłaniając kciukiem.

- Dlaczego nie wchodzi pani do środka? - zapytał, kiedy odbierała portfel wilgotną dłonią.

Bonnie skinęła sekretarkom, chociaż żadna z nich nie zwracała na nią uwagi, i w ślad za doktorem weszła do jego gabinetu, pięknego, pełnego okien pomieszczenia z mnóstwem wbudowanych w ściany półek, po brzegi wypełnionych książkami. Wewnątrz znajdowały się dwie sofy obite skórą w kolorze burgunda, ustawione naprzeciw siebie i rozdzielone długim owalnym stolikiem o szklanym blacie. W jednym kącie pokoju stało masywne biurko z mahoniu, w drugim kolejny mały stolik ze szklanym blatem oraz dwa zielono-różowe krzesła obite tkaniną w drobne prążki. Całości dopełniało kilka rozmieszczonych po kątach bujnych roślin.

Sam Walter Greenspoon był mężczyzną około pięćdziesiątki, znacznie większym, niż się tego spodziewała. Być może to fotografia w gazecie, schludny portrecik ograniczający się

tylko do głowy i ramion, była winna jej obecnemu zdumieniu i niemal niezadowoleniu z tak nieprzyzwoicie rozrośniętej sylwetki doktora. Miał niemal dwa metry wzrostu, masywną klatkę piersiową i muskularne ramiona. Jak gdyby dla zrównoważenia tej sylwetki godnej gladiatora, ubrany był w bladuróżową koszulę oraz wełniany czerwony krawat w drobny deseń. Miał błękitne oczy i miękko zarysowany podbródek, a interesująco zabarwiony głos pobrząkiwał subtelnie tonem niekwestionowanego autorytetu.

- Wezmę to - powiedział, wskazując formularz.
- Ale ja jeszcze nie skończyłam...
- Nie szkodzi. Możemy skończyć to razem. Usiądź, proszę.

Bonnie usiadła na jednej z sof, doktor Greenspoon zajął drugą, oddzielony szklanym blatem stolika. Patrzyła, jak czyta uważnie to, co zdążyła napisać.

- Bonnie Lonergan?

Bonnie odchrząknęła.

- Tak. - Jeszcze raz przeczyściła chrząknięciem gardło.
- Czy mogę spytać, ile masz lat? Jeśli nie masz nic przeciwko.
- W czerwcu skończę trzydzieści pięć - powiedziała.
- I mieszkasz w Weston, z tego, co widzę. Ładna okolica.
- Tak.
- Jesteś zamężna?
- Tak. Od pięciu lat.

- Dzieci?

- Córnka. Ma trzy latka. Oraz dwoje pasierbów - dodała, po czym mocno ugryzła się w język. Po kiego diabła mu to powiedziała?

- Twój zawód?

- Jestem nauczycielką w szkole średniej. Uczę angielskiego - odparła, zastanawiając się, w jaki sposób zręcznie przerwać tę zbędną wymianę informacji i przejść do celu wizyty. Chociaż z pewnością nie był to zły pomysł, żeby podczas rozmowy osłabić czujność doktora, zanim zacznie wyduszać z niego informacje, co zapewne on również miał zamiar uczynić w stosunku do niej.

- Lubisz uczyć?

- Uwielbiam - odpowiedziała szczerze.

- To dobrze. Nieczęsto zdarza mi się rozmawiać z ludźmi zadowolonymi ze swojej pracy, co uważam za skandal. Czy masz jakieś problemy zdrowotne?

- Nie.

- Żadnych migren, skurczów żołądka, zawrotów głowy?
- Nie, jestem nieprzyzwoicie zdrowa. Nigdy nie choruje.

Uśmiechnął się.

- Zażywasz jakieś lekarstwa?
- Pigułki antykoncepcyjne. - Czy takie lekarstwa miał na myśli?
- Choroby przebyte w dzieciństwie?
- Ospa wietrzna. - Pokazała ze skrucną małą bliznę nad prawą brwią. - Mama

ostrzegła mnie, żeby nie drapać.

- Po to właśnie są mamy. Może mi o niej opowiesz?
- Słucham?
- Zanim przystąpię do terapii, lubię zbudować sobie Jakies tło - wyjaśnił swobodnie.
- Nie sądzę, żeby to było konieczne - stwierdziła Bonnie. - Nie przyszedłam tutaj

rozmawiać o mojej matce.

- Nie chcesz o niej mówić?

- Nie ma o czym mówić. Poza tym pan już pewnie wszystko o niej wie - połapała się Bonnie, przypominając sobie, że występuje tutaj jako siostra Joan. Czyżby doktor Greenspoon również zapomniał, z kim ma do czynienia?

- Prawie wszystko o niej wiem? - powtórzył.
- Panie doktorze - zaczęła Bonnie - jestem siostrą Joan Wheeler.

Walter Greenspoon położył formularz na siedzeniu obok siebie.

- Przepraszam. Musiałem coś pomieszać. Wybacz. Czy byłyście sobie bliskie?
- Nie bardzo. - Bonnie westchnęła z ulgą. Nareszcie coś zgodnego z prawdą.
- Niemniej musiałaś być wstrząśnięta, kiedy Joan została zamordowana.
- Tak, byłam.

- Chcesz ze mną o tym porozmawiać?

- Prawdę mówiąc, miałam nadzieję, że to pan odpowie mi na parę pytań - oświadczyła Bonnie.

- Jaśniej, proszę. Nie bardzo orientuję się, do czego zmierzasz.

Bonnie spuściła wzrok na kolana, potem podniosła go na doktora i znowu spuściła na kolana.

- Wiem, że Joan widywała się z panem.
- Ona ci to powiedziała?
- Tak.

Doktor Greenspoon milczał.

- Jak pan wie, moja siostra miała mnóstwo problemów. Straciła dziecko, była rozwiedziona, popadła w alkoholizm.

Doktor nadal nic nie mówił.

- Wiem, że próbowała z powrotem zlepić swoje życie w całość. Mówiła mi, że postanowiła skończyć z pić i że leczy się u pana.

- Co jeszcze ci powiedziała?

- Że niepokoi się o coś. Właściwie o kogoś - poprawiła się Bonnie, żalując, że nie potrafi odczytać myśli doktora.

- O nową żonę swojego eksmałżonka i jej córeczkę - zakończyła, wstrzymując oddech tak długo, że aż zabolalo i musiała wypuścić powietrze.

- Niepokoiła się o żonę swojego eksmałżonka i jej córeczkę? - powiedział Greenspoon w ów doprowadzający do furii sposób, w jaki powtarzał wszystkie jej wypowiedzi.

- Tak.

- Dlaczego miałyby niepokoić się o żonę swojego eksmałżonka i jej córeczkę?

- Nie wiem. Miałam nadzieję, że pan mi to powie. Nastąpiła chwila ciszy.

- Może mogłabyś powiedzieć mi coś więcej.

- Nic więcej nie wiem - usłyszała swój podniesiony głos. Poprawiła się niespokojnie na miejscu, ułożyła dłonie na podolku, chrząknęła i zaczęła jeszcze raz. - Nic więcej nie wiem - powtórzyła, nadając swojemu głosowi spokojny, wyważony ton urzędujących za drzwiami sekretarek.

- Wiem tylko, że bardzo się o nie niepokoiła. Powiedziała mi, że czuje, iż obydwie są w niebezpieczeństwie.

- Sądziła, że są w niebezpieczeństwie?

- Tak. Powiedziała mi, że niepokoi się o nie, i pytała, czy uważam, że powinna skontaktować się z tą kobietą i ją ostrzec.

- Ostrzec ją przed czym?

- Przed jakimś niebezpieczeństwem - powtórzyła Bonnie z rozpaczą. Czy ten Greenspoon jest głupi czy celowo udaje tępego? Może w tej chwili sekretarki za drzwiami redagują jego kącik porad, a poczciwy pan doktor używa tylko całego przedsięwzięciu swojej głowy, ramion oraz aury męskiego autorytetu?

- Dlaczego przyszedł właśnie tutaj? - zapytał doktor po krótkiej przerwie.

- Cóż, wiele myślałam o tym, co powiedziała Joan - jękając się, odparła Bonnie. - To znaczy początkowo nie przykładałam do jej słów wielkiej wagi. Sądziłam, że była pijana i jak

zwykle wygadywała bzdury. Ale po tym, jak została zamordowana, zaczęłam coraz częściej wspominać jej słowa, zastanawiać się, czy nie powinnam czegoś z tym zrobić...

- Czy policja nie prowadzi śledztwa w tej sprawie?
- Wydaje mi się, że nie poświęca mu należytej uwagi.
- A myślisz, że powinna?
- Ja wiem, że jedna kobieta nie żyje, a druga i jej córka mogą być w

niebezpieczeństwie.

- Myślisz, że między tymi sprawami istnieje jakiś związek?

- A pan?

- Nie wiem, co o tym myśleć.

- Miałam nadzieję, że pan mógłby mi pomóc - rzekła Bonnie.

- W czym dokładnie miałbym ci pomóc?

- Może gdyby istniało coś, co Joan powiedziała panu, a co mogłoby rzucić jakieś światło...

- Nie mogę wyjawić niczego, co zostało powiedziane w tym gabinecie - wyjaśnił uprzejmie Greenspoon.

- Ale gdyby to mogło uratować czyjeś życie...

- Nie mogę zawieść zaufania pacjenta.

- Nawet jeśli pacjent nie żyje? Nawet jeśli pacjent został zamordowany? Jeśli istnieje realna groźba, że umrzeć może ktoś inny?

- Oczywiście rozmawiałem z policją. Powiedziałem im już wszystko, co moim zdaniem mogło mieć związek ze sprawą.

- Ale policja nic nie robi.

Doktor Greenspoon wznosił ręce do góry, pokazując otwarte wnętrza dłoni.

- Przykro mi, ale nie mam na to wpływu.

- Panie doktorze - ponownie zaczęła Bonnie, próbując innego podejścia - proszę, niech pan zrozumie. Moja siostra nie żyje. Została zamordowana i jak dotąd nikt nie wie przez kogo. Pomyślałam, że może pan mógłby powiedzieć coś, co by pomogło wykryć mordercę.

- Zrobiłbym to, gdybym mógł - odparł doktor.

- Czy Joan obawiała się czegoś? Albo kogoś? Czy mówiła o jakichś mężczyznach w jej życiu? Na przykład o Joshu Freemanie? Albo o Nicku Lon... - urwała nagle. - O mężczyźnie imieniem Nick - sprostowała.

- Wiesz, że nie mogę ujawnić tych informacji.

- Panie doktorze, policja znalazła coś w domu Joan.
- Bonnie spróbowała kolejnego sposobu. - Znaleźli tam album z wycinkami z gazet.

Walter Greenspoon uśmiechnął się pytająco.

- Album z wycinkami z gazet?
- Zawierający informacje z gazet o nowej rodzinie jej męża. Wszystko, od

zawiadomienia o ślubie po zdjęcia ich małej córeczki. Niemal jakby Joan miała na ich punkcie obsesję.

Doktor milczał, najwyraźniej czekając na ciąg dalszy.

- Czy rzeczywiście miała obsesję, doktorze?
- Może powiesz mi więcej o tym, co było w albumie? - rzekł doktor Greenspoon.

Bonnie zaczerpnęła powietrza, po raz pierwszy czując, że doktor może chce jej pomóc.

- W większości dotyczyły one kobiety, którą poślubił Rod. Rod to imię byłego męża Joan - wyjaśniła.

Psycholog skinął głową.

- A imię tej kobiety?

- Barbara - powiedziała śpiesznie, zastanawiając się, dlaczego przyszło jej do głowy właśnie to imię. Nigdy za nim nie przepadała. - Były tam informacje o śmierci matki Barbary i o powtórnym małżeństwie jej ojca, o pewnych kłopotach, w które kilka lat temu popadł brat Barbary, i o innych tego typu historiach. Był też artykuł o sukcesach w pracy Roda.

- I myślisz, że ten album zawiera klucz do morderstwa Joan?

- Nie wiem. Sama nie wiem, co o tym wszystkim myśleć - poskarżyła się płaczliwie. - To dlatego jestem taka sfrustrowana. Nikt mi nic nie mówi. Idąc tutaj, miałam nadzieję, że pan będzie mógł mi jakoś pomóc. Nie musi pan ujawniać żadnych tajemnic. Nie musi mi pan mówić niczego, co powiedziała Joan. Niech pan tylko powie, czy pana zdaniem ta kobieta i jej córka są czy nie są w niebezpieczeństwie i jeśli ma pan jakieś podejrzenia, kto za tym stoi.

- W jakiego rodzaju kłopoty wplątał się brat Barbary? - zadał pytanie doktor Greenspoon.

- Co takiego?

- Wspomniałaś, że w albumie był artykuł o kłopotach, w jakie popadł brat Barbary.

Bonnie chwilę walczyła o opanowanie oddechu.

- Zmowa w celu popełnienia morderstwa - wydusiła wreszcie z siebie.
- Zmowa w celu popełnienia morderstwa? - powtórzył pytająco doktor.

- Brat Barbary był drobnym rzezimieszkiem z dużymi ambicjami - powiedziała Bonnie, odkrywając, iż mówienie o sobie w trzeciej osobie jest zadziwiająco wygodne. - Właściwie to było dość zabawne, ponieważ kiedy był małym dzieckiem, zawsze mówił, że zostanie policjantem. W każdym razie tak pisali w gazetach - skłamała, zastanawiając się, w jakim to zakamarku pamięci uchował się ten mały klejnot z przeszłości. - Jak to mówią? Bandyta i policjant to dwie strony tego samego medalu? - spytała, próbując zakłócić chłodny dystans doktora, którego nie mąciła nawet typowa dla psychiatrów maniera zwracania się do pacjenta per „ty”.

- Zdaje się, że słyszałem takie zdanie - zgodził się Greenspoon.

- W każdym razie - kontynuowała Bonnie - on oraz jego tak zwany partner byli zamieszani w aferę związaną z obrotem gruntami, ale oskarżenie upadło. W kilka lat później obaj zostali skazani za zмовę w celu popełnienia morderstwa.

- Opowiedz mi o tym.

- Cóż, wiem tylko tyle, ile wyczytałam z gazet - zastrzegła Bonnie, pocierając palcem bliznę nad prawą brwią. - Zdaje się, że chodziło o fałszywą lokatę kapitału. Jeden ze współników, który dał już bratu Barbary mnóstwo pieniędzy, zaczął podejrzewać, że pieniądze nie są używane zgodnie z umową, i zagroził zwróceniem się do policji. Mój... Brat Barbary i jego partner wynajęli płatnego zabójcę, żeby zabił faceta, ale morderca okazał się tajniakiem, policjantem. Czyż nie jest to już regułą? - Bonnie zaśmiała się nerwowo. Ciekawe, czy doktor Greenspoon wyłapał przejęzyczenie? - To znaczy tyle się czyta o ludziach najmujących płatnych zabójców, którzy zawsze okazują się przebranymi policjantami. Nie sądzę, by w Ameryce w ogóle byli jeszcze prawdziwi płatni zabójcy. Myślę, że wszyscy są przebranymi policjantami. - Bonnie ponownie się zaśmiała, w jej głosie zabrzmiała nuta hysterii. - No i obaj trafili do więzienia. Nick dostał trzy lata, jego partner dziesięć, ponieważ był już notowany, poza tym krążyły plotki o jego powiązaniach z mafią. Nick był tylko drobną plotką.

- Czy to ten sam Nick, o którym wspominałaś wcześniej?

- Tak. Jego nazwisko i numer telefonu znajdowały się w notesie z adresami Joan. Istniały więc między nimi jakieś powiązania, prawda?

- A jak ty uważasz? - zapytał doktor Greenspoon.

- Uważasz, że twój brat mógł być zamieszany w morderstwo Joan?

Bonnie zamarła, pełne znaczenie słów doktora powoli sączyło się do jej mózgu niczym gęsty syrop przez sito. Otworzyła usta, gotowa zaprotestować, ale zaraz je zamknęła. Może to i lepiej, że tak się stało? W końcu co to ma za znaczenie?

- Od jak dawna wie pan, że nie jestem siostrą Joan? - spytała cicho.

- Odkąd powiadomiono mnie o twojej wizycie - powiedział. - Myślałaś, że nie będę wiedział, iż Joan była jedynaczką?

Bonnie zamknęła oczy. Najchętniej zapadłaby się teraz pod ziemię. Jak mogła być taka głupia?

- Czy zechcesz mi powiedzieć, kim naprawdę jesteś i co cię do mnie sprowadza?

- Nazywam się Bonnie Wheeler - przedstawiła się. - Joan była poprzednią żoną mego męża. To ja jestem kobietą, której zdaniem Joan grozi niebezpieczeństwo.

- Tak myślałem - rzekł doktor Greenspoon - zwłaszcza kiedy powiedziałaś, że na imię jej Barbara. Bonnie... Barbara, Dwa „b”.

- Być albo nie być - wypowiedziała Bonnie na głos swoje myśli. Doktor Greenspoon roześmiał się. - Skoro wiedział pan, że nie jestem siostrą Joan, dlaczego po prostu nie unieważnił pan tej wizyty?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Doszedłem do wniosku, że kimkolwiek jesteś, z pewnością znałaś Joan i najwyraźniej potrzebujesz pomocy.

- Przepraszam - oświadczyła Bonnie, nadal nie mając odwagi otworzyć oczu. - Powinnam była wiedzieć, że to się nie uda.

- Myślę, że wiedziałaś - powiedział po prostu. Bonnie zignorowała implikacje wynikające z jego uwagi.

- Więc nic mi pan nie powie?

- Nie wiem, czy to cię zadowoli, ale mogę zapewnić, że gdyby Joan w czasie naszych sesji powiedziała coś istotnego, bez wątpienia zgłosiłbym to policji.

- Czy wspominała kiedyś o mnie? - naciskała Bonnie.

- Nic więcej nie mogę ci powiedzieć.

- Więc nie chce mi pan pomóc - stwierdziła zniechęcona i podniosła się z sofy.

- Wręcz przeciwnie - rzekł psychiatra. - Jestem pewien, że mógłbym ci bardzo pomóc, gdybyś tylko zechciała mi na to pozwolić.

- Twierdzi pan, że potrzebuję terapii?

- Myślę, że jesteś kobietą, która cierpi - powiedział łagodnie - i że terapia mogłaby przynieść ci ulgę. Mam nadzieję, że poważnie rozważysz moją propozycję.

Bonnie podeszła do drzwi gabinetu i otworzyła je.

- Obawiam się, że jedna wizyta to już i tak więcej, niż potrafię znieść - powiedziała.



Kiedy Bonnie przyjechała do domu, zastała na podjeździe nie znany czarny samochód. A to co znowu? - zdumiała się, zapuszczając spojrzenie przez przednią szybę wozu i zastanawiając się, czy przyjechał nim jakiś znajomy Lauren. Tyle że zdawało się, iż Lauren nie ma żadnych przyjaciół, a poza tym ostatnio tak źle się czuła, iż mało prawdopodobne, by kogoś do siebie zaprosiła. A może zadzwoniła po lekarza, pomyślała Bonnie, przyśpieszając kroku i nerwowo szukając w torebce klucza.

Ledwie otworzyła drzwi, w nozdrza uderzył ją intensywny zapach wypełniający dom. Ostry, gryzący, gęsty od woni egzotycznych przypraw.

- Halo! - zawołała. - Czyżby ktoś coś gotował?

- Jesteśmy w kuchni - odkrzyknęła Lauren.

Bonnie uspokoiła się, ponieważ głos dziewczynki brzmiał mocno i radośnie. Tym bardziej zastanowiło ją, co się tutaj dzieje.

- Lauren? Czyj to samochód na podjeździe?

Stał przy kuchence, zwrócony do niej plecami, pochylony nad wielkim garem. Jego szczupłe biodra okrywały obcisłe dżinsy, na nogach miał brązowe skórzane buty, blond włosy opadły mu na oczy, a w prawej ręce trzymał dużą drewnianą łyżkę. Jeszcze zanim się odwrócił, Bonnie odgadła wyraz jego twarzy, ujrzała szelmowski uśmiešek.

- Co ty tutaj robisz? - spytała tak cicho, że nie była pewna, czy w ogóle wypowiedziała te słowa.

Obrócił się do niej powoli.

- Myślałem, że chcesz się ze mną zobaczyć - powiedział - i doszedłem do wniosku, że czas złożyć wizytę starszej siostrzyczce.

Przez chwilę Bonnie była zbyt oszołomiona, aby mówić Nicholas Lonergan, jak zawsze sprężysty, opalony i w dobrej formie, uniósł do ust łyżkę ociekającą jasnoczerwonym sosem, i polizał ją, jakby była lodem. Spojrzenie Bonnie przeniosło się na Lauren, która siedziała na kuchennym stole ubrana w błękitny szlafroczek Amandy. Jej twarz odzyskała już dawne kolory, a wzrok przeskakiwał ostrożnie z Bonnie na jej brata i z powrotem, jakby obserwowała rozgrywkę, tenisa na kortach Wimbledonu.

- Nie rozumiem - zwróciła się do niej Bonnie. - Ten człowiek przyszedł do naszego domu i ty go wpuściłaś?

- Jest twoim bratem. Nie wiedziałam, że będziesz miała coś przeciwko temu.

- Skąd wiesz, że naprawdę jest moim bratem? - zaatakowała Bonnie, podnosząc głos.  
- Mógł cię oszukać.

- Pamiętam go ze zdjęcia w albumie mojej mamy - broniła się Lauren.

- Kobiety, kobiety - wtrącił Nick. - Nie bijcie się o mnie, proszę. Bądźcie dla siebie miłe.

Bonnie zamknęła oczy, czując, że cała się trzęsie. Boże, niech to będzie tylko zły sen, modliła się. Spraw, żebym po otwarciu oczu już go nie ujrzała.

- Przepraszam, jeśli postąpiłam źle - dobiegł ją jak przez mgłę głos Lauren. - Jest twoim bratem. Może popełnił kiedyś błąd, ale spłacił już swój dług społeczeństwu.

- Otóż to - zgodził się Nick; jego głos wdarł się do umysłu Bonnie i zmusił ją do otwarcia oczu. - A jedną z rzeczy, których nauczyłem się za kratkami, jest gotowanie. Nikt, powtarzam: nikt nie robi bardziej smacznego sosu do spaghetti niż mówiący te słowa.

- Mam nadzieję, że nie są to jedynie czece przechwałki - rzekła Bonnie.

Nick uśmiechnął się, ukazując ułamane przednie zęby, pamiątkę po bójce, którą stoczył będąc nastolatkiem. Już wtedy zgrywał twardziela, wspomniła Bonnie.

- Dalej, Bonnie, Wyluzuj się. Usiądź, zrzuć buty, ułóż sobie wygodnie nogi i rozkoszuj się zapachami...

- Zapachy są obłędne - rzekła Lauren.

- Widzę, że czujesz się już lepiej - zauważyła Bonnie. Lauren skinęła głową.

- Obudziłam się koło dziesiątej i od razu wiedziałam, że jest lepiej. O niebo lepiej.

- No to wspaniale - stwierdziła Bonnie, unikając wzroku brata. Szukała odpowiedzi na pytanie: jak potraktować obecność Nicka w jej domu?

- Nick zjawił się mniej więcej godzinę temu. Zrobił mi herbatę. - Lauren pokazała na dowód pustą filiżankę.

- Autentyczna dobra wróżka.

- Zrobić ci również? - zapytał Nick. Bonnie zignorowała pytanie.

- Nick, co ty sobie właściwie wyobrażasz? - spytała, niezdolna dłużej się powstrzymać. - Co robisz w mojej kuchni?

- Gotuję ci obiad - brzmiała prosta odpowiedź.

- Nie potrzebuję twojego obiadu.

- Chciałem coś dla ciebie zrobić.

- Myślę, że dość już zrobiłeś.

- Co się stało, to się nie odstanie - rzekł Nick po krótkiej pauzie. - Przeszłości nie da się odmienić.

- Nick opowiadał mi, jak jest w więzieniu - poinformowała Lauren.

Bonnie, zajęta studiowaniem twarzy brata, nic na to nie powiedziała. Wciąż jeszcze pod maską mężczyzny mogła dostrzec rysy młodego chłopca, którego znała. Nick zawsze miał bardzo interesującą twarz, nawet jako dziecko. Jej wyraz niezwykle łatwo ulegał zmianom, w zależności od nastroju i okoliczności, w jednej chwili miły i uprzejmy, w następnej potrafił stać się twardy i cyniczny. Nick miał oczy kochanka i uśmiech mordercy. Istny diabeł, jak mawiała matka.

- Nieźle wyglądasz - przyznała wreszcie.

- Dziękuję. Ty również.

Bonnie odchyliła się do tyłu i oparła o szafkę, wdzięczna za tę podporę.

- Rozumiem, że masz jakąś pracę.

- Tak. Siedzę teraz w turystyce. Jeśli zechcesz dokądś się wybrać, wystarczy, że zadzwonisz. Zapewnię ci najlepszą obsługę w mieście.

- Będę o tym pamiętać.

- Mój tata wyjeżdża pod koniec przyszłego tygodnia na Florydę - wyrwała się Lauren.

- Z Marlą Brenzelle.

- Doprawdy? - Nick nie wyglądał na zaskoczonego.

- Mają w Miami jakiś zjazd czy konferencję - kontynuowała dziewczynka. - Tata będzie tam prawie tydzień.

Bonnie spiorunowała ją wzrokiem. Co się dzieje z tym dzieckiem? Najpierw od dnia śmierci matki nie sposób wycisnąć z niej więcej niż dwa słowa naraz, a teraz nagle buzia jej się nie zamyka.

- Myślisz, że to rozsądne puszczać męża do Miami z kimś takim jak Marla Brenzelle?

- spytał Nick, wyraźnie ubawiony niezadowoleniem Bonnie. - Wygląda na gorącą sztukę.

Skoro jesteś taki mądry, to dlaczego sam zrobiłeś w życiu tyle błędów? - spytałaby go najchętniej, ale powstrzymała się. Zdecydowała, że to nie czas ani miejsce na takie dyskusje. Było do omówienia zbyt wiele innych ważnych kwestii, zbyt wiele innych pytań do postawienia. Co łączyło cię z Joan Wheeler? Co robiło twoje nazwisko w jej notesie z adresami? Gdzie byłeś tego dnia, kiedy ją zamordowano? Czy to ty ją zabiłeś? Dlaczego czaiłeś się na boisku szkolnym kilka godzin przedtem, zanim ktoś wylał na głowę mojego dziecka wiadro krwi? Czy ty to zrobiłeś? Dlaczego znowu pojawiłeś się w moim życiu?

Tylko jak miała pytać go o Joan, skoro obok siedziała Lauren? Jak miała pytać go o wiadro krwi, skoro lada moment Pam Goldenberg może przywieźć do domu jej córkę? Jak może wdać się z nim w poważną rozmowę, skoro zaraz zjawi się Diana?

- Jezu Chryste - jęknęła. Całkiem zapomniała o Dianie. Nie zrobiła zakupów, niczego nie przygotowała, nie uprzedziła Roda o jej wizycie.

- Coś się stało? - spojrzał na nią Nick.

- Jak dużo sosu ugotowałeś? - zapytała.

- Starczyłoby dla całej kompanii - brzmiała szybka odpowiedź.

- To dobrze - rzekła Bonnie, spostrzegając wjeżdżającego na podjazd czerwonego mercedesa Joan i wysiadających z niego Sama oraz Haja - bo zdaje się, że będziemy go potrzebować.

- Powiesz mi, co tu się dzieje? - wymamrotał Rod, przytulając do siebie żonę i wskazując wypełniony gośćmi salon. Diana, pięknie wyglądająca w białym swetrze i czarnych spodniach, trzymała na kolanach Amandę i czytała jej bajkę. Z boku przyglądał im się, a może nawet słuchał, siedzący na zielonej sofie Sam. Lauren zajęła jeden z prążkowanych koralowo-białych foteli, Haj zaś balansował niebezpiecznie na jednej z poręczy, co chwila pochylając się w dół i szepcząc dziewczynce coś do ucha. Nick chwilowo wrócił do kuchni, żeby dokończyć swoje szumnie reklamowane spaghetti.

- Nick był już tutaj, kiedy wróciłam - wyjaśniła Bonnie, udając, że wyciera nos. - Siedział w kuchni i gotował obiad. A potem zjawił się Sam i spytał, czy może zaprosić Haja. Do tego na śmierć zapomniałam, że zaprosiłam Dianę...

- I co, jak ci idzie?

- Zadziwiająco - zwierzyła się - ale jestem nawet zadowolona. Miło jest mieć w domu tylu ludzi, zwłaszcza że wszyscy sprawiają wrażenie odprężonych, jakby się dobrze bawili. A co ty powiesz?

Rod nachylił się i ucałował ją w czubek nosa.

- Cóż, nie jest to spokojny wieczór rodzinny, na jaki liczyłem, ale sądzę, że dam sobie radę.

Bonnie przytaknęła. Po ostatnich przeżyciach nic już nie mogło jej zadziwić. Najwyraźniej żadna ze spraw nie mogła przebiegać tak, jak została zaplanowana, a zachowania ludzi były nieprzewidywalne. Na przykład jej brat, złote dziecko, któremu wszyscy wróżyli wspaniałą przyszłość, rzucił szkołę, żeby bez celu włóczyć się po kraju, a potem zniknąć, zaszywając się w kryminalnym półświatku i wyłaniając tylko wtedy, gdy potrzebował pieniędzy. Wreszcie skończył w więzieniu. Co on tu robi, pochylony nad gorącym piecykiem w jej kuchni i radośnie przygotowujący obiad dla ośmiu osób? Albo Haj, chłopak, którego destruktywny charakter wciąż sprawiał im obojgu problemy, którego wytatuowane ramiona gniewnie ogłaszały światu antyspołeczne nastawienie, który groził jej i

opuszczał lekcje - najwyraźniej nie widział nic niewłaściwego we wproszeniu się do niej na obiad.

A ja się z tego cieszę, zdumiała się Bonnie, kiedy klepnąwszy męża w łokieć, udała się do kuchni z nadzieją, że wreszcie spędzi z Nickiem kilka minut na osobności.

Kroił właśnie cebulę, nóż w jego ręce poruszał się z niedbałą precyzją.

- Nie podchodź zbyt blisko - ostrzegł, nie zadając sobie trudu, żeby się odwrócić.

Zupełnie jakby się jej spodziewał. - Bo będziesz płakała.

Pewnie ma rację, pomyślała Bonnie, uznając cebulę za trafną metaforę kilku ostatnich tygodni jej życia. Zawsze, kiedy obrała jedną warstwę, jej oczom ukazywały się następne. Im więcej tajemnic odkrywała, tym więcej ich pozostawało, stojących na straży tej jednej, ukrytej w samym środku. A im bliżej znajdowała się środka, tym bardziej piekło i tym więcej łez zbierało się pod powiekami.

- Jak dobrze znałeś Joan? - zapytała Bonnie bez żadnego wstępu.

- Nie o to chciałaś mnie zapytać - rzekł Nick, wrzucając posiekaną cebulę do sosu i mieszając go.

- Więc o co?

- Chcesz wiedzieć, czy ją zabiłem - powiedział, nadal odwrócony do niej plecami.

- A zrobiłeś to?

- Nie. - Odwrócił się i uśmiechnął. - Widzisz, jakie to było łatwe?

- Co cię z nią łączyło, Nick? Dlaczego miała w notesie twoje nazwisko i numer telefonu?

- Dzwoniłem do niej jakiś czas temu - przyznał po krótkim milczeniu. - Prosiłem, żeby znalazła mi dom. Rozumiesz, nie chcę mieszkać na zawsze ze starym.

Bonnie z niedowierzaniem potrząsnęła głową.

- Co ty próbujesz mi wmówić? Ze szukałeś pośrednika nieruchomości i przypadkiem trafiłeś na byłą żonę mojego męża? Czy to właśnie usiłujesz mi wmówić? Że to był przypadek?

- Pewnie, że to nie był przypadek. - W głosie Nicka pojawił się cień zniecierpliwienia.

- Wiedziałem, do kogo dzwonię. Może sądziłem, że to będzie zabawne. Może wiedziałem, że się o tym dowiesz. A może po prostu chciałem usłyszeć, co u ciebie.

- Były prostsze sposoby, żeby się tego dowiedzieć.

- Dałaś mi dostatecznie jasno do zrozumienia, że nie chcesz mieć ze mną nic wspólnego - przypomniał Nick.

- Nie bez powodu - rzekła Bonnie.

- Nadal jesteś zła, że mama wykreśliła cię z testamentu? - spytał zjadliwie.

Oczy Bonnie natychmiast wezbrały łzami. Nie płacz teraz, powiedziała sobie.

- Nie wykreśliła mnie...

- To nie była moja robota, Bonnie. Nie miałem nic wspólnego z tym, co wtedy zaszło.

- Nie, ty nigdy nie jesteś niczemu winien, prawda? Jesteś tylko niewinnym świadkiem, któremu wciąż przytrafiają się jakieś katastrofy.

Bonnie gwałtownym ruchem otarła łzy grzbietem dłoni. Do diabła, dlaczego zawsze kiedy ulegnie emocjom, zaczyna się mazać?

- Mówiłem ci, żebyś nie podchodziła zbyt blisko. - Nick podał jej wyciągniętą z kieszeni dzinsów chusteczkę.

Bonnie przyjęła ją niechętnie, otarła oczy i wydmuchała nos.

- Zresztą co ty byś zrobiła z tym domem? - zadał pytanie Nick. - Nie mogłaś się doczekać, żeby wyrwać się z tego miejsca. Kułaś po nocach, żeby mieć dobre stopnie, pracowałaś na pół etatu, żeby przepchać się przez studia, robiłaś, co mogłaś, żeby odbić od nas najdalej, jak to było możliwe...

- To nieprawda.

- Nie? - Rozejrzył się po kuchni. - I dokonałaś tego. Popatrz na to wszystko. Ładny dom, dobry zawód, robiący karierę mąż, śliczna mała córeczka.

- Trzymaj się od niej z daleka!

- Myślę, że ona mnie lubi.

- Mówię poważnie.

- Ja również. Naprawdę myślę, że czuje do mnie sympatię. Wyobraź sobie, ona nawet nie wiedziała, że istnieje jakiś wujek Nick. Wstydź się, Bonnie. Co powiedziałyby na to mama?

- Nie masz prawa...

- Do czego! Do mówienia o nieboszczce? Była również moją matką.

- To twoja wina, że mama nie żyje - cichym głosem oświadczyła Bonnie.

Kąćki ust Nicka wygięły się w smutnym półuśmiechu.

- O to również zamierzasz mnie obwinić? - spytał. Zza framugi drzwi wychyliła się nagle piękna twarz

Diany, obramowana spływającymi luźno na ramiona czarnymi włosami.

- Mogę w czymś pomóc? - spytała. Jej oczy były błękitne jak wody na Karaibach.

- Możesz się odprężyć i zagonić Roda, żeby zrobił ci jeszcze jednego drinka - powiedziała Bonnie, wciąż jeszcze osuszając chusteczką oczy. - Cebula - wyjaśniła.

- Te drinki są zabójcze. - Diana weszła do środka, wyjęła z dłoni przyjaciółki chusteczkę i poprawiła jej nieco rozmazany makijaż. - Tak będzie lepiej. Teraz wyglądasz doskonale. Świetna kreacja.

Bonnie spojrzała na siebie, na nie zdejmowany od rana biało-zielony kostium.

- Wyglądam okropnie. Ale dzięki za to miłe kłamstwo.

- Hola! Jestem prawnikiem. Ja nigdy nie kłamię.

- Jesteś prawnikiem? - zainteresował się Nick. - A jaka specjalność?

- Głównie prawo cywilne, sprawy administracyjno-gospodarcze.

- Właśnie takiej osoby szukałem - oświadczył Nick swobodnie. - Próbuję powiązać kilka interesów. Byłabyś zainteresowana?

- Zależy od interesów.

- Może zadzwonię do ciebie, kiedy już sobie wszystko przemyślę?

- Może najpierw dokończysz to, co zacząłeś? - Bonnie wskazała na sos, który już bulgotał.

- Racja - przytaknął Nick, wciągając w nozdrza smakowity zapach. - Moje panie - rzekł, kłaniając się w pas. - Sądzę, że obiad jest gotowy.

- Od jak dawna jesteście przyjaciółkami? - Nick zwrócił się z tym pytaniem do Diany, wskazując głową Bonnie. Siedzieli przy stole w jadalni: Rod w jednym końcu z dwójką swoich dzieci po bokach, Bonnie w drugim, mając po lewej Amandę, a po prawej Dianę, Haj oraz Nick zostali wciśnięci w środek. Jadalnia była niewielkim podłużnym pomieszczeniem; a jej brzoskwiniowe ściany ładnie harmonizowały ze stojącym na sosnowym stole tuzinem różyczek przyniesionych przez Dianę.

- Nasi mężowie krótki czas pracowali razem. Poza tym mieszkam tuż za rogiem - rzekła Diana. - Przepyszne - dodała, wycierając talerz bagietką.

- Jest jeszcze całe mnóstwo - pośpieszył z zapewnieniem Nick. - Chętnie dam ci dokładkę.

- Za chwileczkę.

- To pani mieszka za rogiem? - spytał Sam, a jego zainteresowanie Dianą wyraźnie wzrosło. Już i tak cały wieczór nie odrywał od niej oczu.

- Brown Street sto dwadzieścia osiem - powiedziała Diana. - Ale bywam tu tylko w weekendy, a i to nie zawsze. Mam mieszkanie w mieście i teraz, kiedy nie mam rodziny, wygodniej jest mi zostać na miejscu, niż dojeżdżać.

- Mogłaś zostawić dom Gregowi - wypomniał jej Rod.

- A dlaczego miałabym to zrobić? - zapytała Diana.

- To mój dom.
- No tak, racja. Twój udział wyniesiony z małżeństwa numer jeden.
- Była pani dwa razy zamężna? - spytała Lauren.
- Małżeństwo jakoś mi nie służy.
- Nie powiedziałbym tego - zaprzeczył Rod. - Moim zdaniem wręcz przeciwnie, służy

ci znakomicie.

Diana otarła serwetką pełne usta, popychając pusty talerz w stronę Nicka.

- Nick, jeśli można, chciałabym jeszcze trochę tego fantastycznego spaghetti.

Nick natychmiast zerwał się na nogi.

- Ktoś jeszcze?
- Ja chciałabym trochę - wyznała cichutko Bonnie, podając Nickowi swój talerz.

Starala się nie zauważać jego promieniującego samozadowoleniem uśmiechu.

- I ja - powiedziała Lauren, podążając za Nickiem do kuchni.

- Więc mieszka pani sama? - zapytał Dianę Sam.
- Tak i jest mi z tym bardzo dobrze - odpowiedziała.

- Przed nikim nie muszę się spowiadać, nikomu nie muszę gotować, nikt mnie nie krytykuje. Idę spać, kiedy chcę, jem, kiedy chcę, robię, co chcę. Oczywiście są takie chwile, gdy przydałby się w domu mężczyzna - złagodziła trochę.

- Zawsze są jakieś rzeczy do naprawienia. Sprawy, które wymagają męskiej ręki. -

Uśmiechnęła się do Sama.

Chłopakowi rozbłyły oczy.

- Ja jestem dobry w naprawianiu różnych rzeczy.
- Naprawdę?
- Jasne, nie ma takiego urządzenia, którego nie potrafiłbym rozłożyć na części, a

potem złożyć z powrotem.

- O tak, Sam ma zręczne ręce - skomentował szyderczo Haj.

- No to może coś wymyślimy - powiedziała Diana.

- Mam kilka szafek, w których drzwi trzymają się tylko na słowo honoru, no i od kilku miesięcy po ciemku biorę prysznic, bo nie mogę wykombinować, jak zmienić żarówkę.

- Prysznic po ciemku, to brzmi bardzo podniecająco - zauważył Haj.

- Nie bardzo, kiedy jesteś sam - odparowała Diana.

- Możemy to naprawić - rzekł Haj.

Bonnie kręciła się niespokojnie, zastanawiając się, czy uda jej się kopnąć Dianę pod stołem, żeby skierowała rozmowę na inne tory. Diana była urodzoną kokietką i prawdziwym



magnezem dla mężczyzn w każdym wieku. Toteż Haj najwyraźniej nie żałował sobie pozornie niewinnych uwag z podtekstem.

- Chętnie zerknąłbym na tę żarówkę - zaoferował się Sam. - Może coś bym poradził.
- Byłoby wspaniale - ucieszyła się Diana. - Oczywiście zapłacę ci.
- Nie trzeba, dziękuję.
- Ale ja nalegam.

Sam wzruszył ramionami.

- Jak pani chce. To kiedy mogę przyjść?
- Może jutro?

- A może w niedzielę? - zaproponował Sam. Do pokoju weszła Lauren z dwoma talerzami spaghetti, tuż za nią Nick z dwoma następnymi. - Jutro być może wybiorę się odwiedzić babcię. - Poprawił się niespokojnie na krześle.

- Może być w niedzielę - zgodziła się Diana.
- Zamierzasz odwiedzić babcię Langer? - niedowierzająco spytała Bonnie.
- Myślałem o tym.
- Dlaczego? Ona prawdopodobnie nawet nie będzie wiedziała, kim jesteś.
- A może będzie? - Sam siedział ze wzrokiem wbitym w kolana, wyraźnie

niezadowolony z tej dyskusji.

- Kto to jest babcia Langer? - zapytał Nick.

- Mama mojej mamy - wyjaśniła Lauren. Jej oczy zaszyły mgłą i w każdej chwili mogła się rozplakać. - Jest w Centrum Zdrowia Psychicznego Melrose w Sudbury. Dobrze mówię, Bonnie?

Bonnie skinęła głową, zaskoczona zarówno oświadczeniem Sama, jak i tym, że Lauren zwróciła się do niej z bezpośrednim pytaniem.

- Może ja też powinnam tam pojechać - szepnęła dziewczynka.
- Słuchajcie, dzieciaki, to może ja was tam zawiozę? - zaproponowała Bonnie, z góry

przygotowując sobie listę argumentów, pewna, że napotka sprzeciw: znam drogę, byłam tam już wcześniej, może przyda wam się ktoś dorosły. I zdziwiła się, ponieważ sprzeciwu nie było.

- Dobrze jest mieć dziadków - rzekł Nick.
- Ja mieszkam z dziadkami - poinformował ich Haj.
- Przerąbane.

Nick przechylił się przez stół do Amandy.

- A ty wiesz, że masz dziadka, Mandy?

Amanda skinęła głową, jej złote loczki zatańczyły wokół puciołowatych policzków. Na bródce widać było ślady sosu.

- Dziadzia Peter i babcia Sally. Mieszkają w New Jersey - powiedziała z dumą.

- Nie rodziców twojego tatusia - sprostował Nick.

- Mówię o tacie twojej mamy.

- Nick... - ostrzegła Bonnie.

- Nigdy go nie widziałas - kontynuował jej brat - a on wcale nie mieszka daleko. Jego żona robi najsmaczniejszą szarlotkę pod słońcem. Lubisz szarlotkę, Mandy?

Amanda skinęła entuzjastycznie.

- Zajebicie!

- Zajebicie?!

- Sam zawsze tak mówi. Sam parsknął śmiechem.

- Przybij piątkę, Amanda - wyciągnął dłoń do dziewczynki. Amanda zachichotała i klasnęła w nią rączką.

Bonnie, mimo mieszanych uczuć, również wybuchnęła śmiechem. Zdziwiła się, z jaką naturalnością tych dwoje odnosi się do siebie.

- Może kiedyś uda ci się przekonać mamę, żeby zabrała cię w odwiedziny do dziadka - ciągnął Nick. - Wiem, że bardzo by się ucieszył.

Bonnie upuściła widelec i odsunęła od siebie talerz, pozostawiając dokładkę nietkniętą.

- Lepiej zobaczę, co z kawą - powiedziała.

\*

Pięła się kamienną ścieżką ku Centrum Zdrowia Psychicznego, a z obu stron wychylały się ku niej blad różowe piwonie. Tyle że to nie jest Centrum Zdrowia Psychicznego, zdała sobie nieoczekiwanie sprawę, przewracając się na łóżku i z wolna pojmując, że śni. Spróbowała obudzić się, odwrócić od dużych drzwi frontowych, ale było już za późno, bo właśnie się otwierały. Nie miała innego wyjścia, jak tylko przekroczyć próg..

- Witaj w domu - rzekł Nick, czekając na nią u szczytu schodów.

- Co ty tu robisz? - zdziwiła się Bonnie.

- Mieszkam tutaj - odparł. - Przyszłaś zobaczyć się z matką?

- Powiedziała, że chce ze mną mówić - rzekła, schylając głowę, by poczuć zapach kwiatów wymalowanych na tapecie.

- Wejdz na górę.

Nie idź tam, szepnęła jej wewnętrzny głos, kiedy przewracała się na poduszce.

Wkroczyła na schody, sunąc dłonią po ścianie, przeskakując palcami z kwiatka na kwiatek niczym pszczoła zbierająca pyłek. Dotarłszy do szczytu schodów, zatrzymała się. Drzwi do sypialni matki stały przed nią otworem.

Nie wchodź tam, ostrzegł ją głos. Obudź się. Obudź.

Zbliżyła się wolno, widząc siedzącą na łóżku, okrytą całunem postać z niewidoczną wśród cieni twarzą. Okazało się, że obok niej idzie Amanda, stale szarpiąc ją za rękę.

- Mamusiu, mamusiu - wołała słodkim głosikiem. - Chodź, wejdziemy. Tam będzie przyjęcie.

To mówiąc, zrobiła z papieru wielki kropkowany kapelusz i założyła go sobie na głowę. Nieoczekiwanie z kapelusza połała się krew, mocząc włosy dziewczynki, pokrywając jej buzię i ramiona.

- Nie! - zawyła Bonnie, ciskając się w łóżku z boku na bok.

- To tylko sos do spaghetti - zachichotała Amanda, pokazując wijące się wśród włosów, podobne małym węzom nitki makaronu.

- Spróbuj - powiedział Nick, kierując ku ustom Bonnie wielką drewnianą łyżkę.

- Za dużo cebuli - powiedziała, wykręcając głowę i czując bolesny skurcz żołądka.

- Bonnie - zawołała słabo jej matka. - Bonnie, pomóż mi. Nie czuję się zbyt dobrze.

- Za dużo szarlotki - powiedziała do niej Bonnie. - Powinniśmy wezwać doktora Greenspoona, żeby cię zbadał. - Zbliżyła się do łóżka, próbując wyłowić z mroku rysy twarzy matki. Znowu poczuła skurcz żołądka. Jęknęła i zgięła się wpół.

- Bonnie, co się dzieje? - zapytał Nick głosem Roda. - Bonnie, Bonnie, co się dzieje? - powtórzył, a zdawało się, że jego głos dochodzi z jakiegoś miejsca obok. - Bonnie, obudź się.

Matka poruszyła się, a jej twarz z wolna zaczęła wynurzać się z mroku.

Bonnie wyprostowała się, pragnąc ją ujrzeć, postąpiła krok w stronę łóżka. Serce biło jej w piersi jak oszalałe, przez żołądek co chwilę przebiegały błyskawice bólu. Skurcze sprawiły wreszcie, że się obudziła, a kiedy otworzyła oczy, zdając sobie sprawę, iż sen zniknął, stały się jeszcze intensywniejsze.

W chwilę potem była w łazience, klęcząc przy ubikacji i wymiotując, a Rod stał za jej plecami, odgarniając włosy z jej twarzy.

- Już dobrze - powiedział później, siedząc obok niej na wyłożonej kafelkami podłodze, trzymając ją w ramionach i kołysząc łagodnie w tył i w przód, niemal tak samo, jak ona tuliła Lauren ledwie kilka dni wcześniej. - Już dobrze, minęło.

- Jezu Chryste - jęknęła Bonnie. - Co to było?

- Musiałś złapać tego samego wirusa co Lauren.
- Ja nigdy nie choruję - zaprotestowała Bonnie.
- Cóż, nie ma ludzi doskonałych.
- Nie - oświadczyła Bonnie, pozwalając Rodowi postawić się na nogi i poprowadzić do sypialni. - To tylko zły sen. Rano nic mi nie będzie.
- Prześpij się trochę - poradził Rod, pakując ją do łóżka i całując w czoło.
- To tylko zły sen - powtórzyła Bonnie, czując, że zamykają jej się oczy. - Rano nic mi nie będzie.

## 18

- To już niedaleko - powiedziała Bonnie. - Za minutę będziemy na miejscu. - Zerknęła szybko przez ramię na Sama i Lauren, siedzących na tylnym siedzeniu samochodu. Szybka jazda przywołała nową falę mdłości, które wkręcały się w jej ciało niczym korkociąg. Ani mi się waży wymiotować, upomniała się w duchu. Nie jesteś chora. Ty nigdy nie chorujesz.

Więc skąd ten atak w nocy?

Ostatnia noc była konsekwencją wielu czynników naraz, zdecydowała, koncentrując się na drodze, którą miała przed sobą. Tego, że doktor Greenspoon powiedział tak niewiele, i tego, że Nick powiedział zdecydowanie za dużo. Bonnie gwałtownie przyhamowała, zatrzymując samochód na czerwonym świetle. Jak on śmiał zjawić się w jej domu bez zaproszenia, bez uprzedzenia, jak śmiał szarogęsić się w kuchni i zakłócać jej spokojne życie, serwując im ten swój wdzięk, spaghetti z sosem i impertynenckie pytania? A ty wiesz, że masz dziadka, Mandy? Skąd on wytrzasnął to „Mandy”? Nikt nigdy jej tak nie nazywał. A teraz mała domaga się tego, lubi to. Wczoraj wieczorem, kiedy kładła ją spać, Amanda poprosiła, żeby nazywać ją Mandy. Tak jak robi to wujek Nick, powiedziała. I jak tu się nie rozchorować?

Nie powinna była pozwolić, żeby został u niej w domu. Zaraz po tym, jak ujrzała go w kuchni, powinna była wyprosić go za drzwi, powiedzieć mu, że teraz, po wyjściu z więzienia, nie jest tu milej widziany niż wcześniej, zanim do niego trafił. Oto, co powinna była zrobić. Dlaczego tego nie zrobiła?

- To tam? - Lauren pochyliła się do przodu, wbijając łokcie w przednie siedzenie, aż Bonnie poczuła na karku jej gorący oddech. Wskazywała na szeroko rozlaną białą konstrukcję przed nimi.

- Tak, to tam. - Bonnie skręciła w długi kręty podjazd.
- Wygląda całkiem nieźle - stwierdziła Lauren, opadając z powrotem na siedzenie.

Żołądek Bonnie podnosił alarm przy każdym wstrząsie.

Co ja tutaj znowu robię? - zastanowiła się Bonnie, szukając miejsca do parkowania. Dlaczego nie została w łóżku, jak radził Rod przed wyjściem do studia? Ponieważ to nie byłoby w porządku wobec Sama i Lauren, doszła do wniosku. Poza tym wcale nie jest chora, czuje się tylko trochę słaba i rozpalona. Wzięła kilka głębokich oddechów. Nie wymiotuję, powiedziała sobie w duchu, sunąc w odległy kąt obszernego parkingu, widząc świat jako rozmazaną plamę. Nie będę znowu wymiotować. Nie jestem chora. Ja nigdy nie choruję.

Wyłączyła silnik i otworzyła drzwi, jednym długim haustem łykając wdzierając się do wnętrza wozu powietrze. Jednakże to nie przyniosło spodziewanej ulgi, ponieważ powietrze było ciężkie od wilgoci. W kilka sekund Bonnie złała się potem, jej nagie ramiona lśniły, jakby były świeżo pociągnięte lakierem.

- Gorąco - stwierdziła, kiedy Lauren wysiadła z samochodu.

- Nie bardzo.

- Dobrze się czujesz? - spytał Sam.

- Tak, dobrze - upierała się, unosząc dłoń do czoła. Tylko po co? Przecież nie ma gorączki. Nie była chora. Po prostu wczoraj wieczorem za bardzo się objadła. Coś ze wspaniałego spaghetti Nicka podrażniło żołądek, podobnie jak parę dni wcześniej jej obiad zaszkodził Lauren.

„Musiałaś złapać tego samego wirusa co Lauren” - powiedział Rod.

- Którędy? - spytała Lauren, kiedy przekroczywszy próg Centrum, znaleźli się w obszernym hallu. Bonnie skierowała ich w stronę najbliższych wind. Zauważyła, iż Sam ociąga się i pozostaje w tyle.

To był twój pomysł, chciała mu przypomnieć wciąż jeszcze zdumiona, że Sam wymyślił coś takiego.

Weszli do pierwszej z brzegu otwartej windy, w której czekało już kilka osób. Drzwi zamknęły się, winda ruszyła. Bonnie poczuła swój znękany żołądek gdzieś na wysokości kolan. Przełknęła ślinę, odpinając górny guzik prążkowanej bluzki, odgarnęła spadające na twarz włosy i otarła warstewkę potu perlącego się nad górną wargą.

Winda przyhamowała i stanęła. Zawartość żołądka podeszła Bonnie do gardła. Przełknęła raz, potem drugi, a czując, że to nie pomaga, wystrzeliła z windy jak pocisk, kierując się prosto ku znajdującej się naprzeciw pokoju pielęgniarek toalety dla pań.

- Dobrze się czujesz? - zawołał za nią Sam.

Wpadła do łazienki, zamknęła za sobą drzwi i upadła na kolana, schylając głowę nad ubikacją, targana serią bolesnych suchych torsji.

- Jezu - wymamrotała, próbując złapać oddech.

- Jak długo to może trwać?

Kolejny skurcz zgiął ją wpół, targając wnętrznościami niczym czyjaś karząca dłoń. Pod powiekami paliły ją łzy. Chwyliła się kurczowo ściany, czując włosy lepiące się do karku i czoła, to pocąc się z gorąca, to drząc z przenikliwego zimna.

- Nie jestem chora - powiedziała głośno. Zmusiła się do wstania i spojrzała w twarz swojego odbiciu w lustrze nad zlewem. - Słyszysz? Nie jestem chora.

Może ty nie jesteś, zdawało się odpowiadać odbicie.

Bonnie skropiła wodą twarz i poprawiła włosy, szczypiąc blade policzki w nadziei przywrócenia im odrobiny koloru. Następnie sięgnęła do dozownika, wzięła papierowy kubeczek, napełniła go wodą i piła, pozwalając sobie tylko na kilka drobnych łyków.

- No i wszystko w porządku - powiedziała tej w lustrze. - Rozumiesz? Żeby mi się to więcej nie powtórzyło!

- Odciągnęła ramiona do tyłu, wzięła głęboki oddech i otworzyła drzwi na korytarz. Sama i Lauren nigdzie nie było.

- Sam? - zawołała, przyciągając uwagę blakającego się po korytarzu starszego pana w pidżamie.

- Wołała mnie pani? - spytał.

Bonnie potrząsnęła głową, zaraz tego żałując, gdyż gwałtowny ruch zakłócił delikatną równowagę organizmu. Najwyraźniej poszli do babci. A dlaczegoż by nie? - zadała sobie pytanie, idąc w stronę pokoju Elsy Langer. W końcu, na miłość boską, nawet jeżeli nie bardzo o Elsie pamiętali, a ona o nich w ogóle, ta kobieta jest ich rodzoną babką. Nie potrzebowali nikogo, żeby ich przedstawiał.

Prawdopodobnie najlepiej będzie, jeżeli zaczeka na nich w poczekalni.

Za późno, pomyślała. Drzwi od pokoju Elsy Langer otworzyły się zapraszająco.

- Pamiętasz mnie? - zapytała staruszka na wózku, cofając się tylko na tyle, by Bonnie zdołała przekroczyć próg.

- Dzień dobry - powitała ją Bonnie z roztargnieniem, całą uwagę skupiając na Elsie Langer, która siedziała na łóżku podparta poduszkami, a przed sobą miała tacę z jedzeniem. Lauren stała przy łóżku, zaś Sam zajął miejsce na krześle znajdującym się nieopodal. Oboje jak zahipnotyzowani wpatrywali się w pustą twarz chorej.

- Na imię mam Mary - oświadczyła kobieta w wózku. - Zdaje się, że kiedy byłaś tutaj ostatnio, nie zostałyśmy sobie należycie przedstawione.

- Ja jestem Bonnie - odpowiedziała Bonnie, nie odrywając wzroku od Elsy Langer. Stara kobieta wsparta na poduszkach wydawała się jeszcze bardziej krucha niż w pozycji leżącej. Jej przezrzysta skóra, niemal niknąca na tle białej pościeli, nie ukrywała żadnej kosteczki, upodabniając staruszkę do żywego szkieletu. Niewidzące oczy przywodziły na myśl puste oczodoły.

- Przyszliście w porze lunchu - rzekła Mary. - Ja już zjadłam. - Pokazała pustą tacę. - Zamówiłam rosół z kurczaka, makaron z serem i krem waniliowy. Nie wiem, co dali Elsie. - Podjechała do łóżka współlokatorki i uniosła pokrywę, ukazując oczom zebranych osobliwy zestaw nieapetycznych beżowych brei.

- No, dostała to co ja - stwierdziła Mary - Ale ona nie chce jeść. Nigdy nie je, póki jej nie nakarmię. - Sięgnęła po łyżkę leżącą na tacy i uniosła ją ruchem, którym dyrygenci podnoszą batutę.

- Mogę ja? - spytała szybko Lauren. - Proszę.

- Może - odparła kobieta. - A kto pyta?

- Mam na imię Lauren - brzmiała odpowiedź. - Elsa Langer jest moją babcią.

- Lauren, powiedziałaś?

- Tak, a to mój brat, Sam.

- Sam?

Sam się nie odezwał.

- Nie wiedziałam, że Elsa ma wnuczeta - stwierdziła staruszka na wózku, spoglądając na Bonnie. - Czyż to nie zabawne? Mieszkasz z kimś całe lata, myślisz, że wiesz o nim już wszystko, a tu nagle okazuje się, że nie wiesz o nim nic. Prawda, że to zabawne?

Bonnie zignorowała pytanie.

- Jestem pewna, że będzie zadowolona, jeśli ją nakarmisz - zwróciła się do Lauren.

Przez twarz dziewczynki przemknął nikły, niemal niezauważalny uśmiešek.

- Tutaj, babciu - powiedziała ciepło, podnosząc do ust staruszki łyżkę pełną zupy z makaronem i delikatnie wsuwając ją między jej suche wargi. Kiedy zawartość łyżki spłynęła do gardła Elsy, Lauren podniosła następną porcję. Nieco rosółu spłynęło staruszce po brodzie, ale dziewczynka szybko wytarła ją serwetką.

- Prawda, że smaczne, babciu? - spytała podobnie jak Bonnie, kiedy karmiła Amandę.

- Prawda, że smaczne?

Następnie uniosła do ust Elsy kolejną pełną łyżkę. I jeszcze jedną.

- Ona je - ogłosiła z dumą, a przez jej buzię znowu przemknął uśmiech, tym razem goszcząc na niej nieco dłużej. - Chcesz ją pokarmić, Sam? - zapytała.

Sam potrząsnął głową, niżej osuwając się na krzesło, ale nawet na chwilę nie spuszczał wzroku z twarzy babci.

- Ona uwielbia zupę - poinformowała ich Mary.

- Pamiętasz nas, babciu? - spytała Lauren.

Elsa nie odpowiedziała, jej usta rozchyliły się na przyjęcie łyżki.

- Ostatni raz widziałas nas jako małe dzieci. Pamiętasz nas? Joan była naszą mamą - ciągnęła łagodnie Lauren, jej głos zdrzął, kiedy wymawiała imię matki. - Pamiętasz ją?

Elsa Langer przełknęła zupę.

- Joan nie żyje - powiedziała Mary.

- Ja jestem Lauren, a to mój brat Sam - nie poddawała się Lauren, podczas gdy jej ramię poruszało się rytmicznie od talerza z zupą do ust staruszki i z powrotem. - Jesteśmy dziećmi Joan. Babciu, pamiętasz nas choć troszeczkę?

- Jestem pewna, że głęboko w sercu dobrze wie, kim jesteście - powiedziała Bonnie.

- Skąd ta pewność? - spytał Sam. Poprawił się na krzesło i pochyliwszy się do przodu, przeskakiwał wzrokiem od babci do Bonnie i z powrotem.

- Tylko przeczucie - przyznała. Jej żołądek znowu zastrajkował, pobudzony zapachem makaronu z serem.

- Czy moja babcia kiedykolwiek rozmawiała z panią? - zwrócił się Sam do kobiety na wózku.

- Może - odpowiedziała tamta. - A kto pyta?

- Sam - powiedział, wywracając oczami. - Sam Wheeler.

- Trudno spamiętać te wszystkie nazwiska - oświadczyła Mary. - Od tygodni nikt nas nie odwiedzał, a tu nagle jakby rozsypał się worek z gośćmi.

- Co masz na myśli? - zainteresowała się Bonnie.

- Dzisiaj rano miałyśmy jeszcze jednego gościa, odwiedził nas pewien dżentelmen. On też był bardzo przystojny. Przypominał mojego ostatniego męża, niech spoczywa w pokoju.

- Był tutaj ktoś jeszcze? - zdziwiła się Bonnie.

- Może. A kto pyta?

- Pamiętasz jego nazwisko?

- Może. A kto pyta? - powtórzyła z uporem Mary, szturchając językiem sztuczną szczękę.



- Bonnie, Bonnie Wheeler. Pamiętasz nazwisko tego mężczyzny?

- Jakiego mężczyzny?

Bonnie zamknęła oczy i głęboko odetchnęła.

- Mężczyzny, który był tutaj rano.

- Nie powiedział, jak się nazywa. Ale był naprawdę przystojny. Przypominał mojego ostatniego męża, niech spoczywa w pokoju.

- Możesz powiedzieć mi, jak wyglądał? - nalegała Bonnie.

- Wyglądał jak mój ostami mąż - powtórzyła Mary.

- Pamiętasz jakiego koloru miał włosy?

- Myślę, że blond.

Bonnie natychmiast ujrzała oczyma wyobraźni swego brata, Nicka, pochylonego nad Kuchenką, z opadającą na czoło blond grzywą.

- A może były siwe - dobiegł ją głos Mary.

Miejsce kuchni i Nicka zajęła przystojna twarz Roda, kiedy ostatniej nocy pochylał się nad nią, kładąc ją do łóżka, twarz okolona przedwcześnie posiwiałymi włosami, tym mocniej akcentującymi jego młodzieńczy wygląd.

- Możliwe, że były brązowe - dumiała Mary, nieświadoma spustoszeń, jakie czyni w duszy Bonnie. Nagle wypchnęła szczękę z ust i chwilę kołysała ją na czubku języka.

- Obrzydliwe - powiedziała Lauren. Żołądek Bonnie zwinął się w kłębek.

Mary wciągnęła szczękę z powrotem do ust i ulokowała ją na miejscu, czemu towarzyszyło głośnie kliknięcie.

- Mogę zjeść jej krem waniliowy? - spytała, sięgając dłonią ku tacy.

- Myślę, że babcia również zechce go spróbować - nadspodziewanie wladczo oświadczyła Lauren i wyłuskała małą miseczkę z kremem z dłoni Mary. - Chciałabyś spróbować, babciu? - Dziewczynka zaczerpnęła niewielką ilość kremu na koniec plastikowej łyżeczki i delikatnie położyła go na języku Elsy. - Smakuje ci, babciu? Dobre?

Twarcz Elsy Langer powoli odwróciła się w stronę wnuczki, jej wzrok stopniowo się wyostrzył.

- Babciu? - spytała Lauren. - Babciu, widzisz mnie? Poznajesz mnie? Babciu, to ja, Lauren.

Wszyscy w pokoju zamarli, wstrzymując oddech.

- Lauren? - spytała staruszka. Słowo spłynęło z jej ust jak westchnienie.

Oczy Lauren rozszerzyły się ze zdumienia.

- Słyszałeś, Sam? - szepnęła. - Ona mnie zna. Wie, kim jestem.

- Babciu - powiedział szybko, zeskakując z krzesła i tak gwałtownie pochylając się nad łóżkiem, że omal nie stracił tacki z jedzeniem. - To ja, Sam. Pamiętasz mnie?

- Lauren - powtórzyła Elsa Langer, nie odrywając oczu od wnuczki.

- Jestem tutaj, babciu - rzekła Lauren. - Jestem tutaj.

Ale skupienie w oczach Elsy już się rozproszyło, zniknęło zastąpione pustką.

- Dokąd ona odeszła? - spytała Lauren w kilka sekund później, kiedy już stało się oczywiste, że babcia Langer nie wróci.

- Trudno powiedzieć - rzekła Bonnie.

- Myślisz, że naprawdę wiedziała, kim jestem?

- Jestem o tym przekonana.

Sam odsunął się od łóżka babci i podszedł do drzwi. Nic nie powiedział, ale było wiadomo, że jest gotów do wyjścia.

- Sądziysz, że ona w ogóle o czymś myśli? - spytała Lauren, wpatrując się w twarz staruszki.

- Nie wiem.

- Ja sędzę, że tak.

- A ja uważam, że ona o niczym nie myśli - odezwał się niecierpliwie Sam. - I wiesz, co jeszcze myślę? Myślę, że lepiej się stąd wynosić! - Otworzył drzwi i wyszedł z pokoju.

- Wrażliwy młody człowiek - rzekła Mary, wypychając i wciągając swoją klikającą szczękę. - Zupełnie jak mój ostatni mąż. Niech spoczywa w pokoju.

- Powinniśmy już iść - stwierdziła Bonnie, delikatnie trącając ramię Lauren, szczęśliwa, że nie została automatycznie odepchnięta, jak zdarzało się wcześniej.

Lauren pochylała się do przodu i złożyła na policzku babci czuły pocałunek.

- Do widzenia, babciu - powiedziała. - Niedługo znowu tutaj wrócimy. Obiecuję.

Elsa Langer nie odezwała się. Bonnie wyprowadziła Lauren z pokoju.

- Bonnie źle się czuła w drodze do domu, jest chora - poinformowała Lauren ojca, zaledwie przekroczyli próg. Sam bezzwłocznie pobiegł na górę i zaszył się w swoim pokoju.

- Nie jestem chora - upierała się Bonnie.

- Musiałaś się położyć, Sam przywiózł nas do domu.

- Trochę kręciło mi się w głowie - wyjaśniła Bonnie, widząc zaniepokojenie malujące się na twarzy męża. - Myślę, że w samochodzie zepsuła się klimatyzacja.

- Wyglądasz okropnie - rzekł Rod.

- Dzięki - powiedziała. - Gdzie jest Amanda?

- Pani Gerstein wzięła ją do parku.

- Kiedy wróciłeś do domu?

- Jakies pół godziny temu. - Rod ujął Bonnie pod łokieć. Poprowadził ją w stronę schodów. - Teraz masz iść do łóżka i trochę się przespać.

- Rod, nie bądź niemądry. Nic mi nie jest.

- Nie dyskutuj ze mną. Masz gripę, powinnaś leżeć w łóżku. Zadzwoń do Marli i odwołam dzisiejszy wieczór.

- Do wieczora wszystko mi przejdzie - zaprotestowała Bonnie, dziwiąc się sama sobie. Ostatnia rzecz, której pragnęła, to obiad u Marli Brenzelle.

- W porządku, zobaczymy, jak później będziesz się czuła. A teraz biegnij na górę, przebieraj się i pakuj do łóżka. Przyniosę ci herbatę.

- Rod...

- Nie dyskutuj ze mną.

- Zdaje się, że Elsa Langer miała rano jeszcze jednego gościa...

- O Elsie Langer porozmawiamy później.

- Ale...

- Później - powtórzył z naciskiem.

- To idiotyczne - burknęła Bonnie, wspinając się po schodach na piętro i czując, jak z każdym stopniem wzrasta w niej gniew. - Prawdopodobnie jestem po prostu przemęczona. Prześpię się pół godzinki i wszystko wróci do normy.

Kiedy otworzyła oczy, w nogach jej łóżka stała Lauren. Jest prześliczna, pomyślała Bonnie, podciągając się wyżej i mgliście podejrzewając, że wciąż jeszcze śni. Dziewczynka ubrana była w krótką jasnoniebieską sukienkę, zaczynającą się na wysokości piersi, a kończącą w połowie uda. Sprawiała wrażenie bardzo wyrosniętej. Patrząc na nią, Bonnie żałowała, że sama nie prezentowała się tak wspaniale w wieku czternastu lat. Że nie prezentuje się tak teraz.

- Jakaś ty piękna - powiedziała, czując suchość w ustach.

- Dziękuję - uśmiechnęła się zakłopotana Lauren. - Jak się czujesz?

- Nie jestem pewna - wyznała Bonnie uczciwie, zwilżając językiem wargi. - Która godzina?

- Dochodzi siódma trzydzieści.

- Siódma trzydzieści? - Dla potwierdzenia Bonnie zerknęła do góry, na stojący na nocnym stoliku budzik. Czy to możliwe, żeby przespała całe popołudnie? - O Boże, muszę wstawać. Muszę się przygotować.

- Nigdzie nie idziesz - rzekł Rod, wchodząc do pokoju. Wyglądał cudownie w ciemnozielonej jedwabnej koszuli i czarnych spodniach.

- Nie rozumiem - stwierdziła Bonnie, próbując wstać z łóżka.

- Lauren obiecała, że dotrzyma mi towarzystwa dziś wieczorem - poinformował ją Rod.

- Co takiego?

- Kochanie - zaczął Rod - masz gripę. Przestań być taka uparta i przyjmij to do wiadomości. Przecież widzę, że czujesz się fatalnie. Nie ma mowy, żebyś dokądś ze mną szła. Jedno spojrzenie na Marłę i obrzygasz ją od stóp do głów, a to raczej nie pomogłoby mi w karierze. Więc proszę, zrób nam tę uprzejmość i zostań dzisiaj w łóżku.

- Masz coś przeciwko temu? - nieśmiało spytała Lauren.

- Przeciwko? Skądże. Oczywiście, że nie - zapewniła Bonnie, w głębi duszy zadowolona z takiego obrotu sprawy.

- Dałam już Amandzie kolację i położyłam ją spać - powiedziała Lauren.

- Naprawdę?

- Lauren świetnie sobie z tym radzi - z dumą powiedział Rod.

- A gdybyś czegoś potrzebowała, w domu jest Sam.

- Dziękuję - powiedziała Bonnie, ponownie czując w całym ciele chorobliwe znużenie. Bawcie się dobrze, chciała im powiedzieć, ale zasnęła, zanim zdążyła otworzyć usta.

Śniły jej się pomidory, mnóstwo spasionych czerwonych pomidorów rozsiadłych na półkach w niewielkim sklepiku. Bonnie wzięła jednego z nich, obróciła go w dłoni, po czym zgmiotła, patrząc, jak spomiędzy palców na przedramię spływają wąskie strużki soku.

Uniosła ręce do sufitu, a sok spływał po nich kaskadą, zalewając jej twarz, aż poczuła na języku jego kwaśny smak. Wtedy rozwarła szeroko usta, zapragnąwszy się go napić.

Ale zaledwie zaczęła pić, sen się skończył. Ocknęła się, czując w ustach jedynie niesmak. Trzeba mi szklanki wody, pomyślała. Zwlokła się z łóżka i szurając nogami, udała się do łazienki, zerkając po drodze na zegar. Dochodziła dziesiąta trzydzieści. Kolejne trzy godziny stracone, a ona nie czuje się ani trochę lepiej.

Nalała sobie wody i piła powoli, modląc się, by nie musiała tego za chwilę zwrócić. Niesmak w ustach pozostał, zatem chwyciła tubkę pasty do zębów, wycisnęła jej na szczoteczkę i energicznie wyszorowała zęby. Bez skutku. Zwykle tak orzeźwiający smak mięty dzisiaj zniknął, jakby go nie było. Przepłukała usta wodą, a wypluwając ją, spostrzegła nitki krwi przetykające plwocinę.

- Świetnie - stwierdziła, wychodząc z łazienki. - Tylko tego mi było trzeba.

Korytarz na piętrze tonął w mroku, jedynym widocznym światłem był blask nocnej lampki w kształcie tancerki, znajdującej się przy wejściu do pokoju Amandy. Bonnie powoli skierowała się ku sypialni córki. Spod drzwi pokoju Sama, omywając jej stopy, sączyły się odgłosy programu telewizyjnego oraz migotliwy odblask ekranu.

W pokoju Amandy słychać było jej równy głęboki oddech, kołdra kłębiła się na wysokości kolan, małe rączki leżały wyciągnięte za głowę, ta zaś wspierała się na lewym ramieniu. Bonnie poprawiła kołdrę i delikatnie ucałowała Amandę w czoło.

- Kocham cię, serduszko - szepnęła.

Ja kocham cię bardziej - odpowiedziały jej ściany bezdźwięcznym echem, gdy wychodziła z pokoju.

Zatrzymała się chwilę przed zamkniętymi drzwiami pokoju Sama i wlepiała w nie wzrok, jakby spodziewała się dostrzec coś przez ich nieprzejrzystą taflę. Z wnętrza pomieszczenia dobiegały odgłosy z telewizora - wycie silnika, głos mężczyzny, krzyk kobiety. Już miała odwrócić się i odejść do sypialni, gdy uświadomiła sobie, że słyszy coś jeszcze, dźwięk tak cichy, że byłaby go przegapiła, lecz tak przejmujący, że zmroził ją do szpiku kości.

Stała tak kilka minut, z uchem przylepionym do drzwi, wsłuchując się w ten dziwny dźwięk. Można odnieść wrażenie, że to ściany jęczą, pomyślała, że ktoś złapał się w potrzask i błaga o uwolnienie. Wreszcie nacisnęła klamkę i weszła do środka.

Na ekranie telewizora skąpo odziana młoda kobieta uciekała z krzykiem przed uzbrojonym w nóż zamaskowanym mężczyzną. Oczy Bonnie przeniosły się z telewizora na biurko z dębowego drewna, które teraz straciło cały swój majestat, obarczone szklanym terrarium z przylepionym do ścianek L'il Abnerem, i dalej, na sofę, na której siedział Sam. Chłopak wpatrywał się w telewizor. Po jego twarzy spływały strugi łez, a z gardła dobywał się niski, buczący dźwięk, przywodzący na myśl średniowieczne pieśni.

- Sam? - Bonnie zbliżyła się ostrożnie. - Sam, dobrze się czujesz?

Wydawało się, że niski jęk wiedzie własne życie i nie zniknął nawet wtedy, gdy Sam odwrócił się w jej kierunku. Ramię Bonnie wyciągnęło się ku chłopcu, dłoń dotknęła jego ramienia. Poczula, że się wzdrygnął, ale nie cofnęła ręki, a on jej nie odepchnął. Powoli opadła na sofę obok niego, obejmując go ramieniem.

- O co chodzi, Sam? Proszę, wiesz, że możesz mi powiedzieć.

Zawodzenie stało się głośniejsze, bardziej intensywne. Bonnie zwalczyła w sobie chęć uniesienia dłoni do uszu. Zamiast tego przyciągnęła chłopca do siebie, przytulając jego twarz

do piersi. Materiał pidżamy natychmiast zwilgotniał od łez, a jęk zwielokrotnił się, przypominając teraz dźwięk dochodzący z rezonującej pustej beczki.

Sam otoczył ją ramionami, zamknął w kurczowym uścisku, jakby pragnął wciągnąć ją w głąb swego smutku, jakby czepiając się jej, walczył o życie. I możliwe, że tak właśnie jest, pomyślała Bonnie, pozwalając Samowi przyłgnąć do siebie. Głaskała jego długie czarne włosy, wędrując spojrzeniem od masakrowanej na ekranie telewizora kobiety do węża, który zaczynał wyciągać się w stronę szklanej pokrywy terrarium. Nagle ciałem Sama wstrząsnął gwałtowny szloch.

Bonnie zakołysała go w objęciach niczym małe dziecko.

- Wszystko będzie dobrze, Sam - powtarzała. - Wszystko będzie dobrze.

Siedzieli tak dłuższy czas, Bonnie wtulała usta w czubek głowy chłopca, czując w nozdrzach zapach jego świeżo umytych włosów. Film skończył się. Z niewielkiego fragmentu, który zdołała obejrzeć, wywnioskowała, iż nikt z bohaterów nie ocalał. Wąż w dalszym ciągu penetrował wnętrze terrarium, a jego łeb od czasu do czasu uderzał w pokrywę, najwyraźniej badając możliwość ucieczki.

W końcu Sam przestał płakać.

- Przepraszam - rzekł, bojąc się na nią spojrzeć.

- Nie przepraszaj - powiedziała Bonnie, która chwilowo zapomniała o dręczących ją dolegliwościach. - I nie czuj się zakłopotany. Nie masz za co przepraszać ani czego się wstydzić.

- Ryczałem jak głupi dzieciak.

- Sam, nie musisz zawsze zgrywać twardziela - zapewniła go Bonnie. - Porozmawiaj ze mną. Powiedz mi, o co chodzi.

Nastąpiła długa chwila milczenia.

- Nie poznała mnie - odezwał się wreszcie Sam. - Nie wiedziała, kim jestem. Poznała Lauren, ale mnie nie poznała.

- Tak mi przykro, Sam - rzekła Bonnie. - Może następnym razem...

Potrząsnął przecząco głową.

- Nie, nie wrócę tam więcej.

- To stara, schorowana kobieta - przekonywała. - Kto wie, co dzieje się w jej zmaconym umyśle?

- Poznała Lauren.

Bonnie nic na to nie odpowiedziała.

- Chciałbym tylko, żeby ktoś mnie kochał - wypalił nieoczekiwanie Sam, słowa opuszczały jego usta jak napędzane gniewem pociski.

- O Boże, kotku... - Bonnie się rozplakała. - Tak mi przykro z powodu bólu, który czujesz. Wiele bym dała, żeby uleczyć twoje cierpienie. Gdyby istniały jakieś słowa...

Sam przerwał jej:

- W gruncie rzeczy nie ma to żadnego znaczenia.

- To ma znaczenie! - obruszyła się Bonnie. - Ponieważ ma znaczenie dla ciebie.

Ponieważ jesteś osobą, która zasługuje na miłość. Słyszysz, Sam? Zasługujesz na to, by czuć się kochany.

Sam milczał, w dalszym ciągu obawiając się spojrzeć jej w twarz.

Bonnie posiedziała z nim jeszcze kilkanaście minut. Było oczywiste, iż chłopak czuje się tak zażenowany swoim wybuchem, że nie wydusi z siebie więcej ani słowa.

- Lepiej wróć do łóżka - stwierdziła.

- Mogę coś dla ciebie zrobić? Może herbatę? - zaoferował Sam.

Bonnie uśmiechnęła się i miękko pogładziła go po policzku.

- Herbata to niezły pomysł - powiedziała.

## 19

Do poniedziałku Bonnie poczuła się lepiej, za to Lauren znowu zaczęła uskarżać się na mdłości.

- Może zostaniesz dzisiaj w domu? - spytała Bonnie, kładąc jej rękę na czole.

Dziewczynka nie odepchnęła dłoni.

- Mam gorączkę?

- Nie, czoło masz chłodne, ale nie ma sensu się forsować. Zostań dzisiaj w łóżku. A jeśli do jutra ci się nie polepszy, zbada cię lekarz.

- A co z tobą? - spytała Lauren, dygocząc pod swoją kołdrą.

- Nic mi nie jest - oświadczyła Bonnie. - To tylko zmęczenie.

W końcu dopadły ją wydarzenia ostatnich tygodni: morderstwo Joan, śledztwo, niespodziewane powiększenie rodziny, ponowne pojawienie się Nicka, wreszcie obawy o życie własne oraz Amandy. Bonnie wspomniała doktora Greenspooona. „Wydaje mi się, że jesteś kobietą, która cierpi” - powiedział. Albo coś w tym sensie.

Ojej, pewnie, że będzie tak mówił, pomyślała zniecierpliwiona. Jak miałyby zarabiać swoje dwieście dolarów za godzinę, gdyby nie dbał o napływ nowych pacjentów?

- Nie wyglądasz najlepiej - zauważyła Lauren.

- To przez te włosy - powiedziała śpiesznie, zerkając na swoje odbicie w lustrze nad komodą. To prawda, jej włosy, zwykle lśniące i puszyste, chociaż niesforne, od kilku dni były suche i bez życia. Sterczały na głowie niczym wiecheć słomy, odmawiając poddania się szczotce i suszarce. Może po prostu potrzebowały strzyżenia.

- Dasz sobie radę sama? - spytała Bonnie. - Chcesz, żebym sprawdziła, czy da się ściągnąć panią Gerstein?

Lauren potrząsnęła głową.

- Bonnie, nie potrzebuję niańki.

- No dobrze, ale przedzwonię później, żeby sprawdzić, jak sobie radzisz. Gdyby chwyciły cię mdłości, pamiętaj: trzeba głęboko oddychać.

Lauren przytaknęła.

- Myślę, że teraz trochę się prześpię. Bonnie starannie otuliła dziewczynkę kołdrą.

- Zawołam Sama, żeby przyniósł ci herbaty - powiedziała, po czym wyszła z pokoju.

- Czuję się absolutnie doskonale. Czuję się absolutnie doskonale - powtarzała do swego odbicia w lustrze w pokoju nauczycielskim.

Może i czujesz się absolutnie doskonale, zgodziło się z nią odbicie, ale wyglądasz absolutnie strasznie.

To prawda, musiała przyznać Bonnie. Jej skóra była tak blada, iż niemal przezroczysta. Chwilę szukała w myśli słowa, które najlepiej oddawałoby jej obecny wygląd, i znalazła takie: mizerny. Po raz pierwszy w pełni zrozumiała całą gamę znaczeń, jakie niesie z sobą to określenie: nie mający sił, zdrowia; wycieńczony, słabowity, chorowity; godny litości. Tyle znaczeń ukrytych w jednym siedmioliterowym słowie. Mowa to zachwycające zjawisko.

Nigdy nie powinnam ubierać się na szaro, zdecydowała. Kolejne słowo, które wszystko mówi. Szary - nieciekawym, bezbarwnym, pozbawionym blasku. To cała ona.

Ale czy kolor jej stroju może odpowiadać również za skrecające wnętrzości nudności, za powracające od rana fale mdłości? Oczywiście uczniowie bynajmniej jej nie pomagali. Byli niesubordynowani, nie zainteresowani, nie chcieli współpracować. Szczególnie nieprzyjemne było zachowanie Haja - sposób, w jaki rozwalił się na swoim krześle w końcu klasy, jego wyciągnięte w przejściu między ławkami nogi, czarne buty rysujące zielone płytki podłogi, obscenicznie wytatuowane ramiona założone za głowę i podtrzymujące ją, jakby leżał w hamaku. Nic nie wiedział, ale na wszystko miał odpowiedź.



Nigdy nie miał pracy domowej, nie pracował na lekcji, ani razu nie wykazał najmniejszego zainteresowania tym, co mówiła.

- Po co w ogóle fatygowaleś się tutaj? - zapytała.

- Ponieważ chcę być z panią - brzmiała jego natychmiastowa odpowiedź.

Klasa ryknęła śmiechem, a Bonnie poczuła, jak żołądek wywraca się jej na drugą stronę. Gapiła się w lustro i zastanawiała się, czy obydwie z Lauren są skazane na wieczne zarażanie się jedna od drugiej.

- Nie czas teraz o tym myśleć - powiedziała sobie, nakładając na policzki nieco różu. Ale rumieńce wyglądały sztucznie, zupełnie nie pasowały do reszty twarzy. Zamiast dodać życia, nadały jej wygląd zabalsamowanego ciała, które dopiero co wyszło spod ręki przedsiębiorcy pogrzebowego. Wyglądam jak trup, pomyślała.

Trup pijaczki.

Jak Joan.

Przynajmniej Lauren poczuła się trochę lepiej, pomyślała Bonnie z ulgą. Spała niemal cały dzień, w południe, kiedy Bonnie zadzwoniła do niej ze szkoły, i po południu, kiedy Bonnie wróciła do domu. Właśnie wychodziła do szkoły na wiosenne spotkanie z rodzicami, kiedy Lauren obudziła się i ogłosiła, że jest głodna. Bonnie zostawiła ją siedzącą wraz z Rodem przy kuchennym stole i jedzącą obiad. Sam już dokądś wyszedł.

Zapięła torebkę, po czym założyła włosy za uszy. Może nie wyglądam tak strasznie, pocieszyła się, idąc po schodach na piętro do swojej klasy. Miała nadzieję, że nie zjawi się zbyt wielu rodziców. Mogłaby wtedy wcześniej wyrwać się do domu, położyć do łóżka i zapaść w sen, a potem wstać i tak jak Lauren poczuć się lepiej, odzyskać apetyt oraz kolory na twarzy. Otworzyła klasę, zapaliła światło i powiodła dokoła spojrzeniem. Wydawało się, że wszystko jest w jak najlepszym porządku.

Zerknęła na swój zegarek, potem na zegar za sobą. Za dwie siódma. Może będzie miała szczęście i w ogóle nikt się nie zjawi.

- Pani Wheeler?

Bonnie odwróciła się i dostrzegła stojącą w drzwiach starszą parę. Zarówno mężczyzna, jak i kobieta dawno przekroczyli wiek, w którym można by podejrzewać ich o posiadanie nastoletnich dzieci. Byli odziani prosto w odcienie bieli i błękitu. Mężczyzna miał siwe włosy przetykane brązem, kobieta przeciwnie - brązowe przyprószone siwizną. Żadne z nich się nie uśmiechało.

- Tak - odpowiedziała Bonnie. - Państwo do mnie?

- Nazywamy się Bob i Lillian Reilly - poinformowała ją kobieta.

Bonnie patrzyła na nich bezmyślnie. Nie przypominała sobie ucznia o takim nazwisku.

- Dziadkowie Harolda Gleasona - wyjaśnił mężczyzna.

- Ach tak, rzeczywiście - powiedziała śpiesznie, dziwiąc się sobie, że nie pamiętała nazwiska ludzi, których sama zaprosiła. - Dziadkowie Haja. Przepraszam. Jestem trochę rozkojarzona. Proszę wejść.

- Zawiadomiła nas pani, że chce się z nami dzisiaj spotkać - przypomniała Lillian Reilly.

- Twierdziła pani, że to bardzo ważne - podkreślił jej mąż.

- Bo jest ważne - przytaknęła Bonnie i wskazała im rzędy ławek. - Proszę, usiądźcie państwo.

- Dziękuję, wolę postać - powiedział Bob Reilly, a jego żona ogarnęła salę bojaźliwym spojrzeniem.

- Cieszę się, że państwo przyszli - rzekła Bonnie. - Zdaje się, że jeszcze państwa nie widziałam w szkole.

- Nie zawracamy sobie głowy szkołą - oświadczyła Lillian Reilly.

- Wątpię, by miała nam pani do powiedzenia coś, czego jeszcze nie wiemy - dodał jej małżonek.

Bonnie uśmiechnęła się. Przynajmniej obejdzie się bez kluczenia.

- Miałam nadzieję, że to państwo moglibyście mi coś powiedzieć - rzekła.

- Mianowicie?

- Proszę opowiedzieć mi o swoim wnuku - zaczęła Bonnie. - Jaki jest w domu, czy jest szczęśliwy, czy sprawia kłopoty, jak ludzie w państwa wieku dają sobie radę z wychowywaniem nastolatka. Wszystko, co państwa zdaniem pozwoli mi go odrobinę lepiej zrozumieć.

- Dlaczego miałyby pani chcieć go lepiej zrozumieć? - zapytał Bob Reilly.

- Panie Reilly, pański wnuk może nie uzyskać zaliczenia - odpowiedziała Bonnie, starając się dorównać mu szczerością. - Moim zdaniem to wstyd, ponieważ uważam, że stać go na więcej. Jest bardzo bystrym chłopcem i może przy odrobinie zachęty w domu...

- Myśli pani, że go nie zachęcamy?

- A zachęcacie?

- Pani Wheeler. - Bob Reilly długimi krokami przemierzał przejście między ławkami w tę i z powrotem. - Chce pani dowiedzieć się czegoś o moim wnuku? Mój wnuk jest dokładnie taki sam jak jego matka. To leniwy, nienadający-się-do-niczego-pozza-palaniem-trawki bachor, który uważa, że cały świat jest mu coś winien. I może rzeczywiście jest, kto

wie? Ale to nie ma większego znaczenia, prawda? Jest, jak jest, czy nam się to podoba czy nie. Jego matka w końcu to zrozumiała, prędzej czy później on również będzie musiał to zrozumieć.

- A do tego czasu?

- Do tego czasu zrobimy co w naszej mocy, by nie zszedł na złą drogę.

Powiedzieliśmy Haroldowi, że może z nami mieszkać tak długo, jak długo będzie wszystko zaliczał w szkole. Teraz pani mówi nam, że obleje...

- Co nie znaczy, że nie stać go na zaliczenie... - zastrzegła pośpiesznie Bonnie.

- Tylko że nie odrabia prac domowych, nie pracuje na lekcjach, rozbija pracę reszcie klasy - rzekł Bob Reilly.

- Czy to chciała nam pani powiedzieć?

- Myślałam, że może razem znaleźlibyśmy jakiś sposób, żeby mu pomóc...

- Ale czego się pani po nas spodziewa? - odezwała się pani Reilly. - Nie możemy nakłonić go do nauki, zresztą nie mamy do tego odpowiedniego przygotowania.

- Oczywiście, nie macie państwo, ale gdybyście wykazali nieco więcej zainteresowania...

- Ma pani w domu nastolatka? - przerwał jej Bob Reilly.

- Mam dwoje nastoletnich pasierbów - odparła Bonnie.

- I co, bardzo sobie cenią pani zainteresowanie?

- No, może nie zawsze to okazują, ale...

- Dziękuję, sądzę, że już odpowiedziała pani na to pytanie. - Bob Reilly wziął swoją żonę pod rękę. - Chodź, Lillian. Mówiłem ci, że przychodzenie tutaj to strata czasu.

- Pani Reilly, czy pan boi się wnuka? - spytała nagle Bonnie. - A pani, pani Reilly? Bob Reilly zeszywniał, jego żona posłała mu spłoszone spojrzenie.

- Państwa wnuk ma w sobie duże pokłady gniewu. Chciałabym mu pomóc, zanim będzie za późno.

- Czy dlatego nasłała pani na niego policję? - zaskoczył ją Bob Reilly. - Czy tak wygląda pomoc w pani wykonaniu?

- Myśli pan, że pański wnuk byłby zdolny wyrządzić komuś krzywdę? - spytała Bonnie, niemal ogłuszona łomotem swego serca.

- Wszyscy jesteśmy zdolni wyrządzić komuś krzywdę - powiedział głucho Bob Reilly i wyprowadził żonę na korytarz.

- Jak poszło? - zawołała za nią Maureen Templeton, kiedy Bonnie kwadrans po dziewiątej szła korytarzem do wyjścia.

- W porządku - odpowiedziała. - Mnóstwo ludzi.  
- Wyglądasz na rozpaloną. Dobrze się czujesz?  
- Nic mi nie jest. To tylko zmęczenie - skłamała, otwierając drzwi prowadzące na parking i wciągając w płuca ciepłe wieczorne powietrze. - Może podrzucić cię do domu?  
- Nie, dziękuję. Przyjechałam samochodem. - Maureen wskazała stojącego w odległej części parkingu, ciemnego chryslera, po czym żwawym krokiem udała się w jego stronę. Bonnie spostrzegła, że na parkingu zostało już tylko kilka samochodów. Dopadło ją gorące pragnienie znalezienia się w domu.

Otworzyła drzwi samochodu i wśliznęła się do środka, machając na pożegnanie Maureen, która już wytaczała się swoim chryslerem na ulicę. Następnie włożyła kluczyk do stacyjki i przekręciła go.

Cisza.

Bonnie poruszyła kluczykiem tam i z powrotem, wyjęła go i na powrót włożyła do stacyjki, po czym przekręciła, raz, drugi, trzeci, cały czas dociskając stopą pedał gazu. Samochód milczał jak zaklęty.

- Tylko tego było mi trzeba - wymamrotała, czując, że pot występuje jej na czoło. - No dalej. Nie możesz mi tego zrobić!

Ponownie wetknęła kluczyk w stacyjkę, kręcąc nim wściekle w prawo, w lewo i do oporu pompując pedał gazu.

- Błagam, ja chcę do domu.

Bonnie spojrzała na zewnątrz, w gęstniejące ciemności. Jeśli nie liczyć dwóch innych samochodów, znajdowała się na parkingu całkiem sama. Po raz ostatni spróbowała zapalić silnik i poddała się, pojmując, że samochód jest nieodwołalnie zepsuty.

- Świetnie - parsknęła i wygramoliła się z auta. Łykając łzy gniewu, wróciła do szkoły. Kiedy zmierzała do pokoju nauczycielskiego, jej kroki gromkim echem odbijały się w pustych korytarzach. Szkoła nocą ma w sobie coś z nawiedzonego zamczyska, pomyślała Bonnie, wypełniająca budynek pustka zdaje się nienaturalna. Zaniepokoiła się, że pokój nauczycielski może być już zamknięty i odetchnęła z ulgą, kiedy drzwi otworzyły się bez przeszkód.

Zapaliła światło, myśląc o stojących na parkingu dwóch samochodach. Może one również nie chciały zapalić, zastanowiła się, siadając w kącie przy telefonie i wybierając numer domu. Może w okolicy krąży jakiś wirus grypy dopadającej samochody.

- Chyba zaczyna mi odbijać - powiedziała do słuchawki telefonu, czekając, aż ktoś zareaguje na dzwonek. Rod mógłby ją stąd wyciągnąć. Nie zajęłoby mu to więcej niż kilka minut. Rano przysłałoby się mechanika, żeby obejrzał samochód.

Wreszcie ktoś podniósł słuchawkę.

- Halo? - odezwał się głos Lauren, brzmiący, jakby wyrwano ją z głębokiego snu.

- Przepraszam, Lauren, obudziłam cię?

- Kto mówi?

- Tu Bonnie - przedstawiła się Bonnie i pewnie by się roześmiała, gdyby czuła się lepiej. - Mogę rozmawiać z Rodem?

- Nie ma go.

- Co takiego?

- Musiał wyjść.

- Wyszedł? Kiedy?

- Jakaś godzinę temu.

- Dokąd poszedł?

- Nie powiedział. A dlaczego? Coś nie w porządku?

- Mój samochód nie chce zapalić. Kto jest z tobą?

- Amanda. Śpi.

- Rod zostawił cię samą z Amandą, mimo że źle się czujesz?

- Już nic mi nie jest - odparła dziewczynka. - Powiedziałam mu, że damy sobie radę. Mówił, że to nie potrwa długo.

- A gdzie Sam?

- Wyszedł.

Bonnie opuściła głowę. Ta rozmowa najwyraźniej prowadziła donikąd.

- No dobrze, w takim razie wezmę taksówkę. To nie powinno potrwać zbyt długo.

- Nie ma sprawy.

- Do zobaczenia.

Bonnie odłożyła słuchawkę. Starła się wygrzebać z pamięci numer przedsiębiorstwa taksówkowego, równocześnie lustrując pokój nauczycielski w poszukiwaniu książki telefonicznej. Jak Rod mógł wyjść i zostawić swoje córki same, zwłaszcza kiedy jedna z nich była chora? I dokąd w ogóle poszedł?

Wreszcie spostrzegła książkę telefoniczną. Leżała na podłodze obok dystrybutora wody pitnej, tuż za kilkoma dużymi niebieskimi butlami, dwoma pustymi i jedną pełną. Bonnie podeszła do książki i schyliła się, żeby ją podnieść.

Nieoczekiwanie pokój wokół niej zawirował. Przez jedną przerażającą chwilę nie wiedziała, gdzie sufit, a gdzie podłoga.

- Boże, dopomóż mi - szepnęła, zamykając oczy i desperacko próbując odzyskać utraconą równowagę, podczas gdy jej palce szukały czegoś, czego mogłyby się uchwycić.

- Tylko spokojnie. Bez paniki. To minie.

Bonnie policzyła do dziesięciu i wolno otworzyła oczy.

Pokój przestał tańczyć, choć jeszcze delikatnie się kołysał, jak kochankowie, którzy nie chcą opuścić parkietu. Bonnie ostrożnie wyciągnęła prawą rękę i Przewertowała cienką książkę telefoniczną, gniotąc i naddzierając jej brzegi. Zastanawiała się, czy wzrok wyostrzy jej się na tyle, by mogła odczytać drobny druk. Musiała się stąd wydostać. Musiała znaleźć się w domu, w swoim łóżku. Niech diabli wezmą Roda. Dokąd go poniosło?

Wstała, podparłszy się na książce telefonicznej. Powoli zbliżyła się do telefonu i jedną ręką chwyciła słuchawkę, drugą zaś przekartkowała żółte strony książki. Znalazła wykaz przedsiębiorstw taksówkowych i wzięła pierwszy z brzegu numer. Wybierając cyfry, słyszała świdrujące w uszach bzyczenie słuchawki podobne do brzęczenia natrętnego owada.

W pewnej chwili dotarły do jej świadomości także inne dźwięki - daleki odgłos zamykania drzwi, a potem kroki odbijające się echem w pustym korytarzu. Były powolne, kierowały się prosto w stronę pokoju nauczycielskiego. „Grozi ci niebezpieczeństwo!” - krzyknęła jej w ucho ukryta w słuchawce Joan. Bonnie upuściła telefon, który z trzaskiem upadł obok stóp. „Grozi ci niebezpieczeństwo!” - ponownie Załkała z podłogi Joan. „Grozi ci niebezpieczeństwo!”

- A ty jesteś idiotką - rzuciła gniewnie Bonnie, niepewna, czy adresuje te słowa do Joan czy do siebie. Kręciło jej się w głowie, a serce waliło w piersi niczym młot.

- Zachowujesz się jak wariatka, ot co.

Kroki zbliżyły się i niezdecydowanie zamarły tuż pod drzwiami pokoju. Bonnie wstrzymała oddech, niezdolna się poruszyć. To tylko dozorca przyszedł zamknąć pokój nauczycielski na klucz. Może zauważył stojący na parkingu samochód i teraz szuka kierowcy, żeby upewnić się, czy wszystko w porządku.

Czy awaria jej samochodu była przypadkowa?

A może ktoś przy nim majstrował?

- O Boże - powiedziała głośno. Za głośno, zdała sobie sprawę, widząc, że drzwi do pokoju otwierają się. - Nie! - krzyknęła na widok mężczyzny wchodzącego do pomieszczenia.

Mężczyzna podskoczył niemal pod sufit.

- Jezus Maria - wykrztusił, obracając się w miejscu i spoglądając przez ramię za siebie, jakby spodziewał się znaleźć kogoś za plecami. - O co chodzi? Co tu się dzieje?

- Josh Freeman? - spytała Bonnie, uspokoiwszy się na tyle, że trzeźwym spojrzeniem zdołała rozpoznać jego twarz.

- Bonnie Wheeler - stwierdził takim tonem, jakby powinien się tego spodziewać. - Co się stało? Dlaczego krzyczałaś?

- Przestraszyłeś mnie - przyznała się Bonnie po krótkiej pauzie. - Nie wiedziałam, kto to.

- Na litość boską, a kogo się spodziewałaś? Kuby Rozpruwacza?

- Może... - Bonnie opadła na fotel za sobą. Josh Freeman przyglądał jej się zaintrygowany.

- Dobrze się czujesz?

- Trochę kręci mi się w głowie.

Mężczyzna wziął papierowy kubeczek, napełnił go wodą z dysybutora i podał jej.

- Napij się trochę.

Bonnie wzięła kubek z jego dłoni i opróżniła go jednym długim łykiem.

- Dziękuję.

Ma miłą twarz, pomyślała, po raz kolejny zaskoczona niezwykle jasnością jego spojrzenia.

- Lepiej?

- Mam nadzieję. Przepraszam, że cię przestraszyłam.

- Nic się nie stało - zapewnił.

- Nie miałam pojęcia, że jeszcze tu jesteś.

- Przypuszczam, że jesteśmy ostatni.

- Mój wóz nie chciał zapalić. Właśnie miałam dzwonić po taksówkę.

Zawahał się.

- Mieszkasz daleko stąd?

- Nie. Kilka kilometrów od szkoły, na Winter Street. Kolejna chwila wahania.

- Mogę cię podrzucić.

- Naprawdę? - zdziwiła się szczerze Bonnie.

- Tak cię to dziwi?

- To dlatego, że ostatnio raczej mnie unikałeś - wyjaśniła.

- Możliwe - przyznał. - Czy policja aresztowała już kogoś?

Bonnie potrzęsnęła głową, starając się ukryć zaskoczenie tak nagłą zmianą tematu.

- Może porozmawiamy trochę w drodze do domu? - zaproponował Josh.

Bonnie skinęła głową, niepewnie podniosła się na nogi i wyszła za nim na korytarz. A więc w końcu porozmawiają, i to ni mniej, ni więcej, tylko z inicjatywy Josha Freemana. Sama nie mogłaby tego lepiej zaplanować. Nagle poczuła pod żebrem ukłucie bólu, jakby ktoś szturchnął ją palcem. Może to było zaplanowane, powiedział jej palec. Tyle że nie przez ciebie. Może Josh Freeman celowo uszkodził samochód? A potem czekał na ciebie w szkole?

Tylko po co miałyby to robić? Bonnie przyspieszyła, starając się dotrzymać kroku mężczyźnie. Po co miałyby psuć jej samochód? Chyba że miał coś wspólnego ze śmiercią Joan, chyba że to on był niebezpieczeństwem, przed którym próbowała ostrzec ją zmarła. Ale w jaki sposób miałyby jej zagrażać? Z jakiego powodu miałyby się go obawiać?

Gdyby coś jej się stało, zdała sobie sprawę, kiedy dochodzili do końca korytarza, nikt nie miałby pojęcia, gdzie się podziała. Nikt nie widział jej z Joshem Freemanem. Nikt nie widzi, że razem opuszczają szkołę. Gdyby coś jej się stało, nikt by się nie domyślał, kto jest sprawcą. Powinna natychmiast rzucić się do ucieczki, wzywając na pomoc policję. Albo przynajmniej wrócić do pokoju nauczycielskiego i wezwać taksówkę. Zdrowy rozsądek podpowiadał, że nie powinna wsiadać do samochodu z tym mężczyzną.

- Idziesz? - spytał, przytrzymując jej drzwi wyjściowe. Bonnie wzięła głęboki oddech i wyszła na parking.

## 20

- Jak to się stało, że zostałam nauczycielką? - spytał, skręcając w Wellesley Street.

Bonnie siedziała przyklejona do drzwi, z dłonią na klamce na wypadek, gdyby musiała nagle opuścić wóz.

- Zawsze o tym marzyłam - odpowiedziała, próbując rozproszyć swoje wątpliwości, ujęta czynionymi przez Josha niezdarnymi próbami nawiązania rozmowy. - Od czasu gdy byłam małą dziewczynką. Wszystkie swoje lalki sadzałam w rzędach, po czym bawiłam się w szkołę, uczyłam je czytać i pisać. - Co ona wygaduje? Czyżby sądziła, że jeśli przestanie paplać, on natychmiast rzuci się do ataku? - Oczywiście wtedy byłam lepszą nauczycielką niż teraz - dodała.

- Coś mi mówi, że i teraz jesteś bardzo dobrą nauczycielką.

Zmusiła się do uśmiechu.

- Lubię tak myśleć. Ale oczywiście nie da się dotrzeć do każdego.

- Brzmi to, jakbyś miała na myśli konkretną osobę.



Bonnie pomyślała o Haju i frustrującym spotkaniu z jego dziadkami. Nic dziwnego, że w chłopcu nagromadziło się tyle gniewu, pomyślała.

- Jak ci dzisiaj poszło? - zapytał Josh, jakby czytał w jej myślach. - Miałaś dużo pracy?

- Wystarczająco - odpowiedziała. - A ty?

- Pełna klasa - rzekł, a na jego twarzy niespodziewanie pojawił się ujmujący uśmiech. Bonnie uświadomiła sobie, że nigdy dotąd nie widziała go uśmiechniętego. Było mu z tym do twarzy. - Nie ma porównania ze szkołą, w której uczyłem do tej pory - wyjaśnił.

- W Nowym Jorku - stwierdziła. Czyżby właśnie ucinali sobie pogawędkę? Czy Josh Freeman naprawdę mówił jej coś o sobie?

Skinął głową, przez usta przemknął mu lekki półuśmiech.

- Co sprawiło, że przeniosłeś się do Bostonu? - zapytała.

- Potrzebowałem zmiany - rzekł. - Boston był równie dobrym miejscem jak każde inne.

- Podoba ci się tutaj?

- Bardzo.

- A twojej rodzinie? - Nagle przypomniała sobie, że jego żona zginęła w jakimś okropnym wypadku. W każdym razie krążyła taka pogłoska - poczuła sącące się w żyły przerażenie. Może to nie był żaden wypadek. Może Josh Freeman zamordował swoją żonę, tak jak zamordował Joan i jak teraz zamierzał zamordować ją? Może cała ta gadanina ma za zadanie osłabić jej czujność, zanim w końcu zostanie zabita?

- Jestem samotny - brzmiała cała jego odpowiedź.

- Musi ci być trudno zaczynać życie w nowym mieście, w którym nie masz żadnych znajomych - zauważyła, starając się mówić spokojnie, ale nie potrafiła do końca ukryć brzęcego w głosie napięcia. Trudno jest prowadzić dwie rozmowy naraz, nawet jeśli jedna z nich odbywa się tylko w twojej głowie.

- Nie spodziewałem się, że będzie mi łatwo.

- Znalazłeś jakichś przyjaciół?

- Paru.

- Czy zaliczałeś do nich Joan?

Zamierzała zadać to pytanie mimochodem, ale głos utknął na imieniu Joan, wybijając je z reszty zdania i zwielokrotniając jak pocisk obijający się o zamknięte okna samochodu.

- Tak, zaliczałem - odparł, nie odrywając oczu od drogi.

- Mieliście romans? - zapytała, odrzucając wszelkie zahamowania. Co, u diabła, rozumowała, jeśli zabił Joan i ma zamiar zabić mnie, niech przynajmniej przed śmiercią czegoś się dowiem.

- Nie - odparł po chwili. - Nie mieliśmy romansu.

- Powiedziałbyś, gdybyście mieli?

- Prawdopodobnie nie. - Przez jego usta znowu przemknął lekki półuśmieszek.

- Więc co was właściwie łączyło? - drażyla dalej, przypominając sobie, że raz już go o to pytała. Czy tym razem również usłyszy, że to nie jej sprawa?

- Byliśmy przyjaciółmi - odpowiedział jednak. - Można powiedzieć, że połączyło nas pokrewieństwo dusz.

- W jakim sensie pokrewieństwo?

Przez kilka długich sekund Josh Freeman zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Niech będzie, że połączyła nas wewnętrzna pustka, którą odczuwaliśmy oboje - powiedział wreszcie z pewnym zażenowaniem. - Oboje przeżyliśmy wielką tragedię. To pchnęło nas ku sobie, wyznaczyło wspólną płaszczyznę.

Kolejne zdanie Bonnie sformułowała bardzo ostrożnie.

- Zdaje się, że twoja żona zginęła w wypadku...

- W wypadku samochodowym, tak - powiedział szybko. - Żona i syn.

- Syn?

- Miał dwa latka.

- O Boże. Tak mi przykro.

Josh skinął głową. Dłonie zacisnął na kierownicy, aż pobieleły mu kłykcie.

- Była zima, drogi niebezpieczne. Jej wóz najechał na oblodzony fragment drogi i zarzuciło go na drugi pas, wprost pod nadjeżdżające samochody. To nie była niczyja wina. Istny cud, że obyło się bez większej liczby ofiar.

- To straszne.

- Tak, to straszne. - Nastąpiła długa chwila milczenia. - Tak więc sama widzisz, że potrafiłem przynajmniej w części zrozumieć rozpacz, którą Joan od lat nosiła w sercu.

Wiedziałem, co znaczy stracić dziecko. Wiedziałem, przez co musiała przejść.

- O czym rozmawialiście, kiedy byliście razem?

- A o czym mogą rozmawiać przyjaciele? - zadumał się. - Nie wiem. O wszystkim, co w danej chwili chodziło nam po głowie, jak sądzę. O handlu nieruchomościami, o szkole, o jej dzieciach, jej matce...

- O jej matce?

- Dziwi cię to?
- Co Joan powiedziała ci o matce?
- Niewiele. Że miała problemy z alkoholem, że znajduje się w klinice...
- Wiedziałaś, że matka Joan znajduje się w klinice?
- Czy to było tajemnicą?
- Odwiedzałeś ją kiedyś?
- Nie. Dlaczego miałbym to robić?

Bonnie zapatrzyła się na drogę przed sobą, świadomie próbując wyhamować tempo rozmowy. Wymiana zdań następowała zbyt szybko i gotowa była wymknąć się spod kontroli. Bonnie potrzebowała czasu, żeby spokojnie przetrwać wszystko, co usłyszała, żeby uporządkować myśli. Josh Freeman w zbyt dużym tempie dostarczał jej zbyt wielu informacji. Dlaczego, skoro nie tak dawno w ogóle nie chciał z nią rozmawiać?

- A co z Samem? - zapytała.
- Sam? Co z nim?

Czy nie pytała go o to już wcześniej?

- Zdaje się, że jest w twojej klasie. Josh Freeman przytaknął.
- Tak, jest.
- Dobrze się uczy?
- Bardzo dobrze. Jest spokojny, dużo pracuje i trzyma się na uboczu.
- Czy rozmawiał z tobą po tym, co się stało z Joan?
- Nie. Raz próbowałem się do niego zbliżyć, ale dał mi jasno do zrozumienia, że nie jest tym zainteresowany.

Wzrok Bonnie błąkał się po ciemnych poboczach, spodziewając się napotkać znajome nazwy bocznych uliczek - DeBenedetto Drive, Forest Lane. Zamiast tego zobaczyła Ash Street i Still Meadow Road.

- Gdzie ty jedziesz? - spytała, sztywniejac.
- Nie rozumiem?
- Pytam, gdzie jedziesz? Dokąd mnie wiesz?
- Do domu. A gdzie miałbym cię wieźć?
- To nie jest droga do mojego domu - oświadczyła, czując, jak z całą siłą odżywa w

niej przerażenie. Zastanowiła się, czy nie otworzyć drzwi i nie wyskoczyć z jadącego samochodu.

- Na South Street kazałaś mi skręcić na zachód.
- To nie jest na zachód - powiedziała. - To jest na wschód.

- W takim razie wybrałem złą drogę - zauważył lekkim tonem. - Zawsze miałem kiepskie wyczucie kierunków. - Zwolnił, ale zamiast zawrócić, zjechał na skraj drogi.

Bonnie zacieśniła chwyt na klamce, ogarniając ulicę oszalałym z przerażenia wzrokiem w poszukiwaniu jakichś ludzi albo samochodu. Nie było nikogo. Gdyby próbowała ucieczki, Josh Freeman z łatwością mógłby ją złapać. Ile czasu będzie potrzebował, żeby zatkać jej usta, tłumiąc ewentualny krzyk?

- Czy mogłabyś mi powiedzieć, czego tak się boisz? - zapytał.

Wzrok Bonnie kontynuował penetrowanie okolicy.

- Kto powiedział, że się boję?

- Zawsze reagujesz tak gwałtownie, kiedy ktoś pomyli drogę?

Bonnie odwróciła się, aby spojrzeć mu w twarz.

- To ty zabiłeś Joan? - zapytała, dochodząc do wniosku, że i tak nie ma już nic do stracenia.

- Co takiego?

- Słyszałaś.

- Mówisz poważnie?

- Oczywiście, że tak.

- Jasne, że jej nie zabiłem. A ty zabiłaś Joan?

- Co takiego?

- Słyszałaś.

- Mówisz poważnie?

- Jasne, że tak.

- Oczywiście, że jej nie zabiłam.

I nagle oboje wybuchnęli śmiechem. Zaczęło się od spontanicznego chichotu, a skończyło na głośnych okrzykach radości.

Po twarzy Bonnie ciekły łzy.

- To była najbardziej absurdalna rozmowa, w jakiej kiedykolwiek brałem udział - powiedział Josh.

- Chciałabym móc powiedzieć to samo - rzekła Bonnie, myśląc, że ostatnio głównie w takich rozmowach przychodzi jej uczestniczyć.

- Naprawdę myślałaś, że mogłem zabić Joan?

- Sama już nie wiem, co myśleć - przyznała. - Twoje nazwisko było w jej notesie, widziałam cię na pogrzebie, nie chciałaś ze mną rozmawiać, celowo mnie unikałaś.

Dlaczego? Dlaczego nie chciałaś ze mną rozmawiać?

- Bałem się - powiedział głucho. Teraz na niego przyszła kolej wpatrywania się w przednią szybę samochodu. - Przeprowadziłem się do nowego miasta, aby spróbować z powrotem złożyć do kupy swoje życie, a tu zaraz pierwsza prawdziwa przyjaciółka, jaką znalazłem, ginie z ręki mordercy. Na domiar złego byłem przesłuchiwany przez policję. To wystarczająca dawka wstrząsających przeżyć, nawet jak na rodowitego nowojorczyka.

- O co pytała cię policja?

- Prawdę mówiąc, większość pytań dotyczyła ciebie.

- Mnie?

- Jakie wywarłaś na mnie wrażenie, czy jesteś zrównoważona psychicznie, czy Joan kiedykolwiek wspominała, że się ciebie obawia.

- Czy Joan obawia się mnie? Mnie?!

- Wyraźnie dawali do zrozumienia, że jesteś główną podejrzaną.

Bonnie roześmiała się.

- Nic dziwnego, że nie chciałeś ze mną rozmawiać.

- Tak, to nieco zbijało z tropu.

- A co sprawiło, że zmieniłeś zdanie?

- Ty. - Jego półuśmiech stał się trwalszy i wyraźniejszy. - Im więcej o tym myślałem, tym śmieszniejszy wydawał mi się pomysł, iż mogłabyś kogoś zastrzelić. A potem, kiedy ujrzałem cię w pokoju nauczycielskim taką przerażoną i bezbronną, pomyślałem, że zachowywałem się jak idiota i że Joan gniewałaby się na mnie.

- Joan? Dlaczego?

- Lubiła cię. Powiedziała kiedyś, że w innych okolicznościach mogłybyście zostać prawdziwymi przyjaciółkami.

- Wątpię - stwierdziła Bonnie niezadowolona z takiego pomysłu.

- Nie różniłyście się tak bardzo, jak sądzisz.

- W niczym nie przypominam Joan - upierała się Bonnie. Cały dobry nastrój gdzieś się ulotnił, czuła powracające mdłości.

- Fizycznie nie, ale pod wieloma innymi względami...

- Nigdy nie miałam problemów z alkoholem.

- Nie miałem na myśli alkoholizmu Joan - kontynuował, podczas gdy Bonnie niespokojnie wierciła się na swoim miejscu. - Miałem na myśli raczej jej uczciwość, wytrwałość, poczucie humoru.

- Czy Joan kiedykolwiek mówiła coś na temat mojej córki? - spytała, zmieniając temat.

- Tylko tyle, że jest śliczną dziewczynką.
- Nic więcej?
- Nic, co bym zapamiętał.
- A o moim bracie?
- Twoim bracie?
- Nicku Lonerganie. Wyglądał na zaintrygowanego.
- To nazwisko nic mi nie mówi. - Pochylił się ku niej, jego oczy przykuły jej spojrzenie jak magnes. - O co ci chodzi, Bonnie? Czego się boisz?

Wzięła głęboki oddech i wypuściła powietrze powoli, obserwując tworzącą się na przedniej szybie cienką warstewkę pary.

- Boję się, że ten kto zabił Joan, dybie również na mnie i moje dziecko. Boję się, ponieważ nikt nie wierzy, że jesteśmy w niebezpieczeństwie, boję się, że będzie za późno.

Rozplakała się.

Nie wiedząc kiedy znalazła się w jego objęciach, tuląc twarz do jego piersi i głośno szlochając.

- Już dobrze - szeptał, uspokajając ją jak dziecko.

- Wyrzuć to z siebie. Już dobrze. Już dobrze.

- Tak bardzo się boję, że ktoś skrzywdzi moją córeczkę - łkała - a ja nie mogę nic zrobić, żeby go powstrzymać. Do tego jestem taka zmęczona i tak źle się czuję, a przecież, do cholery, ja nigdy nie choruję. Ja nigdy nie choruję.

- Nikt nie skrzywdzi twojej dziewczynki - powiedział Josh Freeman, głaszcząc ją po włosach.

Uniosła głowę, spoglądając mu w twarz.

- Obiecujesz? - spytała, czując się idiotycznie, ale bardzo potrzebowała tych słów.

- Obiecuję - rzekł.

\*

Do czasu gdy skręcili na podjazd, łzy Bonnie zdążyły obeschnąć.

- Przepraszam - szepnęła. - Nie miałam prawa cię tym obarczać.

- Nie przepraszaj - odparł. - Już wszystko dobrze?

Bonnie skinęła. Samochód Roda stał już na podjeździe, ale czerwonego mercedesa Sama w dalszym ciągu nie było widać.

- Najlepiej zrobię sobie herbaty i pójdę do łóżka.

- Dobry pomysł. Bonnie otworzyła drzwi.

- Dzięki za wszystko - powiedziała szczerze, gramoląc się z wozu. Drzwi wejściowe otworzyły się i stanął w nich Rod.

- Do usług - rzucił w ślad za nią Josh. Zatrzasnęła drzwi, samochód wycofał się na ulicę i odjechał. Rod momentalnie znalazł się przy niej.

- Kto to był? - spytał, biorąc ją w ramiona i całując w policzek. - Gdzie twój samochód?

- Na parkingu szkolnym - poinformowała go. - Nie chciał zapalić. Josh podrzucił mnie do domu.

- Josh?

- Josh Freeman, nauczyciel Sama.

- To miło z jego strony.

- Bo to miły facet.

- Czy nie widziałem go na pogrzebie Joan?

- Byli przyjaciółmi - powiedziała Bonnie, zamierzając dodać coś więcej, ale Rod jej przerwał.

- Bonnie, chyba nie wtykasz nosa w coś, w co nie powinnaś?

- Co masz na myśli?

- Wiesz, co mam na myśli. Niech sprawę morderstwa Joan wyjaśnia policja. Ty jesteś amatorką. Ktoś może cię skrzywdzić - przekonywał, prowadząc ją do domu.

- Josh nie zrobiłby mi krzywdy - powiedziała Bonnie bardziej do siebie niż do Roda, dziwiąc się tak nagłej zmianie swojego nastawienia. Mniej niż pół godziny temu była szczerze przekonana, że Josh Freeman chce ją zamordować. Teraz czuła absolutną pewność, że nigdy by jej nie skrzywdził.

- Gdzie byłeś wieczorem? - zapytała, kiedy weszli do kuchni. - Dzwoniłam, żebyś po mnie przyjechał, ale Lauren powiedziała, że cię nie ma.

- W studiu czekało trochę pracy, która miała być gotowa na jutro i musiałem wrócić. Byłem cholernie wkurzony. To ostatnia rzecz, na którą miałem ochotę.

- Ciężki dzień?

- A bywają inne? - Rod odgarnął z czoła Bonnie kilka zabłąkanych kosmyków. - A co z tobą? Jak się czujesz?

- Niezbyt dobrze.

- Masz ochotę na filiżankę herbaty?

- Czytasz w moich myślach.

- Po to tutaj jestem. - Napełnił czajnik wodą i postawił go na kuchence. - Może pójdziesz na górę i położysz się do łóżka? Przyniosę ci, gdy będzie gotowa.

Bonnie uśmiechnęła się z wdzięcznością i wolno powlokła w stronę schodów, czując, jak zmęczenie przytwierdza ciężary do jej nóg. Znalazszy się na górze, odruchowo skierowała się do pokoju Amandy.

- Mój mały anioleczek - szepnęła, zatrzymując się u stóp łóżeczka dziecka i patrząc na jego uśpioną twarzyczkę, po raz kolejny uderzona ogromnym podobieństwem Amandy do przyrodniej siostry. Zastanowiła się, czy Lauren kiedykolwiek poszła spać, ściskając kurczowo w objęciach wielkiego ptaka, czy odmówiła oddania do prania swojego kocyka, gdyż pranie zabije jego „miły zapach”, czy spadła z rowerka i rozcięła sobie policzek? Pochyliła się i złożyła delikatny pocałunek na cienkiej bliźnie, uważając, by nie obudzić Amandy.

- Kocham cię - szepnęła.

Ja kocham cię bardziej, usłyszała milczące zapewnienie córki, kiedy szła korytarzem. Drzwi do pokoju Lauren były zamknięte, ale przez szparę sączyło się światło. Bonnie zapukała lekko.

- Kto tam? - spytała z drugiej strony Lauren.

- To ja, Bonnie - odpowiedziała, wahając się, czy wejść bez zaproszenia. - Mogę wejść?

- Możesz - padła odpowiedź i Bonnie weszła. Lauren siedziała oparta o poduszki, a wokół niej porozkładane były podręczniki.

- Jak się czujesz? - spytała Bonnie.

- Chyba dobrze. Mam nadzieję, że dobrze. Jestem już chora od bycia chorą.

- Wiem, co masz na myśli. Jak tam sobotnia wizyta? Dotąd nie miałam okazji, żeby zapytać.

- Było wspaniale - rzekła Lauren, ożywiając się. - Szkoda, że nie widziałaś Marli. Miała suknię z dekoltem po pas. Wyglądała naprawdę imponująco. Kazała powiedzieć, że jest jej przykro, iż nie mogłaś przyjść.

- Nie sądzę.

- Myślę, że ona ma chrapkę na tatę - powiedziała Lauren.

- Naprawdę?

- Cały wieczór wieszała się na nim. Kiedy tylko coś powiedział, zaraz chichotała, nawet jeśli to wcale nie było zabawne. Zachowywała się wręcz żałośnie.



Bonnie zaśmiała się, chociaż obraz chichoczącej Marli Brenzelle, ubranej w suknię wyciętą po pas i wieszającej się na Rodzie, nie należał do najprzyjemniejszych.

- Ale ty dobrze się bawiłaś?
- Fantastycznie.
- Cieszę się. - Odwróciła się, żeby wyjść.
- Bonnie...
- Tak?
- Czy mogłabym z tobą chwilę porozmawiać? Bonnie zatrzymała się obok łóżka

Lauren.

- Pewnie.
- Chciałabym o coś zapytać.
- Strzelaj.
- Ale to pytanie bardzo osobiste.
- W porządku - zgodziła się Bonnie. Tylko czy naprawdę chciała to usłyszeć?
- Chodzi o ciebie i mojego tatę.
- Tak?

Nastąpiła długa pauza.

- Widziałam was w zeszłym tygodniu.
- Widziałas nas...?
- W łóżku.

O Boże, jęknęła w duchu Bonnie.

- Nie miałam zamiaru. To było wtedy...
- Wiem, kiedy to było - powiedziała szybko, odsuwając kilka książek i siadając na

skraju łóżka Lauren.

- O co dokładnie chciałabyś mnie spytać?
- Twoje ręce były związane - powiedziała dziewczynka po kolejnej dłuższej pauzie,

jej słowa ciężko zawisły w powietrzu między mmi. Lauren potrząsnęła głową, wyraźnie niezdolna uporządkować krążące w głowie myśli.

- To wprawiło cię w zakłopotanie - stwierdziła Bonnie.

Lauren przytaknęła.

Mnie również, pomyślała Bonnie.

- Kochaliśmy się - powiedziała na głos. - Pomyśleliśmy, że zabawnie byłoby spróbować czegoś nowego. - Cóż innego mogła powiedzieć?

- I było?

- Było interesująco - odpowiedziała Bonnie szczerze, próbując wyobrazić sobie taką rozmowę z własną matką. Jednak nie potrafiła. Jej matka nie wymawiała nawet słowa „seks”. Więcej pikantnych szczegółów dowiedziała się od swojego młodszego brata niż od matki.

- Dziękuję ci - cicho powiedziała Lauren.

- Za co?

- Za szczerość. Z moją mamą nigdy nie mogłabym rozmawiać o tych rzeczach - wyznała tonem, którym zdradza się swój najtajniejszy sekret.

- Nie?

- Nie zrozum mnie źle - zastrzegła się natychmiast Lauren, momentalnie przechodząc do obrony. - Mama była wspaniała. Cudowna. Po prostu było parę tematów, na które nie lubiła rozmawiać.

- Mam nadzieję, że wiesz, iż ze mną możesz rozmawiać, o czym zechcesz - powiedziała Bonnie. - Może nie zawsze znam odpowiedzi, ale chętnie posłucham twoich pytań.

Lauren spuściła wzrok na łóżko, ogarniając spojrzeniem leżące dokoła książki.

- W piątek mam test z geografii - rzekła.

- W tym ci niestety nie pomogę - zaśmiała się Bonnie.

- Jestem absolutną nogą z geografii. Zwykle oblewałam każdy test.

Lauren roześmiała się.

- Więc jest dla mnie jakaś nadzieja.

- Zdecydowanie możesz mieć nadzieję - zapewniła Bonnie, klepiąc ją po ręce. I my wszyscy, dodała w duchu, słysząc na schodach kroki Roda. Wszystko z wolna zaczynało się układać.

- Nie idziesz do łóżka? - zapytała, kiedy Rod wziął od niej pustą filiżankę po herbacie.

- Mam jeszcze parę rzeczy do zrobienia - powiedział.

- Przyjdę tak szybko, jak się da. Pocałował ją w czoło i wyszedł z pokoju.

Bonnie siedziała w łóżku, gapiąc się nieobecny wzrokiem na wiszącą na ścianie litografię Salvadora Dalego i jego naszkicowaną błękitem, pozbawioną twarzy łysą kobietę.

- W porównaniu ze mną prezentuje się całkiem nieźle - stwierdziła, po czym zwlokła się z łóżka i poszła do łazienki, gdzie umyła twarz, wyszorowała zęby, wyplukała usta wodą, a następnie wypluła ją do umywalki.

Umywalka była pełna krwi. Bonnie szarpnęła się do tyłu.

- Jezus, Maria.

Nabrała kolejną porcję wody, przepłukała nią usta i wypłuła do zlewu. Jeszcze więcej krwi. Gdy tylko poczuje się lepiej, musi kupić sobie nową szczoteczkę. Ta ma zdecydowanie zbyt twarde włoski. A kiedy będzie kupowała szczoteczkę, mogłaby wstąpić też do fryzjera i zrobić coś z włosami. Koniecznie. Jej włosy nigdy nie były tak wysuszone i pozbawione życia. Wyglądam jak strach na wróble, pomyślała, spoglądając w lustro.

Kobieta z lustra odpowiedziała jej spojrzeniem. Z kącika ust sączyła się jej cienka strużka krwi.

## 21

Następnego ranka Bonnie zadzwoniła po mechanika, żeby obejrzał jej samochód. Młody mężczyzna, którego biała naszywka na szarej bluzie przedstawiała jako Gerry'ego, spędził kilka minut na zaglądaniu pod maskę samochodu, przykręceniu paru śrub oraz sprawdzaniu różnych kabli i zaworów.

- Wszystko wydaje się w porządku - rzekł. Ciemnobrązowe włosy związane miał w długie, sięgające pasa koński ogon. - Mówi pani, że nie chciał zapalić?

Bonnie skinęła głową, wkładając kluczyki w jego wyciągniętą dłoń. Patrzyła, jak wsiada do wozu, wkłada kluczyk w stacyjkę i lekko przekręca go w prawo. Samochód natychmiast zapalił.

Bonnie w zdumieniu pokręciła głową. Przypomniała sobie, by nie robić tego zbyt gwałtownie ani zbyt długo. Nadal męczyły ją mdłości, większość nocy spędziła rzucając się i wiercąc, niezdolna wygodnie ułożyć się na łóżku. Nawet obrócenie się na drugi bok sprawiało jej ból. W rezultacie prawie całą noc przeleżała na plecach, czekając, aż nadejdzie ranek. Do pracy podrzucił ją Sam. Kiedy zapytała go, gdzie podziewał się zeszłego wieczora, odpowiedział tylko: „Wyszedłem”.

- Nie rozumiem tego - stwierdziła automatycznie. - Wczoraj z dziesięć razy próbowałam go uruchomić. Nie chciał zapalić.

- Może zalała pani silnik.

- Ale on nawet nie drgnął. Był zupełnie martwy.

- No cóż, teraz jest żywy i na chodzie - rzekł Gerry. Wyłączył silnik i na dowód bezzwłocznie uruchomił go ponownie. - Oczywiście, jeżeli pani chce, może pani dać go do warsztatu na kontrolę. Ale wydaje się całkiem w porządku.

Ponownie zgasił silnik i wysiadł z samochodu.

- Jak pani płaci? - zapytał.

Po odejściu mechanika Bonnie przyglądała się swemu białemu caprice, próbując dokładnie odtworzyć w pamięci przebieg wydarzeń ostatniego wieczora. Pożegnała się z Maureen Templeton, wsiadła do samochodu, a potem kilkakrotnie próbowała go uruchomić, jednakże bez powodzenia. Pamiętała, że wściekle naciskała na gaz. Czy to możliwe, by załała silnik?

- Kłopoty z samochodem? - dobiegł ją z tyłu znajomy głos.

Bonnie nie musiała się odwracać, aby odgadnąć, z kim ma do czynienia. Nawet gdyby się nie odezwał, zdradziłby go zapach. Czy ten chłopak nigdy nie zmieniał ani nie prał ubrania czy też od rana kopcił trawkę? Kawa i skręt - małe co nieco na rozpoczęcie dnia.

- Zdaje się, że już wszystko w porządku - powiedziała Bonnie, odwracając się na pięcie i mrużąc oczy przed słońcem. Przystojna twarz chłopca była niemal niewidoczna spod szopy rozczochranych włosów, lecz nawet one nie mogły ukryć znajdującego się z boku brody dużego purpurowego sińca.

- Co ci się stało w twarz? - spytała, odruchowo wyciągając dłoń.

Haj wzdrygnął się i uchylił.

- Wszedłem na ścianę - powiedział, kwitując wyjaśnienie nieszczerym śmiechem.

- Wygląda raczej, jakbyś wszedł na czyjąś pięść. Chłopak dotknął twarzy dłonią.

- Tak, staruszek wciąż jeszcze ma niezły cios. Bonnie ze zdumienia otworzyły się usta.

- Twój dziadek cię uderzył?

- Niech mi pani zrobi tę przysługę, pani Wheeler - rzekł Haj - i nigdy więcej nie zawraca głowy moim dziadkom. Nie przepadają za telefonami ze szkoły.

- Nie mogę uwierzyć...

- Świat jest okrutny, pani Wheeler - stwierdził, kołysząc się na obcasach czarnych butów. - Nigdy nie wiadomo, kiedy ktoś czeka, żeby wbić ci twarz w... Albo odłączyć akumulator w twoim wozie, żeby nie mógł zapalić...

- Co?

- ...albo wylać krew na głowę ślicznego małego dzieciątka...

- O Boże! - Bonnie poczuła, że nogi odmawiają jej posłuszeństwa. - Chcesz powiedzieć...

- ...a nawet strzelić ci prosto w serce - zakończył niedbale. - Rozumie pani, policja złożyła nam wizytę w związku z tymi wydarzeniami. - Potarł szczękę. - Za takimi wizytami mój dziadek również zbytnio nie przepada. - Roześmiał się. - Zadawali mnóstwo pytań. Pytali, czy wiem coś o tym, co przydarzyło się mamie Sama i pani dziewczynce. Jak jej na

imię? Amanda? Tak, to naprawdę miły dzieciak. Szkoda by było, gdyby coś jej się stało. Na pani miejscu dobrze bym jej pilnował. No, muszę lecieć. Nie chciałbym spóźnić się na pierwszą lekcję.

Bonnie patrzyła w ślad za nim, zbyt oszołomiona, żeby się odezwać. Pragnęła dopaść go, przewrócić, przygwoździć do ziemi, a jeśli trzeba będzie, to i obić twarz pięściami, byle tylko wydusić z niego wszystko, co wie. Tyle że jego dziadek zrobił to już wcześniej.

Nic dziwnego, że chłopak jest, jaki jest. Nic dziwnego, że potrzebuje narkotyków, aby przetrwać kolejny dzień. Ale jak tu czuć do niego współczucie po wszystkim, co jej powiedział? Mój Boże, niecały tydzień temu ten chłopak był w jej domu, siedział przy stole z jej rodziną i jadł jej jedzenie. Czy to możliwe, że ten sam człowiek mówi teraz, iż grzebał przy jej samochodzie, wylał wiadro krwi na głowę córki i z zimną krwią zamordował kobietę?

Bonnie patrzyła na szkołę, na wlewający się do niej strumień młodzieży śpieszącej, aby zdążyć przed dzwonkiem. Haj będzie czekał na mnie w środku, uświadomiła sobie i zachwiała się, opierając o drzwi samochodu, będzie leżał w ostatniej ławce z beczelnie wyciągniętymi w przejściu nogami i ustami pełnymi ironicznych odpowiedzi. W chwilę potem siedziała w swoim wozie i wyjeżdżała z parkingu, kierując się do Newton.

- Co on panu powiedział o mojej córce? - zażądała odpowiedzi, zaledwie dając kapitanowi Mahoneyowi czas na podniesienie się z krzesła.

- Proszę spocząć na minutkę - poradził jej policjant, wtykając pośpiesznie do brązowych spodni białą koszulę i poprawiając krawat w brązowo-złote prążki. - Widzę, że jest pani bardzo zdenerwowana...

- Proszę mi powiedzieć, co Harold Gleason mówił o mojej córce - powtórzyła Bonnie, kilkoma głębokimi oddechami próbując uspokoić wzburzone nerwy.

- Powiedział, że nie wie, o czym mówimy - odparł kapitan Mahoney.

- Miał jakieś alibi na czas, kiedy zaatakowano moją córkę?

- Twierdzi, że był w drodze ze szkoły do domu.

- Potrafi to udowodnić?

- My nie potrafimy udowodnić, że nie był - rzekł Mahoney.

- I to wszystko? On mówi, że tego nie zrobił, a wy się zgadzacie?

- Pani Wheeler, nie ma żadnych dowodów na to, że Harold Gleason zrobił coś złego.

Pani córka nie potrafiła nam podać żadnego opisu...

- Moja córka ma trzy latka.

- ...a my nie możemy aresztować kogoś tylko dlatego, że zachowuje się prowokacyjnie - zakończył policjant. - Powinna to pani wiedzieć.

Bonnie zignorowała jego słowa. Czyżby nadal uważali ją za główną podejrzaną w sprawie morderstwa Joan?

- A co z morderstwem Joan? - zapytała. - Ma jakieś alibi na czas, kiedy ją zamordowano? Może też był w drodze ze szkoły do domu?

- To był dzień doskonalenia zawodowego - przypomniał zgryźliwie Mahoney. - Podobno spędził go z pani pasierbem.

Powietrze boleśnie brzęczało w uszach Bonnie, naśladując wysoki trel wiertła dentystycznego.

- Pani pasierb również twierdzi, że tego dnia byli razem. Podobno szwendali się bez celu, więc nie potrafią powiedzieć, czy ktoś ich widział czy nie. Myśli pani, że kłamią?

- Tak, myślę, że Haj może kłamać.

- A pani pasierb?

- Jestem pewna, że mój pasierb nie ma nic wspólnego ze śmiercią swojej matki - rzekła Bonnie. Wyciągnęła rękę, aby wesprzeć się na oparciu stojącego w pobliżu krzesła.

- Doprawdy?

Milczenie. Brzęczenie w uszach przybrało jeszcze na sile, wiertło znalazło się bliżej, drążąc coraz głębiej.

- Mogłabym prosić o szklankę wody? - spytała.

Kapitan Mahoney opuścił pokój i wrócił chwilę potem z papierowym kubkiem pełnym zimnej wody.

- Dobrze się pani czuje? - spytał, podczas gdy Bonnie powoli, małymi łyżkami opróżniała kubek. - Źle pani wygląda.

- To przez te włosy - odparła zniecierpliwiona.

- Może gdyby przestał pan koncentrować się na mojej rodzinie i zaczął rozglądać się gdzie indziej, miałby pan więcej szczęścia w prowadzeniu tej sprawy - powiedziała.

- Muszę już iść. Przepraszam, jeśli stracił pan czas przeze mnie.

- Zawsze chętnie z panią rozmawiam - zawołał za nią.

- Będziemy w kontakcie.

- Czym możemy dzisiaj pani służyć? - spytała młoda kobieta, biorąc do ręki nożyczki.

Bonnie siedziała w fotelu fryzjerskim jednego ze śródmiejskich salonów piękności i patrzyła na swoje odbicie w długim lustrze ciągnącym się od podłogi po sufit. Za nią stała wysoka młoda kobieta w wielkim zielonym kapeluszu, który całkowicie ukrywał fakt, iż jego właścicielka w ogóle posiada włosy. Niezbyt dobra wróżba jak na zakład fryzjerski, pomyślała Bonnie, zaraz jednak przypomniała sobie, że Diana określała Rosie jako najlepszą

fryzjerkę w Bostonie. Rzeczywiście, Diana zawsze ma świetną fryzurę, pomyślała Bonnie i zdecydowała, że i tak nie może już wyglądać gorzej.

- Potrzebuję czegoś nowego - oświadczyła, unosząc końce włosów.

- Są bardzo suche - zauważyła Rosie, gniotąc w dłoni garść kosmyków zwisających z głowy Bonnie. Wydawało się, iż zaraz się pokruszą. - Będziemy musiały je trochę podleczyć. Czy bardzo się pani śpieszy?

- Mam cały dzień - rzekła Bonnie. Wciąż zastanawiała się, co ją do diabła napadło, żeby tu przychodzić. Zadzwoiła do szkoły i poinformowała, że nie zjawi się w pracy, ponieważ kiepsko się czuje, a nie chciałyby zarazić uczniów. Oto teraz, zamiast leżeć w łóżku, siedzi przed lustrem w salonie fryzjerskim Rosie, oddając się pielęgnacji i strzyżeniu włosów. Co będzie, jeśli ktoś ją zobaczy?

- Myślę, że dobrze by im zrobiło kilka zabiegów pielęgnacyjnych oraz strzyżenie - powiedziała fryzjerka.

- Co pani na to?

- Oddaję się w pani ręce - odpowiedziała Bonnie.

- Niech pani robi to, co uważa za najlepsze.

- Uwielbiam, kiedy ktoś tak mówi - ucieszyła się Rosie.

- Zastanawiam się, czy mogłabym się zobaczyć z doktorem Greenspoonem? - powiedziała Bonnie, adresując swoje słowa do ściany nad dobrze uczesаныmi głowami Eriki McBain i Hyacinthy Johnson. - Wiem, że nie byłam umówiona, ale to naprawdę bardzo ważne.

- Przykro mi - powiedziała Hyacintha Johnson, nadając głosowi taką modulację, by zabrzmiało to możliwie szczerze. - Doktora dzisiaj nie ma.

- Cholera - mruknęła Bonnie głośniejsz, niż zamierzała. - Ja naprawdę muszę się z nim zobaczyć. - Popatrzcie na mnie, chciałyby krzyknąć. Popatrzcie, co zrobiłam z włosami. Nie widzicie, że jestem chorą kobietą, że muszę zobaczyć się z doktorem najszybciej, jak to możliwe?

- Jeśli to pani odpowiada, mamy wolny termin w przyszłą środę o godzinie dziesiątej.

- Nie, to za późno.

- Obawiam się, że nie mamy nic wcześniejszego.

- Trudno - powiedziała Bonnie. - Właściwie wcale nie potrzebuję tej wizyty. To był tylko nagły impuls.

Impuls? Siedziała pod gabinetem doktora niemal dwie godziny, zastanawiając się: wejść czy nie wejść? Czy można nazwać to impulsem? I jak może twierdzić, że nie

potrzebuje wizyty? Przecież, na litość boską, zachowuje się jak szalona! Normalna wariatka. Weźmy na przykład jej dzisiejsze poczynania. Najpierw nieoczekiwana ucieczka ze szkolnego parkingu, potem awanturnicza wizyta w komisariacie w Newton, chyba tylko po to, żeby jeszcze bardziej zniechęcić do siebie kapitana Mahoneya, a potem wycieczka do Bostonu i oddanie się w łapy Rosie Kosiarki. Jak mogła zawierzyć swoje włosy tej chorej babie w kapeluszu? Wygląda gorzej niż przedtem. Kiedy jej włosy były dłuższe, mogła przynajmniej zawiązać je z tyłu albo zgarnąć na twarz. A co można zrobić z włosami, których długość nie przekracza dwóch centymetrów? Czy nikt nie powiedział tej Rosie, że moda na zapałkę dawno minęła? Czy ona nie wie, że trzydziestopięcioletnia kobieta jest za stara na „chłopczycę”? Co powie Rod, kiedy ją zobaczy?

Pewnie stwierdzi, że jestem szalona, zdecydowała. I będzie miał rację. Jest szalona. Oto dlaczego prosto z zakładu fryzjerskiego przyjechała tutaj, a potem dwie godziny siedziała w samochodzie, próbując zebrać się na odwagę i wejść do środka. Stosując terminologię Roda, była kompletnie szurnięta. Czyż nie tak określił Joan w rozmowie z policjantami? Teraz może to powiedzieć o nich obu. Obydwie jego żony były kompletnie szurnięte. Kolejna wspólna cecha do wpisania na listę.

Jestem stuknięta i sama wywołuję u siebie chorobę, powiedziała Bonnie. To proste. Nie potrafiła dać sobie rady ze zmianami, jakie ostatnio zafundowało jej życie, i organizm poprzez chorobę usiłował dać jej do zrozumienia, że potrzebuje pomocy. Klasyczne objawy psychosomatyczne. Lekarstwo było tylko jedno, kosztowało dwieście dolarów za godzinę.

- Dobrze, niech będzie przyszła środa - powiedziała.

Hyacintha Johnson spokojnie zapisała tę informację na niewielkim kartoniku, jakby była przyzwyczajona do pacjentów, którzy nagle zmieniają decyzję, i podała kartonik Bonnie.

- Przyszła środa, godzina dziesiąta rano - powtórzyła.

- Do zobaczenia.

- Nie widzę pani nazwiska na liście gości, pani Wheeler - oświadczył strażnik, przebiegając trzymany w dłoni dokument zmęczonym spojrzeniem brązowych oczu.

- Mój mąż nie wiedział, że przyjdę - rzekła Bonnie.

- Pomyślałam, że zrobię mu niespodziankę. - Niespodzianka to delikatne określenie, pomyślała, unosząc dłoń i próbując napuszyć jakoś tę resztkę włosów, która jej jeszcze została.

- Obawiam się, że będę musiał przedzwonić.

- Proszę bardzo.



- Przykro mi, że muszę zachowywać się tak wobec pani - tłumaczył się starszy mężczyzna. - Ale wymaga się ode mnie bardzo rygorystycznego przestrzegania regulaminu.

- Tak, rozumiem.

- Gdybym pozwolił pani wejść, mógłbym nawet stracić pracę.

- Powiem mężowi, jak dobrze pan tutaj pracuje.

Strażnik uśmiechnął się i sięgnął po telefon, przysiadając na kontuarze wewnątrz przejścia do studia WHDH.

- Prawie pani nie poznałem - powiedział. - Zdaje się, że zrobiła pani coś z włosami.

- Podoba się panu? - spytała Bonnie z nadzieją, niepewna, jak długo jeszcze zdoła utrzymać pozycję pionową.

- Wygląda pani inaczej.

- Pomyślałam, że krótkie włosy mogą być miłą odmianą.

- Tak, są krótkie.

O Boże, pomyślała. Musi wyglądać naprawdę okropnie, jeśli nawet ten uprzejmy strażnik nie potrafi wymyślić niczego miłego. Nie bądź głupia, zganiła się niemal natychmiast. Trudno uznać go za znawcę najnowocześniejszych trendów w modzie. Nawet jeśli jemu się nie podoba, inni mogą uznać jej nową fryzurę za interesującą. Poza tym to tylko włosy. Odrosną.

Ale zajmie im to co najmniej dwa lata, zdała sobie sprawę, opierając się o kontuar i patrząc, jak strażnik odwiesza słuchawkę.

- Zaraz kogoś po panią przyślą - poinformował.

- Dziękuję. - Bonnie rozejrzała się wokół siebie po wyłożonym czarnym marmurem hallu dużego śródmiejskiego wieżowca, stojącego zaledwie kilka przecznic od eleganckiej ulicy Newbury Street. Może później wybierze się na zakupy, żeby sprawić sobie nowy strój, pasujący do fryzury. Może nawet zaprosi do towarzystwa Dianę. Jej biuro znajduje się w pobliżu. Mogłyby pójść na zakupy, posiedzieć przy kawie, poplotkować, robić to wszystko, co zwykle robią przyjaciółki. „Cud, miód, ultramaryna, taka jest każda dziewczyna.”

Co ona tutaj robi? Po jaką cholerę uparła się, że przeszkodzi Rodowi w samym środku dnia, kiedy on rozpaczliwie usiłuje zdążyć z przygotowaniami do wyjazdu na Florydę? Gdyby była mądra, odwróciłaby się teraz na pięcie i wyszła, mówiąc strażnikowi, że zrobiła błąd. Przeprasza za zamieszanie, pozdrowienia dla żony i dzieciaków...

- Bonnie, Bonnie, to ty? - głos Marli ciął czarny marmur niczym piła szkło, wszędzie siejąc odłamki. Jej smukłe ciało odziane było w jasnoczerwoną sukienkę, bujne włosy opadały na ramiona kaskadą pszenicznych loków.

Ręka Bonnie natychmiast znalazła się przy włosach, pełnym zażenowania gestem odgarniając za ucho kilka dłuższych kosmyków.

- Nie musiałaś po mnie wychodzić... - zaczęła.
- Usłyszałam, że tutaj jesteś, a że mieliśmy właśnie przerwę w zdjęciach...
- O Boże, dzisiaj kręcicie program. Zapomniałam.
- Nic się nie stało. - Marla wzięła Bonnie pod rękę, prowadząc ją w korytarz po prawej. - Zawsze miło jest cię zobaczyć. Zrobiłaś coś nowego z włosami?
- Czułam potrzebę zmiany - powiedziała Bonnie.
- Rzeczywiście, wyglądasz inaczej - stwierdziła Marla, otwierając drzwi z napisem „STUDIO”. Dalej szły wąskim, słabo oświetlonym korytarzykiem.
- Naprawdę przykro mi, że zawracam ci głowę...
- Nonsens. Nie zawracasz mi głowy. Zdaje się, że nie byłaś tu jeszcze, odkąd zmieniliśmy dekoracje.
- Nie, chyba nie.

Minęło je kilka atrakcyjnych młodych kobiet w kusych spódniczkach. Wszystkie złożyły Marli lekkie ukłony.

- Nowa dekoracja to prawdziwa rewolucja - mówiła Marla. - Oczywiście to pomysł Roda. Pozbył się wszystkich tych zieleni oraz szarości i zastąpił je odcieniami brzoskwiniowego z różowym, które są dużo przyjemniejsze dla oka, a przy tym oczywiście dużo bardziej kobiece, nieprawdaż?

Bonnie nie odpowiedziała, rozumiejąc, że pytanie było czysto retoryczne.

- Wprost nie sposób wyrazić, jaką przyjemnością jest praca z twoim mężem. Miewałam już wielu reżyserów i powiem ci, są reżyserzy i reżyserzy. Każdy potrafi wycelować kamerę w odpowiedni punkt i porozsadzać ludzi, ale tylko dobry reżyser będzie wiedział, co zrobić, żeby ich rozruszać i żeby wszystko grało. A twój mąż jest najlepszy. Po prostu najlepszy - powiedziała niemal tęsknie, prowadząc Bonnie przez drzwi oznaczone napisem „CHARAKTERYZATORNIA”, a potem następne, opisane „POKÓJ ZIELONY”, chociaż ściany pomieszczenia były różowe.

- Tutaj czekają nasi goście - zdradziła zniżonym głosem Marla. - Nie do wiary, jacy robią się przez ten czas nerwowi. Nie jesteś dzisiaj w szkole? - dodała jednym tchem.

- Wcześniej dziś skończyliśmy - rzekła Bonnie, myśląc, że to prawda. Ona skończyła wcześniej. Bardzo wcześniej.

- A tutaj jest studio. - Marla wprowadziła ją przez kolejne drzwi w kolorze ciemnopopielatym. Znalazły się w mrocznym świetle kamer i monitorów, gdzie grube kable

niczym pnącza wiły się po podłodze i zwisały spod sufitu. Na widowni w wygodnych fotelach znajdowało się jakieś trzysta osób, głównie kobiet, z oczami wlepionymi w stojącą na jaskrawo oświetlonym podium brzoskwiniową sofę oraz fotel obrotowy utrzymany w różowej tonacji. Były tam sztuczne palmy w donicach oraz wazony rozstawione w strategicznych odstępach, wypełnione świeżo ściętymi kwiatami. W tle sceny wisiał duży nowoczesny gobelin, utrzymany w odcieniach różu, fioletu i beżu. Marla miała rację - to był prawdziwy krok naprzód w porównaniu z dekoracją, która była tutaj poprzednio. Rod zawsze miał dobre oko do wystroju wnętrz.

- Może siądziesz na tym fotelu? - spytała Marla, nagradzając czarującym uśmiechem wielbicielkę adorującą ją z pierwszego rzędu. - W ten sposób, gdybyś chciała zadać jakieś pytanie, miałabym do ciebie łatwy dostęp.

- Nie zamierzam zadawać żadnych pytań - powiedziała Bonnie.

- Nie mów hop, zanim nie przeskoczysz - odparła Marla. - Problematyka może wydać ci się bliska. A mamy dzisiaj bardzo interesujący temat.

- Jestem pewna, że tak, ale chciałam tylko na kilka minut zobaczyć się z Rodem. Naprawdę nie mam czasu, żeby uczestniczyć w całym programie.

- Zostało już tylko pół godziny. Poza tym i tak nie mogłabyś się z nim zobaczyć wcześniej niż po zakończeniu zdjęć. Jest w realizatorni. - Marla wskazała przeszklone pomieszczenie znajdujące się wysoko nad ich głowami, na tyłach studia. - Więc najlepiej zrobisz, siadając sobie wygodnie i dobrze się bawiąc. - Niemal wepchnęła Bonnie w jeden z foteli w drugim rzędzie. - Powiem kamerzyście, żeby koniecznie zrobił ci ujęcie.

- Nie rób tego, błagam. - Ręka Bonnie natychmiast wystrzeliła ku włosom.

- Nie bądź głupia i nie bój się. - Marla odwracała się już, żeby odejść. - I pamiętaj, mów głośno, jeśli chcesz, żeby nasz gość cię dosłyszał.

- Ale ja nawet nie wiem, o czym będzie dzisiejszy program - zaprotestowała słabo Bonnie, zadowolona, że wreszcie dane jej było usiąść.

- Och, nie powiedziałam ci? W całości poświęcony jest romansom żonatych mężczyzn. - Uśmiechnęła się, demonstrując swoje olśniewające uzębienie. - Zatyłowaliśmy go: „Żony, które nie potrafią odejść”. Do zobaczenia później. Baw się dobrze.

- Ona ma romans z moim mężem - mówiła Bonnie, krążąc po nowoczesnym biurze Diany niczym miotający się po klatce lew.

- Bonnie, uspokój się.

- Nie próbuj mi wmawiać, że sobie to uroiłam.

- Nic ci nie próbuję wmawiać - rzekła Diana. - Próbuję tylko zrozumieć, co się stało.

Bonnie podeszła do zajmującego całą ścianę okna i poszybowała spojrzeniem w dół, na biegnącą dwadzieścia pięter niżej ulicę. To przyprawiło ją o zawrót głowy, toteż cofnęła się i uderzyła o kant biurka wyłożonego zielonkawym marmurem.

- Może usiądziesz? - zaproponowała Diana, wskazując dwa zielone fotele naprzeciw biurka.

- Nie chcę siadać - warknęła Bonnie. - Jestem już zmęczona siedzeniem. Cały dzień nic nie robiłam, tylko siedziałam. - Przebiegła myślą wszystkie krzesła i fotele, w których dzisiaj tkwiła: najpierw fotel w samochodzie, potem fotel u fryzjera i wreszcie fotel w tonącym w mroku studiu obity materiałem w kolorze wina.

- Nazwała ten program: „Żony, które nie potrafią odejść” - prychnęła. - Wyobrażasz sobie? I jeszcze miała czelność mi to powiedzieć!

- Bonnie - przypomniała jej Diana. - Taki był tytuł programu. Co innego miała ci powiedzieć? Nie zrobiła tego przedstawienia na twój użytek. Nie miała pojęcia, że wstąpisz do nich akurat tego dnia.

- Chodzi o sposób, w jaki to powiedziała - wyjaśniła Bonnie. - Aluzja była zbyt wyraźna, żeby ją przeoczyć. Marla sugerowała, że to ja jestem jedną z tych żon. Nie było cię tam. Nie słyszałaś.

Diana podniosła się z obitego czarną skórą krzesła z wysokim oparciem, obeszła biurko i oparła się o nie.

- Dobrze więc, zobaczymy, czy dobrze wszystko zrozumiałam - zaczęła w klasycznym stylu prawniczym, obciągając zakiet jasnego kostiumu. - Miałaś utarczkę z uczniem i postanowiłaś odpuścić sobie dzisiaj pracę oraz zrobić porządek z włosami...

- Wiem, że wyglądają teraz okropnie...

- Nie jest to uczesanie najmiłsze dla oka - zgodziła się Diana - ale nie o to chodzi.

- Nie jestem pewna, czy ja w ogóle wiem, o co mi chodzi - stwierdziła Bonnie.

- I w tym rzecz - podchwyciła Diana. - Ty zawsze wiesz, o co ci chodzi. Wszystko, co robisz, jest przemyślane i zaplanowane. Aż tu nagle urywasz się z pracy, ścinasz włosy i wpadasz niezapowiedziana do studia. Dlaczego? Co tu się dzieje?

- Mój mąż ma romans - powtórzyła z uporem Bonnie.

- Oto, co się dzieje.

- Z Marlą Brenzelle? Nie chce mi się wierzyć. To byłoby zbyt niesmaczne, nawet jak na Roda.

- Wiem, że w pierwszej chwili to brzmi nieprawdopodobnie, ale teraz wszystko ładnie pasuje.

- Co ładnie pasuje?

- Rod ostatnio całymi dniami siedzi w pracy. Wychodzi z domu wcześniej rano, a wraca późno w nocy. Czasem nawet wychodzi jeszcze raz po powrocie do domu - dodała, myśląc o ostatnim wieczorze.

- Przygotowuje się do ważnej konferencji w Miami. Zdaje się, że za kilka dni wyjeżdża, prawda?

- Z Marlą - przypomniała jej Bonnie.

- Ona jest jego przełożoną.

- I ma wielkie cycki.

- Słucham?

- Pamiętasz tą seksowną bieliznę, którą znalazłam w szufladzie Roda i myślałam, że jest dla mnie, chociaż stanik miał za duże miseczki?

- Bonnie, to nie oznacza jeszcze...

- Ona była dla Marli, nie dla mnie. Diana, ja sobie tego nie wymyśliłam. Pamiętasz, co mówiła Caroline Gossett? Ze Rod zawsze zdradzał Joan.

- Ty nie jesteś Joan.

- Jestem jego żoną. To wystarczy.

- Niezupełnie. Joan była na pół martwa. Nastąpiła nagła cisza.

- Cóż, to nie była najzręczniejsza wypowiedź w moim życiu - oceniła Diana, kręcąc z niedowierzaniem głową.

- Masz zamiar się z nim rozmówić?

- Więc wierzysz mi? Diana wzruszyła ramionami.

- Nie wiem - powiedziała. - Dowody są dosyć kruche.

- Przestań na chwilę być prawnikiem i stań się moją przyjaciółką.

- A czyż przyjaciółka mogłaby powiedzieć, że twój mąż ma romans?

Bonnie zagłębiła się w jednym z foteli, czując, jak szorstkie obicie drapie ją w odsłonięty kark.

- Nie wiem. Nic już nie wiem. Jestem zmęczona. Cały czas ohydnie się czuję.

- Dobrze, oto moja rada - powiedziała Diana, klękając obok Bonnie i kładąc ręce na dłoniach przyjaciółki.

- Teraz nic nie rób. Poczekaj, aż Rod wróci z Miami. Miejmy nadzieję, że do tej pory będziesz czuła się lepiej, twoje myśli będą klarowniejsze, a twoje włosy urosną...

Bonnie spróbowała się zaśmiać, ale zamiast tego rozplakała się.

- Przepraszam.

- Za co?
- Za to, że zachowywałam się jak idiotka, wdarłam się do twojego biura w środku dnia...
- Nie musisz mnie przeproszać.
- Ja po prostu nie wiem, co robić.
- Wracaj do domu i połóż się do łóżka - poradziła Diana. - Rzeczywiście nie wyglądasz najlepiej, i to nie tylko z powodu włosów. Może powinnaś iść do lekarza.
- Nic mi nie jest - wygłosiła Bonnie swoją ulubioną kwestię i wstała z fotela.
- Dasz radę prowadzić? Skinęła głową.
- Przedzwonię do ciebie - obiecała.

## 22

W sobotę Rod pakował się przed wyjazdem do Miami.

- Nie wiem, jak mam wyjechać i zostawić cię samą w takim stanie - mówił nawet wtedy, kiedy chował swoje przybory toaletowe.

- Nic mi nie będzie - odpowiedziała Bonnie, niebezpiecznie balansując na skraju łóżka. Przyglądała się jego krzątaninie i starała się wyglądać jak najzdrowiej.

- Nie wyglądasz najlepiej.

- To przez te włosy.

- Jakie włosy? - zażartował. - Ona ma więcej włosów od ciebie. - Wskazał litografię Dalego. Pozbawiona twarzy, łysa kobieta odwzajemniła się Bonnie pustym spojrzeniem niewidocznych oczu.

- Myślałam o kupieniu peruki.

- Bonnie, wyświadczy mi pewną uprzejmość. Nic nie rób. - Przestał się pakować i usiadł obok niej na łóżku. - No zobacz, mój wyjazd w tej chwili to czyste szaleństwo. Sama nie dasz rady opiekować się trójką dzieci. Co będzie, jeśli Lauren znowu zachoruje? Albo Amanda?

- Nie zachorują. Wszyscy będziemy zdrowi - uspokoiła go Bonnie.

- Może powinienem zadzwonić do Marli i powiedzieć jej, że zjawię się dopiero w poniedziałek? I tak wcześniej nie odbędzie się żadne spotkanie. Nic nie opuszczę.

- Powiedziałeś, że musisz lecieć dzisiaj, żeby wszystko przygotować...

- Poradzą sobie beze mnie.

- Nie poradzą. - Bonnie wstała, złożyła ostatnią z koszul Roda i zapakowała ją do walizki, jakby to miało definitywnie zakończyć dyskusję. - Daj spokój, Rod, czułabym się tylko winna, że nie polecałeś.

Otworzył usta, by zaprotestować, rozmyślił się jednak.

- No dobrze, ale masz numer do hotelu. Gdyby coś się stało i byłbym potrzebny, natychmiast do mnie zadzwoń.

- Nic się nie stanie.

- A jeśli do poniedziałku nie poczujesz się lepiej, chcę, żebyś poszła do lekarza.

- Już zamówiłam wizytę - zapewniła go, myśląc, że doktor Greenspoon zapewne nie jest lekarzem, o którego chodzi Rodowi.

- Świetnie. Wreszcie zaczynasz zachowywać się rozsądnie. - Rozejrzał się po pokoju.

- Wszystko zabrałem?

- Twoje kąpielówki?

- Nie będę miał czasu na pływanie - powiedział, całując ją w czubek nosa.

- Kiedy przyjeżdża limuzyna? Rod spojrzał na zegarek.

- Za dziesięć minut. Jesteś pewna, że dasz sobie radę?

- Oczywiście.

Zamknął walizkę, zapiął ją i rzucił na łóżko.

- Gdzie dzieciaki?

- Lauren czyta Amandzie w jej pokoju. Sam jest u Diany.

Rod wyglądał na zaskoczonego.

- A cóż on tam robi?

- Zdaje się, że Diana wynalazła mu całą masę dziwnych zajęć. Płaci dziesięć dolarów za godzinę.

- Ta kobieta ma więcej pieniędzy niż rozumu - podsumował Rod, taszcząc walizkę w stronę drzwi.

- Amanda! - zawołał. - Lauren! Gdzie moje dziewczyny? Chodźcie, pożegnajcie tatusia.

Nie jedź, chciałaby powiedzieć mu Bonnie, patrząc, jak przytula do siebie obie córki. Zostań tutaj i opiekuj się nami. Zostań z tymi, do których należysz. Śpij w moim łóżku, u mojego boku. Nie wślizguj się do łóżka kobiety, którą gardzę. Nie zapominaj, jak dobrze jest nam razem.

Westchnęła, ale nie odezwała się. Jak ma pamiętać, że razem jest im dobrze, skoro ostatni raz kochali się tego wieczora, gdy zachorowała Lauren? Od tamtej pory albo Rod

wracał zbyt późno, albo ona czuła się zbyt chora. Ostatniej nocy myślała, że uda jej się wykrzesać z siebie dosyć energii, ostatecznie jednak nudności okazały się silniejsze od pożądanego. Uprawianie seksu stało się dla niej równie atrakcyjne jak udział w Maratonie Bostońskim.

A teraz Rod wyjeżdża na Florydę, by cały długi tydzień spędzić tam pośród palm w towarzystwie kobiety, z którą prawdopodobnie ma romans, a żona nie tylko nie mówi mu, by został, ale wręcz zachęca go do wyjazdu, twierdząc, że czułaby się winna, gdyby nie jechał.

Dobra z ciebie dziewczynka, usłyszała głos matki.

Nie, nie jestem dobra, pomyślała Bonnie, podczas gdy Rod przywoływał ją do siebie, by dołączyła do tłoczącej się w jego objęciach gromadki. Głupia. Była głupia, pozwalając mężowi jechać do Miami razem z Marlą. Ale czyż miała jakiś wybór? Czy istniał sposób, żeby go powstrzymać? W najlepszym razie odwlekleby to, co i tak było nieuniknione.

- Będziesz opiekować się mamą? - zapytał Rod Amandę.

- Mamusia źle się czuje - odparła Amanda z poważną twarzą.

- To prawda. Dlatego musisz być dobrą dziewczynką i robić wszystko, co ci mama każe.

- Będę.

- Ja będę pomagać - obiecała Lauren. - Jeśli Amanda będzie chciała, mogę zabrać ją później do parku.

- Do parku? - Mała zaczęła podskakiwać z radości.

- Później - powtórzyła Lauren, starając się sprawiać wrażenie dorosłej. - Jeśli będziesz dobrą dziewczynką.

- Ja jestem dobrą dziewczynką - zapewniła ją Amanda, a Bonnie poczuła przebiegający po plecach dreszcz.

- Wcale nie musisz być dobrą dziewczynką - szepnęła.

- Co? Mówiłaś coś, kochanie? - zapytał Rod. Zadzwoił telefon.

- Ja odbiorę - zawołała Lauren i pobiegła do sypialni podnosząc słuchawkę w połowie trzeciego dzwonka.

- Halo. - Chwila ciszy. - Obawiam się, że jest teraz zajęta. Czy mogę przekazać jej wiadomość?

Nastąpiła kolejna chwila ciszy, tym razem dłuższa i bardziej złowieszcza. Bonnie niemal słyszała, jak Lauren wstrzymuje oddech.



- Kiedy? - dobiegło z sypialni. Bonnie rozpoznała ten głos, głos małej dziewczynki o ściśniętym gardle. A potem: - Jak? - Kolejna długa pauza. - Tak, dziękuję za telefon.

Przekażę.

- Kto to był? - zapytała Bonnie, kiedy Lauren wolnym krokiem wyszła z sypialni. Z twarzy dziewczynki odpłynęła wszelka krew, jej oczy przygasły. - Lauren, kto to był? Co powiedział?

- Co się stało kochanie? - zapytał Rod.

- Dzwoniła pielęgniarka z Centrum Zdrowia Psychicznego - powiedziała Lauren, jej głos zdawał się dochodzić z odległego krańca korytarza. - Dzisiaj w nocy zmarła moja babcia.

- Co takiego? - Bonnie nie wierzyła własnym uszom.

- Jak to się stało?

- Pielęgniarka powiedziała, że babcia kilka dni temu zapadła w śpiączkę i dzisiaj w nocy umarła. Nie chce mi się w to wierzyć - kontynuowała Lauren, wypowiadając na głos myśli Bonnie. - Jak to możliwe? Przecież nie dalej jak tydzień temu byliśmy u niej w odwiedzinach.

- Była starą kobietą - rzekł Rod. - I bardzo cierpiała. Może lepiej, że w końcu umarła.

- Ale dopiero co tam byliśmy - drętwo powtórzyła Lauren.

- To było nawet szczęśliwym zbiegiem okoliczności - rzekł Rod. - Dzięki temu mieliście okazję jeszcze raz zobaczyć babcię, zanim umarła. A ona mogła zobaczyć was. Jestem pewien, że to ją uszczęśliwiło.

- Wiedziała, kim jestem - szepnęła Lauren, a na jej ustach pojawił się cień uśmiechu, natychmiast splukany przez rzekę łez.

- Babcia Sally umarła? - spytała Amanda z szeroko rozdziawioną buzią i oczami jak wielkie błękitne spodki.

- Nie, kotku - uspokoiła ją Bonnie. - Babci Sally nic nie jest. To była babcia Lauren i Sama.

- Nie moja babcia? - upewniła się Amanda.

- Nie, nie twoja babcia.

- Twoja mamusia? - pytała dalej.

- Nie, kotku - odpowiedziała Bonnie, niezadowolona z tej rozmowy w takim momencie. - Moja mamusia umarła kilka lat temu.

- Ile miała lat, jak umarła?

- Sześćdziesiąt - odpowiedziała z roztargnieniem, widząc swą matkę siedzącą na łóżku z twarzą ukrytą w cieniu.

- Ile ty masz lat? - spytało dziecko nerwowo.  
- Do sześćdziesięciu jeszcze daleko - uciał Rod, przejmując dowodzenie. - Nie martw się. Twoja mama będzie z tobą jeszcze bardzo, bardzo długo.

- Ale jesteś chora. Czy ty umrzesz? - nalegała Amanda, a na słodkiej twarzyczce z wolna rozlewał się smutek, zagarniając kolejne obszary niczym topniejący воск.

Grozi ci niebezpieczeństwo - załkała nieoczekiwanie Joan. - Tobie i Amandzie.

Ciałem Bonnie wstrząsnął nagły skurcz, jakby poraził ją prąd.

- Oczywiście, że nie umrę. Wyzdrowieję.

Grozi ci niebezpieczeństwo - ponownie załkała Joan.

- Tobie i Amandzie.

- Nikt tutaj nie umrze - oświadczył z naciskiem Rod. - Zrozumiano? Nikt nie umrze, kiedy taty nie ma w domu.

Od drzwi frontowych dobiegło głośne pukanie, a potem dzwonek.

- To pewnie moja limuzyna - rzekł Rod, sprawdzając godzinę.

- Wcześniej.

- Powiem im, żeby poczekali.

- Nie, jesteś już gotowy - powiedziała Bonnie. - Idź. Nie ma powodu, żebyś jeszcze zostawał.

- Widzę co najmniej trzy powody, stojące przede mną - stwierdził Rod.

Może się pomyliłam, pomyślała z nadzieją, może Rod wcale nie ma romansu z Marlą Brenzelle. Może niepotrzebnie się zdenerwowałam.

- Trzy powody, żeby bezpiecznie wrócić do domu - odpowiedziała.

Rod pochylił się i czule pocałował ją w usta.

- Co wieczór będę do ciebie dzwonił.

- Nie musisz tego robić.

- Spróbuj mnie powstrzymać - odparł. Chciałabym to umieć, pomyślała Bonnie, patrząc, jak

Rod schodzi na dół i znika w czekającej na niego limuzynie.

Spała, kiedy do jej snu wdarł się dzwonek u drzwi. Z początku myślała, że nowy dźwięk jest częścią sennego rojenia - wędrowała korytarzami Centrum Zdrowia Psychicznego Melrose i włączył się alarm przeciwpożarowy - ale potem zdała sobie sprawę, że to dzwonek u drzwi. Otworzyła oczy i spojrzała na zegar. Był kwadrans po drugiej. Wpadające przez okno sypialni światło słoneczne powiedziało jej, iż nadal trwa popołudnie. Przynajmniej nie przespałam całego dnia, pomyślała, czekając, aż ktoś zareaguje na dzwonek. Zastanawiała się,

kto to może być. Ale w domu panował całkowity bezruch, toteż w końcu sama zmuszona była zwlec się z łóżka.

Lauren pewnie zabrała Amandę do parku, doszła do wniosku, narzucając na nocną koszulę szlafrok i ostrożnie schodząc na parter. A Sam nie wrócił jeszcze od Diany. Samolot Roda prawdopodobnie właśnie ląduje w Miami. Ciekawe, czy Marla boi się latania i czy Rod dodawał jej otuchy, trzymając jej ręce w swoich silnych męskich dłoniach? Ponownie rozległ się dźwięk dzwonka.

- Idę - zawołała Bonnie, dobiegając do drzwi i otwierając je.

Za progiem stała Joan.

- Podobają mi się twoje włosy - powiedziała, prześlizgując się obok osłupiałej gospodyni i idąc do znajdującego się w głębi domu salonu.

Więc to jednak sen, pomyślała Bonnie, gapiąc się na opadające ciężkimi splotami na plecy tyrcjanowskie włosy Joan. W drodze do salonu uspokoiła się i siadając na zielonej sofie naprzeciwko gościa, była już całkowicie zrelaksowana.

- Dobrze wyglądasz - powiedziała, przyglądając się więcej niż obfitemu biustowi byłej żony Roda w poszukiwaniu dziury po pocisku. Ale nie znalazła jej. Joan w białym kostiumie wyglądała nieskazitelnie, jej uroda po śmierci była równie imponująca jak za życia.

- Czego nie można powiedzieć o tobie - odparowała przybyła. - Masz coś do picia?

- Może herbaty? - zapytała Bonnie.

- Herbaty? Żartujesz? Nigdy nie pijam tego świństwa. Herbata ci nie służy. Nie wiedziałaś?

- Nie, nie wiedziałam.

- Masz trochę brandy?

- Chyba tak.

- Sobie też nalej jednego - zawołała za nią Joan, kiedy Bonnie udała się do jadalni, gdzie w barku znalazła butelkę brandy, po czym wróciła z dwoma pełnymi szklaneczkami.

- Zdrówko - powiedziała Joan, po czym wzniosła toast w stronę Bonnie i wypila.

Bonnie upiła kilka drobnych łyków.

- Co ty tutaj robisz?

- Nie zostało ci zbyt wiele czasu - powiedziała Joan całkowicie trzeźwym głosem i odstawiała pustą szklaneczkę na stół. - Nie czujesz? Nie wiesz, że to prawie koniec?

- Musisz mi pomóc - błagalnym tonem poprosiła Bonnie, podrywając się z sofy i zbliżając do Joan.

- Sama musisz sobie pomóc - powiedziała Joan, biorąc ze stolika szklaneczkę Bonnie i unosząc ją do ust. Bonnie patrzyła, jak szklaneczka wędruje do góry i przechyla się. Ale zamiast do gardła Joan, cała zawartość naczynia wylała się na jej biust, tworząc na białym lnie szybko rosnącą krwistoczerwoną plamę, by po chwili wypalić w jej piersi wielką dziurę.

- Joan! - krzyknęła Bonnie, obserwując, jak kobieta rozplywa się w powietrzu, póki jedyną pamiątką po jej wizycie nie stała się wielka plama na dywanie.

W tym momencie sen zniknął i wszystko pogrążyło się w mroku.

- Bonnie - wołał czyjś głos. - Bonnie, nic ci nie jest? Co ty tutaj robisz?

- Mamusia! - zawołała radośnie Amanda, wskakując mamie na kolana, zaledwie ta z trudem otworzyła oczy.

- Czy jesteś już bardziej zdrowa?

Bonnie ogarnęła pokój szybkim spojrzeniem, próbując zrozumieć, co się stało. Czy to jest kolejny sen? Czy to rzeczywistość? Coraz trudniej przychodziło jej odróżnienie jednego od drugiego.

Siedziała w salonie na sofie, a na jej kolanach mościła się Amanda, pulchnymi paluszkami bawiąc się tym, co pozostało z jej włosów. Lauren stała w drzwiach, w jej oczach malowało się zdziwienie. Na stoliku stały dwie szklaneczki do drinków, jedna pusta, druga niemal pełna. Na dywanie widniała duża czerwona plama.

- Miałaś gościa? - spytała Lauren.

- Byłyśmy na placu zabaw - oświadczyła Amanda.

- Lauren bujała mnie na huśtawce. Taaak wysoko. - Roześmiała się.

Bonnie przeniosła spojrzenie z Lauren na pustą szklaneczkę, potem na dywan i z powrotem na Lauren.

- Musiałam lunatykować - powiedziała wreszcie.

- Jeju - zdumiała się Lauren. - Czyżbyś piła we śnie?

Bonnie zebrała w ustach nieco śliny, próbując wykryć smak brandy.

- Myślę, że mogłam pociągnąć mały łyk.

- Zdaje się, że większa część wylądowała na dywanie - rzekła Lauren. - Wyczyszczę to.

- Nie musisz tego robić.

Ale Lauren była już w drodze do kuchni.

- W porządku. Korona mi z głowy nie spadnie. Zrobić ci herbaty?

Herbaty? Nigdy nie pijam tego świństwa, powiedziała Joan. Herbata ci nie służy. Nie wiedziałas?

- Nie - odpowiedziała Bonnie, przytulając Amandę do piersi. - Nie chcę herbaty, dziękuję.

- Pomyślałem, że zechcesz coś zjeść - powiedział Sam, kiedy Bonnie otworzyła oczy i spostrzegła go stojącego w nogach łóżka.

Podniosła się na łokciach, zerkając na tarczę zegara. Dochodziła siódma.

- To wieczór czy rano? - spytała. Sam roześmiał się.

- Wieczór. - Podeszedł i delikatnie postawił na jej kolanach tacę z jedzeniem.

Bonnie nie wiedziała, czy powinna czuć się uspokojona czy rozczarowana. Z jednej strony, nie straciła zbyt wiele czasu. Z drugiej, przed nią do przetrwania była jeszcze cała noc. Może warto coś zjeść, pomyślała, czując zlewające się z mdłościami słabe drgnienie głodu. Niewiele jadła przez ostatni tydzień. Być może dlatego czuła się taka słaba. Powinna coś zjeść, żeby się wzmocnić.

- Co mi przyniosłeś? - zapytała.

- Trochę rosółu z kurczaka z makaronem i tost. No i herbatę.

- Jeśli chodzi o herbatę, to chyba jestem jej pełna już po dziurki w nosie - oświadczyła Bonnie, unosząc łyżkę do ust i powoli spijając z niej gorący rosół.

- Dobrze - uśmiechnęła się. - Dziękuję.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Sam ociągał się z odejściem, przysiadłszy na skraju łóżka.

- Jak ci dzisiaj poszło? - spytała.

- Świetnie - odparł. - Podokręcałem parę śrubek, spakowałem trochę starych ciuchów i książek dla Armii Zbawienia i tym podobne rzeczy. Diana spytała mnie, czy chciałbym wytapetować jej łazienkę.

- I chciałbyś?

- Tak, raczej tak. W każdym razie mogę spróbować. W przyszłym tygodniu będzie musiała na kilka dni wyjechać do Nowego Jorku, więc dała mi klucz, żebym się rozejrzył.

- Cieszę się - powiedziała Bonnie, przelękając kolejną porcję rosółu, po czym uszczknęła nieco tosta, delektując się dżemem jeżynowym, którym był posmarowany.

Zadzwonił telefon.

- To pewnie twój ojciec - powiedziała Bonnie. Sam podniósł słuchawkę i bez słowa wyciągnął ją w jej kierunku.

- Halo? - rzuciła, obserwując, jak chłopiec z zakłopotaniem przestępuje z nogi na nogę. - Halo? - powtórzyła, kiedy nikt nie odpowiadał. Ale w słuchawce rozległo się dziwne kliknięcie i połączenie zostało przerwane.

- Pewnie pomyłka - oddała słuchawkę Samowi, a on odłożył ją na miejsce. - Co będziesz teraz robił? - zapytała, widząc, że nie zamierza jeszcze wychodzić.

- Nic konkretnego - odparł. - Możliwe, że wpadnie do mnie Haj.

- Haj?

- Jeżeli nie masz nic przeciwko.

- Nie wiem... - zaczęła Bonnie, ale ponownie rozdzwonił się telefon. Spojrzała niechętnie.

- Ja odbiorę - zaoferował się Sam. - Halo - szczerknął groźnie w słuchawkę, jakby ostrzegał, żeby go nie wkurzać. - Och, cześć tato - kontynuował zmieszany.

- Jak tam na Florydzie? Tak, jest tutaj. Trzymaj - rzekł, podając Bonnie słuchawkę. - Nie będę wam przeszkadzał - dodał, wycofując się z pokoju.

Bonnie tchnęła w swój głos porcję beztrioski.

- Rod? Cześć. Jak tam lot?

- Lot odbył się bez problemów - odparł. - Z początku trochę turbulencji, a potem spokojne szybowanie. - Spytał, jak się czuje. Skłamała, że lepiej. Najgorsze ma już za sobą. Kazał jej wypoczywać i nie pracować zbyt wiele. Poradziła mu to samo. Zapewnił, że ją kocha, odpowiedziała, że kocha go bardziej i pożegnali się.

Odłożyła słuchawkę, dokończyła zupę oraz tost, a potem ułożyła się do snu.

We śnie szła po schodach, niosąc na górę, do sypialni, tacę z jedzeniem. W miarę jak zbliżała się do szczytu schodów, otaczał ją coraz intensywniejszy zapach, znajomy i odstręczający. Dobrze go pamiętała - to przyprawiająca o mdłości słodkawa woń zbyt wielu kwiatów. Dotarłszy na piętro, skierowała się do swojego pokoju, a jej krokom towarzyszyły dochodzące z oddali dźwięki muzyki rockowej.

Sam tapetował łazienkę. Nie miała problemów z rozpoznaniem tapety - to samo ciemne tło wypełnione nadmiarem kwiatów, gotowych w każdej chwili posypać się ze ściany i pogrzebać ją żywcem. Przygnębiające dekoracje z dzieciństwa.

- Co ty robisz? - zapytała gniewnie. - Natychmiast to zedrzyj!

- Nie mogę tego zrobić - brzmiała spokojna odpowiedź. - Ona tego chciała - Sam wskazał na łóżko.

Wzrok Bonnie powoli podążył za jego palcem. Dostrzegła siedzącą na łóżku podpartą poduszkami Elsę Langer. Oczy staruszki skierowane były wprost na nią. Bonnie ruszyła w stronę Elsy, lecz im bardziej się zbliżała, tym bardziej rysy kobiety stawały się niewyraźne, rozmyte, aż zlały się w jedno, zostawiając po sobie nicość. Kiedy Bonnie znalazła się przy

łóżku, Elsa Langer w ogóle nie miała twarzy, jakby jej miejsce zajęła kobieta z litografii Dalego.

A może to śmierć? Ta myśl poraziła ją do tego stopnia, że natychmiast się obudziła, czując, jak wali jej serce, i słysząc rozbrzmiewającą dokoła muzykę rockową. To z pokoju Sama, pomyślała, uspokajając się. Spojrzała za okno, gdzie jasnym blaskiem lśnił księżyc w pełni. Może to pełnia sprowadziła na nią te sny? Przynajmniej tym razem nigdzie nie wywędrowałam, pocieszyła się. Ostatni spacer we śnie zdarzył jej się, kiedy była w wieku Lauren. Matka znalazła ją śpiącą na progu domu, ze spakowaną torbą w dłoniach. To było wkrótce po odejściu ojca.

Jej uszu dobiegło jakieś poruszenie, obce głosy i czyjś śmiech w korytarzu, muzyka stała się głośniejsza.

- Sam? - zawołała. - Sam, to ty? Co się tam dzieje?

- To nie Sam - odpowiedział czyjś głos i w drzwiach sypialni pojawiła się jakaś sylwetka. Była wysoka i szczupła, o szeroko rozłożonych muskularnych ramionach. Haj, rozpoznała go Bonnie, czując, jak zapiera jej dech, kiedy dostrzegła wijącego się w rękach chłopca węża.

- Jak się pani czuje? - postąpił kilka kroków w jej stronę.

- Gdzie Sam? - zapytała.

- Na dworze. Wyszedł na dymka. Bonnie usłyszała czyjś śmiech.

- Co tu się dzieje?

- Sam zaprosił paru ludzi - wyjaśnił Haj, rozciągając węża, jakby był kawałkiem sznurka. - Myślał, że nie ma pani nic przeciwko. Jesteśmy bardzo grzeczni.

- Nie czuję się dobrze - powiedziała Bonnie. - Obawiam się, że będziecie musieli sobie pójść.

Chłopak stanął w nogach łóżka, trzymając węża za ogon i łagodnie kołysząc nim w tę i z powrotem.

- Ostrożnie - poradziła Bonnie. - Nie lubi być upuszczany.

- I co z tego? - odparł Haj, dalej robiąc z węża wahadło.

- Proszę, odejść - powiedziała, starając się być silna i opanowana. - Źle się czuję.

- Co pani zrobiła z włosami? - spytał Haj, podchodząc bliżej.

Bonnie zamknęła oczy. Proszę, niech to się okaże jeszcze jednym snem, pomyślała.

- Haj? - dobiegł ich z korytarza czysty, dziewczęcy głos. - Gdzie jesteś?

- Tutaj - zawołał Haj, owijając sobie węża wokół szyi jak szalik. Wyszedł z pokoju. -

Wpadnę później, pani Wheeler - rzucił już z korytarza.

Bonnie udała się do łazienki i zwymiotowała.

Po trzeciej nad ranem ponownie rozdzwonił się telefon. Bonnie po omacku sięgnęła po słuchawkę. Wymamrotała:

- Halo? - i czekała na odpowiedź. Ale odpowiedź nie nadeszła. - Halo - powtórzyła, już zamierzając odłożyć słuchawkę, kiedy usłyszała to samo dziwne kliknięcie co wcześniej. Zaraz potem połączenie zostało przerwane.

Grozi ci niebezpieczeństwo! - krzyknęła do niej ze słuchawki Joan. - Tobie i Amandzie!

Nie zwlekając, wyskoczyła z łóżka i pobiegła do pokoju córki. Otworzyła drzwi, natychmiast dopadając łóżka. Odetchnęła z ulgą, dopiero ujrzawszy Amandę, smacznie śpiącą na plecach pomiędzy pluszowym misiem a żabą Kermitem. Pocałowała córeczkę w czoło i cicho wycofała się na korytarz, starając uspokoić wzburzony oddech. Co się z nią dzieje? Czy już całkiem puściły jej nerwy?

W domu panowała cisza. Wszyscy goście sobie poszli. Zakładając, że rzeczywiście ktoś tutaj był. Bonnie nie potrafiła już odróżnić jawy od snu. Może epizod z Hajem również sobie wyśniła? „Moje życie jest tylko snem” - zabrzmiały jej w głowie słowa piosenki Everly Brothers.

Zajrzała do Lauren. Dziewczynka leżała po przekątnej łóżka, z pościelą skłębioną w okolicach stóp. Bonnie podeszła na palcach i delikatnie okryła ją kołdrą.

Następnie sprawdziła, co dzieje się z Samem. Leżał na sofie całkowicie ubrany, a wpadające przez okno światło księżyca kładło na jego twarzy cienie, w przedziwny sposób wydobywając z niej niedostrzegalne wcześniej ogromne podobieństwo do matki. Odwróciła się, żeby odejść, ale nadepnęła na coś leżącego na podłodze. Było szorstkie i szeleszczące. Kawalek papieru, pomyślała, podnosząc znalezisko. Nie, nie papier, zdała sobie sprawę. Fotografia. Zdjęcie Amandy z zeszłego roku, zrobione w Toys „R” Us. Srebrna ramka, w której się znajdowało, leżała połamana obok na podłodze.

Bonnie podniosła ramkę, zamierzając położyć ją na biurku, kiedy jej uwagę przykuła interesująca gra światła na pokrywie szklanego terrarium. Przyjrzała się uważniej, zapuszczając spojrzenie w głąb zbiornika i nagle zaczęła się trząść. Terrarium było puste. Wąż uciekł.

- Wcześniej pani przysłała - powitała Bonnie Hyacintha Johnson, kiedy ta w środę rano przekroczyła próg biura doktora Greenspoona.

- Tak? - udała zaskoczenie Bonnie, spoglądając na zegarek. Prawda była taka, że już ponad godzinę spędziła w samochodzie zaparkowanym w dole ulicy, ponieważ opuściła dom,



kiedy tylko wyekspediowała z niego Amandę, Sama i Lauren. Nie chciała spędzać tam ani minuty dłużej niż to konieczne. Bóg jeden wie, co mogło ją tam spotkać za którymś z kolei zakretem.

Natychmiast po odkryciu, że terrarium L'il Abnera jest puste, obudziła Sama i razem przeszukali cały dom. Daremnie. Pierwsze, co Sam zrobił w niedzielny poranek, to telefon do Haja z zapytaniem, czy miał coś wspólnego z uwolnieniem węża. Ten jednak stanowczo zaprzeczył, twierdząc, że nic nie wie o zniknięciu L'il Abnera, aczkolwiek przyznał, iż chowając węża, mógł nie domknąć pokrywy terrarium. Byłem nieźle naćpany, powiedział.

Po raz kolejny Sam i Bonnie przeszukali cały dom od piwnicy aż po dach, każdy kąt, każdą szafę, szufladę, każdą wnękę okienną. Nic.

- Będzie pełził tam, gdzie wyczuje ciepło - powiedział Sam, zatem przez cały dzień systematycznie sprawdzali piec i zbiornik z ciepłą wodą, ale L'il Abner nadal się nie pojawił.

Bonnie zajęła miejsce w poczekalni doktora, zauważając, że zarówno Hyacintha Johnson, jak i Erica McBain ubrane są w połączenie czerni z bielą. Czyżby uzgadniały między sobą garderobę, planując ją kilka dni naprzód? Wzięła ze stolika jakiś magazyn i przekartkowała od niechcenia, rzucając okiem na wypełniające go artykuły o najnowszych skandalach, poczynając od rodziny królewskiej, a kończąc na Michaelu Jacksonie, ale na niczym nie potrafiła skupić uwagi, myślami wciąż błądziła wokół zaginionego gada. Przypomniała sobie artykuł o mężczyźnie, który udał się w środku nocy do łazienki i znalazł w niej węża. Otworzył drzwi, zapalił światło i wtedy go zobaczył, wystającego z muszli klozetowej niczym peryskop.

- Proszę, nie pozwól, żeby przytrafiło mi się to samo - wzniosła na głos modlitwę. - Nie zniosłabym tego.

- Przepraszam. Mówiła coś pani? - zapytała Erica McBain.

- Tylko głośno myślałam - wyjaśniła Bonnie. Czyż nie tak zachowują się szaleńcy?

- Ja robię to cały czas - powiedziała Erica, jakby chciała ją uspokoić.

Kiedy wciąż ponawiane próby odnalezienia węża spełzły na niczym, Bonnie zadzwoniła do tępicieli robactwa, hydraulików, towarzystwa przyjaciół zwierząt, a nawet do zoo. Wszyscy okazali się bezradni. Jeśli wąż wy dostał się na zewnątrz, powiedziano jej, prawdopodobnie prędzej czy później ktoś go zauważy i zawiadomi policję. Jeśli zaszył się gdzieś w instalacji hydraulicznej wewnątrz domu, mogą minąć dni, tygodnie, miesiące, a nawet lata, zanim ponownie się ujawni. O ile w ogóle kiedyś to się stanie.

- Cholerny Haj - mamrotał Sam, wyraźnie dygocząc. - Mówiłem mu, żeby zostawił Abnera w spokoju.

Właśnie, cholerny Haj, przytaknęła w duchu Bonnie.

- W końcu się pokaże - pocieszyła Sama. - Odnajdziemy go.

- Wkrótce zgłodnieje - niepokoił się chłopiec. - Głód może go zdenerwować.

Od tej pory Bonnie przestała spać. W dosłownym tego słowa znaczeniu bała się własnego cienia. Leżała, czuwając i podrywając się na najłżejszy szmer, na byle drgnienie widoczne we wpadającym przez zasłony srebrzystym blasku księżyca, po czym udawała się na obchód, zaglądając do Amandy i Lauren i dodając otuchy Samowi, który do terrarium pupila wrzucił dwa białe szczury, w nadziei że skusi go do powrotu.

- Napije się pani kawy? - zaproponowała Hyacintha Johnson. - Właśnie zaparzyłam.

- Nie, dziękuję. - Ostatnie czego jej trzeba, to doping kofeinowy. Z drugiej strony, powinna się wzmocnić. Nie mogła sobie pozwolić na odwodnienie organizmu. Od rana jej jedyny posiłek stanowiła szklaneczka soku pomarańczowego.

- Właściwie napiłabym się trochę. O ile nie sprawię kłopotu.

- To żaden kłopot. Jaką pani pije?

- Czarną, jeśli można.

- Proszę - powiedziała Hyacintha w kilka sekund później, stawiając przed nią spodeczek oraz filiżankę z chińskiej porcelany, zdobne w delikatne różowe kwiatuszki.

Bonnie jeszcze raz podziękowała i uniosła filiżankę do ust, rozkoszując się wypełniającym nozdrza aromatem. Zawsze uwielbiała zapach świeżo parzonej kawy.

Pamiętała, jak będąc dzieckiem, towarzyszyła mamie do sklepu, gdzie kupowały kawę, a potem straszliwie podekscytowana oczekiwała, aż mama wsypie starannie wybrane ziarenka do młynka, który natychmiast zamieniał je w aromatyczny proszek. Mogła do upadłego wdychać jego zapach, który omywał jej twarz niczym deszcz i osiadał na skórze jak najdoskonalsze perfumy. Jednakże w miarę upływu czasu wizyty w sklepie stawały się coraz rzadsze, aż ustały zupełnie. Wszystkie zakupy mama załatwiała przez telefon, nie wychodząc z łóżka. Dni świeżo zmielonej kawy bezpowrotnie odeszły w przeszłość.

Drzwi do gabinetu doktora otworzyły się i wyszła z nich atrakcyjna starsza pani, a tuż za nią doktor Greenspoon. Kobieta, która mogła mieć koło sześćdziesiątki, ubrana była w wytworny kostium od Armaniego, a jej blond włosy związane były w modny węzeł na karku. Widząc ją, Bonnie poczuła się straszliwie zaniedbana w swojej sukience z surowego płótna, zupełnie bez fasonu, która otaczała ją niczym namiot. Zastanowiła się, czy dużo straciła ostatnio na wadze, i doszła do wniosku, że chyba tak.

- Proszę zarezerwować pani King cykl wizyt - poinstruował doktor swoje sekretarki, po czym odwrócił się do starszej pani i ujął jej dłonie. - I spróbuj nie martwić się tak bardzo,

zobaczymy się w przyszłym tygodniu. - Spojrzał na Bonnie. - Może zaczekasz w moim gabinecie? - zaproponował. - Za chwilę tam będę.

Bonnie wstała i bez słowa udała się do gabinetu, zajmując miejsce na jednej z sof w kolorze burgunda. Ta sama sofa i to samo miejsce co podczas poprzedniej wizyty. Czy to coś oznacza? Czy pocziwy doktor wyciągnie z tego daleko idące wnioski?

Przebiegła spojrzeniem wszystkie kąty, prześwietliła wzrokiem tkwiące w donicach rośliny oraz wnęki okienne i dopiero po chwili zorientowała się, iż podświadomie wciąż szuka węża. Poczula się jak idiotka. Ciekawe, czy ten nawyk zostanie jej już na zawsze. Może doktor Greenspoon pomoże?

- Przepraszam, że musiałaś czekać - powiedział doktor kilka minut później, zamykając za sobą drzwi i zajmując miejsce na drugiej sofie. Ubrany był bardzo schludnie, w popielatą marynarkę i błękitną koszulkę. - Jak ci się wiodło?

- Dobrze - odpowiedziała automatycznie.

- Widzę, że masz jakieś inne włosy.

- Widzę, że doprowadził pan do mistrzostwa sztukę niedopowiedzeń.

Doktor roześmiał się.

- Podobają się panu? - spytała Bonnie, świadoma, że przeprowadza test, choć nie bardzo wiedziała na co.

- Ważniejsze, czy podobają się tobie - odparł.

- Ja pierwsza zadałam pytanie.

- Kryją w sobie potencjalne możliwości.

- Jakie możliwości?

Znowu śmiech, miły, swobodny, śmiech kogoś, kto dobrze się czuje we własnym towarzystwie.

- Podrośnięcia i przekształcenia się w coś miłszego dla oka - odpowiedział.

Tym razem roześmiała się Bonnie.

- Dziękuję za szczerość.

- Czy był jakiś powód, dla którego obcięłaś włosy?

- A powinien być?

- Zwykle jest. Wzruszyła ramionami.

- Sprawiała wrażenie martwych - zaczęła i natychmiast przerwała, uderzona wspomnieniem Elsy Langer. Jakże to dziwne, że staruszka umarła, zaledwie udało się odkryć jej istnienie. - Ostatnio mam nie najlepsze samopoczucie. Dlatego właśnie znowu do pana przyszedłam.

- Co twoim zdaniem mógłbym dla ciebie zrobić?
- Nie wiem dokładnie. Ale ktoś musi coś zrobić. Dłużej już tego nie wytrzymam.
- Czego dokładnie?
- Mdłości, wymiotów, łamania w kościach...
- Byłaś u lekarza?
- Jestem u pana.
- Mam na myśli lekarza internistę.
- Wiem, co pan ma na myśli.
- Wiem, że wiesz. Uśmiechnęła się.
- Nie, nie byłam.
- A to dlaczego?
- Ponieważ są to klasyczne objawy psychosomatyczne.
- Naprawdę? Dlaczego tak uważasz?
- Panie doktorze - zaczęła - sam pan to powiedział podczas mojej ostatniej wizyty.

Jestem kobietą, która cierpi. To pańskie słowa i chociaż bardzo niechętnie, muszę się z panem zgodzić. Ostatnio w moim życiu wiele się wydarzyło, głównie przykrych rzeczy. Prawda jest taka, że po kolana siedzę w gównie, przepraszam za wyrażenie, i zupełnie straciłam kontrolę nad własnym życiem. Ta grypa czy jak to nazwać, to sposób, w jaki mój organizm reaguje na stres.

- Nie przeczę, że może to być prawdą - odparł doktor Greenspoon. - Nadal jednak sądzę, że powinnaś dać się przebadać. Od jak dawna masz te objawy?

- Jakies dziesięć dni albo dłużej - odpowiedziała.

- To za długo. Musisz się przebadać i wyeliminować możliwość infekcji albo poważniejszej choroby...

- Ale ja nie mam gorączki - zniecierpliwiała się Bonnie.

- Co innego może polecić mi lekarz poza pić większą ilość płynów i leżeniem w łóżku?

- Dlaczego nie pójdziesz i sama się nie przekonasz?

- Ponieważ nie mam ani sił, ani czasu, żeby poddawać się masie niepotrzebnych badań. Zwłaszcza kiedy wiem, że wszystkie moje dolegliwości biorą się z głowy.

- Skąd możesz to wiedzieć?

- Ponieważ ja nigdy nie chorowałam.

- To samo mówiłaś, kiedy byłaś tutaj ostatnio. Czy chorobę uważasz za objaw słabości?

- Co takiego? Nie. Oczywiście, że nie. Po prostu nie mam czasu, żeby chorować.

- A inni mają?

- Tego nie powiedziałam.

- Twoim zdaniem choroba to coś, co daje się kontrolować?

- A pana zdaniem nie daje się?

- Przypuszczam, że zależy to od wielu czynników - odparł Greenspoon. - Istnieją zjawiska, które w większej mierze są kwestią ducha niż ciała i z całą pewnością nie twierdzę teraz, iż wewnętrzne nastawienie nie ma wpływu na kondycję fizyczną. Jednakże nie oznacza to, że nastawienie pozytywne może uchronić kogoś przed rakiem, podobnie jak nastawienie negatywne nie doprowadzi nikogo do niechybnej śmierci. Mój teść ma osiemdziesiąt cztery lata. Odkąd pamiętam, narzeka na plecy, na szyję i artretyzm. Od dwudziestu lat przekonany jest, że umiera, że nie dożyje następnych urodzin, następnego roku, nie doczeka kolejnego lata. To najbardziej negatywnie nastawiony do życia człowiek, jakiego kiedykolwiek spotkałem, i wiesz co? Powiem ci, że on nigdy nie umrze. Będzie żył długo po tym, jak nas wszystkich, razem z naszym bezgranicznym optymizmem i radosnym usposobieniem, pokryje ziemia.

- Bonnie, ludzie chorują - kontynuował. - Istnieją zjawiska, których nie da się kontrolować. Ale społeczeństwo nie chce tego zaakceptować. I tym sposobem dorobiliśmy się mnóstwa rozpaczliwie chorych ludzi, którzy żyją w poczuciu winy, ponieważ sądzą, że gdyby wykrzesali z siebie więcej pozytywnego myślenia, choroba nie pokonałaby ich, co jest ewidentną bzdurą. Jeżeli o mnie chodzi, uważam to za kolejny przykład skłonności społeczeństwa do wyszukiwania winnych. Łudzimy się, że dopóki przyczyną nieszczęścia jest błąd człowieka, my mamy szansę go uniknąć.

- Ciało ludzkie nie jest niezawodne. Narażone jest na ataki różnego rodzaju bakterii i wirusów, a jego odporność zależy od wielu czynników, takich jak dieta, ćwiczenia gimnastyczne, kondycja fizyczna lub stres. Lecz dobre zdrowie to przede wszystkim kwestia dobrych genów. I zwykłego szczęścia. - Uśmiechnął się. - Oczywiście może istnieć prostsze wyjaśnienie twoich dolegliwości.

- Na przykład jakie?

- Czy istnieje szansa, że jesteś w ciąży?

- Słucham?

- Czy to możliwe, że jesteś w ciąży? - powtórzył, chociaż oboje wiedzieli, że dobrze go usłyszała.

- Nie - odpowiedziała drwiąco. - To jest absolutnie niemożliwe. Biorę pigułki. - Czy nie poinformowała go o tym już podczas poprzedniej wizyty?

- Żaden środek antykoncepcyjny nie daje stuprocentowej pewności. Czy przy tym natłoku zdarzeń, o którym mi wspominałaś, nie zdarzyło ci się raz czy dwa zapomnieć zażyć pigułki?

- Nie, to niemożliwe. Zażywam je każdego dnia. Nie ma mowy, żebym zapomniała.

- Wydajesz się bardzo pewna siebie.

- Bo jestem. Już dawno temu zdecydowałam, że chcę mieć tylko jedno dziecko.

Bardzo uważam, żeby nic mi się nie przytrafiło.

- To bardzo interesujące. Dlaczego tak postępujesz?

- Jak?

- Dlaczego zdecydowałaś, że chcesz mieć tylko jedno dziecko?

- Nie sądzi pan, że i bez tego świat jest wystarczająco przeludniony?

- Czy z tego powodu podjęłaś tę decyzję?

- Uważa pan, że to nie jest wystarczająco dobry powód?

- To powód godny podziwu. Ale czy rzeczywiście prawdziwy?

- Nie rozumiem.

- Jestem ciekaw, dlaczego, skoro tak nieugięcie obstajesz przy jednym dziecku, nie dałaś sobie podwiązać jajowodów?

Tą uwagą trafił Bonnie w czułe miejsce. Na jej czoło wystąpiły drobne kropelki potu.

- Nie jestem zwolenniczką zbędnych interwencji chirurgicznych - wyjaśniła.

- A czy możliwy jest inny powód?

- Na przykład?

- Ty mi powiedz. Jeśli dobrze pamiętam, masz brata.

Bonnie odkryła, że czekając na dalsze słowa doktora, wstrzymuje oddech.

- Starszego czy młodszego? - zapytał.

- Młodszego o sześć lat.

- To dużo.

- Moja mama zanim go urodziła, miała kilka poronień.

- Ach tak. Zatem twój brat musiał dla niej wiele znaczyć.

- Tak, to prawda.

- A jak ty to przyjęłaś?

- Jak ja to przyjąłem? - powtórzyła tępo. - Naprawdę nie pamiętam. To było tak dawno. Byłam wtedy dzieckiem.

- Dzieckiem, które przez sześć lat miało matkę tylko dla siebie. Wyobrażam sobie, że to musiał być szok, że nagle zaczęłaś się nią dzielić z kimś innym.

- Sugeruje pan, że byłam zazdrosna o brata? - spytała. Czy on naprawdę próbuje uciekać się do tego najstarszego ze schematów stosowanych w psychiatrii?

- Myślę jedynie, że to byłoby naturalne.

- Panie doktorze, ja go uwielbiałam. Nick był najśłodszym dzieckiem pod słońcem.

- Więc dlaczego sama twardo chcesz mieć tylko jedno dziecko?

- Mój mąż ma już dwoje dzieci z pierwszego małżeństwa - przypomniała mu. - Poza tym niektórzy ludzie nie nadają się do posiadania większej liczby dzieci. Gdzieś głęboko tkwi w nich świadomość, że w ich sercach nie ma miejsca na więcej jak jedno. Wiedzą, że nie kochaliby dwójki dzieci jednakowo i któreś z nich zostałoby odtrącone.

- Czy tak właśnie czujesz?

- Czyż nie powiedziałam tego przed chwilą?

- Nie. Powiedziałaś: „niektórzy ludzie”. Bonnie przygryzła dolną wargę.

- To tylko takie wyrażenie.

- Opowiedz mi o swojej rodzinie. - Doktor Greenspoon odchylił się na oparcie sofy i rozpiął marynarkę.

- Jestem zameżna od pięciu lat - zaczęła, z ulgą przyjmując zmianę tematu, która kierowała rozmowę na znacznie bezpieczniejsze tory. - Mam córkę, Amandę.

- O twojej pierwotnej rodzinie - sprecyzował Greenspoon. - O twoich rodzicach.

Bonnie natychmiast zeszywniała. Chrząknęła, opadła na oparcie sofy, następnie znowu się wyprostowała, założyła nogę na nogę, potem ją zdjęła, wreszcie przejechała dłonią po włosach.

- Moja matka nie żyje - rzekła tak cicho, że doktor Greenspoon musiał pochylić się do przodu, aby ją usłyszeć.

- Ojciec mieszka w Easton.

- Kiedy umarła twoja matka?

- Mniej więcej cztery lata temu. Zmarła kilka miesięcy przed narodzinami Amandy.

- Musiało ci być ciężko stracić matkę właśnie wtedy, kiedy sama miałaś nią zostać.

Bonnie wzruszyła ramionami.

- Czy umarła nagle? Nie odpowiedziała.

- Bonnie, czy to dla ciebie zbyt bolesne pytanie? - spytał. Jego brwi złączyły się, tworząc nad nosem jednolity pomost.

- Chorowała od dłuższego czasu - odparła po chwili.

- Mimo to jej śmierć była zaskoczeniem.
- Nie spodziewałaś się, że umrze?
- Chorowała od lat - wyjaśniła niecierpliwie. - Cierpiała na alergię, migreny, miała słabe serce. Urodziła się z wadą serca i było mnóstwo rzeczy, których nie mogła robić.
- Pewnie spędzała dużo czasu u lekarzy?
- Pewnie tak - zgodziła się, zaniepokojona. - Do czego pan zmierza?
- Czy nie uważasz tego za interesujące, że twoja matka miała całą masę problemów zdrowotnych, a ty nie dopuszczasz nawet najmniejszej możliwości, że jesteś chora? Że ona spędzała mnóstwo czasu u lekarzy, a ty nie chcesz nawet wziąć pod rozwagę ewentualnego badania?

Bonnie poprawiła się na swoim miejscu, prawą stopą wściekle tupiąc o podłogę. Wzruszyła ramionami i milczała. Po co tu przyszedł? Przez tego faceta tylko czuje się gorzej.

- Jak ona umarła? - zapytał Greenspoon.
- Doktor powiedział, że miała wylew.
- Nie zgadzasz się z tym?
- Myślę, że to nie było takie proste.
- Dlaczego?
- Naprawdę nie chciałabym w to teraz wnikać.
- Jak sobie życzysz - brzmiała swobodna odpowiedź.
- A co z twoim ojcem?
- Co z nim?
- Jest zdrowy?
- Przynajmniej na takiego wygląda.
- Jesteście sobie bliscy?
- Nie.
- Możesz powiedzieć mi dlaczego?
- Ojciec dawno temu odszedł od matki. Od tej pory prawie go nie widywałam.
- I oczywiście masz mu to za złe.
- Mama bardzo to przeżyła.
- Czy to wtedy zaczęła chorować?
- Nie. Chorowała już wcześniej. Mówiłam panu, że miała wadę serca. Ale bez wątplenia po jego odejściu znacznie jej się pogorszyło.
- A brat? Mieszkał z ojcem czy został z tobą i twoją matką?

Bonnie roześmiała się gorzko.



- Został z nami. Wie pan, to śmieszne, ponieważ teraz mieszka razem z ojcem i jego żoną, trzecią z kolei, w domu mamy i wszyscy są szczęśliwi jak u Pana Boga za piecem. Czyż to nie ironia losu?

- Ale ty nie wydajesz się szczęśliwa.

Bonnie ponownie się roześmiała, tym razem głośniej.

- To naprawdę zabawne, jak wszystko potrafi się zmienić, prawda, doktorze?

- Czasami.

- Niech pan posłucha, po co my o tym rozmawiamy? Przecież to nie ma żadnego związku z moją sprawą.

- Jak często widzisz się z ojcem? - spytał doktor Greenspoon, jakby nie słyszał jej słów.

- Widziałam go parę tygodni temu - odpowiedziała, zdając sobie sprawę, że to nie jest odpowiedź na zadane pytanie.

- Zanim zaczęłaś chorować?

- Tak.

- A kiedy widziałas go przedtem? - kontynuował, nie pozwalając jej tak łatwo zerwać się z haczyka.

- Ostatni raz przed tym spotkaniem widziałam go na pogrzebie matki.

Mężczyzna przez kilka sekund rozważał jej odpowiedź.

- Czy to znaczy, że obwiniasz ojca o spowodowanie śmierci matki?

Bonnie skrobnęła się po nosie, pociągnęła za włosy i zakołysała się w przód i w tył.

- Co pan usiłuje mi wmówić? Że długo tłumione uczucie wrogości do jak pan to nazwał? ...rodziny pierwotnej? Więc, że to długo skrywane uczucie jest przyczyną moich obecnych zaburzeń?

- A żywisz do nich długo skrywane uczucie wrogości?

- Nie trzeba być geniuszem, żeby domyślić się odpowiedzi na to pytanie, prawda, doktorze?

- Czy kiedykolwiek rozmawiałaś o tym ze swoim ojcem?

- Nie. Po co?

- Dla siebie.

- Co by to dało? On się nie zmieni.

- Nie robiłabyś tego dla niego.

- Myśli pan, że gdybym się z nim rozmówiła, mogłabym poczuć się lepiej? Dobrze rozumiałam?

- Mogłoby to być pewnym wyzwoleniem. Jednakże to, co ja myślę, nie ma żadnego znaczenia, liczy się to, co ty myślisz.

Bonnie przestała się kołysać i usiadła idealnie prosto.

- W takim razie myślę, że zaoszczędziłabym masę pieniędzy, gdybym zamiast do pana, udała się do lekarza rodzinnego.

- I prawdopodobnie masz rację. A masz lekarza rodzinnego?

- Nie - przyznała się. Amanda miała pediatrę, a Rod raz do roku poddawał się badaniom. Ona nie miała swojego lekarza.

- Pozwolisz zarekomendować sobie kogoś?

- Dlaczego? Najwyraźniej uważa pan, że moje problemy są natury psychicznej.

- Uważam, że mamy do czynienia z dwoma różnymi problemami - odparł. - Jeden z nich wyjaśni wizyta u lekarza, uporanie się z drugim będzie wymagać dużo więcej czasu.

- Jedyne, czego chcę, to zacząć wreszcie czuć się jak człowiek - stwierdziła Bonnie bliska łez. Nienawidziła tego uczucia bezradności, kiedy traciła panowanie nad swoimi reakcjami.

Doktor Greenspoon podszedł do biurka.

- Hyacintho, możesz połączyć mnie z Paulem Kline'em? - powiedział do interkomu, po czym spojrział na Bonnie. - Jego biuro jest tuż za rogiem, poza tym jest mi winien przysługę. To miły człowiek. Myślę, że ci się spodoba.

W chwilę potem odezwał się głos z interkomu:

- Doktor Kline na pierwszej linii.

- Paul - odezwał się doktor Greenspoon, nie czekając - mam tutaj kogoś, kogo trzeba bezzwłocznie przebadać. Chciałbym, żebyś to zrobił. I to zaraz.

## 24

- Proszę wziąć głęboki oddech. Dobrze. Teraz wypuścić powietrze. Dobrze. I jeszcze raz.

Bonnie zaczerpnęła powietrza, po czym powoli uwolniła je z płuc. Doktor ponownie pochwalił jej oddychanie. Znowu zalała ją fala osobliwej wdzięczności.

- I kolejny oddech - polecił doktor Kline, manewrując stetoskopem pod błękitną bawełnianą bluzą, w którą przebrała ją pielęgniarka. Czuła chłód metalu na nagiej skórze.

- Jak dawno temu poddawała się pani badaniom?

- Nie pamiętam - odparła. - Kilka lat temu.

- Ogólny stan zdrowia?

- Dobry. Nigdy nie choruję - poinformowała go, lecz z mniejszym przekonaniem niż zwykle.

- Ma pani swojego ginekologa?

- Byłam u ginekologa, kiedy byłam w ciąży - odparła, choć tak naprawdę ograniczyła się tylko do wizyty u położnej w trzecim trymestrze ciąży, a i to po namowach Diany. Nie jestem chora, przekonywała przyjaciółkę, jestem w ciąży.

- Ale nie jestem w ciąży, prawda? - zapytała teraz, zaskoczona tym pytaniem, którego nie miała zamiaru zadawać. - Chodzi mi o to, że nie mogę być w ciąży. To niemożliwe.

- Kiedy miała pani ostatnią miesiączkę? - zapytał lekarz.

- Trzy tygodnie temu. Poza tym biorę pigułki. Nigdy o nich nie zapominam.

- Więc wszystko wskazuje na to, że nie jest pani w ciąży - zapewnił ją Kline. - Trochę za wcześnie na poranne mdłości, zwłaszcza w takim natężeniu. Ale zrobimy badanie krwi i moczu. To powinno wyjaśnić, skąd biorą się pani dolegliwości. Proszę patrzeć w tę stronę - polecił, odciągając jej dolną powiekę i kierując w lewe oko wąski snop światła.

Walter Greenspoon miał rację - doktor Kline był miłym człowiekiem, niezbyt wysokim, ze skłonnością do tycia, ale charakteryzującym się naturalnym wdziękiem i godnością. Miał około czterdziestu lat, rzędzące brązowe włosy oraz ciepłe piwne oczy. Jego dłonie były drobne i miękkie, o zaskakująco długich palcach. Kiedy jej dotykał, robił to delikatnie, jakby zdawał sobie sprawę z tego, że jest krucha i wrażliwa, a zarazem stanowczo, jakby chciał upewnić ją co do swojej siły.

Jego gabinet na Chestnut znajdował się tylko pięć minut drogi od gabinetu doktora Greenspoona, na parterze trzypiętrowego budynku z piaskowca, który przekształcono w

minicentrum medyczne. Majestatyczne, stare belki sąsiadowały tutaj z wyposażeniem z ostatnich lat. Wzdłuż ścian ciągnęły się zabudowane półki, po brzegi wypełnione opasłymi tomami książek medycznych. Tradycyjna tablica do badania wzroku wisiała na ścianie naprzeciwko okna w otoczeniu plejady dyplomów: z Harvardu, z College of Physicians and Surgeons i kilku innych, których nie miała siły czytać. Na dużym zaśmieconym biurku ustawione były zdjęcia członków rodziny doktora. Trzech synów i ładna, czarnowłosa żona, uchwyceni w kolejnych migawkach ukazujących rozwój dzieci od niemowląt po nastolatki i niezmiennie tę samą matkę, czasami tylko tęszą bądź szczuplejszą. Pielęgniarka doktora Kline'a, kobieta w wieku Bonnie, o matowych włosach i ujmującym uśmiechu, usunęła się dyskretnie w kąt pomieszczenia, gdzie zamarła w bezruchu, uważnie śledząc wszystkie zabiegi i sprawiając równie osobliwe wrażenie jak posąg Duane Hanson.

- Nie było problemów ze wzrokiem? - spytał doktor Kline, zaglądając jej w drugie oko.

- Nie.

Wręczył jej kawałek czarnego plastyku instruując, by zasłoniła nim prawe oko i odczytała trzeci rząd z tablicy do badania wzroku wiszącej na ścianie. Zrobiła to. Wtedy kazał jej zakryć plastikową płytką drugie oko i odczytać czwarty rząd. To również zrobiła.

- Dobrze - rzekł, delikatnie naciągając jej płatek uszny i przy pomocy kolejnego instrumentu badając wnętrze ucha. - Czy miała pani bóle ucha?

- Nie. Dlaczego? Widzi pan tam coś niepokojącego?

- Trochę woskowiny. Z łatwością się jej pozbędziemy. - Zajął się drugim uchem. -

Zawroty głowy?

- Czasami.

- I mówi pani, że męczyły panią mdłości.

- Bez przerwy

- Wymioty były?

- Przy każdej okazji. Co to oznacza?

- Może to być zapalenie ucha wewnętrznego.

- Co to oznacza? - ponowiła pytanie.

- Zapalenie ucha wewnętrznego daje wielorakie objawy. Zazwyczaj powoduje zaburzenia równowagi, którym towarzyszą nudności i wymioty oraz ogólne złe samopoczucie.

- I co można na to poradzić?

- Niestety niewiele. To infekcja wirusowa, więc antybiotyki są nieskuteczne. Jedynym sposobem jest przeczekać.

- W takim razie nic pan nie może zrobić - stwierdziła Bonnie tonem, który mówił, iż od początku była o tym przeświadczona.

- Tego nie powiedziałem - zaprzeczył, uciskając jej migdałki.

- Powiedział pan, że jedyny sposób to przeczekać.

- Gdyby to było zapalenie ucha wewnętrznego. Ale wcale nie jestem tego pewien.

Proszę otworzyć usta i powiedzieć „a”.

Bonnie otworzyła usta. Doktor Kline przycisnął jej język szpatułką. Powiedziała „a” i natychmiast zebrało jej się na wymioty. Kline przyjrzał jej się uważnie.

- Co pani jest? - wyjął jej z ust szpatułkę i wyrzucił do stojącego w pobliżu kosza.

- Pan jest lekarzem. Niech pan mi powie.

- No cóż - zaczął - nie ma pani gorączki, nie jest pani przeziębiona, pani oczy są w porządku, płuca czyste, gardło zdrowe, kanały nosowe są czyste i nie ma pani powiększonych gruczołów, w każdym razie na szyi. Obejrzyjmy gruczoły w pachwinach. Mogłaby się pani położyć?

Bonnie położyła się na plecach. Zaraz potem dłonie doktora przystąpiły do uciskania jej brzucha oraz pachwin. Te rejonny okazały się bardzo wrażliwe, toteż skrzywiła się.

- Zabolało? - spytał.

- Trochę.

- Mamy tutaj powiększone gruczoły - powiedział, badając gruczoły w pachwinach. - W porządku, może pani usiąść.

Podał jej niewielką buteleczkę.

- Teraz proszę dać mi próbkę moczu - rzekł. - Debbie pokaże pani, dokąd pójść, a po powrocie pobierzemy trochę krwi.

- Co potem?

- Za jeden, dwa dni będą wyniki, na których będziemy mogli się oprzeć. Na razie przepiszę pani antybiotyk. Chciałbym, żeby pani niezwłocznie zaczęła go zażywać.

- Myślałam, że antybiotyki nie mogą pomóc.

- I nie pomogą, jeśli to infekcja wirusowa. Lecz jeśli przyczyną nie jest wirus, to już jutro może pani poczuć się lepiej. Tak czy siak warto spróbować. Ma pani uczulenie na penicylinę?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Nabazgrał coś na kartce papieru.

- Dobrze. Spróbujmy tego. Proszę natychmiast po kupieniu zażyć dwie tabletki, potem co sześć godzin jedną. Może pani zażywać je w trakcie posiłku albo na czczo, to nie ma znaczenia. Jeżeli po paru dniach nie poczuje się pani lepiej, będziemy wiedzieć, iż przyczyną złego samopoczucia jest wirus. Ale miejmy nadzieję, że to pomoże. W każdym razie przedzwonię do pani, jak tylko będę miał wyniki testów. Gdybym do piątku się nie odezwał, niech pani skontaktuje się ze mną. A teraz proszę już iść i przynieść mi próbkę moczu.

Bonnie zrobiła, co jej kazał, po czym wróciła do gabinetu i doktor pobrał krew. Napełnił nią aż cztery fiolki.

- Strasznie dużo tej krwi - powiedziała zaskoczona, iż jej krew w szklanych fiolkach sprawia wrażenie niemal czarnej. - Będzie pan przeprowadzał test na AIDS?

- A powinienem?

- Czy nie robi się tego rutynowo?

- Nie. - Doktor zajrzał jej głęboko w oczy. - Pani Wheeler, czy powinienem przeprowadzić test na AIDS?

Nastąpiła długa chwila ciszy.

- Nie wiem - odpowiedziała w końcu Bonnie. Co jej chodzi po głowie?

- Czy w ciągu ostatnich dziesięciu lat wstrzykiwała pani sobie jakieś narkotyki?

- Nie, oczywiście, że nie.

- Miała pani transfuzję krwi?

- Nie.

- Stosowała pani ryzykowne praktyki seksualne?

Ujrzała siebie z przywiązanymi do łóżka rękami i nogami zarzuconymi na ramiona męża.

- Jakie praktyki ma pan na myśli? - wyjąkała.

- Stosunek analny, wielu partnerów, seks z osobą zarażoną - wyliczał ze zbijającą z tropu nonszalancją. - Czy pani związek jest monogamiczny?

- Nigdy nie zdradziłam męża - odpowiedziała.

- A pani mąż?

- Nie wiem - przyznała po krótkiej pauzie. Rany boskie, co ona wygaduje?

- Może więc przeprowadzimy ten test? Przynajmniej będzie pani spokojna. - Doktor Kline poklepał ją po ręce, po czym uściśnął jej drżące palce.

Bonnie skinęła głową, patrząc, jak krew wypełnia ostatnią już, piątą fiolkę. Jak mogła powiedzieć, że nie wie, czy jej związek jest monogamiczny? Czyżby rzeczywiście wierzyła,

że Rod ma romans? Tak mało mu ufała? Skoro tak, dlaczego nalegała, żeby wyjechał z Marlą do Miami? Dlaczego z niepokojem oczekiwała jego powrotu? Czyżby stała się jedną z tych kobiet, wobec których zawsze odczuwała politowanie, a które niezależnie od okoliczności trwały u boku swoich mężczyzn, niepomne na sypiące się z ich strony zniewagi? Kobiet, które swoje frustracje i rozczarowania grzebały głęboko w sobie, tak głęboko, iż stawały się od nich autentycznie chore?

Kobiet takich, jak jej matka.

Bonnie podziękowała doktorowi Kline'owi, ubrała się, a potem udała na poszukiwania najbliższej apteki, gdzie zrealizowała receptę. Znalazła kran z wodą i natychmiast zażyła dwie pigułki, tak jak kazał jej lekarz. Jak zawsze grzeczna dziewczynka, pomyślała z goryczą, wracając do samochodu i zasiadając za kierownicą, ale nie ruszając.

Dokąd teraz? - zastanowiła się, nie śpiesząc się z powrotem do domu. Mogłabym pojechać do szkoły, pomyślała, tylko po co? Na jej miejsce zatrudniono już zastępcę, poza tym niedługo skończą się lekcje. Mogłaby pójść na zakupy, ale raczej nie była w nastroju. Podobnie jak nie była w nastroju do spacerowania, czytania, rozwiązywania krzyżówek, a nawet oglądania filmów - prostych rozrywek, które uznawała za naturalne jeszcze kilka tygodni temu.

Może antybiotyk zadziała. Może od jutra zacznie czuć się lepiej. A może nie. Może nic nie zadziała, bo nie ma żadnej choroby. W każdym razie cielesnej. Może nie zacznie czuć się lepiej, póki... Póki co? Póki nie upora się z długim skrywanym uczuciem wrogości wobec swojej pierwotnej rodziny?

Pocałuj mnie gdzieś, pomyślała, uruchamiając silnik i zjeżdżając z krawężnika. Tyle pseudopsychologicznego bełkotu, tyle nadętego ble-ble. I dwieście dolarów za radę, której z czystej chęci pogadania sobie mógł jej udzielić pierwszy lepszy początkujący student psychologii. Co za marnotrawstwo. Co za parszywa rada. Niby co dobrego mogłoby wyniknąć z rozmowy z ojcem? On nigdy jej nie rozumiał. Wątpiła, czy w ogóle jej kiedyś słuchał.

Nie robiłabyś tego dla niego, powiedział Greenspoon.

- Nie zrobię tego w ogóle - stwierdziła na głos, wdeptując pedał gazu. Nastawiła radio na cały regulator, pozwalając Rolling Stonesom stłumić wszelkie myśli tłukące się po głowie.

Mniej więcej godzinę później zatrzymała się przed numerem 422 na ulicy Maple Road w Easton.

- I co teraz? - zwróciła się do swojego odbicia we wstecznym lusterku. - Czego tu szukasz? Przecież znałaś, że to nie ma sensu, więc po co się tu przywlokłaś? Czego

spodziewasz się dokonać? Myślisz, że ojciec zacznie się usprawiedliwiać? Czy tego właśnie pragniesz? Jakbyś wierzyła choć jednemu jego słowu. Po coś ty tu przyjechała? - ponowiła pytanie.

Przyjechałaś tutaj, żeby odzyskać kontrolę nad swoim życiem, odparło jej odbicie, podczas gdy otwierała drzwi i niepewnie macała stopą grunt. Przyjechałaś, ponieważ chcesz uporządkować swoją przyszłość, a nie da się tego zrobić bez rozliczenia z przeszłością.

Śmierć Joan strąciła ją w rodzaj otchłani, w której ponownie napotkała tych, których miała nadzieję wykreślić ze swojego życia. Przeklęta rodzina stanęła jej na drodze, nie pozwalając życiu toczyć się naprzód. Musiała stawić jej czoło, powiedzieć swoje i odejść. A wtedy już nigdy więcej nie będzie musiała jej oglądać. To proste, tłumaczyła sobie, idąc chwiejnym krokiem w stronę wejścia i próbując uporządkować wszystko, co miała do powiedzenia. Zaledwie jednak dotknęła klamki, jej myśli rozpiezchły się niczym stado wróbli.

Drzwi otworzyły się i stanął w nich Steve Lonergan, ubrany w granatowe spodnie oraz czerwono-niebieską kraciatą koszulę. Jego szeroka twarz była pozbawiona wyrazu, w oczach nie malowało się ani zaskoczenie, ani ciekawość. Cofnął się, robiąc jej przejście. Bonnie bez słowa przekroczyła próg domu, słysząc odgłos zamykających się za nią drzwi, podobny hałasowi, z jakim zatrzaskuje się brama więzienia.

- Steve, kto przyszedł? - spytała Adeline Lonergan, wychodząc z kuchni. Ubrana była w staromodny fartuch narzucony na jasnożółtą sukienkę.

- Och - rzekła, zatrzymując się na widok Bonnie. - Mój Boże, Bonnie. Prawie cię nie poznałam. Co ty zrobiłaś z włosami?

- Przepraszam, Adeline, ale czy mogłabym spędzić parę minut sam na sam z ojcem? Bardzo proszę - powiedziała Bonnie, oślepiąca na moment bielą otaczających ją ścian.

- Nie mam przed Adeline żadnych tajemnic - oświadczył ojciec, gestem Mister Propera krzyżując na piersi ramiona. Takiego w każdym razie chciała go widzieć Bonnie - odartego z dostojeństwa i przez to dostępnego dla ciosów, które zamierzała zadać.

- W porządku, Steve. Mam dużo pracy. Porozmawiaj z córką. Gdybyście czegoś potrzebowali, jestem w kuchni.

Ojciec i córka stali, milcząc.

- Może przejdziecie do salonu? - ośmieliła się zaproponować Adeline. - Tam będzie wam wygodniej. Przynieść wam coś do picia? - ciągnęła, kiedy żadne z nich nie drgnęło.

Steve Lonergan pokręcił przecząco głową i wolnym krokiem udał się do salonu.



- Ja również dziękuję - odpowiedziała Bonnie, podążając za nim. Po co ona tu przyszła? Co chciała osiągnąć? Co, na Boga, miała zamiar mu powiedzieć?

- Rozumiem, że widziałaś się ze swoim bratem - rzekł ojciec, stając naprzeciw niej na środku pokoju.

Bonnie odwróciła wzrok pod pretekstem, że studiuje wnętrze, jednakże natłok bladych zieleni, bieli i żółci był zbyt intensywny, by zdołała go znieść, toteż czym prędzej z powrotem spojrzała w twarz ojca.

- Tak, wpadł do mnie niespodziewanie. - I bez zaproszenia, chciałaby dodać, ale nie zrobiła tego.

- Zdaje się, że zaserwował wam swój słynny sos do spaghetti, prawda?

- On mówi o nim „niezrównany”.

- Jak zwał, tak zwał, grunt, że jest przepyszny.

- To prawda - zgodziła się. Pomijając fakt, że od tamtej pory bez przerwy jestem chora, dodała w duchu.

- Podobno moja wnuczka to istna mała laleczka.

- Tak, jest śliczna.

- Pewnie nie masz przy sobie żadnych zdjęć? - zapytał ojciec i zapatrzył się w okno, jakby nie oczekiwał odpowiedzi.

Bonnie zawahała się, czując opór nawet przed tak minimalnym podzieleniem się z ojcem swoim dzieckiem.

- Właściwie mam kilka - wyznała, zanurzając rękę w beżowej torebce i wyławiając z niej nieduży futerał z barwionej na czerwono skóry, który podała ojcu. Ten wziął go, bezzwłocznie wyjmując z kieszonki na piersi okulary i osadzając je na nosie.

- Na zdjęciu po lewej Amanda ma osiem miesięcy - wyjaśniła Bonnie. - To po prawej zrobione było w zeszłym roku. Od tamtej pory bardzo się zmieniła. Ma dłuższe włosy i nieco szczuplejszą buzię.

- Wykapana mama - stwierdził Steve Lonergan.

Bonnie szybko schowała zdjęcia do torebki i zwiesiła ręce wzdłuż boków.

- Prawdę mówiąc, wszyscy twierdzą, że jest podobna do Roda.

- Co słyhać u twojego męża?

- W porządku. Jest teraz na Florydzie, ma tam jakąś konferencję.

- A ciebie zostawił, żebyś pilnowała jego dzieci, co?

Bonnie spuściła wzrok na podłogę, zauważając, że jej obute w brązowe trzewiki stopy zapadły się w jasnozielony dywan. Poczowała się, jakby zamiast twardej powierzchni miała pod sobą lotne piaski, i zastanowiła się przelotnie, jak długo uda jej się utrzymać na powierzchni.

- Nie przyszłam tutaj rozmawiać o Rodzie - powiedziała.

- Więc po co?

- Nie jestem pewna - przyznała się po krótkim milczeniu. - Czuję, że jest parę rzeczy, które trzeba głośno powiedzieć.

- Więc mów.

- To nie jest takie proste.

- Miałaś ponad trzy lata, żeby się przygotować.

Bonnie wzięła głęboki oddech i spróbowała się odezwać, ale nie mogła wykrztusić z siebie ani słowa.

- Bonnie, co sprawiło, że zjawiłaś się w tym domu? - zadał pytanie ojciec.

- Co sprawiło, że ty się w nim zjawiłeś? - warknęła w odpowiedzi. - Kto dał ci prawo tutaj mieszkać? Jak śmiałeś tutaj wracać! Jak śmiałeś urządzać sobie kpiny z pamięci mojej matki! - Zrobiła krok w tył, zdumiona gwałtownością swojego wybuchu.

- Więc o to ci chodzi.

- Chodzi mi o to, że nie ma żadnego powodu, żebyś tutaj mieszkał. Nienawidziłeś tego domu. Nie mogłeś się doczekać, żeby z niego uciec.

- Zawsze kochałem to miejsce - sprostował - choć przyznaję, że nienawidziłem tych cholernych tapet w kwiaty. Ale kiedy postanowiliśmy z twoją matką się rozwieść...

- Odszedłeś. Nie dałeś jej żadnego wyboru.

- Wiesz, ona nigdy naprawdę nie lubiła tego domu. Musiałem namawiać ją na przeprowadzkę tutaj. Wolą mieszkać w mieście. Mimo to nalegała, żeby dom przeszedł na jej własność, prawdopodobnie tylko po to, by zrobić mi na złość.

- Prawdopodobnie po to, by uchronić rodzinę od większego rozbicia, niż to było potrzebne - powiedziała Bonnie. - Może czuła, że więcej zmian byłoby już nie do zniesienia.

- Może. Tego nigdy się nie dowiemy. - Steve Lonergan podszedł do okna i przez chwilę milczał. - W każdym razie kiedy umarła i zostawiła Nickowi dom w spadku, on spytał nas, czy jesteśmy zainteresowani kupnem. Bardziej niż dużego domu potrzebował wtedy gotówki, toteż oboje z Adeline zgodziliśmy się dobić targu.

- Wszyscy bez przerwy starają się pomóc biednemu Nickowi. - Potrząsnęła w udanym zdumieniu głową.

- Może on nie jest tak silny jak ty, Bonnie.

- Błogosławieni cisi, albowiem oni posiadają ziemię - powiedziała Bonnie, zauważając, że na stoliku nadal leży Biblia.

- Bonnie, na kogo naprawdę się gniewasz?

- Nie rozumiem.

- To nie ja umarłem i zostawiłem dom twojemu bratu - przypomniał ojciec.

Bonnie nerwowo zaczęła przemieszczać się pomiędzy sofą a fotelem.

- Jeśli próbujesz mi wmówić, że osobą, na którą naprawdę się gniewam, jest mama, to się mylisz. Wiem, na kogo się gniewam. Stoi teraz przede mną.

- Dlaczego gniewasz się na mnie?

- Dlaczego?

- Tak, dlaczego? - powtórzył.

- A jak myślisz?! - wrzasnęła. - Odszedłeś od swojej rodziny!

- Odszedłem od nieznośnej sytuacji.

- Dla kogo nieznośnej? To nie mama włączyła się gdzieś całymi nocami!

- Nie, twoja matka każdą noc spędzała w domu, w łóżku.

- Była chora.

- Ona zawsze była chora.

- Twierdzisz, że to jej wina?

- Nie. Cholera, twierdzą tylko, że nie mogłem tak dłużej żyć. - Przejechał dłonią po czubku głowy. - Bonnie, nie staram się usprawiedliwiać. Wiem, że postąpiłem jak tchórz. Ale gdybyś choć przez chwilę spróbowała zrozumieć, jak się wtedy czułem. Wciąż jeszcze byłem stosunkowo młodym człowiekiem. Było mnóstwo rzeczy, które chciałem robić. Tymczasem twoja matka nigdzie nie chciała wychodzić. Nigdy nic nie chciała robić. Nie interesowało jej ani zawieranie nowych przyjaźni, ani podróżowanie, ani nawet uprawianie seksu.

- Była chora - powtórzyła Bonnie.

- I ja również - odparował ojciec. - Byłem chory od takiego życia, chory od poczucia, że coś bezpowrotnie mi umyka, od spędzania każdej nocy u boku kogoś, kto wzdraga się, ilekroć próbuję go dotknąć. Bonnie, byłaś wtedy dzieckiem. Nie spodziewałem się, że mnie zrozumiesz. Ale teraz jesteś dorosła. Miałem nadzieję, że znajdziesz w sobie nieco miłosierdzia.

- A gdzie było twoje miłosierdzie?

- Próbowałem, Bonnie. Przez wiele lat.

- A potem odszedłeś. Mama nigdy nie była już taka sama.

- Była dokładnie taka sama i dobrze o tym wiesz.

- Odszedłeś i nigdy nie wróciłeś.
- Ona tak chciała.
- Ona sama nie wiedziała, czego chce. Ona była chora...
- Dusilem się. Nie mogłem oddychać. Jej choroba zarażała nas wszystkich.
- Więc zostawiłeś dwoje dzieci, żeby się nią zajmowały.
- Nie wiedziałem, co innego mogę zrobić.
- Mogłeś zabrać nas ze sobą! - krzyknęła Bonnie, zaskoczona własnymi słowami.

Wybuchnęła płaczem i opadła na sofę. - Mogłeś zabrać nas ze sobą - Załkała.

Przez dłuższy czas żadne z nich się nie odezwało. Po kilku minutach Bonnie wyczuła obok siebie obecność ojca, położył jej dłoń na ramieniu.

- Zostaw mnie - warknęła, strącając jego rękę. - Jest już za późno.
- Dlaczego jest za późno?
- Ponieważ nie jestem już małą dziewczynką.
- Dla mnie zawsze będziesz małą dziewczynką. Moją małą dziewczynką - powiedział.
- Nie masz pojęcia - oświadczyła, nie patrząc na niego - nie masz pojęcia, jak wiele

leż wylałam, ile nocy nie przespałam, modląc się, żebyś do nas wrócił. Modliłam się nawet przez sen. Kiedyś śpiąc, spakowałam torbę i czekałam na ciebie, siedząc w progu domu. Ale to nie ty mnie znalazłeś. To nie ty mnie obudziłeś.

- Tak mi przykro, Bonnie. Wiele razy próbowałem wyciągać do ciebie rękę. Przecież wiesz.

- Tak, zawsze bardzo skrupulatnie przedstawiałeś nas swoim nowym żonom.
- Jasno dałaś mi do zrozumienia, po czyjej jesteś stronie i że nie chcesz mieć ze mną

nic wspólnego.

- Na miłość boską, byłam tylko dzieckiem. Czego się po mnie spodziewałeś?
- Spodziewałem się, że kiedyś dorośniesz.
- Porzuciłeś nas. Porzuciłeś mnie! - Ciałem Bonnie wstrząsnął kolejny gwałtowny

atak płaczu.

- Tak mi przykro - powiedział ojciec. - Gdyby istniało coś, co cię pocieszy - zawiesił głos. Podszedł do okna i zapatrzył się na ulicę.

- Jesteś szczęśliwy? - rzuciła Bonnie w stronę jego pochylonych pleców. - Czy Adeline dała ci szczęście?

- To wspaniała kobieta - odpowiedział ojciec, odwracając się twarzą do niej. - Jestem bardzo szczęśliwy.

- A Nick? Myślisz, że naprawdę doszedł z wszystkim do ładu?

- Myślę, że tak. Dlaczego nie dasz mu szansy?
- Nie ufam mu.
- Jest twoim bratem.
- To on złamał mamie serce.
- Bonnie, nie możesz obwiniać Nicka o jej śmierć - poważnym tonem powiedział

ojciec.

Bonnie przelknęła ślinę i niecierpliwym gestem otarła płynące wciąż z oczu łzy.

- Powinnam już iść - rzekła. Wstała i wyszła na korytarz, czując za plecami obecność ojca.

- Wszystko w porządku? - zaniepokoiła się Adeline, wychodząc z kuchni z dużą drewnianą łyżką w dłoni.

- Tak, w porządku - zapewnił ją mąż, szukając u Bonnie potwierdzenia. Bonnie skinęła głową, jej wzrok zabląkał się w górę schodów.

- Robię właśnie szarlotkę - rzekła gospodyni. - Jedna jest już w piekarniku, lada moment będzie gotowa. Może poczekaasz i skosztujesz kawałek?

- Naprawdę muszę już iść - powiedziała Bonnie automatycznie, czując nieodparte pragnienie, aby wspiąć się na schody, jakby na piętrze ukryty był jakiś magnes.

- Chciałabyś zobaczyć, jak urządziliśmy sypialnię? - zapytała Adeline.

Prawa stopa Bonnie była już na pierwszym stopniu, lewa ręka sunęła po ścianie. Coś ciągnęło ją w górę schodów, wabiło na piętro, do sypialni. Co ja wyprawiam? - myślała, stopień po stopniu wspinając się w górę, patrząc, jak białe ściany krwawią i ciemnieją, a potem gęsto pokrywają się kwiatami, których zapach otoczył ją, przyprawiając o mdłości. Nie bądź głupia, powiedziała sobie, spoglądając ku znajdującym się na piętrze zamkniętym drzwiom. To tylko zapach piekącej się szarlotki. To nie kwiaty.

I nikt nie czeka na ciebie w sypialni, dodała, pokonując ostatni schodek, przecinając korytarz i popychając drzwi do pokoju, który kiedyś był sypialnią jej matki.

Na łóżku siedziała kobieta, jej twarz ukryta była w cieniu.

- Jak widzisz, wszystko tutaj pozmienialiśmy - dobiegł ją z tyłu głos Adeline. - Pomyśleliśmy, że błękit to odpowiedni kolor dla sypialni, a ja zawsze miałam słabość do luster.

- Czy mogłabym na chwilę zostać sama? - zapytała Bonnie, nie odrywając oczu od zasnutej cieniem postaci na łóżku.

- Oczywiście - zmieszanie sprawiło, że głos Adeline załamał się nieznacznie. - Będziemy na dole.

Bonnie usłyszała odgłos zamykających się drzwi. Dopiero wtedy postać na łóżku wychyliła się z cienia i skinęła, przywołując ją do siebie.

## 25

- Podejź bliżej, żebym cię widziała - powiedziała kobieta zaskakująco silnym głosem.

Bonnie zmusiła się do postąpienia parę kroków w kierunku łóżka. W dużym lustrze, ciągnącym się u szczytu łóżka od podłogi do sufitu, dostrzegła swoje odbicie, zwielokrotnione odbiciem w mniejszym lusterku, znajdującym się na szczycie komody w przeciwległym krańcu pokoju. Tylko że zamiast kobiety w płóciennej sukience bez fasonu dostrzegła ubraną w białą bawełnianą sukienkę jedenastoletnią dziewczynkę z długimi, sięgającymi ramion, ciemnymi włosami, związanymi lśniąca różową wstążką w koński ogon.

- Jak się dzisiaj czujesz? - spytała dziewczynka, ostrożnie zbliżając się do łóżka.

Cienie przesłaniające twarz kobiety zafalowały.

- Niestety, nie najlepiej.

- Przyniosłam ci śniadanie - dziewczynka dźwignęła ciężką plastikową tacę, aby kobieta mogła obejrzeć sobie jej zawartość.

- Nie mogę nic jeść.

- Może chociaż spróbujesz? Ugotowałam ci dwa jajka na miękko, tak jak lubisz.

- Nie mogę jeść jajek.

- No to chociaż trochę soku pomarańczowego. - Dziecko postawiło tacę na nocnym stoliku i uniosło szklankę z sokiem.

- Dobra z ciebie dziewczynka - powiedziała kobieta, opadając na poduszki, nie poświęciwszy odrobiny uwagi wysokiej szklance z sokiem.

Dziecko przysunęło się bliżej, przykładając kobiecie szklankę do ust.

- Tak źle się dzisiaj czujesz? - spytało.

- Niestety tak.

- Bóle głowy?

- Migrena - sprecyzowała kobieta, unosząc obie dłonie do skroni i przymykając oczy.

Cienie spłynęły po jej twarzy i zniknęły, zabierając ze sobą wszelkie oznaki życia, pozostawiając jedynie bladą, lekko napuchniętą maskę, na której nawet w chwilach względnego spokoju malowało się cierpienie. Dziewczynka lubiła wyobrazić sobie zagubioną

gdzieś pośród tego cierpienia piękną kobietę o błyszczących oczach i olśniewającym uśmiechu.

Dziecko odstawiło szklankę na tacę i uniosło drobne rączki do twarzy chorej, odgarniając z czoła gęste ciemne włosy i delikatnie masując okolice skroni.

- Nie tak mocno - syknęła kobieta i dziewczynka rozluźniła dłonie, nadając palcom niezwykłą miękkość.

- Teraz lepiej. Tutaj. - Wskazała okolice ciut zadartego nosa. - Zatoki tak mi dokuczały, że pół nocy nie spałam. Ojciec też pewnie nie zmrużył dzisiaj oka. - Otworzyła oczy.

- A gdzie on jest? Czyżby już gdzieś poszedł?

- Jest już po jedenastej - odpowiedziało dziecko.

- Powiedział, że ma coś do zrobienia.

- W sobotę?

Dziewczynka kontynuowała masaż, milcząc.

- Poszedł do jednej z tych swoich kobiet - stwierdziła matka.

- Powiedział, że musi być dzisiaj w pracy.

- Ładna mi praca. Dziecko odsunęło się.

- Nie, nie przestawaj. To mi pomaga. Masz takie zręczne palce. Sprawiasz, że mama czuje się lepiej.

- Naprawdę? Czujesz się lepiej?

Domem wstrząsnął nieoczekiwany hałas. Bonnie odwróciła się, jej dorosła powłoka kolidowała z odbijającym się w lustrze dzieckiem.

- Co to było? - dobiegł ją z dołu głos ojca.

- Nic takiego - zawołała w odpowiedzi Adeline.

- Upuściłam miskę. Nic się nie stało.

- Co to za hałas? - zapytała kobieta w łóżku i Bonnie natychmiast wróciła do ciała jedenastoletniej dziewczynki.

- Nick znowu bawi się w złodziei i policjantów - odpowiedziała dziewczynka.

- Pif-paf! - krzyknął Nick, wpadając do pokoju z wielką blaszaną odznaką na piersi i wymachując w ich stronę pistoletem zabawką. - Pif-paf? Nie żyjecie!

- Ciszej, Nick - upomniała go dziewczynka. - Mama dzisiaj źle się czuje.

- Pif-paf! - powtórzył niepomyślnie na przestrogi Nick. - Zastrzeliłem cię. Jesteś martwa.

- Zastrzeliłeś mnie - zgodziła się kobieta w łóżku, w jej głosie słabo zadźwięczał śmiech. - Nie żyję. - Zamknęła oczy, jej głowa opadła na prawe ramię.

Nick roześmiał się głośno i wybiegł z pokoju, jego jedenastoletnia siostra pognąła za nim. Bonnie patrzyła ze swego miejsca w nogach łóżka, jak wybiegają.

- Podejdź bliżej - ponownie skinęła na nią kobieta w łóżku.

Bonnie wyprostowała się i podeszła do łóżka, jej palce musnęły błękitną jak niebo kołdrę. Nagle spod jej lazurowej powłoki wychynęły wielobarwne kwiaty. Bonnie spojrzała w lustro, obserwując kolejną materializującą się w nim postać, wyższą, z pełniejszymi biodrami i niewielkimi wzgórkami piersi. Obraz falował, to stając się węższy, to szerszy, zmieniając się niczym odbicie w krzywym zwierciadle w gabinecie luster.

- Twój ojciec porzucił nas - powiedziała matka z twarzą wykrzywioną gniewem.

- Wróci - zapewniła ją dziewczyna.

- Nie, nie wróci.

- Po prostu potrzebował nieco czasu dla siebie. Wkrótce znowu będzie w domu.

- Nie, nie wróci. Jest z tamtą.

- Z tamtą?

- Z kobietą, z którą się spotykał.

- Na pewno z nią nie zostanie.

- Na pewno nie wróci.

Bonnie widziała, jak oczy nastolatki wypełniają się łzami,

- Ja będę się tobą opiekować, mamó - usłyszała słowa dziewczyny.

- W piątek mam wizytę u doktora Blenda. Jak się tam dostanę?

- Ja cię zawiozę.

- Boję się - rozplakała się kobieta. Dziewczyna przytuliła się do niej. - Tak mocno bije mi serce, boję się, że dostanę ataku.

- Co mogę dla ciebie zrobić?

- Podaj mi tabletki. Są tutaj, obok łóżka.

Dziewczynka z trudem odkręciła nakrętkę małej buteleczki z czerwono-żółtymi kapsułkami. Wysypała dwie z nich na dłoń i włożyła matce do ust, patrząc, jak je sprawnie połyka bez popijania wodą.

- Dobrze się czujesz?

Kobieta potrząsnęła przecząco głową.

- Co mogę dla ciebie zrobić?

- Nic. Dobra z ciebie dziewczynka. - Grzbietem dłoni otarła z czoła nieco potu i rozejrzała się po tonącym w półmroku pokoju. - Gdzie Nicholas?



- Chowa się przed sąsiadami - odpowiedziała dziewczyna. Bała się zdenerwować matkę, ale nie chciała kłamać. - Założył pani Gradowski kajdanki, a kluczyki spuścił z wodą do ubikacji. Pan Gradowski musiał wzywać ślusarza, żeby ją uwolnić. Jest naprawdę wściekły.

Matka roześmiała się zachwycona, jak zawsze, kiedy była mowa o wybrykach Nicka. Wydawało się, że nic, co robi jej syn, nie może być niewłaściwe. Dziewczyna potrząsnęła głową w zdumieniu i trwodze, po czym zniknęła z pola widzenia.

- Nadal cię nie widzę - zwróciła się do Bonnie kobieta siedząca w łóżku. - Musisz podejść bliżej.

Bonnie posunęła się nieco w górę łóżka, ale ktoś stał jej na drodze, blokując dojście - młoda kobieta - zdała sobie sprawę, wślizgując się w jej ciało, przyjmując ostrożną postawę tamtej, czując grzęznący w piersi oddech.

- Wychodzę za mąż - zakomunikowała i zamilkła, czekając na odpowiedź. - Mamo, słyszałaś, co powiedziałam? Rod i ja zamierzamy się pobrać.

- Słyszałam. Gratuluję.

- Nie wyglądasz na zadowoloną. Matka przygryzła dolną wargę.

- Zatem ty również mnie opuszczasz - rzekła.

- Nie, oczywiście, że nie - sprzeciwiła się. - Nikt cię nie opuszcza.

- Wyprowadzasz się.

- Wychodzę za mąż.

- Kto teraz będzie o mnie dbał?

- Doktor Monson mówiła, że doskonale potrafiłabyś zadbać o siebie sama.

- Nie chodzę już do doktor Monson.

- Możemy nająć gosposię.

- Nie chcę obcych w moim domu.

- Coś wymyślimy. Proszę, mamo, chciałabym, żebyś była szczęśliwa.

Kobieta w łóżku odwróciła głowę i rozplakała się.

- Nie płacz mamo. Nie teraz. Teraz trzeba się cieszyć - powiedziała Bonnie, jej głos odbił się rykoszetem od obydwu luster, wypełniając pokój echem. - Czy nigdy nie będziesz szczęśliwa? Dla mnie?

- Usiądź, Bonnie - poleciła jej matka.

Zdenerwowaną przyszłą pannę młodą zastąpiła młoda kobieta w ciąży. Przysiadła nerwowo na skraju kwiecistej kołdry.

- Musimy porozmawiać - oświadczyła matka.

- Powinnaś odpoczywać, mamó. Doktor Bigelow powiedział...
- Doktor Bigelow gównó wie. Czy przez te wszystkie lata niczego się nie nauczyłaś?
- Powiedział, że miałaś wylew, który był groźniejszy niż ten poprzedni...
- Chcę porozmawiać o moim testamencie.
- Proszę, mamó, nie mogłybyśmy porozmawiać o nim, kiedy poczujesz się lepiej?
- Chcę, żebyś zrozumiała.
- Co mam zrozumieć?
- Dlaczego zrobiłam to, co zrobiłam.
- O czym ty mówisz?
- Zapisałam dom Nickowi.
- Mamó, nie chcę teraz o tym mówić.
- Nick potrzebuje czegoś, co go zakotwiczy.
- Wyzdrowiejesz. Porozmawiamy o tym, kiedy będziesz silniejsza.
- On nie jest tak silny jak ty - powiedziała matka, podchwytyjąc słowa córki. -

Dlatego właśnie zawsze pakuje się w kłopoty. Musisz mu pomagać.

- Mamó, Nick jest już dużym chłopcem. Może sam o siebie zadbać.
- On nie jest winien tego, co mu zarzucają, nie próbował nikogo zabić. Wiesz o tym.

Zobaczysz, że go uniewinnią. Jak poprzednim razem. On nie może iść do więzienia. To jakaś potworna pomyłka.

- Mamó, musisz przestać się o niego martwić. Zmartwienie ci szkodzi.

- Zawsze sprawiał mi kłopoty - powiedziała matka niemal z dumą. - Nie to co ty. Na ciebie zawsze mogłam liczyć. Ty jesteś moim aniołem. - Kąciki jej ust drgnęły w uśmiechu, jednakże przebyty wylew usztywnił jej twarz, więc uśmiech nie mógł się utrzymać. - Ale te jego wybryki, ile z nich było śmiechu! Cały czas strzelał z pistoletu. Pif-paf! - wspominała matka i choć uśmiech nie mógł pojawić się na jej ustach, pojawił się w oczach.

- Rozumiesz mnie, Bonnie, prawda? - upewniła się, zaglądając jej w oczy. - Ty masz już dom i męża, a niedługo będziesz miała dziecko. Nick nie ma nic. Potrzebuje czegoś, żeby się zakotwiczyć.

- Mamó, rób, jak uważasz - Bonnie usłyszała swój głos. - Nie zależy mi na tym domu.
- Kłamiesz, prawda? - Postać na łóżku sięgnęła ku niej, chwytając ją za rękę i

ponownie wtłaczając w młodą kobietę z lustra. - Zawsze byłaś kiepską kłamczuchą.

Bonnie próbowała wyszarpnąć rękę, lecz dłoń matki okazała się zbyt silna. Poczula, że nieubłaganie ciągnie ją w stronę postaci siedzącej na łóżku.

- Nie - zaprotestowała. - Proszę, zostaw mnie w spokoju.

- Spójrz na mnie - rozkazała kobieta. Bonnie pośpiesznie zasłoniła oczy.

- Nie. Nie.

- Spójrz na mnie - ponownie zażądała postać, jej kościste palce wczepiły się w dłoń córki, odciągając je od twarzy.

Ręce Bonnie opadły. Otworzyła oczy i spojrzała prosto w twarz siedzącej na łóżku kobiety. Cienie przeszłości rozpierzchły się.

Matka odpowiedziała jej spojrzeniem. Gęste ciemne włosy miała zaczesane do tyłu i upięte za pomocą staroświeckiej srebrnej klamry, jej oczy były głębokie i chłodne niczym arktyczne morze, blada skóra opinała dumne kości policzkowe, a pod zadartym nosem błąkał się nieprzekonujący uśmiech.

- Wyglądasz na zmęczoną - zauważyła, zapinając górny guzik białego pikowanego szlafroka.

- Ostatnio nie czułam się najlepiej - odpowiedziała Bonnie.

- Byłaś u lekarza?

- Tak - urwała, przełykając ślinę. - Myślałam, że może ty mogłabyś mi pomóc.

- Ja? Jak?

- Nie wiem.

- Dlaczego do mnie przyszedłaś?

- Chciałam cię zobaczyć.

- Co twoim zdaniem mogłabym dla ciebie zrobić?

- Nie wiem - powtórzyła Bonnie, szukając odpowiedzi na ścianach, ale nie znajdując jej. - Wiesz, że Nick zaraz po twojej śmierci sprzedał dom tacie?

- Potrzebował pieniędzy na prawników.

- Ty dałaś mu pieniądze na prawników.

- Dom był dla niego za duży. Poza tym on lubi podróżować. Pamiętasz, jak uciekł ze szkoły i wędrował przez cały kraj na własną...

- Przestań go usprawiedliwiać.

- Jest moim synem.

- A ja jestem twoją córką!

Matka nic na to nie powiedziała. Bonnie przyłapała się na spoglądaniu w lustro, na odbijający się w nim nieskończony łańcuch matek i córek. Pokolenia matek i córek, pomyślała, równie bliskich sobie jak odbicia w lustrze i równie dla siebie nieosiągalnych.

- Nie miałam pojęcia, że ten dom tyle dla ciebie znaczył - powiedziała matka.

- To nie dom - załkała Bonnie. - Nie obchodzi mnie dom.

- Więc nie rozumiem.  
- Ty mnie obchodzisz. Kocham ciebie, a nie dom.  
- Ja też ciebie kocham - odpowiedziała matka gładko.  
- Nie - zaprzeczyła Bonnie. - W twoim sercu jest miejsce tylko dla jednego dziecka i tym dzieckiem jest Nick.

- Bonnie, to śmieszne. Przecież zawsze cię kochałam.  
- Nie. Ty ode mnie zależałaś. Ty na mnie liczyłaś. Byłam twoim aniołem, pamiętasz? Byłam grzeczną małą dziewczynką. Chodząca dobroć, mawiałaś o mnie. Polegałaś na mnie. Ale to Nick był tym z nas dwojga, które kochałaś.

- Ależ, Bonnie, to nonsens - zdenerwowała się matka, a podniecenie sprawiło, że wymawiała słowa krótko, jakby każde z nich wiązała bandażem elastycznym. - Spodziewałam się po tobie czegoś więcej.

- Ty zawsze spodziewałaś się po mnie czegoś więcej - powiedziała Bonnie. - I nigdy cię nie zawiodłam, prawda? Zawsze sprostalam twoim wymaganiom. Zawsze pokonywałam tę wywindowaną pod niebo poprzeczkę, którą mi ustawiłaś.

Matka milczała.

- Przez całe życie starałam się uczynić cię szczęśliwą. Starałam się ciebie zadowolić. Starałam się sprawić, żebyś poczuła się lepiej. Kiedy byłam małą dziewczynką, myślałam, że może jesteś chora z powodu czegoś, co zrobiłam, i jeśli postaram się być idealnie grzeczna, nie sprawiać ci żadnych kłopotów, ty poczujesz się lepiej. Nawet kiedy byłam starsza i rozumiałam, że twoje problemy nie mają nic wspólnego ze mną, wierzyłam, że mogę sprawić, iż wyzdrowiejesz. Dobijałam targu z Bogiem. Obiecywałam Mu wszystko, co przyszło mi do głowy, byle tylko wrócił ci zdrowie, byle sprawił, że będziesz szczęśliwa. A po odejściu taty poczułam się jeszcze bardziej odpowiedzialna. Jeszcze usilniej się starałam. Gotowałam, sprzątałam, w szkole zbierałam same szóstki. Kiedy Nick zaczął rozrabiać, ja starałam się być grzeczna za nas oboje. Ale obojętne, jak bardzo się starałam, obojętne, jak wiele się modliłam, obojętne, jak grzeczna byłam, ty wciąż nie czułaś się lepiej. Nigdy nie opuszczałaś domu, chyba że szłaś do lekarza. Czy wiesz, że nigdy nie przyszłaś obejrzeć mnie w szkolnym przedstawieniu? Że nigdy nie rozmawiałaś z żadnym z moich nauczycieli? Że nigdy nie pofatygowałaś się nawet na wręczenie świadectw ukończenia szkoły?

- Byłam chora!
- Zawsze byłaś chora!
- Uważasz, że to moja wina?

- Nie! - Bonnie rozplakała się. A potem wykrzyknęła: - Tak! Tak, uważam, że to twoja wina - pozwoliła pośród łkań wypłynąć swemu głęboko skrywanemu żalowi. - Co to było za życie dla dziecka? Nie mogliśmy mieć żadnych przyjaciół. Nie wolno nam było mówić głośniejszym niż szeptem. Nie wolno nam było głośno słuchać radia, mieć zwierząt ani nawet klócić się. Musieliśmy uważać na wszystko, co robimy i mówimy, ponieważ mogliśmy cię zdenerwować i zrobiliby ci się gorzej. Lekarze namawiali cię do wstania z łóżka, do wyjścia z domu. Mówili ci, że powinnaś żyć normalnie, że nie jesteś przykutą do łóżka inwalidką...

- Lekarze... - zakpiła matka. - Co oni tam wiedzą?

- Powinnaś była sama się przekonać. Dostatecznie wielu poznałaś. Zmieniałaś ich, zaledwie zaczynali mówić rzeczy, których nie życzyłaś sobie słyszeć. Znajdowałaś sobie kogoś nowego, kto grzecznie wysłuchiwał twojej litanii skarg, kogoś, kto przepisywał ci kolejne porcje pigulek. Czy przyszło ci kiedyś do głowy, że to właśnie kombinacja tych wszystkich leków mogła spowodować twój wylew?

- Nonsens. Wiesz równie dobrze jak ja, że moje serce...

- Szmer w sercu. Miliony ludzi ma szmer w sercu. I prowadzi normalne, produktywne życie.

- Miałam migreny, alergię.

- Miałaś męża i dwoje dzieci, którzy cię potrzebowali.

- Staralam się, jak mogłam.

- W ogóle się nie starałaś! - Bonnie zamknęła oczy, czując, że pokój wokół niej zaczyna wirować. - Porzuciłaś nas na długo przedtem, zanim zrobił to tata.

Cisza.

- To nie o dom mi chodzi - powiedziała na zakończenie Bonnie, starając się ułożyć swoje myśli w słowa, sprecyzować szalejące w duszy uczucia. - Chodzi o to, że w warstwie rozumowej pojmuję, dlaczego zostawiłaś dom Nickowi. Naprawdę. Tylko że czuję się przez to taka opuszczona. Znowu czuję się porzucona. - Wstała i podeszła do komody, spoglądając na matkę przez dzielące je tafle szkła.

- Kiedy dowiedziałam się, że jestem w ciąży, nie mogłam się doczekać, by ci o tym powiedzieć. To było kilka parszywych miesięcy. Nick został aresztowany. Ty miałaś wylew. Łudziłam się, iż uratuje cię nowina, którą ci przyniosę. - Bonnie wybuchnęła śmiechem. - Po tych wszystkich latach, po wszystkim, co się wydarzyło, wciąż się łudziłam, że posiadam moc uleczenia cię. A jeśli nie ja, to na pewno będzie ją miało moje dziecko. Moje dziecko będzie dla ciebie zbawieniem, da ci siły, aby przetrwać, da ci wolę życia, pragnienie, by ujrzeć jego

pierwszy uśmiech, pierwszy kroczek, który zrobi. Przekonywałam siebie, że dla mojego dziecka staniesz się tym, kim nigdy nie stałaś się dla mnie, że będziesz doskonałą babcią, która dzierga na drutach sweterki i piecze smaczne szarlotki. - Niechętnie przypomniała sobie królującą w kuchni Adeline. - Ale nawet tego nie byłaś w stanie z siebie wykrzesać, prawda? - kontynuowała. - Musiałaś umrzeć, zanim urodziła się Amanda. Odmówiłaś mi nawet przyjemności pokazania ci własnego dziecka.

- Myślisz, że zrobiłam to celowo? - zapytała matka.

- Nie obchodzi mnie, czy zrobiłaś to celowo - odpowiedziała Bonnie. - Obchodzi mnie tylko to, że nie byłaś w porządku, nigdy nie byłaś. Ani wobec taty, ani wobec Nicka, ani wobec Amandy i z pewnością nie byłaś lojalna wobec mnie.

Matka złożyła ramiona na piersi i zapatrzyła się w dół.

- Co się z tobą stało, Bonnie? - zapytała gorzko. - Zawsze byłaś taką dobrą dziewczynką.

- Nie byłam dobrą dziewczynką! - krzyknęła Bonnie, spostrzegając, że od jej głosu zdrząły lustra, uwalniając poprzednie odbicia. Wszystkie, od troskliwej dziewczynki w białej sukience, przez zmartwioną nastolatkę, zaaferowaną dwudziestoletnią kobietę, po wzburzoną przyszłą matkę, skuliły się, zasłaniając dłońmi uszy. - Masz pojęcie, jak często życzyłam ci śmierci? - wybuchnęła płaczem. - Masz pojęcie, jak często pragnęłam, żeby twoje serce wreszcie zwyczajnie poddało się? - łkała, czując, jak wraz z tym wyznaniem jej własne serce łomocze i szarpie się w piersi niczym zwierzę w klatce. - Masz pojęcie, że ilekroć modliłam się o zdrowie dla ciebie, modliłam się, żebyś zasnęła i nigdy już nie obudziła? O Boże, nie jestem dobrą dziewczynką. Nie ma we mnie ani odrobiny dobroci.

Bonnie osunęła się na podłogę obok łóżka, złożyła głowę na podołku matki i gorzko szlochała.

Po kilku minutach poczuła gładzącą ją po włosach i karku rękę.

- Kocham cię - szepnęła zamierającym głosem matka.

- Ja kocham cię bardziej - załkała cicho Bonnie.

- Już dobrze - powiedział głos. - Już dobrze, Bonnie. Wszystko będzie dobrze.

Uniosła powoli głowę, dostrzegając stojącą obok Adeline, która gładziła ręką jej włosy. Poczawszy, że błękitna jak niebo kapa jest płaska pod jej dłońmi, spojrzała na łóżko. Łóżko było puste. Matka odeszła.

- Usłyszeliśmy z twoim ojcem, że płaczesz - powiedziała Adeline. - Zaniepokoiiliśmy się.

- Przepraszam - powiedziała Bonnie, ocierając łzy.

- Nie chciałam was niepokoić.  
- Nie, nie przepraszaj. To normalne, że jest się smutnym. To normalne, że się płacze.  
Bonnie skinęła głową i zmusiła się do powstania.  
- Powinnam już iść.  
- Musisz? - spytała Adeline. - Przed chwilą dzwonił Nick. Powiedziałam mu, że jesteś. Mówił, że zaraz przyjedzie.  
- Nie mogę czekać. Muszę wracać.  
- Oboje z twoim ojcem bylibyśmy szczęśliwi, gdybyś została na obiedzie. Możesz zadzwonić do domu, zaprosić całą rodzinę. Byłoby nam bardzo przyjemnie...  
- Dziękuję, ale nie - odpowiedziała pośpiesznie.  
- Roda nie ma w mieście, a ja nie czuję się najlepiej.  
- Może więc kiedy indziej.  
- Może - powtórzyła Bonnie, po raz ostatni ogarniając spojrzeniem sypialnię, zanim opuściła ją raz na zawsze, zostawiając za sobą wszystkie mroki i widma przeszłości.

## 26

Czekał na nią przed domem na podjeździe.  
- Josh! - zawołała mile zaskoczona, wysiadając z samochodu. Z największym trudem zwalczyła chęć rzucenia mu się w ramiona.  
- Widzę, że samochód działa teraz jak należy - zauważył.  
Maskując zmieszanie, spojrzała na zegarek. Miała nadzieję, iż na twarzy nie ma wypisane, jak bardzo cieszy się ze spotkania. Dochodziła piąta po południu.  
- Co tutaj robisz? - spytała.  
- Pomyślałem, że wpadnę i zobaczę, jak się miewasz. Przy okazji przyniosłem rosół. Pokazał butlę wypełnioną klarowną cieczą.  
Bonnie odruchowo poprawiła krótko przystrzyżone włosy. Otworzyła frontowe drzwi, ostrożnie przyjrzała się podłodze i dopiero po chwili poprosiła gościa do środka.  
- Halo! - zawołała, kierując się prosto do kuchni. Wzięła od Josha butlę z zupą i postawiła ją na szafce. - Nikogo nie ma w domu? Lauren? Amanda?  
Wróciła do przedpokoju, jeszcze raz sprawdzając godzinę na ręcznym zegarku.  
- Sam? - Ponownie przyjrzała się podłodze, bezgłośnie poruszając ustami. Czy to L'il Abner? Nie... Gdzie się wszyscy podziali?  
- Są u Diany - usłyszała głos Josha dobiegający gdzieś zza pleców.

Odwróciła się na pięcie. Zrobiła to zbyt gwałtownie, zakreśliło jej się w głowie.

- Co takiego?

Josh trzymał w ręce białą kartkę papieru.

- Zostawili na stole wiadomość. Proszę.

Wyciągnął ku niej rękę z kartką. Chciała sięgnąć po nią, ale straciła równowagę.

Czuła, jak ciało odmawia jej posłuszeństwa. W następnej sekundzie ściany zawirowały wokół niej i byłaby upadła, gdyby nie refleks Josha. Pochwycił ją, doprowadził do kuchni i posadził na krześle. Przyjrzał jej się z niepokojem i powiedział:

- Przyniosę ci wody.

Podszedł do kranu nad zlewem i nalał do szklanki zimnej wody.

- To już chyba kiedyś było. Masz takie wrażenie? Uśmiechnął się, przykładając brzeg szklanki do jej ust.

- Nic ci nie jest? Może wezwać lekarza? Bonnie przełknęła duży łyk orzeźwiającego płynu.

- Lekarza? Byłam u jednego dzisiaj rano. Przepisał mi tabletki.

- Skoro tak, może nadeszła pora, abyś jedną zażyła?

Przeniosła wzrok na zegarek, lecz nie była w stanie odróżnić dużej wskazówki od małej. Wyginały się, załamywały, gubiły pośród cyferek, które nie miały żadnego sensownego znaczenia.

- Jeszcze za wcześnie - odparła, przypomniawszy sobie, że przed chwilą brakowało kilka minut do piątej. Zaczerpnęła łyk wody i rzekła: - Nic mi nie będzie. Chyba trochę przesadziłam. Za dużo chciałam zrobić w jeden dzień.

Nagle zdała sobie sprawę, że jest kompletnie wyczerpana. Marzyła o miękkim posłaniu, zamknięciu oczu. Ten dzień wyssał z niej resztki sił. Jazda samochodem, wszystkie te wspomnienia, rozliczenia z przeszłością. Z całą pewnością nie był to spacer po plaży, pomyślała, a po chwili zastanowiła się, co dzieci robią u Diany.

- Co tam jest napisane? - zapytała. Josh odczytał treść notatki.

„Bonnie, pojechaliśmy do Diany, żeby zacząć tapetowanie łazienki. Zabraliśmy Amandę. Wrócimy około szóstej. Sam i Lauren.”

Odłożywszy kartkę na stół, powiedział:

- To co, zagrzeję talerz zupy, dobrze? Bonnie uśmiechnęła się.

- Dzięki. Zupa dobrze mi robi.

W okamgnieniu znalazł się przy szafce, przelał zawartość butli do garnka i ustawił na kuchence. Po kilku minutach uważnego podgrzewania Bonnie mogła posmakować specjału.



- Jest wspaniała - zapewniła, przełknawszy pierwszą porcję kojącego płynu.

- Sekretny przepis mojej mamy.

- Akurat...

- Twoje wątpliwości są słuszne. Moja mama nie potrafiła gotować, a ja nie potrafię kłamać. Kupiłem ten rosół w sklepiku w Wellesley.

- Nie przejmuj się, ja też nie potrafię kłamać - rzekła Bonnie, szczęśliwa, że Josh jest przy niej. - Dziękuję za zupę. To miło, że o mnie pamiętasz.

- Zawsze - powiedział z uśmiechem. Wyczyściła talerz i odłożyła łyżkę.

- Chyba położę się na kilka minut, zanim wszyscy wrócą.

Josh troskliwie pomógł jej przejść do salonu i ułożyć się na sofie.

- O której przyjedzie twój mąż?

Bonnie podciągnęła kolana do piersi, wtuliła głowę w miękką zieloną poduszkę i z ulgą zamknęła oczy.

- Nie ma go przez cały tydzień. Jest na zjeździe w Miami.

- Wie, że jesteś chora?

- Już niedługo będzie w domu. - Odrobinę uniosła głowę i patrzyła na Josha zza półprzymkniętych powiek. Właśnie rozsiadł się w fotelu stojącym naprzeciwko sofy. - Nie musisz zostawać. Nic mi nie będzie.

- Zaczekam, aż ktoś się pokaże. Chyba nie powinnaś być sama - stwierdził tonem wskazującym na bezzasadność dalszej dyskusji.

Dziękuję, pomyślała Bonnie, odpływając w sen.

- Mamusiu! - wykrzyknęła Amanda. - Tapetowaliśmy! Było ekstra!

Bonnie otworzyła oczy. Zdażyła usiąść i opuścić nogi na podłogę, gdy Amanda z impetem wskoczyła jej na kolana.

- Widzę, że nie obijałaś się po kątach - stwierdziła Bonnie, ścierając białe plamy z policzka dziewczynki.

- Ale była zabawa! Sam powiedział, że mam wrodzony talent. - Amanda zachichotała.

- Naprawdę tak powiedział? Dziewczynka dumnie kiwnęła głową i zapytała:

- Co to znaczy: wrodzony talent?

Bonnie roześmiała się. Do pokoju weszli Sam i Lauren, oboje modnie wystrojeni w podarte džinsy i stare koszulki, z włosami malowniczo przyprószonymi białym pyłem, przewiązаныmi z tyłu głowy. Nawet kolczyk w nosie Sama pokryty był białym nalotem.

- Czyj to samochód stoi na podjeździe? - zapytał Sam.

- Mój - odrzekł Josh, wchodząc do pokoju.

Bonnie zdziwiła się. Gdzie on był? Czy rzeczywiście przyjechał tutaj tylko po to, by ją zobaczyć?

- Dzień dobry, panie Freeman - pozdrowił go Sam.
- Co pan tutaj robi?
- Sprawdzam, jak działa wasz piekarnik - padła natychmiastowa odpowiedź. -

Przyszło mi do głowy, że przygotuję wam coś na kolację. Bonnie chyba nie miałyby nic przeciwko temu, więc przyrządziłem hot dogi.

- Hot dogi? - Amanda klasnęła z zachwytu.
- I fasolkę po bretońsku - dodał Josh, przymrużywszy oko.
- Nie musiałeś tego robić - wtrąciła Bonnie.
- Czy nie czas, abys zażyła tabletkę? - zripostował.
- Jaką tabletkę? - rzuciła Lauren.
- Bonnie była dzisiaj u lekarza - wyjaśnił Josh.
- Przepisał jej antybiotyki. Przyniosę je.

Wrócił do kuchni, zanim Bonnie zdążyła zaprotestować.

- Co powiedział lekarz? - dopytywała się Lauren.
- Niewiele. Według niego może to być zapalenie ucha wewnętrznego. - Wzruszyła ramionami. - Ale równie dobrze coś innego.
- U Diany bawiliśmy się w pokaz mody - pochwaliła się Amanda.
- Dostała się do szafy Diany - zdradziła Lauren.
- Próbowałam ją powstrzymać.
- Diana ma ładne ciuchy - mówiła Amanda.
- O tak - zgodziła się Bonnie. - Nie wydaje mi się jednak, żeby była zachwycona waszą zabawą. Mam nadzieję, że odłożyłaś wszystko na miejsce.

Amanda wydeła usteczka, jakby prosiła o pocałunek.

- Pomogłam jej - wyjaśniła Lauren. Zadzwonil telefon.
- Chcesz, żebym odebrał? - zawołał z kuchni Josh.
- Proszę.

Bonnie pomyślała, że to pewnie Rod. Ciekawe, jak zareaguje, gdy usłyszy głos obcego mężczyzny.

- Kim u licha jest Josh Freeman? - usłyszała ostre pytanie Roda, kiedy wzięła słuchawkę z rąk Josha. Usiadła na podsuniętym przez niego krześle i przyciszonym głosem powiedziała: - To nauczyciel Sama. Zapomniałeś? Przecież był na pogrzebie Joan.

- Co on tam robi?

- Przyszedł zobaczyć, jak się czuję. Jak sprawy w Miami? - Rozmyślnie zmieniła temat, nie chcąc wdawać się w szczegóły. Sama nie była pewna, co Josh robi w jej mieszkaniu.

- Sprawy idą wyśmienicie, lepiej, niż nam się marzyło. Marla doprowadziła oficjeli do szaleństwa. Jedzą jej z ręki.

Josh podsunął na otwartej dłoni pojedynczą białą tabletkę. Wzięła ją, włożyła do ust i połknęła, popijając wodą ze szklanki.

- Jak się czujesz? - spytał Rod.

- Prawie bez zmian. Odwiedziłam lekarza. Przepisał mi antybiotyki.

- U kogo byłaś?

- U doktora Kline'a.

- Co to za jeden?

- Poleciała mi go Diana - skłamała, uważając, że tak będzie prościej, zamiast wdawać się w opowieść o wizycie u doktora Greenspoona. Nie zamierzała utrzymywać jej w tajemnicy. Po prostu wszystko to było zbyt skomplikowane, by mówić o tym przez telefon.

- Znalazłaś węża?

Bonnie natychmiast opuściła wzrok na podłogę.

- Jeszcze nie.

- Cóż, postaraj się nie martwić. To już historia.

Kiwnęła głową.

Sam wszedł do kuchni i wyjął z lodówki karton z sokiem.

- Bonnie, jesteś tam?

- Jestem. Przepraszam, postaram się nie martwić.

- Dobrze. Posłuchaj, muszę już kończyć. Na siódmą Marla zorganizowała poważne spotkanie z grubymi rybami z sieci i muszę się przygotować. Zadzwoń jutro. - Przed odłożeniem słuchawki dodał: - Tęsknię.

- Jutro - powtórzyła Bonnie, odkładając słuchawkę na widełki.

Josh Freeman postawił na stole półmisek pełen hot dogów.

- Podano kolację - ogłosił, choć Sam, Lauren i Amanda już ochoczo sadowili się przy stole. - Dla was są hot dogi. Dla Bonnie gorąca zupa.

Telefon zadzwonił nad ranem dokładnie o drugiej dwadzieścia trzy. Bonnie podskoczyła na łóżku, wymachując na oślep ramionami, jakby broniła się przed natarczym dźwiękiem. Połapanie się w sytuacji zabrało jej kilka długich sekund, odnalezienie aparatu kilka następnych.

- Halo? - powiedziała, przyłożywszy słuchawkę do ucha.

Nic. Cisza.

- Halo! Do diabła, kto tam?

Nadal cisza. Potem pojedyncze kliknięcie i znowu głucha cisza.

- Halo, kto dzwoni? Jest tam ktoś?

Jedyną odpowiedzią był ciągły sygnał po przerwaniu połączenia. Rzuciła słuchawkę na widełki i wybuchnęła płaczem. Pierwszy dobry sen od kilku dni, nieprzerywany przez nudności, koszmary, podejrzaną hałas za oknem, został zrujnowany. Może przynajmniej antybiotyk zrobi swoje i poczuje się lepiej. Otarła łzy z twarzy i przygotowując się do opuszczenia łóżka, zapaliła lampkę, obejrzała podłogę i zasłony przy oknie.

Wyszła na korytarz. Zamiast spać, równie dobrze może zrobić kolejną nocną rundę po domu. Zajrzała do pokoju Sama. Terrarium węża dyskretnie rozjaśniała lampka, w której świetle spały dwa białe szczury, zwinięte w puszyste kulki. Najpierw węże, a teraz szczury. Nie wierzę, że to moje życie, pomyślała Bonnie, idąc dalej korytarzem. Zatrzymała się dopiero przy drzwiach Amandy. Były otwarte.

Zdenerwowała się. Przecież tyle razy ostrzegała Amandę, żeby zamykała drzwi, nim znajdzie się L'il Abner. Jeśli będziesz w nocy musiała pójść do łazienki, nie zapomnij po powrocie zamknąć drzwi, tłumaczyła. A teraz proszę, drzwi znowu były otwarte.

Nic na to nie możesz poradzić, powiedziała sobie, przekraczając próg pokoju i zanurzając się w mrok. W końcu Amanda była tylko małym dzieckiem, nie skończyła nawet czterech lat. Trudno wymagać od niej, aby umiała przewidzieć wszystkie niebezpieczeństwa, jakie mogą na nią czyhać choćby i we własnym pokoju. Od tego są matki.

Powoli wzrok przyzwyczaił się do ciemności. Podeszła do łóżka Amandy i położywszy dłoń na dużym pluszowym kangurze, słuchała równego oddechu dziecka. Ostrożnie, nie robiąc hałasu, zapaliła nocną lampkę w kształcie wielkiego ptaka. Dziewczynka poruszyła się, ale nie otworzyła oczu. Bonnie rozejrzała się szybko. Pełno miśków, piesków, żabek. Żadnych węży. Z ulgą zgasiła światło i wyszła na korytarz.

Drzwi do pokoju Lauren były zamknięte. Pchnęła je lekko i zajrzała do środka. Gdy postyszała oddech śpiącej dziewczyny, cicho zamknęła drzwi. Wróciła do swojego pokoju i wsunęła się do łóżka. Do rana nie zmrużyła oka.

Po południu zatelefonował Josh Freeman.

- Mam właśnie przerwę - powiedział. - Co u ciebie?

- Dzwoniłeś do mnie tej nocy?

- W nocy? Kiedy? To znaczy po wyjściu od ciebie?

- To znaczy dokładnie dwadzieścia trzy minuty po drugiej.
- Po co miałbym telefonować o trzeciej nad ranem?
- Przepraszam. Nie pomyślałam... Przecież to jasne, że to nie byłeś ty.
- Ktoś zadzwonił do ciebie w środku nocy? Co mówił?
- Nic, zupełnie nic. Odczekał minutę, a potem odwiesił słuchawkę.
- Zawiadomiłaś policję?
- Z takiego powodu? Ktoś się głupio zabawiał.
- Tak czy inaczej, nic nie stracisz, jeśli powiadomisz policję - poradził.

Bonnie skinęła, ale nic nie powiedziała.

- Jak się czujesz?
- W zasadzie nabrałam trochę sił - odparła, nie ruszając się z posłania. - Antybiotyki

chyba zaczął działać.

- Masz jeszcze ochotę na gorący rosół?
- Przyniosłeś wczoraj tyle, że wystarczy mi do końca tygodnia.
- A co powiesz na moje towarzystwo?
- Dlaczego? - spytała, zaskakując i jego, i siebie.
- Co dlaczego? Zawahała się.
- Prawie się nie znamy - przypomniała łagodnie, myśląc jednocześnie, że z radością

spotkałaby się z nim ponownie. - Aż tu nagle przynosisz mi morze rosółu i robisz dzieciom kolację. Co się dzieje?

- Lubię cię - odrzekł po długiej pauzie. - Wyczułem, że potrzebujesz bratniej duszy.

Mógłbym nią być.

Usłyszała dzwonek u drzwi domu.

- Ktoś przyszedł - powiedziała, wdzięczna losowi za przerwanie rozmowy. - Pójdę zobaczyć kto to.

- Zadzwonię później, jeżeli nie masz nic przeciwko temu.
- Nie, nie mam nic przeciwko.

Dzwonek u drzwi powtórzył się, gdy pokonywała ostatni stopień schodów.

- Chwileczkę - zawołała. Zebrała poły szlafroka i walcząc z miękkością nóg podeszła do drzwi. - Kto tam?

- Wasz ulubiony łobuz - odpowiedział znajomy głos.

Bonnie oparła się czołem o chłodną powierzchnię frontowych drzwi. Znowu dopadły ją niewesołe myśli. Jak do tego doszło, że przestała panować nad własnym życiem? Kiedy to się stało?

- Czego chcesz, Nick?
- Chcę cię zobaczyć.
- Nie czuję się najlepiej.
- Przyjąłem do wiadomości. Wpuść mnie. Chcę z tobą porozmawiać.

Odetchnęła bardzo głęboko i otworzyła drzwi.

- Mój Boże, coś ty zrobiła z włosami? - rzucił Nick na powitanie.

Jego ciemnoblond fryzura też była starannie przystrzyżona i uczesana. Bonnie dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego, że odziedziczył po matce delikatny nos.

- Dzwoniłeś do mnie tej nocy? - zapytała, wpuszczając go do środka.

- Tej nocy? Nie. Dlaczego pytasz?

- Ktoś zatelefonował o pół do trzeciej nad ranem - wyjaśniła. Skierowała się do kuchni. Wyjęła z lodówki słoje z rosółem, nalała trochę do garnka i postawiła na kuchence.

- Chcesz trochę zupy?

- Nie, dziękuję. Naprawdę myślałaś, że to ja telefonowałem w środku nocy?

- Już to kiedyś zrobiłaś - wypomniała.

- Bo powiedziałaś Adeline, że chcesz się ze mną skontaktować w pilnej sprawie.

Tylko dlatego dzwoniłem tak późno.

- Więc to nie ty telefonowałeś ostatniej nocy - stwierdziła.

- Zgadza się, nie ja. - Przysunął sobie krzesło i usiadł.

- Chcesz mi o tym opowiedzieć? Wzruszyła ramionami.

- Nie ma o czym opowiadać. Ktoś zadzwonił, a potem odłożył słuchawkę. Koniec bajki.

Nick odczekał chwilę i rzekł:

- Rozumiem, że Rod nadal jest na Florydzie.

- O co ci chodzi?

- O nic. Tak sobie gawędzimy.

- Miałam wrażenie, że próbujesz mi uświadomić, iż to Rod mógł telefonować.

- Nawet przez myśl mi to nie przeszło. Skąd taki pomysł? Myślisz, że to mógł być

Rod?

- Oczywiście, że nie - powiedziała szybko, ale nie była szczerą.

- Posłuchaj - rzekł Nick - wpadłem tylko, by zobaczyć, jak się miewasz. Adeline powiedziała, że byłaś wczoraj u nas. Miałem nadzieję, iż zastanę cię po powrocie z pracy, ale nic z tego nie wyszło. Podobno wyszłaś wcześniej, bo nie czułaś się najlepiej.

- Co jeszcze powiedziała słodka Adeline?

- Że ty i ojciec ucieliście sobie porządną pogawędkę.
- Tak to określił ojciec?
- Znasz tatę. On...
- Nie jest zbyt rozmowny - zauważyła Bonnie, kończąc wypowiedź brata.
- Wiem jednak, że był zadowolony z twojej wizyty. Miał to wypisane na twarzy.

Zupełnie jakby zniknął przesłaniający ją ponury cień.

Zupa zaczęła wrzeć. Bonnie zsunęła garnek z palnika i przelała płyn do wazy.

- Jesteś pewien, że nie chcesz?
- Wolałbym piwo, jeśli masz. Wskazała na lodówkę.
- Obsłuż się.

Po chwili siedzieli naprzeciw siebie przy kuchennym stole. Bonnie popijała zupę, Nick piwo. Kto by pomyślał, że tak to się potoczy.

- Jak idzie śledztwo w sprawie morderstwa? - zapytał nagle Nick.

Zaskoczył siostrę. Zadrżała ręka, w której trzymała łyżkę, zupa rozlała się na blat stołu.

- Słucham? - odezwała się, chcąc zyskać na czasie.  
 - Ostrożnie, jest gorąca. - Wziął serwetkę i wytarł plamę. - Pytałem, czy są nowe poszlaki w prowadzonym przez policję śledztwie?

- Dlaczego o to pytasz? Machnął ręką.  
 - Od jakiegoś czasu w gazetach nie piszą o tej sprawie. Byłem ciekaw, czy nie dotarły do ciebie jakieś nowiny.  
 - Na przykład jakie?  
 - Na przykład chciałbym wiedzieć, czy policja wpadła na trop mordercy Joan. Może jest bliska jego ujęcia.

- Nic nie wiem. Mogę tylko zgadywać - odparła, lecz uważnie patrzyła mu w oczy, usiłując przeniknąć jego myśli.

Nick swobodnie uniósł butelkę do ust, odchylił głowę do tyłu i bez pośpiechu wlewał do gardła brązowawy płyn.

- Nie ma nic lepszego od butelki zimnego piwa - rzekł.
- A może ty o czymś słyszałeś? - spytała Bonnie.
- Ja? - Roześmiał się. - Jakim cudem miałbym dowiedzieć się czegoś w tej sprawie?
- Myślałam, że policja wezwie cię na przesłuchanie.
- Nadal uważasz, że mogłem zabić Joan?
- A nie zrobiłeś tego?

- Nie. - Łyknął piwa. - Mam alibi, zapomniałaś?
- Nie wydaje mi się, żeby ojca można było traktować jako niezależnego świadka.
- Już raz pomyliłaś się co do niego. Zapadła cisza.
- Może mnie również mylnie oceniłaś? - dodał Nick.
- Wątpię - powiedziała szybko jak uparte dziecko. Wstała od stołu, żeby odnieść wazę

z zupą na szafkę przy zlewie. Podłoga lekko uciekała jej spod stóp. - Morderstwo nie jest ci obce, prawda? A może wciąż obstajesz przy tym, że zostałeś wrobiony?

- Kiedy Scott Dunphy uzgadniał szczegóły, byłem w samochodzie - przypomniał, a Bonnie stanęły przed oczami wycinki ze starych gazet. Wycinki z albumu Joan, uświadomiła sobie, wstrzymując oddech.

- Stali dwa kroki od ciebie - spierała się. - Jakim sposobem nie słyszałeś, o czym mówią?

- Okna były zamknięte.

- Więc nic nie słyszałeś i nie miałeś najmniejszego pojęcia, za co twój podejrzany kumpel wręczył dziesięć tysięcy dolarów zupełnie obcemu człowiekowi. To właśnie próbujesz mi wmówić?

- To bardziej skomplikowane, niż ci się wydaje.

- Co ty nie powiesz?

Po krótkiej pauzie Nick powiedział:

- Nie zabiłem Joan.

Bonnie kiwnęła głową na znak, że przyjęła to do wiadomości, ale nic nie powiedziała. Czepiała się. Niepotrzebnie... Nagle całe pomieszczenie zrobiło fikołka, miała wrażenie, że sufit znalazł się na miejscu podłogi. Oparła się o szafkę i wyjrzała przez okno, usiłując skupić wzrok na rozłożystym klonie rosnącym tuż przed domem. Widziała, jak gałęzie lekko uginają się pod naporem wiatru, wykrzywiają, deformują. A może tylko wydawało się jej? Przeniosła wzrok na litografię Chagalla, zawieszoną na ścianie obok okna. Odwrócona do góry nogami krowa zdawała się powoli, lecz systematycznie zjeżdżać w dół po pochyłym dachu. Bonnie czuła, że uginają się pod nią kolana. Miała wrażenie, że jej głowa wygląda teraz tak, jak u tych ludzi przedstawionych na obrazie Amandy. Bała się, że gdy podniesie dłoń do policzka, poczuje gładką, obcą powierzchnię szczęśliwego pudła. Co się z nią dzieje? Może nadszedł czas na następną tabletkę? Spojrzała na ręczny zegarek, ale nie była w stanie rozróżnić pojedynczych cyferek. Tarcza elektronicznego zegara, znajdującego się nad kuchenką, również była całkowicie nieczytelna, cyfry zamazały się, zlały w jedną barwną plamę.



- Zegar w moim samochodzie ma cyfrowy wyświetlacz - powiedziała na głos, przypominając sobie, co mówiła policji.

Zaraz potem wybuchnęła histerycznym śmiechem. To wszystko było absurdalne. Zupełnie pozbawione sensu. Tylko dlaczego nikt jej nie powiedział, że będzie coraz gorzej?

- Bonnie... - Głos Nicka był stłumiony, jakby docierał zza grubej dźwiękoszczelnej zasłony. - Co się dzieje? Dobrze się czujesz?

Zrobiła krok do przodu i wpadła w panikę, ponieważ nie czuła pod stopami podłogi.

- Pomóż mi! - zdążyła zawołać, nim kuchnia zatonała w nieprzeniknionym mroku, który wessał ją, pchnąwszy na spotkanie bezdennej otchłani bez światła i dźwięków.

## 27

Otworzywszy oczy, stwierdziła, że leży w łóżku. Nick siedział obok na krześle.

- Co się stało? - zapytała, powoli unosząc się na pościeli.

- Zemdlałaś - odparł, ostrożnie siadając w nogach łóżka.

Rozejrzała się. Na dworze było jeszcze jasno.

- Długo byłam nieprzytomna?

- Niedługo. Mniej więcej godzinę.

- Dzieci...

- Sam i Lauren wrócili ze szkoły, ale zaraz wyszli. Mówili coś o tapetowaniu łazienki u Diany. Amanda jeszcze nie wróciła.

- Wszystko w porządku. Została zaproszona na przyjęcie do przyjaciół. Odwiozą ją około wpół do szóstej. Muszę wstać i przygotować kolację.

Odetchnęła głęboko. Głowa wydawała jej się ciężka, jakby wypełniały ją same kamienie, bolał ją kark, nie miała siły ruszyć nogą ani ręką. Co się z nią dzieje? Nigdy dotąd nie czuła się tak źle. Czyżby miała nawrót choroby?

- Zostań tam, gdzie jesteś. Powiedziałem już dzieciakom, że kiedy wrócą do domu, zamówimy pizzę.

- To śmieszne - dąsała się Bonnie. - Nie mogę wiecznie tkwić w łóżku.

- Kto mówi, że będziesz tu tkwić wiecznie? Bonnie, jesteś naszą matką. Kilka dni w łóżku nie oznacza końca świata.

Spróbowała się uśmiechnąć, lecz usta tylko zadrgały jej nerwowo. Nie podjęła następnej próby.

- Od kiedy jesteś takim miłym gościem? - rzekła. Nick zignorował pytanie.

- Ktoś telefonował, kiedy spałaś. Przedstawił się jako Josh Freeman i utrzymywał, że jest twoim przyjacielem.

Bonnie przytaknęła.

- Jest nauczycielem w Weston Secondary. Wpadł tutaj wczoraj i przyniósł mi rosół.

- Jak widzę - powiedział, masując jej stopy - nie możesz narzekać na brak mężczyzn skorych zaopiekować się tobą.

Ale nie ma wśród nich mojego męża, pomyślała gorzko. Jak na zamówienie rozległ się dzwonek telefonu i w słuchawce usłyszała głos Roda.

- Jeszcze jesteś w łóżku? - zapytał na wstępie.

- Chyba nie wykuruję się tak szybko, jak sądziłam.

- Co na to lekarz?

- Jutro będą wyniki badań, powinnam wiedzieć coś więcej - odrzekła, zdając sobie sprawę, że nie jest to precyzyjna odpowiedź.

Nick niespokojnie krążył między łóżkiem i oknem.

- Co u dzieciaków? - pytał Rod.

- Wszystko w porządku. Lauren nic nie jest. Jak na razie oprócz mnie nikt nie zachorował.

I dzięki Bogu, pomyślała.

- Kiedy on wraca? - powiedział głośno Nick.

- Co? - zawołał Rod. - Kto tam jest? Znowu ten nauczyciel?

- To Nick - wyjaśniła.

- Nick? A co on tam robi, do cholery?

- Opiekuję się moją siostrą - odparł Nick, przejmując słuchawkę z rąk Bonnie. - Czyli robię to, co należy do ciebie.

- Nick! - zaprotestowała, ale słabo i bez przekonania. W głębi serca obiema rękami podpisywała się pod słowami brata.

- Do diabła, co się tam wyprawia? - wrzasnął Rod na drugim końcu linii telefonicznej.

- Twoja żona jest chora. Zemdlała godzinę temu i na szczęście byłem w pobliżu, aby ją złapać, zanim upadła na podłogę.

- Zemdlała?

- Kiedy masz zamiar wrócić do domu? - ponowił pytanie Nick.

- Planowo miałem wrócić w sobotę rano.

- Zmień plany.

Zapadła cisza. Cała trójka wstrzymała oddech. Pierwszy odezwał się Rod.

- Daj mi Bonnie. Nick podał jej słuchawkę.
- Rod...
- Co tam się dzieje, Bonnie?
- Nie czuję się dobrze, Rod.
- Chcesz, żebym skrócił podróż służbową i wrócił do domu?

Wyczuwała w jego głosie niemą prośbę o odpowiedź: „nie”. Przymknęła powieki. W ustach poczuła posmak krwi.

- Tak - powiedziała głośno i wyraźnie.

Po drugiej stronie linii zapadła nieprzyjemna cisza.

- W porządku - rzekł w końcu Rod. - Sprawdzę, czy uda mi się wykupić bilet na któryś z jutrzejszych lotów.

Bonnie zaczęła płakać.

- Przepraszam, Rod. Nie wiem, co się ze mną dzieje. Nie wiem, co mam robić. Boję się.

- Nie bój się, skarbie. - W głosie zabrzmiała odrobina współczucia. - To tylko jakaś wyjątkowo paskudna odmiana grypy. Pewnie zanim wrócę do domu, poczujesz się znacznie lepiej.

- Mam nadzieję.

- To dobrze... Posłuchaj, muszę kończyć, jeśli mam dokonać zmian w moich planach. Kochanie, jutro się zobaczymy. Bądź spokojna, spróbuj się przespać. I pozbądź się swego braciszka. Zanim się pojawił, wszystko szło całkiem dobrze.

Bonnie oddała słuchawkę bratu, a ten rzucił ją na widelki. Po raz pierwszy dostrzegła, jak silnie ma rozwinięte mięśnie ramion. Pewnie lata treningu w więzieniu zrobiły swoje, pomyślała, rozważając ostatnie słowa męża. „Zanim się pojawił, wszystko szło całkiem dobrze.”

A ja naiwnie sądziłam, że konfrontacja z przeszłością zrobi mi dobrze, pomyślała, opadając na poduszkę.

- Wraca jutro - usłyszała własne słowa i zaraz potem zasnęła.

Kiedy ponownie otworzyła oczy, było już ciemno. Usiadła na posłaniu, czym wywołała serię wewnętrznych wstrząsów, jakby w jej ciele eksplodowały miniaturowe bomby termiczne. W jednej chwili oblał ją pot.

- Bonnie?

Głos dobiegał z głębi ciemności. Drgnęła, uklękła na łóżku i okrywając się kocem, próbowała przebić wzrokiem otaczający ją mrok. Nie miała pewności, czy jest to jawa czy jeszcze sen.

- Spokojnie. To tylko ja, Nick - usłyszała ten sam głos, tyle że z mniejszej odległości.

Ujrzała wyłaniającego się z czerni mężczyznę z długimi blond włosami, muskularnymi ramionami i twarzą, w której interesująco prezentował się typowo kobiecy nos.

- Która godzina?

Jak często zadawała to pytanie w ciągu ostatnich dni? Zresztą czy częstotliwość miała jakiegokolwiek znaczenie?

- Jest po dziesiątej.

- Po dziesiątej?! Gdzie jest Amanda?

- Śpi.

- A Sam i Lauren?

- W swoich pokojach.

- Co ty tutaj jeszcze robisz?

- Upewniam się, że wszystko w porządku.

- Rozumiem. Tylko skąd ta nagła troska?

- Zawsze się o ciebie martwiłem - odrzekł całkiem serio.

Ktoś nieśmiało zapukał do drzwi.

- Proszę - zawołała słabym głosem.

Wszedł Sam, skulony, z opuszczoną głową, jakby niski sufit nie pozwalał mu się wyprostować. Szukał Bonnie nieprzywykłym do mroku wzrokiem.

- Usłyszałem głosy i pomyślałem, że zajrzę, co u ciebie - tłumaczył. - Jak się czujesz?

- Bywało lepiej.

- Tabletki nie skutkują?

Potarła czoło. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy brała je po raz ostatni.

- Chyba właśnie powinnam je zażyć - powiedziała niepewnie.

- Gdzie są? - spytał Nick.

- Zostały w kuchni.

- Przyniosę - zaproponował Sam i wyszedł z pokoju.

- Dziwny dzieciak - zauważył Nick.

- Ty też taki byłeś - przypomniwała bratu. - Zawsze bawiłeś się w policjantów i złodziei. Tylko że wtedy stałeś po stronie tych pierwszych. Co się stało, Nick? Co sprawiło, że przeszedłeś na drugą stronę?

- Zdarza się. Ludzie się zmieniają.
- Ale coś musiało się stać. Dlaczego ludzie się zmieniają?

Nick odgarnął włosy z czoła. Nie była pewna, jak odczytać wyraz jego twarzy, lecz intensywność spojrzenia, której nie mogła skryć nawet ciemność, spowodowała, iż po plecach przeszły jej ciarki.

Co on tutaj robi? Po co przyszedł? Dlaczego ponownie zjawił się w jej życiu i to akurat w tym momencie? Co go łączyło z Joan? I z jej śmiercią? Zamordował ją? A może planował pozbawić życia również rodzoną siostrę? Czy pojawił się w jej życiu właśnie po to, aby zrealizować ten plan?

Taki był cel jego dzisiejszej wizyty? Czowała się tak źle, że było jej wszystko jedno. Tylko żeby stało się to szybko, żeby było już po wszystkim. Nawet śmierć byłaby lepsza od stanu, w jakim znalazła się po kilku tygodniach fizycznych tortur. Modliła się o szybki koniec. Tylko nic nie zrób dzieciom, powiedziała w myślach, patrząc na Nicka. Dzieci! Nie, nie wolno się poddawać. Musisz być silna, powtarzała sobie. Nie możesz pozwolić, żeby coś przytrafiło się twojej małej córeczce.

- Przyniosłem ci trochę zupy - rzucił Sam już od progu. Powoli obszedł łóżko, podał tabletkę, delikatnie upuszczając ją na otwartą dłoń Bonnie, a potem wręczył jej kubek z parującą ciecżą. - Ostrożnie, jest gorący. Wstawiłem go do kuchenki mikrofalowej.

Położyła tabletkę na końcu języka, nabrała w usta zupy i połknęła. Pigułka uderzyła o przełyk niczym kulka we flipperze. Zacerpnęła jeszcze łyk zupy. Poparzyła sobie koniec języka, ale nie zważała na takie drobiazgi.

- Jak poszło tapetowanie u Diany? - zapytała.
- Doskonale - odparł dumnie. - Chyba będzie zadowolona.
- Na pewno - stwierdziła, popijając rosół.
- Wraca w ten weekend. Przekonamy się. - Przebierał nogami. - Jestem trochę zmęczony. Mógłbym się już położyć?
- Oczywiście - powiedziała Bonnie.
- Sam trafię do wyjścia - zapewnił Nick.

Sam uśmiechnął się z ulgą. Zrobił kilka kroków w kierunku drzwi, lecz zatrzymał się tuż przy nich.

- Mam nadzieję, że jutro poczujesz się lepiej - rzekł.
- Ja również - zgodziła się. Zwróciła twarz w stronę Nicka. - Jestem pewna, że masz ważniejsze sprawy.
- Żadnych. W zasadzie przyszło mi do głowy, że mógłbym tu przenocować.

- Co? Nie, nie, nie bądź niemądry. Nie musisz...

- Dlaczego nie? Prześpię się tutaj, w fotelu. Gdybyś czegokolwiek potrzebowała, będę w pobliżu.

- Na pewno nie będę niczego potrzebowała.
- I tak zostanę - stwierdził stanowczo Nick.

\*

Z początku dźwięk był częścią snu. Stała pośrodku szkolnej kawiarenki, z plastikową tacą w ręce, czekając na swoją kolej.

- Posuń się - usłyszała i posłusznie zrobiła krok do przodu. Pisk powtórzył się. Dobiegał zza kratki systemu wentylacyjnego, umocowanej w ścianie na wysokości łydki.

- Coś się popsuło? - zapytała stojącego za nią Roda, który miał na sobie uniform szkolnego woźnego.

- Sprawdź sama - zaproponował, wyjąwszy kratkę ze ściany.

Pisk natychmiast stał się głośniejszy, wyraźniejszy. Bonnie zdała sobie sprawę, że ktoś jest uwięziony w przewodach wentylacyjnych.

- Uważaj na węże - ostrzegł Rod, gdy wpełzała do wnętrza długiego tunelu.

- Kto tam jest? - krzyknęła, a głos odbił się rykoszetem od ścian, owiał jej twarz jak suchy ciepły wietrzyk.

- Mamo? - odpowiedział cichy głosik. - Mamusiu, pomóż mi. Pomóż mi!
- Amanda?

Na chwilę jej serce przestało bić. Odpychając się kolanami i rękami, rzuciła się w głąb kanału wentylacyjnego, ale im dalej się czołgała, tym tunel robił się dłuższy i zamiast przybliżyć się do źródła dźwięku, była od niego coraz dalej. Ze ścian kanału sypał się kurz i bryłki ziemi, grożąc Bonnie pogrzebaniem żywcem.

- Mamusiu! - krzyknęła Amanda, lecz tym razem jej głosik ginał w znajomym pisku.
- Amanda! - wrzasnęła Bonnie, rzucając się w mroczny tunel. Wyciągniętymi przed siebie rękami na oślep szukała drogi do córki, lecz znalazła tylko duszną, wilgotną pustkę.

Obudził ją nagły powiew zimna. Usiadła na posłaniu, dostrzegając w ciemności sylwetkę śpiącego w fotelu brata. Z czoła, policzków, karku ściekały jej kropelki potu. Mój Boże, pomyślała, jeszcze jeden koszmar do kolekcji.

Nagle do jej uszu dotarł pisk i zrozumiała, że dźwięk nie był wytworem wyobraźni, lecz został włączony do snu przez podświadomość. Czyli był rzeczywisty.

- Amanda! - wyszeptała gorączkowo.

Wyskoczyła z łóżka i biegiem rzuciła się przez korytarz do pokoju córki. Z każdym krokiem pisk stawał się coraz głośniejszy.

Kiedy znalazła się na progu pokoju Amandy, z przerażeniem stwierdziła, że drzwi są otwarte na oścież. Mamrocząc słowa modlitwy, przestąpiła próg pokoju i zapaliła światło.

Dziewczynka siedziała na łóżku, wtulona w zagłówek. Rączki trzymała przy szeroko otwartej buzi, po policzkach ciekły jej strugi łez, wylewające się z oczu przypominających dwa wielkie spodki. Nakrycie leżało na podłodze, pluszowe zwierzątka porozrzucane były po całym posłaniu - różowa panda tkwiła obok jej główki, czarne i białe pieski na wysokości talii, a przy nogach... żywy wąż.

Widok był niemal surrealistyczny. Bonnie zachwiała się, ale zastygła tuż przy wejściu do pokoju i nie mogła zrobić ani jednego kroku.

Wąż oplatał nogę dziecka w kostce i hipnotycznie chybcząc się, piał się w górę.

- Mamo - zapłakała Amanda. - On mi ściska nogę. To boli. Zrób coś, żeby przestał.

Bonnie czuła, jak jej ciało mięknie, odpływa, a w głowie rozrasta się lepka wata. Zrozumiała, że jest na granicy omdlenia. Nie, nie, nie, nie! Nie wolno jej zemdleć, nie wolno! Musi ratować córkę. Tylko to liczyło się teraz. Jej dziecko, dziecina, którą ceniła ponad własne życie. Nie mogła pozwolić, aby coś jej się stało. Zrobi wszystko, by ją ochronić.

W następnej chwili miała wrażenie, iż opuszcza ciało, jakby była wężem zrzucającym skórę. Popłynęła przez powietrze niczym duch. Poddała się szalejącej w żyłach adrenalinie, wyciszyła myśli, pozwalając, by kierował nią czysty, zwierzęcy instynkt. Bez wahania dopadła węża, jedną ręką chwyciła go tuż za głowę, drugą mniej więcej w połowie długości. Wąż zeszywniał pod jej dotykiem, zrobił się cięższy niż sekundę wcześniej. Wydawało jej się, że trzyma gruby metalowy pręt. Nagle pręt zaczął się wić i skręcać, miotać w jej uścisku we wszystkie możliwe strony. Starła się przytrzymać jego głowę z dala od siebie i córki, podczas gdy palcami drugiej dłoni próbowała wyplątać nóżkę dziecka z węzowych splotów. Bez skutku. Wąż zdawał się mieć własne palce, dziesiątki ruchliwych palców, którymi odpychał palce człowieka. Jest silny, bardzo silny, pomyślała Bonnie. Nie była pewna, czy będzie miała dość sił, aby go utrzymać.

Słyszała jakieś krzyki i dopiero po chwili uświadomiła sobie, że to ona sama krzyczy. Wąż wciąż nie puszczał nogi Amandy. Już prawie, prawie się udało, pomyślała, wcisnąwszy palce między sploty. Prawie go miała.

Niespodziewanie zwierzę ustąpiło. Posłyszała dziwny dźwięk, coś jakby „puff”, podobny do tego, jaki towarzyszy uwolnieniu bańki od gładkiej powierzchni, przyssanej dzięki różnicy ciśnień. Amanda była wolna. Wąż kontynuował zmagania w ramionach

Bonnie. Jest strasznie ciężki, pomyślała. I tak potwornie silny. Nie była w stanie dłużej go trzymać. Posłyszała głosy w korytarzu, obróciła się do wejścia i ujrzała Nicka. Oczy błyszczały mu dziko, w dłoni trzymał pistolet. Celował prosto w jej głowę.

Jęknęła i przestała walczyć. Otworzyła dłonie, wąż wysunął się z nich, poleciał w dół i gruchnął o podłogę. Natychmiast zwinął się w kłębek, by z wściekłością rozpocząć przygotowania do kontrataku.

- Nie strzelaj! - wrzasnął Sam. Odtrąciwszy Nicka, wpadł do pokoju i rzucił się na rozjuszonego boa dusiciela.

Bonnie nie spuszczała oka z brata, z wymierzonego w nią pistoletu. Czy to ten sam, z którego zastrzelono Joan? Czy Nick zamierza użyć go teraz przeciw własnej siostrze?

Kątem oka zobaczyła Sama, podnoszącego się z podłogi wraz z węzem, który nadal stawiał opór. Sam krzyknął z bólu, ale nie puścił zwierzęcia. Ciężko oddychając, rzucił Nickowi krótkie spojrzenie i wybiegł z pokoju.

Po chwili Bonnie usłyszała dźwięk zatraskiwanej klapy od terrarium. Uszło z niej powietrze. Osunęła się na kolana i wybuchnęła płaczem.

- Mamusiu! - zawołała Amanda, wyskoczywszy z łóżka.

- Nic ci nie jest, maleńka? - spytała Bonnie, całując dziewczynkę w policzek, głaszcząc włosy. Obejrzała miejsce, gdzie wąż zacisnął swe sploty. Kostka zaczęła już puchnąć, a na skórze pojawiły się zaczątki siniaka.

- Co się dzieje? - dobiegł głos od strony wejścia do pokoju.

Bonnie dojrzała Lauren, zaglądnącą do środka zza pleców Nicka. Nigdzie nie widziała broni. Czyżby pistolet był przywidzeniem?

- Znaleźliśmy węża - powiedziała Amanda. Bonnie roześmiała się przez łzy.

- Święte słowa...

- Wąż tu jest?! - wykrzyknęła Lauren, spoglądając pod nogi.

- Sam go zabrał. Lauren spojrzała na Nicka.

- A co ty tutaj jeszcze robisz?

- Nic - odparł krótko. Zaśmiał się, podszedł do Bonnie i pomógł jej wstać. - Nic ci się nie stało?

- Myślę, że nie - powiedziała, odsuwając się od niego.

- Sam został chyba ukąszony.

- Był już kąsany wiele razy - poinformowała ich Lauren. - Ukąszenia są bolesne, ale wąż nie jest jadowity.



Bonnie wzięła córkę na ręce. Ramiona miała tak obolałe od dźwigania węża, że z trudem doszła do łóżka. To już chyba resztki sił.

- Dałaś imponujący pokaz - stwierdził Nick. - Będę pamiętał, żeby z tobą nie zadzierać.

Popatrzyła na brata. Wyjaśnij, mówiło jej spojrzenie. Później, odparł wzrokiem.

Kiedy wszyscy wrócili do łóżek, a wąż do terrarium, Bonnie zapytała Nicka wprost:

- Zamierzasz nas zabić?

- Naprawdę tak myślisz? - rzekł spokojnym tonem.

- Że jestem tu, aby cię zabić?

- Nie wiem już, co myśleć - powiedziała szczerze. Każdą komórką ciała pragnęła położyć się i odpocząć.

- Nie przyszedłem tu, żeby cię skrzywdzić, Bonnie.

- Więc po co?

- Myślałem, że będę mógł cię ochronić - wyjaśnił po krótkiej pauzie.

- A ja myślałam, że przestępcy z wyrokiem nie dostają pozwolenia na broń.

- I nie pomyliłaś się.

Przysiadła na krawędzi łóżka. Jaki sens miała rozmowa z bratem? Przecież i tak nic jej nie powie.

- Jak sądzisz, czy nie powinniśmy zabrać Sama do szpitala?

- Według niego trochę tylenolu wystarczy, żeby przetrwać noc, a jeśli rano będzie czuł się źle, pójdzie do lekarza.

Bonnie kiwnęła głową. Pomogła Samowi dokładnie przemyć miejsce ukąszenia i obserwowała, jak nakłada sobie specjalną antyseptyczną maść. Nic nie wspomniał o pistolecie Nicka. Może broń naprawdę była tylko wytworem jej bujnej wyobraźni?

Po opatrzeniu ukąszenia położyła Amandę spać w pokoju Lauren. Dziewczynki przytuliły się do siebie i szybko usnęły.

- Czy to z tej broni zabito Joan? - zapytała, dojrzawszy rękojeść rewolweru, zatkniętego za dzinsy.

- Joan zabito z trzydziestki ósemki - odparł rzeczowo.

- A to jest magnum 357.

- I dzięki temu mam się czuć bezpieczniej? - powiedziała, zdając sobie sprawę, iż rzeczywiście jest spokojniejsza.

- Nigdy nie mógłbym zrobić ci krzywdy. Wątpisz w to?

- O co w tym wszystkim chodzi, Nick? Milczał.

- Posłuchaj... Jestem chora, zmęczona, wydaje mi się, że mój mąż ma romans i przez pół nocy mocowałam się z węzem. Nie jestem pewna, ile jeszcze mogę znieść. Zaczynam się gubić, Nick. Moje życie przypomina labirynt bez wyjścia, płataninę wątpliwości i pytań. Jeżeli zaraz nie dasz mi kilku odpowiedzi, będziesz musiał mnie zastrzelić, bo zamierzam wziąć słuchawkę telefonu, wykręcić numer policji i powiedzieć im, że mój brat, były więzień, stoi na środku mojej sypialni z magnum zatknętym za pasek dżinsów.

- To chyba nie będzie konieczne.

- Skoro ze mną nie chcesz rozmawiać, może pogadasz sobie z policją - powtórzyła groźbę.

- Bonnie - rzekł spokojnie Nick, zbliżając się do niej.

- Ja jestem z policji.

## 28

Nick wyszedł, zanim Rod wrócił do domu.

- Skarbie, jak się czujesz? - zapytał Rod już u progu. Uściskał ją ciepło, a potem odsunął się i obejrzał żonę od stóp do głów. - Wyglądasz fatalnie.

Bonnie podniosła dłoń do włosów, odruchowo poprawiła je palcami nad czołem. Łzy napływały jej do oczu. Spędziła w łazience niemal bitą godzinę na doprowadzaniu siebie do jakiegoś takiego stanu. Wzięła prysznic, umyła włosy specjalną odżywką, którą reklamowano jako środek wlewający nowe życie w zniszczone włosy, wyszczotkowała zęby. Ostrożnie omijała dziąsła, ale krew sączyła się z nich tak czy inaczej. Zrobiła sobie nawet makijaż, próbując zamaskować pudrem bladożółty kolor policzków. Nałożyła kilka warstw tuszu na cienkie łamliwe rzęsy, zwilżyła wyschnięte usta różową pomadką. I po raz pierwszy od wielu dni zdjęła z siebie przeпоconą podomkę i zastąpiła ją piękną sukienką w kwiatki. Wszystko na nic! Rod powiedział, że wygląda fatalnie. Cóż, może po tym silikonowym cudzie, Marli Brenzelle, zapomniał, jak wygląda prawdziwa kobieta, zwłaszcza gdy nie czuje się dobrze. Prawdziwe kobiety nie jeżdżą do Miami z zamiarem poskromienia bossów telewizji, pomyślała, zerkając na piętro. Prawdziwe kobiety zostają w Bostonie i poskramiają węże.

- Jak dzieciaki? - spytał Rod, kierując się do kuchni. Zajął się przeglądaniem swojej korespondencji.

- Dobrze - odparła, idąc za mężem.

Spojrzała na zegarek. Było albo dziesięć minut po pierwszej, albo pięć minut po drugiej. Nie potrafiła ocenić, która wersja jest prawdziwa. Obojętne, i tak jeszcze powinny być w szkole.

- Rozmawiałaś z lekarzem?

- Rano telefonowałam do gabinetu, ale nie mieli jeszcze moich wyników. Podobno laboratorium ma bardzo dużo zleceń i są opóźnienia.

- Ten lekarz, co to za jeden?

- Doktor Kline. Przecież ci mówiłam, poleciła mi go Diana.

- Wydawało mi się, że chodzi do doktora Gizmondiego.

- Skąd wiesz?

- Nie pamiętasz? Któregoś wieczora bez przerwy o nim paplała. Nazwisko utkwilo mi w pamięci, bo jest wyjątkowo dziwaczne.

- Może od tamtego czasu zmieniła lekarza - powiedziała słabym głosem.

Nie zamierzała wyjawic, kto wysłał ją do doktora Kline'a. Przynajmniej nie teraz. Kiedy poczuje się lepiej, opowie mężowi o wizytach u doktora Greenspoona. Tylko kiedy to będzie? Czyż Kline nie mówił, że zapalenie ucha wewnętrznego może ciągnąć się miesiącami?

- Wyglądasz, jakbyś od kilku dni nie spała - stwierdził Rod.

Zawsze miał skłonność do wygłaszania oczywistych prawd.

- Znaleźliśmy węża - oznajmiła.

- Znaleźliście? Gdzie?

- W pokoju Amandy.

Powinieneś tu być i zobaczyć na własne oczy, pomyślała. Nick był przy mnie.

Opadła na kuchenne krzesło. Obserwowała męża przeglądającego korespondencję, lecz myślami wróciła do wydarzeń poprzedniego wieczoru. W najdrobniejszych szczegółach odtwarzała spotkanie z bratem, aż do chwili gdy rankiem opuścił dom.

- Bonnie - wciąż słyszała jego głos. - Ja jestem z policji.

- Co masz na myśli? - zapytała z ciekawością.

- To, że nadal bawię się w policjantów i złodziei. Nadal ścigam złych facetów.

- Nie rozumiem. Ty jesteś złym facetem. Byłeś w więzieniu.

- Byłem w więzieniu, to prawda.

- Od kiedy skazańcy są wcielani w szeregi policji?

Narastał w niej gniew, jeszcze chwila i wybuchnie z całą siłą. Doprawdy, tego było już za wiele. Jeśli Nick mówił prawdę, społeczeństwo było bardziej chore, niż się domyślała.

- Wpadka, proces, więzienie: wszystko to było częścią planu - wyjaśnił. -  
Drobiazgowo opracowanego planu omotania, przyłapania na gorącym uczynku i unieszkodliwienia Scotta Dunphy'ego.

Bonnie zaśmiała się kpiąco.

- Chcesz mi powiedzieć, że jesteś policjantem w przebraniu? - Potrząsnęła głową niedowierzająco. - To próbujesz mi wmówić?

- Dla ścisłości, my nazywamy to podwójnym kamuflażem - sprostował cierpliwie. - Owszem, to właśnie próbuję ci powiedzieć. - Urwał, jakby naradzał się sam ze sobą: kontynuować czy zamilknąć? - Nie powinienem ci nic mówić. Zaryzykuję, Bonnie, bo ci ufam.

- Ty mi ufasz - stwierdziła ironicznie. Nick przytaknął.

- I spodziewasz się, że ja zaufam tobie - dodała. - Mam niby uwierzyć, że przez wszystkie te lata prowadziłeś podwójne życie, przyjaźniąc się z ludźmi pokroju Scotta Dunphy'ego, wnikając do ich organizacji, aby zdobyć przeciw nim dowody i wsadzić ich do więzienia?

- Właśnie tak, Bonnie.

- A mnie się wydaje, że było zupełnie inaczej.

- Pozory mylą.

- Więc mam uwierzyć twoim słowom. - Odetchnęła głęboko, próbując uporządkować myśli. - Ta afery związana z nielegalnym obrotem gruntami...

- Również była częścią planu.

- Ale sąd cię uniewinnił. Puścili cię wolno.

- Pokpiliśmy sprawę. Ktoś nie wytrzymał i przedwcześnie nacisnął spust. Zabrakło dowodów, aby postawić Dunphy'ego w stan oskarżenia. Musieliśmy zacząć wszystko od początku.

- A ten drugi zarzut? Zmowa z zamiarem pozbawienia życia?

- Wtedy dostaliśmy go na dobre.

- A ty poszedłeś do więzienia.

- Musiałem to ciągnąć ze względu na kamuflaż.

- Nie wierzę.

- To szczerą prawdą.

- Jesteś policjantem? - Westchnęła. Bała się mu uwierzyć. Jeszcze bardziej bała się nie uwierzyć. - Dlaczego nic o tym nie wiedzieliśmy? Jak mogłeś oszukiwać własną rodzinę?

- Nie miałem wyboru. Musiałem tak postąpić dla własnego i waszego bezpieczeństwa.

- Chcesz powiedzieć, że przez wszystkie te lata, kiedy nie mieliśmy z tobą żadnego kontaktu, przez wszystkie te lata, kiedy rzekomo włóczyłeś się po kraju...

- Przechodziłem szkolenie dla rekrutów Federalnego Biura Śledczego - dokończył. To dziwne, ale była wdzięczna, że nie użył skrótu FBI.

- I nic nikomu nie mogłeś powiedzieć, nawet własnej matce, która znajdowała się na łożu śmierci?

- Nie wiedziałem, że jest umierająca.

- Pozwoliłeś jej umrzeć ze świadomością...

- Nie wiedziałem, że umiera - powtórzył nieco podniesionym głosem. - Do diabła, Bonnie, jak daleko sięgam pamięcią, ona zawsze była bliska śmierci. - Podniósł rękę do czoła i ze wściekłością odrzucił włosy znad oczu. - To nie przeze mnie umarła. Musisz to wiedzieć. Nie jestem winien jej śmierci.

Bonnie opuściła głowę.

- Wiem - szepnęła po długiej pauzie. - Chyba nigdy w to nie wątpiłam. - Spojrzała w bok, a potem z powrotem na Nicka. - Po prostu łatwiej było obwiniać za jej śmierć ciebie, niż zaakceptować fakt, że była samolubną hipochondryczką, systematycznie nadużywającą leków, aż pewnego dnia jej ciało odmówiło przyjęcia kolejnej dawki. - Odetchnęła ciężko. - Wiesz, to zabawne. Zawsze uważałam, że nie potrafię kłamać. Teraz widzę, iż przez wiele lat okłamywałam siebie bardzo skutecznie.

I nagle padli sobie w ramiona. Obojgu spływały po policzkach łzy.

- Nie płacz - mówił Nick, lecz sam się nie powstrzymywał. - Już dobrze. Teraz już wszystko będzie dobrze.

- Ojciec zna prawdę? - zapytała, gdy opanowali szloch.

- Teraz tak.

- A kapitan Mahoney? Wiedział o wszystkim od początku?

- Nie od początku. Byłem podejrzanym jak każdy inny.

- Ale teraz wie?

- Tak. Jednakże im mniej ludzi wie, tym jestem bezpieczniejszy. Proste.

- Nic nie jest proste.

Spojrzał jej prosto w oczy. Bardzo poważnie powiedział:

- Proszę, nie mów o niczym Rodowi.

Bonnie złożyła ręce na podolku i masowała obolałe nadgarstki. Ostatnią osobą, która dała jej podobną radę, była Joan. I długo nie pożyła.

- Jest moim mężem.

- Czy to znaczy, że mu ufasz? - zapytał natychmiast Nick.

Nie odpowiadała przez kilka sekund.

- A czy istnieją powody, abym mu nie ufała?

- Była żona tego człowieka została zamordowana - przypomniał skwapliwie. - Na jej śmierci wiele skorzystał. Równie dużo skorzystałby na twojej. Wiemy, że Joan martwiła się o ciebie. Wiemy, że posiadała jakieś ważne informacje.

Bonnie zasypała go pytaniami:

- Co masz na myśli? O czym wiesz? Jaki jest twój związek z tą sprawą? Jak się w to zaangażowałeś?

- Joan zatelefonowała do mnie kilka tygodni przed śmiercią - tłumaczył. - A raczej zatelefonowała do ojca. Nie wiedziała, że jestem w domu. Powiedziała ojcu, że martwi się o ciebie, lecz nie wyjawiała dlaczego. Radziła, byśmy mieli na ciebie oko. Ojciec nie bardzo wiedział, co z tym fantem zrobić. Twierdził, że jego zdaniem Joan była pijana, ale nie powinno się lekceważyć takiego sygnału. Zadzwoiłem do niej, a potem odwiedziłem ją w domu. Chciałem zorientować się w sytuacji, lecz niczego z Joan nie wydobyłem. Jednego mogłem być pewny: była czymś naprawdę zaniepokojona. Pojechałem do stacji wybadac Roda. Udawałem, że przyszedł mi do głowy pomysł na następny odcinek jego programu. Przez kilka strasznych minut miałem wrażenie, że pomysł przypadnie mu do gustu. Potem zachowywał się zupełnie naturalnie, był uprzejmy, swobodny, taki jak zwykle. Po rozmowie doszedłem do wniosku, że Joan coś się zwiduje na dnie kieliszka. Problem w tym, że niedługo potem dowiedziałem się o jej śmierci. A ty okazałaś się pierwszą osobą na liście podejrzanych o dokonanie morderstwa.

- Nie zabiłam jej.

- Wiem.

- Mimo to obserwowałeś mnie.

- Dla twojego bezpieczeństwa.

- Więc to ciebie zobaczyłam tamtego dnia na szkolnym placu.

Przypomniała sobie mężczyznę skrytego w cieniu drzew.

- Masz dobry wzrok. Musiałem wtedy brać nogi za pas, jeśli nie chciałem zostać zdekonspirowany.

- I to ty złożyłaś wizytę Elsie Langer? Twierdząco kiwnął głową.

- Powiedziałaś, że widziałaś się z nią. Pomyślałem, że warto ją sprawdzić. Niestety nic tą wizytą nie wskórałem.

- Dokąd to nas prowadzi? Nick milczał dłuższą chwilę.

- Tylko jedna osoba miała sposobność i motyw, do tego brakuje jej alibi. I zgubionego pistoletu kaliber trzydzieści osiem.

- To znaczy, że... Twoim zdaniem to Rod zabił Joan?

- Moim zdaniem jest to wielce prawdopodobne - odrzekł, spoglądając na czubki swoich butów.

Bonnie energicznie potrząsnęła głową, nie zważając na ryzyko nawrotu złego samopoczucia.

- Nie mogę w to uwierzyć. Żyję z tym człowiekiem od ponad pięciu lat. Nie wierzę, że byłby zdolny do zabicia kogokolwiek.

- Po prostu nie chcesz wierzyć - stwierdził brat.

- Naprawdę myślisz, że Rod zamordował byłą żonę i może planować zabicie mnie i naszej córki?

Słowa uderzyły Bonnie w żołądek z siłą gładów spadających do wody z wysokiego urwiska.

- Kto inny zyskałby na waszej śmierci?

Nikt. Musiała to przyznać, ale tylko w głębi duszy. Nigdy nie przeszłoby to przez jej usta.

- Jeżeli ci uwierzę, jak mogłabym zostać w tym domu? Jak mogłabym dłużej z nim mieszkać?

- Nie musisz. - Wzruszył ramionami. - Możesz zabrać Amandę i wyprowadzić się.

- Dokąd?

- Na jakiś czas możesz zamieszkać z tatą. Bonnie zaprzeczyła.

- Nie mogę tak postępować. Rod jest moim mężem, ojcem Amandy. Nie wierzę, żeby miał coś wspólnego ze śmiercią Joan. Nie wierzę, żeby chciał skrzywdzić Amandę lub mnie.

- Mam nadzieję, że masz rację, ale tak na wszelki wypadek poproś Roda o anulowanie polisy ubezpieczeniowej na życie, twojej i Amandy. Jeżeli odmówi, będzie miał ze mną do czynienia.

- Dobrze, poproszę Roda o anulowanie polisy Amandy i mojej...

Słowa wydostały się z pamięci i z każdym oddechem nabierały ciężaru, nieznośnego ciężaru nie do opanowania, którego mogła się pozbyć tylko w jeden sposób - wypowiadając je na głos.

- Co się dzieje? - zapytał nerwowo Rod. Przyklęknął przed krzesłem, na którym siedziała, i przyjrzał jej się badawczo. - Zrobiłaś się blada jak prześcieradło.

- Chcę, żebyś anulował polisy na życie, Amandy i moją - wyrzuciła z siebie, unikając wzroku męża.

- Co takiego?

- Chcę, żebyś anulował... Nie dał jej skończyć.

- Słyszałem. - Zerwał się na równe nogi i zaczął robić kółka na środku kuchni. - Po prostu nie rozumiem, skąd nagle taki pomysł.

- To nie jest nagły pomysł - rzekła trzeźwo. - Myślę o tym od kilku dobrych tygodni i sprawa wciąż nie daje mi spokoju. Chcę, żebyś anulował polisy.

A jeśli odmówi? Co wtedy zrobi? Naprawdę ma spakować rzeczy i wynieść się z domu?

- Możesz uważać, że sprawa jest załatwiona.

- Słucham?

- Powiedziałem, uważaj sprawę za załatwioną.

- Zrobisz to? Wzruszył ramionami.

- W zasadzie sam myślałem o anulowaniu polis. Wydaję na to kupę pieniędzy, które moglibyśmy spożytkować w inny sposób. - Urwał i uśmiechnął się nieudolnie. - Widzę, że planujesz rychło wrócić do zdrowia.

Bonnie odpowiedziała uśmiechem. Roześmiała się, a potem wybuchnęła płaczem. Jak mogła w niego wątpić? To tylko przekłete zapalenie ucha wewnętrznego. Choroba otumaniała ją, odebrała zdolność logicznego rozumowania.

Kiedy zapłakała, Rod natychmiast znalazł się przy niej.

- O co chodzi, Bonnie? Co się stało? Mów do mnie, skarbie. Powiedz, co się dzieje.

Padła w jego ramiona i łkając, wykrztusiła:

- Jestem zmęczona. Strasznie zmęczona.

Objął ją, łagodnie podniósł na nogi i poprowadził w stronę schodów.

- Położę cię do łóżka.

- Nie chcę kłaść się do łóżka - powiedziała. Jeszcze trochę i znienawidzi własny głos za ten ton jęklivego zawodzenia. - Dopiero co wróciłeś do domu. Chcę posłuchać, jak było w podróży.

- Opowiem ci później. I tak za kilka minut muszę pojechać do studia.

- Wychodzisz?



- Tylko na chwilę. Obiecuję, że wrócę, zanim się obudzisz. Przed nami cały weekend i zdążę cię tak zanudzić opowieściami o mojej wyprawie na Florydę, że jeszcze będziesz błagać, abym przestał paplać. - Dotarli na szczyt schodów. - Jeśli zatelefonuje doktor Kline, chcę z nim porozmawiać. Starczy tego dobrego. Skoro nie potrafi ci pomóc, znajdziemy kogoś, kto lepiej zna się na rzeczy.

Wprowadził Bonnie do sypialni i zaczął rozpinąć sukienkę.

- Pocałuj mnie, Rod - poprosiła szeptem.

Spełnił życzenie, muskając ustami jej mokry od łez policzek, potem obie powieki. Na koniec cmoknął ją w usta i zsunął sukienkę. Słyszała szelest materiału na podłodze, a Rod już odpinał sprzączki stanika. Zastanawiała się, czy ma dość siły, aby się kochać. Czy Rod rzeczywiście zamierza się ze mną kochać? - myślała, gdy mąż posadził ją na skraju łóżka. Uniósł jej stopy, ułożył na posłaniu i starannie przykrył kocem aż po szyję. Z całą pewnością nie zamierzał się kochać.

- Prześpij się, kochanie - szepnął.

Zasłonił okna, przywracając w pokoju ciemność, do której ostatnio zdążyła się przyzwyczaić. Patrzyła, jak cień mężczyzny znika za drzwiami sypialni, a potem zamknęła oczy.

Kiedy ponownie je otworzyła, dochodziła czwarta. Bonnie rozejrzała się po pustym pokoju. Gdzie są wszyscy? Przypomniała sobie... Sam i Lauren kończyli pracę u Diany, Amanda była w przedszkolu, a Rod w studiu. Do tej pory? Przecież obiecał, że wróci, zanim się obudzi.

- Rod? - zawołała, odkrywając się i opuszczając nogi na podłogę. - Rod, jesteś w domu?

Nikt nie odpowiedział.

Nagle ciszę rozdarł dzwonek telefonu. Szybko podniosła słuchawkę, aby dźwięk się nie powtórzył.

- Czy pani Wheeler? - zapytał głos.

- Tak - odrzekła.

- Proszę zaczekać. Doktor Kline chciałby z panią porozmawiać, dobrze?

- Oczywiście.

Bonnie przetarła oczy, wypędzając z nich resztki snu. Poprawiła też fryzurę, jakby lekarz miał ją zobaczyć, a nie tylko usłyszeć.

- Pani Wheeler - powiedział - otrzymałem wyniki badań. Mam je teraz przed sobą.

- Tak?

Lekarz zrobił krótką pauzę i rzekł:

- Wygląda na to, pani Wheeler, że w pani krwi wykryto duże stężenie arszeniku. Nie jestem pewien, jakim spo...

- Co takiego? - rzuciła w słuchawkę, pewna, że się przesłyszała.

- Próbki krwi ujawniły obecność arszeniku we krwi. I to w dużym stężeniu - powtórzył obojętnym tonem. - Szczerze mówiąc, nie rozumiem tych wyników. Tak wysokie stężenie nie może być dziełem przypadku.

- O czym pan mówi?! - krzyknęła. - Jakim cudem arszenik miałby znaleźć się w mojej krwi?

Chwila ciszy.

- Pani Wheeler, proszę zachować spokój.

- Czy sugeruje pan, że ktoś próbuje mnie otruć? To właśnie chce pan powiedzieć?

- Niczego nie chcę powiedzieć. Miałem nadzieję, że to pani powie mi o kilku rzeczach.

- Nie rozumiem. - W jej głowie trwała gonitwa myśli. Nie nadążała za nimi. - Jak... Gdzie...

- Arszenik jest składnikiem wielu produktów używanych w gospodarstwie domowym. Na przykład środków do tępienia owadów, trutek na szczury, proszków chwastobójczych.

- Czy zorientowałabym się, gdyby ktoś dosypywał truciznę do jedzenia? Wyczułabym ją?

- Arszenik jest pozbawiony smaku. Jest całkiem prawdopodobne, że nie wiedziałaby pani o jego obecności w jedzeniu. Możemy o tym pomówić bardziej szczegółowo, ale nieco później. Teraz chciałbym panią poprosić o zgłoszenie się na obserwację do szpitala.

- Co?

- Współpracuję ze szpitalem Boston Memorial. Dam im znać, żeby panią przyjęto na oddział...

- Nie mogę - przerwała. - Nie mogę w tej chwili pójść do szpitala. Nie zostawię córki.

- Pani Wheeler, chyba nie rozumie pani powagi sytuacji. Musimy natychmiast rozpocząć intensywne leczenie, żeby usunąć truciznę z pani organizmu.

- Nie pójdę do szpitala. Nie teraz - upierała się, rozważając wiadomość, którą przed chwilą usłyszała. Czy to w ogóle ma sens? Czy to możliwe? Naprawdę ktoś próbował ją otruć? - Nie zostawię córki samej. Nie mogę.

- W takim razie niech pani zorganizuje dla niej jakąś opiekę. Przepiszę pani silniejsze lekarstwo. Antybiotyki, które brała pani do tej pory, nie są wystarczająco dobre, jednak zapewne tylko dzięki nim jeszcze pani żyje. - Zawiesił głos. - I proszę nie jeść niczego, co nie zostało przygotowane na pani oczach.

- Ale przecież ostatnio w ogóle nic nie jadłam - zaprotestowała. - Piłam herbatę i rosół.

- Rosół domowej roboty?

- Nie, przyniósł go przyjaciel.

Przed oczami stanęła przystojna twarz Josha Freemana. Przypomniała sobie jego słowa. „Wyczułem, że potrzebujesz bratniej duszy. Mógłbym nią być”.

- Zostało trochę tej zupy?

- Słucham?

- Czy zostało trochę tego rosółu?

- Nie mam pojęcia.

- Jeżeli coś zostało, powinna pani przekazać zupę policji do analizy.

Bonnie miała trudności z kontynuowaniem rozmowy. Nie mieściło jej się w głowie, że przyniesiona przez Josha zupa mogłaby zawierać truciznę.

- To śmieszne - powiedziała. - Kiedy przyniósł zupę, byłam chora już od dawna.

- Pamięta pani ten pierwszy raz, kiedy poczuła się pani źle? - zapytał doktor Kline.

W poszukiwaniu odpowiedzi gorączkowo przeszukiwała zakamarki pamięci.

- Był środek nocy. Wcześniej odwiedził nas mój brat, przyrządził na kolację spaghetti. Ale nikt poza mną nie zachorował - dodała szybko. - Nieco wcześniej moja pasierbica przez cały tydzień chorowała w podobny sposób.

Po tym, jak Rod pomagał mi przy kolacji, przypomniała sobie. Przeszył ją dreszcz niczym porażenie prądem. Rod był również w domu, kiedy Nick gotował swoje sławne spaghetti. Czy to możliwe, że dosypał do potrawy nieco własnej przyprawy?

Wstrzymała oddech, desperacko broniąc się przed narastającymi podejrzeniami. Jedno pytanie przebiło się przez tamę. A może Rod i Nick działali razem? Zaraz potem wypłynęły kolejne. Może wspólnie zaplanowali morderstwo Joan i obmyślili sposób pozbycia się aktualnej żony Roda? Może Lauren również była w niebezpieczeństwie? Czy to możliwe, by wszystko, co wczoraj usłyszała od brata, było kłamstwem? Czyżby oszukał ją, jak przez całe życie oszukiwał ludzi?

- Doktorze Kline, muszę już kończyć.

- Pani Wheeler, powinna pani zgłosić się do szpitala. Jeżeli nie może pani tego zrobić, proszę przynajmniej natychmiast powiadomić policję...

Odłożyła słuchawkę.

To wszystko jest możliwe, odpowiedziała sobie, przewracając się na posłaniu. Koniecznie musi się skoncentrować, uporządkować myśli, zrobić użytek z wiedzy zdobywanej przez całe życie. Jedno było jasne - ktoś systematycznie ją podtruwał. Arsenikiem, który można znaleźć w wielu preparatach stosowanych w gospodarstwie domowym. Na początek truciznę podano Lauren, albo przez przypadek, albo z rozmysłem, chcąc odwrócić podejrzania i skłonić wszystkich do myślenia, że przypadłość jest odmianą zwykłej grypy. Potem zachorowała Bonnie. I wciąż cierpiała. Rod zawsze pilnował, żeby przyjmowała odpowiednią ilość płynów, upewniał się, czy wypila podaną herbatę. Wiedział też o jej awersji do lekarzy.

Tylko że ostatnio nie było go przez cały tydzień, a jej wcale się nie polepszyło, nawet mimo antybiotyków. Zapewne nadal była podtruwana, więc rodziły się kolejne pytania. Czy Josh także był w to zamieszany? A jeśli tak, działał w pojedynkę czy w zмовie z Nickiem lub Rodem? Możliwe, że wszyscy trzej maczali w tym palce.

- To szaleństwo - jęknęła. - Zaczynam wariować.

Nagle z przerażeniem zdała sobie sprawę, że jedna osoba była przy niej bez przerwy, nie zniknęła ani na jeden dzień. To Sam. Sam, który ostatnio był tak troskliwy, przygotowywał jej herbatę, przynosił do łóżka kubki z rosółem. Stosunkowo łatwo mógł dosypać coś do jedzenia. Równie łatwo mógłby ukryć gdzieś węża, a następnie wpuścić go do pokoju małej Amandy.

Mój Boże, pomyślała. To niemożliwe, nieprawdopodobne. Sięgnęła po telefon i szybko wykręciła numer posterunku policji w Newport.

- Proszę z kapitanem Mahoneyem - powiedziała.

- Obawiam się, że kapitana nie ma w tej chwili na posterunku - usłyszała odpowiedź.

- W takim razie może mogłabym rozmawiać z detektyw Kritic.

- Przykro mi, ale detektyw również nie jest osiągalna. Może ktoś inny mógłby pani pomóc.

- Nie, zadzwonię później.

Przerwała połączenie. Wstała z łóżka, siadła i jeszcze raz wstała, aby skierować się do szafy. Miała niewiele czasu. Wreszcie zrozumiała, że powinna się ubrać i opuścić dom.

Włożyła dzinsy i błękitną bluzkę. W pośpiechu wyszła z pokoju, ale wciąż nie była pewna,

dokąd pójdzie. Nie miała żadnego planu, tylko świadomość, że musi wyjść z domu, zanim ktokolwiek wróci.

Najpierw pójdzie do przedszkola, odbierze Amandę i udadzą się... Dokąd? Nie do domu jej ojca, bo mogłyby natknąć się na Nicka. Także nie do Diany, bo zastałyby tam Sama. Ani do Weston Secondary, bo wpadłyby na Josha. Na pewno nie mogłyby zostać z Rodem w domu. Bonnie nie miała pojęcia, dokąd się udać. Nie wiedziała, komu może zaufać.

Przypomniała sobie o mieszkaniu Diany w mieście. Diana nie miałaby nic przeciwko temu, żeby na jakiś czas wprowadziła się do niego z dzieckiem.

Zatelefonowała do biura.

- Z Dianą Perrin proszę.

- Panna Perrin będzie w biurze dopiero w poniedziałek - poinformowała sekretarka. - Jeżeli zostawi pani swoje dane...

Bonnie rzuciła słuchawkę. Nie miała czasu na próżne rozmowy. Musiała wydostać się z domu i pójść na policję, licząc na to, że kapitan Mahoney lub detektyw Kritzic wrócą na posterunek. Chwyciła torebkę. Kiedy zbiegała po schodach, zakręciło jej się w głowie, poczuła napływającą falę mdłości. Zignorowała słabość. Była już przy drzwiach, gdy przypomniała sobie o zupie.

Butelka z rosółem stała ukryta głęboko za innymi produktami, z początku jej nie dostrzegła. Miała już zamknąć drzwi lodówki, gdy zauważyła wierzchołek wąskiej flaszki, w której jak się okazało, zostało zaledwie kilka centymetrów klarownej cieczy. Naczynie było zimne i śliskie. Niemal wysunęło jej się z dłoni, gdy stojąc już za frontowymi drzwiami, na chodniku przed domem, szukała w torebce kluczyków do samochodu. Klucze znalazła, lecz niezgrabnie wypuściła je z ręki. Schyliła się po nie i wtedy stało się najgorsze.

- Och, nie! - jęknęła, bezradnie patrząc, jak leci w dół torebka, klucze od domu, portfeli... szklana butelka. - Nie! - krzyknęła, ale nie mogła w ten sposób zatrzymać naczynia, które ułamek sekundy później uderzyło o płyty chodnika i roztrzaskało się w drobny mak. Krople rosółu spadły deszczem na ziemię, błyskawicznie wsiąkając w podłoże.

- Nie, cholera! Nie...

Do jej oczu napłynęły łzy. Ostrożnie uklękła wśród odłamków szkła, podniosła klucze i portfel.

I wtedy usłyszała silnik samochodu zbliżającego się ulicą, zwalniającego i powoli wjeżdżającego na podjazd. Zrozumiała, że Rod wrócił do domu. Czekala za długo i teraz wszystkie prowizoryczne plany wzięły w łeb. Nigdzie nie pójdzie.

Zamknęła oczy z rezygnacją i powoli wstała. Słyszała, jak samochód staje, drzwi otwierają się i zaraz z trzaskiem zamykają. Potem szmer kroków, coraz głośniejszy. Ktoś szedł w jej kierunku i zatrzymał się tuż obok. Poczula wyraźny zapach marihuany. Dopiero wtedy uchyliła powieki.

Miała przed sobą Haja.

Ciekawe, czy przyjechał, aby strzelić jej prosto w serce?

- Zastąłem Sama? - zapytał chłopak bez wstępów.

Bonnie roześmiała się. Haj spojrzał na nią jak na wariatkę i zrobił krok do tyłu.

- Jest u Diany - powiedziała, nie mogąc zdławić histerycznego śmiechu. - Chciał przed weekendem dokończyć tapetowanie łazienki.

- Znajdę go - rzucił Haj i czym prędzej wskoczył do ciemnoniebieskiego antycznego samochodu. W kilka sekund wycofał pojazd na ulicę i odjechał.

Bonnie stała przez chwilę jak sparaliżowana, niezdolna do najmniejszego ruchu. Ocknęła się, stwierdziła, że może oddychać i w okamgnieniu znalazła się w samochodzie, na ulicy. Kurczowo ściskając kierownicę, jechała na School Street, wciąż nie mając pewności, co zrobi po odebraniu córki.

## 29

- Dokąd jedziemy, mamusiu? - zapytała Amanda, niespokojnie wierząc się na swoim foteliku samochodowym.

Zatrzymały się przy kompleksie handlowym, w którym znajdowała się apteka. Amanda dostała wielką torbę chrupek ziemniaczanych, a Bonnie poprosiła aptekarza, aby zadzwonił do doktora Kline'a. Piętnaście minut później dostała gotowe lekarstwo i dwie pierwsze pigułki wyruszyły do walki z krążącą w żyłach trucizną.

- Wiesz, kochanie, pomyślałam, że zrobimy sobie przejażdżkę - odparła Bonnie, odwracając się do córki i uśmiechając się przymilnie.

Miała nadzieję, że uśmiech nie wygląda na całkowicie nieszczerzy. Jak długo mogą tak jeździć bez celu? Prędzej czy później będą musiały dokądś się udać.

- Nie chcę jechać na przejażdżkę - zaprotestowała Amanda. - Chcę jechać do domu. Chcę obejrzeć *Ulicę Sezamkową*.

- Skarbie, nie możemy jeszcze pojechać do domu. Muszę najpierw załatwić pewne sprawy.

- Jakże?

Bonnie zdecydowała, że pojedą na policję. Podróż do Newton zajęła im mniej niż dziesięć minut.

- Zatrzymamy się tu na kilka minut - powiedziała, wjeżdżając na parking usytuowany na tyłach posterunku.

- Nie chcę tu wchodzić.

Amanda skrzyżowała rączki na piersi, gotowa wybuchnąć płaczem.

- Kochanie, proszę, nie płacz. To nie potrwa długo.

- Chcę do domu. Chcę obejrzeć *Ulicę Sezamkową*.

Bonnie odpięła pas przy foteliku dziecka. Chciała wydobyć Amandę z samochodu, ale dziewczynka zeszywniała i ani myślała gdziekolwiek się ruszać.

- Kotku, chodź do mnie. Proszę, nie opieraj się. Nie czuję się dobrze.

- Chcę do domu.

Amanda zaczęła wierzgać nóżkami. Bonnie wyjęła ją z samochodu i niosąc dziecko na rękach, skierowała się do głównego wejścia. Nie zważała na kopanie i wściekłe wrzaski.

- Nie jesteś dobra - podsumowała Amanda, kiedy znalazły się w środku. - Nie jesteś ekstra.

- Chciałabym porozmawiać z kapitanem Mahoneyem - zgłosiła funkcjonariuszowi siedzącemu za biurkiem. Amanda miłosiernie zamilkła.

Młody policjant przypatrywał jej się z ukosa.

- W tej chwili nie ma go na posterunku. W czym mogę pomóc?

- Może zastałam detektyw Kritzic?

- Niestety jej także nie ma. Na czym polega problem?

Bonnie opuściła Amandę na podłogę i pochyliła się ku policjantowi.

- Zostałam otruta - powiedziała.

Kolosalna strata czasu, pomyślała Bonnie ze złością, wyjeżdżając z policyjnego parkingu. Spojrzała na zegarek. Minęło ponad czterdzieści minut i co? Nic! Jakiś cyniczny przyszczaty młodzik, świeżo po szkole, zadał jej masę bezmyślnych pytań tylko po to, by na koniec stwierdzić, że skoro rzekome otrucie miało miejsce w Weston, sprawą powinien zająć się inny komisariat.

- Ale jestem pewna, że kapitan Mahoney zainteresuje się...

Urwała w pół zdania, z całą mocą uświadamiając sobie beznadziejność dalszej rozmowy. Dopadło ją zmęczenie i marzyła już tylko o tym, żeby zameldować się w jakimś motelu, przeczekać noc i rano skontaktować się z kapitanem Mahoneyem. Na pewno nie wróci teraz do Weston.

- Jestem głodna - pisnęła Amanda po kilku minutach.

- Dokąd jedziemy?

Bonnie rozejrzała się i ze zdziwieniem skonstatowała, że wjechała na Lombard Street. Zwolniła, jadąc przy krawężniku.

- Mamo, gdzie jesteśmy?

Dom przy Lombard Street, oznaczony numerem 430, wyglądał dokładnie tak samo jak miesiąc temu. Nawet tablica z napisem NA SPRZEDAŻ tkwiła tam gdzie przedtem, zniknęła tylko żółta taśma, którą policja oznaczyła miejsce przestępstwa. Obecnie ludzie bezkarnie mogli wejść na teren posesji. Bez wątpienia dom został skrupulatnie wysprzątny, starto najdrobniejsze ślady krwi Joan. Został tylko jej duch. Zatrzymała samochód bezpośrednio przed domem i spojrzała wzdłuż ścieżki prowadzącej do frontowych drzwi. Gdyby tamtego dnia nie poszła tą ścieżką, życie mogło potoczyć się zupełnie inaczej. Gdyby nie posłuchała Joan, gdyby tamtego ranka nie odebrała telefonu. Tak wiele różnych „gdyby”... Które mogły nie mieć żadnego znaczenia.

- Mamusiu, czyj to dom? - odezwała się Amanda. Zamiast odpowiedzieć, Bonnie ruszyła spod domu.

- Niczyj - odrzekła krótko, zastanawiając się, jak długo dom będzie stał pusty. Właściciele byli zmuszeni obniżyć cenę, ale nadal nie mogli znaleźć nabywców na nieruchomość, która stała się areną morderstwa.

Wróciła na Commonwealth Avenue, dojechała do Chestnut, a potem skręciła do West Newton Hill. Budynek numer 13 przy Exeter Street nic się nie zmienił, wciąż frapował zielono-beżową elewacją i zagadkowymi witrażami w okiennych ramach. Żadne znaki nie świadczyły o tym, że dom jest opuszczony. Nawet trawnik przed nim był schludnie przystrzyżony.

Zatrzymała samochód i zgasiła silnik.

- Gdzie jesteśmy? - zapytała znowu Amanda.

Bonnie wysiadła, odpięła pas córki i przeniosła ją na trawnik przed domem Joan.

- Czy to kościół? - pytała dziewczynka, zapatrzona w kolorowe witraże.

- Nie, skarbie. To tutaj mieszkali kiedyś Sam i Lauren.

- Są teraz w tym domu?

- Nie.

Wzięła dziecko za rękę i poprowadziła chodnikiem do dużych drewnianych drzwi.

- Wejdziemy do środka?



Bonnie była pewna, że tak. Sięgnęła do torebki, wyjęła klucze, znalazła właściwy i włożyła go do zamka. Niemal zapomniała, że ma klucz do domu Joan. Dopiero gdy cały pęk upadł na ziemię, między odłamkami szkła zauważyła znajomy kształt.

Czy już wtedy zakodowała sobie w podświadomości, że skieruje się właśnie tutaj?

Drzwi ustąpiły bez oporu i obie weszły do foyer. Bonnie pamiętała pierwszą wizytę w tym domu, miała w uszach echo głosu Lauren wołającej matkę. Widziała wyraz twarzy dziewczynki, gdy wychylając się przez poręcz schodów, zobaczyła ojca, czuła na swej twarzy uderzenie jej gniewnie zaciśniętej pięści i smak krwi z rozbitej wargi.

Co ona tutaj robi?

Tymczasem Amanda wśliznęła się do salonu.

- Zabawny dom, mamusiu - powiedziała, skacząc z jednego indiańskiego dywanika na drugi, jakby to były kwadraty narysowane kredą na chodniku. Zatrzymała się przed dużym, wzniesionym z cegieł kominkiem.

- Ostrożnie, kotku. Postaraj się nie nabroić.

- Co znaczy „nabroić”? - dopytywała się Amanda.

- Niczego nie dotykaj - wyjaśniła Bonnie, przechodząc przez stołowy do kuchni, znajdującej się na tyłach domu. Błyskawicznie zlokalizowała spizarkę.

Niestety była prawie pusta. Na półkach znalazła tylko kilka pudełek suszonych przetworów zbożowych, paczkę rodzynków, niemal trzykilową torbę cukru. Na najniższej, obok sterty białych papierowych serwetek, leżało żelazko w firmowym pudełku.

Zamknęła drzwi spizarki i tym samym ruchem otworzyła sąsiednie drzwi schowka na szczotki. Na spotkanie wyskoczyły stamtąd dwie szczotki, zwykła i elektryczna. Bonnie ustawiła je na miejscu, zatrzasnęła za nimi drzwi i przeniosła się w stronę zlewu. Poruszała się jak automat, którego ruch został zaprogramowany w każdym najdrobniejszym szczególe.

- Mogę dostać trochę mleka? - poprosiła Amanda.

- Tutaj nie mają mleka - odparła Bonnie, kucając przed szafką, na której znajdował się zlew.

- Oni nie lubią mleka?

- Skarbie, nikt tutaj nie mieszka, pamiętasz? Mleko dawno się popsuło.

Szybko przejrzała zawartość szafki: ciemnozielony kosz na śmieci, plastikowe pudełko z gąbkami i druciakami do zmywania, dwie butelki z różnymi płynami do mycia naczyń oraz małą buteleczkę preparatu „Mr Clean”.

- A mogę napić się wody?

- Nie, kotku.

Bonnie przesunęła butelkę „Mr Clean”.

- Woda też się popsuła?
- To nie jest nasz dom - spokojnie przypomniała córce.
- To dlaczego tu jesteśmy? - spytała logicznie Amanda.

Ponieważ czegoś szukam, pomyślała Bonnie, mając przed oczami obraz dwóch białych szcurków. Doktor Kline wymienił środki do tępienia owadów, trutki na szcury, proszki chwastobójcze. Bonnie nie trzymała w domu środków do tępienia owadów i proszków chwastobójczych. Nigdy nie potrzebowała trutki na szcury. Szcury pojawiły się w jej domu dopiero po wprowadzeniu się Sama. Sięgnęła w głąb szafki, po ukrytą w kącie niewielką blaszaną puszkę cylindrycznego kształtu.

- Chcę do domu - wystękała Amanda, całym ciężarem opierając się na plecach matki. Bonnie, wytrącona z chwiejnej równowagi, przewróciła się na podłogę, rozrzucając we wszystkie strony gąbki, druciaki, butelki z płynem do mycia naczyń.

Amanda zachichotała.

- Mama zrobiła bałagan!

Bonnie bez słowa pozbierała gąbki i druciaki, umieściła je w plastikowym pudełku, postawiła na miejsce butelki z płynem do mycia naczyń i buteleczkę z preparatem „Mr Clean”. Przywróciła porządek i dopiero wtedy wyjęła z głębi szafki blaszany cylinder.

Najpierw rzuciła jej się w oczy czaszka i skrzyżowane piszczele. Nad rysunkiem wielkimi, pogrubionymi literami producent wypisał czarnym tuszem: UWAGA! TRUCIZNA! Poniżej równie wielkie pomarańczowe litery na tle białoczarnej pasków głosiły SUREKILL, a nieco drobniejszy druk wyjaśniał zastosowanie substancji - „Trucizna na szcury”. Pośrodku etykiety znajdowała się pogładowa ilustracja działania proszku w postaci rysunku przedstawiającego padłego szcura.

Bonnie zaschło w gardle. Zakręciło jej się w głowie, czuła przebiegające po ciele fale gorąca i zimna. Obróciła w dłoni blaszaną puszkę, aby uwidocznic nalepkę z tyłu opakowania. „Ostrzeżenie”, przeczytała. „Spożywanie grozi śmiercią. Przechowywać w miejscu niedostępnym dla dzieci. Nie używać w sąsiedztwie żywności. Nie wykładać w magazynach żywności ani w szafkach, gdzie przechowywane są przybory kuchenne. W przypadku spożycia nie wywoływać wymiotów. Uwaga! Preparat zawiera arsenik.”

Arszenik!

Bonnie wypuściła blaszaną puszkę z rąk, a ta potoczyła się gdzieś pod szafki. Amanda natychmiast ruszyła w tamtą stronę.

- Zostaw! - krzyknęła Bonnie. - Nie dotykaj tego!

Przerażona dziewczynka stanęła jak wryta. Skrzywiła usteczka, gotowa wybuchnąć płaczem.

- Już dobrze, skarbie - powiedziała szybko jej matka. - Po prostu to pudełko jest bardzo niebezpieczne. Nie wolno ci go dotykać.

- To dlaczego go dotykałaś?

- Nie powinnam - przyznała Bonnie, sięgając po puszkę.

- Zabierz to, mamusiu - pisnęła Amanda. - Zabierz to!

Bonnie odstawiła puszkę w najdalszy kąt szafki i upewniła się, że wszystko zostawia tak, jak było przed jej oględzinami. Zamknęła drzwi i umyła ręce.

- Chcę do domu, mamo. Nie podoba mi się ten dom. Chcę do domu - marudziła Amanda. Wyszła z kuchni i samodzielnie ruszyła do drzwi frontowych.

- Amanda, zaczekaj! Zaczekaj na mnie.

- Chcę do domu...

Bonnie wzięła ją na ręce i zaproponowała:

- A może pójdziemy na lody?

- Chcę do domu - powtarzała uparcie dziewczynka.

- Kotku, jeszcze nie możemy wrócić do domu.

- Dlaczego? L'il Abner znowu się zgubił? - spytała Amanda. - Już się go nie boję. Był niedobry, bo dokuczał mu głód. Sam powiedział mi, że dopilnuje, aby już nigdy nie był głodny.

- To dobrze, mróweczko.

- Lubię Sama.

- Ja też - rzekła Bonnie i zdała sobie sprawę, że mówi prawdę. Nie mogła uwierzyć, że Sam mógłby być wyrachowanym mordercą.

Wyszły przed dom.

- L'il Abnera też lubię. Jest ekstra.

- Owszem, jest ekstra.

Bonnie zamknęła drzwi na klucz i zniosła Amandę ze schodów na chodnik przed domem. Chciała obmyślić jakiś plan, zanim dojdą do samochodu. Więc tak... Kupi Amandzie loda, zatelefonuje na posterunek i stanowczo będzie nalegać, aby powiadomiono kapitana Mahoneya, gdziekolwiek się znajduje, o dokonanej przez nią odkrywce. Może on będzie miał jakiś pomysł. Przecież musi być wyjście z tej sytuacji.

- Bonnie? - zapytała kobieta, stojąca obok samochodu.

Była to wysoka blondynka ubrana w ręcznie malowany zielony chałat. Ciekawe, jak długo czekała, zanim wyjdą?

- Cześć, Caroline - pozdrowiła ją Bonnie, stawiając Amandę na ziemi.

- Zobaczyłam zaparkowany samochód i pomyślałam, że to możesz być ty - zaczęła Caroline. - Ale zmieniłaś się tak bardzo, że cię nie poznałam. Nie znam też tej małej dziewczynki...

- To moja córka, Amanda - wyjaśniła, nie wiedząc, co jeszcze miałyby powiedzieć.

- Miło mi cię poznać, Amando. - Caroline Gossett, przyklękawszy, wyciągnęła rękę do dziewczynki. Dziecko pochwyciło dłoń i energicznie nią potrząsnęło. - Czy ktoś woła na ciebie Mandy?

- Mój wujek Nick.

- Cóż, Mandy, jesteś bardzo piękną dziewczynką.

- Dziękuję.

Caroline Gossett wstała i uważnie przyjrzała się matce dziecka.

- Nic ci nie jest?

- Bywało, że czułam się lepiej.

- Mogę ci jakoś pomóc?

- Szklanka wody postawiłaby mnie na nogi.

- Ja też chcę - odezwała się Amanda. - Mama powiedziała, że nie możemy pić wody z tego domu, bo nie jest nasz - dodała, wskazując na dom Joan.

- Zapraszam do mnie - rzekła Caroline. - Mam nie tylko smaczną, zimną wodę, ale także lody i ciasteczka.

- Lody! - zawołała Amanda. - I ciasteczka!

- Chodźcie. - Caroline chwyciła Bonnie za łokieć.

- Chyba powinnaś usiąść i odpocząć.

- Powiesz mi, co się dzieje? - zapytała Caroline, kiedy posadziły Amandę w bawialni przed telewizorem, z kubkiem lodów i ciastkami.

- Nie wiem, od czego zacząć.

- Zacznij od tej fryzury. Bonnie uśmiechnęła się.

- Ostatnio nie czułam się dobrze - zaczęła. - Moje włosy wyglądały strasznie.

Myślałam, że skrócenie trochę pomoże.

- I pomogło?

- Wiedziałaś, że zniszczone, wypadające włosy, krwawiące dziąsła i nawracające nudności są symptomami zatrucia arsenikiem? - zapytała, powtarzając słowa, które usłyszała od farmaceuty.

- Co takiego? - Caroline Gossett pochyliła się do przodu na sofie. - Zatrulaś się arsenikiem?

- Analiza krwi wykazała obecność arsenu. W dużym stężeniu.

- Nie rozumiem.

Bonnie pociągnęła duży łyk wody i zagłębiła się w fotelu. W jej oczach pojawiły się łzy.

- Ktoś próbuje mnie otruć.

- Mój Boże! Wiesz kto? Pokręciła głową.

- Niewątpliwie ktoś bliski - przyznała niechętnie.

- Prawdopodobnie ten, kto zabił Joan.

- Co powiedzieli na policji?

- Ze sprawą powinien zająć się ktoś inny.

- Naprawdę?

- To długa historia. Nie zastałam kapitana Mahoneya. Spróbuję złapać go później.

Caroline wstała i wyszła do kuchni, skąd wróciła niosąc przenośny telefon.

- Spróbuj teraz.

Bonnie wybrała numer posterunku policji w Newton i powiedziała operatorce centrali, że chce rozmawiać albo z kapitanem Mahoneyem, albo z detektyw Kritzic. Kiedy usłyszała, że oboje nadal są poza posterunkiem, zapytała, czy może zostawić wiadomość.

- Podaj im ten numer - wtrąciła Caroline i Bonnie skorzystała z propozycji.

- Dziękuję. Tylko ci się narzucam. Nie cierpię takich sytuacji.

- Chryste, jesteś niewiarygodna! - Caroline załamała ręce. - Ktoś usiłuje cię zabić, a ty przejmujesz się takimi głupstwami. Zrób coś dla mnie: nie przejmuj się. Wcale mi się nie narzucasz, wręcz przeciwnie, jestem zadowolona z twojego towarzystwa. Poza tym nie możesz wrócić do domu, dopóki nie wyjaśnisz tej sprawy. To oczywiste. Przenocujesz z córką u mnie.

- Nie mogę.

- Możesz. Koniec dyskusji.

- Ale twój mąż...

- Przecież nie powiedziałam, że będziesz nocować z nim w jednym łóżku.

Bonnie uśmiechnęła się.

- Nie mogę zostać tu na zawsze.

- O tym też nic nie mówiłam. - Caroline wcisnęła się na fotel obok Bonnie. - Jeżeli ktoś bliski próbuje cię otruć, nie możesz wrócić do domu, dopóki policja nie odkryje kto to taki. Przyda ci się kilka dni na odpoczynek i powrót do zdrowia. To jasne jak słońce. Nie powinnaś być w szpitalu?

- Nie - skłamała. Wskazując wzrokiem leżącą na podłodze torebkę, dodała: - Mam tabletki.

- Dobrze, w takim razie wszystko ustalone. Zostajesz u mnie przynajmniej do jutra. Bonnie zerknęła na zegarek.

- Chciałabym zadzwonić do koleżanki. Nie masz nic przeciwko?

- Możesz dzwonić, do kogo chcesz.

Diana była w domu. Podniosła słuchawkę prawie natychmiast.

- Diana? - powiedziała Bonnie, wdzięczna losowi, że nareszcie może porozmawiać z przyjaciółką.

- To ty, Bonnie?! Gdzie jesteś?

Podniesiony głos Diany sprawił, że Bonnie odruchowo zachowała ostrożność.

- Jestem z przyjaciółką.

- Rod wydzwaniania do mnie co pięć minut. Zachowuje się jak kompletny wariat, nigdy jeszcze nie widziałam go w takim stanie. Wychodzi wprost ze skóry. Mówi, że zniknęłaś.

- Nie zniknęłam. - Wyobraziła sobie męża rzucającego do słuchawki jedno pytanie za drugim oraz brata i pasierba, krążących wokół niego, nasłuchujących. - Jak twoja łazienka?

- Przepraszam... Co mówiłaś?

- Łazienka. Sam ciężko pracowałam, żeby zakończyć pracę przed twoim powrotem.

- W porządku. - Diana straciła wątek po nagłej zmianie tematu. - Zostało do zrobienia kilka poprawek, ale ogólnie łazienka prezentuje się wspaniale.

- Jak było w Nowym Jorku?

- Nie narzekam - odparła wymijająco. - Bonnie, co się dzieje? Rod twierdzi, że musiał wyjść na parę godzin, a kiedy cię zostawiał, byłaś tak chora, że z trudem trzymałaś się na nogach. Wrócił do domu, ale ciebie nie zastał. Nie było żadnej notki, dokąd się udałaś, nic. Odchodzi od zmysłów, tak się martwi.

- Diana - przerwała Bonnie. - Posłuchaj mnie. Nic mi nie jest. Teraz jestem bezpieczna.

- Teraz? O czym ty mówisz?

- Ktoś usiłował mnie otruć.

- Otruć? Ciebie? Bonnie, chyba oszalałaś.  
- Nie oszalałam. Zrobiłam badania krwi. Okazało się, że mam wysokie stężenie arszeniku we krwi.

- Arszeniku?

- Ktoś dodawał mi arszenik do jedzenia.

- Rod? - zapytała szeptem Diana.

- Nie wiem - odrzekła po chwili Bonnie. Czowała, że przyjaciółka nie przyjmuje nowin do wiadomości.

- Nie wierzę. Nie mogę w to uwierzyć! - I zaraz zapytała: - Gdzie jesteś?

Bonnie spojrzała na Caroline.

- U przyjaciółki.

- Jakiej przyjaciółki?

- Sądzę, że będzie bezpieczniej, jeśli ci nie powiem.

Nagle Bonnie zrozumiała wszystko to, o czym opowiadał jej brat. Jeżeli rzeczywiście był tym, za kogo się podawał.

- Bezpieczniej?

- Jeśli nie będziesz wiedzieć, gdzie jestem, nie będziesz musiała kłamać. Nie ma szans, żeby ktoś perswazją lub podstępem...

- Bonnie, mnie nie tak łatwo nabrać.

W przeciwieństwie do mnie, pomyślała Bonnie.

- Rozmawiałaś z kimś z policji?

- Jeszcze nie.

- Jesteś absolutnie pewna? To znaczy całkowicie wykluczasz przypadek?

- Jak to sobie wyobrażasz, żeby przypadkiem najeść się arszeniku?

Po krótkiej przerwie Diana poddała się.

- No dobrze. Słuchaj, co mam powiedzieć Rodowi?

- Nic mu nie mów.

- Żartujesz? Zadzwoń do mnie najdalej za dwie minuty. Chcesz żebym udawała, że w ogóle z tobą nie rozmawiałam?

- Sama porozmawiam z Rodem.

- Porozmawiasz z nim? Kiedy?

- Zaraz do niego zadzwonię.

- I co mu powiesz?

- Jeszcze nie wiem. Coś wymyślę.

- To szaleństwo - stwierdziła Diana. - Czuję się taka bezradna. Na pewno mogę coś dla ciebie zrobić.

Bonnie pomyślała o mieszkaniu Diany w mieście. Nie powinna nadużywać gościnności Caroline.

- Może będziesz mogła coś dla mnie zrobić. Po rozmowie z policją będę wiedziała, jak dalej postępować.

Przynajmniej mam taką nadzieję. - Prawie się roześmiała. - Dobrze, zatelefonuję do ciebie z samego rana.

- Obiecujesz?

- Obiecuję.

- Nie ruszę się stąd, dopóki nie dasz znaku życia.

- Zadzwoń z samego rana.

- Jesteś pewna, że nic ci nie będzie?

- Niczego nie jestem pewna - przyznała. Jeżeli nie można ufać komuś, kto częstuje cię rosołem, to o jakiej pewności mowa? - Zadzwoń - powtórzyła i przerwała połączenie, by natychmiast wystukać numer do domu.

Rod musiał siedzieć przy telefonie. Kiedy usłyszał głos żony, wykrzyknął:

- Bonnie, do cholery, gdzie jesteś? Nic ci nie jest? Dokąd poszłaś?

Słowa zlewały się ze sobą jak kolory nieodpowiednio pranych materiałów.

- Nic mi nie jest.

- Gdzie jesteś?

- Jestem z Amandą - powiedziała, wyprzedzając następne pytanie. - Dzisiaj nie wrócę na noc do domu.

- Co?!

- Przepraszam, że przeze mnie skróciłeś pobyt na Florydzie.

- Przepraszasz mnie za to, że wróciłem wcześniej do domu? O czym ty mówisz?

- Rod, jutro porozmawiamy.

- Bonnie, zaczekaj, nie rozłączaj się.

- Jutro wszystko wyjaśnię.

- Bonnie...

Wyłączyła aparat i oddała go Caroline, zastanawiając się, czy jutro cokolwiek się zmieni.



Dochodziła godzina dziesiąta, gdy Bonnie otworzyła oczy. Amandy nie było już w łóżku, mimo że przez całą noc spała obok, zwinięta w kłębek niczym mały ciepły kotek.

Rozejrzała się po przestronnym pokoju. Wszystko tu lśniło bielą - dywan, koronkowe zasłony, pościel. Sąsiadująca z pokojem łazienka również stanowiła królestwo bieli, podsuwając oczom białe kafelki, białą wannę i białe ręczniki. Tu także nie znalazła swojej córeczki.

- Amanda? - zawołała, wkładając biały szlafrok, który Caroline zostawiła w nogach łóżka. Boso wyszła z pokoju.

Powoli przesuwiała się szerokim korytarzem, mijając pozamykane drzwi, nasłuchując dźwięków. Stłumione głosy dobiegały z pokoju położonego na końcu korytarza. Cicho zbliżyła się do drzwi, przystawiła do nich ucho. Musiały być uchylone, gdyż pod wpływem delikatnego nacisku otworzyły się na oścież.

- Mama! - krzyknęła radośnie Amanda. Siedziała przed gigantycznym telewizorem, całkowicie ubrana i uczesana. - Caroline pozwoliła mi oglądać kreskówki. - Wskazała na ekran, gdzie jeden ludzik walił drugiego po głowie ogromną kłodą drewna. - Dostałam na śniadanie dwie torby popcornu. I mleczną czekoladę.

- Dwie torby popcornu? Szczęściara z ciebie.

- Powiedziała, żebym była cichutko, to będziesz mogła dłużej pospać.

- Mam nadzieję, że nic nie zbroiłam - powiedziała Caroline, nadchodząc korytarzem. Ślicznie prezentowała się w lawendowej sukience. - Spałaś tak smacznie, że nie miałam serca cię budzić.

- Nie do wiary, że spałam do tak późnej godziny!

- Wyglądasz dzisiaj dużo lepiej. Mogę przygotować ci coś do zjedzenia?

- Chyba nie przelknęłabym nic stałego.

- Nawet tosta? Robię wyśmienite tosty.

- Dobrze. Tost chyba będzie w sam raz.

- Herbatę?

- Mam wrażenie, że już nigdy nie wypiję herbaty - odparła szczerze Bonnie.

- W takim razie może sok pomarańczowy?

- Doskonały pomysł.

- Śniadanie będzie za dwie minuty. - Caroline zerknęła na Amandę. - Jak tam w pierwszym rzędzie, młoda damo? Przynieść więcej popcornu?

Amanda zachichotała.

- Mam dwie torby - powiedziała z dumą.

- Dwie torby? Jak to się stało? Lyle zwykle z nikim nie dzieli się swoim ukochanym popcornem.

- Jak Lyle zapatruje się na naszą obecność w domu? - spytała Bonnie, gdy Amanda ponownie zajęła się oglądaniem kreskówek. - Tak naprawdę.

- Słyszałaś, co powiedział wczoraj wieczorem. Możecie u nas zostać, jak długo zechcecie.

- To bardzo miłe z jego strony, lecz na pewno nie jest zachwycony, że po domu płaczą się obcy ludzie. Przecież wcale mnie nie zna.

- Znał Joan. Pragnie zobaczyć mordercę Joan za kratkami równie mocno jak ja.

Bonnie spojrzała na swoje nagie stopy.

- Powinnam zatelefonować na policję.

- A ja w tym czasie przygotowuję śniadanie.

Po połączeniu z posterunkiem usłyszała, że kapitan Mahoney będzie dopiero po południu. Ponownie zostawiła dla niego wiadomość i przypomniała, że sprawa jest bardzo ważna. Zapytała, czy można w jakiś sposób skontaktować się z kapitanem przed nastaniem południa. Powiedziano jej, że jest sobota, więc raczej nie ma takiej możliwości. Dyżurny zaproponował kogoś w zastępstwie kapitana.

- Co powiedzieli? - spytała Caroline, gdy Bonnie weszła do kuchni i zasiadła przy stole.

- Ten, którego szukam, będzie dopiero po południu.

Caroline postawiła przed swym gościem talerz z dwoma tostami, masło, dżem malinowy i pomarańczową marmoladę. Na koniec podała jeszcze wysoką szklanę wypełnioną po brzegi sokiem.

- Napij się - rzekła. - Nie chcesz chyba odwodnić organizmu.

- Dziękuję.

- Brałaś już tabletki?

- Przed kilkoma minutami. Caroline roześmiała się.

- Zaczynam się zachowywać jak moja matka.

- Musi być uroczą kobietą.

- Dziękuję. Rzeczywiście była urocza. - Urwała i wracając do swej roli, rzuciła pytanie. - I jak myślisz? Czy nie są to najlepsze tosty pod słońcem?

Bonnie obowiązkowo nadgryzła tost.

- Z całą pewnością nigdy nie jadłam wspanialszych tostów.

Nałożyła odrobinę dżemu na skraj tosta. Wtedy usłyszała słowa doktora Kline'a: „I proszę nie jeść niczego, co nie zostało przygotowane na pani oczach”. Natychmiast odłożyła tost na talerz. Dlaczego to zrobiła? Naprawdę podejrzewała, że Caroline Gossett także chce ją otruć?

- Coś nie w porządku? Bonnie westchnęła.

- Nie, nic. - Z determinacją ugryzła tost, usta zalała powódź malinowego aromatu.

Przełknęła kawałek, decydując, że komuś musi zaufać.

- Powinam zatelefonować do przyjaciółki - powiedziała, oczami wyobraźni widząc Dianę nerwowo czekającą przy aparacie.

Caroline wręczyła jej telefon.

- Będę w pokoju obok.

- Nie musisz wychodzić - zauważyła Bonnie wdzięczna za dotrzymanie towarzystwa. Nikt nie podnosił słuchawki. - Pewnie jest w łazience - stwierdziła niespokojnie, czekając jeszcze minutę, zanim zrezygnowała. - Może wybrałam zły numer... - Instynktownie wiedziała, że to nieprawda, ale jeszcze raz spróbowała połączyć się z mieszkaniem przyjaciółki. - Musiała wyjść na kilka minut.

Wczoraj twierdziła, że na krok nie ruszy się od telefonu. I dlaczego wyszła, nie włączwszy automatycznej sekretarki?

- Może bierze prysznic - podsunęła rozwiązanie Caroline.

- Prawdopodobnie tak - chętnie zgodziła się Bonnie, przesuwając dłonią po własnych brudnych włosach. - W zasadzie to całkiem niezły pomysł. Jeśli nie masz nic przeciwko...

- Ależ skąd. Czuj się jak u siebie w domu. - Bonnie niepewnie podniosła się od stołu.

- Ale najpierw dokończ tost i wypij sok - poradziła Caroline. - Coś mi mówi, że będziesz potrzebowała dużo sił.

Bonnie stała pod prysznicem skryta za gęstą zasłoną białej pary wytwarzanej przez gorącą wodę. Zresztą nawet bez pary nikła w oczach. Straciła co najmniej pięć kilogramów, kości klatki piersiowej sterczały poniżej małych piersi niczym rusztowanie, na którym rozpięto skórę. Nogi przypominały dwa patyki, powyżej kolan mięśni było nie więcej niż poniżej. Wyglądała jak wychudzony podłotek. Powrót Twiggy, pomyślała Bonnie, dziewczyny o mętnym spojrzeniu posyłanym zza sztucznych rzęs, krótko obciętych włosach i

zapadniętej piersi. Przyszło jej do głowy, że Twiggy mogła nie być koścista z natury. Może przyklejała sobie przesadnie długie rzęsy, ponieważ jej własne wypadły. Może postanowiła ściąć włosy tak krótko, gdyż jej niegdyś wspaniałe loki zamieniły się w poskręcane przerzedzone kłaki. Może Twiggy była podtruwana arsenikiem.

Bonnie roześmiała się, szampon ściekł po twarzy do jej otwartych ust. Wypluła go i ponownie wybuchnęła śmiechem, nadal masując głowę palcami. „Zmyję mężczyznę z moich włosów”, zaśpiewała i raptownie umilkła. Skąd ta nagła ochota na śpiew? Życie waliło się w gruzy, ktoś usiłował ją zabić, otaczali ją ludzie, którym nie mogła ufać, a jej zachciało się śpiewać. Arsenik musiał uszkodzić mózg.

Miała wrażenie, że coś słyszy. Zakręciła wodę i nasłuchiwała, aż dźwięk się powtórzył. Ktoś pukał do drzwi łazienki.

- Tak? - zawołała jeszcze niepewna, czy i ten dźwięk nie jest omamem wywołanym przez uszkodzony arsenikiem mózg.

- Bonnie - mówiła Caroline, uchylając drzwi łazienki i wpuszczając do środka chłodne powietrze, które otuliło Bonnie niczym ręcznik. - Przepraszam, że cię niepokoję, ale pomyślałam, iż sprawa należy do pilnych. Jest telefon do ciebie. To kapitan Mahoney.

Ledwie zdążyła wysuszyć włosy i ubrać się, a kapitan Mahoney już pukał do drzwi wejściowych. Całkowicie się przed nim otworzyła, słowa wylewały jej się z ust jak wrząca woda z przepelnionego garnka. Opowiedziała wszystko, o tym, jak się czuła podczas kilku ostatnich tygodni, o wizycie u lekarza, o wynikach badań krwi, o pewności, że ktoś zamierza ją otruć, oraz o niepewności co do tożsamości truciciela.

- Pod zlewem w domu Joan znalazłam truciznę na szczury - zakończyła.

- Była tam pani?

- Wczoraj.

W jego ciemnych oczach dojrzała błysk zaskoczenia, które zaraz ustąpiło zniecierpliwieniu. Przysiadł na sofie obok niej i udawał, że studiuje okazałą rzeźbę nagiej kobiety, ustawioną w salonie przy paninie. Caroline Gossett zaszła się w piwnicy, gdzie uczyła Amandę robić tekturowe zabawki. Lyle z samego rana poszedł grać w golfa.

- Dotykała pani opakowania? - zapytał z rezygnacją w głosie.

- Tak. - Zrozumiała, o co mu chodzi. Prawdopodobnie przez nieostrożność zatarła wszystkie ślady, jakie mogli znaleźć funkcjonariusze policji, w tym odciski palców. - Przepraszam. Postąpiłam bezmyślnie.

Podrapał się w policzek.

- Każdy bawi się w detektywa - mruknął.

- Jak mój brat? - zapytała i nie doczekawszy się odpowiedzi, rzekła: - Jest tym za kogo się podaje, kapitanie?

- Pani brat nie jest podejrzanym w sprawie morderstwa Joan - odparł enigmatycznie policjant.

- Czy on jest policjantem? - naciskała.

- Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.

- Nie może pan? Czy dlatego, że odpowiedzią byłoby „nie”?

- Nie jest podejrzanym w tej sprawie - powtórzył kapitan.

- W takim razie - stwierdziła - mogę kontaktować się z nim całkowicie bezpiecznie?

- Całkowicie.

- Dziękuję. - Jej oczy napęchły się łzami wdzięczności. - Nie wiedziałam już, do kogo mogę się zwrócić.

- Wszystko wskazuje na to, że zwróciła się pani we właściwym kierunku - zauważył, przesuając wzrokiem po salonie Caroline.

- Miałam szczęście. Caroline jest cudowną kobietą.

- Trudno o dobrych przyjaciół.

- O Boże, zapomniałam o Dianie. Pewnie odchodzi od zmysłów.

Szybko przeszła do kuchni i wybrała numer telefonu Diany.

Mijały sekundy i nikt nie odbierał. Miała zamiar już zrezygnować, gdy ktoś podniósł słuchawkę.

- Boże, dobrze, że jesteś - powiedziała szybko, nie dając przyjaciółce dojść do głosu. - Już dzisiaj dzwoniłam, ale chyba byłaś pod prysznicem.

- Kto mówi? - męski głos był bezbarwny, wyprany z emocji, ale dziwnie znajomy.

Bonnie czuła, jak czoło oblewa się zimnym potem. Oddech uwiązał jej w gardle.

- Kim pan jest? - zrewanżowała się pytaniem.

- Detektyw Haver z policji w Weston - usłyszała. - Czy mógłbym wiedzieć, z kim rozmawiam?

- Detektyw Haver?

Skojarzyła nazwisko z ciemnoskórym policjantem, z którym po incydencie z krwią zamieniła kilka słów w przedszkolu Amandy.

Nagle obok niej jak spod ziemi wyrósł kapitan Mahoney.

- Pozwoli pani? - rzekł, sięgając po słuchawkę.

Oddała mu ją bez słowa sprzeciwu i obserwowała, jak w okamgnieniu zmienia się wyraz jego twarzy. Zmarszczył brwi, nachmurzył się. Obniżył głos do ledwie słyszalnego szeptu i rzekł:

- Tak, rozumiem. Którą mamy godzinę?

Przytrzymał słuchawkę barkiem i uwolniwszy ręce, z kieszeni spodni wyjął notes. Coś w nim zapisał. Przed odłożeniem słuchawki zapytał jeszcze:

- Czy mógłbym tam przyjechać i rozejrzeć się? Potem podniósł wzrok na Bonnie i bez wstępów powiedział:

- Popelniono morderstwo.

Chciała coś powiedzieć, ale usta odmówiły jej posłuszeństwa. Oparła się o kuchenną szafkę i wymamrotała:

- Nie!

- Przed kilkoma minutami sąsiad dokonał identyfikacji.

- Proszę, nie!

- Obawiam się, że pani przyjaciółka nie żyje - stwierdził ostatecznie kapitan Mahoney. - Została zastrzelona.

- Diana zastrzelona... - powtórzyła, odmawiając przyjęcia tych słów do wiadomości.

- Pojedyncza kula, prosto w serce.

- O Boże... Boże, nie! Moja biedna Diana!

Nerwowo przesuwiała wzrok z jednego sprzętu kuchennego na drugi, by zatrzymać go na rysunku węgłem, który przedstawiał matkę z niemowlęciem na ręku. Miała ochotę chwycić własne dziecko i uciekać, uciekać jak najszybciej i tak daleko, jak to tylko możliwe.

- Czy istnieje możliwość, że zabili ją złodzieje? - zastanawiała się na głos. - Albo jej były mąż? Wie pan, dwukrotnie wychodziła za mąż. I rozwodziła się. Może zrobił to któryś z nich, a może ktoś inny, kogo znała. Wokół niej zawsze kręciło się wielu mężczyzn. Chodzi o to, że jej śmierć może nie mieć żadnego związku z Joan lub ze mną, prawda? Może to jeden z tych strasznych zbiegów okoliczności, jeden z tych potwornych wybryków losu. Mam rację?

Desperacko pragnęła usłyszeć potwierdzenie poprawności swego rozumowania, choć w głębi duszy czuła, że to tylko pobożne życzenia.

- Sąsiad widział samochód odjeżdżający spod jej domu około godziny dziesiątej rano - powiedział kapitan Mahoney. - Coś go tknęło. Wyszedł z domu, przeszedł na drugą stronę ulicy. Drzwi frontowe były otwarte, wszedł do środka i znalazł ją na podłodze w salonie.

Bonnie ze wszystkich sił starała się oddalić od siebie obraz najbliższej przyjaciółki leżącej bez życia na podłodze w salonie. To niemożliwe, pomyślała. Musiała zająć jakąś

pomyłka. Diana była osobą pełną życiowej energii, intensywnie wykorzystującą każdy dzień, osobą wrażliwą, choć skomplikowaną i nie pozbawioną wewnętrznych sprzeczności. To niemożliwe, żeby ktoś mógł tak po prostu zabrać jej to wszystko jednym strzałem w serce.

- Czy ten sąsiad przyjrzał się, kto prowadził samochód? - odezwała się.
- Nie. Ale bardzo dobrze przyjrzał się pojazdowi.
- I jaki to był samochód? - spytała, przeczuwając, jaką usłyszy odpowiedź.
- Czerwony mercedes.

- Wyznaczyliśmy kilku funkcjonariuszy do zabezpieczenia domu - powiedział kapitan Mahoney znacznie później. - Kilkadziesiąt metrów od waszego domu na ulicy będzie stał nie oznakowany samochód. Kilka radiowozów umieścimy na sąsiednich ulicach, tak na wszelki wypadek. Zainstalujemy podsłuch, może będzie próbował skontaktować się z wami.

- Z nami? - spytała Bonnie.
- Nigdy nie wiadomo.
- Wiem, że mój brat tego nie zrobił - uparcie powtarzała Lauren.

Siedziała przy stole w jadalni, z rękami bezwładnie ułożonymi na blacie i zwieszoną w dół głową. Wyglądała jak marionetka, której przecięto sznurki.

Nie była sama. Oprócz niej przy stole siedzieli Bonnie, Rod, Nick, kapitan Mahoney, detektyw Haver. Bonnie przypomniało się inne spotkanie, sprzed kilku tygodni, kiedy to przy tym samym stole zebrała się równie liczna grupa. Tylko że wtedy zamiast detektywa Havera był obecny Haj, a miejsce kapitana Mahoneya zajmował Sam. No i była wśród nas Diana, pomyślała Bonnie, przywołując obraz oczu przyjaciółki, błękitnych jak wody tropikalnego morza.

- Przecież wiecie, że Sam tego nie zrobił - powiedziała znowu Lauren, lecz tym razem z mniejszym przekonaniem.

- Oczywiście policjanci obserwują również dom Gleasona - kontynuował detektyw Haver. - Na wypadek gdyby się tam pokazali.

Okazało się, że sąsiad Diany widział w samochodzie dwóch ludzi. Według niego byli to młodzi mężczyźni z długimi włosami, ale nie potrafił z całą pewnością rozpoznać w nich Haja i Sama. Wątpliwości miały znikome znaczenie. Od rana nikt nie widział chłopców. Wszystkie posterunki otrzymały nakaz aresztowania obu.

- Dlaczego Sam miałby skrzywdzić Dianę? - pytała Lauren, nie patrząc na nikogo w szczególności. - Bardzo ją lubił. Nie zrobiłby jej krzywdy.

Bonnie zamknęła oczy, próbując odciąć się od głosu Lauren. Jeżeli podejrzenia policji znajdą potwierdzenie i Diana rzeczywiście była przed śmiercią napastowana seksualnie,

Lauren nie mogła mu pomóc. Wprawdzie na raport koronera trzeba będzie poczekać kilka dni, lecz kapitan Mahoney miał niemal całkowitą pewność, że narzędziem zbrodni był ten sam pistolet, z którego strzelono do Joan, oraz że Dianę zgwałcono przed śmiercią lub po niej.

- Boże, Boże... - jęknęła Bonnie, zakrywając usta otwartą dłonią.

To wszystko jej wina. Gdyby nie ona, Diana wciąż byłaby wśród żywych. Czyż nie wciągnęła jej w ten cały bałagan? Tego dnia gdy odkryła ciało Joan, telefonowała do niej z posterunku policji, zaciągnęła ją do Newton, mimo że przyjaciółka nie znała się na prawie karnym. Zaprosiła ją na kolację i przedstawiła synowi Roda. „Sam, to Diana. Diano, to... Śmierć.”

- Boże... - jęknęła znowu, skrywając twarz w dłoniach.

Czyjeś silne dłonie dotknęły jej barku, palce delikatnie masowały mięśnie karku.

- Zostanę na noc - usłyszała głos Nicka. Łagodny masaż przyniósł jej ulgę. - Prześpię się na kanapie w salonie.

Bonnie kiwnęła głową, zerkając na Roda. Była ciekawa jego reakcji, ale nie doczekała się żadnej. Mąż siedział na drugim końcu stołu, zapatrzony w pustkę przed sobą. Miała wrażenie, że nie zdaje sobie sprawy z obecności Nicka, nie dociera do niego, że dom jest pełen funkcjonariuszy policji. Prawdopodobnie jest w szoku, pomyślała Bonnie. Chyba nie powiedział ani słowa od chwili, gdy weszła do domu w towarzystwie kapitana Mahoneya. Gniew i wzburzenie ustąpiły miejsca przerażeniu i osłupieniu. Diana została zamordowana, poinformował go kapitan Mahoney, a głównym podejrzanym jest jego syn. Podejrzewano go również o zabicie matki i próbę otrucia macochy. Rod wysłuchał wstrząsających wiadomości bez jednego słowa, a potem wycofał się do jadalni i ciężko opadł na krzesło. Nie poruszył się od tamtej pory, nic nie mówił, nie uczynił najmniejszego gestu. Tylko oddychał.

Bonnie w pierwszej chwili chciała podejść do niego, otoczyć go ramionami, pocieszyć, ale coś ją powstrzymało. Nie mogła powiedzieć, że wszystko będzie w porządku, bo wcale nie była tego pewna. Jak mogła go pocieszać, gdy jeszcze kilka godzin temu podejrzewała go o wszystkie te zbrodnie?

- Powinnam sprawdzić, co z Amandą - powiedziała, wstając. Zakręciło jej się w głowie i była zmuszona ponownie usiąść.

- Przed chwilą ją widziałem - uspokoił ją Nick. - Zasnęła. W zasadzie mogłabyś wziąć z niej przykład. Wątpię, żeby coś się dzisiaj działo, a te tabletki, które łykasz, są wyjątkowo silne. Powinnaś położyć się do łóżka. Ty też, Rod - rzekł, przenosząc spojrzenie na drugi koniec stołu.



Rod milczał. Nie odrywał wzroku od ściany, zupełnie jakby nikt się do niego nie zwracał.

- Tato? - odezwała się Lauren. Podniosła się z krzesła, podeszła do ojca i przytuliła go, próbując wlać w niego trochę energii. - Chodź, tato - szepnęła, muskając ustami jego policzek. - Odprowadzę cię na górę.

Rod pozwolił córce postawić się na nogi i wyprowadzić z pokoju. Bonnie obserwowała, jak oboje powoli wspinają się po schodach, pokonując stopień za stopniem.

- Naprawdę powinnaś teraz być w szpitalu - zauważył Nick, skupiając uwagę na siostrze.

- Nie pójdę do szpitala, dopóki to się nie wyjaśni. Muszę wiedzieć, że Amanda jest bezpieczna.

- Daleko nie zajadą - stwierdził kapitan Mahoney.

- Dwóch długowłosych nastolatków w czerwonym mercedesie. Raczej łatwo będzie ich namierzyć.

Bonnie z powątpiewaniem pokręciła głową, próbując wyobrazić sobie, gdzie mogą teraz być, dokąd się kierują, dlaczego zabili Dianę. Dlaczego? To pytanie zadawała sobie bez przerwy. Dlaczego to wszystko się stało? Brak w tym jakiegokolwiek sensu. Sam może nie był idealnym chłopcem - nosił kolczyk w nosie, trzymał w pokoju węża, potrafił być wulgarny, niedobry, niezrównoważony i zamknięty w sobie - ale ujawniał wrażliwość, czułość, dobroć i desperackie pragnienie bycia kochanym.

Czy właśnie to było przyczyną ostatnich wydarzeń? Czy pragnienie bycia kochanym doprowadziło do tego, że omyłkowo zinterpretował uprzejmość Diany? Może odtrąciła jego młodzieńcze zaloty i wpadł w szal? Zgwałcił ją i zabił, żeby uciszyć? Jej śmierć była następstwem nie kontrolowanego wybuchu czy też częścią większego planu?

A może to Haj był winien? Może to jego spermę znaleziono w ciele Diany? Łatwo będzie to ustalić, twierdził kapitan Mahoney. Jeżeli Diana była molestowana seksualnie, test DNA jednoznacznie wskaże winowajcę.

- To już prawie koniec - powiedział Nick. Bonnie kiwnęła głową, modląc się, aby brat miał rację.

Wstała z krzesła i podeszła do schodów. Nick szedł tuż za nią. Kapitan Mahoney i detektyw Haver zostali przy stole. Kiedy nadejdzie czas, wkroczą do akcji.

- Ojciec ucieszy się, jeśli do niego zadzwonisz - rzekł Nick w hallu. - Po twojej wizycie bardzo się o ciebie martwił. Aż za dobrze zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństw, jakie na ciebie czyhają. Byłby spokojniejszy, gdybyś się do niego odezwała.

- Nie wiem, Nick, czy będę mogła. Nie mam chyba siły na rozmowę z ojcem.

- Och, nie obawiam się o twój zasób sił - powiedział Nick. - Jesteś silną kobietą, Bonnie. Jeśli arszenik cię nie wykończył, to możesz nie obawiać się rozmowy ze staruszką, który cię kocha. - Zrobił pauzę i stanowczym tonem dokończył: - Bonnie, zmarłym nie możemy już pomóc. Musimy się nauczyć, jak więcej uwagi poświęcić żywym.

Wyciągnął ku niej ramiona. Powoli zagłębiła się w jego objęcia, niczym w oazę spokoju i ciepła. Po kilku sekundach uniosła głowę, pocałowała czubek jego kształtnego nosa i poszła schodami na piętro, w ślad za swym mężem.

Kiedy weszła do sypialni, Rod leżał na łóżku, a Lauren zdejmowała mu buty.

- Nie dałam rady go rozebrać - powiedziała dziewczynka.

Bonnie przyjrzała się mężowi. Leżał na posłaniu, skulony w pozycji embrionalnej, z otwartymi oczami, które chyba jednak niczego nie widziały. Spróbowała zrozumieć jego sytuację. Co czułaby, gdyby nagle dowiedziała się od kapitana policji, że jej dziecko jest psychopatycznym mordercą, odpowiedzialnym za śmierć dwóch osób i próbę otrucia dwóch następnych?

- Jak się czujesz? - zapytała pasierbicę. Lauren wzruszyła ramionami.

- Myślisz, że znajdą Sama?

- Na pewno tak.

- Boję się - jęknęła dziewczynka. - Bardzo się boję, że go zastrzelą.

Bonnie podeszła do niej i przytuliła.

- Nikt do nikogo nie będzie strzelał - zapewniła kategorycznie. Dość już strzelania, pomyślała. - Myślę, że wszystkim nam dobrze zrobi trochę snu. To był długi dzień.

- Nic ci nie będzie?

- Wyzdrowieję.

Lauren wróciła do łóżka i złożyła na czole ojca lekki pocałunek.

- Do rana, tatusiu. Zobaczysz, wszystko będzie dobrze.

- Przeszła na palcach do drzwi i z progu szepnęła jeszcze:

- Kocham cię, tato.

Po jej wyjściu Bonnie wzięła do ręki aparat telefoniczny i automatycznymi ruchami palców wybiła kolejne cyfry. Po chwili usłyszała głos ojca.

- Słucham?

- Tu Bonnie - zaczęła. - Nick mówił, że martwiłeś się o mnie.

- Nic ci nie jest?

- Prawie nic. Nie czuję się dobrze - powiedziała szczerze - ale to przejdzie. A co u ciebie?

- U mnie? Wszystko w porządku. - Miała wrażenie, że jest zaskoczony jej pytaniem. - Chciałem tylko upewnić się, że nic ci się nie stało.

- Jakoś ciągnę. Nie martw się.

- Rodzice zawsze się martwią.

Bonnie uśmiechnęła się smutno, uświadamiając sobie prawdziwość tych słów.

- Mogę do ciebie zatelefonować jutro lub pojutrze? Mam nadzieję, że do tej pory sprawy nieco się uporządkują i będziemy mogli porozmawiać.

- Dzwoni, kiedy tylko masz ochotę. Czują pierwszą łzę, spływającą po policzku.

- Ty też - szepnęła.

- Kocham cię, skarbie.

- Dobranoc, tato...

Odłożyła aparat na nocny stolik, a potem położyła się na łóżku obok męża, wierząc w szybkie nadejście dobrego snu.

## 31

Była szósta rano, gdy Bonnie wyczuła, że ktoś zbliża się do niej, cicho stąpając po dywanie. Cień padł na jej przymknięte powieki, częściowo wygaszając blask porannego słońca. Poczowała na ramieniu dotyk palców, delikatny jak muśnięcie piórka, a zaraz potem usłyszała dyskretny głos:

- Bonnie... Bonnie, obudź się.

Otworzyła oczy i ujrzała twarz brata, znajdującą się zaledwie kilka centymetrów od jej twarzy.

- Spokojnie - powiedział szybko, odsuwając się o dwa kroki. - Przepraszam, nie chciałem cię przestraszyć.

- Co się dzieje? - Bonnie usiadła i rozejrzała się po pokoju. Rod wciąż spał. Miała wrażenie, że nie drgnął przez całą noc.

- Przed chwilą mieliśmy telefon z Nowego Jorku od tamtejszej policji. Za przekroczenie dopuszczalnej prędkości zatrzymali na autostradzie dwóch nastolatków w mercedesie. Wygląda na to, że chodzi o Sama i Haja.

- I co teraz? - zapytała, zerkając na męża. Miał zamknięte oczy, lecz ciało napięło się, jakby Rod wstrzymywał oddech.

- Przetransportują ich do Newton. Gdy dotrą na posterunek, będziemy mogli z nimi porozmawiać.

- Ile czasu to zajmie?

- Kilka godzin. - Nick przysiadł na krawędzi łóżka i zamknął dłonie siostry w swoich rękach. - Lepiej się czujesz?

- Wszystko będzie dobrze. Tylko niech to się już skończy.

- I wtedy zgłosisz się do szpitala?

- Gdy będę miała pewność, że Amanda jest bezpieczna. Przesunął kciukiem po jej policzku.

- Twarda z ciebie sztuka.

- To chyba rodzinne - zauważyła z uśmiechem.

- Lepiej już pójdę. Chcę pomówić z kapitanem Mahoneyem, zanim sprowadzą Sama.

- Zadzwoń do mnie, gdy się czegoś dowiesz?

- Oczywiście. Jak tylko coś będę wiedział.

Bonnie słyszała kroki brata na schodach, potem otworzyły się i zamknęły frontowe drzwi. Znowu poczuła, jak dopada ją znużenie, bolał ją kark i ramiona. Ułożyła głowę na poduszce i spojrzała na Roda.

Miał otwarte oczy.

- Słyszałeś? - spytała, ale miała wrażenie, iż głos należy do kogoś innego, wcale nie wydobywa się z głębi jej ciała.

- Sama i Haja złapali na autostradzie w Nowym Jorku - powtórzył tonem wypranym z emocji, jakby mówił o kimś obcym.

Bonnie wydawało się, że scena rozgrywająca się pomiędzy nią i mężem jest częścią programu telewizyjnego, a nie rzeczywistego życia. Mógł to być jeden z tych paradokmentalnych filmów, które tak się rozplenily, gdy stało się jasne, że w dziedzinie kreowania absurdu normalne życie znacznie wyprzedziło fabularną fikcję. Widzowie zobaczyliby mężczyznę i kobietę w wymiętych ubraniach, z poszarzałymi, bladymi twarzami, znękanych i przybitych jakimś nieszczęściem. Z ciekawością zadawaliby pytania: kim są ci ludzie tak obcy wobec siebie, wyglądający jak ryby wyrzucone na brzeg? Kim są ci marni aktorzy, źle dobrani do swych ról, bezdusznie recytujący dialogi, jakby nie rozumieli znaczenia wypowiedzianych słów?

- Jak się czujesz? - spytała.

- A ty?

- Nabrałam trochę sił. Niewiele, ale czuję się lepiej.

Rod zamilkł. Przewrócił się na plecy i utkwił wzrok w suficie.

- Chcesz o tym powiedzieć? - odezwała się Bonnie.

- Nie. Po co?

- Przecież to twój syn.

Dźwięk, jaki wydobył się z przytkniętych ust Roda, był po części gorzkim śmiechem i bolesnym jękiem. Rozciął powietrze na podobieństwo łyżwy tnącej gładką powierzchnię lodu.

- Może Sam jest niewinny - podsunęła nieśmiało, siadając na łóżku i podciągając kolana pod brodę. - Może wszystko to sprawka Haja. Mógł wciągnąć Sama w... - Urwała. Kogo tak naprawdę chciała przekonać, męża czy siebie? Jednakże po kilku sekundach zaczęła od nowa: - Nie wierzę, że Sam jest mordercą. Ostatnie tygodnie dały mi sposobność poznania tego chłopca, spędziłam z nim wiele czasu i w głowie mi się nie mieści, że byłby zdolny do czegoś takiego. Rod, on jest łagodnym dzieciakiem. Może jest nieszczęśliwy, samotny, ale nie jest psychopatą. Nie mógł zamordować własnej matki. Nie wyrządziłby Dianie krzywdy.

Rod przetoczył się na swoją połowę łóżka, ukrył twarz w poduszce. Lecz nawet poduszka nie była w stanie całkowicie stłumić szlochu. Bonnie widziała drżenie jego pleców, spazmatyczne kurczenie barków. Dawniej przytuliłaby się do niego, aby go ogrzać i ochronić przed złem. Dawniej powiedziałałaby: „wszystko będzie w porządku”, jak zrobiła to Lauren wieczorem poprzedniego dnia. Teraz coś ją powstrzymywało. Niewidzialna ręka trzymała ją na dystans, spychała do jej własnego kąta, nie pozwalając dotrzeć do męża. Skąd wzięła się ta przeszkoda? Dlaczego nie mogła zmusić się do pocieszenia mężczyzny, którego kocha?

- Wszystko będzie dobrze, Rod - powiedziała, lecz zabrzmiało to dziwnie pusto, nawet w jej uszach.

Rod wciąż wylewał łzy w poduszkę.

Płakał nad swoim losem czy nad losem syna? Nie wiedziała. Może przejął się na równi losem własnym i syna, może pożałował, że nigdy nie ustanowił z nim bliskiej więzi. Teraz było już na to za późno. Za późno na odgrywanie roli troskliwego ojca, za późno na naprawienie błędów, nadrobienie zaległości z wszystkich straconych lat. Za późno na scementowanie więzi, które powinny łączyć ojca i syna.

A może wcale nie jest za późno, pomyślała, przypominając sobie własne układy rodzinne. Człowiek, nawet dorosły, nigdy nie przestaje tęsknić za ojcowską miłością. Może dla ojca nigdy nie jest za późno na wyciągnięcie dłoni do dziecka.

Rod stopniowo się uspokajał. Przypatrując mu się, Bonnie zastanawiała się, co wywołało tak impulsywną reakcję. Czy w końcu zrozumiał potworność tego, co się

wydarzyło? Dotarło doń, że jego dziecko zamordowało własną matkę? Że jego syn najprawdopodobniej zgwałcił i zabił kobietę, która chciała się z nim zaprzyjaźnić? Z całą pewnością nie uroniłby ani jednej łzy z powodu Joan, kobiety, którą gardził, ani z powodu Diany, kobiety, którą ledwie tolerował. Skąd więc te gorzkie łzy?

- Rod...

Usiadł, grzbietem dłoni otarł łzy. Kiedy zwrócił twarz ku Bonnie, jego brązowe oczy były mętne jak nigdy dotąd. Przypominały błotniste dno zamulonej rzeki.

- O co chodzi? - spytała.

Potrząsnął głową, jakby chciał się pozbyć wszystkich niechcianych myśli, które zagnieździły mu się pod czaszką.

- Rod, proszę, powiedz mi.

- Policja będzie przeprowadzać testy - mruknął bez związku i miała wrażenie, że prowadzi jakąś zupełnie inną rozmowę.

- Co masz na myśli?

- Pobiorą próbki krwi, próbki spermy - wyjaśnił swym monotonnym, znajomym głosem. - Do testów DNA.

- Zgadza się - stwierdziła, nie mając pewności, do czego Rod zmierza.

- To koniec - rzekł grobowym tonem. - Wszystko skończone.

- Rod, o czym ty mówisz? Zapadła cisza.

- Sam nie zgwałcił Diany - powiedział w końcu. - Haj też tego nie zrobił.

- Co?

- Sperma, którą znaleźli w ciele Diany, nie pochodzi od Sama.

Bonnie czuła, jak jakaś siła unosi ją z posłania, stawia pod ścianą i niemal wrywa dywan spod stóp.

- Co ty mówisz?

- Myślę, że już wiesz.

Przez kilka długich sekund starała się odzyskać głos. Kiedy jej się to udało, zdołała wykrztusić szeptem:

- Mówisz, że to twoja sperma?

Nie potwierdził ani nie zaprzeczył. Milczał.

- Czy to znaczy, że ją zabiłeś? - Spojrzała w stronę drzwi, oceniając odległość i przeliczając ją na kroki.

- Nie! - wykrzyknął, budząc się z letargu. - Ale tak właśnie pomyślą policjanci, jestem tego pewien. Już nie mogą się doczekać, kiedy mnie zgarną.

Roześmiał się histerycznie.

- Nie rozumiem.

- Nie zabiłem Diany, na miłość boską. Nie mógłbym jej skrzywdzić. Nigdy. - Twarz Roda wykrzywił grymas bólu. - Kochałem ją - powiedział, przyciskając do ust drżące dłonie, przez co głos był stłumiony i niewyraźny. - Kochałem ją - powtórzył, tym razem wyraźnie, tonem chłodnym jak woda w górskim strumieniu.

- Kochałeś Dianę - wymamrotała i czekała na ciąg dalszy, ale Rod zamilkł, wbijając w nią spojrzenie swych zamulonych, bezdennych oczu. - Jak długo...

- Mniej więcej od roku.

- Wszystkie te noce, kiedy do późna pracowałeś, wszystkie spotkania wczesnym rankiem...

Przytaknął tylko ruchem głowy, uznając, że słowa są całkowicie zbędne.

- Przecież nigdy nie lubiłeś Diany - zaprotestowała słabo. Miała wrażenie, że podłoga uciekła spod stóp i teraz znajdowała się pod nią bezdenna próżnia. Zaraz zostanie wessana w mroczną pustkę i zniknie w niej raz na zawsze, rozplynie się w niebycie, to tylko kwestia czasu.

- Po prostu stało się - burknął, unosząc jedną rękę w powietrze. Może miał zamiar wykonać jakiś gest, coś wskazać, lecz zrezygnował i pozwolił ręce opaść na miejsce.

Co chciał jeszcze powiedzieć? Że nie chcieli posunąć się tak daleko? Nie chcieli jej krzywdzić?

- Ona wcale nie pojechała do Nowego Jorku - olśniło ją. - Była z tobą na Florydzie.

Kiwnął głową.

- Była przy tobie, gdy mówiłam o wizycie u doktora Kline'a, którego rzekomo mi polecił.

- Powiedziała, że nigdy o nim nie słyszała.

- To dlatego wiedziałeś, że jej lekarz nazywa się Gizmondi. Zwyczajnie zapytałeś ją.

- Było do ciebie niepodobne, że posunęłaś się do kłamstwa. Oboje pomyśleliśmy, że coś podejrzewasz i zastawiasz na nas pułapkę.

Opuściła głowę. Rzeczywiście podejrzewała Roda o romans, ale z inną kobietą.

- Myślałam, że masz romans z Marlą.

- Z Marlą?

Wydawał się tak zgorzony sugestią, że niewiele brakowało, a Bonnie wybuchnęłaby śmiechem. Wydarzenia ostatnich miesięcy zaczęły układać się w logiczną całość. Trzymała w ręce niemal wszystkie elementy układanki.

- Bielizna, którą znalazłam w twojej szufladzie, nie była dla mnie - stwierdziła. Nie uszło jej uwagi, że przyswoiła sobie nawyk Caroline Gossett, która każde pytanie wypowiadała jak zdanie twierdzące. - Kupiłeś ją dla Diany. - Przywołała w pamięci obraz byłej przyjaciółki, jej wspaniałe ciemne włosy i okazały biust. - Nic dziwnego, że stanik był na mnie za duży.

Przypomniała sobie rozmowę z Dianą, którą odbyła po odkryciu bielizny w najniższej szufladzie komody męża. Z całą pewnością Diana natychmiast wezwała Roda do siebie, poinformowała o sprawie i wysłała do domu, przekazawszy uprzednio instrukcje, jak ma się zachowywać. To dlatego był wyjątkowo czuły i kochający.

- Więc niemal od roku sypiałeś z Dianą - zaczęła Bonnie. - I kiedy zdarzało się, że byliśmy gdzieś we trójkę, to mnie ledwie tolerowałeś, a nie ją. Tamtego dnia, na posterunku policji, wydawało mi się, że jesteś wściekły na Dianę, ale myliłam się. To na mnie byłeś zły. Zepsułam waszą schadzke. Mam rację? To dlatego nie mogłam znaleźć ani jej, ani ciebie? I dlatego nie miałeś alibi na czas, kiedy zabito Joan? Bo akurat pieprzyłeś moją najlepszą przyjaciółkę!

- Bonnie...

- Przez cały czas gdy chorowałam, ty nie wychodziłeś z jej łóżka - powiedziała, dziwiąc się samej sobie.

Jak mogła być tak głupia? Była żalсна, beznadziejnie ślepa. Chociaż podobno żona zawsze dowiaduje się ostatnia.

- Nawet po powrocie z Florydy od razu do niej poszedłeś.

- Wróciliśmy razem. Podwiozłem ją do domu, a potem przyjechałem prosto tutaj - wyznał ochoczo, jakby w końcu przełamał się i otwarcie mógł mówić o związku z Dianą.

On nabrał ochoty, ale Bonnie ze zdwojoną mocą odczuwała wstręt. Jeszcze chwila i spróbuje zrobić ze mnie współniczkę, pomyślała nerwowo. Miała ochotę krzyknąć, żeby się zamknął, lecz na klótnię brakowało jej sił.

- Tak... Wróciłeś do domu, kilka minut ze mną pobyłeś, a potem położyłeś mnie do łóżka jak grzeczną dziewczynkę i poszedłeś kontynuować zabawę.

- W twoich ustach brzmi to tak... podle. Wcale tak nie było.

- Czyżby?

- Nie miało tak być.

- Kiedy byłeś u Diany, pewnie zjawili się tam Sam i Lauren, żeby kończyć tapetowanie łazienki - zauważyła, wyobrażając sobie tę scenę. Ciekawe, czy gdyby przytrafiło się to komuś innemu, uznałaby ją za zabawną?



- Powiedziałem im, że przyleciałem wcześniej i zatrzymałem się u Diany, bo chciałem z nimi porozmawiać i dowiedzieć się, jak się czujesz. Na wypadek gdybyś coś przede mną ukrywała. Chyba to kupili...

Zamilkł. Może dotarło do niego, że wyjawiając te rewelacje, powinien czuć się choć odrobinę zażenowany:

- A kiedy wróciłeś do domu, okazało się, że żona, jak to się mówi, dała nogę z mieszkanka.

- Szalałem z niepokoju. Nie wiedziałem, cholera, gdzie zniknęłaś.

- Co za bezmyślne postępowanie - powiedziała.

- Nie to chciałem...

- Więc wróciłeś do Diany. Musiałeś poczuć ogromną ulgę, kiedy zatelefonowałam.

- Nie wiedzieliśmy, co się dzieje.

- Oczywiście musieliście się wzajemnie pocieszać.

- Nie zostałem u niej na noc - bronił się.

- Ale kochałeś się z nią.

Po chwili milczenia potwierdził oczywisty fakt:

- Tak.

- Potem wyszedłeś.

- Wróciłem do domu.

- Która była godzina?

- Około północy.

- Następnie dowiedziałeś się, że Diana nie żyje, zabita strzałem prosto w serce tak samo jak Joan. Prawdopodobnie użyto tej samej broni, a niemal na pewno spust nacisnął ten sam palec. Ale ty oczywiście nie masz nic wspólnego z tymi zabójstwami. To próbujesz mi wmówić?

- Nie zabiłem ich, Bonnie. Przysięgam, że tego nie zrobiłem. Musisz mi uwierzyć. Jestem przybity śmiercią Diany.

- To, że jesteś tak strasznie przybity, nie ma związku ze śmiercią Diany - warknęła. - Ma natomiast wiele wspólnego z tym, że byłeś tak głupi, by zostawić w jej ciele swoją spermę. Mam rację? Twoje łzy nie mają nic wspólnego z Dianą lub twoim synem. Płaczesz nad sobą, Rod. Powiedz mi, czy kiedykolwiek zależało ci bardziej na kimś niż na sobie?

- Zależy mi na tobie - powiedział zbolalym głosem, wyciągając ku niej rękę.

Zbliżyła się do niego, przyciągana jego pragnieniem bliskiego kontaktu. Zamknął ją w uścisku swych ramion, a wtedy otoczyło ją ciepło męskiego ciała, poczuła na skórze delikatny dotyk jego policzka. Zawsze uwielbiała, gdy tak mocno ją obejmował.

Teraz jednak powoli wyzwoliła się z jego ramion. Patrzyła mu prosto w oczy, w te niespotykane głębokie brązowe oczy, lecz tym razem miała wrażenie, że nie głębia z nich bije, a raczej zadziwiająca, rozczarowująca, niebezpieczna pustka.

- Co robisz? - spytał, widząc, że żona podchodzi do nocnego stolika i podnosi telefon.

- Mówi Bonnie Wheeler - powiedziała do słuchawki. - Natychmiast proszę mnie połączyć z kapitanem Mahoneyem. Tak, mogę poczekać - stwierdziła, zauważywszy kątem oka, że Rod opadł z powrotem na łóżko i skrył twarz w stulonych dłoniach.

- Gdzie jest mój ojciec? - zapytała Lauren po wejściu do kuchni. Amanda weszła tuż za nią.

Bonnie siedziała przy kuchennym stole, analizując rysunek Amandy, przedstawiający ludzi z głowami w kształcie pudeł. Przeniosła spojrzenie na córki Roda, mające podobne kędziory, rumiane policzki i zbliżone rysy twarzy. „Cud, miód, ultramaryna, taka jest każda dziewczyna”, pomyślała.

- Musiał pojechać na posterunek policji.

- Przecież od tamtej pory minęło kilka godzin - wyraziła wątpliwości Lauren. - Nie powinien już wrócić?

Bonnie spojrziała na zegarek. Dochodziła jedenasta.

- Wydaje mi się, że policjanci mają do niego wiele pytań.

- A co z Samem?

- Sam i Haj też są na posterunku.

Ponownie zerknęła na zegarek, mimo że robiła to przed kilkoma sekundami. Od paru godzin nie miała żadnych wiadomości ani od Nicka, ani od funkcjonariuszy policji. Najwyraźniej nie mieli jej nic do przekazania. Zapewne wciąż trwało przesłuchanie Roda, jego syna i kolegi Sama. Każdego z nich na pewno poinformowano o przysługujących im prawach. Wezwano adwokatów. Wkrótce powinna się czegoś dowiedzieć.

- Chcę pójść do parku - zawołała Amanda, podskakując na obu nogach jak duża kolorowa piłka.

- Kochanie, nie mogę teraz iść do parku - odparła Bonnie.

- Dlaczego?

- Mogę z nią pójść - zaproponowała Lauren. - Przyda mi się trochę świeżego powietrza.

- Nie wiem...

Bonnie nie była pewna, czy to dobry pomysł. Chyba wszyscy razem powinni zaczekać na sygnał z policji.

- Proszę - błagała Amanda.

Dlaczego się wahała? Przecież policja zatrzymała na posterunku wszystkich podejrzanych. Czekala na wiadomość, że morderca przyznał się do winy? Naprawdę poważnie rozważała taką okoliczność? Przecież nie miała żadnej pewności, że policja w ogóle postawi komuś konkretne zarzuty. Nie mogła trzymać przy sobie córki do wyjaśnienia sprawy.

- Chyba możecie pójść - rzekła, rozumiejąc sygnalizowaną przez Lauren chęć zaczerpnięcia świeżego powietrza.

- Hurraaa! - Amanda skoczyła wysoko jak nigdy, majtając nogami w powietrzu.

- Wezmę tylko torebkę i już idziemy - powiedziała Lauren, goniąc za Amandą, która w okamgnieniu znalazła się przy schodach.

Zadzwoił telefon. Bonnie natychmiast podniosła słuchawkę.

- Słucham...

- Bonnie, tu Josh. Jak się czujesz?

- Josh?

- Josh Freeman. - Ton wskazywał, że mężczyzna zaczął wątpić, czy wybrał dobry numer.

- Tak, oczywiście, Josh. Przepraszam. Spodziewałam się telefonu od kogoś innego, to wszystko.

- Nie najlepszy moment na rozmowę?

- Ależ skąd. - W zasadzie ucieszyła się, usłyszawszy jego głos.

- Byłem po prostu ciekaw, jak się miewasz.

- Trochę lepiej.

Mój mąż i pasierb znajdują się na policji, podejrzani nie tylko o zamordowanie Joan, ale również mojej najlepszej przyjaciółki, Diany, która jak się okazało, od roku sypiała z moim mężem. Och, zapomniałabym wspomnieć, że mam we krwi mnóstwo arszeniku. Wszystko to przemknęło jej przez myśli, ale nic nie powiedziała. O pewnych sprawach nie powinno się rozmawiać przez telefon.

- Przyszło mi do głowy, że mógłbym zajrzeć do ciebie. Co ty na to? - zaproponował, jakby czytał jej w myślach.

- Jesteś mile widziany - odrzekła. - Zapraszam.

- Za godzinę?

- Świetnie.

- W takim razie do zobaczenia.

Odłożyła słuchawkę na miejsce. Cieszyła się na tę wizytę. Zaraz przypomniała sobie, że jeszcze wczoraj podejrzewała go o przyniesienie zatrutego rosołu. Spojrzała na telefon.

Może powinna oddzwonić i powiedzieć, żeby nie przychodził.

- To śmieszne - powiedziała na głos.

Przecież to nie Josh usiłował ją otruć. Z całą pewnością to nie Josh strzelał do Diany. Jaki mógłby mieć motyw? Z drugiej strony nie zawadzi być ostrożną do czasu wyjaśnienia całej tej afery. Zadzwoń do brata, powiadomi go o sytuacji i poprosi, żeby podjechał do niej mniej więcej w tym samym czasie co Josh Freeman.

Miała już podnieść słuchawkę, gdy ponownie zadzwonił telefon.

- Jesteśmy gotowe - zawołała Lauren, zbiegając z kilku ostatnich schodów. Przez ramię miała przewieszoną dużą torbę. Amanda również niosła torebkę, którą pożyczyła od lalki Barbie.

Bonnie odebrała telefon.

- Halo?

Nikt się nie odezwał.

- Może coś kupić w sklepie, skoro będziemy w pobliżu? - spytała Lauren.

- Sprawdź, czy mamy jeszcze mleko - powiedziała do pasierbicy.

Lauren podeszła do lodówki i zajrzała do środka.

- Jest mnóstwo mleka.

- Halo! - powtórzyła Bonnie trzeci raz. Miała już odłożyć słuchawkę, gdy po drugiej stronie drutu rozległo się znajome kliknięcie. Co to było? Znała dźwięk, gdzieś już go słyszała, ale gdzie?

- Kto to? - szepnęła Lauren, szeroko otwierając wielkie orzechowe oczy.

- Proszę się odezwać! Kto dzwoni? - powiedziała ostrzej Bonnie.

Odpowiedziała jej cisza. Potem kliknięcie. I jeszcze jedno.

Klik. Klik.

Bonnie wstrzymała oddech. Żeglowała po niezmiernym morzu domysłów, czekając na powiew, który pchnie ją do brzegu pewności. Była tak blisko. Miała odpowiedź na końcu języka.

Klik.

I nagle zobaczyła siebie wjeżdżającą samochodem na długą alejkę dojazdową, parkującą na zapelnionym parkingu, szybko idącą w kierunku drzwi dużego, rozłożystego białego budynku, typowego dla starej zabudowy Południa. Widziała siebie wchodzącą do hallu, przechodzącą obok portierni do windy, niezdecydowanie stojącą przed drzwiami z numerem 312.

Klik.

Drzwi się otworzyły i ujrzała staruszkę na fotelu na kółkach, z nogami jak dwa kloce drewna, o twarzy pobrużdżonej przez czas, spojrzeniu zmaconym dokuczliwą nudą. Jej szerokie usta były niemal przez cały czas otwarte, a rdzawoczerwony język bez przerwy obracał protezę dentystyczną, która wskakując na miejsce wydawała charakterystyczne kliknięcie.

Klik. Klik.

- Mary? - spytała ostrożnie Bonnie. - Mary, czy to ty?

- Może - usłyszała. - A kto pyta?

## 32

Piętnaście minut później Bonnie była już w Sudbury. Na zatłoczonym parkingu Centrum Zdrowia Psychicznego Melrose znalazła wolne miejsce i czym prędzej przeszła przez hall do wind znajdujących się po prawej stronie portierni. Wmieszała się w tłum oczekujących na następny kurs. Oparła się o ścianę, usiłując złapać oddech i uporządkować myśli.

Co tutaj robiła? Co nakazało jej wypaść z domu zaraz po tym, jak Lauren i Amanda wyszły do parku, wskoczyć do samochodu i do oporu wcisnąć pedał gazu? Wciąż nie czuła się najlepiej. Chyba nie powinna ryzykować utraty życia, aby zamienić kilka słów z szaloną staruszką, która najprawdopodobniej nie ma do powiedzenia nic, co miałoby jakąś wartość.

Przez telefon nie wydusiła z siebie ani słowa, mówiła tylko Bonnie. Po co telefonowała? Chciała jej coś przekazać? Coś na temat Elsy Langer?

Może, ale jeśli na wszystkie pytania otrzyma natychmiastową odpowiedź: „A kto pyta?” - co wtedy?

Jednakże przyszła tu, kierując się czystym instynktem, napędzana adrenaliną. A teraz stała w środku grupy nieznanym ludzi, których twarze zgodnie odbijały intensywne pragnienie znalezienia się jak najdalej od tego miejsca. Nikt z nich nie potrafiłby podać jednego rozsądnego uzasadnienia dla jej wizyty. Czego spodziewała się po spotkaniu z Mary?

Zabrzmiął dzwonek, nad drzwiami jednej z wind zapaliło się zielone światło i sekundę później drzwi się otworzyły. Nastąpiła szybka wymiana - ludzie przepychali się na zewnątrz, inni wpychali się do środka. Winda wypełniła się odwiedzającymi, drzwi się zamknęły, zostawiając w hallu Bonnie i pół tuzina innych osób. Wszyscy zgodnie przesunęli się pod drzwi sąsiedniej windy, zachowując się jak cząstki jednego, kilkuosobowego organizmu. „Działać wspólnie!” - przypomniała sobie poradę z gazety. Doktor Greenspoon byłby ze mnie dumny.

Znowu usłyszała dzwonek. Zielone światło zasygnalizowało przybycie drugiej windy. Tym razem Bonnie nie dała się zepchnąć na bok i zdecydowanie ruszyła do przodu, zdobywając miejsce w pierwszym szeregu czekających. Drzwi otworzyły się i napierający z tyłu ludzie niemal wepchnęli ją do środka.

- Przepraszam - warknęła kobieta w średnim wieku o pulchnej twarzy. - Chciałabym wsiąść, jeśli łaska.

Bonnie wcisnęła się w kąt kabiny, rozpaczliwie spoglądając na tablicę z przyciskami, która znalazła się poza zasięgiem jej ręki.

- Czy ktoś mógłby nacisnąć trójkę? - poprosiła. Potoczyła wzrokiem po suficie, jakby głos wcale nie należał do niej. Czuła na twarzy uderzenia gorąca, kręciło jej się w głowie. Była bliska omdlenia i pomyślała, że tłok w windzie działa na jej korzyść. Nawet jeśli straci przytomność, wciąż będzie stała sztywno wyprostowana. Choć nie o własnych siłach.

Uderzył ją symboliczny wymiar rozgrywającej się sceny. Nie mogła się opanować i prychnęła śmiechem. W mgnieniu oka, mimo panującego ścisku, otaczający ją ludzie odsunęli się od niej o kilka centymetrów. Kiedy drzwi otworzyły się na drugim piętrze i część odwiedzających wysiadła, wokół Bonnie zrobiło się jeszcze luźniej.

Winda zatrzymała się na trzecim piętrze. Przez chwilę zawahała się, lecz wyszła z windy.

- Co mi szkodzi - szepnęła do siebie, ruszając długim korytarzem w stronę pokoju numer 312. Skoro już tu przyszła, spróbuje się czegoś dowiedzieć.

Drzwi były uchylone. Stała przed nimi i przez kilka sekund nasłuchiwała.

- Wejdz - zawołała Mary. - Na co czekasz? Bonnie pchnęła drzwi.

Mary siedziała na wózku przy oknie i spoglądała w dół na trawnik.

- Ładnie tutaj, prawda? - zapytała, nie odwracając się do gościa. - Dbają o roślinki.

- Owszem, dbają - potwierdziła Bonnie, rozglądając się po pokoju. Z zaskoczeniem spostrzegła, że łóżko Elsy Langer zajmuje pacjentka o wyjątkowo bystrym spojrzeniu.

- Dzień dobry - pozdrowiła ją.

Kobieta była szczupła, miała ciemną karnację i prezencję, której nie powstydzilaby się księżniczka. Ciekawe, dlaczego trafiła do Centrum Zdrowia Psychicznego Melrose.

- Miło mi panią poznać - odezwała się, wyciągając przed siebie dłoń w geście powitania. - Nazywam się Jacqueline Kennedy Onassis.

- Nie zwracaj na nią uwagi - ryknęła spod okna Mary. - Jest kompletnie szurnięta!

Bonnie drgnęła. Czy nie takim sformułowaniem posługiwał się Rod, mówiąc o swej byłej żonie?

- Najpierw dali mi warzywo, a teraz uraczyli mnie wariatką. - Mary odwróciła się od okna i zatrzymała fotel tak, aby widzieć gościa. - Czym sobie na to zasłużyłam?

Bonnie ostrożnie podeszła do wózka. Mary miała na sobie czysty, biało-granatowy szlafrok, a świeżo ufarbowane włosy utrzymywała w porządku skomplikowana plątanina najróżniejszych klamerek i wałków.

- Dlaczego chciałaś się ze mną zobaczyć? - zapytała Bonnie.

- Kto powiedział, że chciałam się z tobą zobaczyć?

- Ty. Zadzwońska do mnie. Dałaś mi do zrozumienia, że chcesz mi coś powiedzieć.

- Naprawdę?

Bonnie zwątpiła. Po to tak biegła? Aby odbyć bezsensowną rozmowę z chorą staruszką? Oczywiście gdybym tu nie przyszła, nie poznałabym Jacqueline Kennedy Onassis, pomyślała, uśmiechając się do kobiety zajmującej łóżko Elsy Langer.

- Sądziłam, że masz coś do powiedzenia o Elsie Langer - stwierdziła z rezygnacją.

- O kim?

- O Elsie Langer.

- Teddy nie jest winny - wtrąciła nagle Jacqueline Kennedy Onassis. - Próbował ratować tę dziewczynę, ale zawsze był kiepskim pływakiem.

- Mówisz, że do ciebie zadzwoniłam? - powiedziała Mary, nerwowo uderzając dłońmi o kolana.

- Nie dalej jak dwadzieścia minut temu.

- Szybko się zjawiłaś.

- Pomyślałam, że to coś ważnego. Na pewno zadałaś sobie wiele trudu, aby zdobyć mój numer.

- Eeee, tam. - Machnęła ręką lekceważąco. - Po prostu zapytałam pielęgniarkę.

Powiedziałaś Elsie, iż zostawisz pielęgniarce swój numer. Pamiętałam o tym.

- Co jeszcze pamiętasz?

- O czym?

- O Elsie.
  - Nie była ani trochę zabawna - skrzywiła się Mary, jakby kazano jej zjeść cytrynę. - Przez cały czas leżała tylko na łóżku, nigdy nic nie powiedziała. Co nie znaczy, że z nastaniem Jackie sytuacja uległa jakiegokolwiek poprawie.
  - Christina była bardzo niesympatyczną dziewczyną - ponownie wtrąciła Jackie. - Próbowałam zbliżyć się do niej, ale postawiła zapórę nie do pokonania. Chciała mieć swojego tatusia tylko dla siebie.
  - Opowiedz mi coś więcej o Elsie - nalegała Bonnie. Mary zaczęła bawić się protezą.
  - Nie ma nic do opowiadania. Leżała w tym łóżku dzień i noc, aż pewnego dnia umarła.
  - Musiało cię to wyprowadzić z równowagi - zauważyła Bonnie, rozważając możliwość szybkiego zakończenia tej rozmowy. Wyjdzie stąd, gdy tylko odetchnie i nabierze sił.
  - Szczerze mówiąc, nawet tego nie zauważyłam - skonstatowała Mary i zarechotała, zaprzestawszy na moment zmagania ze sztuczną szczęką. - Dopiero pielęgniarka odkryła, że Elsa jest w stanie śpiączki.
  - Przynajmniej nie cierpiała - rzekła Bonnie. - To chyba dobrze.
  - Chyba tak. - Mary ponownie skierowała wózek w stronę okna. - Powinnas powiedzieć to tej dziewczynce. Poczucie się lepiej.
  - Dziewczynce? - Bonnie podeszła do okna i z góry przyglądała się kobiecie na wózku.
  - Jej wnuczce. Jak miała na imię?
  - Masz na myśli Lauren?
  - Tak, chyba właśnie tak miała na imię. Powinnas wiedzieć, przecież to ty przyprowadziłaś ją po raz pierwszy.
  - Słucham?
  - Cały czas mówiłam, żeby przeszła na dietę - poinformowała pani Onassis. - Nie słuchała. Nienawidziła mnie.
  - Co masz na myśli, mówiąc, że przyprowadziłam ją po raz pierwszy? - dopytywała się Bonnie.
  - Przyprowadziłaś dwójkę dzieciaków, chłopca i dziewczynkę.
- Mary znowu wykrzywiła twarz, jakby w ustach trzymała plasterek cytryny.
- Tak, zgadza się - potwierdziła Bonnie. - Ale przyprowadziłam ich tylko raz.
  - Dziewczynka wróciła - stwierdziła lakonicznie Mary.



- Co takiego?! - wykrzyknęła Bonnie. Każdy włoszek na jej ciele stanął dęba.

- Wróciła. Przyniosła Elsie krem jajeczny własnej roboty. Siadła na łóżku i karmiła ją łyżką. Nie dała mi nawet spróbować. Niezbyt ładne zachowanie, moim zdaniem.

- Mary nadała się. - Chciałam tylko posmakować.

Bonnie chwyciła rękami oparcie fotela i zmusiła staruszkę, aby na nią spojrzała.

- Skup się, Mary - powiedziała, usiłując zapanować nad nerwami i nie wpaść w panikę. - Ile czasu upłynęło pomiędzy wizytą Lauren a śmiercią Elsy?

Przez chwilę Mary wyjmowała i wkładała na miejsce sztuczną szczękę. Potem stwierdziła:

- Dziewczynka była tu w południe, a w nocy Elsa zapadła w śpiączkę.

Bonnie kurczowo wbiła palce w miękką skórzaną wykładzinę na poręczy fotela. Świat zawirował wokół niej.

- O Boże!

Co oznaczał ten zbieg okoliczności? Czyżby Lauren otruła Elsę Langer? A jeśli zrobiła to...

- To niemożliwe - powiedziała. - To niemożliwe...

- Mogła dać mi tylko odrobinę tego kremu - mówiła dalej Mary - ale nie! Uparła się, że jej babcia ma zjeść wszystko.

- Zostawiłam z nią Amandę. Jest sama z moją małą dziewczynką!

Bonnie rzuciła się do drzwi.

- Próbowałam zaprzyjaźnić się z nią - usłyszała jeszcze melancholijny głos kobiety, która wyobrażała sobie, że jest Jacqueline Kennedy Onassis. - Mogłam pomóc tej dziewczynie, gdyby mi pozwoliła.

Bonnie prowadziła samochód jak w transie. Nie zdejmując nogi z pedału gazu, błyskawicznie pokonała odcinek drogi numer 20, wjechała na Boston Post Road, po jakimś czasie zjechała na State Road West, a potem równie błyskawicznie przebyła kilka kilometrów State Road East, którą dotarła do Weston, gdzie ponownie wjechała na Boston Post Road. Dygotała za kierownicą, oblewał ją zimny pot, płakała i krzyczała na przemian.

- To niemożliwe - powtarzała w kółko to samo. - To niemożliwe...

Przypomniała sobie, z jaką ochotą Lauren przystała na odwiedziny u babci, jak była poruszona, gdy staruszka wymówiła jej imię, z jaką czułością patrzyła na nią i karmiła obiadem. Czy potem wróciła, aby nakarmić babcie trucizną?

Kiedy mogła to zrobić? Przecież codziennie chodziła do szkoły. Kiedy miałyby sposobność?

- Kiedyś została na jeden dzień w domu - powiedziała na głos, uświadomiwszy sobie, że tamtego dnia dziewczynka czuła się źle. Myśleli, że to nawrót grypy, ale to wcale nie musiała być grypa. Równie dobrze mogło to być zatrucie arszenikiem.

A może w ogóle nie była chora. Może tylko udawała.

- Nie, to wykluczone - powiedziała do siebie. - Przecież widziałam, jak się męczy. Trzymałam jej głowę chyba przez kilka godzin, a ona wymiotowała bez końca. Nie udawała. Naprawdę chorowała.

Jednakże szybko wydobrzała, pomyślała Bonnie. A ja byłam coraz bardziej chora. Zawsze była blisko mnie. Zawsze.

Ale dlaczego? Bonnie zatrzymała się na czerwonym świetle na skrzyżowaniu Boston Post Road i Bucksin Drive. Rozglądała się wokół samochodu, nerwowo naciskając pedał gazu.

- Dlaczego chciałaby mnie zabić?

Wróciła myślami do popołudnia, kiedy razem z Rodem pojechali do domu Joan, aby przekazać Lauren i Samowi wiadomość o śmierci ich matki. Pamiętała wybuch Lauren, wciąż czuła kopnięcia w kostki, uderzenie pięścią w usta. Ona mnie nienawidzi, pomyślała ze zgrozą.

Potem wiele się zdarzyło i jej stosunek do Bonnie powinien ulec zmianie. Podczas ostatnich tygodni zbliżyły się do siebie, nawiązała się między nimi nić porozumienia oparta na szacunku i przyjaźni. Chyba że to też było pozorowane.

Nawet jeśli mnie nienawidzi, myślała Bonnie, czy pragnęłaby mojej śmierci? Dlaczego miałaby zabić swoją babcię, bezradną staruszkę, która prawie nie pamiętała, kim jest odwiedzająca ją nastolatka?

Kogo jeszcze chciała zabić? - zastanawiała się, do oporu wciskając pedał gazu. Zapaliło się zielone światło i Bonnie przejechała skrzyżowanie, jakby ścigało ją tornado.

Desperacko starała się skoncentrować na jeździe, oddalić od siebie myśli. Były zbyt zwariowane, zbyt szalone, bardziej niż rzeczywistość przypominały narkotyczne majaki. Naprawdę uważała za prawdopodobne, że Lauren miała coś wspólnego z zabójstwem matki i śmiercią Diany?

- Nie, to śmieszne. Jesteś śmieszna, Bonnie - podsumowała.

Tego dnia gdy zamordowano Joan, Lauren była w szkole. Natomiast tego ranka kiedy zginęła Diana, była przecież w domu. A jednak...

Łatwo mogła się urwać z jednej lub dwóch lekcji. Policja na pewno nie zadała sobie trudu, aby to sprawdzić. Komu przyszłoby do głowy posądzać czternastolatkę o zamor-

dowanie matki? Równie łatwo mogła wymknąć się z domu i zabić Dianę. Rod spał i niczego nie zauważył. Wiedziała, gdzie mieszka Diana.

Ale dlaczego? Dlaczego pragnęłyby skrzywdzić Dianę? I jaki motyw popchnąłby ją do zabicia własnej matki?

„Grozi wam niebezpieczeństwo”, ostrzegła Joan. „Tobie i Amandzie.”

Czy to Lauren była tym niebezpieczeństwem, przed którym Joan próbowała ostrzec?

- Boże! - Wyobraziła sobie rączkę swej córeczki w dłoni jej przybranej siostry. - Nie skrzywdź mojego dziecka. Nie waż się skrzywdzić mego dziecka! - Skręciła w Highland Street i korzystając z pustki na ulicy, rozpędziła się do takiej prędkości, że witryny mijanych sklepów zlewały się w jedną zielonoszarą plamę. - Proszę, nie zrób krzywdy mojemu maleństwu - modliła się na głos.

Jak mogła zostawić córkę sam na sam z Lauren? Czyż Joan nie ostrzegła setki razy, aby nigdy nie powierzać dzieci opiece Sama lub Lauren? Może te wypowiedzi były czymś więcej niż pijackimi przytykami zazdrosnej ekszony? Może już wtedy Joan próbowała ją ostrzec.

Ale dlaczego?

Pytanie powracające jak bumerang: dlaczego?

To było bez sensu. Nieprawdopodobne. Lauren nie mogła mieć na sumieniu zabójstwa matki, Diany, otrucia Elsy Langer i próby otrucia macochy. Owszem, miała dostęp do broni Joan i z pewnością wiedziała, gdzie matka trzyma trutkę na szczury, lecz z tego jeszcze nic nie wynikało. Sam miał identyczne możliwości. Rod również.

Tylko że Sam i Rod byli teraz na posterunku policji, a Lauren z Amandą.

Zabrała ją do parku, ale którego? W pobliżu znajdowało się kilka parków i mogły pójść do każdego z nich.

- Gdzie jesteś, do cholery? - mamrotała. - Dokąd mogłaś pójść?

Przejechała przez Brown Street, odruchowo spoglądając na dom należący do Diany. Zobaczyła otaczające go znajome żółte taśmy. „Miejsce zbrodni. Nie wchodzić.”

- Nie wpadaj w panikę - przekonywała samą siebie.

Skręciła w South Avenue. Zwolniła, dojrawszy niewielki park na rogu South i Wellesley.

Pod okiem kilku znudzonych kobiet kilkoro dzieci bawiło się na zjeżdżalniach i huśtawkach. Nie było wśród nich ani Lauren, ani Amandy. Bonnie przyszło na myśl, że mogłaby zatrzymać się i zapytać, czy nie widziano tam jej córeczki, ale nie znalazła nikogo

znajomego. Zresztą okazałoby się to zapewne stratą czasu. Chyba nie była w stanie złożyć jednego sensownego zdania.

Dokąd mogły pójść? Był jeszcze mały park przy Blueberry Hill Road, Amanda jednak nie lubiła go, bo poza kilkoma huśtawkami nie było tam nic ciekawego. W pobliżu znajdował się też plac zabaw przy szkole, podobny plac zabaw obok niewielkiej alejki zwanej Ścieżką Alfabetu, gdzie kiedyś ktoś wylał na głowę Amandy wiadro krwi.

- O Boże - jęknęła Bonnie. Lauren chyba nie ma zamiaru skrzywdzić jej maleństwa następnego dnia po zamordowaniu Diany.

Błyskawicznie przejechała Wellesley Street i skręciła w lewo, wjeżdżając na School Street. Podjechała niemal pod plac zabaw i wyskoczyła z samochodu, ledwie zdążywszy wyszarpnąć kluczyki ze stacyjki. Pobiegła na tył szkoły, gdzie znajdowały się urządzenia dla dzieci.

Nikogo tam nie zastała.

- Gdzie jesteś? - krzyknęła, obracając się dokoła. - Lauren, do jasnej cholery, dokąd zabrałaś moje dziecko?

Nagle zobaczyła porzuconą, zagrzebaną w piasku pod jedną z huśtawek... Podbiegła, schyliła się i podniosła różową torebkę Barbie. Więc jednak tu były. Były i poszły. Czy to możliwe, że wróciły do domu?

Podbiegła do samochodu. Cofając, niemal uderzyła w drzewo.

- Spokojnie, zwolnij - powiedziała do siebie, biorąc ostry zakręt w prawo i wjeżdżając w Winter Street. - Jesteś prawie na miejscu.

Wkrótce widziała już dom. Hamując z piskiem opon, wjechała na podjazd i sekundę później biegła do drzwi wejściowych.

- Amanda! - zawołała jeszcze z trawnika. - Amanda! Lauren!

Włożyła klucz do zamka, otworzyła drzwi i przebiegła przez hall, kierując się ku schodom na piętro. Przeskakiwała po dwa stopnie.

Stanąwszy na górze, zobaczyła krew. Zaledwie kilka kropel, za to bardzo wyraźnie odcinających się na białej wykładzinie.

- O mój Boże! - Przycisnęła dłoń do ust, aby zdławić krzyk. - Nie, proszę, nie...

Powoli, jakby jej stopy tonęły w zastygającym cemencie, zbliżała się do łazienki.

Nagle usłyszała cichutki pisk dobiegający zza zamkniętych drzwi łazienki Amandy.

- Amanda? - zawołała drżącym głosem.

Położyła dłoń na klamce, wstrzymała oddech i otworzyła drzwi.

Amanda siedziała po turecku na środku podłogi, jedną rękę położyła na kolanie, drugą wyciągała w kierunku Lauren, która siedziała obok, trzymając na podolku swoją torbę. Jedną dłonią chwyciła nadgarstek Amandy, w drugiej zaciskała brzytwę.

- O mój Boże!

- Proszę, nie zbliżaj się - powiedziała zwyczajnym tonem Lauren.

- Upadłam, mamusiu - odezwała się Amanda, unosząc rączkę ze świeżo zadrapanego kolana. - Lauren bujała mnie na huśtawce, spadłam i zraniłam się w kolano. Płakałam, ale Lauren powiedziała, żebym nie płakała i oczyściła mi ranę.

- Przepraszam, że narobiłam takiego bałaganu w łazience - powiedziała Lauren, jakby prowadziła najzwyczajniejszą w świecie rozmowę i wcale nie trzymała otwartej brzytwy nad nadgarstkiem Amandy.

- Amando - zaczęła Bonnie, nie spuszczać oka z delikatnych żył córeczki - może zejdziesz na dół, napijesz się mleka i zjesz kilka ciasteczek...

- Nie teraz, Amando - stanowczo stwierdziła Lauren i dziewczynka ani drgnęła.

- Lauren mówi, że staniemy się prawdziwymi siostrami. Siostrami krwi - wyjaśniła Amanda. - Powiedziała, że to nie będzie bolało.

Bonnie miała wrażenie, że powietrze wokół niej nagle zmieniło się w lód. Z trudem oddychała.

- Co powiedziała Mary? - spytała Lauren. - Wiem, że do niej poszłaś. Na pewno wypaplała, że tam byłam, czy tak?

Jej głos docierał do Bonnie jak zza grubej zasłony albo z sąsiedniego pokoju.

- Tak - potwierdziła Bonnie, robiąc krok do przodu.

- Nie podchodziłabym bliżej - ostrzegła Lauren.

- Mogłabym się zdenerwować i upuścić brzytwę.

- Nie rób jej krzywdy - błagała Bonnie, zatrzymując się jak skamieniała. - Proszę, nie rób jej krzywdy.

- Mamusiu, Lauren powiedziała, że nie będzie bolało. Było dużo gorzej, kiedy zadrapałam sobie kolano.

- Dużo gorzej. - Lauren lekko ucisnęła rękę dziecka.

- Nie mogłabym cię skrzywdzić, przecież jesteś moją młodszą siostrzyczką.

- Proszę - zaklinała Bonnie. - Puść Amandę. Porozmawiamy. Jestem pewna, że wszystko możemy jakoś ułożyć.

- A jeśli nie chcę rozmawiać?

- Jeśli tak, to nie musimy rozmawiać - szybko zgodziła się Bonnie. - W ogóle możemy nic nie mówić.

- Zaczekamy tylko na policję, żebyś mogła im wszystko opowiedzieć?

- Nie mam nic do opowiedzenia.

- Czyżby? To dziwne. Wydawało mi się, że masz dla nich wiele rewelacji.

- Nie mam. Nic im nie powiem.

- Zabiłam je, wiesz? - powiedziała niewinnym głosem. - Zabiłam je wszystkie.

Bonnie czuła, jak jej serce staje się ciężkie niczym głaz i spada gdzieś w dół, do żołądka.

- Zabiłaś własną matkę? - spytała, mimo że poznała już odpowiedź.

- Sama była sobie winna. - Lauren stała się opryskliwa. - Gdyby nie weszła w moim pokoju, nie znalazłaby mojego albumu z wycinkami. Od tego się zaczęło.

- Ten album należał do ciebie?

- Całkiem fajny, co? Założyłam go w dniu, gdy wyszłaś za mojego ojca.

- Ale dlaczego?

Ciemna chmura spowiła oczy Lauren.

- Ojciec mnie kocha. Zawsze mnie kochał, nawet kiedy odszedł. Nawet wtedy, gdy próbowałaś go ode mnie odsunąć.

- Lauren, skarbie, nigdy nie próbowałam odsunąć cię od ojca.

- Owszem, próbowałaś - upierała się. - Każdy próbował, ale im nie pozwalałam.

Bonnie rozpaczliwie usiłowała wychwycić sens słyszanych słów, a jednocześnie wpatrywała się w rączkę Amandy, jakby siłą spojrzenia chciała wyrwać ją z dłoni morderczyni. Może jeśli będzie zagadywać Lauren, dziewczynka w końcu rozluźni uchwyt.

- To dlatego zabiłaś Dianę?

- Niezłe było z niej ziółko, co? Udawała, że jest twoją najlepszą przyjaciółką, a jednocześnie knuła za plecami. Pieprzyła się z moim ojcem. Wiesz, kiedy to odkryłam?

- Kiedy ojciec zjawił się u Diany?

- Nie. - Potrząsnęła głową. - Domyśliłam się wcześniej, kiedy po raz pierwszy poszłam z Samem do jej mieszkania. Wzięliśmy ze sobą Amandę. Wiesz, co Amanda znalazła w komodzie Diany? Całą kolekcję seksownej bielizny. Prawda, Amando?

Dziecko przytaknęło nieco zmieszane obrotem, jaki przybrała rozmowa.

- Wiesz, co jeszcze znalazłam? - mówiła dalej Lauren. - Te głupie szarfy, identyczne jak te, które miałaś zawiązane na nadgarstkach wieczorem, gdy byłam chora. Takie same jak te, którymi mój ojciec przywiązał cię do łóżka, kiedy uprawiał z tobą seks.

- Mamusiu, dlaczego tatuś przywiązał cię do łóżka? - spytała Amanda z oczami wielkimi jak spodki.

Bonnie spuściła wzrok na podłogę. Wspomnienie tamtej nocy wypełniło jej głowę niczym obrzydliwy odór.

- Boże, kiedy to zobaczyłam, zrobiło mi się niedobrze - wyznała Lauren. - Prawie tak niedobrze jak po arszeniku.

- Najadłaś się arszeniku?

- Sprytne, co? Kiedyś zobaczyłam to na filmie. Dzięki temu nie podejrzewałaś mnie, nawet gdy odkryłaś, że jesteś otruwana. Oczywiście musiałam robić to stopniowo. Dawałam ci nieduże dawki, aby wszyscy myśleli, że to grypa.

- To ty włożyłaś węża do łóżka Amandy - stwierdziła Bonnie.

- Miał owinąć się wokół jej szyi i trochę ścisnąć, ale nic z tego nie wyszło. Nie szkodzi. Wiedziałam, że będę miała inne okazje. Przez cały czas zdarzają się wypadki, których ofiarami są małe dzieci. Mogła spaść z rowerka albo z huśtawki. - Zarechotała złośliwie. - Poza tym miałam niezły ubaw, obserwując, jak się zamartwiasz.

- Po to wylałaś na nią wiadro krwi? Żebyś się martwiła?

Lauren uśmiechnęła się do Amandy.

- Powinnaś ją widzieć, zanim ją trochę oczyścili. Ale było widowisko!

- Wylałaś na mnie krew - z oburzeniem powtórzyło dziecko, próbując wyzwolić rączkę. - Już cię nie lubię.

- Przestań, Mandy - wybuchnęła Lauren, zaciskając dłoń na nadgarstku przyrodniej siostry. - Chyba nie boisz się odrobiny krwi, co? Myślałam, że jesteś dużą dziewczynką.

- Już cię nie lubię. Nie jesteś miła. Nie chcę być twoją siostrą.

Amanda ponownie podjęła próbę wyrwania się z pułapki żelaznego chwytu. Lauren szybko podniosła dziewczynkę, posadziła ją sobie na kolanach i przyłożyła brzytwę do gardła.

- Proszę, nie! - wrzasnęła Bonnie. - Proszę, nie zrób jej krzywdy. Nie ruszaj się, dziecinko - instruowała wiercącego się malucha.

- Wszystko to twoja wina - syknęła Lauren.

- Moja? - zdziwiła się Bonnie.

- Mieli cię aresztować za zamordowanie mojej matki. Wtedy mogłabym wprowadzić się do ojca i miałabym dużo czasu na pozbycie się Amandy. Wszystko byłoby dużo prostsze. Nie musiałabym bawić się w autostop i jeździć wszędzie cholernymi taksówkami. Nie

musiałabym prosić Haja, żeby przyniósł mi krew. - Zachichotała. - Ale frajer z niego! Myślał, że stroimy sobie żarty. Nawet zepsuł ci samochód, żeby nie mógł zapalić.

Po twarzy Amandy płynęły łzy. Jedna z nich trafiła na bliznę na policzku i popłynęła osobnym torem.

- Nie płacz, malutka - powiedziała Bonnie, szukając sposobu na odwrócenie uwagi Lauren i uwolnienie Amandy. - A Sam? - spytała, próbując zyskać na czasie. - Był w to zamieszany?

- Żartujesz? Sam uważa, że jesteś siódmym cudem świata. - Dożyła z siebie dźwięk, który w części był śmiechem, w części płaczliwym zawodzeniem. - Musiał być niezłe zszokowany, kiedy przyszedł do Diany po zapłatę i znalazł ją martwą na podłodze.

Amanda wierciła się na kolanach Lauren. Brzytwa nieco silniej oparła się o delikatną skórę dziecka, na szyi pojawiła się kropla krwi.

- Proszę - błagała Bonnie - na pewno nie chcesz skrzywdzić Amandy. Nie możesz poważnie o tym myśleć. Przecież to twoja młodsza siostrzyczka.

Po chwili ciszy Lauren powiedziała:

- Nie chcę młodszej siostrzyczki. - Jej głos był zimny i twardy niczym granitowa płyta nagrobna. - Nigdy nie chciałam młodszej siostry.

Bonnie zdrewniała. Zrozumiała, co znaczą te słowa.

- Co masz na myśli? - zapytała, czując przenikliwy chłód.

- Chyba wiesz.

- Chcesz powiedzieć, że zabiłaś Kelly? Że twoja siostrzyczka nie zginęła wskutek wypadku?

Lauren z upiornym uśmiechem na ustach patrzyła jej prosto w oczy.

- Przecież sama byłaś dzieckiem! Kiedy Kelly utonęła, miałaś zaledwie sześć lat.

- Żeby utrzymać główkę dziecka pod wodą, nie trzeba dużo siły - stwierdziła Lauren rzeczowym tonem. - Była lekka jak piórko. Ojciec zwykł tak o niej mawiać, lekka jak piórko. - Nagle w jej oczach rozbłysł gniew. - Wszystko było dobrze, dopóki się nie urodziła.

Bonnie pomyślała o Joan, jej długotrwałym załamaniu nerwowym po śmierci najmłodszego dziecka.

- Twoja matka wiedziała, że to nie był wypadek. Lauren potwierdziła.

- Kłamała, żeby mnie chronić. Wszystko, co robiła, było podporządkowane temu celowi.

- A ty ją zabiłaś.



- Nie chciałam tego - obruszyła się. - Po prostu nie zostawiła mi żadnego wyboru. Po znalezieniu albumu z wycinkami stała się podejrzliwa. Bez przerwy mnie obserwowała. Próbowałam spokojnie z nią rozmawiać, ale kiedy odkryła, że zniknął pistolet, wpadła w panikę. Zatelefonowała do ciebie. Miała zamiar opowiedzieć ci o wszystkim, jak wcześniej opowiedziała babce, kiedy upiły się któregoś wieczora. - Obrzuciła Bonnie oskarżycielskim spojrzeniem. - To przez ciebie umarła moja babcia. Musiałś wtykać nos w nie swoje sprawy. Poszłaś tam i odszukałaś ją.

- Lauren...

- A teraz ojciec będzie na mnie zły. Będzie myślał, że jestem zła, niedobra. Znowu mnie zostawi.

- Twój ojciec na pewno cię nie zostawi. Kocha cię. Bardzo cię kocha.

- Naprawdę tak myślisz? - Szeroko otwarte oczy Lauren wypełniły się łzami. - Tylko tego zawsze pragnęłam, wiesz? Chciałam żeby mnie kochał. Rozumiesz?

- Tak - odezwała się Bonnie po chwili ciszy. - Rozumiem - dodała szczerze.

Lauren podniosła do oczu grzbiet dłoni i roztarta łzy po policzku.

Jak mała dziewczynka, pomyślała Bonnie, przenosząc spojrzenie na swą córkę.

- Bonnie! - usłyszała swoje imię. - Bonnie, jesteś tam?

Na schodach zadudniły czyjeś kroki. Lauren zwróciła głowę w kierunku źródła dźwięku, na moment odsuwając brzytwę od szyi dziecka. Amanda wykorzystała tę chwilę nieuwagi i wyzwoliła się z objęć przyrodniej siostry.

- Mamo! - krzyknęła, biegnąc co sił do matki.

Kątem oka Bonnie dostrzegła, że Lauren pośpiesznie przetrząsa zawartość torby. Natychmiast domyśliła się, o co chodzi. Pistolet! Rzuciła się na dziewczynę i pochwyciła jej rękę dokładnie w chwili, gdy ta dosięgła broni.

Ramię Lauren zeszywniało, stawiało opór. Jak cholerny wąż, pomyślała Bonnie, uderzając nadgarstkiem Lauren o podłogę. Pistolet wypadł z ręki.

Nagle obok nich jak spod ziemi wyrósł Josh Freeman. Kopnął broń na drugi koniec pomieszczenia, a potem odsunął Bonnie od napastniczki.

- Skąd się tu wzięłaś? - powiedziała, nie spuszczając oka z Lauren, która zwinęła się w kłębek na podłodze.

- Drzwi wejściowe były otwarte, więc wszedłem do środka. Nic ci nie jest?

- Nic mi nie będzie - odparła, z ulgą przymykając powieki.

Amanda podbiegła do niej i zarzuciła ramiona na szyję.

- Mamo! Mamusiu!

Drżące palce Bonnie dotknęły kropli krwi pod brodą dziecka.

- Wszystko w porządku, mój słodki aniołku?

- Co się stało Lauren, mamusiu?

- Nie czuje się dobrze, cukiereczku.

- Będzie czuła się lepiej?

Bonnie pocałowała córkę w policzek.

- Nie wiem. - Odgarnęła włosy z czoła dziewczynki. - A co z tobą? Jak ty się czujesz?

- Dobrze.

Amanda łagodnie wysunęła się z objęć matki i ostrożnie podeszła do Lauren, leżącej bez ruchu na podłodze łazienki. Bonnie wstrzymała oddech, ale nie zatrzymała jej.

- Wszystko będzie dobrze. Zobaczysz. Nie płacz. Nie płacz już.

Potem usiadła obok przyrodniej siostry i aż do przyjazdu policji głaskała ją po kasztanowych włosach.

Rod czekał w gabinecie kapitana Mahoneya. Kiedy ją zobaczył, natychmiast skoczył na równe nogi, przewracając krzesło na podłogę.

- Bonnie, nic ci się nie stało?

Zamknęła za sobą drzwi i odpowiedziała krótko:

- Nic.

Zrobił krok w jej stronę, lecz widząc, co się z nią dzieje, zatrzymał się.

- A Amanda?

- Jest wystraszona, zdezorientowana, ale nic jej nie będzie. Za tydzień zabiorę ją do doktora Greenspoona.

- Doktora Greenspoona?

- Jesteśmy starymi przyjaciółmi - powiedziała, nie mając ochoty na dalsze wyjaśnienia. - Wyglądasz na wyczerpanego.

- To był potworny dzień - stwierdził, Podjąwszy heroiczną próbę przywołania na twarz uśmiechu.

- Lauren zabiorą do szpitala na obserwację - poinformowała. - Powinieneś pojechać tam jak najszybciej.

Rod wyglądał na wstrząśniętego.

- Boże, Bonnie, nie wiem, czy jestem w stanie to zrobić. Chyba nie potrafię jej spojrzeć w oczy.

- Musisz - powiedziała z naciskiem. - Jest twoją córką. Potrzebuje cię.

Przez kilka sekund milczał. W końcu zdobył się na pytanie:

- Pójdiesz ze mną?

Bonnie spojrzała w przepastne brązowe oczy męża, szukając w nich śladu człowieka, którego kiedyś знаła. Widziała jednak obcą twarz, przystojnego mężczyznę, którego posiwiałe włosy w dziwny sposób czyniły młodszym, niż był w istocie. Nawet po tym wszystkim, co się wydarzyło.

- Nie.

Utkwił wzrok w podłodze.

- Co teraz będzie? - spytał.

- Byłabym wdzięczna, gdybyś do końca tygodnia zabrał z domu swoje rzeczy.

Kiwnął głową na znak akceptacji.

- Jeśli tego chcesz.

- Będę musiała pójść na dzień lub dwa do szpitala - kontynuowała. - Amanda zostanie z moim ojcem. Nick zawiezie ją tam za kilka minut. Dołączę do nich, kiedy tylko doktor Kline wyrazi zgodę.

- Bonnie...

- Sam przenocuj u Josha Freemana. Rano możesz z nim porozmawiać i ustalić, co zrobicie dalej.

- Chryste, Bonnie, przecież wiesz, że nie mogę się nim zająć...

- Powiedziałam mu, że Amanda i ja chętnie weźmiemy go pod nasz dach.

- Chyba tak byłoby najlepiej - szybko zgodził się Rod. Na ustach Bonnie pojawił się smutny uśmiech.

- Rzeczywiście, tak będzie najlepiej. Odwróciła się do wyjścia.

- Bonnie...

Stanęła w pół kroku, jedną nogą już na korytarzu, i czekała na ciąg dalszy.

- Mogę podwieźć cię do szpitala?

Kątem oka zobaczyła Josha, czekającego na nią przed drzwiami posterunku. Kiedyś powiedział: „Wyczułem, że potrzebujesz bratniej duszy. Mógłbym nią być”.

- Nie, dziękuję - powiedziała do Roda. - Przyjaciel mnie podwiezie.